PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK SIEDMNASTY. — TOM LXVII.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1900.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1900.

SZKICE Z BRAZYLII.

Stosunki polityczne Brazylii po obaleniu cesarstwa.

Od kilku lat dzieje brazylijskiej rzeczypospolitej tak są ściśle zespolone z ruchem wychodźczym w Polsce, los naszych osadników w puszczach Parany jest tak bardzo zależnym od zmieniających się nieustannie jak w kalejdoskopie prądów i stronnictw rządzących państwem, dzieją się tam rzeczy tak bardzo do europejskich stosunków politycznych niepodobne, że nie będzie, zdaje mi się, rzeczą obojętną dla interesującego się sprawą brazylijskiego wychodźtwa czytelnika zapoznanie się bliższe z dziejami przewrotów, jakie młoda republika od roku 1889 przechodziła i przechodzić jeszcze będzie, zanim stosunki ostatecznie się ustalą. Historya tych lat ostatnich da nam klucz do zrozumienia istotnych przyczyn bezustannych rewolucyj wojskowych, a zarazem jaskrawą ilustracyę panującego w Brazylii, na równi zresztą z innemi państwami południowej Ameryki, rozprzężenia i bezsil[illegible] rządu, który przy najlepszych nawet chęciach nie jest w[illegible]e narzucić swojej woli nikomu. Z jednej strony najwyższa samowola jednostek i powszechne prawo pięści, z drugiej samo-obrona, która dozwala licznie skupionym terytoryalnie żywiołom europejskim na podstawie tegoż prawa pięści nie dbać o niewygodne dla siebie rozporządzenia bezsilnego rządu. Dzieje zwłaszcza ostatniej rewolucyi, a raczej całego szeregu niezależnych od siebie „pronuncyamentów“, robią na

nieoswojonym z tego rodzaju stosunkami widzu wrażenie operetki. Każdy przewrót polityczny bywa zawczasu jawnie omawiany w dziennikach i po kawiarniach, wie się niemal co do godziny, kiedy wybuchnie, ludzie polityczni zmieniają przez jedną noc przekonania swoje jak zużyte rękawiczki, żołnierze, podnoszący zbrojny bunt przeciwko rządowi, są karani kilkodniowem więzieniem lub zupełnie bezkarnie uchodzą; lada kapral pisze listy otwarte do prezydenta, wzywając go do abdykacyi w przeciągu 24 godzin, grożąc bombardowaniem miasta w razie niesłuchania jego wezwania i bezkarnie mu to uchodzi, całe pułki wojska regularnego po kilkakroć w przeciągu kilku miesięcy przechodzą na tę to na ową stronę walczących; bezbronne łodzie zabierają do niewoli całe floty bez wystrzału; obalają się rządy bez rozlania kropli krwi, a jednocześnie dla usunięcia podrzędnego urzędnika na prowincyi trzeba prowadzić formalne oblężenie; regularne wojska pierzchają przed gromadką kosynierów, a natomiast bezbronnych przeciwników zarzynają jak barany. Jest to chaos dla europejskich pojęć wprost nieprawdopodobny, a jednak chaosem tym rządzi się państwo mało co mniejsze od całej Europy, a liczące 15 mil. mieszkańców.

Przewrót państwowy dokonany w dniu 15 listopada 1889 roku był nie tylko dla całego świata, ale i dla samej Brazylii zupełną niespodzianką, kraj bowiem był najzupełniej do niego nieprzygotowanym.

Istniało tylko nieliczne stronnictwo „republikańskie“, liczące w swojem gronie pewną liczbę rzeczywistych zwolenników idei republikańskiej, atoli główną jego masę tworzyli t. zw. „niezadowoleni“ pośród wyższych urzędników zarówno konserwatywnej jak liberalnej partyi.

Ponieważ przyjętym jest obyczajem, iż urzędnicy nie są sługami państwa, ale rządowej partyi, oczywiście tedy, ilekroć tylko stronnictwo rządzące zostanie zmuszonem do ustąpienia przez intrygi partyi przeciwnej, wszyscy urzędnicy, zamianowani przez rząd poprzedni, otrzymują bez wyjątku dymisyę, a na ich miejsce przychodzą stronnicy nowego rządu. Ponieważ jednak popyt na posady rządowe jest znacznie większym aniżeli liczba

rozporządzalnych posad, zdarza się zwykle, iż pewna liczba karyerowiczów, oczekujących na posady, takowych nie otrzyma, i jako „niezadowoleni“ natychmiast przechodzą do opozycyi, łącząc się ze stronnictwem, które przed chwilą jeszcze zwalczali. Ponieważ zaś przeciętny Brazylianin nie posiada żadnego fachowego wykształcenia, wszyscy oczywiście cisną się do żłobu jako kandydaci na urzędy publiczne. Stąd właściwszym aniżeli podział na „konserwatystów“ i „liberałów“, „republikanów“ czy „monarchistów“, „federalistów“ czy „centralistów“, byłby podział na takich co są przy żłobie i takich którzyby tam stanąć chcieli. W tem też leży istotny klucz do rozwiązania kwestyi przekonań politycznych liberałów i konserwatystów, którzy w miarę tego, czy są u steru czy nie, barwę swoją zmieniają.

Otóż wszyscy ludzie, niezadowoleni w aspiracyach swoich przez przyjaciół politycznych, zarówno konserwatywnych jak liberalnych, przyłączyli się do stronnictwa „historyczno-republikańskiego“ jako najgłośniejsi tego stronnictwa krzykacze.

Stronnictwo prowadziło ruchliwą propagandę; zwłaszcza po większych miastach, wśród armii i marynarki, w wojsku propaganda szerzyła się z wielką energią, przy udziale wyższych oficerów i profesorów szkół kadeckich. Liberalne ministerstwo wicehrabiego de Ouro Preto było zupełnie bezsilnem wobec republikańskiej agitacyi, gdyż podstawa państwa, wojsko i flota, wymówiły posłuszeństwo rządowi, zamiast bronić cesarza, wojska wyprowadzone z koszar zaczęły wołać: „precz z monarchią, niech żyje republika“. Minister wojny baron Ladario zaczął przemawiać za monarchią: rozległ się strzał i baron zraniony padł na ziemię. Była to jedyna krwawa ofiara doniosłego przewrotu. Zebrany na prędce komitet, złożony z dowódców wojska i floty, przedstawicieli rady miejskiej i wybitnych przywódców stronnictw, po krótkiej naradzie ogłosił proklamacyę Rzeczypospolitej.

Pułkownik Solon został wysłanym do rezydencyi cesarza w Petropolis, aby mu tę nowinę zakomunikować i prosić Dom Pedra o podpisanie wraz z następczynią tronu, księżniczką Izabelą, aktu zrzeczenia się tronu.

Sędziwy cesarz przyjął wiadomość spokojnie, a podpisując akt abdykacyi rzekł do wysłańca wojska: „Skoro lud pragnie Rzeczypospolitej, poddaję się jego woli i zrzekam się panowania w mojej ukochanej Brazylii; pułkowniku, oświadcz narodowi, iż życzę mu, aby pod rządem republikańskim był szczęśliwym“.

Tegoż dnia jeszcze ustanowiono rząd tymczasowy, na czele którego stanął marszałek Manuel Deodoro da Fonseca, ministerstwa obsadzono wyłącznie wojskowymi.

Nazajutrz, 16 listopada odjechał cesarz wraz z całą rodziną i szczupłem gronem wiernych przyjaciół do Europy. Odjechał po 42 letniem panowaniu, całe życie poświęciwszy podniesieniu i postępowi Brazylii. Odjechał, nie zostawiwszy za sobą osobistych nieprzyjaciół, bez środków do życia, które mu dopiero zapewnił parlament, zatwierdzając go w posiadaniu własnych, skromnych zresztą bardzo posiadłości. Przyznaną przez tenże parlament dożywotnią pensyę Dom Pedro stanowczo odrzucił. Tymczasowy rząd republikański rozpoczął od usunięcia wszystkich urzędników w całem państwie i obsadzenia urzędów przez „historycznych republikanów“, bez względu zresztą na ich kwalifikacye.

W kilku dniach wydał rząd cały szereg dekretów jak reforma sądowa, podwyższenie ceł, powszechne prawo wyborcze, obowiązkowa naturalizacya wszystkich cudzoziemców, oddzielenie Kościoła od państwa, śluby cywilne, autonomia prowincyonalna i t. d. Dekrety te miały znaczenie prowizoryczne aż do chwili ich zatwierdzenia przez parlament.

Dawne stronnictwo konserwatywne przyłączyło się bezwzględnie do „historycznych republikanów“. Stronnictwo liberalne przybrało nazwę „unii republikańskiej“, a z niezadowolonych powstało chwilowo efemeryczne stronnictwo „demokratyczne“, nie mające zresztą z demokracyą nic wspólnego. Rząd prowizoryczny rozpisał wybory do pierwszego parlamentu na podstawie powszechnego głosowania na dzień 15 września 1890. Każdy stan Rzeczypospolitej miał wybrać po trzech senatorów do Izby wyższej i po jednym pośle na każde 20.000 ludności do izby poselskiej, razem 60 senatorów i 124 posłów. Kongres

miał zamianować na przeciąg lat trzech pierwszego prezydenta i wiceprezydenta. Po upływie pierwszej kadencyi wybory prezydenta miały się odbywać bezpośrednio.

Wybory odbyły się pod presyą niepraktykowaną za czasów cesarstwa, a gubernatorowie poszczególnych stanów, przeważnie wojskowi, używali środków wprost niesłychanych. Listy kandydatów inne niż rządowe były niedopuszczalne, a wyborcy mieli jedynie prawo nie oddać swojej kartki, wszelkie zaś zmiany listy rządowej uznano za nieważne. Wybory wobec podobnej presyi wydały oczywiście samych „historycznych republikanów“; jedynie w południowych stanach, w których świeżo naturalizowani cudzoziemcy znaczny stanowili wśród wyborców kontyngens, udało się przemycić kilku opozycyonistów, przeważnie Niemców. Wybory były więc tylko pozorne, a rząd mianował posłów według swego uznania, tak samo jak urzędników. Przed wyborami jednak usunięto wiele wybitnych osobistości z czasów cesarstwa, skazując ich na wygnanie do Europy, przyczem na osłodzenie smutnego pobytu w Paryżu przyznano im wcale sute pensye.

Nowo „obrany“ parlament zebrał się w dniu 1 maja 1891; przedewszystkiem zatwierdził na pierwsze trzechlecie prowizorycznego prezydenta i wiceprezydenta i przystąpił do czynnej i owocnej pracy nad ułożeniem konstytucyi zasadniczej. Dalej uchwalono adres dziękczynny dla armii i floty, która sama jedna, bez udziału ludu, wywołała przewrót państwowy, wreszcie, uchwaliwszy pensye dla prezydyum, a dla siebie „skromne“ dyety poselskie po 75 milrejsów (podług ówczesnego kursu około 70 złr.), panowie posłowie po pięciomiesięcznej sesyi rozjechali się do domów.

Wybory do sejmów prowincyonalnych, rozpisane na 1 kwietnia 1891 r., odbyły sią tak samo jak do parlamentu, przy bardzo słabym udziale wyborców i równie silnej presyi rządowej. Wszędzie przeszli oczywiście stronnicy rządu. Po uchwaleniu zasad autonomii prowincyonalnej i wybraniu gubernatorów, sejmy odroczyły się do października.

W Rio tymczasem znalazło się wielu „n i e z a d o w o l o-

nych", aż wreszcie wniesiono w parlamencie projekt „prawa o odpowiedzialności", mocą którego wobec parlamentu za wszystkie czynności rządowe i ewentualne pogwałcenie konstytucyi odpowiadać mieli nie ministrowie lecz sam prezydent.

Prawo to w parlamencie przyjęto i w dniu 1 listopada 1891 r. przedłożono prezydentowi do sankcyi. Marszałek Fonseca na podobną niedorzeczność odpowiedział rozwiązaniem izby poselskiej.

W mieście zawrzało: posłowie, którzy utracili mandaty i nie byli pewni ponownego wyboru, okrzyczeli krok prezydenta za zamach stanu, dążący do zniesienia konstytucyi i zaprowadzenia dyktatury. Grono posłów i wyższych oficerów po krótkiej naradzie przesłało prezydentowi *ultimatum*, wzywające go do natychmiastowej abdykacyi pod groźbą bombardowania miasta. W istocie w dniu 23 listopada admirał Custodio de Mello rzucił trzy pociski armatnie na stolicę.

Widząc swoją bezsilność, marszałek Deodoro złożył urząd do rąk wiceprezydenta marszałka Floriano Peixoto. Chwila ta jest właściwym początkiem brazylijskiej rewolucyi, łatwość bowiem obalania niemiłych rządów była bardzo zachęcającą, a metoda, którą stosował admirał Mello, niezadługo przeciwko niemu samemu się zwróciła.

Dzienniki stołeczne w sążnistych artykułach wstępnych sławiły krok ten jako początek nowej ery. Era była istotnie nową, gdyż, jakkolwiek stronnictwo rządzące nie zmieniło się wcale, ministerstwo całe musiało się podać do dymisyi. W całem państwie rozpoczęło się znowu usuwanie gremialne dopieroco wybranych gubernatorów, a że nie wszyscy chcieli dobrowolnie ustąpić, usunięto ich gwałtem, przyczem nie obeszło się tu i ówdzie bez krwi rozlewu. Sejmy rozwiązano, mianując na ich miejsce tymczasowe Junty rządzące *(junta governativa)*; wszystkich urzędników znowu usunięto, zastępując ich nową falangą głodnych karyerowiczów. Prawo musiało ustąpić przed siłą, a próby zbrojnego oporu tego rodzaju gospodarce, jakie wybuchły w kilku stanach, stłumiono bagnetami. Admirał Mello był bohaterem dnia i wszedł jako minister marynarki do nowego

rządu. Dekret Fonseki, rozwiązujący Izbę poselską i odmawiający sankcyi ustawie o odpowiedzialności, został skasowany. Parlament obradował dalej, zapominając jednak o kardynalnej rzeczy, to jest, iż konstytucya wyraźnie zastrzegła, iż w razie ustąpienia lub śmierci prezydenta, wiceprezydent do 90 dni najdalej ma zarządzić wybór jego następcy. Przypomniano mu to w sposób nie bardzo miły, bo w formie manifestu, podpisanego przez 10 generałów i admirałów. W manifeście tym generałowie wzywali wiceprezydenta do natychmiastowego zarządzenia wyborów. Ponieważ życzenie to, jakkolwiek ściśle według brzmienia konstytucyi sformułowane, nie było po myśli rządu, marszałek Peixoto odpowiedział na manifest ogłoszeniem stanu oblężenia w stolicy i jej okręgu i deportacyą wszystkich autorów manifestu w głąb bagien Amazonki. Dnia 12 kwietnia wywieziono ich na miejsce wygnania do mieściny Cucuy nad granicą boliwijską. Kongres oddany całkowicie prezydentowi zatwierdził wyrok banicyjny, a nadto uchwalił zmianę konstytucyi w tym kierunku, aby nowe wybory zarządzić dopiero po upływie kadencyi urzędowania wiceprezydenta. Krok ten jednak nie znalazł aprobaty w senacie, który jednomyślnie uchwalił żądać ułaskawienia skazanych generałów, a Izba poselska po pewnem wahaniu się również do tej uchwały się przyczyniła. Wygnańcy wrócili do stolicy po czterech miesiącach niebytności. Peixoto podwyższył gażę oficerom, pragnąc ich sobie zjednać na wypadek rewolucyi ludowej.

Tymczasem na Południu, zwłaszcza w burzliwej prowincyi Rio Grande do Sul wrzało nieustannie. Kongres opozycyjnej „unii republikańskiej“, odbyty w mieście Bagé, nie uznał mianowanego przez rząd gubernatora Leite i ogłosił prezydentem stanu świeżo przybyłego z Europy wygnańca Gaspara Silveira Martinsa; postanowiono również z bronią w ręku bronić konstytucyjnych praw stanu Rio Grande. Uchwała powyższa była powodem bombardowania stolicy stanu Porto Allegre przez kanonierkę Marajo. W porto Allegre zmieniło się w przeciągu 8 miesięcy aż 15 gubernatorów. Dopiero dr. Juliusz Castillos utrzymał się dłużej i energicznie tłumić zaczął objawy niezadowole-

nia w wojsku, przenosząc oficerów i kadetów do dalekich pułków kresowych i przedsięwziąwszy cały szereg aresztowań i mordów politycznych w mieście.

Rząd związkowy wysłał do Rio Grande wszystkie rozporządzalne wojska, celem wzmocnienia granicy urugwajskiej, skąd spodziewano się lada dzień wkroczenia powstańców. Dziwną ironią losu, powstańcy nosili nazwę „federalistów“, jakkolwiek walczyli na prawdę o niepodległość południowych stanów, gdy wojska federalne idee federalizmu zwalczać miały obowiązek. Nazwy te jednak urzędowe mało były w użyciu, zastąpiono je przezwiskami: powstańcy rządowców nazwali *cascudos* od hełmów, jakie niektóre pułki nosiły, albo w przenośni „twardemi czaszkami“ ich zowiąc, drugą nazwę *picapau* (dzięcioły) nadano im dopiero podczas wojny, czyniąc aluzyę do lichego strzelania żołnierzy brazylijskich, którzy pukali tylko jak dzięcioły, nikomu nie robiąc szkody. Nawzajem rządowcy przezywali federalistów *Maragatos*.

Wódz rewolucyi Silveira Martins założył swoją główną kwaterę w Montevideo, skąd kierował organizacyą oddziałów zbrojnych, które się formowały i ćwiczyły na terytoryum urugwajskiem. Zaciągnąwszy w bankach Montevideo i Buenos Aires pożyczki pod zastaw swoich dóbr brazylijskich, komitet rewolucyjny zakupił zapasy broni i amunicyi, koncentrując formujące się oddziały zbrojne w miasteczku urugwajskiem Riviera, na samej granicy brazylijskiej. Na próżno brazylijski poseł domagał się od rządu w Montevideo położenia kresu rewolucyjnym agitacyom: rząd urugwajski, jawnie sprzyjający powstaniu, ani chciał, ani mógł życzeniu jego zadośćuczynić. Brazylijski prezydent ograniczył się jedynie do zdemontowania maszyn na kilku własnych wojennych okrętach, których lojalność niedość pewną mu się wydawała.

W stanie Matto Grosso wybuchła równocześnie rewolucya, na której stłumienie wysłano silną eskadrę. Eskadra ta wprawdzie nigdy do Matto Grosso nie doszła, a pancernik Bahia z 900 ludźmi załogi zatonął w pobliżu Montevideo, atoli, na samą wieść o zbliżającej się armadzie, powstańcy stchórzyli i pod-

dali się bez oporu wysłańcowi rządu, oczywiście za wyliczeniem pewnej sumy na rękę, czego, bawiąc przypadkowo podówczas na samej granicy w Paragwaju, byłem osobistym świadkiem.

W stanie Rio Grande do Sul gubernator Castillos sformował silne oddziały ochotnicze, w ogólnej sile około 5—7000 ludzi, pod dowództwem generała Isidoro. Razem z tymi oddziałami siły wojskowe rządu federalnego na południu wynosiły 10—12000 ludzi, rozrzuconych na całym obszarze bardzo długiej urugwajskiej granicy. We wszystkich stanach państwa rozpoczęto formacyę „patryotycznych batalionów“, sejmy stanów S. Paulo i Minas Geraes uchwaliły nawet kredyty kilkumilionowe na zwalczenie rewolucyi w Rio Grande.

Wojsko powstańcze w sile około 2.000 ludzi, przeważnie kawaleryi półdzikich gauchosów stepowych, przekroczyło granicę w pierwszych dniach lipca 1892 r., pod naczelnem dowództwem generała Gumercindo Saraiva.

Tymczasem, zupełnie niezależnie od tego ruchu na Południu, wybuchła rewolucya marynarki rządowej z czysto osobistych motywów, jak się niżej okaże. Początek dał jeden z odwołanych z wygnania admirałów, były minister marynarki w gabinecie Fonseki, admirał Vandenkolk, który, uzbroiwszy w Buenos Aires transportowy parowiec „Jupiter“, ukazał się w dniu 9 lipca 1892 r. na wodach brazylijskich. W krótkim przeciągu czasu przyłączyło się do niego 11 innych okrętów zbrojnych, pomiędzy nimi kilka statków wojskowej marynarki. Odwaga jednak admirała Vandenkolka nie wystarczała do stoczenia bitwy, gdyż cała jego z 12 okrętów złożona flota poddała się bez wystrzału korwecie „Republica“, wysłanej przeciwko niemu przez rząd federalny.

Na parę tygodni przed wzięciem do niewoli Vandenkolka, rozegrała się w Rio Janeiro prawdziwie operetkowa rewolucya: Sierżant artyleryi fortecznej, nazwiskiem Sylvino, stacyonowany w forcie Santa Cruz, strzegącym wejścia do zatoki, pewnego pięknego poranku pozamykał wszystkich oficerów do kazamatów i wysłał do prezydenta Peixoto list, wzywający go, zupełnie tak samo jak niegdyś admirał Mello, do abdykacyi w ciągu 24 go-

dzin, grożąc w przeciwnym razie bombardowaniem miasta. Posłano doń pełnomocnika dla układów, ale czy za mało mu dawano, czy też sierżant na prawdę był tak zawzięty, układy spełzły na niczem i Sylvino rozpoczął kanonadę na stojące w porcie okręty wojenne, które mu ogniem działowym odpowiedziały. Skutek tej kanonady był żaden, dopiero atak batalionu piechoty od strony lądu oddał twierdzę wraz z ciężko rannym sierżantem Sylvino w posiadanie prawowitej władzy. Uczestników tej operetkowej rewolucyi potrzymano kilka dni w areszcie i puszczono wolno, rannych odesłano do wojskowego szpitala.

W Rio Grande do Sul tymczasem wojowano na seryo. Federaliści opanowali kilka ważnych punktów strategicznych. Drobne utarczki powtarzały się niemal codziennie z niewyraźnym skutkiem, gdyż zazwyczaj obie strony zwycięstwo sobie przypisywały. Wogóle jednak wojska rządowe cofały się coraz dalej przed następującymi na nie od strony granicy powstańcami. W dniu 27 marca 1893 r. federaliści odnieśli pierwsze większe zwycięstwo pod Alegrete, rozproszywszy lub wziąwszy do niewoli 1000 ludzi wraz z dowódcą, pułkownikiem Santos. Po tej porażce dowódca wojsk związkowych zaproponował powstańcom zawieszenie broni, którego nie przyjęto. Trudność powstrzymania najazdu federalistów rosła z dniem każdym. W połowie kwietnia odjechał na plac boju sam minister wojny, generał Monza, z silną eskortą oraz znacznymi zapasami broni i amunicyi. Miasta portowe na Południu zostały silnie ufortyfikowane dla obrony od ewentualnego napadu tak od strony lądu jak morza. Powstańcy zyskiwali coraz szersze uznanie i pomoc w broni, pieniądzach i ludziach. Między innemi niejaka Don Gabriela, 30-letnia interesująca wdówka po obywatelu ziemskim, zabrała wszystkie swoje stada za granicę, ofiarując takowe generałowi rewolucyjnemu Joca Tavares, nadto wypłaciła całoroczny żołd siedmnastu parobkom swoim, wcielając ich do armii powstańczej; 11.000 milrejsów w srebrze i wszystkie klejnoty ofiarowała dzielna kobieta, mszcząca się za śmierć męża, zamordowanego przez rządowców, generałowi jazdy Joca Tigre, i sama,

nie zmieniając kobiecych sukien, pozostała przy nim w roli adjutanta.

Wojna w Rio Grande nie mogła się nie odbić również na stanach sąsiednich Santa Catharina i Parana. W Santa Catharina rzeczy rozpoczęły się jak gdzie indziej od usunięcia przez Peixota wybranego przez sejm prowincyonalny gubernatora Millera, który ustąpił jedynie przed siłą i wyjechawszy do Blumenau, zgromadził tan malkontentów, przeważnie Niemców. Niebawem z Blumenau wydano proklamacyę, nieuznającą nowego gubernatora, młodziutkiego porucznika Machado, mianującą gubernatorem niejakiego Hercilio Luz, i przenoszącą stolicę stanu z Desterro do Blumenau. Machado odpowiedział wysłaniem oddziału 200 żołnierzy dla przywrócenia porządku. Niemcy przywitali wojsko karabinowym ogniem, rozproszyli oddział, a nadto ruszyli zbrojno na Desterro, i, zdobywszy je bez oporu (załoga miejscowa czekała na instrukcye z Rio), wygnali porucznika Machado i osadzili w stolicy Hercilia Luz. Panował on jednak tylko 4 dni. Po upływie ich komendant załogi poradził mu, aby sobie szczęśliwie do Blumenau wrócił. W miesiąc później cała kompania była już po stronie rządu Peixota; wszystkich uczestników blumenauskiej rewolucyi, pomiędzy którymi było też sporo naszych chłopów, amnestyonowano.

W Rio Janeiro wybuchło tymczasem przesilenie ministeryalne, w Pernambuco siedziało obok siebie aż dwóch gubernatorów, w Bahii znowu powstanie jakiejś sekty religijnej. Przesilenie ministeryalne zakończyło się ustąpieniem ministra finansów Correia i znanego już czytelnikowi ministra marynarki, głównego poplecznika Peixotowskich rządów, admirała Custodio de Mello. Ruch rewolucyjny przybrał tak szerokie rozmiary, iż rozciągnięto stan oblężenia na stolicę i kilka stanów południowych.

Usunięci ministrowie natychmiast przeszli do rewolucyi. Admirał Mello udał się na pokład admiralskiego pancernika *Aquidaban* i stamtąd wydał manifest, wzywający wiceprezydenta republiki, marszałka Floryana Peixoto do natychmiastowego złożenia swego urzędu do rąk swego zastępcy, doktora Prudente de

Moraes. W przeciwnym razie cała flota wojenna stojąca w porcie przejdzie do powstania i będzie dopóty ostrzeliwała miasto, aż życzeniu jej nie stanie się zadość. Do tej rewolucyi marynarki przystąpiły bezzwłocznie okręty wojenne: Aquidaban, Javarý, Republica, Tamandare, Trajano, Marcilio, Dias, Nictherohý, Marajo, Sete de Setembro, Liberdade i Guanabara. Oprócz nich wciągnięto do floty powstańczej parowce przewozowe prywatnych towarzystw „Lloyd Brasileiro“ i „Frigorifica“, w liczbie 11, oraz parowiec „Curityba“, należący do hamburskiego towarzystwa żeglugi. Dnia 8 września pokaźna ta flota rozpoczęła istotnie bombardowanie Rio Janeiro, które, nie przynosząc wielkiej nikomu szkody, trwało z małemi przerwami blizko pół roku; z jednej bowiem strony Peixoto ustąpić nie chciał, z drugiej znów flota powstańcza nie zapewniwszy sobie fortów, broniących wejścia do przystani, została tam zamkniętą aż do wyczerpania zapasów amunicyi i żywności. Z fortów miejskich jeden tylko fort Villeguignon oświadczył się po stronie powstania, 11 innych, a między niemi najważniejsza twierdza Santa Cruz, pozostały wierne rządowi.

Nie zważając na ogień fortów, admirał Mello w dniu 17 września wysłał kapitana Loreno z dwoma krzyżowcami i jednym torpedowcem do Sta Catharina. Okręty te szczęśliwie sforsowawszy fort Sta Cruz, którego artylerzyści licho zresztą strzelali, stanęły w dniu 21 września przed fortem Sta Anna, broniącym niby przystępu do Desterro; stare jednak armaty z przodu nabijane nie na wiele się przydały, i nazajutrz miasto kapitulowało, oddając powstańcom dwa parowce wojenne i kilka holowników. Część załogi przeszła do powstania. Opanowawszy następnie porty w Sao Francisco i Itajahý, powstańcy ogłosili w Desterro utworzenie nowego prowizorycznego urzędu Stanów Zjednoczonych Brazylii pod przewodnictwem wspomnianego kapitana Lorena. Rząd ten uznali również powstańcy w Rio Grande do Sul. Wkrótce wtargnęły do Santa Catharina wojska powstańcze z południa i po kilku bitwach wyparły wojska rządowe.

Ruch rewolucyjny zbliżał się do Parany, rząd przedsięwziął przeto energiczne środki dla obrony wybrzeża i zatoki

w Paranagua. Pomiędzy oficerami rządowymi wysłanych tam z Rio Janeiro oddziałów, znaleźli się w przykładnej zgodzie obaj byli gubernatorowie Sta Cathariny: Dr. Miller i Hercilio Luz, pogodzeni już z rządem Peixota. Port w Paranagua uzbrojono działami Kruppa. W całym stanie Parana formowano gwałtem oddziały gwardyi narodowej, wciągając do nich bezprawnie nienaturalizowanych kolonistów europejskich. Pomiędzy innemi taka przymusowa branka miała być zarządzoną w koloniach polskich S. Mateus i Rio Claro. Dzięki energicznemu oporowi kolonistów nie przyszła ona do skutku, ale pociągnęła za sobą przyłączenie się małego oddziału polskiego do armii powstańczej. Dowódca sił rządowych, obwarowawszy Paranaguę, z resztą wojska oszańcował się w miasteczku Lapa, na południe od Kurityby położonem.

W Rio Janeiro tymczasem nieszkodliwa strzelanina trwała dalej, tylko liczba okrętów powstańczych topniała coraz bardziej, gdyż coraz to inny parowiec pod osłoną pancernika Aquidaban wymykał się przez krzyżowy ogień fortów. Pancernik i 5 innych parowców transportowych dostało się szczęśliwie do Desterro. Na naradzie wojennej tam odbytej postanowiono zaatakować Paranę. Dwie kolumny powstańcze wtargnęły też istotnie: jedna pod dowództwem generała Gumercindo Saraiva przez Tijucas, druga pod dowództwem pułkownika Doria przez S. Bento.

W Rio Janeiro komendę nad pozostałą flotą powstańczą objął w dniu 10 grudnia 1893 r. admirał Saldanha de Gama, dyrektor szkoły marynarki, ostrzeliwając dalej miasto bez żadnego skutku.

Wraz z świeżo sformowanymi oddziałami ochotników i gwardyi narodowej siły rządu federalnego wynosiły w tym czasie około 14.000 ludzi. Dnia 10 grudnia 1893 r. wkroczyły wojska powstańcze do Rio Negro, w granice stanu Parana, rozrzucając wszędzie manifest pułkownika Dorii, wzywający do łączenia się z rewolucyą.

Dnia 1 stycznia 1894 r. ukazała się flota powstańcza przed Paranaguą, a sama jej obecność wywołała panikę wśród załogi. Panika stała się straszliwą wskutek zdrady pułku artyleryi, strze-

gącego bateryj portowych, który skierował działa nie na nieprzyjaciela lecz na miasto. Ponieważ jednak flota powstańcza znikła z oczu, artylerzyści poddali się wkrótce. Dopiero 15 stycznia pojawiły się powstańcze okręty znowu; po zaciekłej walce, trwającej aż do późnej nocy, zdobyto miasto, biorąc do niewoli całą załogę, a zdobycz ich wynosiła 8 armat i ogromne zapasy broni i amunicyi.

Na lądzie generał Gumercindo odniósł walne zwycięstwo nad wojskami związkowemi w dniu 16 stycznia. Po czterodniowej walce pod Tijucas zdobyto ostatnie szańce, a około 1.000 jeńców, 4 armaty Kruppa i wielkie zapasy amunicyi wpadły w ręce powstańców.

Na wieść o tych zwycięstwach, gubernator Kurityby uciekł spiesznie do Sao Paulo.

Dnia 19 stycznia 1894 r. wkroczyły wojska federalistów do Kurityby, witane z zapałem przez mieszkańców. Na kilka dni przedtem powstańcy zdobyli po 26-dniowem oblężeniu miasteczko Lapa, w którem zginął dowódca sił zbrojnych Parany pułkownik Carneiro, a 500 ludzi dostało się do niewoli. Walka pod Lapą należała do najbardziej zażartych, a widziałem jej ślady niezatarte jeszcze we dwa lata później.

Rozbicie wojsk rządowych w Paranie ośmieliło powstańców do wyruszenia w zwycięskim pochodzie swoim dalej na północ do stanu S. Paulo. W tym celu sformowano oddziały ochotnicze z kolonistów europejskich, pomiędzy innymi także oddział polski pod dowództwem nominalnem Antoniego Bodziaka, kupca z S. Mateus, rzeczywistem zaś S. Kosmińskiego, nauczyciela z tejże miejscowości i byłego oficera austryackiego. Z mieszkańców stanu ściągnięto na cele wojenne kontrybucyę w wysokości 800.000 milrejsów.

Ponieważ rząd związkowy od chwili buntu marynarki pozostawał bez floty, a admirał Saldanha wciąż jeszcze bombardował stolicę, marszałek Peixoto wytężył wszystkie siły na zgromadzenie nowej eskadry wojennej i w tym celu telegraficznie polecił posłowi brazylijskiemu w N. Yorku zakupienie i uzbrojenie kupieckich parowców likwidującej się właśnie kompanii

żeglugi „Flint et Co“. Okręty te zgromadziły się w Pernambuco w połowie lutego 1894 r. Dowództwo nad nimi objął admirał Bento Gonzalvez. Flotyla ta, złożona na prędce z uzbrojonych krzyżowców, składała się z 13 okrętów i kilku torpedówek, które jednak potrzebowały jeszcze wiele czasu, aby uzupełnić swoją załogę i być zdatnemi do walki. Admirał powstańczy Saldanha de Gama, widząc kres swój niedaleki, zaryzykował rozpaczliwy atak z 600 ludźmi na silne pozycye arsenału w Nicterohy, bronione przez 5.000 dobrze uzbrojonych ludzi. Atak się nie powiódł i admirał po krwawej bitwie cofnął się na okręty. 12 marca 1894 r., prezydent Peixoto zawiadomił dowódzców obcych okrętów stojących w porcie, iż nazajutrz rozpocznie ogień ze wszystkich bateryj na flotę powstańczą. Z chwilą rozpoczęcia zapowiedzianego ognia działowego admirał Saldanha, przekonany o niemożności dalszej obrony dla braku amunicyi, wody i żywności, udał się wraz z 80 oficerami i 500 ludźmi załogi na pokład portugalskich okrętów wojennych „Mindello“, „Alfonso Albuquerque“ i „Vasco de Gama“, zagwoździwszy uprzednio działa i zatopiwszy okręty własne. Pozostałych rannych i chorych żołnierzy oddał pod opiekę angielskiego parowca „Sirius“, resztę umieszczono w szpitalu polowym na wyspie Mocangue, pod angielską flagą. Tego samego dnia opuściły okręty portugalskie port Rio Janeiro, udając się do Buenos Aires, gdzie powstańców wysadzono na ląd, co spowodowało nawet zerwanie stosunków dyplomatycznych z Portugalią.

Odtąd gwiazda przyświecająca dotychczas powstańcom gasnąć zaczyna. Przywódcy rewolucyi w Paranie opuścili nagle Kurytybę, odjeżdżając do Buenos Aires. Wojska generała Gumercindo stały długo bezczynne, gromadząc konie potrzebne do dalszego marszu; projektu atakowania S. Paulo zaniechano, a w końcu marca wojska federalistów rozpoczęły odwrót do Rio Grande, ścigane krok za krokiem przez silne oddziały świeżo z północy przybyłych wojsk rządowych. 28 marca flota powstańcza opuściła porty w Paranagua i Desterro, a po nieudanej próbie wylądowania w Rio Grande do Sul, odpłynęła do Buenos Aires, gdzie ją rząd argentyński przyaresztował. Dnia 20 kwietnia przy-

były do Desterro okręty rządowe, rząd prowizoryczny uciekł i legalny porządek rzeczy przywrócono.

Odwrót federalistów do Rio Grande z Guarapuava, przez lasy, gdzie nawet ścieżek dla pieszych nie było, należy do arcydzieł strategicznych. Raz jeden tylko federaliści wpadli w pułapkę przy przeprawie przez rzekę w Passo Fundo; bohaterska obrona brodu przez garstkę polskich ochotników ocaliła ich jednak od pogromu. Połowa oddziału legła trupem, major Kosmiński ciężko ranny życie sobie odebrał, ale epizod ten postawił lekceważonych przedtem Polaków w tak wielkiej estymie, że kiedy jedyny Polak, walczący po stronie rządowej, adjutant ministra wojny, Roman Jackowski dostał się do niewoli federalistów, zjeżdżali się ludzie dziesiątki mil oglądać prawdziwego Polaka. Pułk polski, liczący zaledwie 50 ludzi, prawda, przeważnie weteranów z rosyjsko-tureckiej wojny, stał się legendarnym i urósł w opowieściach do rozmiarów kilkutysięcznego korpusu, na którego imię pierzchały oddziałki rządowe.

Generał Gumercindo Saraiva nie dawał za wygraną i ucierał się z wojskami Peixota przez cały kwartał, 10 sierpnia 1894 zginął od zbłąkanej kuli podczas rekonesansu, a z nim razem zeszła do grobu idea, za którą walczył. Brat jego Apparicio, ścigany nieustannie przez wojska rządowe, wśród niesłychanych trudów, ginąc z głodu i wycieńczenia, wyprowadził resztę wojsk powstańczych do Argentyny. Pokój zawarto ostatecznie dopiero w sierpniu 1892 r.

Rewolucya Riograndeńska ma jednak poważniejsze podstawy, aniżeli bezmyślne wojskowe „pronuncyamenta“, jakie widzieliśmy w Rio Janeiro, wśród rozpolitykowanych, łakomych rządowego kołacza karyerowiczów. Wre tam od dawna nienawiść do plantatorskich stanów północnych. Lud tu dzielny i bitny, nawpół hiszpański, z półdzikich złożony gauchosów, fanatycznie przywiązany do swojej ojczyzny, za którą bynajmniej nie uważa federacyi brazylijskiej. W roku 1835 Riograndeńczycy wywalczyli byli już sobie niezależność, a republika Riograndeńska istniała przez lat 11. Pamięć o tem nie wygasła bynajmniej, a sprzeczne interesa ekonomiczne i coraz silniej rozradzający

się w Rio Grande element europejski stanowią silną podnietę do antagonizmu z plantatorskimi stanami północy, produkującymi kawę i... urzędników, nic nie umiejących ale przedewszystkiem głodnych, chciwych, okrutnych i nienawidzianych przez południowców. Niechęć ta do arystokratycznych prowincyj północnych dawniej tlejąca w samem tylko Rio Grande do Sul, dzisiaj rozszerzyła się na trzy stany południowe, całość tak dalece odrębną od pozostałej Brazylii, że trudno wierzyć, żeby to się razem trzymać miało. Oderwanie się tych stanów południowych od reszty Brazylii jest tylko rzeczą czasu, a trzy narodowości dzisiaj tam terytoryalnie rozgraniczone, tj. Polacy, Niemcy i Włosi, wspólne mają dążności i wspólne interesa, wręcz sprzeczne z interesami plantatorów w Rio Janeiro, a najlepszym dowodem, że nie chodziło im, jak zbuntowanej flocie, tylko o osobę prezydenta, lecz o niezależność polityczną, jest okoliczność, iż nie złożyli broni przez cały rok po ustąpieniu marszałka Peixota i objęciu rządów przez legalnie obranego i przez wszystkie stany uznanego prezydenta dr. Prudenta da Moraes. Riograndeńczycy nie chcą mieć wogóle nic wspólnego z Rio Janeiro i, dopóki niezależności lub przyłączenia do jednoplemiennego z nimi Urugwaju nie osiągną — rewolucye trwać i powtarzać się tam jeszcze długo będą.

Dr. Józef Siemiradzki.

OSTATNIE LATA BENEDYKTYNÓW W TYŃCU.

PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW WSZECHNICY JAGIELLOŃSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Pierwszy Niemiec, który w Krakowie został r. 1802 mianowany profesorem teologii pastoralnej był ks. Andrzej Zeisl, pochodzący ze Śląska.

Ks. Zeisl był proboszczem w Inwałdzie (w Zachodniej Galicyi) i wnosząc podanie o katedrę pastoralnej do gubernatora Zachodniej Galicyi popierał ją tem, że przez 8 lat pracował jako katecheta przy szkołach normalnych, i że ma jak najlepsze świadectwa, nietylko od władzy szkolnej, ale i od naczelników powiatów w Tarnowie i Stanisławowie. Następnie był 8 lat plebanem w Inwałdzie, miał więc sposobność nabrania praktyki pasterskiej, a dostawił pochlebne świadectwa dziekana i biskupa. Przytem posiadał znajomość języka krajowego (polskiego), potrzebnego dla tejże katedry; złożył konkurs w liceum w Ołomuńcu. Brakło mu tylko rygorosum, ale gotów był je złożyć w jakim uniwersytecie austryackim. Przytem oświadczał gotowość objęcia tej katedry jako suplent, byle miał zapewnioną pensyę przyzwoitą, zarazem dodając, że zamierza wykładać swój przedmiot nie po trzy godziny tygodniowo, wedle dotychczasowego zwyczaju w Krakowie, lecz że będzie wykładał po dwie godziny codziennie, jak to jest we zwyczaju po innych uniwersytetach austryackich.

Gubernator Zachodniej Galicyi hr. Trautmansdorf dał od-

powiedź ks. Zeislowi, że pensye profesorów teologii w Uniwersytecie krakowskim wynoszą tylko 500—600, a najwięcej 700 f. rocznie, żądał przeto oświadczenia, czy na takiej pensyi poprzestanie?

Na to odpowiedział ks. Zeisl, że przecie cesarz przyznał profesorom humanistycznym pensyę 500 f. oraz 100 f. dodatku na mieszkanie, więc zapewne prefesorowi teologii wyznaczy więcej. Prawda, że profesorowie substytuowani pobierali tylki po 500 f. rocznie, ale wykładali też tylko po 3 godziny tygodniowo, on zaś zamierza wykładać trzy razy tyle godzin. Ponieważ zaś ordynaryusze uniwersyteccy pobierają 1500 f. rocznie, więc przez wzgląd na to, że jako proboszcz obecnie ma większy dochód, a w Krakowie wobec wielkiej drożyzny z tak małej pensyi nie mógłby wyżyć, prosił aby mu wyznaczono rocznej pensyi 1000 f., licząc już w to dodatek na mieszkanie.

Ta prośba znalazła przychylne poparcie w gubernium Zachodnio-Galicyjskiem, zwłaszcza dlatego, że ks. Zeisl dał się był poznać rządowi przez operat: „o uregulowaniu seminaryum dyecezalnego i jeneralnego“, który przesłany został cesarzowi. Również używany był ks. Zeisl jako komisarz rządowy przy regulowaniu seminaryów w Zachodniej Galicyi, i okazał przy tej sprawie „chwalebną gorliwość i zdolność“. Ponieważ zaś odebrał wychowanie w seminaryach niemieckich, więc przypuszczano z góry, że „posiada należyte zrozumienie potrzeb nauczania alumnów duchownych“. „Tutaj bowiem w kraju chodzi głównie o to, żeby do urzędów nauczycielskich byli przypuszczani ludzie, znani z przywiązania do państwa, co właśnie u profesora teologii pastoralnej najwięcej wchodzi w rachubę, dlatego, że tutejszy kler wcale jeszcze nie zdradza takich patryotycznych uczuć, jakichby się po nim miało prawo spodziewać“ [1]. Nie można więc zrobić szczęśliwszego wyboru na profesora pastoralnej, zwłaszcza, że dekret cesarski z 26 listopada

[1] Arch. M. W. i O. Konwolut II., jedyny akt bez sygnatury, reszta widocznie „wyskartowana“. Krakau 12, III, 1802. „als der hierländige Klerus noch keinerdings jene patriotische Gesinnung äussert, die man von demselben zu erwarten berechtigt wäre“.

1801 (L. 3053—1262) zalecał, „żeby gubernium zwracało główną, ścisłą i nieprzerwaną baczność na moralne wykształcenie duchownych alumnów".

Z tych powodów proponował hr. Trautmansdorf, żeby ks. Zeislowi ze względu na to, że fundusz naukowy krakowski jest bardzo bogaty, a w Krakowie panuje drożyzna, przyznać 800 f. pensyi a 200 f. dodatku na mieszkanie.

Mimo to wszystko, gubernium Wschodniej Galicyi we Lwowie było innego zdania i tak wysokiej pensyi nie przyznało ks. Zeislowi.

Radca gubernialny Hofrat Reichmann znalazł też inną drogę wyjścia, żeby był i wilk syty i koza cała, a w myśl jego propozycyi wyszedł dekret ze Lwowa do gubernatora Zachodniej Galicyi d. 22 kwietnia 1802 r. Powiedziano tam, że profesorowie teologii we Lwowie mają także tylko po 500 f. rocznej pensyi, a jakkolwiek być może, że Naj. Pan przeznaczy profesorom teologii w Krakowie wyższe pensye, to jednak od 500 do 1000 jest zbyt wielki skok. Ks. Zeisla trzeba wprawdzie mianować profesorem dlatego, że sprawa połączenia (*Zusammenziehung*) i naprawy seminaryów krakowskich już się rozpoczęła, a niektórzy z alumnów już w tym roku rozpoczną ostatni kurs teologii, wszelako jest na to inny sposób wyjścia, t. j. zostawić ks. Zeislowi probostwo w Inwałdzie, gubernium postara mu się o wikaryusza, w czasie wakacyj może sam do Inwałdu dojeżdżać, a po roku może otrzymać remuneracyę.

W takim stanie zastał ks. Dankesreither wydział teologiczny w Krakowie, a pierwszą rzeczą jego było dać dymisyę polskim profesorom. Ks. Zeisla oddalić nie myślał, dlatego, że żaden z Benedyktynów z Wiblingen katedry tej objąć nie mógł, bo po polsku mówić nie umieli. Wszelako z obsadzeniem innych katedr była także jeszcze ta trudność, że Benedyktyni niektórzy już byli objęli urzędy w innych miejscach i od razu uwolnić się nie mogli od nich.

Wszystkiemu jednak zaradził ks. radca i najpierw urządził mieszkanie dla 8 Benedyktynów w *Collegium minus*. Trzech z nich t. j. O. Wiktora Locher mianował dla uczniów filozofii profeso-

rem t. zw. *Religions-Wissenschaft;* O. Kolumbana Deigele mianował katechetą w gimnazyum, a O. Henryka Enderle profesorem gramatyki. W dniu 9 listopada odprawił w kościele uniwersyteckim wotywę o Duchu Św. *(das hl. Geistamt)*, zgromadziwszy senat akademicki i wszystkich profesorów, powiedział łacińską mowę i przedstawił trzech nowych profesorów.

Ponieważ zaś przybycia reszty Benedyktynów nie mógł się w Krakowie doczekać, więc wygotował tylko dla nich nominacye i polecił prowizorycznemu dyrektorowi i rzeczywistemu dziekanowi wydziału teologicznego ks. Markiewiczowi, żeby ich w urząd wprowadził.

Stało się to 25 listopada. Objęli wtedy wykłady: O. Grzegorz Ziegler, dogmatyki i historyi kościelnej; O. Ulryk Meisterle, teol. moralnej, a brat Marcin Altegger jako tymczasowy asystent, objął wykłady studyum biblijnego Starego i Nowego Testamentu. Wyręczył go następnie O. Roman Hängerle, skoro się zwolnił z urzędu profesora studyum biblijnego w Salzburgu.

Umieściwszy Benedyktynów w *Collegium minus*, urządziwszy im refektarz i zaopatrzywszy ich we wszelkie potrzeby, chciał jeszcze dla reszty obmyślić pomieszkanie. Potrzeba go mianowicie było dla opata, który miał jako dyrektor wydziału, częściej przebywać w Krakowie; nadto dla 6 profesorów teologii, 6 profesorów gimnazyalnych, dla prefekta i katechety w klasach filozofii, nie mówiąc nic jeszcze o przyszłych profesorach filozofii, i prefektach konwiktu, który miał być założony i akademii terezyańskiej, która ze Lwowa miała być przeniesiona do Krakowa. Jednem słowem: trzeba było umieścić 15 zakonników.

Doskonale nadawały się do tego dwa obszerne pomieszkania w *Collegium Jagellonicum*, zajmowane przez emerytowanych profesorów: ks. Kolendowicza i Bogdanowicza. Ks. Dankesreither kilkakrotnie też kołatał do ich drzwi, żeby im wytłumaczyć jak koniecznie im wypada mieszkań swoich ustąpić Benedyktynom, ale zawsze zastawał ich dzwi zamknięte i zawsze mu oświadczano, że mieszkańcy wyjechali. Można było ich wprawdzie po prostu wyrzucić, ale ks. Hofrat nie chciał gwałtownie sobie po-

czynać, żeby przez to jeszcze bardziej nie przymnażać niechęci, okazywanej przybyszom.

Łatwiej poszła rzecz z kościołem św. Anny. Oddać go Benedyktynom na własność nie można było w drodze krótkiego rozporządzenia, bo na to nie byłby się zgodził proboszcz kolegiaty, emerytowany profesor, ks. Bonifacy Garycki, ale znalazł się powód do urządzenia osobnego nabożeństwa niemieckiego.

Ks. Dankesreither otrzymał bowiem w Krakowie dwie prośby o urządzenie osobnej parafii niemieckiej, a przynajmniej nabożeństwa niemieckiego. Jedną wręczyła mu deputacya kupców, a drugą wiceburmistrz Gallmayer i to imieniem magistratu i „całej gminy niemiecko-katolickiej". Deputacya żaliła się, że niemieccy katolicy wcale nie miewają kazań od czasu, gdy gimnazyalny nauczyciel ks. Frank, który z własnej chęci miewał niemieckie kazania u św. Barbary, wyjechał na probostwo. Z tego powodu polecił ks. Dankesreither Benedyktynom, żeby co niedzielę i święto miewali w kościele św. Anny kazania niemieckie, Mszę św. z wystawieniem *(eine Segenmesse)*, z „niemiecką pieśnią normalną" t. j. przepisaną przez ces. Józefa II. Nabożeństwo to zaczęło się z polecenia ks. Hofrata odbywać z pierwszą niedzielą adwentową 1806 r. i wszystko byłoby bardzo dobrze i gładko poszło, gdyby nie to, że polskie duchowieństwo nie bardzo przychylnie na to niemieckie nabożeństwo patrzało. Większą jednak przeszkodę stanowiło to, że w kościele św. Anny jako parafialnym i kolegiackim, odbywało się nietylko nabożeństwo parafialne, ale przytem jeszcze „najrozmaitsze, w Krakowie dotąd będące we zwyczaju, ale dla Niemców bardzo obce nabożeństwa" *(mannigfaltigsten in Krakau noch allgemein üblichen, für Deutsche sehr fremden Andachten)* i nadto śpiewali w chórze świeccy śpiewacy. Z tego powodu zaczęli się Benedyktyni użalać i ks. Dankesreither, chcąc nie chcąc, musiał się zwrócić do biskupa, z którym dotąd tylko ustnie się był porozumiał w sprawie tego nabożeństwa. Ordynaryat wyznaczył też osobną godzinę dla niemieckiego nabożeństwa, ale i to nie poskutkowało, bo zwykle inne nabożeństwa o tej samej godzinie trafiały się w kolegiacie i wynikały stąd ustawiczne kolizye.

Gniewało to ks. Hofrata i dlatego proponował nadwornej kancelaryi, żeby kościół św. Anny zabrać i oddać Benedyktynom jako beneficyum zakonne *(regulare)*.

Do tej operacyi nastręczała się dobra okazya w tem, że proboszcz św. Anny, ks. Bonifacy Garycki, miał jeszcze dwa inne probostwa tj. Zielonki pod Krakowem i Stary Korczyn w obwodzie kieleckim. Skoro więc ma aż trzy beneficya, to powinnaby nadworna kancelarya wziąć tę sprawę pod bliższą rozwagę — tak radził ks. Hofrat.

Ks. Dankesreither miewał zawsze na usługi jeneralnego wikaryusza w Krakowie ks. Zglenickiego i bardzo go też chwali, że mu zawsze dostarczał wszelkich potrzebnych wyjaśnień. Dowiedział się więc, że parafia św. Anny ma 300 dusz, że probostwo przynosi wedle fasyi z r. 1802 rocznie 314 f. 20 kr. i że kolegiata ta nie zostanie skasowana przy „regulacyi“, która właśnie wtedy była w toku. — Nawiasem mówiąc: skutkiem tej „regulacyi“ skasowano 3 kolegiaty, a zamknięto 16 kościołów w Krakowie. — Bardzoby więc pięknie było, gdyby ta parafia oddana została Benedyktynom. Prawda, że parafianie byli Polacy, a Benedyktyni Niemcy po polsku nie umieli, ale i na to miał ks. Hofrat radę, bo proponował, że możnaby którego polskiego zakonnika z Tyńca przybrać do pomocy niemieckim Benedyktynom.

Oprócz tego miał jeszcze Dankesreither polecenie obmyśleć w Krakowie jaki budynek, gdzieby mógł być pomieszczony konwikt dla 100—150 chłopców, oraz akademia terezyańska, która istniała dawniej we Lwowie, a teraz miała być przeniesiona do Krakowa. Spełniając to polecenie, radził umieścić konwikt w budynku „Bursa Mieszkiewicziana“, który dałby się łatwo połączyć z przyszłym budynkiem uniwersyteckim tj. *Collegium physicum*.

Przy tej sposobności dowiadujemy się ze sprawozdania ks. Dankesreithera, że w Tyńcu istniał także konwikt dla chłopców, opłacających utrzymanie. Byli to uczniowie klasztornej szkoły głównej normalnej. Oczywiście konwikt był tyle wart, co i wszystko inne za polskiego gospodarstwa w opactwie i ks.

Dankesreither wyrażał przekonanie, że dopiero nowy opat urządzi go wedle przepisów *(vorshriftsmässig)*.

Co się tyczy Teresianum, proponował ten zakład umieścić w pojezuickiem kolegium przy św. Piotrze, gdzie pod ten czas sąd *(Justitzstellen)* się mieścił. — Dodajemy tu nawiasem, że Marya Teresa poleciła założenie tej akademii we Lwowie odręcznem pismem do hr. Wrbna 20 września 1774. Drugi z rzędu gubernator galicyjski hr. Auersperg miał się wywiedzieć o jakich „dobrze usposobionych“ rodzinach szlachty i magnatów, któreby synów swoich chciały oddać na wykształcenie w tejże akademii. Jako fundusz na utrzymanie akademii przeznaczyła ces. Marya Teresa 100.000 f. rocznie, które z dochodów Galicyi i Lodomeryi do swojej dyspozycyi zatrzymała. Sumę tę stanowił fundusz pojezuicki [1].

Trzeba przyznać ks. Dankesreitherowi, że misyę, z którą był wysłany do Krakowa, spełnił dobrze i szybko, a przytem i oszczędnie, bo dano mu zaliczki 2600 f., a z tego oszczędził jeszcze 86 f. 23 kr., na co otrzymał pokwitowanie z ogólnej kasy kameralnej *(Universal-Kameral-Zahlamt)* 15 stycznia 1807 r. Jednego tylko nie trzymał się polecenia tj. nie sprowadzał żadnych potrzeb z Wiednia, Berna i Ołomuńca, tylko kupował i zamawiał wszystko w Krakowie, a to dlatego, że obliczywszy dokładnie koszta transportu z owych miast, przekonał się, że na miejscu taniej można było wszystko sprawić.

Każdemu musi podpaść, że ks. Hofrat poczynał sobie w Krakowie zupełnie samowładnie. W sprawie nabożeństwa, które dla Niemców-katolików urządził w kolegiacie św. Anny, porozumiał się wprawdzie ustnie z biskupem krakowskim Andrzejem Gawrońskim, ale przy ustanawianiu katechetów zupełnie go pominął. Przesłał tylko biskupowi „notę“, w której go uwiadomił jako rzeczywistego ordynaryusza Benedyktynów, którzy objęli katedry i jako przyszłego ordynaryusza opactwa w Tyńcu, że w czasie jego nieobecności, „z powodu zupełnego braku

[1] Ręk. Ossol. 525, I, f. 264—265. cfr. f. 311—312.

zdolnych subjektów w Galicyi", obsadził dwie katechetury dla filozoficznych i gimnazyalnych uczniów, dlatego, że były nadzwyczaj koniecznie potrzebne — uczynił to zaś w „w zupełnem przekonaniu o jego pozwoleniu" [1].

Rzeczywiście też nie pomijał biskupa zupełnie i zasięgał jego opinii, tam gdzie koniecznie było potrzeba.

Właśnie w tym czasie został ks. Hoffmann, tyle głośny organizator szkolnictwa w Galicyi, prałatem-scholastykiem przy katedrze w Krakowie, opuścił więc kościół archiprezbyteryalny N. M. Panny, którego był proboszczem. Ks. Dankesreither wpadł na myśl, czyby nie można tego kościoła i parafii zamienić na *beneficium regulare* i oddać Benedyktynom. Wszelako biskup był przerażony tym pomysłem i bardzo prosił ks. Hofrata, żeby takiego wniosku nie stawiał w Wiedniu, dlatego, że to jedyne dobre probostwo w Krakowie i jedno z najlepszych w dyecezyi, przeto zabranie go byłoby duchowieństwu bardzo przykre. Uznał to sam ks. Dankesreither, który nie chciał zrażać do reszty umysłów duchowieństwa do przybyszów z Wiblingen i dlatego zapytał biskupa, czyby się zgodził na skasowanie Kamedułów na Bielanach pod Krakowem? Biskup nie był tej myśli przeciwny.

Sprawę tę omówimy nieco później, tutaj więc możemy ją pominąć.

Ks. Hofrat miał polecenie w dekrecie nadwornym 5 sierpnia 1806 r., żeby wogóle obmyślił jakie beneficya dla nowo przybywających Benedyktynów, a skoro nie można było użyć archiprezbyteryalnego kościoła N. M. Panny w Rynku, jedna zaś kolegiata św. Anny nie starczyła, przeto zwrócił oczy na inne beneficya uniwersyteckie. Jeneralny wikaryusz ks. Zglenicki, chętny jak zawsze, dostarczył mu też zaraz wykazu tychże beneficyów, z którego się pokazało, że wówczas było piętna-

[1] Arch. M. W. i O. Acta nr. 102. S. 140 ex Junio 1807. Bericht. Hofr. v. Dankesreither. Wien 26 Februar 1807 „und eröffnete ihm die während seiner Abwesenheit, bey dem gänzlichen Mangel fähiger Subjekte aus Galizien — in voller Ueberzeugung von seiner Beystimmung — eingeleitete Bestellung der zwei höchst dringen nothwendigen Katecheten für die philosophischen und Gymnasialschüler".

ście beneficyów uniwersyteckich tj. 2 w Krakowie, 2 na przedmieściach, 8 w obwodzie krakowskim, a 3 w obwodzie kieleckim [1]. Na trzynaście z tych beneficyów miał uniwersytet aktywne prawo patronatu, ale na wszystkie (15) miał *jus passivum*, o tyle że były przeznaczone wyłącznie dla członków akademickich *(akademische Mitglieder)* tj. dla doktorów albo profesorów krakowskiego uniwersytetu lub gimnazyum.

Z tego powodu przedłożył ks. Dankesreiter najwyższej kancelaryi taki wniosek: ponieważ przy uniwersytecie w Krakowie będą uczyć sami Benedyktyni, przeto właściwie należałoby im oddać wszystkie te beneficya. Wszelako możeby nie wszyscy chcieli objąć probostwa, wystarczy więc zamienić tylko sześć z nich na beneficya zakonne, ale między temi powinno być probostwo św. Anny, któreby zaraz można obsadzić polskim Benedyktynem z Tyńca. Reszta mogłaby z czasem być obsadzona Benedyktynami, a rzeczą to będzie lwowskiego gubernium dochodzić, któreby były do tego najstosowniejsze. Jeśliby się doliczyło do tych 6 beneficyów uniwersyteckich jeszcze beneficya, które dotychczas zajmują Benedyktyni tj. Tyniec, Tuchów, Brzostek, Warzyce i projektowane Bielany, to mogłoby 12 zakonników otrzymywać zajęcie poza klasztorem, w nagrodę za oddane zasługi.

Kościół św. Anny należałoby zabrać z całem wewnętrznem urządzeniem, tak samo jak 5 innych kościołów parafialnych w beneficyach uniwersyteckich, z tem więc nie będzie miał fundusz religijny żadnych kłopotów, bo jeśliby gdzie czego miało braknąć z naczyń kościelnych, to najpierw dostarczą tego kościoły, które w Krakowie zupełnie zostaną zniesione przy nowej regulacyi probostw *(Pfarregulirung)*, a powtóre będzie można wziąć ze skarbca w Tyńcu, który r. 1785 został oszacowany na

[1] Biskupstwo kieleckie zostało utworzone razem z biskupstwem tarnowskiem przez konwencyę wiedeńską 1786. Część kieleckiego biskupstwa odzyskała stolica krakowska r. 1817 bullą, regulującą biskupstwa polskie, Piusa VII. *Ex imposita nobis*, utraciła ją zaś ponownie r. 1851, tak że całe biskupstwo krakowskie ograniczone było (do r. 1879) na trzy dekanaty.

16.854 f. 29 kr., ale daleko więcej wart, bo nie oceniano wcale trzech szczerozłotych kielichów. Skarb ten starczy na pokrycie kosztów stemplowania *(Punzirungskosten)* i na opatrzenie innych kościołów [1].

Każdy przyzna, że ks. Hofrat umiał radzić, ale o zdanie biskupa przy tych radach wcale się już nie kłopotał. Tak samo ani słowem nie wspomina o tem, czy biskup Gawroński zgadzał się na usunięcie dawnych profesorów teologii w uniwersytecie krakowskim i czy przybysze z Wiblingen mieli od niego misyę kanoniczną. Możemy nawet stanowczo twierdzić, że o to wcale biskupa nie pytał, bo tego właśnie roku został biskupowi krakowskiemu odebrany nawet cień wpływu na uniwersytet, a do tego przyłożył rękę właśnie ks. Dankesreither.

Kiedy r. 1805 nastąpiła nowa regulacya uniwersytetu, o której wyżej była już mowa, wtedy zachodziła kwestya: jaki wpływ możnaby biskupowi krakowskiemu pozostawić na nauki w uniwersytecie, którego był za polskich czasów kanclerzem, protektorem i konserwatorem.

Gubernium galicyjskie zażądało więc instrukcyi z Wiednia. W nadwornej kancelaryi przyjęto zdanie ks. Dankesreithera, że biskup krakowski może mieć tylko tyle wpływu na uniwersytet, ile go ma arcybiskup wiedeński, bo dawniejszy jego wpływ, jaki wywierał za polskich czasów, nie da się pogodzić z nowym duchem szkolnictwa austryackiego i nową „regulacyą“ uniwersytetu.

Poszło tedy zapytanie do t. zw. „konsystorza“ uniwersytetu w Wiedniu (13 września 1805) a odpowiedź tegoż z d. 26

[1] To stemplowanie naczyń kościelnych *(Punzirung)* nakazane zostało w następnym roku 1807. — Wiedział więc już o tem ks. Dankesreither będąc w Krakowie. Kapituła krakowska zapłaciła wtedy: „jak się okazuje z kwitów, dotąd znajdujących się w archiwum kapitulnem, to co na zaspokojenie stempla zapłaciła w pieniądzach i to co rząd wziął ze skarbca w kosztowności ach, ogólną sumę ryńskich w dobrej monecie 10.357 czyli złp. 41.428“. [Archiwum Kapituły krak. Opis inwentaryczny skarbca kościoła katedralnego w dniu 31 grudnia 1838 sporządzony]. Zobaczymy później, że ze skarbca w Tyńcu wzięto na koszta stemplowania sreber wartości 1977 f. M. C., licząc po 20 kr. od uncyi srebra.

października t. r. opiewała, że arcybiskup w Wiedniu ma, jako kanclerz, prawo być obecnym na posiedzeniach konsystorza, gdzie zajmuje miejsce po każdorazowym rektorze; uczestniczyć przy promocyach doktorskich wszystkich wydziałów, za co pobiera od każdego kandydata po dukacie. Nadto odbiera od kandydatów na doktorat teologii wyznanie wiary i celebruje uroczyste nabożeństwo przy rozpoczęciu i zakończeniu roku szkolnego.

Ta odpowiedź konsystorza uniwersyteckiego w Wiedniu poszła do namiestnictwa Dolnych Rakuz i przesłana została przez namiestnika Chorinsky'ego do nadwornej kancelaryi 9 stycznia 1806 r. Wskutek tego poszedł do namiestnictwa we Lwowie dekret, którego referentem był znowu ks. Dankesreither (1 marca 1806). Polecono uwiadomić biskupa krakowskiego oraz uniwersytet w Krakowie, że działalność kanclerza musi się ściśle trzymać granic przepisanych dla arcybiskupa w Wiedniu i że biskup krakowski nie może się wdzierać w prawa dyrektorów studyów *(Studiendirektor)*.

Dekret ten został zakomunikowany biskupowi Gawrońskiemu przez hr. Wurmsera (d. 28 marca 1806, L. 10073—489), a biskup odpowiedział na to, że w takich warunkach widzi się zniewolonym zrezygnować z urzędu kanclerza, bo wedle tego co mu przyznano, pozostawałyby mu tylko funkcye, które dawniej spełniał podkanclerzy mianowany przez biskupa. Takie zaś funkcye uważał za niezgodne ze swojemi licznemi zajęciami pasterskiemi.

Kancelarya nadworna przedłożyła wtedy wniosek, opracowany znowu przez ks. Dankesreitera, podpisany przez hr. Ugarten d. 30 marca 1806 r., że należy przyjąć rezygnacyę biskupa, a cesarz Franciszek zrobił na marginesie własnoręczny dopisek, że rezygnacyę przyjmuje. Dnia 14 czerwca t. r. odszedł dekret do galicyjskiego gubernium (L. 11564—2048) znowu opracowany przez ks. Dankesreitera jako referenta, w którym polecono uwiadomić biskupa krakowskiego, że cesarz raczył najłaskawiej przyjąć rezygnacyę [1].

[1] Arch. M. W. i O. Krakau. Fasc. II. S. 6, ex Martio 806. Z. 1246 231. — S. 52 ex Julio 806. Z. 11 561—2048.

Skoro więc w miesiąc później pojechał ks. Dankesreither do Krakowa, umocowany do wszelkich czynności przez samego cesarza, to nic dziwnego, że ks. Hofrat, stosownie do ówczesnych pojęć i wyobrażeń, zupełnie ignorował biskupa w sprawach wydziału teologicznego. Gorsza, że Benedyktyni ze Szwabii sprowadzali się do obcej dyecezyi i obejmowali w niej katedry teologii, nie troszcząc się także wcale o ordynaryusza! Nie świadczy to chwalebnie ani o ich duchu zakonnym, ani o szanowaniu przepisów katolickiego Kościoła.

Charakterystyczną jest przytem ta okoliczność, że podczas gdy we Lwowie był dyrektorem studyum teologicznego ówczesny arcybiskup armeński [1], to w Krakowie zamianowano dyrektorem opata z Wiblingen, którego wcale w Krakowie nie było. Po 2 latach otrzymało gubernium galicyjskie polecenie (9 marca 1808, L. 4772), żeby upatrzyło w Krakowie na dyrektora wydziału teologicznego w uniwersytecie jaką osobistość, którąby posiadała gruntowną naukę, dobre zasady i inne potrzebne do tego urzędu przymioty.

Gubernium przypomniało sobie teraz jednak biskupa w Krakowie i udało się w tej sprawie do konsystorza z wezwaniem, żeby kandydatów zaproponował. Jakoż konsystorz biskupi w Krakowie przedstawił trzech kandydatów na dyrektorstwo tj. opata Benedyktynów Ulryka Kecka, przeora Benedyktów i profesora dogmatyki Grzegorza Zieglera, a na trzeciem miejscu ks. Waleryana Bogdanowicza, emerytowanego profesora teologii.

Otrzymawszy tę propozycyę konsystorza krakowskiego, przesłało gubernium galicyjskie swoją opinię do nadwornej komisyi studyów w Wiedniu następującej treści. Pomiędzy kandydatami, proponowanymi przez konsystorz, należy się niewątpliwie pierwszeństwo opatowi Keckowi, który już reskryptem ministeryalnym 5 sierpnia 1806 r. został przez Najjaśniejszego Pana mianowany dyrektorem. Ponieważ jednak opat został członkiem

[1] Arch. M. W. i O. Krakau. Fasc. 1, 5, A—C. S. 61 ex Febr. 806. Z. 999—170. Bericht des galiz. Guber. 13 Septbr. 805.

komisyi egzaminacyjnej, przeto pozostają tylko dwaj kandydaci. Bogdanowicza nie można żadną miarą polecić na urząd dyrektora, bo najpierw jest to już człowiek sędziwy, więc zbywałoby mu na potrzebnej energii, a przytem nie miałby z pewnością ani ochoty, ani dostatecznej dobrej woli do tego, żeby się trzymać metody naukowej obecnego czasu, planu nauk państwa austryackiego i zasad przeprowadzonych w nauce teologii. Pozostaje więc tylko trzeci kandydat Ziegler, ale ten wykłada dogmatykę, przeto musiałby opat wyznaczyć na przyszły rok innego zdolnego zakonnika, któryby go w urzędzie nauczycielskim zastąpił.

Propozycya ta gubernialna wcale nie trafiła do gustu nadwornej komisyi naukowej w Wiedniu i dlatego przedłożyła cesarzowi całkiem odmienny wniosek. Uzasadniała go zaś tem, że urząd dyrektora studyów jest bardzo ważny, bo on wykonuje bezpośredni nadzór i kontrolę nad zdolnościami nauczycieli, zasadami wychowawczemi profesorów, nad prowadzeniem się i pilnością uczniów i wogóle nad tem, czy studya teologiczne odbywają się wedle przepisów i instrukcyi urzędowej. Dotychczas nie miała najwyższa władza naukowa w Wiedniu żadnej sposobności przekonania się, jakie są zasady i zdolności nauczycielskie profesorów teologii przy uniwersytecie krakowskim, a wszyscy oni objęli katedry wedle tego, jak ich opat proponował: gdyby więc teraz jeszcze dyrektorstwo studyum teologicznego miało być powierzone opatowi, lub przeorowi (Zieglerowi), wtedy wyglądałoby na to, jakby najwyższa władza naukowa wcale nie pragnęła mieć bliższych i pewniejszych wiadomości o profesorach, ich zasadach i zdolnościach i że chciałaby pozostawić jeden z najważniejszych zakładów naukowych bez kontroli, którą przecież każda gałąź administracyi musi za rzecz najważniejszą poczytywać.

Komisya byłaby już wolała proponować na dyrektora ks. Markiewicza, który był dotąd wicedyrektorem, ale ten przeniesiony został właśnie w tym czasie z profesury na probostwo. Ks. Bogdanowicz rzeczywiście zbyt stary, żeby mógł być brany

w rachubę, przeto pozostaje wniosek następujący: mianować przeora Benedyktynów i profesora dogmatyki O. Grzegorza Zieglera wicedyrektorem na przeciąg jednego roku, a następnie powierzyć ten bardzo ważny urząd ks. Andrzejowi hr. Ankwiczowi. „Jest to młody Polak *(Eingeborener)*, mający 30 lat, jedno z najrzadszych zjawisk naszych dni, który się na wiedeńskim uniwersytecie wykształcił we wszystkich naukach teologii z taką nadzwyczajną pilnością, odpowiednio do przyrodzonych darów, że w każdym fachu teologicznych nauk, nawet w językach biblijnych mógłby każdego czasu być publicznym nauczycielem. Ten młodzian, którego urodzenie, majątek i moralny charakter wszędzie i wszystkim nakazują poszanowanie, potrafi jako dyrektor studyum teologicznego najwyższą władzę naukową poinformować o stanie nauk i przyczynić się pod każdym względem do ich rozwoju".

Ta pochlebna o ks. Ankwiczu opinia i propozycya została też przyjęta i arcyksiąże Rajner położył na marginesie własnoręczny podpis: „w imieniu cesarza i na jego wyraźny rozkaz". W tej myśli odszedł też dekret do galicyjskiego gubernium, podpisany przez barona von der Mark, nadwornego kanclerza *(Hofkanzler)* i referenta v. Spondou [1].

Sceptyczne nieco zapatrywanie to na profesorską działalność niemieckich Benedyktynów w Krakowie, świadczy już o pewnem wytrzeźwieniu. Widocznie nie musieli spełnić zbyt wielkich nadziei, jakie w nich pokładał ks. Dankesreither. On sam też później nieco ostygł w zapale. Wszelako ze swej strony uczynił dla nich wszystko co mógł, a przyznać trzeba, że o podźwignięciu krakowskiego uniwersytetu ze swojego punktu widzenia myślał na seryo. Dlatego też w bardzo obszernem sprawozdaniu swojem, które kancelaryi nadwornej przedłożył 26 lutego 1807 r., a które 128 stron pisma zawiera, powtarza kilka-

[1] Arch. M. W. i O. Krakau. Fasc. I. S. 166 ex Octobri 808. Z. 723—20. Studien-Hofkommission. Alleruntert. Vortrag. Wien 13 August 1808. — Dekret a. d. galiz. Guber. 28 Octob. 1808. Z. 723—20.

krotnie, że w Krakowie koniecznie trzeba wybudować nowy gmach uniwersytecki. Jako stosowne dla tego gmachu miejsce proponował ogród przytykający bezpośrednio do *Collegium minus*, który tymczasem radził oddać na użytek Benedyktynom, a równocześnie obmyślić im jeszcze jaki inny ogród na przedmieściu, bo takowy bardzoby im się przydał. Proponował nadto, że byłoby wielkiem dobrodziejstwem, gdyby zarząd kameralny Makowa dostarczył profesorom opału. Płacić mógłby za to drzewo fundusz państwowy *(Fundationsfond)*, połączony z funduszem uniwersyteckim, zwłaszcza przez wzgląd na to, że dużo oszczędzi przez to, iż tylu profesorów będzie tak małym kosztem sprawować profesorskie urzędy.

Zobaczymy, że i koszta były w rzeczywistości większe, niż ks. Hofrat przypuszczał.

III.

Obsadzenie wydziału teologicznego w Krakowie Benedyktynami sprowadzonymi z Wiblingen, było właściwym celem misyi ks. Dankesreithera, wszelako w trakcie tej czynności wyłoniła się jeszcze druga. Delegowani szwabskich Benedyktynów nie mogli się w Krakowie doszukać stosownego klasztoru dla pomieszczenia całej kongregacyi i zwrócili oczy na tynieckie opactwo. Świadczy to dobrze o ich guście, ale mniej dobrze o ich poczuciu tego: „co moje, a co twoje“. Ks. Dankesreither jeszcze mniej miał skrupułów na tym punkcie i już w sierpniu t. r. zrobił przedstawienie, wskutek którego wyszedł dekret cesarski 17 września 1806 r., nakazujący przeniesienie kongregacyi z Wiblingen do Tyńca. W dekrecie tym przepisano, w myśl przedstawienia ks. Dankesreithera, że opat kongregacyi nowej O. Ulryk Keck będzie opatem w Tyńcu i on też sam zamianuje nowego przeora, przyczem dotychczasowy przeor będzie mógł otrzymać jakie wynagrodzenie za stratę godności. Nowy opat będzie miał też prawo zamianowania członków expozytury w Tuchowie. Cesarski ten dekret znosił więc prawo wyborów, które przysługiwało Benedyktynom w Tyńcu na mocy konsty-

tucyi papieskich, ale zdawał się być potrzebnym wobec tego, że kongregacya polska w Tyńcu była liczniejsza od nowo przybywającej i pewnieby ze swego prawa na korzyść przybyszów nie była się zrzekła.

Otrzymawszy ten dekret cesarski w Krakowie, dał ks. Dankesreither niezwłocznie polecenie i potrzebną instrukcyę naczelnikowi powiatu myślenickiego baronowi Lipowskiemu, żeby urządził w Tyńcu wszystko, co potrzeba do umieszczenia nowej kongregacyi. W pierwszym rzędzie chodziło o to, żeby polska kongregacya sama dobrowolnie stamtąd ustąpiła, bo gwałtem usuwać jej nie chciano.

Baron Lipowski wiedział więc, skąd wiatr wieje i udawszy się do Tyńca, oświadczył Benedyktynom, że mają cesarskie pozwolenie na to, żeby się mogli wynieść z Tyńca i zrobić miejsce nowej kongregacyi. Wolno im wprawdzie pozostać na miejscu, ale w takim razie będą musieli poddać się rządom nowego opata, który zaprowadzi nową karność i surowo jej będzie przestrzegał. To oświadczenie p. barona nie odniosło jednak pożądanego skutku, bo wbrew życzeniu i oczekiwaniu *(gegen allen Wunsch und Erwartung)* oświadczyło po dojrzałym namyśle, do którego trzy tygodnie czasu zostawił, dziewiętnastu Benedyktynów na piśmie, że z Tyńca się nie ruszą. Dwaj tylko podrzędni członkowie tj. dwaj klerycy, Bartłomiej Ogurek, który był niespełna rozumu i dlatego do święceń nie mógł być przypuszczony i drugi Tomasz Wagner, który tak samo jak poprzedni pochodził z Węgier, oświadczyli, że się udadzą do ojczyzny swojej, mianowicie do opactwa Martinsberg *(Fanum sti. Martini)*.

Trzeba więc było chwycić się innej drogi i szukać powodu, dla któregoby można choćby kilku Polaków pozbyć się z Tyńca. Pan baron rozpoczął przeto długie *(langwierige)* śledztwo, żeby wykryć jakich winowajców i za karę ich przesiedlić. Na nieszczęście panowały pomiędzy Benedyktynami tynieckimi jakieś osobiste waśnie, i, jak niżej zobaczymy, sam przeor ówczesny dostarczył Lipowskiemu materyału do podejrzeń, tak że owo mozolne i długie śledztwo było tylko samochwalstwem. Widzieliśmy, że przed dwoma laty zdał o Benedyktynach wszystkich

w Tyńcu jak najpochlebniejsze świadectwo [1], ale wtedy chodziło o co innego. Teraz doszedł p. naczelnik powiatu do wręcz przeciwnego przekonania, a mianowicie doniósł w swojem sprawozdaniu ks. Dankesreitherowi, że na dziewięciu Ojców w opactwie, tylko pięciu zasługuje na to, żeby mogli pozostać w Tyńcu t. j.: dotychczasowy przeor Antoni Chmurzeński, sekretarz Felicyan Torgani, Tadeusz Lichocki, Jacek Kardel i proboszcz w Tyńcu Ignacy Domaniewicz.

Dwaj inni Ojcowie tj. podprzeorzy Odo Kontenowicz i Maurus Łącki są wątpliwi. Pierwszy z nich jest niebezpieczny jako człowiek niespokojnego ducha i skłonny do tajemnych machinacyj, więc należałoby go przesiedlić do Tuchowa, gdzie na expozyturze potrzebny jest jeszcze jeden kapłan. O jednej tylko rzeczy zapomniał dodać p. Lipowski t. j., że ten niebezpieczny kapłan miał wielkie zasługi, i że w tej chwili miał już lat 72 wieku. Drugi, również niebezpieczny, bo skłonny do zaburzenia pokoju był O. Maurus Łącki, przytem oddany nałogowi pijaństwa. Ostatecznie jednak możnaby go zostawić w Tyńcu, ale trzebaby go wziąć pod ścisły dozór i odjąć sposobność do zalewania głowy.

Natomiast bezwzględnie *(platterdings)* powinni być wydaleni z Tyńca: prowizor klasztoru O. Izydor Karczewski i magister nowicyuszów O. Placyd Kamieński; pierwszy dlatego, że jest niesumienny w zarządzie, wywołuje niepokoje i spowodował publiczny skandal; drugi został mianowany magistrem nowicyuszów przez komisarza, wysłanego z konsystorza w Tarnowie ks. Juszczyńskiego, co tak miało oburzyć innych, że pięciu najzdolniejszych Ojców *(subjekta)* z klasztoru wystąpiło. Ten także wywołał publiczny skandal, bo był oskarżony *ex capite violentis stupri, illati maritatae ancillae.* Miało się to stać w Szamborku, opodal Tyńca i to w czasie wycieczki z nowicyuszami, tak, że nie mogło się przed nimi ukryć. Skargę wręczono opatowi świętokrzyskiemu, kiedy ostatni raz wizytował opactwo tynieckie. Lipowski widział

[1] Arch. M. W. i O. Fasc. Benediktiner in Tyniec. S. 35 ex Decembri 1804.

wprawdzie tylko ułamki *(Bruchstücke)* tej skargi, ale przekonał się dostatecznie o prawdzie tego oskarżenia. Tak samo wręczono opatowi świętokrzyskiemu skargę na prowizora O. Karczewskiego i p. naczelnik przekonał się, że „występek tego zakonnika jest bezprzykładny“ — szkoda tylko, że go nie oznaczył bliżej w swojem sprawozdaniu. — Co do pierwszego oskarżenia, nasuwa się wątpliwość sama przez się, bo pewnieby magister nowicyuszów nie zabierał ze sobą swoich wychowańców, gdyby się w takich zamiarach do Szamborka wybierał, a powtóre p. Lipowski niesłusznie powoływał się na piśmienny dokument i nieprawdę mówił, że widział jego „ułamki“, a to z tej przyczyny, że — jak zobaczymy — był ten dokument opieczętowany. Mimo to proponował przesiedlenie prowizora O. Karczewskiego i dwóch kleryków: Teofila Zakrzewskiego i Pawła Majewskiego do opactwa świętokrzyskiego, dlatego, że opactwo to jest bogate, może więc bez ujmy i szkody pomieścić te trzy osoby *(Individuen)*. Natomiast magistra nowicyuszów O. Kamieńskiego proponował posłać do opactwa w Sieciechowie.

W ten sposób pozbywszy się czterech osób i dawszy pozwolenie dwom klerykom przeniesienia się na Węgry, zatrzymałoby się jeszcze pięciu Ojców i trzech kleryków *expectantes profesionem*, oraz trzech nowicyuszów, czyli razem 11 osób.

Otrzymawszy takie sprawozdanie od naczelnika powiatu myślenickiego d. 16 października, przekonał się ks. Dankesreither, że sprawa umieszczenia szwabskich Benedyktynów w Tyńcu nie pójdzie tak gładko, jak pierwotnie myślał i w swojem sprawozdaniu kancelaryę nadworną zapewniał[1]. Nie tracił jednak nadziei, że zdoła upartych Polaków nakłonić do dobrowolnego ustąpienia. Pojechał przeto 20 października t. r. do Tyńca, a nazajutrz, zwoławszy cały konwent, przemówił po łacinie.

Najpierw przedstawiał zgromadzonym, jakie to wielkie szczęście spotkało Tyniec, że przybędą nowi Benedyktyni, zaprowadzą ład i karność i pielęgnowanie nauk, które po innych opactwach kwitną na chwałę Zakonu, a przez to i opactwo ty-

[1] Arch. M. W. i O. Acta cit. Wien 20 October 1806. Z. 18906—3158.

nieckie odzyska swoją dawną świetność. Z góry też przypuszcza, że kilku członków konwentu pragnie zostać w Tyńcu właśnie dlatego, żeby żyć w większej doskonałości, ale obawia się, że niektórzy oświadczyli się piśmiennie, iż w Tyńcu zostaną, może w tej nadziei, że stare nieporządki i luźność reguły nadal się utrzymają, albo że nie będą potrzebowali poddać się surowej regule i karności. Dlatego będzie trzy dni bawił w Tyńcu, aby dać wszystkim czas do namysłu. Skoro bowiem piśmienne oświadczenia przesłane zostaną do Wiednia, wtedy klamka zapadła: teraz może jeszcze każdy iść, gdzie chce, potem, jeśliby nie chciał słuchać, będzie wypędzony i umieszczony tam, gdzie każą.

Trzy dni minęły i pokazało się, że ta łacińska wymowa ks. Hofrata nie odniosła pożądanego skutku: nikt bowiem nie cofnął swego piśmiennego oświadczenia. Pokazało się jednak, że w konwencie był ktoś, który odgrywał nie bardzo zaszczytną rolę denuncyanta i zdaje się, że już Lipowskiego informował o potwarzach, rzuconych na prowizora klasztoru i magistra nowicyuszów. Był to przeor O. Chmurzeński, który teraz Dankesreitherowi „zwierzył się w sekrecie", że kiedy w lipcu tegoż roku opat świętokrzyski Jan Nepomucen Niegolewski wizytował konwent tyniecki, wręczone mu zostały piśmienne skargi na OO. Karczewskiego i Kamieńskiego. Kto te skargi wręczył i czy obaj oskarżeni byli przesłuchiwani przez opata, nie umiał O. przeor powiedzieć, wiedział tylko tyle, że są opieczętowane przez opata i złożone w archiwum. Dankesreither zażądał więc od podprzeorzego i podkustosza konwentu O. Kontenowicza wydania tego dokumentu, ale znalazłszy na nim pieczęcie opata, przyłożył swoją pieczęć i dopisał: *Acta haec obsignata inventa, etiam meo sigillo munivi, novo domino Abbati tradenda.* Domyślił się też od razu, że Lipowski powoływał się na ten właśnie dokument, jako dowód winy obydwu oskarżonych, tylko nie łamał sobie głowy nad tą kwestyą: jakim sposobem mógł p. naczelnik powiatu „ułamki" *(Bruchstücke)* widzieć, skoro całość była zapieczętowana? Jednakże, nie dowierzając polskim Benedyktynom, żeby czasem tego dokumentu nie zniszczyli, doniósł Dankesreither urzędownie o jego istnieniu naczelnikowi powiatu i opatowi

Keckowi, żeby na mocy tego mógł wytoczyć śledztwo i obydwóch oskarżonych z klasztoru wypędzić.

Skoro tedy trzy dni namysłu minęły, a żaden z Benedyktynów postanowienia nie zmienił, próbował Dankesreiter jeszcze z tymi osobno traktować, których już Lipowski był na wygnanie przeznaczył. Powoływał więc jednego po drugim do siebie. O. Maurus Łącki, którego był naczelnik powiatu nazwał pijanicą, nie poszedł wcale na wezwanie do ks. Hofrata, lecz wymówił się chorobą. Dwaj oskarżeni o publiczne skandale, stawiali się kolejno, ale kiedy im Dankesreither dawał przyjacielską radę, żeby się dobrowolnie wynieśli, gdyż w przeciwnym razie czeka ich śledztwo i haniebne wypędzenie z klasztoru, oświadczyli stanowczo, że tego śledztwa właśnie pragną, bo ono wykaże ich niewinność i niesłuszne prześladowanie.

Na to odpowiedział Dankesreither, że nowy opat może ich wypędzić bez śledztwa, a to na mocy samego złego imienia, jakie w klasztorze mają, bo opatowi będzie zależało na tem, aby nowa kongregacya, która ma wychowywać i nauczać młodzież, cieszyła się dobrą opinią. O. Placyd Kamieński odpowiedział na to, że takie wypędzenie bez śledztwa, na podstawie potwarzy, byłoby niesprawiedliwe, ale ks. Hofrat odparł mu krótko, że jeszcze do południa daje mu czas do namysłu i wyraźnie zapowiada, że i bez śledztwa będzie wypędzony.

Południe minęło i Dankesreither odjechał z niczem. Ale w Krakowie prosili go bardzo deputowani szwabskich Benedyktynów, żeby wydalił z Tyńca przynajmniej tych 6 Polaków, których już naczelnik powiatu na ten cel upatrzył i dlatego dał Lipowskiemu polecenie, żeby zarządził przesiedlenie O. Karczewskiego i dwóch kleryków: Zakrzewskiego i Majewskiego do opactwa świętokrzyskiego, a O. Kamińskiego do Sieciechowa.

Oczywiście p. naczelnik powiatu nie spełnił tego polecenia, lecz czekał rozkazu od swojej władzy we Lwowie, a sam Dankesreither pojmował, że trzeba pierwej prosić o zatwierdzenie tej propozycyi w Wiedniu, chociaż był tego pewien, że zatwierdzenie nastąpi.

Jedna tylko rzecz była mu nie na rękę. W opactwie ty-

nieckiem odbywały się co trzy lata wybory przeora i innych funkcyonaryuszów, oraz przeora i proboszcza w Tuchowie. Działo się to na mocy zezwolenia Klemensa XI. roku 1712, a właśnie w sierpniu t. r. przypadały nowe wybory, kiedy Dankesreither do Krakowa przybył. Przy wyborach tych interweniował zawsze komisarz konsystorza w Tarnowie, dla tego polecił konsystorzowi, żeby wybór powstrzymał, chociaż nie miał jeszcze pewności, czy szwabscy Benedyktyni do Tyńca przeniesieni zostaną. Tymczasem nadszedł dekret cesarski, mianujący opata dla Tyńca i dający mu — w myśl propozycyi Dankesreithera — prawo mianowania wszystkich funkcyonaryuszów w Tyńcu i Tuchowie. Dlatego też już Benedyktyni wyborów przedsięwziąć nie mogli. Wszelako nowy opat, jak na złość, nie przybywał, bo był chory i w drogę ruszyć nie mógł, wszyscy więc dotychczasowi funkcyonaryusze sprawowali tymczasowo swoje urzędy, a Dankesreither musiał wracać do Wiednia. Nareszcie przybył do Krakowa w listopadzie t. r. O. Grzegorz Ziegler, mianowany przez opata przeorem w Tyńcu. Zaraz też posłał Dankesreither z Wiednia konsystorzowi tarnowskiemu polecenie, żeby Zieglera instytuował *in spiritualibus et temporalibus*. Stało się to 11 grudnia (1806) a pierwszą czynnością nowego przeora było zwołanie kapituły tegoż samego dnia. Rezultatem narad było to, że trzej klerycy *expectantes professionem*, tj. Piotr Herma, Marek Prędowski i Bernard Pieniążek zostali *capitulariter* uznani za niezdatnych dla nowej kongregacyi i wydaleni z Tyńca. Za powód tej surowej uchwały podano to, że nie mieli prawem przepisanego wieku do złożenia profesyi. Trzech nowicyuszów Polaków zatrzymano.

Chodziło tylko jeszcze o to, jak upozorować wydalenie profesów z Tyńca i jaki wynaleźć tytuł prawny do tego, żeby inne dwa opactwa benedyktyńskie zniewolić do przyjęcia wydalonych. Ale i na to znalazł Dankesreither sposób: zaproponował bowiem nadwornej kancelaryi, żeby cesarz mianował opata Ulryka Kecka wizytatorem dwóch innych opactw benedyktyńskich w Galicyi. W tym charakterze mógłby przenosić członków konwentu tynieckiego do świętokrzyskiego lub sieciechowskiego

opactwa i potrzebowałby tylko zawiadomić o tem konsystorz tarnowski [1].

Ten swój wniosek uzasadniał Dankesreither argumentami, z których co jeden to lepszy. Najpierw powołuje się na to, że trzy te opactwa tworzą wspólną kongregacyę i zawsze jeden z trzech opatów był wizytatorem dwóch innych opactw. Jakoż w tej chwili jest opat świętokrzyski O. Niegolewski wizytatorem, a więc może być i Keck. Powinien zaś być dlatego, żeby oba te opactwa były zwolna doprowadzone do niemieckiego ustroju *(nach und nach der deutschen Verfassung zuzuführen)*. Przyznawał wprawdzie Dankesreither, że przenoszenie członków jednego opactwa do drugiego zdarza się w Polsce bardzo rzadko, tak samo jak w dziedzicznych c. k. krajach, ale w tym razie można zrobić wyjątek, ponieważ chodzi o rzecz bardzo ważną. Przedewszystkiem jednak muszą być wydaleni z Tyńca OO. Karczewski i Kamieński.

Pierwszy z nich jest obecnie prowizorem klasztoru i okazał się nieposłusznym władzy. Skoro bowiem baron Lipowski otrzymał instrukcyę, że Benedyktynom z Wiblingen należy zrobić miejsce w Tyńcu, ustanowił tam natychmiast kontrolora nad majątkiem opactwa, które ogłosił za własność wspólną obydwóch konwentów, tj. polskiego i szwabskiego. Prowizor otrzymał też nakaz, żeby władzę kontrolora szanował, co też przyrzekł czynić, ale mimo to, bez wiedzy kontrolora sprzedał zbytnie siano na

---

[1] Opat Keck został mianowany wizytatorem trzech opactw benedyktyńskich w Galicyi na wniosek gubernatora galicyjskiego z dnia 26 maja 1807 r., i trzyletnie wybory zostały skasowane, a to na mocy memoryału, który wypracował Keck. Cfr. Arch. M. W. i O. Acta 103. Sign. 6 ex Julio 1808. Vortrag d. ver. Hofkanzley 14 April 1808. Chodziło wtedy o wybory opatów cysterskich w Galicyi. — Do tej sprawy wrócimy przy innej sposobności. — Keck dowodził w swoim memoryale, że opat nie powinien mieć osobnego majątku, lecz zarządzać majątkiem całego konwentu, i z dochodów brać na swoje utrzymanie tylko najniezbędniejszą część, pamiętając o ślubie ubóstwa, który równo z drugimi zakonnikami złożył. Niestety, O. Keck sam nie bardzo o tym ślubie pamiętał, jak to następnie zobaczymy. — Opat tyniecki był pierwej wizytatorem 2 opactw: w Trokach na Litwie i w Orłowie na Śląsku, nadto 3 prepozytur: w Tuchowie, Kościelnej wsi i Uniejowie.

jednym z folwarków. Kontrolor dowiedział się o tem i z tego powodu nazwał Lipowski O. Karczewskiego „niesumiennym prowizorem“. Dankesreither był też tego przekonania, że nowy opat zamianuje nowego prowizora, obawiał się jednak, że Karczewski nie zniesie tego ze zimną krwią i będzie myślał o zemście, jako człek popędliwy i niekarny. Należy go więc przenieść do świętokrzyskiego opactwa, a z nim wysłać także dwóch profesów tj. Zakrzewskiego i Majewskiego. Pierwszy z nich liczył już 52 lata i miał się dopuścić jakichś sprzeniewierzeń, których „pozostałości“ jeszcze pokazywano Dankesreitherowi. Nie określił jednak bliżej, jakie to były sprzeniewierzenia. Drugiemu z profesów, Pawłowi Majewskiemu, zarzucił pociąg do pijaństwa, a głównie zarzucał mu to, że miał bardzo ścisłe stosunki z magistrem nowicyuszów Kamieńskim.

Tego Kamieńskiego proponował koniecznie wysłać do Sieciechowa, a to dlatego, że jako magister uważał się za nieograniczonego zwierzchnika nad nowicyuszami, może być z tej przyczyny, że został wybrany na ten urząd przez kapitułę, a nie mianowany przez opata. Jednakże w gruncie rzeczy mało dba o nowicyuszów, którzy spędzają zupełnie *(platterdings)* na lenistwie cały czas poza chórem, bo „zresztą większa część zakonników w Galicyi sądzi, że na chórze ogranicza się całe ich zakonne powołanie“.

Tak więc znalazł się łatwy sposób usunięcia dziewięciu członków polskiego konwentu w Tyńcu. Dziesiąty, skazany także na przesiedlenie przez ks. Dankesreithera, był O. Odilo Sadowski w Tuchowie.

W miasteczku tem byli Benedyktyni z Tyńca umieszczeni przy dwóch kościołach. Z tych jeden był parafialny, pod wezwaniem św. Jakóba i właśnie przed 6 laty (1800) stanął zupełnie nowy murowany kościół na miejscu dawnego drewnianego, który był (1779) pogorzał. Zasługę miał w tem główną podprzeorzy Kontenowicz, którego — obecnie już 72 letniego starca — przedstawiono w Wiedniu jako niebezpiecznego spiskowca, ale radzono jeszcze do czasu w opactwie zostawić, dopóki nowy opat sam się go nie pozbędzie.

Ten parafialny kościół był wraz z parafią inkorporowany do opactwa tynieckiego już od XV. wieku, a właśnie w tej chwili był tu proboszczem wspomniany wyżej O. Odilo Sadowski, jego kooperatorem był O. Andrzej Ankwicz.

Drugi kościół w Tuchowie był pod wezwaniem Matki Boskiej i posiadał obraz N. Panny cudami słynący. Przy tym kościele była ekspozytura tynieckich Benedyktynów, a rezydowało w niej trzech zakonników tj. przeor O. Leonard Janicki, OO, Wiktoryn Ochabowicz i Jan Dybizbański.

(C. d. n.).

Ks. Wł. Chotkowski.

TRZY AUDYENCYE BISKUPÓW U MIKOŁAJA I[1].

I.

Zatwierdzeni przez papieża Piusa IX. nowi biskupi (Kasper Borowski, Ignacy Hołowiński i Wacław Żyliński) wyświęcili się w ten sposób: z woli rządu przybył do Petersburga rządzący dyecezyą warszawską sufragan biskup Fiałkowski wspólnie z biskupem Goldmanem. Ci 1848 r. listopada 28 d. w kościele św. Katarzyny w stolicy włożyli metropolicie Dmochowskiemu paliusz z Rzymu nadesłany. Ten akt odbył się z wielką uroczystością: o godzinie 10 całe duchowieństwo już było w kościele Dominikańskim, ubranym jak można najświetniej. Od kratek do wielkich drzwi zrobiony był *passage* wysłany czerwonem suknem. O pół do jedenastej, kiedy arcybiskup podjechał pod kościół, całe duchowieństwo wyszło procesyonalnie na jego spotkanie. Starzec w kardynalskim ubiorze dziwnie ładnie wyglądał. Po odbytem nabożeństwie, takimże porządkiem został odprowadzonym do drzwi kościelnych, z tą tylko różnicą, że tuż przed nim niesiony był krzyż arcybiskupi, co się teraz powtarza za każdym jego przyjazdem do kościoła.

Listopada 30 w dzień św. Jędrzeja apostoła, odbyła się

[1] Od życzliwych przyjaciół otrzymaliśmy powyższe dokumenty, spisane przez ś. p. biskupa Macieja Wołonczewskiego, nigdzie jeszcze nie publikowane. W dokumentach tych występuje na jaw głównie ciekawe stanowisko Mikołaja do katolicyzmu, którego szczerość czytelnicy znający ówczesną historyą sami potrafią ocenić. *Redakcya.*

konsekracya biskupa korysteńskiego Ignacego Hołowińskiego; konsekrował sam arcybiskup Dmochowski w asystencyi biskupów polskich Goldmanana i Fiałkowskiego; przy inauguracyi metropolity i wszystkich konsekracyach, oprócz czytania bull w oryginale, czytane były także wyjątki z tychże bull, w językach: polskim, niemieckim, francuskim i włoskim z potrzebnemi uwagami oraz zaleceniem modłów za mężów wyniesionych na wysoką godność Kościoła.

Dalej w niedzielę drugą adwentu, 5 grudnia z rana o godzinie pół do dziewiątej, przy mszy czytanej rozpoczęła się konsekracya biskupa łucko-żytomierskiego JKs. Kaspra Borowskiego. Konsekrował biskup Fiałkowski w asystencyi biskupów Goldmana i Hołowińskiego. Metropolita zaś w rokiecie i stule siedział na tronie i tylko na wkładanie rąk podchodził. Ten obrzęd skończył się o godzinie pół do jedenastej, po którym nastąpiła konsekracya biskupa wileńskiego JKs. Wacława Żylińskiego, przy mszy uroczystej celebrowanej przez metropolitę w asystencyi pięciu innych biskupów. Wielki i rzadki to był widok — sześć mitr i sześć pastorałów razem.

Po tych ceremoniach dnia 28 listopada był obiad u arcybiskupa Dmochowskiego, dnia 30 t. m. był drugi obiad dany kosztem biskupa Hołowińskiego, dnia 5 grudnia dali obiad w akademii biskupi Borowski i Żyliński, wreszcie 12 grudnia w akademii był obiad składkowy arcybiskupa i nowych biskupów; znajdowały się na nim najważniejsze figury cesarstwa, jako to: p. minister spraw zagranicznych Neselrode, p. Błudów rzeczywisty tajny radca, minister spraw wewnętrznych Aleksy Perowski, oberprokurator synodu hr. Protasów, minister Królestwa Polskiego Turkuł, i t. d., i t. d., tak że samych ozdobionych orderami pierwszej klasy było do 30; wszystkich osób u stołu siedziało 55. Kosztował ten obiad do 1200 rs.; podczas jedzenia brzmiała muzyka konnej gwardyi. Na takim obiedzie i toasty były znaczące: pierwszy wzniósł arcybiskup Dmochowski za zdrowie Najjaśń. cesarza Mikołaja I. — drugi tenże arcybiskup za zdrowie papieża Piusa IX. — trzeci biskup Hołowiński za mężów stanu cesarstwa rosyjskiego — czwarty minister Nesel-

rode za arcybiskupa i biskupów; nakoniec piąty biskup Hołowiński za pomyślny stan Rosyi. Zaraz po obiedzie ważniejsze figury zaraz się rozjechały, a minister Perowski wszystkich biskupów zaprosił do siebie na obiad, na którym i znajdowali się dnia 13 grudnia. Dnia 15 grudnia wszyscy biskupi mieli audyencyą u Najjaśn. cesarza, podczas której miała miejsce następna rozmowa: Najpierwej wezwano do pokoju cesarskiego metropolitę Dmochowskiego — potem zawołano „biskupi"! Weszli wszyscy. Cesarz spytał biskupa sandomirskiego Józefa Goldmana, jakim chcą mówić językiem? Odpowiedzieli: „niemieckim". — Cesarz do biskupa Goldmana: „Znasz drogę do Petersburga"? — Biskup Goldman: „Znam, Najjaśniejszy Panie i już trzeci raz ją odbywam". — Biskupi Hołowiński, Borowski i Żyliński dziękowali za łaski cesarskie. Ten odpowiedział: „Ja raczej wam dziękować powinienem, bom znalazł godnych, i skutek mego zaufania dowodzi tego, czem jesteście". — Biskup Hołowiński: „Pojmujemy jakie pole przed nami odkryła dobroć Waszej Cesarskiej Mości; jakoż będziemy się starali drogą wiary i sumienia, drogą miłości i przekonania wpajać porządek i należną uległość, a wytępiać i poskramiać ducha buntu, i w tem trzymając się wskazanej drogi, będziemy sumiennymi wykonawcami Jego woli". — Cesarz uściskał go za ręce i rzekł: „Na was, Panie Hołowiński, ciężyobowiązek wychowania takich, jak wy biskupów; po dziesięciu leciach z tej młodzi może postąpią na tę dostojność, dopiero dobrze ją wiedziesz i pojmujesz mnie". — Spytał się biskupa Borowskiego: „Czy jesteś w akademii? — „Tak jest". — Kontent jestem z tego zakładu; spodziewam się, że wyjdą z niego kapłani z wiarą czynną". Kiedym przenosił akademią, krzyczano na mnie, że chcę zaprowadzić nową wiarę. Ja nie chcę nowej wiary, znam starą katolicką, i tą utrzymać pragnę, jako bezpieczną dla państwa. Pojawiła się nowa katolicka wiara, nie wpuściłem ją do państwa mego: jakoż ci nowi Niemcy katolicy wyszli na najgorszych podżegaczy buntu. Wiara jest koniecznie potrzebną, bez wiary nic się nie ostoi. Rozruchy zachodnie pokazują, czem są ludzie bez wiary; nie można sobie przedstawić szaleństwa, jakiego się dopuszczają. Czy pamiętasz — (do biskupa

Hołowińskiego), żem po powrocie z Rzymu przepowiedział to wszystko: wiara powszechnie na Zachodzie upadła; w samym Rzymie widziałem ją tylko powierzchownie w formach, a w gruncie jej nie było, jakoż obejście się teraźniejsze z papieżem jawnie tego dowodzi. W Rosyi tylko trwa wiara i mam nadzieję (przeżegnał się), że się ta wiara utrzyma". — Biskup Hołowiński: „Rzeczywiście przy wybuchu przewrotów europejskich wspomniałem na to, co Wasza Cesarska Mość mnieś przepowiedział". — „Ja nie raz, rzekł cesarz, ale wiele razy powtarzałem". — „Później do biskupów polskich: „Czy to rozumiecie?" — dalej mówił do nich po niemiecku: „Mówiłem i o braku wiary i o nieszczęśliwych tego skutkach. Starajcie się ją zaprowadzić i ożywić; wypełniajcie swoję powinność kierując sumieniem i opierając się na wierze". — Biskup Goldman: „Będziemy spełniali Jego wolę". — „Nie wolę — rzekł cesarz — lecz waszą powinność wedle sumienia; a ja z tyłu za wami stać będę, i jeżeli zaniedbacie waszych obowiązków, wtedy zbliżę się i przypomnę. Mówiłem ś. p. Grzegorzowi XVI., czego on pewnie od nikogo nie słyszał". Dalej po rosyjsku: „Papież teraźniejszy poczciwy człowiek i dobrych chęci, ale w początkach zbytnie chciał dogodzić gustowi czasu. Król neapolitański najlepszy katolik, jednak byli go oczernili przed papieżem, który teraz u niego znalazł schronienie". — Biskup Hołowiński: „W początkach, Najjaśniejszy Panie, Ojciec św. był okolicznościami zmuszony i niepodobna było oprzeć się nawałowi". — Cesarz: „Być to może. Czytaliście piękną modlitwę papieża"? — Biskup Hołowiński: „Czytaliśmy". — Cesarz: „wszystkie rozruchy z braku wiary; nie jestem fanatykiem, jednak wierzę mocno i wiem, że człowiek rozumem wszystkiego nie dojdzie, że są rzeczy, których rozbierać nie można, trzeba się zdać na Boga i wierzyć. Dlatego protestantyzm upadł, że wszystko oparł na rozumie". — Biskup Hołowiński: „Na rozumie, który może o jednej i tejże rzeczy wnioskować równie dobrze w najprzeciwniejszych sobie względach". — Cesarz: „Na Zachodzie są dwie ostateczności: albo fanatyzm, albo bezbożność". Dalej po niemiecku do biskupów polskich: „Wy jesteście sąsiadami przewrotów; to być powinno dla was nauką; starajcie się wpajać

wiarę". — Biskup Goldman: „Staramy się". — Cesarz: „Nie dosyć słowem, ale i własnym przykładem. Słyszałem, że władza duchowna w Królestwie jest uciśniona". — Biskup Goldman: „Nie, Najjaśniejszy Panie"! — Cesarz: „Władza duchowna jest osobną od świeckiej, nie chcę jej tamować; owszem, pragnę aby działała całą swą mocą. U was w Polsce rozwody są częste; będąc w Rzymie, mówiłem o tem papieżowi, który się dziwił temu; prosiłem go, aby sobie kazał podawać wiadomość o rozwodach. Właśnie teraz Rzym potrzebował wiadomości o jednym rozwodzie — to z twojej dyecezyi (do biskupa Fiałkowskiego". — Biskup Fiałkowski: „Jestem temu najprzeciwniejszy". — Cesarz: „A dlaczego pozwalasz? nie uważajcie na to, co mówią pany; u nas są niczem pod prawem". Obracając się do biskupów cesarstwa: „U nas niema rozwodów, i Rzym podobnej wiadomości od nas nie potrzebuje. Wiara i przysięga u was osłabione" (do bb. polskich). Biskup Goldman: „Nadto często wymagają przysięgi, przez to powszednieją". — Cesarz: „Kto"? — Biskup Goldman: „Rząd". — Cesarz: „Rządem ja jestem; przysięgi, wymagane przez rząd, nie są zbyteczne. Rozwody są przeciwne prawu Kościoła katolickiego; w tem biskupi rządzić się powinni sumieniem i wiarą, i w czem im nie przeszkadzam". — Biskup Hołowiński: „Jest to jeszcze skutek wieku niewiary, co nie łatwo od razu stłumić". — Cesarz: „Tak jest; pragnę wzmocnienia wiary". — Biskup Goldman: „Pod Twoją opieką będziemy się starali". — Cesarz: „Co do mnie, jestem zawsze gotów wszystko zrobić; w tem wolne mam sumienie; jeślibyście jaką przeszkodę w kim doznali, odnoście się do mnie. Wytężam całą mą władzę (tu wyciągnął prawicę ze ściśniętą dłonią), wstrzymam tę powódź niewiary i buntu, szerzącą się i wkradającą się nieznacznie do mego kraju. Duch rewolucyi wszędzie się wszczyna z bezbożnością. Na Zachodzie nie ma wiary i dlatego przysięgam, że jeszcze gorzej będzie". „Czy byliście w akademii"? (do bb. polskich). — Biskupi: „Byliśmy". — Cesarz: „Jakże"? — Biskupi: „Wszystko znaleźliśmy najlepiej". — Cesarz: „Starajcie się aby i u was było to samo; właśnie dlatego przybył tu rektor akademii warszawskiej (ks. Butkiewicz), aby się z blizka przypatrzył urzą-

dzeniu i sposobowi uczenia, ale go oczernili przed papieżem". Do metropolity: „Dotąd żyliśmy dobrze i spodziewam się, że tak na zawsze zostaniemy" — przy tych słowach pocałował go cesarz w rękę i innym biskupom się skłonił, a do bb. polskich rzekł: „Życzę szczęśliwej drogi, na wiosnę w Warszawie zobaczymy się". Po tej audyencyi biskupi polscy wkrótce pojechali do domu. Biskup Żyliński także zaczął wybierać się; biskup Borowski wreszcie, jako niedostatni wstrzymał się, nim nabędzie pojazd do podróży [1].

II.

Najjaśniejszy Pan darował biskupowi Wołonczewskiemu 1000 rs., pierścień brylantowy kosztujący 823 rs., mitrę i pastorał. Dnia 3 marca (1850 r.) nowy biskup otrzymał urzędowe zawiadomienie, że cesarz Jego Mość dozwala mu audyencyi osobistej, na którą przeznacza 5 dzień marca. Jakoż za zbliżeniem się tego dnia rzeczony biskup i pojechał do zimowego cesarskiego pałacu. Przez każdy pokój przeprowadzała go miejscowa służba, dopóki nie wprowadziła do udzielnego gabinetu, gdzie się znajdował sam wyłącznie monarcha. Tu Najjaśniejszy Pan podając rękę biskupowi, rzekł w języku rosyjskim: „Gdzie was pierwszy raz widziałem?" Odpowiedział biskup: „Roku 1844 miałem szczęście być przedstawionym Waszej Cesarskiej Mości w duchownej Akademii jako profesor; później byłem rektorem w seminaryum wornieńskiem, dopiero z łaski Waszej Cesarskiej Mości biskupem, za co pokornie dziękuję". — „Nie trzeba tego — rzekł cesarz — my jesteśmy kontenci, żeśmy znaleźli ludzi, na których spuścić się można. Czy długo byłeś w Akademii?" — Odpowiedział biskup: „Lat pięć, Najjaśniejszy Panie!" — Cesarz: „Kraj, w którym mieszkasz doznaje wiele złego z powodu bliskości cudzego państwa. Udający się pokryjomo za granicę nieraz ulegają karom, tracą życie i robią nieszczęśliwemi całe rodzeństwa". — Biskup: „W rzeczy samej i pod względem moral-

[1] Z rękopisu ś. p. biskupa M. Wołonczewskiego p. t. „Rozmaite wiadomości zebrane", nr. 118, str. 135—139.

nym wiele złego stąd wynika: albowiem pojmani chcąc ujść zasłużonej kary, rzucają się do rozmaitych wybiegów, kłamstw i krzywoprzysięstw". — Cesarz: „To pod względem moralnym, lecz mi najwięcej o to chodzi, aby się nie wkradał do państw moich duch cudzoziemski, i dlatego zalecam biskupowi, aby też wpływem swoim zapobiegał uczęszczaniu poddanych Naszych do Prus". — Biskup: „Będę się starał, Najjaśniejszy Panie". — Casarz: „Jaki jest duch Żmudzi w obecnym czasie? Roku 1831 kraj ten Nam się przeniewierzył". — Biskup: „Prawda, Najjaśn. Panie, lecz Żmudź nigdyby tego nie uczyniła, gdyby nie rozruchy w Polsce wzniecone. Obywatele nasi, po większej części Niemcy, poszli za przykładem Polaków; i lubo to do mnie nie należy, jednak ręczyć mogę i ręczę, że więcej tego nie zrobią. Chybaby weszła cudza potencya i rozkazała mieszkańcom wziąć się do broni". — Cesarz stuknął ręką o stolik i rzekł: „Ja cudzej potencyi nie boję się, lecz gorszą jest wojna domowa." — Potem z twarzą bardzo łagodną skłonił się i rzekł: „Прощайте епископъ". Chciał pocałować rękę biskupa, lecz ten, mając subjekcyę, nie dał. Po tej audyencyi zaraz biskup pojechał do JW. Ministra Perowskiego i Dyrektora Skrypicyna, dla opowiedzenia, wedle przyjętego zwyczaju, całej rozmowy z Najjaśn. Panem. Później oddał pożegnalne wizyty ministrowi Perowskiemu, Bludowowi, Neselrode, metropolicie Dmochowskiemu i t. d. i zaczął wybierać się w drogę [1].

III.

Kochany Biskupie Dobrodzieju!

Wiesz już, że 1-go 8-m Najjaśn. Pan pozdrowił mię przysłanym palliuszem. 11-go 8-m byłem na audyencyi u N. Pana w Carskosielskim pałacu. Łaska i dobroć otaczały go nadzwyczajnie, był najpoufalszy jakby nie był cesarzem. Prosił mnie siedzieć obok siebie i my kwadranse rozmawiali. W ciągu rozmowy oświadczył mnie, że mię zawsze lubił, że ma we mnie

[1] Z rękop. ś. p. biskupa M. Wołonczewskiego p. t. „Rozmaite wiadomości zebrane", nr. 126, str. 152—153.

ufność. Dziękował mi za Akademię i Biskupów: „Bo wiem — rzekł — że są z twej ręki“. Szczególniej chwalił uległość duchowieństwa: „Ty jesteś — mówił dalej — głową katolickiego Kościoła w Rosyi, pilnujże, aby wszyscy oddawali Bogu, co jest Boskiego, a cesarzowi co jest cesarskiego. Odpowiadasz przede mną za biskupów i za duchowieństwo“. — Odrzekłem: „Będę się starał w duchu miłości braterskiej przewodniczyć“. — Na co cesarz: „Nie, ale *pakrjepcze,* bądź ostrożnym; żem cię młodego wyniósł, masz zazdrosnych między świeckimi, a co gorzej między duchownymi“ (zda się tu była aluzya do Kana i innych prałatów, co się dobijali o moje spadki, myśląc, że już nigdy nie wstanę). Odrzekłem, że łaska Jego rozproszy niechęć zawistnych świeckich; a co się tyczy duchownych, to sam potrafię dać im radę. Uśmiechnął się i rzekł: „Wiem, wiem, że masz energię w zarządzie, tylko *pakrjepcze*“, i to słowo często powtarzał. Wreszcie mówił o Europie, o Włoszech i t. d., i wstawszy, wziął pudełko z palliuszem, i rzekł: „Oto palliusz od papieża przysłany; pierwszy to raz dla zrobienia ci przyjemności wręczam sam to godło *wierchownawo pastyrstwa,* ale spodziewam się, że będziesz pamiętał, że z rąk moich odbierasz“. Objął mię wpół i kazał siebie cztery razy pocałować w usta, wreszcie przeprowadził i pożegnał najczulej. Oto masz wyraźny cud opatrzności Boga.

Spodziewam się 4. 9-m. włożyć palliusz; pomódl się za mnie, bo wiele, wiele chmur przewiduję [1]. Ks. B. Żyliński został wezwany. Mój przyjacielu kochany, w czasie swych objazdów nie pozwalaj żadnych wystaw ani przeprowadzeń: były tu doniesienia: starałem się zatrzeć i teraz bądź spokojny. Ale nadal czuwaj pilnie, bo tu się chmurzy bardzo. Polecono mi uprzedzić ciebie, mój drogi, że przedstawionego na kanonika nie utwierdzą, bo misyonarz; ale chcą koniecznie kogo z Akademii: mnie się zdaje, że Bereśniewicz [2] jak rektor może być przedstawiony:

[1] Jak widać z notatek ś. p. biskupa Wołonczewskiego, włożenie palliusza miało miejsce nie 4 lecz 11 listopada r. 1851.

[2] Obecny biskup kujawsko-kaliski.

więcej będzie miał potrzebnej powagi w seminaryum. Zresztą jak sam raczysz rozpatrzyć. Minister przez grzeczność, żeby ci nie dać odmownej odpowiedzi, będzie milczał, ale ty sam drugi raz kogo innego przedstaw: bo zawsze lepiej, żeby był kanonik, jak nie. Druga prośba rządu, abyś tam jakiemuś zakonnikowi pozwolił prosić Rzym o sekularyzacyę; nie wiem jaki to interes, ale jeśli nic ważnego niema, to zrób to dla rządu; wszak Stolica Apostolska często daje sekularyzacyę. Zawsze twój najczulej przywiązany

brat i sługa

13. 8-bris † *I. Hołowiński Electus ABiskup*[1]

IW Biskupowi
Żmudzkiemu

[1] Ze zbioru listów, pisanych do ś. p. biskupa M. Wołonczewskiego przez rozmaitych wybitniejszych mężów współczesnych oraz dostojników Kościoła.

KATORGI NA SACHALINIE.

(Ciąg dalszy).

II.

„Jarosław“ przebył spalone słońcem afrykańskie wybrzeże, napoił się wonią kwiatów Ceylonu, przejechał wzdłuż cudnych brzegów Japonii hen, hen na północ, aż 16-go kwietnia (star. sł.) ukazały się zimnym wichrem chłostane, śniegiem pokryte skały Sachalinu. W okienku „gabinetu“ był ścisk — skazańcy z bijącem sercem wpatrywali się w ponury szmat lądu, mający im służyć za czyściec na ziemi. Statek wpłynął w cieśninę La Pérouse'a; kołysanie wzmogło się. Na lewo sterczała latarnia krytyońska, na prawo fale rozbijały się o „Skały Niebezpieczeństwa“. Na przodzie płynął pas lodu; lodowce pokrywały widnokrąg. Sachalin, liczący 65.600 kilm. kw., leży między 46° a 56° szerokości północnej, jest zatem na tej samej wysokości co nasza Polska, ale ma klimat stokroć zimniejszy z powodu sąsiedztwa olbrzymich zmarzniętych przestrzeni Sybiru, oraz słabości ciepłego japońskiego prądu, który ani w setnej części nie oddaje tych usług co Golfstrom, poczynając się bowiem w pobliżu wyspy Luzon, a następnie z dwu stron opływając Japonię, tu już znacznie ochładza się przeciwnymi prądami z północy, a nadto skręca w bok na prawo od Sachalinu, dążąc przez Aleuty w okolice bieguna. Sachalin ma już cechę bardzo północnych ziem.

Cieśnina La Pérouse'a oddziela koniec wyspy od północnej Japonii; wschodnią zaś jej stronę wzdłuż całej długości grodzi

od Syberyi cieśnina Tatarska. Wązka ona lecz straszna. Brzegi skaliste i niebezpieczne zdradzieckie, dno — gładka i równa skała, w którą niepodobna zarzucić kotwicy. W zimie zamieć, w lecie mgła, nie dozwalają dojrzeć szczytu własnego masztu. Wśród największej ciszy nagłe zrywają się burze, wśród których trzeba na gwałt uciekać na morze, bo na całem zachodniem wybrzeżu nie masz ani jednej znośnej przystani. Na wyspie góry, ciągnące się z północno-wschodu na południowy zachód, wyglądają jak ogromne zastygłe fale. Wijący się ich grzbiet jak igłami najeżony, pokryty gęstą tajgą sosnową. Brzeg wysoki, urwisty, niedostępny, a po jego zboczu zygzakami idą żółte warstwy gliny, ciemno szare węgla, białe piaskowca, gdzieniegdzie przegląda rdza rudy żelaznej. A na wierzchu — tajga. Jodły i sosny nagie, zupełnie pozbawione gałęzi tam, gdzie wiatr ma dostęp. Rosną tylko z jednej strony. Wierzchołki sosen wydłużyły się w kierunku wiatru jak dym z komina na parowcu. Te drzewa olbrzymie jakby wyciągnęły ręce i usiłują uciec od brzegu strasznego, od tego surowego, zimnego morza i wiatru.

Idźmy w głąb. Tylko połamane gałęzie chrzęszczą pod nogami. Gdy staniesz nic nie słychać; ani śpiewu ptaków, ani żadnych innych głosów. Przykro jak w świątyni pustej. Idźmy jeszcze dalej w tę krainę wiecznego milczenia. Oto już i światła niema. Mrok dokoła. Rzekłbyś ogromny boabab stoi na dziesiątkach pni. To wiatr powiązał wierzchołki sosen w jeden ogromny wierzchołek, pootrząsał gałęzie i szpilki. Powstał szczelny dach, po którym, zdaje się, możnaby chodzić.

Tutaj coś pognębia, przygniata. Ciężko nawet drzewom. Tutaj są chore nawet te olbrzymy. Pnie ich pokrzywione chorobliwemi narośla mi. Taki jest obraz przyrody Sachalinu północnego. Onoru. Przed 27 laty chodziły tu niedźwiedzie i Gilakowie nieszczęśliwi, zdziczeli pod względem umysłowym i moralnym, stojący może nie wiele wyżej od swoich towarzyszów w tajdze. Nie na próżno wierzą Gilakowie, że niedźwiedzie mają taką samą duszę jak oni"... Dziś w Onorze, na tej ziemi niedźwiedzi i Gilaków stoją rozrzucone gdzieniegdzie osiedla Europejczyków. Chaty po większej części rozwalone i puste, rzadko gdzie na-

potkać można człowieka. Osiedleńcy, wyrokiem sądowym pozbawieni praw cywilnych w ojczyźnie, muszą chaty budować, chcąc tu uzyskać przywileje stanu włościańskiego i po skończonym terminie osiedlenia módz udać się na stały ląd. Sybir, Kamczatka, są wobec Sachalinu ziemią obiecaną. Oczekując na upragnioną chwilę wyjazdu, żyją, spychając każdodzienną nędzę, uprawiając z trudem ziemniaki, jedyny owoc, jaki im nieubłagana ziemia wydaje. Żyją samotni, w ponurem milczeniu, każdy z biedą swoją w sobie zamknięty.

Stąd droga ku południowi ciągnie się wzdłuż wyspy z góry na górę, usiana groźnemi wspomnieniami wypadków i zbrodni: tu zastrzelono człowieka, tam zamieć matkę z dzieckiem zdusiła i t. p. Że jednak konie sachalińskie rącze są i wytrwałe, można szybko ponure miejsca pomijać. Zwolna więc widok kraju się zmienia. Góry bardziej pochyłe, doliny szersze, jasna zieloność liściastych drzew odbija miejscami na ciemnem tle sosnowych lasów. I słońce cieplejsze, podczas gdy tam u góry przy końcu maja śnieg czasem na łokieć wysokości pokrywa ziemię, tu widać go już tylko gdzieniegdzie w cienistych zakątkach dolin. To okręg tymowski, stanowiący środkową część Sachalinu. Osiedla gęstsze, nieco mniej nędzne, widać pola i woły u pługa. Gdyby lato trochę dłużej trwało, możnaby tu żyć jako tako: ale te urodzajne przestrzenie to tylko oazy, wyspy wśród moczarów i tajgi. Poza niemi ku południowi ciągną się głuche turdry, olbrzymie torfowiska porosłe rudym wrzosem, wydającym zapach odurzający, podobny do woni cyprysów. Im dalej w głąb tem mokrzej; w zimie tylko można reniferami tędy przejechać. Szczęściem jednak i tundra i moczar mają swoją granicę, poza którą znajduje się kraj dla ludzi sposobny, okrąg korsakowski, Sachalin południowy. Tu przynajmniej jest suchy grunt pod nogami i roślinność bujniejsza i klimat mniej ostry. Tu praca ciężka trochę się opłaca. Wiosna wcześniejsza. Na północ ciągną sznury łabędzi. Biała smuga wlecze się w morzu dwie wiorsty od brzegu jak rzeka mleczna płynie i pozostawia ikrę śledzi. Ptaki gwizdżą i śpiewają w tajdze. Przecież jest tu jakieś życie, słońce, światło...

A jednak i tu smutno, bo gdzież na Sachalinie wesoło? „Powietrze przepełnione ciężkiemi westchnieniami, w nocnym głosie ptaka słychać jęk. Tutaj wiele krwi przelali ci nieszczęśliwi, co zarzynają się za pieniądze... Dużo tu było występku i pracy. Wszystko tu trzeba brać przemocą. Grunt Sachalinu nic nie rodzi, jeśli nie jest skropiony potem i łzami. W głębi Sachalinu spoczywa mnóstwo bogactw ukrytych. Olbrzymie pokłady węgla kamiennego, nafta, prawdopodobnie i żelazo. Mówią, że jest także złoto. Ale Sachalin zazdrośnie strzeże swoich bogactw, mocno je ukrył i trzyma. Drogę przerywa tajga niedostępna, śmiałka pochłoną trzęsawiska tundry. Żelazem i ogniem musi tu człowiek torować sobie drogę, potem, krwią i łzami oblewać glebę, połowę życia poświęcić na to, aby drugą połowę przeżyć choć trochę znośnie. Oto jaka jest ta wyspa — więzienie“...

Nie tylko jednak przyroda winną jest sachalińskiej nędzy. Winni są i ludzie, a raczej ich brak. Potrzebaby tu osobistości świadomych rzeczy, inteligentnych, obrotnych, energicznych, a wyspa straciłaby swój wygląd pustynny i wyzyskane skarby dałyby obfite żniwo. Dotąd atoli niema tu przedsiębiorców poważnych; ci, których fala życia przyniosła, to rozbitki, nie mający już innego na świecie oparcia, rzucający się tu na pracę, o której wyobrażenia niemają. Tak np. gospodarstwo rybne, stanowiące najobfitsze bogactwo kraju a mianowicie połów śledzi, powierzony był, w braku innego, młodemu człowiekowi, który był rachmistrzem kantoru w Astrachanie, następnie rzucił pióro dla skrzypców, zarabiał na życie przy pomocy jarmarcznej reklamy i z temiż skrzypcami na plecach przywędrował na Sachalin. W kantorze „widział był, jak ryby solą“, więc mu powierzono przedsiębiorstwo, mianując go „dozorcą technicznym“ nad procederem rybnym dla więzień. Wynikiem było, iż pierwszy przypływ śledzi przeoczył, do drugiego wziął się niezdarnie tak, iż cała ryba się popsuła i trzeba było wszystko wyrzucić; za trzecim razem śledź się przechował, ale tak okropny, że go nikt nie chciał tknąć. Lepiej już robią ze swym rabunkowym gospodarstwem rybacy japońscy, którzy śledzie łowią masami,

gotują w kotłach i zamieniają na nawóz — przynajmniej na coś się przyda.

Głównem ogniskiem życia na wyspie jest okrąg Korsakowski; odcięty od centrum administracyjnego tundrami i tajgą, rządzi się po większej części sam: jest to, jak mówię, Sachalin na Sachalinie. Tam panują osobne porządki, a nawet osobna jednostka monetarna. Jest nią butelka gorzałki, a raczej czek na gorzałkę. Wszelkie transakcye handlowe odbywają się za pośrednictwem spirytusu. Handlować wódką ma prawo tylko człowiek uprzywilejowany, kupować zaś w nieokreślonej ilości jedynie ludzie „wolnego stanu". Osiedleńcom wolno kupować za gotówkę gorzałkę tylko przed świętami, w ciągu roku zaś za czeki, wydane przez ludzi wolnych. W handlu butelka kosztuje 1 rs. 25 kop.; cena rynkowa waha się od 2 rs. do 6 rs. Czeki krążą tak samo jak asygnacye. Za te kwitki pp. „inteligentni" kupują wszystko d a r m o, dają tylko osiedleńcom możność handlowania wódką i rozpajania katorżników. Osiedleniec bowiem otrzymawszy kartkę, kupuje wódkę za własne pieniądze i najczęściej odsprzedaje ją z zyskiem, lub też samą kartkę spieniężа.

Pewien przedsiębiorca, który niegdyś był właścicielem ziemskim, potem fabrykantem mydła, potem znów redaktorem czterech z rzędu dzienników (między innymi *Echa Moskwy*), następnie rodzajem faktora dla slug i przewodników w Argentynie, Chili, Kalifornii, a wreszcie dostał się na Sachalin jako dozorca osiedleńców, usiłował skorzystać z systemu na wódkę, stosując go do robót skarbowych. Płacąc czekami, zbudował cerkiew, szkołę, dom dla urzędników przyjezdnych; dla osiedleńców zakłada nowe wsie, warstaty, nauki rzemiosł, wyrabia pługi dotąd zastępowane motyką. Działa on zapewne w dobrej wierze, używając wszelkich sposobów, aby wysłużonym przestępcom wynaleźć możność zarobkowania, dzieli ich przytem według narodowości: „Wielkorusinów osadza z Wielkorusinami, Małorusinów z Małorusinami, Polaków z Polakami, Niemców z Niemcami, aby im było weselej"... Ale nie obliczył tego, że spekulacya jego okaże się zgubną, że czeki wódczane, ukazując się w wielkiej liczbie, spadną z ceny w stosunku z rubla na grosz.

Osiedleńcy ujrzeli się zrujnowanymi. Takim jest przemysł, takim wpływ cywilizacyjny ludzi wolnych na Sachalinie... Zobaczmy, jaką jest katorga.

„Jarosław“ przybił do brzegu.

Korsakowsk, gdzie miał wyrzucić swój żywy ładunek europejskiego cierpienia i błota, leży w głębi zatoki La Perouse'a, w samej paszczy sachalińskiego smoka. Zrazu w niczem nie przypomina katorgi. Czyni raczej wrażenie miłego, czystego miasteczka, wspinającego się na zielone wzgórze — najwyżej stoi więzienie. Ale pomimo pozoru budynków, autor na samym wstępie odniósł bolesne wrażenie. U brzegu gromady aresztantów pracowały, nucąc leniwie, jakby przymusowo, jakąś piosenkę. Jedni spuszczali do wody łódź, inni niewód z rybami wyciągali bezmyślnie, obojętnie, bez najmniejszego zajęcia w połowiu. Dalej toczył się ciężki wóz z nawozem, ciągniony przez skazańców w kajdanach. Z poza krat patrzały okna więzienne szaro i brudno. Na froncie więzienia stoi szpital, a naprzeciwko szpitala trupiarnia.

W turmie korsakowskiego posterunku są istotnie cztery oddziały: więzienie „wolne“, kajdanowe, szpital i cmentarz. Doroszewicz rozpoczyna od opisu szpitala; tu już nie czyściec, jak na okręcie, ale istne piekło dantejskie. Budynek szczupły, lichy, brudny. W braku miejsca część chorych leży na korytarzach w bieliźnie brudnej, niedostatecznej, rzadko pranej, bo większa część wydzielonego mydła ulatnia się gdzieś, zanim dojdzie do przeznaczenia. Zaduch okropny, jęki cierpiących, charczenie konających i wrzaski waryatów. Leżą razem suchotnicy, chorzy na świerzb, na tyfus, ranni, dokoła nich krążą obłąkani, a wśród tej otchłani cierpienia, młody i sympatyczny lekarz radby z siebie skórę zdjął, by nieszczęśliwym dopomódz, a niema nawet waty czyszczonej do opatrunków! Inne lekarstwa są, ale brak najważniejszego — powietrza i miejsca: niema lokalu na oględziny chorych, krom sionki wychodzącej w podwórze i to przez zimę przy sachalińskich zawiejach i mrozach. O pokoju operacyjnym nawet mowy niema. Dla dokonania lżejszej operacyi trzeba chorego przenosić do szpitala wojskowego, w cięż-

szych wypadkach przewozić do posterunku aleksandrowskiego, do którego przez 6 miesięcy w roku niepodobna dostać się lądem. Morzem zaś, trzeba czekać na przyjazd parowca, który nigdy nie przybywa przed kwietniem. Najcięższą jednak plagą dla chorych, jak i dla lekarza, są obłąkani, wszyscy niemal dotknięci manią wielkości, połączoną najczęściej z manią prześladowczą. Dwóch z nich tylko dla braku miejsca, trzymać można osobno, z tych jeden, stary żołnierz, wyobrażający sobie, że jest feldmarszałkiem, bezustannie skazuje ludzi na powieszenie, rózgi i t. p., drugi, oślepły starzec, domaga się od doktora, aby mu nowe oczy dorobił. I biedny lekarz obiecuje potulnie, cierpliwie słucha piorunujących groźb i szalonych krzyków, ratuje chorych, gdy im który szaleniec ściąga okrycie. Do niego też należy wydawanie świadectw, wymaganych przed wymierzeniem kary cielesnej. Niema się czego dziwić, jeśli w takich warunkach nerwy i siły stargają się prędko, jeśli jeden po drugim szczery pracownik, przybyły na Sachalin z sercem pełnem najlepszych chęci, musi po niejakim czasie ustąpić, nie chcąc sam popaść w obłęd albo w suchoty. W oddziale żeńskim nieco jest czyściej, ale i tu kobiety w połogu leżą wśród waryatek i zaraźliwych chorób.

Na innych posterunkach sachalińskich, w Aleksandrowsku, Rozkowsku, autor widział porządnie i prawidłowo urządzone szpitale — miejmy nadzieję, że w korsakowskim zajdą zmiany na lepsze. Tymczasem jednak wspomina o t. zw. Rewirze, drugim korsakowskim szpitalu, przeznaczonym nie tak dla chorych, jak dla niezdolnych do pracy, dla nieuleczalnych kalek. Tu zda się jeszcze jest gorzej niż w istotnym szpitalu, gdyż zamknięci biedacy obsłużeni są przez lekarza starej daty, wzdychającego za dawnym porządkiem a raczej nieporządkiem i uznającego rózgi za najlepszy środek umoralnienia ludzi. Dla urzędników jemu podobnych bardzo jest nie w smak, że gubernator nadamurski, generał Merkazin, bardzo nie lubi chłosty i rozkazuje stosować ją tylko w razach koniecznych. Że te „rzeczy konieczne“ zdarzają się częściej, niż gdyby gubernator był na posterunku obecnym — to pewna; zawsze jednak lepiej jest niż bywało.

Uczucia ludzkości zwolna przełamują spiętrzone zapory zaśniedziałej rutyny i głupstwa.

Czytając sprawozdanie p. Doroszewicza, nie można opędzić się myśli, o ile Siostry Miłosierdzia lub inne zgromadzenie duchowne byłoby tu korzystniejszem od wszelkiego świeckiego działania. Wobec tak strasznych trudności, tylko miłość Boża zdoła w dostateczną moc uzbroić człowieka. Toż na Sachalinie usiłowała pracować nad nauczaniem dziewcząt panna Naumow, przybyła z dwiema towarzyszkami, pełna zapału, marząc o szkołach rzemieślniczych, o klasach niedzielnych. Istotnie założyła przytułek dla dziewcząt, który dziś jeszcze istnieje, ale, złamana zaporami wszelkiego rodzaju, skończyła samobójstwem. Z jej towarzyszek jedna dostała obłąkania, druga wyszła za byłego felczera, skazańca. I na tem skończyła się cała próba akcyi humanitarnej. Pannę Naumow pogrzebiono na korsakowskim cmentarzu, piękny wieniec blaszany posłany na jej grób przez gubernatora wisi w zarządzie policyi, boby go inaczej skradziono", a mogiły jej wśród mogił skazańców niepodobna rozeznać.

Nie wiedzieć co smutniejsze, czy szpital, czy ów nieopodal na wzgórzu przy latarni morskiej leżący cmentarz: małe pagórki, na których sterczą tylko jakieś kije zamiast krzyżów. Prawie na żadnej mogile niema całego krzyża. Przeważnie zaś nic niema.

„Któż to?"

„Osiedleńcy na podpałki ściągają. Do tajgi lenią się iść więc stąd biorą"...

Nad tymi pagórkami mogił bezimiennych panuje za wysokiem ogrodzeniem krzyż z żelaza lanego na obłożonej kamieniami mogile kupca Timofijewa.

„Zarżnięto go" — objaśnia furman.

„Za co?"

„Za pieniądze!" — I pomyślawszy trochę objaśnia dokładniej: „Miał, powiadają, pieniądze. Za to właśnie zarżnięto go. Tutaj długo nie czekają"...

Obok starych mogił cały rząd dołów wykopano na zapas, korzystając z czasu gdy robota mniej pilna. Katorżnicy kopią

własne swe groby, oni też, gdy który umrze, ciągną na cmentarz wóz z trumną. Zdarza się, iż za wozem idzie tylko dozorca z rewolwerem na sznurku u szyi, ani popa, ani modlitwy, ani śpiewu. Co prawda pierwszy taki pogrzeb, na jaki się natknął Doroszewicz, był pogrzebem mordercy i samobójcy: osiedleniec zarznął swą „towarzyszkę“, a potem otruł się tojadem. Zwłoki po kilku dniach znaleziono w tajdze. Tojad jest trującą rośliną, stanowiącą główny skarb katorżnika: każdy z nich nosi przy sobie kawałek korzenia tojadu — na wszelki wypadek. Używają go jednak stosunkowo rzadko, gdy zważymy męczarnie ich życia i porównamy z błahostkami powodującemi codziennie samobójstwa w stolicach cywilizowanego świata. Większość ludzi na Sachalinie zda się gotowa na wszystko; w gruncie jednak boją się śmierci, dbają o przedłużenie choćby na chwilę nędznego żywota.

Co roku przewożą ich na Sachalin dwa do trzech tysięcy: w r. 1895 było ich 2212, w r. 1896—2725. Ci, jak mówiliśmy, podzieleni są na dwie klasy: „doświadczonych“, to jest przeznaczonych do turmy kajdanowej i „poprawianych“, idących na t. zw. „więzienie wolne“. Katorżnicy bezterminowi (skazani na całe życie) muszą przebywać w szeregach „doświadczonych“ lat 8: skazani na więcej jak 20, lat 5; skazani na 15—20, lat 4. Turma kajdanowa stoi zwykle zupełnie odosobniona, otoczona wysokim częstokołem. Przy ścianach chodzi straż, co jednak nie przeszkadza więźniom uciekać w jej obecności. Wstęp ludziom postronnym do tego rodzaju więzienia jest wzbronionym. Skazańców trzymają tam jak zadżumionych, w zupełnem odosobnieniu. Nawet szpitale dla nich są oddzielne. Ale to wcale nie przeszkadza więźniom z oddziałów poprawczych dostawać się do kajdanowego, przemycać tam wódkę, grać w karty. Wynalazczość i przemysłowość katorgi nie ma granic.

Przytem na Sachalinie wszystko się kupuje i to bardzo tanio.

Od wiosny do jesieni, od początku do końca „sezonu ucieczek“, aresztantom „doświadczonym“ golą połowę głowy i okuwają ich w kajdany nożne. A wtedy powietrze sachalińskie, samo przez się nieznośne, napełnia się brzękiem kajdan. Wszystko to

męczy okropnie tych, co o ucieczce nie myślą, męczy, drażni i pcha do rozpaczliwych kroków, o których nie pomyśleliby inaczej.

Praca rozłożona jest prawem według pór roku na 7 do 11 godzin. Norma ta jednak nie zawsze jest uwzględnianą. Zdarza się np. przy wyładowywaniu okrętów, że służba rozpoczęta o 5-ej z rana kończy się o 11-ej w nocy, a wtedy tylko pięć godzin zaledwie do snu pozostaje. Podobnie, prócz niedziel, oraz trzech dni postu i przygotowywania się do Sakramentów, prawo naznacza 14 dni świątecznych bez pracy. Ale i to pozostaje nieraz martwą literą, jeżeli nadjedzie parowiec, lub jeśli kto z przedsiębiorców miejscowych zażąda ludzi do swojej roboty. Pod tym ostatnim względem, prywata czyni liczne w przepisach wyłomy: posyła się np. kilku ludzi mniej do budowania dróg lub spuszczania statku dlatego, że pan X., albo pani Z. żąda robotnika.

Są to nadużycia, które wywołują bunty: skazańcy odmawiają formalnie posłuszeństwa, żądając, aby się trzymano przepisu; bunt znów wywołuje środki uśmierzające, na których cierpią winni i niewinni, te znów wywołują rozgoryczenie i tak wciąż w kółko:

„Oto do czego doprowadza humanitarność — skarży się gniewnie inspektor". Zwierzchność nie lubi ażeby bito. Cóż, proszę pana, mogę z tymi łotrami począć?

Pierwszy lepszy kapitan okrętu lub ajent firmy handlowej, będący w dobrych stosunkach z inspektorem może uzyskać, wbrew prawu, zmianę porządku w pracy katorżników. „Jeżeli do tego — pisze autor — dodamy liche, wcale nie pożywne jadło, odzież i obuwie nie ogrzewające nawet przy niewielkiem zimnie — zrozumiemy, dlaczego cierpliwość tych „doświadczonych" wyczerpuje się, dlaczego wreszcie są ciągle rozdrażnieni. O ile było można, unikałem zwiedzania turmy razem z pp. dozorcami. Przykro mi było słuchać tego, co im w oczy mówili więźniowie. Mówili z takiem zuchwalstwem, o jakiem nigdy nie mieliśmy pojęcia. Z zuchwalstwem ludzi, którzy już więcej niczego się nie boją"... Mówili, bo już cierpieć nie mogli. W więzieniu ry-

kowskiem, w chwili przyjazdu Doroszewicza, takie było rozdrażnienie, że inspektor nie śmiał zrazu wpuścić go do turmy. Skazańcy nie chcieli iść na robotę i siedzieli dzień i noc zamknięci w „numerach“, w powietrzu zatrutem, ciężkiem od wyziewów ciał, rozpaczy i nienawiści. Wyglądali jak dzikie zwierzęta, aż strach było między nimi przechodzić.

W każdym „numerze“, to jest sypialni osobnego oddziału, znajduje się 40—50 tapczanów z nędznym, brudnym siennikiem, zazwyczaj u wezgłowia zamiast poduszki zwiniętym; na środku rodzaj prymitywnego stołu, zlanego resztkami polewki lub herbaty, zastawionego otłuczonymi czajnikami i łyżkami w nieładzie. Na ścianach porozwieszane gałęzie sosny dla czyszczenia powietrza; pomimo tego zaduch, brud, wilgoć i zimno. Woń pleśni zabija zapach sosnowy. Niektórzy ze skazańców za usiłowaną ucieczkę przykuci kajdanami nożnymi do taczek, które po kilka lat mają wozić ze sobą gdy chodzą, umieszczać pod tapczanem gdy śpią. U niektórych tapczanów drzewo zużyło się od łańcucha trzymającego taczki — ważą one zazwyczaj 2 pudy, 80 funtów rysyjskich! Ale i taczki nie przeszkadzają ucieczce, więźniowie bowiem, choć z wielkim bólem i trudem, zdołają ściągnąć kajdany, co i bez zamiaru ucieczki czynią, aby choć co kilka tygodni przez jedną noc odpocząć. Chcąc uciec, kajdany ściągają i wybijają ścianę więzienia, niekiedy bardzo zetloną i zgniłą, jak np. w korsakowskiem więzieniu... „Kajdanowi“ nie wychodzą nigdy na robotę bez konwoju, a strzegący ich żołnierz to zarazem męczennik i kat. Katorżnicy robią wszystko co im natchnie piekielna złośliwość, aby go umęczyć, znudzić, rozdrażnić; on zaś rozwścieczony mści się klnąc i bijąc gdzie może. Czasem bywa rad, jeśli się, sam do katorgi dostanie: „Dzięki Bogu“ — mówił jeden z nich skazany za zabicie katorżnika, a gdy go zapytano dlaczego?

„Ot tak!“ — odpowiedział. „Robota taka sama jak u nich. Także kłody i drwa ciągać trzeba. A jeszcze i pilnuj ich! Każdy ci chce podłość, psotę jakąś zrobić, ‚zasypać‘ [1]. Tylko co patrzeć

[1] „Zasypać“, w żargonie katorżników znaczy zgubić, skompromitować przed władzą.

jak się wpadnie za nich. Trzeba dobrze pilnować, ażeby który nie uciekł i strzedz się ażeby nie zabili. A tknij tylko którego! Sam się dostaniesz pod sąd. Nie! W katordze jakoś lepiej. Tutaj nikogo pilnować nie trzeba. Niech sobie mnie pilnują!"

Katorga umie dokuczyć, godzinami całemi wydrwiwać, a w końcu rozbestwić, aż ci żołnierze, którzy przyszli tu bez złości w sercu stają się gorszymi od katorżników. Między jednymi a drugimi dochodzi do takiej nienawiści, iż sam autor słyszał, jak skazaniec, schwytany w ucieczce, ale zresztą dobroduszny i cichy, nie mógł odżałować, że nie skorzystał ze sposobności, aby zabić konwojowego, a zapytany po co? — odpowiedział — „A cóż oni z nami robią, gdy pojmają!"

Taką jest atmosfera, którą oddycha turma kajdanowa. Rozdrażnieni więźniowie szerzą postrach, który pp. inspektorowie starają się zwykle pokryć pogardą. Można sobie wyobrazić, co się dzieje w więzieniu dla „doświadczonych", oddanych całkowicie opiece dozorców, którzy dawniej byli także katorżnikami. Co się robi w więzieniach napełnionych najcięższymi przestępcami, którzy po całych miesiącach nie widzą żadnej władzy. Jak tam katorżników traktują dawni katorżnicy! — Urzędnicy tłumaczą się obawą o własne życie. A przecież — zauważa autor — chodzą tam bezpiecznie lekarze, chodzi też humanitarny inspektor więzienia aleksandrowskiego i rodziny ich byłyby najbezpieczniejsze, gdyby mogły w turmie zamieszkać. Wina zatem nie jest całkowicie po stronie skazańców. Przecież pomiędzy nimi nie są sami wielcy zbrodniarze, są i tacy, co, pierwotnie skazani na parę lat, „dorobili" sobie długie termina przez oddalenie się i nie stawienie na przegląd, lub coś w tym rodzaju, albo też z więzienia poprawczego zostali przeniesieni do turmy za drobną często winę, jak np. były jeden oficer za to, że nie zdjął czapki przed inżynierem górniczym, lub inny na prośbę żony urzędnika, skarżącej nań, że się do jej pokojówki zaleca. Są wreszcie żołnierze, skazani za brak dyscypliny i dezerterzy.

Przebywszy okres „doświadczania", skazaniec długoterminowy bywa przeniesionym do więzienia „wolnego", poprawczego. Tu również osadzają odrazu skazańców krótkotermino-

wych. Dla tych nie ma kajdan, ani golenia głów; 10 miesięcy liczy im się za rok, dni świątecznych mają, lub powinniby mieć 22. Idą na robotę i pracują bez konwoju, tylko pod okiem dozorcy, a czasem i bez dozoru. Dziwnem jest tylko, że im przypadają roboty najcięższe jak rąbanie i dźwiganie drzewa, ciąganie kłód i t. p., podczas gdy kajdanowym dają roboty lekkie. Prawda, że pracować w kajdanach jest samo przez się męczarnią; ten wzgląd jednak obcym jest zarządzeniu: poprostu władza nie śmie posłać kajdanowych do tajgi, gdyżby na to nie starczyło konwoju. Nie nadmiar pracy wszakże jest najgorszą męką w więzieniach poprawczych. Gdyby ci ludzie wracając z lasu zastali zdrowe jadło, zdrowe powietrze, czyste tapczany i choćby raz w tydzień czystą bieliznę, zaprawdę nie byłoby ich co żałować, boć to przecież przestępcy, którym należy się kara. Więzienie jednak, do którego zmoczeni, zziębnięci lub spoceni przychodzą — to piekło brudu. Tapczany wspólne roją się od robactwa tak, że niejeden woli spać pod tapczanem na deskach, pomimo iż deski te również okryte ohydną warstwą brudu, którego zamiatacze nie wyrzucają nigdy, ale, podniósłszy jedną z desek podłogi, spychają do grubej warstwy błota, na której podłoga spoczywa. Większość skazańców tygodniami całymi nie rozbiera się w dzień ani w nocy, więc gnije na nich odzienie, gnije pod odzieniem skóra. Zdjąć ubrania i rozwiesić, aby wyschło nie śmie nikt, gdyż w mig byłoby skradzionem, a poszkodowany za brak skarbowej kurtki musiałby ponieść grzbiet na „kobyłę“ pod rózgi. I tu podobnie jak w turmie kajdanowej wentylacyi żadnej a przytem wilgotno i zimno. Straszno pomyśleć! Wielu skazańców przez pewien czas po przybyciu nie może jeść z obrzydzenia. „Ażeby dać pojęcie o tej strasznej nieczystości — pisze Doroszewicz — powiem tylko, żem musiał wyrzucić ubranie, w którem chodziłem do więzienia i ostrzydz się przy skórze. Innego sposobu ‚walki‘ nie było“!

Więzienie czyli t. zw. „numera“ są tylko jakoby przytułkiem nocnym dla więźniów. Ale prócz tego są domem gry. Grają tam od nocy do rana, i niektórzy od rana do nocy. „W każdej chwili mogą złożyć bank z kilkudziesięciu rubli. Grają o pie-

niądze i o rzeczy, o porcye chleba z kilku miesięcy, o ubranie skarbowe, które kiedyś ma być dane. Wszystko to można natychmiast realizować u lichwiarzy więziennych, czuwających każdej chwili na miejscu. Grają tam katorżnicy między sobą, przychodzą także osiedleńcy, grają starcy i dzieci. Przy mnie w derbińskiej Dobroczynności więziennej osiedleniec, który przyjechał sprzedać skarbowi kartofle, przegrał otrzymane pieniądze, wóz i konia".

„Poprawiani" nie mają wyznaczonych godzin pracy, ale wyznaczoną robotę. Każdy, gdy swoją część odrobi, może swobodnie wychodzić i robić co mu się podoba, byle wieczorem stawił się na przegląd. Pobobnie każdy obcy ma wolny wstęp do więzienia, co wielce ułatwia sprzedaż rzeczy skradzionych; w tym celu też wisi tam stale gromada osiedleńców, najczęściej Tatarów. Podobna swoboda daje więźniom możność przechowywania u siebie zbiegów lub innych ludzi bezdomnych. Tak np. zbieg z turmy kajdanowej w Aleksandrowsku, Szynokołobow, który urwawszy się od taczki stał się postrachem całej wyspy, za którym napróżno wysyłano całe oddziały, przesiedział całą zimę w więzieniu poprawczem w Rykowsku i otrzymywał porcyę rządową! Katorga nie zdradziła go pomimo nagrody 100 rb. wyznaczonej za jego głowę, więc go władze nie wykryły; gdy się ociepliło wyszedł sobie bezpiecznie i począł na nowo rozbijać. Niektórzy znów najmują sobie między towarzyszami ludzi, którzy prócz swojej, pełnią zadaną im robotę i to nie raz, nie dwa, ale przez całe miesiące. Płacą oni zato niewiele, ale bo też na Sachalinie $1^1/_2$ rubla znaczy więcej, niż w Rosyi 15.

Według prawa, aresztant za dobre prowadzenie się ma po pewnym przeciągu czasu być wypuszczonym z więzienia, może osiąść we własnem mieszkaniu z jedynym obowiązkiem wypełniania zadanej roboty. W praktyce jednak, prócz dobrego prowadzenia się, potrzeba jeszcze pieniędzy. Trzeba nasamprzód opłacić się ex-katorżnikowi dozorcy. Prócz tego władza nie użyczy upragnionej ulgi bez podania na piśmie, a że więzień nie zawsze jest piśmiennym i pozostaje na łasce zawodowych pisarzy katorgi, którzy każą sobie płacić po 2 i 3 ruble, przeto nieraz

musi długo bardzo czekać na chwilę uwolnienia. Szczęśliwsi, uwolnieni, mieszkają zazwyczaj po dwóch na tak zwanej „słobódce katorżnej“ w chatkach tak małych, iż się w nich ledwie obrócić można. W jednej takiej „chibarce“ autor zastał dobrodusznego chłopa z gub. Woronezkiej, skazanego za gwałt popełniony po pijanemu i ponurego, zestarzałego przedwcześnie Polaka, który najął był zabójców do zamordowania żony. W innej żył stary sybirak o atletycznych kształtach i twardej, lodowatej twarzy, dawny gospodarz domu zajezdnego skazany za zarąbanie siekierą swych gości, trzech przejezdnych kupców i furmana; „bies go opętał“ i snać nie opuścił go dotąd. Przy nim zaś znowu jakiś wieśniak rudy, najpoczciwsza w świecie istota, który nawet o swem przestępstwie mówi tak, że niepodobna się nie uśmiechnąć:

„Na zebraniu gromadzkiem było... Chłopa znać nie w miarę bili. A on — r o z g n i e w a ł się i umarł; daj mu Boże królestwo niebieskie, wieczne odpocznienie“!

Czy należącym do „szeregów wolnych“ t. j. mieszkającym osobno, bywa też wydzielaną strawa rządowa — autor nie pisze. Składa się ona przeważnie z chleba, którego dają za mało i polewki czyli „bałandy“, której dają za dużo, tak, że nie tylko niejeden osiedleniec w katordze się pożywi, ale jeszcze dla świń za 5 kopiejek wiadro zakupić może. „Tym sposobem w latach głodu i braku pracy zarobkowej, więzienie wolne karmi nieraz po 200 osiedleńców“...

Że ci, którzy z więzienia pragną się dostać do wolnych szeregów i na to usiłują zasłużyć, stanowią najlepszą, najczystszą część katorgi — to się samo przez się rozumie. Gracze, pijacy, szachraje, znajdują w turmie zaspokojenie swych namiętności, więc też z niej tak bardzo się nie spieszą. Biada tym, którzy nie mają czem się opłacić dozorcy i pisarzowi!

Turma kajdanowa, więzienie „poprawcze“ i „wolne szeregi“, oto główna skala więzienna w sachalińskich katorgach. Wśród tych istnieją jeszcze dwie kary: osobna cela i chłosta. Osobna cela, która nie jednemu z nas wydawałaby się rajem wobec plugawego towarzystwa zbrodniarzy, przez katorżników

uważaną jest za najsroższą mękę. Sadzają tu albo stale wyjątkowych przestępców, lub też chwilowo, za jakąś w turmie pepełnioną winę. Doroszewicz w osobnych celach widział tylko dwóch więźniów. Jednym z nich był Ormianin z gub. Erywańskiej, niesłychanie sympatyczny i potrosze artysta. Ściany swej celi pokrywa obrazami, przedstawiającymi generałów na koniach. Specyalnością jego jest zabijać towarzyszów. W katordze mówią, iż sześciu z rzędu potrafił omamić i skłonić do wspólnej ucieczki, poczem ich zabijał, okradał, za zrabowane pieniądze kupował przysmaki i farby i najspokojniej wracał do posterunku. Policya wykryła tylko dwa trupy, ale i to było dostatecznem, aby miłego artystę zamknięto do śmierci. Drugim był 19 letni młodzieniec Awdiejew, który mając lat 15 zamordował ojca i matkę, oczywiście dla pieniędzy, a teraz jak pies ogryza obramowanie okienka swej celi i woli znosić samotność i chłostę, aniżeli iść do roboty. Nie ma sposobu przymusić takiego, co nie chce pracować: Awdiejew otrzymał już 500—600 uderzeń; wychodzi z celi jedynie na to, aby ledz na „kobyle", wstaje z niej, aby powrócić do celi — wszystko nadarmo!

Dawniej egzekucye chłosty odbywały się o świcie, w obliczu całej katorgi zgromadzonej dla podziału robót. Katorga zaś śmiała się i drwiła z bitego. Czasem też nie śmiała się, ale śledziła z uwagą, czy bity aresztant okaże dosyć odwagi, aby módz być policzonym między „Iwanów", to jest bohaterów, wodzących rej w więzieniu. Był to rodzaj egzaminu... I wtedy wytwarzało się współzawodnictwo: karany zacinał się zawzięcie i milczał tak, że tylko w oczach jego można było wyczytać cierpienie, dozorca zaś zaimał się też, aby go przemódz, kazał uderzać mocniej i rzadziej... Jeżeli biedak jęknął dozorca tryumfował, katorga zaś wybuchała śmiechem: „Obciął się! Nie zdał"! I obitego prócz bólu okrywał wstyd. Czasem znów jakiś hołysz, który, przegrawszy w karty żywność i ubranie, karmionym był z litości szczątkami jadła drugich, wywdzięczał się im, dając podczas chłosty przedstawienie komiczne, wyprawiając śmieszne miny i krzyki. Następnie zaś, tając ból pod heroicznym uśmiechem, zbliżał się do towarzyszy:

„Cóż, dobrze było?“ — pytał...

Musiano dawniej bić strasznie: biedny staruszek oczekujący z niecierpliwością śmierci w „rewirze“ odpowiadał na zapytanie: Ile ma lat?

— Lat nie tak bardzo dużo, ale bicia bardzo, bardzo dużo! Jestem włóczęga; jeszcze na Syberyi zajmowałem się włóczęgostwem. Los chciałem zmienić. Pojmano i tak bito! Ani się położyć, ani wstać... Ciężko tu siedzieć, och jak ciężko! No ale przecież nie wiele już zostało. Teraz nie wiele...

— Co, termin się już kończy?

— Nie — umrę!

Obecnie — jak mówiliśmy — generał gubernator nadamurski Merkazin pozwala na chłostę tylko w ważniejszych wypadkach; egzamina zatem i przedstawienia odbywają się rzadko. Do spełnienia kar wszakże na każdym posterunku musi być oprawca. Oczywiście bywają różni. Kat korsakowskiego więzienia Niedwiediew stał się nim ze strachu. Skazany w Jekaterynodarze na 10 lat katorgi, podjął się w nieobecności miejscowego oprawcy powieszenia dwóch Kaukazczyków; bał się ciężkich robót i bicia i miał nadzieję, że go zachowają na kata. Tymczasem wywieźli go na Sachalin i tu wolał być katem niż zwykłym skazańcem; bał się zemsty Kaukazczyków za braci. Obecnie drży przed każdym, nie śmie nawet przed egzekucyą przyjmować zwykłej łapówki, na którą składają się katorżnicy, aby uzyskać lżejszą karę dla towarzysza. Drży przed chwilą, gdy z upłynięciem terminu pójdzie na osiedlenie, radby ze strachu całe życie katem pozostać, „bo kata przecież się boją!“ Tymczasem jest istotą najbardziej pogardzaną na wyspie; katorżnicy nie raczyliby nawet go zabić, „bo nie warto! Ot tak zbić gdzie dobrze, to i owszem! Ale on, cham, nigdzie nie chodzi!“

„Wie o tem wszystkiem Niedwiediew i wywiera całą swą zemstę, wyładowywa całe tchórzostwo, wypisuje całą swą duszę nizką na grzbietach katorżników, gdy na karę zasłużą“...

Największem szczęściem skazańca jest mieć rodzinę, która za nim na wygnanie podąża. Wtedy i turma i kajdany przestają dlań istnieć. Puszczają go zupełnie wolno na dwa lata, poczem

każą mu wypełniać pewne roboty takie, które mu nie przeszkadzają w gospodarstwie. Piękne to, ale nie zupełnie słuszne, jak zauważa autor, bo w ten sposób nieraz ciężki zbrodniarz używa wolności, a biedny żołnierz, który wobec feldfebla stawił się zuchwale, męczy się i dźwiga kajdany. Szczęściem jest również posiadać wybitny talent lub rzemiosło. Mówiliśmy już o śpiewakach. Podobnie, jeśli jest dobrym tokarzem, ślusarzem lub rzeźbiarzem w drzewie, bywa nie tylko wolnym, ale nadzwyczaj poszukiwanym. W Aleksandrowskim np. rzeźbiarz Keiser nie może obstalunkom nastarczyć; on też wykonywa rzeźby drewniane posyłane do Chabarowska w dowód, jak kwitną aresztanckie warsztaty. Człowiek ten wszakże jest zbrodniarzem i zasługuje na karę. Stąd gorycz u innych, którym przybycie rodziny lub zdolność w rzemiośle nie wydają się dostatecznym powodem takiej różnicy.

Wszelako i tych żonatych los nie jest wesołym, równa się bowiem ze zwykłym losem osiedleńców, a ci, jak widzieliśmy, zmuszeni są nieraz żywić się resztką polewki więziennej. Skazaniec, przebywszy turmę kajdanową, szeregi poprawcze, a następnie wolne, idzie jako osiedleniec według przepisu zbudować sobie gdzieś w kącie tajgi dom, w którym przez lat pięć przymiera z głodu. Wtedu dopiero zaliczonym jest do „włościan wysłanych“ i ma prawo opuścić Sachalin, wyjechać na Sybir, a stąd po 12 latach powrócić w strony rodzinne. Tym sposobem nawet bezterminowy skazaniec, może po otrąceniu skróceń (10 miesięcy liczono za rok) po latach 35—37 wrócić do kraju. Możnaby jednak prawie na palcach policzyć tych, co wracają. Jednych pożre tęsknota, drugich suchoty, inni własnowolnie usiłowaniem ucieczki przedłużają termin kary. W spisie turmy np. można wyczytać: „Skazaniec X. Termin: 15 lat + 10 + 20 + 15“. Są tacy, którzy, biorąc wszystko razem, mają przed sobą 70 lat niewoli. *Notabene* nazwa „katorgi dożywotniej“ nie istnieje — mówi się „bezterminowa“. To ładniej brzmi, choć znaczy to samo.

(C. d. n.).

Teresa Wodzicka.

POJĘCIE LITERACKIEJ KRYTYKI.

(Ciąg dalszy).

KRYTYKA LITERACKA A NAUKA.

I. TAINE.

Pierwsza kwestya, jaka przy poszukiwaniu za właściwem pojęciem literackiej krytyki nasuwa się, jest ta: czem jest właściwie literacka krytyka? Czy, jak chcą jedni, jest ona nauką, czy sztuką, jak utrzymują drudzy, a może jeszcze w innym dziale umieścić ją należy? Kwestya to po dziś dzień nierozwiązana, a jednak od rozwiązania jej zależy wszystko: cel, środki, podstawy, granice krytyki. Oczywistą jest przecież rzeczą, że inny ma się cel przed oczyma i innych używa się środków przy pracy naukowej, innych przy artystycznej twórczości, a i podstawy i granice dwu tych rodzajów są całkowicie odmienne.

Zaczynamy nasze poszukiwanie od najdalszego krańca, do jakiego kiedykolwiek zabiegła krytyka literacka, od metod, usiłujących zamienić ją w system naukowy.

Było to w epoce, w której ogłoszono światu podział historyi ludzkiej na trzy okresy. Dwa z tych okresów miała już ludzkość przebyć: teologiczny, w którym tłumaczono sobie prawa świata za pomocą cudów i nadprzyrodzonych istot i drugi, w którym radzono sobie spekulacyą i abstrakcyjnemi ideami, metafizyczny. Obecnie, twierdził Comte, przybyliśmy już do trzeciego okresu pozytywnego, gdzie będziemy badać tylko fakty

i zjawiska pod obserwacyę podpadające, a wszystkie ścieżki teologii i metafizyki, jako wymykające się z pod ścisłego nadzoru zmysłów i rozumu, pozostawimy na boku. Ciśnie się tu mimowoli pod pióro uwaga o iluzoryczności formułek ludzkich, bo doprawdy rozczarowałby się bardzo Comte do swoich okresów, gdyby już dzisiaj, a więc niedługo po swojej śmierci, na ziemię powrócił.

Niedawne są czasy pozytywizmu francuskiego, który łącznie z angielskim ewolucyonizmem zapanował wówczas nad całą Europą, aby o nich w tem miejscu bliżej wspominać trzeba. Chcemy tu tylko zwrócić uwagę na fakt, najbliżej nas obchodzący, a stanowiący istotne znamię tej epoki, na powszechną wówczas dążność, aby wszystkie dziedziny myśli ludzkiej podciągnąć pod ryzę obserwacyi i eksperymentu. Rozciągnięto tę metodę nawet na taki dział filozofii, jak etyka, a nawet i literacką twórczość pośrednio w rydwan obserwacyi wprzągnięto. Że zaś metoda pozytywna nadaje się jedynie do badań naukowych i w tej sferze jest najzupełniej w swem prawie, więc ściślej tę eksperymentalną dążność pozytywizmu określiwszy, otrzymamy, iż była to dążność do zamienienia wszelkiej umiejętności ludzkiej w naukę, nawet takich umiejętności, które z nauką nic, albo przynajmniej mało co wspólnego mają.

Krytyka literacka aż po czasy pozytywizmu, nie miała jeszcze ściśle określonej metody. Po odwróceniu się od krytyki dogmatycznej postawiono wprawdzie historyę i psychologię, jako dwa jej składowe pierwiastki, ale granice, w jakich te dwa pierwiastki mieścić się mają, nie były określone ściśle. Wynikała stąd dowolność, która z duchem pozytywnej epoki stała w otwartej sprzeczności. Prawie z góry można było przewidzieć, że duch czasu długo tej dowolności nie zniesie i wkrótce jej swoje karby narzuci. Zadania tego podjął się Taine.

Pociągającem byłoby przedsięwzięciem nakreślić literacki portret tego pisarza. Estetyk, krytyk, historyk, psycholog — wielki erudyt i wielki artysta — zaprawiony na Heglu metafizyk, w dziwny sposób z tą metafizyczną spekulacyą łączący cechy pozytywisty i ewolucyonisty zarazem, — umysł obejmujący sze-

rokie widnokręgi i umiejący przez współczucie psychologiczne zapełnić te widnokręgi bujnem, bogatem życiem, a za pomocą wyobraźni ubrać je w mieniące się barwy — wyrasta Taine z epoki pozytywizmu jak rozłożyste drzewo, które, choć pozytywizm przeminął, istnieje dalej i istnieć będzie długo. Przy czytaniu Tain'a trzeba się często irytować na skrajny agnostycyzm, a czasem i na materyalizm; niemile w nim dotyka przesadna systematyczność, która dla jednolitości konstrukcyi filozoficznej potrafi co krok poświęcić historyczną prawdę; to znowu potknąć się często trzeba o fałszywe wnioski pod najściślejszą na pozór formą przemycone, w których siła dowodu zastąpiona jest porównaniem, a jednak mimo to wszystko niepodobna książki z rąk wypuścić, a przeczytawszy ją nie zatrzymać jej długo, silnie wyrytej, w pamięci. Przyczyna tego spoczywa w wielkim talencie pisarskim, tworzącym co chwila uogólnienia idei na wielką skalę, umiejącym uogólnienia te mnóstwem szczegółów umotywować, umiejącym zwłaszcza całą tę konstrukcyę ożywić i przelśnić niezwykłym czarem. Przy dziełach Tain'a odnosi się wrażenie jakiejś wielkiej, szeroko, poważnie płynącej rzeki, mnóstwem statków i galarów zarzuconej, po której brzegach rozścielają się różnowzorzyste pola.

Szczegółowa sylweta pisarza nie należy do tego miejsca. Nie obchodzi nas tutaj Taine ani jako historyk, ani jako psycholog, ani jako estetyk, ani nawet jako literat. Idzie nam tylko o krytyczną jego metodę literacką, jako taką. Charakterystykę osoby zaznaczaliśmy dlatego tylko, aby od razu oddzielić z dyskusyi to, co jako osobista strona autora, czy przymiot, czy przywara, w przeprowadzenie tej metody wkracza. Wiadomo przecież, jak zależne są często losy teoryj, od zewnętrznych im znamion pisarskich autora.

Przypatrzmy się teraz tej metodzie, jak ją Taine w różnych miejscach swoich pism, zwłaszcza w studyum o Lafontain'ie, we „Filozofii sztuki", w przedmowie do „Studyów krytycznych i historycznych" i w introdukcyi do „Historyi literatury angielskiej" nakreślił.

Punktem wyjścia jest wskazana przez nas powyżej dążność

do zamienienia krytyki literackiej w naukę. „Metoda nowoczesna, której staram się trzymać... — pisze w jednem miejscu — polega na tem, aby dzieła ludzkie, a w szczególności dzieła sztuki, rozpatrywać jako fakty i płody, których cechy trzeba oznaczyć, a przyczyn się doszukiwać, nic więcej". Tak pojęta metoda „przedstawia się jak botanika, która bada z równą ciekawością już to drzewo pomarańczowe i wawrzyn, już też sosnę i brzozę; jest sama rodzajem botaniki, stosowanej nie do roślin, lecz do dzieł ludzkich".

W tak postawionej kwestyi nie byłoby jeszcze nic naukowego. Dzieła sztuki jako fakty pojmowano już przecież od czasów Winkelmana i Herdera, oznaczano ich cechy, nawet i w poszczególnych przypadkach przyczyny, a jednak nie było w tem jeszcze nauki. Tak samo porównanie z botaniką, powtórzone za Sainte-Beuv'em, który marzył o przemienieniu krytyki literackiej w jakąś „historyę naturalną umysłów", możnaby wziąć tylko za porównanie i przenośnię, jak to miało miejsce u Sainte-Beuv'a. Ale co innego stanowi istotę usiłowań Tain'a. Idzie mu o wykrycie w dziełach literackich przyczyn, związków i warunków koniecznych i stałych, o zamianie krytyki w umiejętność, któraby stwierdzała prawa, a to już jest nauka. „Pojmowana w ten sposób historya — pisze Taine — a więc zarówno historya właściwa narodów, jako też w szczególności historya niektórych objawów twórczości duchowej, zwana pospolicie krytyką, ze zwyczajnej opowieści, opisującej jedynie wypadki, staje się nauką, która stwierdza prawa".

Rozumiał Taine dobrze, że nauka taka nie może być w tym stopniu ścisłą, jak nauki matematyczne, bo wartości duchowe, jakiemi zajmuje się literatura, nie dadzą się mierzyć ilościowo. „Jedyną różnicą — pisze — dzielącą zagadnienia duchowe od fizycznych, stanowi to, że kierunki i wielkości nie dają się oznaczyć z jednakową ścisłością w pierwszych, jak w drugich. Choć potrzeba jaka, czy zdolność jest ilością, dającą się stopniować tak samo, jak ciśnienie, czy ciężar, to przecież ilości tej niepodobna zmierzyć tak, jak ilości ciśnienia czy ciężaru. Nie możemy ująć jej w formułę dokładną lub przybliżoną; z tego po-

wodu nie możemy mieć ani dać nic innego nad wrażenie literackie; musimy poprzestać na zanotowaniu i przytoczeniu faktów wybitnych, przez które się ona ujawnia i które mniej więcej, w rysach grubych wskazują, na jakiej wysokości skali należałoby ją umieścić".

Lecz nie wszystkie nauki są jednakowej natury; w jednych z nich ścisłość wyższego rzędu, w innych niższego istnieje. Taine choć nie dążył do najwyższej, matematycznej ścisłości, dążył jednak do takiej ścisłości, która już stanowi naukę. W jednym ze swoich listów (à M. Havet) pisze, że nie sądził nigdy, by w historyi i w naukach moralnych były teorematy analogiczne do teorematów geometryi, ale zaraz robi zastrzeżenie. „Historya nie jest nauką analogiczną do geometryi, l e c z d o f i z y o l o g i i i z o o l o g i i. Tak samo, jak są odnośnie stałe, choć nie wymierzalne ilościowo, pomiędzy organami i funkcyami żyjącego organizmu, tak samo są odnośnie ś c i s ł e, choć nie nadające się do oszacowań liczbowych, pomiędzy grupami faktów, składających się na życie społeczne i moralne". Ma więc krytyka literacka posiadać ten stopień ścisłości, jaki w zoologii i fizyologii istnieje. Jeżeli jeszcze dodamy, że przy stawianiu podobnych twierdzeń, powołuje się zawsze Taine na obserwacyę i doświadczenie, to już co do idei jego o krytyce literackiej, jako o nauce, nie może powstać żadna wątpliwość. Zaznaczamy to dlatego wyraźnie, bo istnieją dzisiaj wielbiciele Tain'a, którzy wobec szkopułów, na jakie teorya jego natrafia, usprawiedliwiają go, iż nie pojmował jej jako nauki ścisłej i pewnej.

Jakikolwiek wynik tych usiłowań będzie, usiłowania same w swej zasadzie zasługują na gorące uznanie. Dążą one przecież do nadania jakiejś pewności i ścisłości całemu odłamowi pracy pisarskiej, luźnej, dorywczej i wystawionej, jak żadna inna umiejętność, na kaprys i samowolę osobistą. Kwestya tylko, czy rozwiązania tego węzła dokonać można za pomocą nauki.

Jakżeż teraz Taine swój system przeprowadza?

Naczelna idea, wyłaniająca się już dość jasno z tego, na cośmy dotychczas wskazali, jest ta, że w rzeczach moralnych, a więc i w twórczości literackiej, istnieją, jak w rzeczach fizycz-

nych, jakieś zależności i warunki, i to ścisłe, pewne i dające się ująć w stałe prawa. I jak chemik, porównuje Taine, wziąwszy jakąś materyę, i poddawszy ją pod pewne działania w oznaczonym porządku, dochodzi do wykrycia pewnych zależności, a gdy doświadczenie to wielokrotnie z tym samym skutkiem powtórzy, stawia prawo, tak i krytyk, mając pewne dane literackie, czy to dzieła jakiegoś artysty, czy dzieła jakiejś literackiej epoki, czy nawet literaturę całego narodu, może po dokonaniu odpowiedniej analizy, dotrzeć do pewnych istotnych czynników, od których inne ściśle i stale zależą, konsekwentnie może dojść do praw, rządzących literaturą.

Zacznijmy tę analizę od najniższego stopnia, od dzieł jednego jakiegoś pisarza. Kto chce je dobrze czytać, pisze Taine, podzieli je wedle treści i formy na odpowiednie grupy i w każdej z tych grup odróżni trzy rzeczy: osoby lub charaktery, czynność czy intrygę i styl lub sposób pisania. W każdym z tych trzech działów określi kilku dobitnemi wyrazami odrębności wybitne, cechy panujące, przymioty własne autorowi. Dokonawszy w ten sposób analizy na jakiejś części swego materyału, przypuśćmy na jednem dziele, jeżeli ma jakąś zdolność do tej pracy i wprawę w niej, wpadnie mimowoli na jakieś słowo, czy zdanie, w szczególniejszy sposób silne i znaczące, które zreasumuje całe jego dotychczasowe poszukiwanie i postawi mu przed oczyma pewien odcień smaku i talentu, pewne usposobienie umysłu, czy serca, jakiś zbiór zamiłowań i wstrętów, zdolności i braków, krótko mówiąc, pewien stan psychologiczny, panujący i stały, który cechuje danego autora. W ten sam sposób dokonuje krytyk analizy na innych dziełach tego samego pisarza, wynikające z tej pracy streszczenia zestawia z poprzedniemi a otrzymaną stąd znajomość autora uzupełnia znajomością jego życia, jego poglądu na świat, na dobro, na piękno.

Zbliżamy się teraz do granicy, gdzie zaczyna się już zasada metody naukowej.

Wszystkie z dotychczasowej pracy wyniesione określenia, w których ześrodkował krytyk swe uwagi i sądy, należy ze sobą zestawić. „Jeżeli określenia te są dokładne, jeżeli krytyk umie

dojrzeć uzdolnień i uczuć pod oznaczającemi je wyrazami; jeżeli jego oko wewnętrzne, za pomocą którego wyróżniamy i określamy natychmiastowe odmiany istoty moralnej, jest dość wyćwiczonem i przenikliwem, to zobaczy, że owe określenia zależą od siebie nawzajem, że gdy jedno jest takiem, to inne nie mogły być odmiennemi, że zatem przymioty przez nie oznaczone łączą się ze sobą jak najściślej, że gdyby się zmienił jeden, toby się odpowiednio zmieniły inne; że więc tworzą one system, jak jakie ciało organiczne. Osiągnie on nietylko niejasne poczucie tej wzajemnej zgodności, która harmonizuje różnorodne uzdolnienia umysłu, lecz dojdzie nadto do jasnego jej pojęcia; będzie mógł dowieść drogą logiczną, że pewien przymiot, dajmy na to bujność lub suchość wyobraźni, zdolność krasomówcza lub liryczna, stwierdzona w jednym punkcie, musi przewagę swoją wywrzeć na resztę. Za pomocą ścisłego rozumowania złączy w ten sposób różne skłonności człowieka badanego w szczupłą liczbę uzdolnień kierowniczych, z których się tamte wywodzą, i które je tłumaczą, i ujrzy widok cudownych konieczności, wiążących ze sobą niezliczone, różnobarwne, zgmatwane nici każdej istoty ludzkiej".

O tych „cudownych koniecznościach", które, gdyby były w tych granicach, w jakich je pojmuje Taine, prawdziwemi, stanowiłyby już niechybnie jakieś naukowe prawo, trudno w tem miejscu nie rzucić mimochodem sceptycznej uwagi. Kiedy zanalizowało się stan psychiczny jakiegoś pisarza i określiło dokładnie jego przymioty, to chcąc być ścisłym, stwierdzić tylko można istnienie tych przymiotów, ale ogólniejszego prawa, co do kombinacyi talentów i umysłów, że gdy jedna strona psychiczna jest taką, to inne nie mogą być odmiennemi i, gdyby jedna się zmieniła, to i inne zmienić się muszą, prawa takiego postawić nie można. Z pomiędzy wielu racyj przytaczamy dwie. Krytyka literacka zajmuje się głównie wybitniejszymi pisarzami, otóż faktem naocznym jest, że prawie każdy wybitny pisarz jest, pod niejednym względem, jedynym w swoim rodzaju. Pewne przymioty ma wspólne z innymi, pewnych, które inni mają, mu

brak, za to posiada inne dane umysłu i serca, których w drugich napróżno szukaćby przyszło. Jakżeż tu wobec tego ogólnie twierdzić można, że gdy jeden z przymiotów jest taki, to inne nie mogą być odmienne. A potem, ileż to istnieje umysłów, których kombinacya psychiczna jest wprost nieprzewidziana; albo przymioty łączące się w ich duszy są w zwyczajnym porządku rzeczy bardzo od siebie odległe, albo nawet sprzeczne i kłócące się z sobą. Czyżby, naprzykład, na mocy tego prawa Tain'a można z góry orzec, że tak sprzeczne dwa systemy, jak metafizyka i pozytywizm zespolą się w uzdolnieniu jednego pisarza, a jednak zespoliły się one w umyśle samego Tain'a, z silnym jeszcze naddatkiem wyobraźni i poetyczności. Zapewne, jest jakaś cząstka słuszności w całem tem twierdzeniu, o czem niżej powiemy, ale ta cząstka ma taką warunkową wartość, że wobec tego o naukowem prawie mowy być nie może.

Doszukiwanie się to ścisłych zależności i warunków w dziełach jednego pisarza jest jeszcze kombinacyą dość prostą. Prowadzi nas teraz Taine dalej, do wypadków bardziej złożonych i ogólniejszych, jakimi są studya o jakiejś szkole, naprzykład, dramaturgów angielskich, czy hiszpańskich, lub o całej jednej cywilizacyi, jak cywilizacyi starożytnego Rzymu. Wskazawszy znowu, że należy poklasyfikować fakty na pewne grupy, grupy te określić i określenia te ze sobą zestawić, sam przyznaje, że przy szukaniu w tych określeniach wzajemnej zależności, zachodzi już wielka trudność. We Francyi w XVII. wieku, naprzykład, „między szpalerem w Wersalu, rozumowaniem filozoficznem i teologicznem Malebranch'a, przepisem wersyfikacyjnym Boil'a, ustawą Colberta o hipotekach, komplementem przedpokojowym w Marly, zdaniem Bossueta o władzy królewskiej Boga, odstęp wydaje się nieskończony i nie do przebycia". A jednak mimo to twierdzi, że fakty te łączą się ze sobą i przedstawiają typ wspólny, to jest wspólne jądro zdolności i usposobień pierwotnych. — Bardzo ponętnie wyglądają twierdzenia tego rodzaju, mogą być nawet bardzo genialne, ale stwierdzić ich ścisłość, i to naukową, o co Tain'owi chodzi, byłoby chyba trudno.

Stwierdziwszy w ten sposób współzależność wzajemną mię-

dzy przymiotami jednego pisarza i najróżnorodniejszemi zjawiskami jednej epoki, otrzymuje Taine już jakąś jednolitość; już może jednem słowem, czy zdaniem określić tę jednostkę i tę epokę. Mając tę jednolitość, określiwszy na jej podstawie, że ta jednostka, lub ta epoka *jest taką, a nie inną*, postępuje naprzód i szuka za warunkami i przyczynami, dla których z konieczności *musiała być taką, a nie inną*. Warunki takie i przyczyny mają być trzy: rasa, otoczenie, moment dziejowy.

Rasa, mówi Taine, jest to zbiór usposobień wewnętrznych i dziedzicznych, jakie człowiek przynosi z sobą na światło dzienne, a które zwyczajnie łączą się z cechami, znaczącemi się w temperamencie i budowie ciała. „Istnieją z natury różne gatunki ludzi, jak istnieją różne gatunki byków lub koni, jedni odważni i rozumni, inni tchórzliwi i ograniczeni, lepiej lub gorzej przysposobieni do niektórych czynności, w różnej mierze uposażeni niektórymi instynktami, jak są różne rasy psów, do polowania, do gonitw, do walki, do strzeżenia domu lub stada".

Rasa jest czynnikiem przyczynowym, wewnętrznym działającej osobie, czy jakiejś grupie osób; dwa inne, otoczenie i moment dziejowy, są zewnętrzne. Pod otoczeniem rozumie ogół okoliczności otaczających dane zjawisko, jakimi są: warunki klimatu, położenie geograficzne, rodzaj sąsiedztwa, cała natura ze swemi właściwościami, ludzie i ich dzieła, urządzenia polityczne, społeczne, religijne. Momentem dziejowym wreszcie jest chwila, w jakiej dane zjawisko, lub jakiś dział zjawisk, których określenie literackie jest celem pracy, poczyna istnieć. „Kiedy charakter narodowy (rasa) i okoliczności otaczające działają, to nie działają one na jakąś startą tablicę, lecz na tablicę, na której znaczą się już wyciski. Stosownie do tego, czy się bierze tablicę, w tej lub owej chwili, wycisk będzie odmienny, a to wystarcza, by i wynik ogólny był inny".

Teoremat rasy, otoczenia i chwili dziejowej jest punktem kulminacyjnym w metodzie krytycznej Tain'a i stanowi jej istotę. Posługuje się on nią sam na wielką skalę, wyjątkowo przy określaniu indywidualności (Lafontaine) głównie zaś przy odtwarzaniu ogólniejszych zjawisk literackich i artystycznych, jak

w historyi literatury angielskiej, w historyi malarstwa włoskiego, niderlandzkiego, lub rzeźby greckiej. Rasa, otoczenie, moment mają działać stale i koniecznie i mają wyczerpywać wszystkie możliwe przyczyny ruchu umysłowego w ludzkości.

Przeciw tej teoryi rasy, otoczenia i chwili postawiono już cały szereg zarzutów i to tak słusznych i skutecznych, że dzisiaj stanowisko jej jest już przesądzone. Nie pozostaje nam nic innego, jak niektóre z nich uwzględnić, tu i ówdzie własną dodając uwagę.

Główną trudność w przyjęciu tej teoryi sprawia niemożliwość ścisłego jej sprawdzenia, a nieraz i niezgodność jej z rzeczywistością historyczną. W pewnych poszczególnych wypadkach, możnaby niektóre z tych czynników stosować, ale tylko od wypadku do wypadku, przenigdy jednak jako ogólne prawo. Najpierw co do rasy, to zwraca uwagę Hennequin, że niema dzisiaj na świecie rasy nieskażonej i jednorodnej, w każdym razie niema narodu utworzonego z rasy jednolitej. A gdyby nawet okazało się pewnem, że jakiś naród z jednolitej rasy się składa, to tylko względem niego możnaby ten teoremat stosować, a temsamem przestałby mieć swoje znaczenie ogólne dla całej umysłowości ludzkiej. Ileż zresztą w jednej nawet narodowości obserwować można różnic istotnych, zależnie od różnych okolic, w jakich ten naród przebywa, lub od różnych epok historycznych, jakie przeszedł. „Wiadomo, pisze Hennequin, że we Włoszech, naprzykład, usposobienie rozsądne, suche i ironiczne ogółu Piemontczyków nic nie ma wspólnego z krzykliwą ruchliwością Neapolitańczyków; a jeszcze i te orzeczenia nie są dokładne; na wiarę więc ich nie należałoby przypuszczać, aby nie było gadułów w Turynie, ani ludzi rozsądnych w Neapolu. Ogólny charakter przemysłowy i pozytywny współczesnych Włoch nie jest już takim, jakim go przedstawiał Stendhal w początkach tego wieku, ani takim, jak w „Kronikach włoskich“, lud w „Pamiętniku“ Benvenuta Celini... — Niemcy, Prusy Schleiermachera a Bismarka tak mało podobieństwa mają między sobą, jak Pomorzanie ze Szwabami... Co się tyczy Francyi, dostatecznie wiadomo, iż między Marsylczykiem a mieszkańcem miasta Lille istnieją różnice dzielące

dwie narodowości, chociaż pomimo tego ludzie prowincyj północnych lub południowych nie są bynajmniej podobni między sobą. Różnicom tym fizycznym odpowiadają różnice moralne głębsze jeszcze, bardzo zresztą zmienne odnośnie do danej chwili. Francya batalionów szkolnych, towarzystw gimnastycznych, liceów dla dziewcząt, będzie wkrótce zupełnie odmienną od Francyi drugiego cesarstwa, która była wręcz inną w Paryżu, a w głębi Morbihanu". Trudności podobnych możnaby namnożyć bez końca.

Taksamo, co się tyczy drugiego czynnika, otoczenia, sposób i granice jego działania nie są dostatecznie jasne, aby można traktować go, jako naukową wartość. Hennequin wylicza cały olbrzymi szereg autorów, którzy charakterem i dziełami zupełnie są od swego otoczenia odmienni, dodaje nawet uwagę, którą należy już brać jako osobiste jego przekonanie, że przypadek przeciwieństwa artystów ze swem otoczeniem wydaje mu się częstszym od ich zgodności. Ma jednak jakieś racye za sobą twierdzenie Hennequina, że prawo otoczenia nie działa wcale w epokach nadmiernie cywilizowanych, w takich naprzykład, jak Ateny sofistów, Rzym cesarski, Włochy z epoki odrodzenia, Francya i Anglia współczesne. „Po wielkich stolicach, Atenach, Rzymie, Londynie, Paryżu, w chwili najwyższego rozkwitu, różnorodność społeczna dosięga takiego stopnia, że nikt przeszkody nie doznaje w objawianiu swej oryginalności; a ponieważ każdy artysta dumnym się czuje ze swych zdolności, mało jaki się znajdzie, i to pomiędzy miernymi, któryby się zgodził zaprzeć się siebie i schlebiać, dla prędszego rozgłosu, upodobaniom tej lub owej części publiczności. To też w tem otoczeniu, nacechowanem jednak dość wyraźnie piętnem lekkomyślnej wesołości, hałaśliwej ruchliwości, — Paryża z końca stulecia — romans reprezentują Feuillet i Goncourt, Zola i Ohnet, — nowelę Halévy i Villiers de l'Isle Adam, — poezyę Leconte de l'Isle i Verlaine, — krytykę Sarcey oraz Taine i Renan, — komedyę Labiche i Becque, — malarstwo Cabanel i Puvis de Chavannes, Moreau i Redon, Raffaëlli i Hébert, — muzykę Cezary Franck, Gounod i Offenbach".

A cóż powiedzieć o osobistościach wybitnych, wielkich artystach, kaznodziejach, świętych, myślicielach, którzy nową

epokę, częstokroć od epoki swego otoczenia najzupełniej odmienną, nieraz wprost jej przeciwną, inicyowali, a czasem z całem swojem otoczeniem w zaciętą wchodzili walkę. Jakżeż, naprzykład, na mocy wpływów otoczenia i zgodności z niem, można wyprowadzić początkowe losy teoryi kopernikowskiej, albo zjawianie się świętych w epokach całkowitego rozluźnienia.

Na podobne trudności trafiał sam Taine w przeprowadzeniu swego systemu. W początkowych, naprzykład, rozdziałach swojej „Filozofii sztuki", stawia to szczegółowe twierdzenie, że gdy stan ogólny umysłów jest smutny, to i dzieła sztuki cechę smutku będą na sobie nosiły. Kilkadziesiąt kartek dalej przy malarstwie w Niderlandach trafia na podobny stan, gdzie kraj wskutek ciągłych wojen i najazdów jest wyniszczony do ostatka, a gdzie jednak, mimo tego smutku, Rubens maluje wesołe, aż jaskrawo wesołe obrazy, a cała ówczesna sztuka flamandzka, „sławi grubą i wielką radość". Tę niezgodność tłumaczy Taine w ten sposób, że nastał wtedy pokój i choć skutki klęsk jeszcze doskwierały, choć nie było jeszcze „dobrze", to jednak w porównaniu z poprzednim stanem było już „lepiej". Chyba trudno podobnym wywijasom przypisać naukową wartość.

Trzeci czynnik, chwila dziejowa, najwięcej ma jeszcze za sobą słuszności. Brunetière, który rasę i otoczenie atakuje, uznaje chwilę dziejową, jako czynnik tłumaczący wystarczająco literackie zjawiska. Zwrócilibyśmy tylko uwagę na naukowe znaczenie chwili dziejowej. Naturalnie, że krytyk literacki czynnika tego w swoich studyach pominąć nie powinien, czy może jednak oprzeć się na nim, jako na ogólnem prawie, któreby we wszystkich szczegółowych przypadkach zachowywało swą stałą wartość? Może przecież zajść wypadek, że jakieś dzieło jest zupełnie od warunków chwili, w której pozostaje, niezależne, jak mieć to może miejsce w dziełach, które ponad chwilę się wznoszą, lub nawet wbrew warunkom chwili powstają. W tym względzie zarzuty, przeciw otoczeniu poprzednio postawione, z odpowiedniemi naturalnie zmianami, mają i tu swe znaczenie.

Zanim ostateczne słowo o metodzie Tain'a powiemy, obejmijmy jeszcze wzrokiem jej całość. Pomaga nam w tem sam

Taine, streszczając głównie swoje idee o warunkach, zależnościach, o rasie i otoczeniu, w kilku prawach, sformułowanych analogicznie do praw nauki przyrodniczej.

„Naturaliści zauważyli, że różne organa zwierzęcia zależą od siebie, że np. zęby, żołądek, nogi, instynkty i wiele innych szczegółów zmieniają się wedle stałego stosunku tak, że gdy jedna z tych własności ulegnie przemianie, to inne muszą uledz przemianie odpowiedniej. Taksamo historycy mogą stwierdzić, że różne zdolności i skłonności jednostki, rasy, epoki są ze sobą związane tak, że przekształcenie jednej z nich, zaobserwowane w jednostce sąsiedniej, w grupie zbliżonej, w epoce poprzedniej lub następnej, powoduje w nich odpowiednie przekształcenie systemu całego".

„Naturaliści spostrzegli, że nadmierne rozwinięcie jednego organu w zwierzęciu, jak u kangura lub nietoperza, sprowadza uszczuplenie lub zanik innych organów. Podobnież historycy mogą stwierdzić, że nadzwyczajny rozwój pewnej zdolności, jak np. skłonności moralnej w rasach germańskich, albo zdolności metafizycznej i religijnej u Indusów sprowadza osłabienie zdolności odwrotnych".

„Naturaliści dowiedli, że wśród cech pewnej grupy zwierzęcej lub roślinnej jedne są podrzędne, zmienne, niekiedy osłabione, czasami nieobecne; inne naodwrót, jak budowa słojowa w roślinach albo kręgosłup w zwierzęciu, są przeważne i określają cały plan jego ekonomii. W takisam sposób historycy mogą dowieść, że wśród znamion pewnej grupy lub pewnej jednostki ludzkiej, jedne są podrzędne i dodatkowe, inne zaś jak np. wybitna obecność obrazów albo idei, lub też większa albo mniejsza zdolność do pomysłów mniej, czy więcej ogólnych, są panującemi i wytkną z góry kierunek jej życia i rodzaj jej wynalazków".

„Naturaliści wykazują, że w pewnej klasie, albo nawet w pewnym dziale państwa zwierzęcego znajdzie się tenże sam plan organizacyi we wszystkich gatunkach, że łapa psa, noga konia, skrzydło nietoperza, ramię człowieka, płetwa wieloryba, jest tym samym pierwiastkiem anatomicznym, zastosowanym

przez skrócenia lub wydłużenia częściowe do najrozmaitszych użytków. Podobnąż metodą historycy mogą wykazać, że u tegoż artysty, w tejże szkole, w tymże wieku, w tejże rasie osobistości najsprzeczniejsze pod względem położenia, płci, wychowania, charakteru, przedstawiają jednakże typ wspólny, to jest jądro zdolności i usposobień pierwotnych, które różnorodnie skracane, kombinowane, powiększane, wytwarzają niezliczone odrębności w grupie".

„Naturaliści wyjaśniają, że w gatunku żyjącym jednostkami rozwijającemi się najswobodniej są te, których szczególna budowa najdokładniej je przystosowuje do okoliczności otaczających; że w innych jednostkach własności odwrotne zaznaczają się skutkami odwrotnymi; że naturalny bieg rzeczy sprowadza w ten sposób nieustanne eliminacye i stopniowe udoskonalenia; że to wywyższanie i ta niełaskawość ślepo działają tak, jak wybór z zamiarem dokonany, i że przyroda wybiera w każdej grupie gatunki najlepiej do niego zastosowane, ażeby zapewnić im byt i panowanie. Analogicznie obserwując i rozumując, historycy mogą wyjaśnić, że w jakiejkolwiek grupie ludzkiej jednostkami dosięgającemi najwyższej powagi i najszerszego rozwoju są te, których zdolności i skłonności najlepiej odpowiadają zdolnościom i skłonnościom ich grupy; że otoczenie duchowe, jak otoczenie fizyczne, działa na każdą jednostkę ciągłemi pobudzeniami i powściągami, że jednym nie dozwala się rozwinąć, innym zaś pomaga do bujnego rozrostu, w miarę zgodności lub niezgodności pomiędzy niem a niemi; że ta głucha praca jest także pewnym doborem, i że wskutek szeregu zmian i przemian niedostrzegalnych, przewaga otoczenia wprowadza na widownię dziejową artystów, filozofów, reformatorów religijnych, polityków, umiejących najlepiej i najdobitniej wyjaśnić, lub urzeczywistnić myśl swego wieku i swej rasy, tak jak na widownię natury wprowadza gatunki zwierząt i roślin najsposobniejszych ku temu, by się zastosować do pewnego klimatu i gruntu".

Takich analogij, pisze Taine, między historyą naturalną, a historyą ludzką możnaby naliczyć jeszcze dużo, bo podobne są ich przedmioty. Z tych analogij wysnuwa wniosek co do

przyszłej drogi, jaką nauki duchowe, a więc i umiejętność literacka, kroczyć powinny. „Stąd wynika, że dla nauk duchowych otwiera się zawód podobny do tego, jaki jest udziałem nauk przyrodniczych; że historya, przyszedłszy na ostatku, może odkryć prawa tak, jak starsze od niej umiejętności; że może tak jak one, ale w swoim zakresie, porządkować pomysły i przewodniczyć usiłowaniom ludzkim; że szeregiem poszukiwań dobrze prowadzonych może wkońcu określić warunki wielkich wypadków ludzkich, to jest oznaczyć okoliczności niezbędne do okazania się, trwania albo upadku rozmaitych form uspołecznienia, myślenia i działania".

Tak pisał Taine przed szeregiem lat i takie przywiązywał nadzieje do swojej metody. Czy od tej chwili po dzień dzisiejszy postawiła krytyka literacka choć krok dalej na tej drodze? Ale brak ten następców nie przesądzałby jeszcze nic o istotnej wartości teoryi, postawmy dlatego pytanie inaczej: czy jest wogóle możliwy dalszy jej rozwój naukowy?

Najpierw, czy nie uderza jasno to prawdziwe *salto mortale* logiczne, jakie popełnia Taine, porównując nauki przyrodnicze z umiejętnościami duchowemi. Gdyby nawet zajmowali się przyrodnicy istotą i prawami duszy zwierzęcej, to i tak zestawienie takiej nauki z umiejętnością o duszy ludzkiej byłoby co najmniej nieścisłe, bo dwie te sfery dzieli przepaść olbrzymia. Ale przecież przyrodnicza nauka zajmuje się tylko organizmem zwierzęcia, co najwyżej jego zewnętrznymi przymiotami, a więc przedmiotem, który daje się każdą razą ująć i sprawdzić zmysłem i narzędziami. Zresztą spostrzeżenie jednego przyrodnika kontroluje kilkudziesięciu innych, kontrolować może każdy człowiek i dopiero na takiej podstawie, na identyczności tych obserwacyj, w różnych warunkach i okolicznościach robionych, opiera się ścisłość określeń i praw przyrodniczych, zapewniająca studyom tym i badaniom naukową wartość. A jakież środki obserwacyjne i sprawdzające mamy przy duszy ludzkiej, która ani zmysłem, ani narzędziem dotknąć się nie da.

Dochodzimy więc do wniosku ogólnego, co do całej metody Tain'a, że bicie to słupów żelaznych w dziedzinie ducho-

wej, któreby drogę historycznej, szczególnie literackiej ewolucyi, niechybnie wytyczały, niema odpowiednich danych po temu, aby doprowadzić mogło do zamierzonego celu. Wszystkie teorematy Tain'a o zależnościach, warunkach, o rasie, momencie, otoczeniu, są to zdania ogólne, aksyomaty, często niezgodne z rzeczywistością, mające co najwyżej tę pewność, jaką mają aksyomaty w potocznem życiu używane, które opierają się na tem, iż coś się często zdarza, bynajmniej jednak nie przesądzając z góry, że to się dziać zawsze musi; a już żadną miarą nie dają się w określonych, poszczególnych przypadkach stosować bez poprzedniego sprawdzenia. Sprawa zaś w literaturze najważniejsza, kwestya genialnych jednostek, ani takiej nawet pewności niema. Ale o tem już przy metodzie Hennequina mówić będziemy.

Tak samo do dalszych rozdziałów odkładamy refleksye nad samą budową tego systemu, przy której nie używa się szczegółów historycznych o autorze i społeczeństwie, jako środków do rozjaśnienia dzieł literackich, lecz przeciwnie bierze się te dzieła, jako środek do zrozumienia autora, a z autora wnioskuje się o otaczającem go społeczeństwie.

(C. d. n.).

Ks. J. Pawelski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Filologia polska w trzech ostatnich latach.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział filologiczny, Kraków. Tom XXVI, r. 1898. T. XXVIII, r. 1900.

Wisła. Tom XII. Warszawa 1898.

Prace filologiczne. Tom V. Warszawa 1899.

Archiv für slavische Philologie. Berlin. T. XIX, r. 1897. T. XX, r. 1898. T. XXI, r. 1899.

Słownik języka polskiego ułożony pod redakcyą *Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego* i *Władysława Niedźwiedzkiego.* Tom I. A—G. Warszawa 1900.

Przed trzema laty w artykule p. t. „O wynikach badań nad językiem polskim“ (p. *Przegląd Powszechny* 1897, październik—grudzień) staraliśmy się zapoznać czytelników z rezultatami, do których doszła filologia polska w badaniach nad językiem polskim, w czasie od roku 1870, tj. od chwili jej odrodzenia, aż po rok 1897. Sprawozdanie niniejsze ma stanowić niejako ciąg dalszy tej pracy. Wprawdzie przez te trzy lata nie dokonano zbyt wielu badań, nie odkryto nowych ważnych rzeczy, ale w każdym razie i to, co zrobiono, zasługuje na uwagę.

Dzieł osobnych — prócz „Słownika“ — okres ten nie wydał. Wszystkie prace pojawiły się w czasopismach, których tytuły wypisaliśmy w nagłówku. Do filologii polskiej zaliczamy nie tylko prace, pisane przez Polaków po polsku, ale i rozprawy obcych uczonych, w obcych językach, byle się zajmowały wyłącznie językiem polskim. Prac takich, które traktują słowiańskie języki w ogóle a przez to i polski, nie uwzględniliśmy, albowiem zaprowadziłoby to nas za daleko.

Nie omawiając prac jednej za drugą, trzymamy się tego samego

podziału, któregośmy użyli w wspomnianym wyżej artykule, to jest przypatrzymy się naprzód tym pracom, które zbierają i opracowują materyał (gwary ludowe dzisiejsze, dawne zabytki języka), następnie rozprawom ogólniejszym, które, biorąc do pomocy najrozmaitsze zjawiska językowe i budując na nich, usiłują dojść do jakiejś syntezy, do prawa, rządzącego zjawiskami w jednym lub w drugim zakresie, a przez to do poznania i rozumienia języka w ogóle.

* * *

Z dyalektologii mamy do zanotowania niewiele. W czasopismach etnograficznych *(Wisła, Lud, Materyały antropologiczno-etnograficzne)* znajdujemy materyał do badań nad mową ludową, nieraz cenny przez to, że z danej miejscowości lub jej okolicy nie mamy dotąd żadnych próbek i przykładów gwary ludowej. Ale zazwyczaj materyał ten podany jest w takiej formie, że korzystanie z niego jest bardzo utrudnione. Podają go bowiem przeważnie ludzie, którzy o zasadach naukowej gramatyki nie mają pojęcia, więc im wszystko jedno, jak jakiś wyraz napiszą, nie mają też „ucha“ dla przeróżnych odcieni wymawiania, co się zyskuje jedynie przez długą wprawę, na podkładzie ścisłej wiedzy lingwistycznej.

Do materyałów należą także „Przyczynki do nowego słownika języka polskiego“, część II., przez Hieronima Łopacińskiego (w V. tomie „Prac filologicznych“). Zbiór ten obejmuje przedewszystkiem wyrazy ludowe, obok nich zaś znaczną liczbę wyrazów z działów specyalnych (z myśliwstwa, z terminologii górniczej, rybackiej, flisarskiej, bednarskiej, garncarskiej i innych rzemiosł, po wsiach i miasteczkach uprawianych). Zbiór to bogaty i bardzo cenny, podaje bowiem w jednem miejscu wyrazy, porozpraszane po najrozmaitszych miejscowościach, nadto zawiera wiele wyrazów nowych, nigdzie dotąd nieogłoszonych.

Piszącego niniejsze sprawozdanie rozprawa „O mowie ludowej we wsi Krzęcinie“ (w XXVI. tomie „Rozpraw wydziału filologicznego“) zawiera wstęp (historyę Krzęcina, małej wsi w powiecie podgórskim), charakterystykę gwary krzęcińskiej podług zwykłych kategoryj gramatycznych, i słownik wyrazów ludowych krzęcińskich 1^0 nie istniejących w języku literackim, 2^0 występujących w języku literackim w innej formie, 3^0 z innem znaczeniem. Ze wszystkich dotąd badanych gwar krzęcińska zdaje się być najbliższą językowi literackiemu.

W XII. tomie *Wisły* (etnograficzne czasopismo warszawskie) prof. Brückner podaje drugą część zajmującego studyum „Z przeszłości

gwar polskich". Wprawdzie zupełnie nowych rzeczy praca ta nie przynosi, ale w każdym razie potwierdzenie nowymi przykładami tego, cośmy widzieli w pierwszej części, ma wobec szczupłości materyału wielkie znaczenie. Jest rzeczą bardzo interesującą śledzić, jak wyglądały gwary polskie dawniej. Oczywiście zbyt wiele nie dowiemy się nigdy; najlepiej jeszcze występują zjawiska z zakresu głosowni i słownika.

Wiele w tym czasie zajmowano się kaszubszczyzną. Nowych materyałów do poznania tego interesującego narzecza nie dodano, badano głównie jego stosunek do języka polskiego. W nowszych czasach Ramułt wznowił teoryę samoistności kaszubskiej (w r. 1893 w „Słowniku języka pomorskiego"), ale jej nie umiał naukowo uzasadnić. Podjął się tego zadania prof. Baudouin de Courtenay. W rozprawie napisanej po rosyjsku „Kaszubski język, kaszubski naród i kaszubska kwestya" (Petersburg, 1897) starał się udowodnić, że kaszubskie jest czemś odrębnem od języka polskiego, więc samodzielnym językiem słowiańskim. Przeciw poglądom Baudouina wystąpiło wielu uczonych. Między innemi zasługują na uwagę dwie prace z tego zakresu. Dr. Karłowicz w „Gwarze kaszubskiej" (*Wisła* XII.) stara się wykazać, że rzekome odrębne właściwości językowe kaszubskie są także i w gwarach polskich, a więc nie można na nich się opierać. Prof. Brückner zaś w *Randglossen zur kaschubischen Frage* (w Archiv t. XXI.) rozpatruje rzecz ze stanowiska historycznego i dowodzi, że kaszubskie jest tylko częścią polskiego, która dawniej z całością jednolicie spojona, poszła już później innemi drogami wskutek innych warunków.

Stoją tedy naprzeciw siebie dwie teorye. W polemice naukowej żadna z nich — zdaniem naszem — nie osiągnęła zwycięstwa, nie pokonała drugiej. Argumenta z jednej i z drugiej strony są poważne, równocześnie zaś w obu jest wiele punktów słabych, rzeczy niejasnych, niepewnych, brak też nieraz danych stanowczych. Jednem słowem człowiek, który dokładnie rozważa wszystkie *pro* i *contra*, nie może jeszcze sobie wyrobić stanowczego sądu. Ostateczne rozwiązanie sprawy pozostaje w zawieszeniu, w ręku przyszłości.

* * *

Jeżeli dyalektologia nie wydała w tym okresie wiele prac nowych, to zato nie osłabła wcale czynność na polu wydawania i objaśniania dawnych zabytków języka polskiego. Ten dział zresztą zawsze stał najlepiej, najwięcej mu poświęcano pracy i miejsca, być może i dla-

tego, że obok czysto językowego mają te zabytki dla nas także interes literacki i kulturalny.

Nowo wydane zabytki należą do epoki z końca XV. i z początków XVI. wieku, z epoki bardzo ciekawej, bo właśnie wtedy dokonywają się ważne zmiany w języku — niestety proces ten nie jest dotąd należycie zbadany, dopiero się jego opracowanie przygotowuje. Zmarły z wielką dla nauki polskiej stratą prof. Malinowski, wydał w XVIII. tomie „Rozpraw“ nieznany dotąd „Zabytek języka polskiego z początku wieku XVI. z rękopisu Biblioteki Uniwersytetu w Erlangen“. Pomnik to interesujący, bo treścią swą różny od znanych dotąd i jest to rodzaj spowiedzi, szczegółowej, nie powszechnej, ale oczywiście trzymanej w ogólnikach. Penitentka [1] wyznaje grzechy podług różnych kategoryj. Oto przykłady języka i stylu.

„Ja grzeszna i niepożyteczna sługa miłego boga spowiadam się i winna się dawam... moich wszystkich grzechów, którychem się dopuściła od mej pośledniej (= ostatniej) spowiedzi aż do dzisiejszego dnia i czasu, com zgrzeszyła złą myślą, złą wolą, złą żądzą, kochanim, dozwalanim, mówiąc, czując (= słysząc, słuchem), dopuszczając się wielu złego, opuszczając wiele dobrego“.

To jest początek, ogólny; poczem idzie spowiedź szczegółowsza. Tak naprzykład:

„Dawam się też winna panu bogu z uczynku złego ukuszenia (z obżarstwa), iżech ja wielekroć jadła albo piła więcej dla smaczności niźli dla potrzebności“,

albo z grzechu pychy:

„Spowiadam się panu bogu miłemu z uczynków złych: siedmi grzechów śmiertelnych: napirwej z pychy, tako wnątrznej jako zwierzchnej, albo serdecznej i cielestnej“.

Językowo zabytek nasz nosi już wyraźne cechy wieku szesnastego, już niewielu tylko zjawiskami tkwi w wieku piętnastym.

Prof. Brückner, który tyle zabytków staropolskich wydobył na światło dzienne i opracował, w ostatnich czasach zwrócił się do wieku XVII. (Potocki), w części zaś do badań archeologiczno-historyczno-językowych („O Piaście“ w Rozpr. Akademii, *Beiträge zur ältesten Geschichte der Slaven und Litauer* w *Archiv* XXI, pełne interesujących

[1] Zabytek pisany jest dla kobiety, dla jakiejś królewny Jadwigi. Zjawisko bardzo interesujące, skonstatowane już nieraz, tutaj znowu jego potwierdzenie; oto udział i wpływ kobiet w dawnem piśmiennictwie polskiem, objaw wybitny w w. XV., i sięgający jeszcze długo do w. XVI.

spostrzeżeń), nie zaniedbał wszakże i dawniejszych swoich badań. W Pracach filologicznych t. V. zwraca uwagę na powieści polskie z wieku XV—XVI. (Historya o Aleksandrze, o Trzech Królach, o Męce Pańskiej), omawia te utwory ducha średniowiecznego, tłumaczy, kiedy przyszły do Polski (później, niż gdzieindziej; dopiero w wieku XVI. spotykamy polskie przekłady), i podaje z polskich tekstów dość obszerne wyjątki. Ideowo praca ta łączy się z drugą daleko ważniejszą: „Apokryfy średniowieczne“ (t. XVIII. Rozpraw). Nad znaczeniem apokryfów w historyi umysłowości ludzkiej rozwodzić się tu nie potrzebujemy, rzecz to znana i uznana. Odsyłamy zresztą do świetnego wstępu wymienionej rozprawy. W Polsce apokryfy zjawiają się na przełomie XV. i XVI. wieku. Prof. Brückner podaje streszczenie i obszerne wyjątki z rękopisu przemyskiego, zawierającego „Rozmyślania o żywocie Pana Jezusa“. Rękopis sam zaginął, ale bardzo dokładne i obszerne notaty z niego porobił ks. A. S. Petruszewicz — na tych notatach prof. Brückner oparł swą pracę. Śledzi też genezę i źródła utworu polskiego, w końcu zastanawia się nad językiem. Praca nie jest jeszcze całkiem skończona, tutaj mamy jej pierwszą część. Ale już z tej widać, że jest to rzecz jedna z najważniejszych w starem polskiem piśmiennictwie, dodajmy średniowiecznem, bo choć nie należy do wieków średnich czasem, należy do nich duchem. Wiadomo, że apokryfy były najchciwiej, najnamiętniej pożądaną strawą duchową najszerszych warstw ludowych, że przetrwały do dzisiaj, że cała masa dzisiejszych wierzeń, legend, opowieści, w nich ma początek. Stąd dla zrozumienia bardzo wielu rzeczy w kulturze narodu, należy między innemi zwrócić jak najbaczniejszą uwagę na apokryfy i ich dzieje. W literaturze polskiej studyum takiego jeszcze nie było. Otóż rozprawa prof. Brücknera jest takiej pracy początkiem a początkiem świetnym. Jestem tego zdania, że może ze wszystkich rozpraw filologii polskiej poświęconych a wydanych w omawianym przez nas okresie, ta jest najważniejszą i najcenniejszą [1]. Także pod względem ściśle językowym przynosi ona wiele nowego. Język polskiego apokryfu zawiera wyrazy, których dotąd nie spotkano w historyi języka polskiego, nie mówiąc już o tem, że dla semazyologii plon jest znaczny, wreszcie są w nim liczne zjawiska narzeczowe, dyalektologiczne.

Prof. Łopaciński omawia w Pracach filologicznych t. V.: „Najdawniejsze słowniki polskie drukowane“, przeważnie takie, których

[1] Pomijamy tu „Słownik“.

Linde nie znał, a więc znajduje się w nich wiele wyrazów, nie pomieszczonych w „Słowniku“, nadto przedrukował „Sąd Parysa, królowica trojańskiego“, najdawniejszą polską grę drukowaną, z r. 1542, mającą już prawie wyłącznie wartość dla historyka literatury.

Język zabytków już wydanych opracowywali: K. Nitsch (O pisowni i języku kazań Paterka, zabytku z początku XVI. w.) i J. Bystroń (O pisowni i języku ksiąg ustaw polskich). Obie prace ważne, ale same dla siebie stają się bezużyteczne, dopiero nabiorą prawdziwej wartości wtedy, kiedy wszystkie zabytki w ten sposób będą opracowane, to znaczy kiedy z tych opracowań da się od razu złożyć historya języka w pewnym okresie.

„Z dziejów średniowiecznego piśmiennictwa polskiego“ (Prace filologiczne t. V.) przez piszącego niniejsze sprawozdanie, jest początkiem całej seryi drobnych prac, poświęconych śledzeniu za źródłami średniowiecznych utworów polskich. W tej pierwszej części autor wykazuje: 1) że pieśń postna „Jezusa Judasz przedał“, z wieku XV., która uchodziła dotąd za oryginalny utwór błog. Władysława z Gielniowa, jest przekładem i przeróbką pieśni czeskiej; 2) że źródła fragmentów z „Żywota Najśw. Panny“, wydanych przez Maciejowskiego (w. XV.), należy szukać w apokryfach, mianowicie w Ewangelii łacińskiej t. zw. *Pseudo-evangelium Matthaei*, która znowu jest przerobieniem apokryfu greckiego, t. zw. *Proto-evangelium Iacobi.*

Zanotujmy wreszcie drobną ale ważną rzecz prof. Brücknera: *Ein angebliches dialectologisches Merkmal der sog. Gnesner Predigten.* (w *Archiv* t. XX). Jak wiadomo w Kazaniach Gnieźnieńskich (z końca w. XIV.) spotyka się formy, które dotąd powszechnie uważano za zjawiska gwarowe, za formy, które z języka ludowego przeszły do literackiego: bodziem = bogiem w jęz. literackim, ubodzi = ubogi, ogzień = ogień. Otóż prof. Brückner twierdzi, że pisownia, która do tego przypuszczenia filologów doprowadziła, ma właśnie za zadanie wyrazić miękkie *g (gi)*, czyli zupełnie to samo, co jest w języku literackim; należy tedy czytać po prostu: bogiem, ubogi, ogień, a nie szukać w tem śladów dyalektycznych.

* * *

Prac uogólniających, rozpatrujących wszechstronnie zjawiska językowe i usiłujących je wytłumaczyć, mamy przez ten czas bardzo niewiele. I tak Malinowskiego „Drobiazgi językowe“ (Prace filolog. V) zajmują się przeważnie wyjaśnieniem pochodzenia różnych wyrazów.

Dla czytelników *Przeglądu* może nie będzie obojętną mała liczba przykładów. Tak naprzykład wileńskie „Towarzystwo szubrawców". Dlaczego „szubrawców"? Oto po białorusku „szubrawiec" nie znaczy „oberwus" i t. p. ale „figlarz". A więc „Tow. szubrawców" = Tow. ludzi wesołych, figlarzy. Albo wyrażenie fajka, cygarniczka „z pianki morskiej". Skąd ta nazwa pochodzi? „Niejaki Kummer na Węgrzech wyrabiał pierwszy fajki z minerału z gatunku mydleńców w połączeniu z magnezyą. W Paryżu zwano takie fajki *le Commer*, a następnie *l'écume mer* i w końcu *l'écume de mer*. Tę tak fałszywie zrozumianą i przekręconą nazwę przełożono na niem. *Meerschaumspitzen*, na polski: fajki, cygarniczki z pianki morskiej". — Wyraz parzygęba oznacza smakosza. W pierwszej chwili widzimy tu pewną niekonsekwencyę, bo właśnie smakosz uważa przy jedzeniu i nie „parzy" sobie „gęby". Jeżeli jednak porównamy ten wyraz z czeskim *bažihuba*, który znaczy to samo, zrozumiemy, że w polskiem musiało być dawniej bażygęba. Teraz słowo to staje się nam zupełnie jasne. Bażyć zn. pragnąć, pożądać, zatem bażygęba, wyraz utworzony tak samo jak inne złożone polskie (np. włóczykij), oznacza smakosza. Ponieważ zaś czasownik bażyć jest w polskiem rzadki, więc w tym wyrazie łatwo mógł uledz wykolejeniu, i być zastąpionym przez podobne fonetycznie parzyć.

D-ra Rozwadowskiego *Quaestionum grammaticarum atque etymologicarum series altera* (Rozprawy XXVIII), odnoszą się przeważnie do gramatyki porównawczej języków aryo-europejskich, w czem i słowiańskie języki zajmują należyte miejsce. Najciekawsza dla nas część czwarta *Etymologica*, z której dowiadujemy się naprzykład, że Drwęca znaczy tyle, co „rzeka bystro płynąca" (to samo łac. *Druentia*, franc. *Durance*). Bzura, dawniej Brzura (r i z należy czytać oddzielnie) = rzeka szybko płynąca; wyraz pokrzywa, *urtica urens*, dawniej kopriva i kropiva, ma źródłosłów krop-, ten sam, co w ukrop.

W XIX. tomie *Archiv für slavische Philologie*, uczony niemiecki Lorentz zajmuje się polskiemi samogłoskami nosowemi. Praca bardzo staranna, z wielkim zasobem nauki pisana, ale do ostatecznego pewnego rezultatu nie doprowadziła.

Jedną z najciekawszych prac, wkraczającą w dziedzinę historyi kultury, jest Brücknera *Preussisch und Polnisch* (w *Archiv* XX.). Autor szuka wyrazów polskich w języku dawnych Prusaków, ludu należącego, jak wiadomo, do szczepu litewskiego. Rezultat tego badania jest dla językoznawcy polskiego i wogóle dla Polaka bardzo interesujący. Oto w tych niewielu zabytkach języka pruskiego, które doszły do naszych

czasów, jest cała masa wyrazów, przejętych z polskiego; te zaś dowodzą o oddziaływaniu kultury polskiej na Prusaków. Polacy pierwsi między Prusakami szerzyli chrześcijaństwo i kulturę, i gdyby nie przywołanie do Polski Krzyżaków, Prusacy byliby — jak Litwini — przyjęli chrześcijaństwo, nie tracąc narodowości. Tego oddziaływania kultury polskiej na Prusaków mamy gdzieindziej nieliczne ślady, licznych za to i pewnych dostarcza nam badanie języka. To badanie przeprowadza prof. Brückner. Wyznacza z całego leksykalnego zasobu pruskiego te wyrazy, które Prusacy przejęli od Polaków, dzieli je na pewne grupy, i według tych grup rozpatruje oddziaływanie kulturalne, zastanawia się w końcu nad przemianami głosowemi, którym wyrazy polskie w języku pruskim ulegały. Praca prof. Brücknera odsłania nam jedną kartę z dziejów języka polskiego, nieznaną dotąd, mało przeczuwaną, a niezwykle interesującą, jego rozprzestrzenianie się poza etnograficzny obszar polski, podobne późniejszemu na Litwie i Rusi.

* * *

Pozostaje „Słownik“. Jest to praca zbiorowa, a wykonała ją Warszawa, co warto podkreślić. Słownik ten jest trzecim z rzędu „wielkim“ słownikiem języka polskiego, po Lindem i po Słowniku Wileńskim. Od tamtych dwóch jest dokładniejszy i pełniejszy. Naprzód wciąga w swój zakres autorów nowszych i najnowszych, stąd jest w nim wiele wyrazów takich, które powstały w naszych czasach lub niedawno przed nami. Również podaje wyrazy z zabytków staropolskich, wieku XIV. i XV., czego tamte dwa nie robiły. Wreszcie zwraca także pilną uwagę na wyrazy gwarowe, ludowe, nie istniejące w języku literackim. Przy każdym wyrazie wyliczone są jego znaczenia, bardzo starannie i bardzo dokładnie zebrane, z najczęstszymi zwrotami frazeologicznymi. Przy końcu każdego słowa wskazane jest jego pochodzenie, a więc 1^0 jeżeli wyraz jest złożony, określone są jego części składowe. 2^0 przy każdym zaś podany jest źródłosłów, jeżeli to wyraz rodzimy, jeżeli zaś przyswojony z obcego języka — odpowiedni wyraz obcy. Ażeby „Słownik“ zrobić o ile możności najpraktyczniejszym, wydawcy zastosowali w nim osobne znaki dla oznaczenia wyrazów 1^0 staropolskich, 2^0 gwarowych, 3^0 mało używanych, 4^0 wyrazów, których należy unikać. Ponieważ nadto pochodzenie każdego wyrazu ujęte jest również w osobne znaki, przeto miejscami ma się wrażenie jakichś hieroglifów. I robiono z tego powodu redakcyi zarzuty. Zdaje mi się, że zupełnie niesłusznie. Jest tych znaków razem aż sześć, więc chyba zapamiętanie ich nie

sprawia wielkiej trudności. Że się zaś przez ich użycie oszczędziło masę miejsca, a przez to zmniejszyło rozmiary i cenę, a tem samem powiększyło dostępność dzieła, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, i mojem zdaniem należy w tym względzie wydawcom tylko przyklasnąć.

W tak ogromnej pracy znajdzie się naturalnie dosyć sposobności do zarzutów. Te jednak należą do pism fachowych. Co zaś najważniejsza: wartość „Słownika“ jest tak wielką, że wobec niej najcięższe zarzuty bledną i giną. Tej wartości nie można dość silnie podkreślić. Wypracowanie i wydanie „Słownika“ jest zasługą już nie naukową, ale narodową i społeczną, a jego wydawcy zasługują tylko na wdzięczność. Dzieła takie trwają całe pokolenia i całe pokolenia z nich korzystają. Dzieje się to nawet wtedy, gdy dzieła takie opracowane są słabo. Tem bardziej naturalnie w takim razie, gdy opracowanie jest dobre, gdy stoi na odpowiednim poziomie naukowym a przy tem wszystkiem, daje baczenie na praktyczność. Te wszystkie zalety ma „Słownik“ warszawski w stopniu wysokim, i to mu zapewni dobre przyjęcie i długotrwały żywot.

* * *

Stoimy u kresu. Widzimy, że pomimo niesprzyjających okoliczności, pomimo niezwykle szczupłej liczby uczonych, poświęcających się badaniu języka polskiego, językoznawstwo polskie przecież żyje, rusza się, wydaje dzieła pożyteczne, niektóre bardzo dobre. Chociaż pomału jednak statecznie zbliżamy się do naszego celu, do „gramatyki języka polskiego“, takiej, któraby dozwoliła zrozumieć ducha tego języka, śledzić jego początki i rozwój, pojmować prawa, któremi się rządzi. Nie stanie się to dziś, ani jutro, ale w każdym razie idziemy naprzód. Oby następnym latom danem było tę pracę poprowadzić jeszcze intenzywniej, jeszcze silniej i wszechstronniej, aniżeli się to działo dotąd.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Dziwy hipnotyzmu. *Ks. dr. prof. Kazimierz Wais.* Przemyśl 1899. (Stron 507).

Tylko przyklasnąć należy rozporządzeniom rządów, zakazującym, pod grozą surowych kar, hipnotyzowania osobom, które nie są lekarzami. Zakazy te, że pominiemy liczne nieszczęścia, wydarzające się przy hipnotyzowaniu przez osoby niepowołane, jak niemniej liczne nadużycia, jakich się dopuszczali przygodni magnetyzerzy względem swych me-

dyów, pociągnęły za sobą i tę korzyść, że przez oddanie hipnotyzmu w ręce ludzi nauki umożliwione zostało umiejętne badanie natury hipnotyzmu. Wprawdzie nie udało się dotąd uzyskać wyjaśnienia hipnotyzmu, co do których powszechna panowałaby zgoda, ale też zaprzeczyć się nieda, że niektóre hipotezy wcale dobrze wyjaśniają zjawisko hipnotyzmowi właściwe, a stoją w każdym razie o całe niebo wyżej od śmiesznych tłumaczeń hipnotystów z przeszłego i początków dobiegającego stulecia. Kiedy zaś udało się za pomocą hipnotyzmu dokonać zdumiewających nieraz uzdrowień, skorzystało z tego faktu kilku hipnotystów niedowiarków, aby ukuć zarzut przeciwko uzdrowieniom cudownym, o których wspominają Ewangelie św., i też uzdrowienia podać jako dzieła hipnotyzmu. Przeciwko tak opacznemu wyjaśnieniu cudownych uzdrowień dawno wystąpiono w Niemczech i Francyi ze strony katolickiej z należytą odprawą; u nas, prócz rozprawki ks. Maryana Morawskiego, drukowanej w *Przeglądzie powszechnym* r. 1888, napróżno wyglądaliśmy jakiejś książki w podobnym napisanej celu. To też wdzięczność się należy ks. prof. Waisowi zato, iż zwrócił na ten punkt swą uwagę, a przyznajemy z góry, że książka jego jeżeli nie przewyższa, to w każdym razie godnie stanąć może obok podobnych książek w języku niemieckim pisanych.

Autor podzielił swą książkę na 12 rozdziałów; pozwolimy sobie w celu zaznajomienia P. T. Czytelników *Przeglądu* z książką ks. Waisa podać króciutką treść każdego rozdziału.

Rozdział I. poświęcony jest historyi hipnotyzmu; autor przebiega dzieje hipnotyzmu od najdawniejszych czasów aż do najnowszych chwil. Śmielibyśmy się jednakże zapytać sz. autora, na jakiej zasadzie Pitye delficką uczynił hipnotyczką, a taksamo, dlaczego udzielanie błogosławieństwa przez wkładanie rąk na głowę czyjąś za jedno bierze z hipnotyzowaniem?

Rozdział II. zajmuje się sposobami hipnotyzowania oraz przebudzania ze snu hipnotycznego. Sposoby hipnotyzowania jedne są somatyczne, i nimi posługiwali się dawniejsi hipnotyści, z nowszych zaś głównie szkoła Charcota; inne są psychiczne (suggestya), a ich zwolennikami są uczniowie dra Bernheima z Nancy. Nasz autor przechyla się na stronę szkoły z Nancy, szkoda tylko, że nie odparł należycie zarzutu prof. Guermonpreza, który przeciwko sposobowi usypiania przez suggestyę przytoczył fakta zahipnotyzowania dzieci i zwierząt.

Pytaniem: kto może hipnotyzować i kogo? — zajmuje się rozdział III. Sz. autor dość jest niezdecydowany, jaką dać odpowiedź na

pytanie: kogo można zahipnotyzować? Raz bowiem oświadcza: każdy wogóle człowiek może być zahipnotyzowanym (str. 64), a zaś na str. 68 i 71 robi z tego prawa wyjątki.

Klasyfikacyi zjawisk hipnotycznych poświęcony jest rozdział IV. Różni różnie dzielą zjawiska hipnotyczne; szkoła Charcota przyjmuje trzy zasadnicze fazy hipnotyzmu: katalepsyę, letarg i somnambulizm; fazy te odrzuca jednakże szkoła z Nancy jako wydarzające się tylko u wyjątkowo zdolnych medyów, a natomiast Liebéault odkrył 6 stopni, Bernkeim zaś aż 9 stopni hipnotyzmu. Wkońcu zurychski profesor Forel odrzuca wspomniane dotąd klasyfikacye zjawisk hipnotycznych, a proponuje tylko 3 stany: senność, lekki sen czyli hipotaksyę, i somnambulizm czyli sen głęboki.

Nasz autor uznał za stosowne wobec takiej różnicy zdań trzymać się innego podziału. Dzieli on mianowicie (roz. V.) zjawiska hipnotyczne na takie, które towarzyszą hipnozie (§ 1), na następujące po niej (§ 2), wreszcie na zjawiska wstecznej hallucynacyi. W § 1 kreśli autor w sposób zajmujący objawy hipnotyczne odnośnie do władz wegetacyjnych i ruchu (wpływ na obieg krwi, trawienie, oddech, temperaturę, wydzieliny, anesterya, katalepsya, ruchy automatyczne, naśladownictwo, echolalia i t. d.), dalej mówi o wpływie na zmysły (illuzya i hallucynacya, hiperestezya, anopsia, głuchota, anosmia, agenzya); taksamo ulega różnym modyfikacyom pod wpływem snu hipnotycznego wyobraźnia (zmiana osobowości), pamięć (amnezya, hypermnezya), świadomość siebie, która jednakże nie znika całkowicie. Silnymi argumentami odpiera autor teoryę szłoły z Nancy o automatyźmie woli ludzkiej.

W § 2 przechodzi autor kolejno zmiany we władzach człowieka, następujące po hipnozie; wreszcie w § 3 mówi o zjawiskach hallucynacyi wstecznej.

Do zjawisk zmyślonych hipnotyzmu (r. VI.) zalicza autor: działanie leków z odległości (co Bernheim trafnie wyjaśnia suggestyą), dalej tak zwane przeniesienie *(transfert)* na tem polegające, że jeżeli się przybliży magnes do ciała hipnotyka, to niektóre zjawiska somatyczne i psychiczne mają zmieniać miejsce, owszem nawał z jednej osoby przenosić się do drugiej. Trafnie też rozwiązuje autor kwestyę zgadywania cudzych myśli, jakoteż działanie *à la longue échéance;* natomiast mieliśmy prawo spodziewać się od sz. autora czegoś pewniejszego w sprawie telepatyi. Nie dość atoli zebrać wiązankę objawów hipnotycznych, należy je także wyjaśnić, wskazać ich przyczynę. To też w roz. VII. rozbiera autor wartość różnych hipotez o naturze hipno-

tyzmu. Ważniejsze z nich są: hipoteza demoniczna, której autorem jest O. Franco T. J.; hip. spirytystyczna, podług której pewne dusze zmarłych, przywdziawszy astralne ciało, oddają się na usługi osobom uprzywilejowanym, które przy ich pomocy przedziwne zjawiska wywołują. Nie wiele co więcej warta mistyczna hipoteza barona Du Prela, która zjawiska hipnotyczne wyjaśnia przez przyjęcie w człowieku podwójnej duszy: zmysłowej, świadomej i nieświadomej, transcendentalnej. Dawno zaś odrzucono już hipotezy o fluidzie magnetycznym. Najwięcej uwagi poświęca autor hipotezom psycho-fizyologicznym, wyjaśniającym hipnotyzm bądź anemią mózgu (Carpenter), bądź hipezemią (Salvioli), bądź zatamowaniem czynności kory mózgowej (Despine, Cybulski), wkońcu zatamowaniem działalności centralnego organu apercepcyi i woli (Wundt). Autor nie godzi się na żadną z powyżej wymienionych hipotez, a natomiast chce wyjaśnić hipnotyzm przez porównanie go ze stanami analogicznymi, do których należą: zboczenia umysłowe, hiskzya i sen (rozdział VIII.). Cały ten rozdział opracowany bardzo dobrze, chociaż autor jako nielekarz miał do pokonania niejedną trudność. Właściwą całość wyjaśnienia wielu zjawisk hipnotycznych znajdujemy dopiero w rozdziale IX.: Zjawiska hipnotyczne wobec psychologii. Tu zarzucić musimy sz. autorowi nieco bałamutne przedstawienie władz człowieka. Tak np. o zmyśle „centralnym“ *(sic)* powiada autor, że „on poznaje nasz organizm“, „przezeń wiem, że czuję, że widzę“, ba: „przezeń spostrzegam jako całość leżące np. na mem biurku jabłko“. Nie wiemy, czy autor po pewnym namyśle nie użyłby nieco oględniejszych wyrażeń. Tak samo niedość odróżniona jest sfera pamięci zmysłowej od umysłowej, a niemniej czucie od wrażenia lub spostrzeżenia. Po wyjaśnieniu stosunku poszczególnych władz do siebie, przystępuje szan. autor do wyjaśnienia psychologicznie zjawisk hallucynacyi dodatniej i ujemnej, rozdwojenia świadomości, suggestyj terminowych oraz wezykacyi. Dodatnie hallucynacye wyjaśnia trafnie autor przyzwyczajeniem zmysłów do uzewnętrzniania treści spostrzeżeń (nie czucia, jak chce autor); to uzewnętrznianie może mieć za najbliższą przyczynę fizyologiczną podrażnienie danego ośrodka w korze mózgowej, gdyż podrażnienie to przenosi się po nerwie czucia do jego kończyn obwodowych, wskutek czego wywołać może tamże stan analogiczny do tego, jaki powstaje pod wpływem bodźców zewnętrznych; zaś ujemne hallucynacye dają się wytłumaczyć brakiem należytego zwrócenia uwagi na daną podnietę. Aby podnieta mogła być świadomie przez nas przyjętą, musi posiadać pewne natężenie, a nadto i nasza uwaga musi być skie-

rowana na nią. Gdy jednego z tych warunków zabraknie, to o świadomem spostrzeżeniu jakiegoś przedmiotu nie może być mowy. Tem się wyjaśnia, że żołnierz ranny śmiertelnie w boju, jakiś czas może zupełnie nie czuć rany. Iluzye wsteczne, czyli paramnezye jest trudniej wyjaśnić, lecz niezłe wyjaśnienie podaje autor (str. 368). Nie przedstawia natomiast wielkiej trudności wyjaśnienie faktu zmiany osobowości. Nie trzeba bowiem zapominać, że co innego osoba, a co innego pojęcie własnej osobowości. Pierwsza trwa niewzruszona mimo wszelkie zmiany w ciągu krótszego lub dłuższego żywota; zaś w celu powstania pojęcia własnej osobowości, współdziałać musi pamięć, wiążąca obecne stany z dawniejszymi, dalej świadomość, donosząca o naszem istnieniu i jego modyfikacyach, wreszcie rozum, który widzi we wszystkich zmianach podmiotowych jeden niezmienny, substancyalny czynnik, jedno: ja. Gdy tedy wskutek zwrócenia uwagi wyłącznie na suggestye hipnotysty traci osoba hipnotyzowana ze swej uwagi dawne swe stany, przeto łatwo może wziąć ułudę za rzeczywistość, wmówioną sobie osobowość za swą rzeczywistą. Zdaje się nam, że w ten sam sposób należało wyjaśnić fakt potrojenia osobowości, gdzie np. indywiduum, z którem Albert de Rochas robił doświadczenia, mniemało, iż po prawej swej stronie jest panem A, po lewej B, a w środku C, i w odpowiedni też dla tych trzech osób sposób modyfikowało swój głos. Szan. autor chce ten fakt wyjaśnić częściowemi zmianami w mózgu samym zaszłemi, np. cząstkowem sparaliżowaniem niektórych ośrodków, wskutek czego nastąpiłoby rozdzielenie władz zmysłowych a tem samem i odgraniczenie reszty funkcyj psychicznych w danem indywiduum. Nie wydaje się nam to wyjaśnienie dość trafnem, bo gdyby rozdzielenie w osobowości miało zawdzięczać swe powstanie tylko cząstkowemu sparaliżowaniu niektórych ośrodków kory mózgowej, to i po hipnozie musiałoby trwać złudzenie co do rozszczepienia świadomości, bo przecież organiczne uszkodzenia nie znikają na rozkaz hipnotysty, a do tego rzeczone indywiduum tylko w czasie hipnozy czuło się potrójną osobą.

Na uwagę zasługuje odprawa dana tym, co stygmata niektórych świętych chcieli uważać za powstałe w taki sposób, jak i wezykacye przy śnie hipnotycznym. Istnienia tych ostatnich autor nie przeczy, a wyjaśnia je wpływem wyobraźni na władze ciała.

W rozdz. X. (hipnoza a terapia) staje sz. autor po stronie tych lekarzy, którzy w hipnozie widzą dzielny środek leczniczy, zwłaszcza w chorobach imaginacyi i nerwowych. Dotychczas osiągnięto bardzo

pomyślne rezultaty przy leczeniu snem hipnotycznym takich chorób jak przygnębienie umysłowe, agorafobia, nosofobia, alkoholizm, morfinizm, kleptomania, *psychopathia sexualis,* skurcze, reumatyzm, pląsawica, jąkanie i t. d. Nie trzeba dodać, że hipnotyzm w rękach nieumiejętnego hipnotyzera stać się może środkiem nie tylko szkodliwym, ale wprost zabójczym dla hipnotyzowanych.

Dobrze też zrobił autor, że i pod względem moralności starał się ocenić wartość hipnotyzmu (r. XI.). Zwrócił przedewszystkiem uwagę na liczne nieszczęścia moralne z hipnotyzowania wynikające (zbrodnie seksualne, wyłudzanie zapisów, wmówienie popełnienia zbrodni, zdradzenie tajemnic własnych i cudzych, rozkazy popełnienia morderstwa i t. p.), wobec czego, jak niemniej wobec zupełnej uległości hipnotyzowanej osoby względem hipnotyzera, nasunęło się pytanie: czy hipnotyzm nie jest czemś bezwzględnie niemoralnem a stąd zupełnie niedopuszczalnem? Nie brak autorów, którzy poczytują hipnotyzm za *malum per se,* a więc za coś bezwzględnie godnego odrzucenia; nasz autor rozsądniej postąpił, nie potępiając bezwzględnie hipnotyzmu, lecz utrzymując, że tak samo jak inne środki narkotyczne, pozbawiające człowieka świadomości (chloroform i t. d.), może być i hipnotyzm w rozumnych celach używany. Godne natomiast są jak najsilniejszego napiętnowania publiczne przedstawienia hipnotyczne, w celach zarobku podejmowane. Wkońcu w r. XII. rozprawia się autor poważnie i stanowczo z zarzutem, jakoby cuda ewangeliczne lub inne były niemożliwe, lub tylko na tle suggestyi powstawały.

Jak z dotychczasowego *resumé* wynika, zawiera książka ks. Waisa treść bardzo bogatą a przytem zajmującą. Język jest potoczysty; na niektóre tylko usterki zwrócić należy uwagę. Tak np. autor za często używa wyrażenia: idzie kolej na...; wyrażenie to samo z siebie nie jest złe, ale zbyt często używane razi; tak samo zganić należy zbyt częste użycie przymiotnika: uczony. Autor bardzo hojnie rozdziela tytuł uczoności między autorów, na których w swej pracy się powołuje. Niemile także rażą liczne błędy drukarskie, których autor w *errata* tylko bardzo szczupłą garstkę zebrał. Autor szkołę w Nancy stale nazywa nantejską, zapominając, że istnieje miasto Nantes, dla którego jedynie przymiotnik nantejski jest właściwy, a nie dla Nancy. Są to jednakże drobne usterki, nie wpływające na ogólną wartość książki, którą śmiało każdemu polecić możemy.

Ks. F. Gabryl.

O grzesznikach nałogowych, nawrotnych i pozostających w okazyi do grzechu. Napisał *ks. dr. Adam Gerstmann,* katecheta V. gimnazyum lwowskiego. Lwów 1900. (Str. IV. i 186, w 8 ce),

Rzecz napisana wyłącznie dla spowiedników. Celem jej przypomnienie zasad probabilistycznych, tyczących się rozgrzeszania grzeszników nałogowych, nawrotnych i pozostających w okazyi do grzechu. Zasad tych, jako znanych spowiednikom, nie powtarzamy, zachęcając natomiast do przeczytania samejże książki ks. Gerstmanna, gdyż jest napisana jasno, gruntownie i praktycznie.

Z całego dziełka wieje przedewszystkiem gorąca miłość dusz ludzkich, szukających dźwigni moralnej w spowiedzi: autor wskazuje ciągle na zasadę św. Alfonsa de Ligouri *(Poenitens indispositus vel dubie dispositus prius disponendus),* która jedynie jest w stanie ominąć szkopuły rygoryzmu i laksyzmu. W rozwijaniu praktycznem zasad probabilizmu jest ks. Gerstmann często oryginalny, pokazuje dużo doświadczenia, znajomości serca ludzkiego i obeznania z literaturą traktującą o przedmiocie, o którym pisze. Z nowszych autorów idzie zwłaszcza za Berardim. Jako katecheta z zawodu (a widocznie i z zamiłowania) uwzględnia szczególnie trudności t. zw. „spowiedzi szkolnych“ i okazye do grzechu, na jakie narażona jest młodzież.

Pod względem rzeczowym zauważyliśmy kilka niedokładności: ks. Gerstmann twierdzi (str. 52), że „trudno nabyć do przekleństwa prawdziwej skłonności“. Doświadczenie jednak uczy, że spotkać można prawdziwą skłonność w tym względzie u ludzi chorobliwie drażliwych a przytem często drażnionych. Również nie wydaje się nam przesadnem (str. 53) zdanie, że powtórzenie trzy- lub czterokrotne grzechu może wyrobić nałóg. Zdarza się to bowiem w grzechach zmysłowych (nieczystości i pijaństwa) u indywiduów skłonnych chorobliwie już skądinąd, np. na podstawie dziedziczności, do tego rodzaju wykroczeń. Analogia, że „nikt nie nabierze biegłości w sztuce lub nauce przez to, że się dwa lub trzy razy czegoś nauczy, lub jakieś dzieło sztuki wykona; nikt nie jest cnotliwym dlatego, że raz lub kilka razy jakiegoś dobrego uczynku dokona“, nie dowodzi tezy autora, gdyż tu chodzi o rzecz trudną, a w nałogu grzesznym o rzecz, której się łatwo nabywa. Niedokładnem także jest zdanie: „Przecież nałogu nie nabył penitent bez swojej winy, a wiedząc, że nałóg jest grzeszny i szkodliwy, ma obowiązek starać się o jego usunięcie“. Dodać bowiem należało, że choć grzeszną skłonność ma w sobie penitent dziedzicznie (np. alkoholizm), lub nabył ją bez własnej winy (np. będąc dziec-

kiem w pewnych razach przez niańkę), to jednak winien się starać o jej usunięcie i jest odpowiedzialnym, jeśli się o to nie stara.

W miejscu, gdzie mowa o walce z nałogiem bluźnierstwa, do zdania „nie będzie miał grzechu, przynajmniej formalnego, gdy mu się jeszcze czasem wymknie słowo bluźniercze", trzeba dodać koniecznie „z nieuwagi" — i wogóle należało wytłumaczyć dokładniej nietylko wpływ woli na nałóg, ale także rozumu na wolę, a nadto wyjaśnić, kiedy *habitus nimis intensus tollit penitus voluntarium.*

Definicya nałogu (c. II, § 1) wypadła niejasno i zawile. Należałoby zaraz na wstępie podać definicyę generyczną łacińskiego wyrazu *habitus* (usposobienie wsobne i stałe, zależące na łatwości działania w pewnym zakresie), a następnie dopiero wyjaśnić specyficzne znaczenie polskiego wyrazu „nałóg".

Wypadało wreszcie staranniej przeprowadzać korektę celem usunięcia dość licznych *lapsus calami* i *typi* i zaopatrzyć książkę w „spis rzeczy".

Mimo te małe usterki, książka ma tyle zalet, iż wdzięczność się należy ks. Gerstmannowi, że przyniósł naszej literaturze pastoralnej rzecz dobrą.

Ks. Eugeniusz Hełczyński.

Wspomnienia z Kulturkampfu. Napisał *ks. Walenty Śmigielski.* Ostrów. Nakładem autora.

Mała, ale dziwnie zajmująca książeczka, wypełniająca znaczną w historyi pruskiego prześladowania lukę. Brakło dotąd bowiem zapisków z tych dni boju i znoju, brakło pamiętnikowego materyału, oświetlającego tę walkę tak zawzięcie wydaną Kościołowi katolickiemu przez żelaznego kanclerza. Jeden z księży majowych, wyświęcony w Pradze, wysłany bezzwłocznie na posługę duchowną osieroconej parafii, ks. Walenty Śmigielski, zachował notatki z pierwszych lat swego kapłańskiego zawodu, a dziś na rzecz Domu sierót ułożył z nich pamiętniczek.

Z niewolącą prostotą opowiada autor swe misyonarskie prace, niebezpieczeństwa i trudy, nie przechwalając się ani z zasług ani z pęt dla Chrystusa znoszonych, owszem kładąc raczej nacisk na potrójną dźwignię moralną, która ówczesnym młodym misyonarzom ułatwiała zadanie, a mianowicie: miłość ich bez granic dla osoby swego arcypasterza, kardynała Ledóchowskiego; ojcowska, mądra i troskliwa opieka, której doznawali ze strony ks. prałata Koźmiana, nareszcie oparcie ich apostolskiej działalności o granit polskiego, wielko-polskiego ludu. Te

trzy czynniki występują ustawicznie w opowiadaniu ks. Śmigielskiego, i tłumaczą nam w znacznej mierze ówczesne cuda wierności i wytrwałości. Z książeczki tej poznajemy dokładniej wysokie przymioty kardynała Ledóchowskiego. Mąż, co sobie zasłużył na tyle miłości, bo każdy z jego kapłanów, bez przenośni, gotów był w ogień skoczyć za swego pasterza, ten zaiste dobrym pasterzem w całem tego słowa znaczeniu być musi. Ks. Śmigielski wplata w tok swego opowiadania owe wspaniałe okólniki, słane z Rzymu przez dostojnego wygnańca do kapłanów swych dyecezyj, przytacza i listy jego prywatne, którymi zagrzewał apostolską żarliwość misyonarzy i pokrzepiał lud wierny w dzielnym oporze.

Czem był dla grona misyonarzy, czem dla prześladowanego Kościoła ks. Jan Koźmian, uwydatnia się także jasno w tych podręcznych zapiskach. Na wieść o jego zgonie, zdawało się wszystkim, iż runął filar podtrzymujący całą budowę. Wrażenia śmiercią jego w Wenecyi wywołane tak opisuje ks. Śmigielski: „W połowie września (r. 1877) nadeszła wieść o śmierci naszego najukochańszego przewodnika, ks. Koźmiana. Co się działo w sercu mojem, ten tylko odgadnie, kto miał szczęście poznać bliżej to serce prawdziwie ojcowskie, kto z nim razem wspólnie pracował, kto się choć zdala tylko przypatrywał jego niestrudzonej pracy, jego rozumowi, rzutliwości, poświęceniu, ofiarności. Cała Polska opłakiwała zgon jego tak przedwczesny, a oddając mu ostatnią posługę, czynem stwierdziła boleść swą wielką z powodu utraty swego najlepszego, najszlachetniejszego i najrozumniejszego syna“.

Wielką pomocą dla rozbiegłych po księstwie misyonarzy był wówczas ks. Edmund książe Radziwiłł, mąż wielkiego serca, który dzielił ochotnie ciężar dnia i upalenia z młodym klerem archidyecezyi jako prosty w Ostrowie wikaryusz. Dopiero po walce usunął się z pola czynnych zapasów, aby w zakonnej sukni Benedyktyńskiej przygotowywać powrót do Polski tyle zasłużonego dla naszej cywilizacyi i przeszłości zakonu. Przedwczesny zgon nie dał mu owego zamiaru i nadziei doprowadzić do skutku.

Nadzwyczaj zajmujące są opisy ciągłych pościgów za kapłanami, naganek urządzanych przez żandarmów i policyę, a wiecznie udaremnianych przez poczciwość i roztropność czujną ludzi. Barwnie opisane przygody misyonarskie, pozwalają nam poznać dokładnie szczegóły tej walki „kulturnej“.

Do tych pięknych rysów książeczki, zaliczyć wypada przeświecającą w każdem słowie zacność piszącego. Znać tu duszę prostą

a miłującą, serce korne a karne, nie wahające się nigdy wobec wyraźnej powinności. Rzewny epilog kończy się hasłem: *Sursum corda*, i nawołuje do ufności w obronie wiary, mowy i ziemi ojczystej.

M.

Burboni na wygnaniu w Mitawie i Warszawie. Szkic historyczny (1798—1805). *Aleksander Kraushar.* Warszawa 1899. (Str. 233, z illustracyami).

Autor, znany już w szerszych kołach czytelników z licznych prac historycznych, ma tę niezaprzeczoną zasługę, że potrafi niejednokrotnie wydobyć wiele nowych, niełatwo dostępnych szczegółów i oblec je w szatę lekką i poczytną.

Tułaczka hr. Prowancyi, późniejszego Ludwika XVIII. i całej jego rodziny po różnych krajach, a głównie pobyt jego na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej w pierwszych latach epoki porozbiorowej, dostarczyły autorowi sposobności do skreślenia obrazu Warszawy i jej społeczeństwa, a głównie życia towarzyskiego pod panowaniem pruskiem w pierwszych latach bieżącego stulecia. Sama osoba dostojnego tułacza, losy jego rodziny i dworu, nie przedstawiają wiele interesu. Wypędzany z miejsca na miejsce, walcząc nieustannie z kłopotami finansowymi, żebrząc pomocy u innych monarchów, protestując przeciw uzurpacyi Bonapartego, przedstawia się nam tak, jak go znamy z czasów restauracyi: przeniknięty przeczuciem legitymizmu swych praw, przekonany o Boskości ich pochodzenia, pragnie używać władzy bez trudu, unika wszelkiego wysiłku, do którego niezdolna jest jego ociężała natura fizyczna i moralna, a tron uważa za najwygodniejszy fotel. Upodobania literackie okazuje i na wygnaniu. Podczas pobytu w Warszawie chętnie rozmawia ze Stanisławem Potockim, cieszy się, gdy ten przytacza z pamięci wiersze z poetów greckich lub łacińskich i dziwi się, że Polacy są tak mocni w łacinie.

Sama tedy osobistość pretendenta i jego akcya polityczna bezowocna wobec przygniatającej wszystko potęgi Napoleona nie budzi naszej ciekawości. Chyba tylko ten jeden szczegół zasługuje na podniesienie, że w układach między Prusami i Francyą r. 1803 przesuwa się przelotnie myśl odszkodowania pretendenta krajami polskimi, pod zaborem pruskim będącymi. Natomiast barwnie jest skreślony obraz Warszawy jako stolicy prowincyi pruskiej, w której dla braku życia politycznego tworzą się stronnictwa towarzyskie, grupujące się bądź koło sfrancuziałego pałacyku „pod Blachą“, bądź koło domów, pielę-

gnujących tradycyę sejmu wielkiego. Znamieniem nowej epoki jest żywsze zainteresowanie się teatrem, wywołane walką stronnictw, popierających teatr francuski lub narodowy. Żona pretendenta nie dzieliła upodobania męża do teatru francuskiego, lecz bywała z dworem, aby *au moins satisfaire ses yeux,* w teatrze narodowym, który się pomyślnie rozwijał pod dyrekcyą Elsnera, dopóki jej nie wypłoszyły stamtąd dźwięki Marsylianki, przyjęte głośnymi okrzykami radości przez zgromadzoną publiczność. Sympatye dla Francyi republikańskiej, podsycane zwycięstwami Bonapartego, żywe były w Warszawie mimo pobytu licznych emigrantów francuskich, których lekkomyślność zgubny wpływ na społeczeństwo wywierała. Arystokracya polska jednak okazywała dostojnym wygnańcom tyle współczucia i użyczała pomocy nie tylko moralnej. Ludwik XVIII. miał prócz domku białego w Łazienkach, odstąpionego mu przez rząd pruski, pałac Kazanowskich podarowany mu oczywiście dla formy tylko przez wojewodzinę podolską hr. Ludwikę Zamojską; mógł więc w pamiętnikach swych napisać, że doznał tyle dowodów uszanowania i życzliwości ze strony szlachty polskiej, iż zawsze zachowa żywą wdzięczność dla tego narodu szlachetnego i gościnnego.

W ostatnich rozdziałach zajmuje się autor sprawą zagadkowego zamachu na życie Ludwika XVIII.; dalej jego zjazdem z hr. Artois w Kalmarze, co dało Prusom upragnioną sposobność do wypowiedzenia mu gościny na ziemi pruskiej. Do zamku mitawskiego, gdzie bawił za Pawła I., powraca teraz, przyjęty przez Aleksandra I., aby we dwa lata niespełna (1807) wyjechać do Anglii, gdzie się doczekał restauracyi.

Liczne ryciny, niezawsze szczęśliwie wykonane, zdobią tę zajmującą książkę.

Dr. Ludwik Boratyński.

Liber tristium. *F. Mirandola.* Kraków 1898.

Tytuł zbiorku poezyj „Liber tristium", — a więc podobnie mu na imię, jak jednemu z poematów Owidyusza. To podobieństwo niemile mnie tknęło na samym wstępie; mimowoli stanęła przed oczyma smutna przygoda z młodości tego poety, kiedy to za pisanie wierszy rodzona matka rózgi dobywała, a młody twórca rozdzierającym głosem zapewniał:

Iam, iam non faciam versus carissima mater.

Po przerzuceniu całego szeregu kartek tytułowych, dedykacyjnych, w liczne zaopatrzonych motta, doszedłem wreszcie do pierwszego wiersza, pod tytułem: „Ofiara Somy". Żeby czytelnicy poznali, jak wy-

soko sięgają poloty najnowszej poezyi polskiej, przytaczam ten wiersz w całości. — Poeta wkracza od razu z impetem w sam środek rzeczy:

Niech twój sok zwycięży omdleniem,
Czego nie zniszczą Agni połyski —
Czego nie zniszczą Agni języki
Jak rozburzona grzywa rumaka
Soma!

Zapewne po tych słowach zapanowała w umyśle czytelnika olbrzymia cisza, tak, że ani jeden ślad idei w nim się nie zaznaczył. Tak o tę ciszę idzie bardzo poecie, i to w całem tego słowa znaczeniu, bo zaraz w drugiej zwrotce każe odpędzić szczekające psy:

Odpędź wyjące o długich językach
Psy szczekające w cichą Somy noc.
Niech oko nasze głaszcze blask księżyca,
Niech zejdzie po promieniach Yati bladolica
Na jadzie Twym.

Tajemniczość z każdą chwilą wzrasta. Po rozkazie, by odpędzić psy, poeta daje zlecenie, by odrzucić czerepy:

Rzuć czerep precz, bo czerep to Powierzchnia...
Szczęśliwy, kto ma Yati na ustach ukąszenia.
Spać!

Czyżby, po tylu tajemniczych ceremoniach, tylko szło o spanie? Tak, ale o niezwyczajne spanie:

Spać — ale nie tak — jak śpi po pracy człowiek!
Spać — ale nie tak — jak śpi umarły człowiek!
Spać — ale nie tak — by pod zasłoną oczu
Był chaos — życie — grób — i trzęsienie ziemi
Przez Somą.

I to jeszcze za mało:

Spać, ale tak, by grały surmy głośno
Pobudkę wojny, i by przez obłok snu
Płynęły ciche, jak komarów brzęki,
Słowa zatrutych hymnów pianych
Na Yayati wzgórzach.

Ciekawa ta teorya snu ma wszystkie szanse po temu, by wywołać całkowity przewrót w studyach tego rodzaju. Lecz, niestety, z całego utworu ona sama pozostaje w umyśle, bo już następująca i ostatnia zwrotka, na piersiach Somy-Boga, jak sam autor daje do zrozumienia, poczęta [1], znowu tumanem jest zaprószona:

[1] Soma znaczy napój. U Indów jest bóstwem libacyi.

O! tylko tak na piersiach Somy-Boga
Godzi się przespać życie krótkie, urodzonym.
A ci, co skomlą głośno pod kąsaniem Yati —
A ci, co wietrzą śmierć we włosach Yati —
A ci, co w Yati — Somy noc szczekaniem mącą czary,
Ci są i nie są,
Ci są — lecz nie byli!
Ci są przypadkiem!
Ci wkrótce — nie będą.

Na dalszych stronicach nie próbowałem już szczęścia. Gdy odłożyłem książkę, tumany mgły powoli jęły się rozchodzić, a z poza nich znowu wychylać się poczęła przed wyobraźnią stara Rzymianka, matka Owidyusza, z rózgą w ręku.

Ks. J Pawelski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Cours de philosophie. Volume IV. Critériologie générale de la certitude par *D. Mercier*. (Paris. Alcan. 1899, stron 371).

Ks. prałat D. Mercier, profesor i dyrektor „wyższego instytutu filozofii“ w uniwersytecie katolickim w Louvain, jest dziś niewątpliwie najwybitniejszym reprezentantem szkoły neo-scholastycznej, która coraz większe zdobywa sobie z każdym rokiem uznanie nie tylko w obozie katolickim, ale też między jego przeciwnikami. Są to bowiem badacze, którzy nic nie uronili z zasobu prawd, zdobytych dla filozofii przez myślicieli greckich i średniowiecznych, ale zarazem umieją ocenić wartość badań nowoczesnych i ciągle idą naprzód z postępem nauki, czem wyróżniają się bardzo korzystnie od innych pisarzy, przeżuwających tylko zdania scholastyków. Mercier, de Wulf, Decraine, Crahay, Halleux, D'eploige i inni pojęli doskonale tę prawdę, że filozofia nie może się obejść bez materyału empirycznego, bez ścisłej analizy i krytyki, i że musi uwzględniać w pierwszym rzędzie rezultaty badań psychologicznych. Dlatego też bardzo dobrą myśl powzięła redakcya *Przeglądu Filozoficznego*, kiedy postanowiła wydać w przekładzie polskim główne dzieła Mercier'a („Historyę psychologii“, „Psychologię“, „Logikę“, „Kryteryologię“ i „Metafizykę“). Lękamy się tylko, że tłumaczenie to może nie będzie wolne od tych horrendów językowych, których dopuszcza się szan. redakcya *Przeglądu Filozoficznego* wraz ze

swoimi współpracownikami! Dla przestrogi podaję kilka przykładów. W zeszycie II. Rocznika I. czytamy na str. 20: „jeżeli rozróżnienie... uznanym zostanie“ (pisarze ci używają z reguły, ale na szczęście nie zawsze, 6-go przypadka z końcówką „ym“ w orzeczeniu, jeżeli podmiotem jest rzeczownik lub zaimek rodzaju nijakiego: „to jest możliwym“ i t. p.); gdzieindziej znajdujemy wyrazy: „nadbudowa“ (str. 80) „celowo-świadomy“ (*zielbewusst* str. 82) i dużo jeszcze innych śmiałych i niezręcznych nowotworów i t. d. Miejmy jednak nadzieję, że szan. tłumacze wywiążą się jak najlepiej z trudnego zadania! W każdym zaś razie musimy uznać za rzecz bardzo pocieszającą, że redakcya *Przeglądu Filozoficznego*, która dotąd sympatyzowała z myślicielami niechętnymi scholastyce, zamierza obecnie rozpowszechnić u nas pisma Mercier'a.

Przechodząc teraz do „Kryteryologii ogólnej tegoż autora, musimy najpierw stwierdzić, że i ona posiada wszystkie zalety właściwe książkom Mercier'a: jasność i ścisłość w określaniu pojęć, gruntowność w dowodzeniu, głębokość myśli, bystrość w krytyce zdań odmiennych. Autor roztrząsa kwestyę zasadniczą, która od czasów Kanta zajmuje najwięcej filozofów, kwestyę: czy wogóle możemy mieć kiedykolwiek pewność, że poznaliśmy prawdę i w jakich warunkach możemy poznanie nasze uważać za niewątpliwie pewne? „Kryteryologia więc „ogólna“ odpowiada na pytanie: „czy istnieje umiejętność pewna“? W drugiej zaś części, „szczegółowej“ zamierza autor wskazać dziedziny, które obejmuje ta umiejętność. Uzasadniwszy we wstępie, dlaczego kryteryologia powinna być traktowaną jako osobna nauka filozoficzna, zastanawia się autor w księdze I. nad „zagadnieniem ogólnem pewności“, którą określa jako „stan umysłu, wywołany przez przeświadczenie, że poznajemy prawdę“ (str. 20). Prawdą zaś nazywamy „zgodność myślenia z rzeczywistością“ *(adaequatio rei et intellectus)*. Ilekroć więc mówimy o „prawdzie logicznej“, chcemy powiedzieć, że pewne zdania, czyli sądy, wyrażone słowami, zgadzają się z faktycznym stanem rzeczy. Ale tu zaraz nasuwa się trudność, która zdaniem Kanta i jego szkoły nie da się pokonać: wszakże nasz umysł nie może wyjść poza siebie samego, nie może dotrzeć do „rzeczy samej w sobie“ *(Ding an sich)*, czyli poznać jej, jaką jest w samej istocie swojej; my poznajemy tylko własne wyobrażenia i pojęcia, właściwości zaś „rzeczy“, stosunki, jakie między niemi zachodzą, są i pozostaną dla nas niedostępne.

Na to jednak odpowiada autor bardzo trafnie, że „poznawać prawdę ze wzdlędu na jakąś rzecz, istniejącą w przyrodzie, to nie

znaczy: mieć o niej pojęcie takie, któreby było reprodukcyą zupełnie zgodną rzeczy, jaką ona jest w przyrodzie. Kto chce rzeczywistość poznać w ten sposób, chce wyobrażać sobie rzeczy same w sobie, bez żadnej asymilacyi rzeczy poznanej przez podmiot poznający, kto zaś tego pożąda, nie rozumie sam siebie" (str. 47). Żadna bowiem rzecz nie może wejść do naszego umysłu z całą swoją istnością bezwzględną, ale musimy ją ująć w sposób zgodny z warunkami naszego poznania, czyli sobie niejako „upodobnić": wyobrażenie np. drzewa, na które patrzymy, nie reprezentuje nam tego tworu przyrody, jakim on jest w istocie swojej t. zn. jako skupienia atomów (wedle hipotezy, dziś przez wszystkich prawie przyrodników przyjętej, ale nasuwającej pewne i to niemałe trudności), posiadających te i owe własności i siły i t. d.; gdybyśmy tym sposobem drzewo poznali, mielibyśmy zarazem pojęcie materyi i moglibyśmy zrozumieć, jak z niej wytwarza się ustrój roślinny. Ale czyż stąd wynika, że spostrzegając drzewo, nie poznajemy właściwie żadnego przedmiotu i nie możemy być pewni, że mamy przed sobą rzecz, od której zmysły nasze odebrały wrażenie, która stawia nam opór, która istnieje poza naszem wyobrażeniem i pozostaje w związku przyczynowym z innymi? Kto na to pytanie daje odpowiedź przeczącą, staje na stanowisku sceptycznem, a nie potrafi twierdzenia swego uzasadnić. Poznanie prawdy nie jest poznaniem rzeczy „samej w sobie", lecz dochodzi w ten sposób do skutku, że przedmiot odsłania się nam w pewnej mierze, o tyle, o ile go ująć zdołamy zapomocą zmysłów i rozumu, który odnosi wrażenia odebrane do rzeczy, istniejącej w świecie zewnętrznym, odróżnia wyobrażenie od spostrzeżenia i t. d.

Wykazawszy jasno a zwięźle tę prawdę, dowodzi autor dalej, że synteza pojęć w naszych sądach nie zawsze jest „wynikiem dyspozycyi czysto subjektywnej podmiotu myślącego", ale opiera się w pewnych wypadkach na poznaniu stosunków, między przedmiotami zachodzących, (str. 50 sqq.). W księdze zaś II. zwraca się przeciw sceptycyzmowi, poczem krytykuje „dogmatyzm przesadny". Dobrze uwydatniona jest różnica między wątpieniem rzeczywistem a metodycznem (str. 70), trafnie wykazane błędy, w które popadli Déscartes, Bonald, Lamennais, Pascal, Kant, Reid, Jacobi, Iouffroy, Renouvier, Balfour, Comte, Taine, Mill, Spencer i inni (księga III.). W księdze IV. (ostatniej) dowodzi autor rzeczywistości objektywnej pojęć w myśl „realizmu" średniowiecznego, zbijając poglądy „nominalistów" i „konceptualistów". Znamiona istotne gatunku, które są treścią pojęcia, np. człowieka, istnieją we wszystkich jednostkach ludzkich, a więc pojęcie

ogólne reprezentuje coś realnego (str. 296). Rozumowanie autora streszcza się tu w sylogiźmie następującym: „Przedmiot naszych pojęć zawarty jest materyalnie w przedmiocie naszych wrażeń. Rzeczywistość zaś objektywna naszych wrażeń nie ulega wątpliwości. A więc przedmiot naszych pojęć istnieje rzeczywiście“ (str. 327).

Jakież zaś są ostateczne wyniki „kryteryologii ogólnej“? Nie zawierają one w gruncie rzeczy nic całkiem nowego, ale są wybornym komentarzem do słów Arystotelesa i św. Tomasza, którzy teorye poznania oparli na podwalinie niewzruszonej: „Poznanie prawdziwe“ jest to sąd zgodny z rzeczywistością. Jeżeli zaś mamy skontrolować prawdziwość jakiegoś sądu, musimy stwierdzić, czy przyznanie temu podmiotowi tego a nie innego orzeczenia jest uzasadnione. Otóż w sądzie pewnym jest przynależność orzeczenia do podmiotu oczywistą. A zatem oczywistość jest probierzem prawdy, możemy zaś być pewni, że poznajemy prawdę, ilekroć nasze sądy są oczywiście uzasadnione. To jest pierwszym rezultatem wywodów ks. M. Drugim zaś jest, jak powiedzieliśmy powyżej, rzeczywistość objektywna naszych pojęć.

W części „szczegółowej“ zamierza autor poddać rozbiorowi: pierwsze zasady *(principia)*, fakty świadomości, wnioski dedukcyjne i indukcyjne, istnienie świata zewnętrznego, główne pojęcia metafizyczne, wspomnienia, racyonalność wiary, polegającej na czyjejś powadze. Zakończenie zaś dzieła ma stanowić „demonstracya syntetyczna wyników ogólnych tej pracy analitycznej“.

Nie wątpimy, że część II. posiadać będzie te same zalety, któremi odznacza się pierwsza. Jednej tylko rady ośmielilibyśmy się udzielić szan. autorowi, gdybyśmy mogli mieć nadzieję, że ją uwzględni: oto radzilibyśmy zmniejszyć liczbę cytatów, których, jak sądzimy, za dużo jest w jego „ktyteryologii“, a które objętość książki niepotrzebnie zwiększają.

Ks. Aleksander Pechnik.

Volkswirtschaftspolitik. Bearbeitet von *Dr. Eugen von Philippovich*. Erster Theil (w *Handbuch des öffentlichen Rechts der Gegenwart in Monographieen*). Freiburg 1899. (W 8-ce, str. 325).

Od czasów Rau'a polityka ekonomiczna nie była przedmiotem systematycznych opracowań. Złożyły się na to różne czynniki. Polityka ekonomiczna rozpatruje świadomie działanie związków przymusowych w zakresie gospodarstwa społecznego. Musi ona przeto badać, jakie skutki, jakie konsekwencye wypłyną z tego rodzaju działania. Ale nie

może ona też absolutnie powstrzymać się od wskazywania i określania jakości środków, których użycie prowadzi do zamierzonego celu. Kto jak Menger izoluje zjawisko ekonomiczne, kto politykę ekonomiczną uważa nie za naukę lecz za sztukę tylko, ten już z powodów zasadniczych nie może chętnie przedstawiać polityki ekonomicznej. Dawniejsza szkoła historyczna zajmowała się raczej rozwojem pewnych zjawisk ekonomicznych. Najlepsze monografie Roschera i najlepsze części jego systemu ograniczają się na samem badaniu pewnych zjawisk ekonomicznych u pewnych ludów w ciągu pewnego szeregu wieków. Wprawdzie i Roscher wypowiada niekiedy postulaty polityczne. Ale nie było tu miejsca dla osobnego systemu polityki ekonomicznej. I Schmoller zresztą i jego szkoła zasadniczo zajmuje się raczej tendencyą rozwojową, a polityka ekonomiczna jest dla niego raczej częścią szczególną ekonomii. Walną przytem a ważną przeszkodę stanowi też ścisłe postępowanie w myśl zasad metodologicznych tej szkoły. Opieranie wszelkich postulatów na podstawie dokładnej znajomości wszelkich konkretnych stosunków nie przedstawia zbyt wielkich trudności w monograficznem badaniu poszczególnych kwestyj ekonomicznych, jest jednak niełatwe do przeprowadzenia w chwili, gdy chodzi o przedstawienie całokształtu tych działań, ich skutków i wszystkich środków i środeczków.

Że taki stan rzeczy był połączony z wielorakiemi niedogodnościami, nie ulega chyba wątpliwości. Li tylko monograficzne traktowanie polityki ekonomicznej, lub choćby nawet przedstawianie większych grup zjawisk, ale tylko grup pewnych nie zaś ich całości groziło utratą dokładnego, jasnego poglądu na całość i snadnie mogło doprowadzić do wniosków mylnych i jednostronnych. Już choćby z tego jedynego powodu należy zwrócić baczną uwagę na książkę prof. Philippovicha. Ale książka ta zasługuje na uwagę i z wielu innych względów. Tak przedewszystkiem ze względu na sposób pojmowania polityki ekonomicznej. Gdy cała dotychczasowa literatura ekonomiczna (w najnowszym czasie bo jeszcze w r. 1897 Conrad) pod polityką ekonomiczną pojmowała stosunek państwa do gospodarstwa społecznego, jego działanie czy wogóle jego zachowanie się, to Philippovich nie ogranicza się w swym systemie na omówieniu stosunku państwa do gospodarstwa społecznego, ale uwzględnia także działanie jednostek, korporacyj czy wogóle grup społecznych. Wszelkie przeto działanie tych osób, skierowane na zmianę stosunków gospodarczych, jego wpływ i znaczenie dla ogółu, związek tych dążności z ustrojem politycznym i gospodar-

czym i t. d., o tem wszystkiem, zdaniem autora traktuje polityka ekonomiczna. Więc dążenie pewnej osoby prywatnej skierowane do wywołania paniki giełdowej dla uzyskania spadku cen pewnej kategoryi walorów np. — o tem ma traktować polityka ekonomiczna! każdy przyzna, że to cokolwiek za dużo. Niewątpliwie mylną jest dotychczasowa teorya, o ile ogranicza politykę ekonomiczną na stosunek państwa do gospodarstwa społecznego, a nie zwraca uwagi na ekonomiczne dążenia innych związków publiczno-prawnych, między którymi to związkami z jednej strony a państwem z drugiej strony zachodzi często różnica tylko kwantytatywna nie zaś kwalitatywna. Ale nie uprawnia to jeszcze do rozciągania polityki ekonomicznej do stosunku osób prywatnych czy ich związków dobrowolnych, do gospodarstwa społecznego, w przeciwnym wypadku musielibyśmy zmienić pojęcie polityki wogóle. Nie sądzę też, by słuszną była opozycya autora wobec stanowiska Steina, o ile Stein zalicza politykę ekonomiczną do nauki administracyi (względnie polityki administracyjnej).

Natomiast z wielkiem uznaniem należy powitać sposób podziału polityki ekonomicznej, przeprowadzony przez autora. Dotychczas dzielono politykę ekonomiczną na politykę agrarną, przemysłową, handlową i komunikacyjną. Było to stanowisko atomistyczne nieogarniające całości gospodarstwa społecznego, połączone przytem z tą niedogodnością, że częstokroć jedne i te same materye musiano traktować kilkakrotnie, lub niedość wyczerpująco lub niesystematycznie. Tak np. kwestyę robotniczą omawiano zazwyczaj w polityce przemysłowej, a trudno zaprzeczyć, że ma ona znacznie szersze znaczenie. Traktują ją zaś wyczerpująco, więc także w polityce przemysłowej, handlowej i komunikacyjnej musiano jedne i te same rzeczy kilkakrotnie powtarzać. W monograficznem traktowaniu poszczególnych gałęzi polityki ekonomicznej te strony ujemne nie występują na jaw; co innego natomiast w systemie całkowitej polityki ekonomicznej. To też autor czyni bardzo słusznie, dzieląc politykę ekonomiczną na trzy części, w których traktuje po porządku o polityce w zakresie organizacyi gospodarczej, następnie o polityce w zakresie funkcyj tych organizmów, więc w zakresie produkcyi, nakoniec o polityce w zakresie skutków i rezultatów tych funkcyj tj. w zakresie dochodu i jego rozdziału.

Tom pierwszy, dotychczas wydany, obejmuje politykę organizacyjną i część pierwszą polityki produkcyjnej.

Dr. Zygmunt Gargas.

Louis Veuillot par *Eugène Veuillot*. Paris. Victor Retaux.

W ciągu kilkunastoletniego swego istnienia niejednokrotnie usiłował *Przegląd* przedstawiać idealne typy tego lub owego zawodu, powołania, charakteru lub służby. Na przemian snuły się tu postacie ideału chrześcijańskiego męża stanu jak Garcia Moreno, chrześcijańskiego artysty jak Fryderyk Overbeck, chrześcijańskich uczonych, żołnierzy, myślicieli i t. p. Brakło w tej galeryi wizerunku chrześcijańskiego dziennikarza, niedościgłego ideału, za którym próżno się oglądamy wśród gwaru prasy peryodycznej i politycznej.

Dalecy od stawiania Ludwika Veuillota bez zastrzeżeń na piedestale ideału dziennikarza, upatrywaliśmy w nim wszelako zawsze jednego z najdzielniejszych i najzdolniejszych szermierzy Bożej sprawy. Kościół wojujący nie miał gorętszego obrońcy, waleczniejszego żołnierza, spółczesne francuskie piśmiennictwo potężniejszego stylisty, a epoka nasza w śmiałe wyznawstwo uboga, w charaktery skąpa, słusznie chlubić się może, że wydała wśród ogólnego ostudzenia i nadwątlenia, człowieka tej miary i wiary co Ludwik Veuillot. Upojony walką, porwany zapałem, bił, tłukł, siekł nieraz piórem i słowem, nie licząc się z następstwami, szedł naprzód przebojem, choćby po trupach własnych sprzymierzeńców; ale ci nawet co mu wyrzucali niedostatek miłości lub roztropności, nigdy o jego dobrej wierze i dobrej woli nie zwątpili, przykładem takiego bojowania za Kościół i takiego przywiązania do Kościoła zbudowani i zdumieni. To też od dawna pragnęliśmy poznać życie tak, jak znamy pióro, poznać człowieka tak, jak już dziennikarza znamy. Mnóstwo rysów autobiograficznych, rozproszonych w spuściźnie piśmiennej Veuillota, dawało nam przedsmak życiorysu, nad którym od lat szesnastu pracował brat jego, Eugeniusz. Atoli sam będąc dziennikarzem z zawodu, Eugeniusz Veuillot wciąż bywał odrywanym od pracy wymagającej pewnej ciągłości, i stąd zwłoka gotowa i nadal się przedłużyć. Zaledwie bowiem tom pierwszy zamierzonej biografii się ukazał, a rzecz, rozszerzona nad właściwą miarę, wymagać się zdaje wielotomowego jeszcze dopełnienia. Pod nie jednym względem, tom ten pierwszy braterskiej biografii pewne nam przyniósł rozczarowanie. Eugeniusz Veuillot bystrością i talentem, duchem i stylem, dużo niższy od starszego brata; skądinąd dziś stary i sterany pracą, nie posiada już potrzebnego do tego rodzaju roboty ognia i żwawości; a całe życie strawiwszy na zagrożonym wiecznie posterunku, zaprawił się do ustawicznej walki, w polemicznym tonie po trochu trzymając nawet wspomnienia dni minionych, które wymagałyby spokojniejszej oceny. Nie

mniej książka to nad wyraz zajmująca i doniosła, obfitująca w historyczne już dziś szczegóły, dająca klucz sytuacyi i kamertonową nutę epoki nad inne bujnej w poświęcenie i zapał, nareszcie i to przedewszystkiem, niosąca pełno pięknych, szlachetnych rysów, znamionujących tego wielkiego i na wskróś chrześcijańskiego dziennikarza. Opowiadanie sięga kolebki Ludwika Veuillota, a tom niniejszy obejmuje okres przeszło trzydziestoletni, od r. 1813—1845. Dziecko ludu, syn wieśniaka, uczciwego bednarza, który młodo poślubił krzepką i pracowitą dziewczynę z przyległej prowincyi, Veuillot łączył w sobie najlepsze pierwiastki francuskiego plemienia, bujność i bitność mieszkańców tej właśnie ziemi, na której wyrósł. Bawiący się nierzadko w proroka Michelet, spotkawszy raz w Paryżu młodego Veuillota, uderzony odrazu rzadką jego intelligencyą, zagadnął go nagle pytaniem, co on zacz i skąd rodem: — Musisz chyba pochodzić z Burgundyi? — zapewne, jestem Burgundczykiem po ojcu, lecz przez matkę raczej do prowincyi Beance należę. Twój styl to zdradził i potwierdził — zawołał Michelet z nastrojem wróżbity. — Tak jest, właściwości łączysz w sobie obu prowincyj, winograd i pszenicę, wino i chleb, dwa piewiastki żywiące, krzepiące głodną ludzkość. Masz z czego tworzyć potężne dzieła!

Wyrocznia ta później przyszła, a tymczasem chłopiec rósł i rozwijał się w kmiecej chacie, wśród wielkiej biedy i większych jeszcze trudów, zwłaszcza gdy rodzice za chlebem przenieśli się do Paryża, a raczej na przedmieścia rosnącej wciąż stolicy. Tu przychodzi nam dotknąć się zupełnego odchrześcijanienia niektórych warstw francuskiej ludności. Dzieci Veuillotów rosły bez żadnego religijnego wychowania. Dla zwyczaju Ludwik przystąpił wprawdzie do pierwszej Komunii, że jednak akt ten ważny dokonanym został bez przygotowania należytego, ani jakiegobądź ogrzania młodej duszy, nie powrócił już więcej do stołu Pańskiego i dalej wzrastał bez Boga.

Przyrodzona uczciwość rodzicielska dziedzictwem w dzieciach się zdradzała, ale już czychały zewsząd złe wpływy, złe przykłady, złe książki. A jak sam Veuillot w późniejszem pisał życiu: „znalazł po drodze niejedną serdeczną życzliwość, opiekę, poparcie, nie spotkał atoli nikogo coby się duszą jego zajął i wskazał mu szlaki wyraźnych obowiązków“. Opatrzność, stawiając go na czele młodszego rodzeństwa, poczuciem płynących stąd odpowiedzialności miała pasować młodzieńca na późniejsze rycerstwo. A tymczasem rwał się do nauki, do pracy umysłowej raczej aniżeli do ręcznego trudu. Biograf opisuje nam twardą młodość brata swego Ludwika, ucieranie się jego z niedostatkiem, łą-

czenie najpospolitszych, zarobkowych znojów z gorączkową żądzą wykształcenia, do którego doszedł głównie za pomocą bezmiernego czytania, oraz obcowania z ludźmi wyższego polotu. Atoli obok zawodowych zajęć w biurze notaryusza, ileż dodatkowych należało szukać zarobków, aby wyżyć i przeżyć trudne początki. I tak widzimy Veuillota, to uczestniczącego ze wstrętem w mozolnej fabrykacyi łojowych świec, to znów o świcie lub zmierzchu noszącego worki z piaskiem na brzegach Sekwany.

Budziła się jednak w nim dusza, budził i talent, podsycany wszechstronnem oczytaniem. Rychło wciągnięty w koła intelligencyi paryskiej, wcześnie też wprzęgniętym został w rydwan prasy. Dziwnym zbiegiem okoliczności pierwsze czasopismo, w którem współpracował było *Figaro*. Że jednak chodziło ubogiemu młodzieńcowi o ustalone dochody i stanowisko, którego mu *Figaro* zapewnić nie umiało, postanowił szukać chleba na prowincyi, i z kolei pracował w Rouen, w Périqueux.

Prowincyonalne dziennikarstwo niewątpliwie wyrobiło talent Veuillota, a zarazem i zaciężyło nad nim zbyt osobistą polemiką, właściwszą mniejszym ogniskom. Wrodzona jego zaczepność, w małomiejskich stosunkach znajdowała pole otwarte dla szermierek dowcipu i słowa. Niejednokrotnie obrażeni szukali satysfakcyi na drodze pojedynku, do którego młody dziennikarz zawsze gotów był stanąć. W kilka lat później, gdy Veuillot z rodzeństwem zwiedzał te same strony, zabiegł na miejsce owych krwawych spotkań i tam, klęknąwszy na ziemi wraz z siostrami, głośno przepraszał Boga za pogwałcenie Jego zakonu.

Ale jakkolwiek materyalnie lepiej mu się działo, a talent się rozwijał wśród rosnącego uznania wytworniejszych umysłów, młodzieniec nie znał spokoju ni swobody ducha. Targała nim bezwiednie potrzeba wiary, głód Boga.

Powrót do stolicy, znajomość z Guizotem, stabilizowanie w biurze ministeryalnem jako pod-szefa sekcyi, wkroczenie w dziedzinę większej prasy i w war szerszego ogniska polityki i literatury, nie zaspokoiły tęsknoty rozpierającej duszę młodzieńca. Gnany naprzód obcą sobie mocą Ludwik Veuillot, umyślił szukać uspokojenia czy nasycenia w dłuższej podróży. Wybierał się na Wschód, utknął w Rzymie, gdzie na niego czekał Bóg. W trzy dni po przybyciu do miasta wiecznego już donosił bratu, że się w nim dzieje coś niezwykłego a ważnego, że się w nim coś łamie, kruszy, taje. Spotkał tam kilku znajomych, bodaj przyjaciół, owianych szczerą a gorącą wiarą. Żona

jednego z nich prostotą pobożności przenikającej całe jej życie, wymownie stwierdzała wpływ religii na potoczne nawet warunki. Obiegali razem stare pamiątki Rzymu. Gdy towarzysze, po zwiedzeniu Kapitolu i Forum, wstąpili do kościoła Ara Coeli, gdzie się odbywało 40-godzinne nabożeństwo, Veuillot nie śmiał się wyłączyć i uklęknął wraz z nimi. Kiedy nazajutrz udali się na Mszę do Bazyliki Piotrowej, poszedł za przyjaciołmi, pytając sam siebie, czemu, gdy oni w Ojcowskim czują się domu, on jeden jakoby tu obcym i przybłędą. Poczucie tego jakiegoś osamotnienia i wyłączenia trapiło go i upokarzało zarazem. Wewnętrzny ten proces, który bodaj już od roku nękał go niepokojem i niepewnością, nagle się miał zakończyć. Po kilku rozmowach z Jezuitą O. Rozaven prysły ostatnie jego wątpliwości i w dniu wielkopiątkowym 1838 r. klęknął kornie przed kratkami konfesyonału. „Zapukałem do arsenału, skąd więksi, mężniejsi, możniejsi odemnie dobierają sobie broni przeciwko sobie samym". Mniemał, że dobił do portu uspokojenia i zaspokojenia wewnętrznego. Tymczasem, wbrew zwykłych pociech zapewnionych nowo nawróconym, przechodził w tym właśnie okresie najprzykrzejsze próby oschłości, smutku, doczesnego znękania. Odroczył Pan dzień pokoju. Dopiero obiegłszy główne przybytki Najśw. Panny, za Jej przyczyną otrzymał pożądane uciszenie, a rekolekcye odbyte w Fryburgu u Jezuitów rozstrzygnęły o jego powołaniu. Nie w klasztorze, nie w samotnej celi Bóg go chciał mieć, a opieka nad młodszem rodzeństwem ukazała mu się w świetle najbliższej, a więc najpewniejszej powinności.

Myśl o siostrach, odpowiedzialność za wychowanie młodszego brata, wszystko to przyśpieszyło działanie łaski w szlachetnem sercu Veuillota. A jedno jeszcze wrażenie potężnie oddziałało, aby tę duszę przywieść do stóp Boga. Przyszło mu patrzeć na śmierć ojca, uczciwego rzemieślnika, który przez całe życie nie wiedząc nic o Bogu, obywał się bez wszelkiej religijnej praktyki, aby dopiero w ostatnich chwilach takowej zapotrzebować.

Smutek i chłód ostatnich dni rodzica zapalił Veuillota tem żywszem oburzeniem i gniewem przeciw tym, co wydarli ludowi francuskiemu wiarę, co zmroczyli dlań i życie i śmierć. Na razie sądził, że przełom dokonany w jego duszy zagrodzi mu drogę do wszelkich szerszych powodzeń. Rychło atoli miał się przekonać, iż sam, stawszy się innym, nie miał wszelako innej szukać drogi, że owszem teraz właściwie miał się dlań rozpocząć zawód dziennikarza, z którym, mniemał, iż się pożegnać mu trzeba.

Zrazu, nieświadomy własnego powołania, jął pisać książki odpowiadające nastrojowi duszy. Opowiedział pod przejrzystą literacką zasłoną dzieje swego nawrócenia, wrażenia z pobożnej pielgrzymki po Szwajcaryi, zdobył się i na powieść po trochu autobiograficzną. Lecz już w tych próbach i pracach raz po raz odzywa się gromka pobudka przyszłego rycerza prasy.

Tymczasem mimo zdwojonej pracy autorskiej, położenie materyalne się nie poprawiało, zwłaszcza, iż nieznanemu jeszcze autorowi wypłacano bądź skromne honorarya, bądź ich nie wypłacano. Życzliwi pragnęli mu zapewnić stalsze dochody i zajęcia, ale kosztem swobody czasu i niezależności zdania. On zaś na spętanie talentu swego i życia nigdy przystać nie chciał. „Cała roztropność ludzka wstrzymać mnie nie zdoła od zerwania ze światem, aby walczyć pod sztandarem Boga", pisał wówczas do przyjaciela.

Chciałoby się wciąż przytaczać urywki z tych niezrównanych listów, które, zdaniem jednego z najpierwszych francuskich krytyków, stawiają Veuillota obok Cycerona i pani de Sévigné. Nad inne świadectwa i wizerunki, sam się najtrafniej maluje własnemi, dorywczemi zwierzeniami. Dostarcza nawet nieraz portretu misternie wykończonego.

Jak wszystkie umysły ciekawe, Veuillot lubił podróże, lubił wyjazdy, wolał jeszcze powroty. Przyjął też z zadowoleniem misyę półurzędową do Algeryi. Przychylny mu zawsze marszałek Bugeand powołał go na sekretarza, minister zaś Guizot powierzył mu szersze zadanie rozświecania w poufnych raportach kwestyj miejscowych.

W ciągu swego pobytu na ziemi afrykańskiej Veuillot przedewszystkiem dotknął zasadniczego błędu rządu francuskiego, który zdawał się głównie lękać, aby Maurowie i Arabowie nie przypuścili, iż religijna propaganda pójdzie w ślad orężnego podboju. Zbliżywszy się do biskupa i duchowieństwa miejscowego, Veuillot przeniknął niedostatki, a nawet niepodobieństwa przeszczepienia na tych wybrzeżach cywilizacyi, dopókiby ta nie była szczerze i otwarcie chrześcijańską. Mnożył w tym duchu sprawozdania a tymczasem nie uchylał się i od uczestniczenia w wyprawach wojennych dla stłumienia buntów arabskich. Danem mu było proch powąchać, ale jakoś nie dał się przekonać do wojskowego rzemiosła i przykrzył sobie pobyt w Algeryi. „Abym się tu przyswoił, trzebaby mi być misyonarzem. Wiesz, iż kocham żołnierzy, ale szabla czy armata zdają mi się być bardzo nędznemi machinami. Przywykliśmy innej, straszniejszej używać broni, wobec której bledną i mdleją kule i działa. Kiedy czytam kochanego *Univers*'a wście-

kam się, że nie jestem we Francyi, aby dobyć miecza przeciw p. Villemain (ministrowi oświecenia), przeciw carowi Wszechrosyi, przeciw dziennikarzom, felietonistom, wodewilistom! To mi dopiero wojna: bić się o zasady, bić z ideami!"

W tym okrzyku stwierdza się prawdziwe powołanie Veuillota, a jednocześnie ujawnia wczesna przynależność do dziennika, który go miał ostatecznie pochłonąć, a do którego już raz po raz pisywał.

W Afryce wielka doścignęła go pociecha. Brat młodszy, naglony jego przykładem i zaklęciem, uległ łasce, ukląkł u tych samych ołtarzy, gdzie Veuillot spokój duszy odnalazł.

Niejeden raz w życiu miał Veuillot doznać podobnej pociechy. W kilka lat później, jeden z jego przyjaciół i spółpracowników, Edward Ourliac, wydawał mu się być zgnębionym w duchu. — Jakże stoisz wobec Boga? — pytał go wręcz bez ogródki. Ourliac wyznał, iż z okazyi swego małżeństwa wyspowiadał się, ale przed kapłanem chłodnego serca, na czem się ten powrót do praktyk religijnych skończył. Idź do spowiedzi, naglił Veuillot, niepodobna bez tego wytrwać w życiu chrześcijańskiem. Zaprowadzę cię do księdza, który cię macierzyńską ogarnie czułością. „Zaprowadziłem go do zakonnika o wielkiej nauce i większej jeszcze słodyczy, i w kaplicy czekałem na koniec ich rozmowy. Nie powiedział mi, co zaszło między nim a kapłanem, ale nazajutrz rano miałem się o tem dowiedzieć. Spotkaliśmy się na mszy, i w chwili komunii, wstaliśmy pospołu. Nie spróbuję wyrazić co się w sercu mojem działo. Kto nigdy nic podobnego nie zakosztował, nie zna wartości życia".

Za powrotem z Algeryi Guizot chciał Veuillota zatrzymać przy sobie. Daremnie! Veuillot uznawał wysokie zalety ministra, szerokość jego poglądów i wielką dobroć serca, ale wraz czuł, że mu niepodobna się wiązać i krępować zależnością pracy i zdania. „Postanowiłem sobie sprawie religii całe poświęcić życie, oddać jej najlepsze ducha mego owoce, w niej znaleźć cel mych trudów i usiłowań, wszystko dla niej złożyć w ofierze!" Zresztą niebawem miał do wyboru pomiędzy stosunkami z Guizotem, a z *Univers*'em. Owszem, ten ostatni dość nędzny wiodący żywot, oparciem o rząd i poparciem wielkiego ministra, mógł od razu zyskać na znaczeniu, wpływie i powodzeniu materyalnem. Toczyły się w tej mierze pewne rokowania. Wahanie się, jeśli było jakie, krótko trwało, starczyło jednak, aby Veuillotowi dać ochotę zerwania słabego jeszcze wówczas węzła, co go z redakcyą łączył. Gdy ów projektowany sojusz upadł, Veuillot głośną wybuchnął

radością. „Dzięki Bogu, *Univers* obraził ministerstwo i hańbiące węzły zostały potargane. Oczywiście, położenie dziennika na nowo stało się ciężkiem i kłopotliwem. Ale lepsza śmierć od zaprzedania!“

Po kilka razy już nam przyszło wspomnieć dziennik, z którym niebawem Veuillot miał dozgonne zawrzeć śluby. Należy się tedy w kilku słowach określić początki wielkiego katolickiego organu, który po dziś dzień walne oddaje usługi sprawie Kościoła i wiary. Otóż pierwszy numer liczącego dziś sześćdziesiąt siedm lat istnienia czasopisma odnieść wypada do niedzieli, dnia 3 listopada 1833 r. Na wzór ówczesnych gazet, i ta drukowała się zrazu w trzech zaledwie szpaltach, nie licząc więcej nad 37 ctm. długości a 27 szerokości. Zato tytuł był rozwlekły i szumny: *Univers religieux, politique, scientifique et littéraire*. Wypisane u spodu hasło zapowiadało „jedność w rzeczach pewnych, swobodę w niepewnych, miłość, prawdę i bezstronność we wszystkiem“. Znany z cennych wydawnictw ks. Migne podpisywał nowy dziennik jako dyrektor i założyciel. Wkrótce pod sztandarem *Univers*'a, jęły się skupiać celniejsze katolickie siły, nazwiska dziś w części zapomniane, w części wsławione, przeważnie ludzi młodych, zapału pełnych i ochoty. Przedewszystkiem wymienić należy długoletniego kierownika i spółpracownika nowo powstałego pisma Du Lac, który już w następnym roku objął tekę redaktora, a wniósł do redakcyi krom talentu i niezłomności zasad, owego ducha rzymskiego, który miał owiać i objąć *Univers*'a, najpewniejszej mu udzielając podstawy. Du Lac otrzymywał 125 franków na miesiąc, a bodaj cała robota redakcyjna na nim stała. Spółpracownikom nie wypłacano najczęściej honorarya, bo skąd było brać pieniędzy, kiedy kasa wiecznie pustkami świeciła? Czasem hr. Montalembert hojniejszą ofiarą zapewnił na jakiś czas utrzymanie dziennika, to znów inni darodawcy, przeważnie ubodzy kapłani, składali się na dalszy byt katolickiego czasopisma.

Univers różne przechodził koleje, zlewał się z innymi dziennikami, a dzisiejsze jego połączenie z *Monde*'m, niegdyś z jego ula wyrojonym, nie było nową próbą w jego długoletniem doświadczeniu. Veuillot dopiero w r. 1839 zaczął sporadycznie spółpracować w redakcyi, na której czele stanął w r. 1843. Pierwszy artykuł jego pióra opisywał otwarcie kaplicy w zakładzie wychowawczym zw. *les Oiseaux*. Niebawem posypały się i inne, wśród których zauważono programat akcyi katolickiej i katolickiego dziennika.

„Wśród różnolitych stronnictw, należymy jedynie do ojczyzny i Kościoła“.

„Wśród wszystkich rzeczy przemijających, wśród tylu ruin i zwalisk, ruchu myśli odchodzących i powracających na przemian, trwamy przy jednych tylko rzeczach, jednych pojęciach, które się nie zmieniają ani przemijają, trwamy przy Kościele i ojczyźnie".

To postawienie się ponad stronnictwami targającemi krajem jest nutą przewodnią programowych artykułów *Univers*'a i stałą w nich pobrzmiewa zwrotką.

Tym zaś, którzy wołali, aby *Univers* stanowczo się za tym czy owym systematem rządzenia oświadczył, Veuillot odpowiadał: „Każde stronnictwo to zawsze jakaś nienawiść, systemat to zawsze spętanie! A my odrzucamy od siebie wszelkie pęta i wszelką nienawiść. Społeczność chcemy brać tak, jak ją rozumieli Apostołowie. Nie jesteśmy ani Pawła ani Cefasa, jesteśmy Chrystusowi"...

Taką regułę Veuillot dał dziennikowi, nadał życiu swemu, a brat-biograf ma prawo twierdzić, iż jej się nigdy do końca życia i zawodu nie sprzeniewierzył...

Przedewszystkiem chodziło mu o danie głosu walczącym, o dodanie serca milczącym. Nie brakło bowiem Francyi zacnych i przekonanych katolików, ludzi pobożnych i wierzących, atoli onieśmieleni zgiełkiem napastników, uciszeni wrzawą wrogów Kościoła i prawdy, nie odzywali się zgoła, ani występowali do spornego boju. Chwiejny dotąd, małoznaczący i mało czytany *Univers* od razu stał się powagą i siłą, z którą liczyć się wypadło. Veuillot wniósł do redakcyi okrom talentu, odwagę wyznawstwa oraz i tę katolicką doktrynę i ducha, którym od swego nawrócenia cały byt przesiąknięty. Niemała to siła dla katolickiego dziennika, taka pewność doktryny i pełność zjednoczenia z Rzymem, który się też nigdy na Veuillocie nie zawiódł. Nad innych, umiał zrozumieć Rzym, potrafił go zawsze słuchać i zawsze mu służyć.

Zszeregowały się niebawem najprzedniejsze katolickie siły dokoła sztandaru *Univers*'a, który od razu zstąpił w arenę, aby stoczyć bój o wolność nauczania, przeciwko monopolowi uniwersytetu. Ta pierwsza kampania, opisana tu szczegółowo, daje nam bliżej poznać jedną z najpiękniejszych chwil XIX wieku. Przez lat dziesięć, od r. 1850, Veuillot nie schodził z pola, lecz nieustannie prosił, pisał, upominał, łajał, wołając o sprawiedliwość, o przyznanie Kościołowi praw odwiecznych a zapoznanych. Przypominał, iż nie ostoi się rząd rozwiedziony z Kościołem.

„To czego się dopominamy jest koniecznem: chcemy wszczepić drzewo, którego cień i owoce są niezbędne dla społeczeństwa i rządu,

bronimy zasad żywotnych, dzierżymy prawdy bez których niepodobna ludźmi na ziemi rządzić. Pośród kamieni potrzebnych do ugruntowania bezpieczeństwa przyszłości, trzymamy najważniejszy, i tylko nasze ręce zdolne są zwornikiem sklepienie utwierdzić i zamknąć".

Śmiałość tonu od razu dodała serca walczącym i spoistości chrześcijańskim szeregom. Nie będziemy tu opisywali tej wspaniałej walki, w której Veuillot kroczył na przedzie ręka w rękę z hr. Montalembert. Ten ostatni, godząc się na wszystkie postulaty *Univers*'a, niemniej gromkiemi odzywał się słowy.

Rząd Ludwika Filipa odrazu uczuł jakąś moc w obozie katolików. Ale na razie chciał ich odstraszyć pogróżką, iż nigdy do żadnych ustępstw się nie skłoni, ani też żądanych swobód nie zawaruje. Veuillot z ciętą ironią owe pogróżki podniósł, powtarzając, iż katolicy ani kochają, ani też nienawidzą rządu, ale zwłaszcza się go nie boją. „Nie życzymy mu źle, upatrujemy w nim towarzysza podróży, dla którego nie odczuwamy zgoła sympatyi, ale który może od innego nie jest gorszym, z którym tedy lepiej się układać, bo może nam wypadnie z nim iść dalej... Nie chcąc go obrazić, możemy go jednak zapewnić, iż nie my pierwsi umrzemy. Nosimy bowiem imię, które jest rękojmią długowieczności, mimo słabości naszej nazywamy się katolicyzmem, a krom tego, inne jeszcze nosiliśmy miano, które podjąć nam przyjdzie — byliśmy bowiem ludem. Zaczem długie czeka nas życie i przeznaczenia".

Nie wchodząc w szczegóły walki, która za kraty więzienne wiodła z kolei takich ludzi jak Montalembert i Veuillot, a ściągała grzywny na takie pisma jak *Univers*, wystarczy przypomnieć, że cały episkopat francuski, nie skory do zstępowania w arenę, przyklasnął kampanii o wolność nauczania, i z jednym bodaj tylko wyjątkiem, oświadczył się jednomyślnie przeciw monopolowi uniwersyteckiemu, uczestnicząc pośrednio czy bezpośrednio w zagajonej tak śmiało walce. Jedność i jednolitość działania ogarnęła cały obóz katolicki, potęgując w nim siły. Ze smutkiem przychodzi czytać te wspomnienia najpiękniejszej chwili trwających po dziś dzień zapasów, gdy się pomyśli jak inne byłyby osiągnęły skutki, gdyby nie rozbicie i rozprzężenie, które niebawem miało osłabić te zwarte dotąd zastępy bojowników. Dochodząc zaledwie do r. 1845, biograf nie przekracza tej daty, dodając tylko poufniejsze szczegóły do historyi wewnętrznej i rodzinnej wielkiego dziennikarza, który nigdy się przed żadną nie cofał odpowiedzialnością,

a służąc Kościołowi i ojczyźnie, nie zaniedbywał zobowiązań przejętych wobec swych bliskich.

Nie bacząc na biedę własną, na nadmiar pracy, przygarniał do siebie siostry i brata, stwarzał dla nich ciepłe ognisko rodzicielskie i wyrzekał się własnej swobody, byle dla tych dzieci zgotować przystań bezpieczną. Jedna z sióstr objęła gospodarstwo domowe, druga, Eliza, wyrosła na sekretarza Ludwika, przez całe życie zagrożonego ociemnieniem, a pracującego bez wytchnienia we dnie i w nocy. *Univers* wówczas pojawiał się rano, zaczem wypadało każdy numer wygotować wieczorem, a raczej w nocy. Ostatnie korekty około północy składano w drukarni, co ogromnie przysparzało trudu redakcyi. Okres ten był jednak szczęśliwym, jak to zawsze bywa wśród kochającego się rodzeństwa. Veuillot nieraz wyjeżdżał w celach propagandy religijnej; podróże jego po odległych prowincyach pozwoliły mu chwycić za puls prawdziwą Francyę, nie zaś sztucznie przedstawioną zapomocą opłatnych i dowolnie przykrawanych sprawozdań. Zjednał sobie w onych wędrówkach wielki mir wśród duchowieństwa, sam pisał, jak mu wszędzie księża są radzi i jak go plebani wiejscy przyjmują, ulubieni jego serca prostaczkowie, nieraz w służbie Bożej niezrównani. Wśród tylu zajęć i znojów, nie bardzo miał czas o sobie pomyśleć, choć mu nieraz przyjaciele radzili się żenić. Niewiele od życia wymagając, spotkał Veuillot swą towarzyszkę w trzydziestym trzecim roku życia. Sam poświadczył wielokrotnie, iż związek jego był szczęśliwym, acz krótko trwałym. Donoso Cortès upatrywał w Matyldzie Veuillot uosobienie pokory. Ale przy całej skromności i słodyczy, tkwił w jej duszy hart niezrównany i po latach mąż mógł powiedzieć, iż dzieląc jego życie, życie *Univers*'a zlane z jego własnem, ta cicha istota nigdy mu nie dała małodusznej rady. *Jamais elle ne m'a donné un conseil lâche!* Spełniajmy wolę Bożą, powtarzała, spełniajmy ją dobrze, a Bóg nas nie opuści.

Należy ocenić to słowo, to świadectwo małżonka, w którym nie trudno dopatrzeć się bohaterstwa, gdy się zważy, że zasady chleba nie dają, że honorarya dziennikarskie, zwłaszcza w onych latach, z trudnością rodzinę utrzymać pozwalały, że każde śmielsze zdanie i bardziej wyzywające słowo oczywiście doczesnym zagrażało korzyściom. A tu przybywały wciąż dzieci, rosły potrzeby i bieda. Gdy po raz pierwszy ojcem miał zostać, Veuillot pisał do brata: „Jeżeli Bóg da nam dziecię, sobie samemu przysposobi sługę. Nie przestajemy bowiem ofiarować Mu tego daru Jego“. Nie danem było Veuillotowi od-

rodzić się w synie. Same córki z kolei przybywały, przy szóstej stracił cichą, słodką, pokorną swą żonę. Została mu w pamięci taka, jaką zawsze widywał za życia, szyjącą, cerującą przez dzień cały, otoczoną wieńcem dzieci siedzących u jej nóg na ziemi. Gdziekolwiek się ruszyła i przeszła, cała ta gromadka wnet za nią spieszyła. Łzawe i tkliwe wspomnienia w różnych pismach swoich poświęcił Veuillot krótkotrwałemu szczęściu swemu i cichej cnocie żony.

Wielka prostota cechowała małżonkę Ludwika Veuillota. Ciche jej usposobienie odpowiadało jego poglądom na wychowanie niewieście. Uważał on wykształcenie naukowe za rzecz całkiem dla kobiety podrzędną. Dlatego tak wysoko cenił wychowanie klasztorne, ponieważ tam więcej się starają o wytworzenie chrześcijanek aniżeli sawantek.

Na tem zamykamy streszczenie pierwszego tomu życia Veuillota; można mu wytknąć niedostatek w umiarkowaniu i wyrozumieniu, niepodobna zaprzeczyć odwagi i dzielności wyznawstwa. Jeżeli może czasem grzeszył nadmierną ciętością i surowością słowa, nigdy nie zawinił wystudzeniem serca, obojętnością ducha, chłodem rozumowania. Jeśli niekiedy zbyt nielitościwie, zbyt gwałtownie występował w szermierce, to nie z niedostatku miłości, lecz z przekonania, iż w naszych czasach ogólnego uśpienia trzeba budzić ducha choćby bólem, trzeba pracować za wielu, którzy nie pracują, nie walczą, nie miłują.

M.

Bogarodzica. Untersuchungen über das dem hl. Adalbert zugeschriebene älteste polnische Marienlied von *Dr. F. Hipler*. Braunsberg 1897.

Mamy do zanotowania jedno z bardzo rzadkich zjawisk: pracę napisaną przez Niemca o rzeczy polskiej, a napisaną nietylko bezstronnie ale nawet z wielką życzliwością. Jest to rozprawa zmarłego niedawno kanonika warmińskiego, ks. d-ra Hiplera, o najstarszej pieśni polskiej, przypisywanej św. Wojciechowi, o „Bogarodzicy".

Dodajmy od razu, że jest to jedna z najlepszych prac o tej pieśni. Na trzydziestu dwu stronach autor podaje właściwie wszystko, co o „Bogarodzicy" wiemy i wiedzieć powinniśmy. Od początku do końca jest ściśle naukowy, nie wdaje się w żadne kompromisy i układy z nienaukowością, ale też cały ciężki balast filologicznych dociekań i dowodzeń odrzucił, tak że praca jego jest przystępną każdemu. Szczerze powiemy, że żałujemy bardzo, iż taka praca nie pojawiła się dotąd w języku polskim; — taka rzecz właśnie w wysokim stopniu może się

przyczynić do rozpowszechnienia i spopularyzowania i samej pieśni i wiadomości o niej.

Na dwie części dzieli się rozprawa ks. Hiplera. W pierwszej jest krytyka i rekonstrukcya tekstu. A więc autor zestawia cztery najstarsze teksty z wieku piętnastego wraz z łacińskim przekładem, pochodzącym z r. 1695. Na tej podstawie rekonstruuje tekst poprawny i podaje go w dzisiejszej pisowni, — obok umieszcza dokonany przez siebie przekład niemiecki, bardzo dobry.

Rozdział drugi zawiera: 1^0 rozbiór treści; przyczem autor usiłuje odczytać pierwszy wiersz drugiej zwrotki, dotąd niejasny i niewytłumaczony; czyta mianowicie: twego dzieła krzyczyciela (usłysz głosy i t. d.) = usłysz głos twego stworzenia (dzieła) krzyczącego (ku tobie); nie można wszakże powiedzieć, aby dowody, jakie podaje, były wystarczające.

2^0 Odpowiedź na pytanie o pochodzenie i wiek „Bogarodzicy". Tu autor idzie za powszechnie przyjętem zdaniem, że nie jest rzeczą możliwą, aby św. Wojciech był autorem „Bogarodzicy". W pierwszej zwrotce widzi naśladowanie jednej pieśni niemieckiej, w drugiej przeróbkę laisu czeskiego *Hospodine pomiluj ny*. Na to tłumaczenie się nie zgadzam, ale nie tu miejsce na polemikę i wywody, ukażą się one w piśmie specyalnem („Prace filologiczne"). Że w zwrotkach dalszych są niewątpliwe przekłady z czeskiego, temu już przeczyć nie można. Ks. Hipler kładzie powstanie „Bogarodzicy" zgodnie z innymi uczonymi na wiek XIV.

3^0 Dzieje naszej pieśni od bitwy pod Grunwaldem aż po dziś dzień. Między innemi zamieszcza tu autor wspaniałą Sarbiewskiego parafrazę „Bogarodzicy" wraz z własnem tłumaczeniem niemieckiem.

Praca ks. Hiplera jest niewielka rozmiarami, ale znaczna wartością, jest doskonałą monografią o najstarszej i najpiękniejszej polskiej pieśni średniowiecznej. Wyszła ona w czasopiśmie *Zeitschrift für die Geschichte Ermlands* t. XI. i w osobnej odbitce. Ponieważ i czasopismo owo nie jest u nas znane, ani odbitki w księgarniach naszych niema, więc należy się przynajmniej w recenzyi o niej wspomnieć i powiedzieć o niej czytelnikowi polskiemu. Jeszcze raz powiedzmy: szkoda, że nie mamy tak napisanej monografii „Bogarodzicy" w języku polskim.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

NOWY TRYUMF KATOLIKÓW W BELGII.

W niedzielę dnia 27 maja b. r. odbyły się w Belgii wybory do izby deputowanych i senatu według nowej ustawy wyborczej, uwzględniającej dotychczas niereprezentowaną mniejszość. Z wielkiem naprężeniem oczekiwano wyników, chodziło tu bowiem nie tylko o pierwszą próbę ogniową nowego systemu wyborczego, ale także o rozstrzygnięcie tego, czy dotychczasowy rząd katolicki i całe stronnictwo katolickie utrzyma się i nadal w dotychczasowej sile i żywotności.

Kiedy już rozeszła się wiadomość o szczegółowym wyniku wyborów, przyjęto ją z radością wielką w całym obozie katolickim. Niemniejszą jednak radość okazała dość znaczna część prasy antykatolickiej: liberalnej i socyalistycznej. U nas taki np. *Naprzód* wydał okrzyk tryumfu w patetycznym artykule wstępnym p. t.: „Za wzór niech Belgia służy nam!“ Kto czerpie informacye z podobnie tandeciarsko zacofanych gazet, gotów rzeczywiście uwierzyć w ów rzekomy tryumf socyalistów belgijskich i w ową ciężką niby porażkę partyi katolickiej.

Po czyjej stronie słuszność, kto naprawdę zwyciężył, socyaliści i liberali czy katolicy? Odpowiedź na to pytanie już z góry da każdy, kto tylko choć trochę mniej płytko patrzy

na rzeczy od przedstawicieli partyi ciemnoty i przewrotu. Gdyby przecież katolicy nie byli pewni zwycięstwa, to nie przeprowadziliby takiej reformy wyborczej, która z natury rzeczy musiała olbrzymio zmniejszyć poprzednią ich niezmierną większość w obu Izbach [1]. Przecież cała reforma wyborcza i jej ostateczna uchwała to ich własne dzieło.

Żeby sobie zdać sprawę z ostatnich wyborów belgijskich i ocenić je należycie, trzeba sobie przypomnieć, na czem polega po raz pierwszy w nich zastosowana nowa ustawa wyborcza i co katolikom belgijskim zależało na jej przeprowadzeniu.

Nie wchodzimy tu w historyę tej ustawy. Mniejsza o to, czy pomysł jej jest nowy, czy nie [2]. Idzie tu nam tylko o ogólną jej charakterystykę.

Nowy system wyborczy uznaje istniejące stronnictwa polityczne i dąży do tego, aby mandaty w każdym okręgu wyborczym rozdzielić pomiędzy te stronnictwa proporcyonalnie względem ilości wyborców z każdego stronnictwa. Stąd system ten nosi nazwę p r o p o r c y o n a l n e g o.

Przed rozpoczęciem głosowania wyborcy otrzymują kartki z listami kandydatów, wymienionych na razie w takim porządku, jaki im przypadł przez losowanie. Czerniąc białe kółko w czarnym kwadracie nad listą, wyborca głosuje z a n i ą a tem samem zgadza się na porządek kandydatów w niej zawarty: tj. zgadza się na to, że, jeżeli wybór padnie na jednego tylko kandydata

[1] Parlament składał się ze 112 posłów katolickich, 28 liberałów i 12 socyalistów; większość więc katolicy posiadali 72 na 152. W senacie zasiadało 70 katolików, 31 liberałów i 1 socyalista: katolicy więc mieli większość 38 na 102.

[2] Zwolennicy i obrońcy nowej ustawy chcą główne jej zasady odnaleźć już u Arystotelesa, mianowicie w jego teoryi demokracyi, zawartej w księgach Πολιτικών. W gorliwości swej idą może za daleko. Pewną jest jednak rzeczą, że przewodnią myśl tej ustawy, dążenie do obrony praw niereprezentowanej mniejszości, można odszukać już u Montesquieu, Mirabeau i Condorcet'a. W Anglii Hare na tej przewodniej myśli oparł swój projekt reformy wyborczej, którego gorliwie bronił John Stuart Mill. System belgijski (t. zw. system d'Hondt'a) wyżej stoi od tego projektu, a zbliża się najwięcej do systemu wyborczego, który wymyślił i opracował w r. 1834 Victor Considérant w Genewie.

z tej listy, to będzie nim ten kandydat, którego nazwisko jest na czele. Jeżeli wyborca chce przyznać pierwszeństwo innemu któremukolwiek kandydatowi z tej listy, nie zaś pierwszemu z góry, to zamiast górnego czerni to białe kółko, które się znajduje obok nazwiska owego innego kandydata. Ponieważ reprezentacya proporcyonalna nie da się oczywiście zastosować do wyborów uzupełniających, przeto od razu wybiera się do każdej listy pewną, odpowiednią ilość zastępców, którzy mają zająć ewentualnie wakujące mandaty w danym okręgu.

Ażeby system wyborczy skuteczniej mógł funkcyonować, urządzono wielkie okręgi wyborcze (na 152 posłów 30 okręgów) [1]. Nie można być kandydatem w dwu okręgach, ale można jednocześnie kandydować na posła i na zastępcę.

W rachowaniu głosów naprzód liczy się kartki, przez które głosowano w każdem stronnictwie *za listą*. Następnie zlicza się kartki, w których pierwszeństwo przyznano komu innemu, nie pierwszemu kandydatowi z listy. Suma głosów *za listą* i głosów *preferencyalnych* stanowi liczebną siłę stronnictwa.

Dalsze postępowanie [2] pokażemy najlepiej na jednym jakimś przykładzie konkretnym.

W okręgu naprzykład wyborczym w Nivelles na 4 mandaty poselskie katolicy otrzymali głosów 24830, socyaliści 21224, liberali 14159 [3]. Idzie o to, aby w stosunku do tych liczb rozdzielić one cztery mandaty. Wiemy, że wartość stosunku się nie zmieni, jeżeli jego wyrazy przez tę samą liczbę podzielimy. Zamiast więc powyższych liczb możemy wziąć ilorazy, otrzymane

---

[1] Bruxella wybiera 18 posłów, Antwerpia i Leodyum po 11, a jeden tylko okręg wyborczy dwu.

[2] Ustawa postępowanie to tak określa: „Dzieli się po kolei liczby głosów każdej z partyi przez 1, 2, 3, 4, 5 i t. d., a w stosunku do liczebnych wartości otrzymanych ilorazów należy rozdzielić mandaty".

[3] Razem głosów 60213; średnio więc na jeden mandat wypada głosów 15053. Gdyby się jednak tę liczbę wzięło za podstawę rachunku, to dzieląc przez nią każdą z trzech powyższych liczb, otrzymalibyśmy liczby stosunkowe: $1\frac{9777}{15053}$, $1\frac{6171}{15053}$, $\frac{14159}{15053}$. Dla uniknienia w rachunku ułamków, które w przypadkach zawilszych manipulacyę wyborczą bardzoby utru-

z podzielenia ich np. przez 2. Wtedy na 12415 głosów partyi katolickiej przypada 10612 głosów socyalistom, a 7079 liberałom. Dzielę teraz każdą z tych samych powyższych liczb przez 12415 i otrzymuję następujące liczby stosunkowe: 2, $1\frac{8809}{12415}$, $1\frac{1744}{12415}$; czyli na 2 głosy katolików przypada 1 z ułamkiem socyalistom, 1 z ułamkiem liberałom. Ponieważ do rozporządzenia są tylko cztery mandaty, zatem rozdzielić je należy w stosunku liczb 2 : 1 : 1, ułamki bowiem już tutaj oczywiście odpadają bez wpływu.

Pomijamy inne szczegóły dość nieraz skomplikowanego mechanizmu wyborczego. Z tego, cośmy podali, widać już dostatecznie główną jego zasadę, która zapewnia możliwie jak najdalej idącą reprezentacyę mniejszości. Stronnictwa mniejszości tem więcej na nowym systemie zyskują, im mniej jest okręgów wyborczych, czyli im są one większe [1]. System ten stawia wszystkich wyborców na stopie zupełnego równouprawnienia i całkowitą zostawia im wolność głosowania.

Łatwo teraz zrozumieć, dlaczego katolicy, którzy przez olbrzymią większość w obu izbach tak silne i decydujące w nich zajmowali stanowisko, mimo to dążyli usilnie do reformy wyborczej. Dwa głównie skłaniały ich do tego powody. Po pierwsze, rozumieli to dobrze, że w systemie wyborów większościowym mała jakaś przypadkowa zmiana w zapatrywaniach wyborców łatwo może pozbawić katolickie stronnictwo posiadanych dotych-

---

dniały, dąży się w ustawie do tego, żeby ilości mandatów wprost były wyrażone przez liczby całkowite, i przyjmuje zasadę, że ułamek mandatu opuszcza się jako nie mający sensu. Według tej zasady za podstawę trzeba więc przyjąć mniejszą liczbę od 15053, taką, któraby albo 2 albo 3 albo 4 razy mieściła się bez reszty w największej z trzech powyższych liczb. Tutaj wystarczy podzielić przez 2 liczbę 24830, gdyż liczba 12415, przyjęta za podstawę rachunku, już unaocznia jedynie słuszny sposób rozłożenia owych czterech mandatów.

[1] Tak np. w przykładzie rozważanym: katolicy nie stracili daremnie ani jednego głosu, socyaliści stracili 21224—12415 = 8809 głosów, a liberali 14159—12415 = 1744 głosów. Gdyby zaś ten okręg wyborczy był złączony z innym okręgiem, w którym również pewna ilość głosów stronnictwa np. socyalistycznego była stracona, to owe stracone głosy socyalistów w obu okręgach razem do siebie dodane mogłaby wynieść sumę, zapewniającą socyalistom znów jeden mandat.

czas większości w okręgach wyborczych. Powtóre, świadomi byli tego, że dotychczasowy stan rzeczy nie zgadzał się ze słusznością i sprawiedliwością, stale wykluczając od reprezentacyi w parlamencie bardzo licznych obywateli. Tak np. w Leodyum tysiące katolickich wyborców, bardzo dzielnych a zjednoczonych i silnie zorganizowanych, zupełnie nie były w stanie zdobyć sobie choć jednego reprezentanta swych zapatrywań w parlamencie; we flamandzkich znów okręgach w podobnem położeniu bez wyjścia znajdowały się tysiące wyborców liberalnych. Taki stan rzeczy domagał się więc koniecznie sanacyi, a rząd belgijski uważał ją sobie za pierwszy obowiązek. W tym też celu przeprowadził nową ustawę wyborczą, chociaż, występując w obronie niereprezentowanej dotąd mniejszości, dobrze rozumiał, że będzie musiał ponieść nader wielkie straty w dotychczasowej olbrzymiej większości, na jakiej się opierał w senacie i w parlamencie. Z drugiej jednak strony stronnictwo rządowe i katolickie jednocześnie rozumiało, że ta dotychczasowa większość opartą jest na sztucznych i przypadkowych podstawach. Trzeba więc było wzmocnić i utrwalić same podstawy.

I rząd i wszyscy katolicy doskonale o tem wiedzieli, że w nowym systemie wyborczym mogą rachować na bardzo niewielką większość. Najbardziej pesymistycznie usposobieni spodziewali się, że w nowym składzie parlamentu większość katolicka w porównaniu do połączonych razem socyalistów i liberałów będzie polegała na jednym, drugim tylko deputowanym. Najwięksi zaś optymiści zapowiadali większość siedmiu, ośmiu głosów. Rezultat wyborów daleko przeszedł oczekiwania i pragnienia katolików, bo do parlamentu wybrano razem 85 katolików, 33 liberałów, 34 socyalistów: większość więc katolicka nad oba razem złączone dwa inne stronnictwa przedstawia się w pokaźnej liczbie 18[1].

Do senatu wybrano 58 katolików na 102 członków. Większość więc katolicką przedstawia tu jeszcze stosunkowo pokaźniejsza liczba 14.

[1] Dodać nadto należy, że jeden poseł (z okręgu Alost) zaliczony jest do socyalistów, choć rzeczywiście należy do stronnictwa chrześcijańsko-

Wobec takich wyników musimy skonstatować ten fakt, że katolicy belgijscy odnieśli wspaniałe zwycięstwo. Chociaż bowiem katolicka większość w parlamencie spadła z 72 do 18, a w senacie z 48 na 14; to jednak każdy, ktokolwiek choć trochę zdaje sobie sprawę ze stosunków politycznych w Belgii, rozumie to doskonale, że z zaprowadzeniem systemu reprezentacyjnego mniejszości raz na zawsze upada możliwość wielkiej większości jakiegokolwiek stronnictwa. Mała jednak mniejszość w obecnym systemie ma nieporównanie większą i stalszą wartość, niż dawniej bardzo nawet wielka.

Belgia w przeprowadzeniu nowej ustawy wyborczej i w ostatnich wyborach znowu pokazała światu, że jest krajem z gruntu katolickim, i że potrafi być wierną dzielnym swym tradycyom pomimo trudnej nieraz walki, jaką musi staczać z partyami ciemnoty i przewrotu.

Katolicki rząd Belgii, który przez 16 lat swego istnienia tak dzielnie popchnął naprzód sprawę katolicka, tyle zrobił dla poprawy wychowania i ochrony klas robotniczych, silną przez ostatnie wybory otrzymał rękojmię, że jeszcze długo trzymać będzie ster spraw krajowych. Stoi on teraz tak silnie, jak jeszcze nigdy dotąd, bo oparty jest na takiej większości, której zburzenie stało się najzupełniej nieprawdopodobnem. To też r o z u m n i e j s i przedstawiciele socyalistów i liberałów, oceniając należycie obecne położenie polityczne Belgii, są w zupełnej rozpaczy i otwarcie przyznają, że obecne rezultaty reprezentacyi proporcyonalnej odbierają im wszelką nadzieję przyjścia do władzy, której już się czuli blizko w dawnej reprezentacyi większościowej.

Wybory wypadły świetnie i ponad najdalej nawet idące wyrachowania i pragnienia. Radość więc w całej katolickiej Belgii ogromna. Podzielają ją katolicy wszystkich innych kra-

---

ludowego, które się zdobyło tylko na tego jedynego swego reprezentanta. Ten deputowany w kwestyach ściśle religijnych głosować jednak będzie z katolicką większością. Dodać również wypada, że większość katolicka nie tylko się składa z konserwatystów, lecz także z wielkiej ilości przedstawicieli klasy robotniczej.

jów, a prasa katolicka wskazuje na katolików belgijskich jako na dzielny przykład zdrowej, solidarnej i żywotnej polityki katolickiej. I my od siebie hołd składamy katolickiemu społeczeństwu Belgii a wspaniałego tryumfu, jaki świeżo odniosło, winszujemy mu z całego serca.

PIELGRZYMKI JUBILEUSZOWE.

Ledwie Ojciec św. zapowiedział jubileusz na r. 1900, zaraz prasa antykatolicka zajęła nieprzychylne co do pielgrzymek jubileuszowych stanowisko. Wrogie Kościołowi katolickiemu dzienniki zaczęły się zastanawiać nad kwestyą, czy jubileusz się uda, czy katolicy usłuchają wezwania papieża i rzeczywiście dla uzyskania łask jubileuszowych podążą do Rzymu. Przepowiednie, w jakie się wtedy owe dzienniki bawiły, nie były z sobą zgodne: albo bowiem zapowiadano takie powodzenie, któregoby nie przyćmił nawet blask sławnego jubileuszu za Bonifacego VIII., albo też z góry wróżono wielkie *fiasco*. Jedne i drugie przepowiednie w tym tylko celu głoszono, aby tegoroczny jubileusz, prędzej czy później, zdyskredytować w opinii publicznej.

Złośliwej tej taktyce prasa katolicka już zaraz z początku przeciwstawiała trzeźwe i umiarkowane zapatrywania. Rachując się z warunkami i okolicznościami, ze strony katolickiej postawiono taką normę i miarę powodzeń jubileuszowych, jaką wskazywało prawdopodobieństwo. Obiecywano mianowicie sobie, że jeżeli nie zajdzie nic z góry nieprzewidzianego, to do Rzymu w tym roku wyruszy taka ilość pielgrzymów, jakiej tam nie było po wszystkie lata ubiegłe od r. 1870, ale nieporównanie mniejsza, niż w czasie jubileuszów średniowiecznych.

Obecnie, kiedy już upływa połowa roku jubileuszowego, wypada się zapytać, czyje przewidywania się sprawdziły. Pytanie to nie jest przedwczesne, gdyż w drugiej połowie tego roku pielgrzymów będzie już znacznie mniej, a to głównie z powodu skwaru letniego i prac w polu.

Z początku zachodziła co do ruchu pielgrzymek pewna obawa. Spowodowała ją stała niepogoda miesięcy zimowych i silnie grasująca influenza. Mimo to, nawet już wtedy tysiące

i tysiące pielgrzymów napływały do grobu św. Piotra i do stóp Ojca świętego. Od grudnia 1899 r. do końca marca 1900 r. przybyło do Rzymu pielgrzymek zbiorowych 21, które razem wynosiły z górą 40000 uczestników.

Od początku kwietnia do końca tegoż miesiąca ruch pielgrzymek był tak wielki, że przeszedł wszelkie oczekiwania i przewidywania. Liczba pielgrzymów w tym miesiącu wynosiła prawie sto tysięcy. Maj jeszcze świetniejsze przyniósł rezultaty. Nie mamy dokładnych dat statystycznych pod ręką, ale na dowód olbrzymiego napływu pielgrzymów w maju, wystarczy powiedzieć, że w tymto miesiącu przybyły do Rzymu pielgrzymki ze Szwajcaryi, z Polski, z Holandyi, z Belgii, z Austryi, z Niemiec, ze Szkocyi, z Francyi, ze Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, a przedewszystkiem z samych Włoch. O ogólnej liczbie pielgrzymów da nam wyobrażenie ten fakt, że z Włoch samych wyruszyło w maju pielgrzymek trzydzieści, a między niemi były nie tylko parutysięczne, ale i kilkutysięczne; jak również inny fakt, że taka np. francuska pielgrzymka liczyła ponad 10000 uczestników. Pewne światło na ilość rzymskich pielgrzymów rzuca już ta okoliczność, że przez dwa miesiące (od połowy marca do połowy maja) towarzystwo tramwajów rzymskich pobrało za przewóz osób 2500000 lir, czyli tyle, ile w całym roku 1899.

Świat więc katolicki usłuchał głosu Namiestnika Chrystusowego: z bliższa i z dalsza pielgrzymi tłumnie się gromadzą u jego stóp, aby dostąpić odpustu jubileuszowego i otrzymać apostolskie błogosławieństwo.

Ta wielka manifestacya katolicka powinna zamknąć usta wszystkim tym, co z niedowierzaniem i z uprzedzeniem zapowiadali nieudanie się jubileuszu i powinna ich przekonać o tem, że u ludów katolickich nie zagasła jeszcze wiara, że owszem żywą ona jest i gorącą.

Pielgrzymki rzymskie nie są to tylko zbiorowe jakieś wyprawy czy wycieczki w dalekie kraje, ale są przedewszystkiem aktami religijnymi, bezpośrednio ku czci Boga skierowanymi. Ten ich religijny charakter przebija już przez cały czas trwania

podróży, a w Rzymie samym przybiera postać wielkiego zbiorowego nabożeństwa. Stąd też zbudowanie dają te pielgrzymki nadzwyczajne, tak wszystkim udział w nich biorącym, jak i świadkom postronnym.

Największe może zbudowanie odnieśli i drugim dali uczestnicy polskiej pielgrzymki zbiorowej. Ponieważ ze wszystkich pielgrzymek ta najbliższą jest sercu naszemu i najwięcej nas obchodzi, przeto parę jej słów poświęcimy.

Pielgrzymka polska wynosiła osób 2050, przeważnie przedstawicieli naszego biednego, ale zacnego i szczerze pobożnego ludu. Jeżeli chodziło o zamanifestowanie wobec świata tego, że Polska jest krajem z gruntu katolickim, w którym kwitnie wiara żywa i pobożność gorąca, to z pewnością nie można było wybrać lepszych przedstawicieli. Pielgrzymi polscy u stóp Ojca świętego godnie reprezentowali naród w niewoli, a w mieście świętem za naród ten miłą Panu Bogu złożyli ofiarę i przed tron Najwyższy korną zanieśli modlitwę.

Pielgrzymka nasza udała się doskonale, śmiało to możemy powiedzieć. Oczywiście w takiej wielkiej liczbie musiał się znaleźć jeden, drugi malkontent, który na wszystko patrzył z uprzedzeniem pesymistycznem. Taki malkontent, zapytany o pielgrzymkę, odpowie całym szeregiem skarg i narzekań[1]. Słuchając go, mogłoby się zdawać, że ta pielgrzymka to tylko jedno pasmo zawodów i niepowodzeń. Jeżeli się jednak nie poprzestanie na takich stronniczych relacyach, a porozmawia o pielgrzymce nie z jednym lub drugim, ale z wieloma jej uczestnikami, to dojdzie się do wręcz przeciwnego przekonania. Z ust powracających pielgrzymów wydobywał się powszechnie głos zachwytu i uniesienia. Co szczególnie u nich uderzało, to uroczysty i pobożny nastrój, jaki z sobą do kraju przywieźli. Długa i męcząca droga nie zdołała widocznie zatrzeć podniosłych wrażeń i uczuć, w miejscach świętych po drodze i w samym przede-

[1] Właśnie na takich malkontentów czyhają reporterzy niechrześcijańskiej prasy (jak np. *Słowa Polskiego*) i urządzają z nimi interview'y, aby je potem w swoich dziennikach zamieścić i pielgrzymkę zohydzić, a robią to z nienawiści do katolicyzmu i katolickich manifestacyj.

wszystkiem Rzymie wznieconych. Główny więc cel pielgrzymki został osiągnięty: pielgrzymka się udała.

Obok tego nasza pielgrzymka, choć bezwiednie, spełniła i drugie zadanie: zbudować obcych, przypomnieć światu, że dusza Polski jeszcze nie zginęła. Pielgrzymka polska zrobiła na obcych wrażenie, które długo pozostanie w ich świadomości.

Już sama wieść o organizowaniu polskiej pielgrzymki nader sympatycznie została przyjętą w katolickich kołach zagranicznych. Dowodem np. tego przysłanie w darze dla polskich pielgrzymów aż dwu tysięcy pięknych szkaplerzyków Serca P. Jezusa przez przełożoną klasztoru Sacré Coeur w Pressbaumpfalzen. Szkaplerzyki te poprzypinali sobie nasi pielgrzymi do ubrania i tak udekorowani przedstawili się Ojcu świętemu.

Ten sam klasztor w Pressbaumpfalzen wraz z licznym pensyonatem, zostającym pod opieką zakonnic, zgotował naszym pielgrzymom, jadącym już do Rzymu, niezmiernie miłą i sercom ich drogą niespodziankę. Zakład, znajdujący się tuż przy kolei, pięknie przystrojono sztandarami o barwach papieskich i polskich narodowych, nawet w ogrodzie zakładowym widać było powiewające na wielu drzewach polskie chorągiewki; zakonnice zaś z panienkami wyszły na powitanie pielgrzymów, przyczem każda panienka trzymała w ręku chorągiewkę, na przemian o polskich i o papieskich barwach. Prześliczny i do łez wzruszający był to widok. Wspomnienie tej chwili nie zatrze się w pamięci pielgrzymów przez całe życie. nie zatrze się też w sercu uczucie szczerej wdzięczności dla przezacnych zakonnic, a zwłaszcza dla czcigodnej ich przełożonej, Matki Anny de Schaffgotch.

Wszędzie po głównych stacyach przyjmowano pielgrzymkę polską z wielką sympatyą, którą okazywano w rozmaity sposób, to przemówieniami wybitnych przedstawicieli obozu katolickiego, to okrzykami na cześć pielgrzymów, to podawaniem bukietów[1] i t. d.

Zachowanie się naszych pielgrzymów na miejscach świętych,

[1] W Wiedniu ofiarowano wspaniały wielkością i pięknością bukiet, który pielgrzymi zawieźli w darze św. Antoniemu do Padwy.

w kościele, zwłaszcza w czasie mszy świętej, było tak budujące, że powszechny podziw wzbudzało i uwielbienie. Pięknie charakteryzuje pobożność naszego ludu i gorące przywiązanie do Stolicy apostolskiej to zachowanie się jego w chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzeli Ojca świętego, wnoszonego na *sedia gestatoria* do bazyliki św. Piotra. Obecni tam jednocześnie cudzoziemcy okrzykami i oklaskami, według swoich zwyczajów, powitali papieża, a nasi pątnicy wznieśli ręce do góry i wymownem tylko milczeniem i łzami w oczach okazali swoje uniesienie.

I smutne, mniej jasne chwile wspominać będą uczestnicy polskiej pielgrzymki. Na szczęście, chwil takich bardzo było niewiele. Na razie zatrwożył wszystkich wypadek na kolei. Jednak właśnie wtedy wyraźnie było widać szczególną Opatrzność Bożą nad pielgrzymami, bo nieszczęście, które wobec tak bardzo zapełnionych wagonów mogło przybrać wielkie rozmiary, ograniczyło się do nielicznych ofiar. To też pielgrzymi nasi powszechnie przypisują ocalenie od wielkiej katastrofy osobliwej i szczególnej opiece Serca Pana Jezusa. Wspomnimy jeszcze o jednej przykrej niespodziance, jaka spotkała pielgrzymów, i to zaraz na wstępie, przy wyruszaniu z Krakowa.

Niespodziankę tę zgotował im główny zarząd kolei Północnej. Wszystko było przygotowane do tego, aby pociągi, wiozące pielgrzymów, wraz z lokomotywami przystroić w wieńce i chorągiewki o barwach papieskich i narodowych. Krakowska dyrekcya tej kolei udzieliła nawet już na kilka dni przedtem swego zezwolenia. Na godzinę jednak przed odejściem pociągów, kiedy zaczęto się zabierać do dekorowania lokomotywy, przyszedł urzędnik z oznajmieniem, że główny zarząd kolei Północnej przysłał z Wiednia telegraficzny zakaz ubierania pociągów pątniczych. Oburzenie i rozgoryczenie było ogromne: ta kolej, która tak ogromne zyski ciągnie z P o l a k ó w, która również dobry interes zrobiła na p o l s k i e j pielgrzymce, ośmieliła się zakazać najnaturalniejszej manifestacyi polskich i katolickich uczuć. Żydowski zarząd kolei Północnej posunął się w swej bezczelnej arogancyi już chyba za daleko. Smutny to fakt, a tem

smutniejszy, że nasze dzienniki (szczególnie antysemicki *Głos Narodu)* nie napiętnowały go należycie.

Przykrości te jednak sowicie Pan Bóg wynagrodził naszym pielgrzymom w inny sposób, błogosławiąc mianowicie im w całej pielgrzymce i użyczając hojnie duchowych swych darów.

Ks. S. Kobyłecki.

Zjazdy naukowe w 1900 roku.

KONGRES HISTORYI NAUK. W dniach 23—28 lipca odbędzie się w Paryżu kongres historyi nauk. Organizatorem tego zjazdu jest p. Paweł Tannery, sekretarzem p. Sicard. Program zapowiedziany jest następujący:

Początek cyfr obecnych: kwestye odnoszące się do Boecyusza i Gerberta. — Historya astrologii; w szczególności wpływ, jaki jej teorye wywarły na rozwój astronomii. Astrologia i astronomia ludów dalekiego Wschodu. — Historya ustanowienia jednostek miar. — Badania nad przyrządami matematycznymi (w pomiarach ziemi, astronomii, mierzeniu czasu i t. d.), używanymi w średnich wiekach i w czasie Odrodzenia aż do wynalezienia lunet astronomicznych i odkrycia wahadła. — Historya rozmaitych południków, używanych jako początków długości. — Historya podziału geograficznego na klimaty. — Historya ustanowienia zasad dynamiki. — Studyum teoryj i wiadomości pozytywnych (prawdziwych lub błędnych) fizycznych, obcych pracom autentycznym Arystotelesa a wprowadzonych na Zachodzie w średnich wiekach. — Historya alchemii i chemii do Lavoisier'a wyłącznie. — Które z pomiędzy nowożytnych odkryć mogą wytłumaczyć pewne zjawiska, uważane w starożytności za dziwy? — Fakty znane i teorye, dla których one były podstawami w naukach przyrodniczych przed Arystotelesem. Utrzymanie się tych teoryj aż do czasów nowożytnych. — Historya przekształceń doktryny witalistycznej: neowitalizm. — Znajomość geologii i geografii fizycznej w starożytności. — Rozwój antropologii, paleontologii i geologii aż do końca XVIII. wieku. — Nowe świadectwa co do historyi hygieny i medycyny w starożytności. — Historya medycyny w Europie w wiekach średnich. — Świadectwa odnoszące się do historyi medycyny u narodów nieeuropejskich. — O wpływie wza-

jemnym, jaki teorye medyczne i teorye naukowe lub filozoficzne wywarły jedne na drugie. — Historya filozofii nauk. — Wnioski praktyczne, mające na celu obudzić postęp historyi nauk.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES RELIGIJ.

Pod protektoratem francuskiego ministra handlu odbędzie się w Paryżu 3—9 września międzynarodowy kongres religij. Pomiędzy jego organizatorami są pp.: A. Reville, A Bertrand, M. Bréal, Guimet, Maspero, Oppert, L. Martillier, P. Berger, J. Réville, Durckheim, A. Leroy-Beaulieu, Carra de Vaux, Rubens-Duval. — Program następujący:

Religie narodów niecywilizowanych. — Religie cywilizacyj amerykańskich przed Kolumbem.

A. 1) Totemizm. — 2) Funkcye ofiarne. — 3) Warunki dusz po śmierci.

B. 1) Wykaz świąt ruchomych w Ameryce środkowej przed Kolumbem, szczególnie u Mayasów. — 2) Wyrażenia na rysunku bóstw Ameryki środkowej, głównie na podstawie kodeksów i pomników.

Historya religij dalekiego Wschodu.
(Chiny, Japonia, Indo-Chiny, Mongołowie, Finnowie).

1) Stosunki religij do państwa w Chinach (religie państwowe; polityka rządu względem buddyzmu, taoizmu, islamizmu i chrystyanizmu. — 2) Etyka Tchoang-tse'go. — 3) Rozwój historyczny buddyzmu w Chinach, Korei i Japonii (rozkrzewianie, różne szkoły, stosunek do społeczeństwa świeckiego, stan obecny). — 4) Organizacya, nauki i rytuał sekt buddyjskich obecnie istniejących w Japonii. — 5) Rozkład na buddyzm pali i buddyzm chiński w Indo-Chinach.

Historya religij Egiptu.

1) Obrzędy pogrzebowe w t. zw. epoce thinickiej, o ile są znane z odkryć najnowszych (Petrie, Amélinau, Morgan). Różnice tych obrzędów od obrzędów epoki późniejszej i to, co się odnosi do ich praktyk w pismach pogrzebowych, dotychczas poznanych (księga zmarłych, teksty piramid, księga Hadesu, rytuał balsamowania). — 2) Bóg Phtah z Memfis. Jego pierwotny charakter; jego rozwój teologiczny i polityczny; stosunek tego bóstwa do bóstw: Sokaris, Osiris, Nophirtoumou, Imhotpou, Sokhuit i do byka Apis; w jaki sposób i dlaczego Grecy

utożsamiali to bóstwo ze swoim Hefajstosem. — 3) Obrzędy i religie ludowe Egiptu, zwłaszcza u Shebów. Bogowie zwierzęta; bogowie ptaki (jaskółka, gęś, czapla i t. d.); bogowie węże (Ramouit, Maritsokhou). Różne *ex-voto* za wyzdrowienie albo dobrodziejstwo otrzymane; amulety przeciw wężom, krokodylom, złemu spojrzeniu. Dlaczego bóg Khnoumou, osobliwie czczony na wyspie Elefantynie, stał się bóstwem ludowem w odległej epoce i w jaki sposób jego kult rozszerzył się w epoce rzymskiej, tworząc Chnouphis-Kneph sekt gnostyków.

Historya religij semickich.

I. Assyro-Chaldeja. Azya wschodnia. — II. Judaizm. Islamizm.

A. 1) W jaki sposób pogodzić wiarę w odwieczność świata u Chaldejczyków z danemi o stworzeniu niebios, ziemi, bogów i gwiazd? Jakie były właściwe pojęcia o otchłani pierwotnej i chaosie, rodzącym wszechświat? Jaki był stosunek tych wierzeń do podania żydowskiego o Bogu stwórcy bez początku? — 2) Jakie były pojęcia Chaldejczyków o końcu świata? — 3) Jakie były bóstwa pierwotnie chaldejskie, a jakie do nich zasymilowane przez proceder analogiczny do tego, jaki zaszedł w asymilacyi bóstw italskich z greckiemi? — 4) Czy istniała w Chaldei wiara w życie duszy po śmierci i w preegzystencyę jej przed urodzeniem?

B. 1) Tolemizm w poganiźmie arabskim. — 2) Bogowie Ymenu według napisów sabejskich i himyaryjskich. Historya wierzeń i kultu.

C. 1) O ile odkrycia w zakresie archeologii i epigrafii semickiej przyczyniają się do znajomości religii ludu izraelskiego w epoce przed Ezdraszem i Nehemiaszem? — 2) Oznaczyć i opisać, według źródeł biblijnych i świeckich i pomników epigraficznych, świątynie, grobowce, miejsca kultu i pielgrzymek w Palestynie i krajach sąsiednich (Syrya, Fenicya, Idumeja, półwysep Synajski). — 3) Reakcya chrystyanizmu na judaizm. — 4) Znaczenie Talmudu dla historyi pojęć religijnych i obrzędów żydowskich i dla historyi powstania chrystyanizmu.

D. 1) Wpływ, jaki wywarła Persya zwyciężona na zwycięski islamizm; chiizm. — Rozwój chiizmu rządowego pod dynastyą perską Cafawi'ów; stosunek jego do sekt poprzednich, zwłaszcza do sekty Imamów. — 2) Jakie wpływy religijne sprawiły, że kalifat Omaygadów przeszedł do Abbassydów? — 3) Początki sufizmu. Co on zawdzięcza neoplatonizmowi? Życie klasztorne sufistów w islamiźmie. — 4) Legenda o Aleksandrze Wielkim u Arabów. — 5) Nauki i działalność polityczna

Ismaelitów. — 6) Początki babizmu. Jego księgi święte, zmiany po śmierci Bab'a. — 7) Związki muzułmańskie obecnie w Afryce północnej. Historya i geografia propagandy muzułmańskiej w Afryce.

Historya religij Indyj i Iranu.

A. 1) Czy teorya, którą zgodzono się nazwać „naturyzmem", ma poparcie w hymnach wedyjskich? — 2) Czy liturgię brahmanów i sutra można uważać, w głównych rysach, jako wcześniejszą lub późniejszą od hymnów Rig-Vedy. — 3) Oznaczyć stosunek pism buddyjskich północy (sanskryckich, chińskich, tybetańskich) do odpowiednich dzieł w języku pali. — 4) Początki i historya ikonografii religijnej w Indyach. — 5) Kult przodków w hinduiźmie. — 6) Ustanowienie pielgrzymek w hinduiźmie.

B. 1) Starać się określić dokładnie stosunek religii Persów w czasie Achamenidów do kultu awestyjskiego, przyjętego przez Sassanidów. — 2) Oznaczyć dokładnie przez krytykę tekstów, jakie są najdawniejsze części Gathasów i Awesty, które możnaby odnieść do czasów wcześniejszych od Sassanidów.

Historya religij Grecyi i Rzymu.

1) Jakie postępowania metodyczne najpewniej da się zastosować do studyum historyi religij greckich? — 2) Poematy homeryckie jako źródła mitów, legend i kultów. — 3) Kult Apollina w Delfach. — 4) O ile najnowsze odkrycia archeologiczne rozszerzają znajomość religii etruskiej? — 5) Przenikanie kultów pogańskich wschodnich do prowincyj zachodnich i północnych państwa rzymskiego (Afryka, Hiszpania, Galia, Brytania, kraje nadreńskie i naddunajskie). — 6) O przetrwaniu i przystosowaniu mitów, obrzędów, podań i miejsc kultu poganizmu italskiego i greckiego w zwyczajach i miejscach kultu obecnych Italii i Grecyi.

Religie Germanów, Celtów i Słowian.

Archeologia przedhistoryczna Europy.

1) Eschatologia celtycka. — 2) Początki Kościoła celtyckiego w Irlandyi, Szkocyi, w krajach Walii i w Galii. — 3) Zlanie się pierwiastków mitycznych, historycznych i poetycznych w legendach bohaterskich germańskich. — 4) O początku głównych bóstw germańskich: Wodana, Donara, Tiu i t. d. Czy one pochodzą z panteonu indo-germańskiego czy też są one ewolucyą demonów przyrody? — 5) O charakterze pierwotnym lub pochodnym głównych mitów Eddy. — 6) Bóg

gromu u ludów germańskich i słowiańskich. — 7) Jakie są w północnych Niemczech do dziś istniejące pomniki poganizmu słowiańskiego? — 8) Jakich wskazówek mogą dostarczyć nazwy miejscowości w północnych Niemczech do studyum poganizmu słowiańskiego?

Historya chrystyanizmu.

A. Pierwsze wieki. 1) Czy essenizm można uważać za jeden z czynników pierwotnego chrystyanizmu? — 2) O ile nowe teksty chrześcijańskie, odkryte w trzydziestu latach ostatnich, mogły przyczynić się do poznania ewolucyi pojęć i obrzędów pierwotnego chrystyanizmu? — 3) Jaki udział mają antecedensy greckie i żydowskie w opracowaniu starożytnej eschatologii chrześcijańskiej? — 4) Co dzisiaj pozytywnie wiemy o początkach i historyi gnostycyzmu? — 5) Czy możliwą jest rzeczą pogodzić wykład systemu Basilidesa według Ireneusza i wykład parallelny Hippolita?

B. Wieki średnie. 1) Źródła starożytne (greckie, łacińskie, arabskie, żydowskie i bizantyńskie), z których przedewszystkiem czerpali teologowie zachodni w wiekach średnich. — 2) Stosunki Bizancyum z Rosyą pogańską w XI. wieku, a w szczególności założenie pierwszych kościołów chrześcijańskich w Rosyi.

C. Czasy najnowsze. Wpływ filozofii Kanta i Hegla na krytykę historyczną, zastosowaną do początków chrystyanizmu.

MIĘDZYNARODOWY ZJAZD FILOZOFÓW.

Staraniem redakcyi *Revue de Métaphysique et de Morale* odbędzie się w Paryżu w dniach 2—7 sierpnia międzynarodowy kongres filozoficzny. Przewodniczącym jest p. E. Boutroux, członek Instytutu, profesor filozofii w Sorbonie; sekretarzem i głównym organizatorem p. Ksawery Léon, redaktor *Revue de Métaphysique et de Morale.*

Pierwotnie zapowiedziany program jest następujący:

Filozofia ogólna i metafizyka.

Nauka i metafizyka: czy można nauki sprowadzić do jedności. — Natura zasadniczego faktu psychicznego. — Jedność i tożsamość jaźni. — Stosunek intuicyi przestrzeniowej do pojęć umysłu. — Wolność i determinizm. — Monizm i dualizm. — Względność poznawania. — O bycie niepoznawalnym. — Zagadnienie celowości. — Idealizm spółczesny. —

Racyonalizm i fideizm: udział woli w sądzie. — O systemie kategoryj. — O możliwości terminologii filozoficznej wspólnej wszystkim filozofom.

Etyka.

Czy może być uzasadniona jakakolwiek doktryna etyczna niezależnie od wszelkiej metafizyki? — Czy wychowanie moralne masy narodu może być wystarczające bez pomocy wierzeń religijnych? — Stosunek etyki chrześcijańskiej do świadomości spółczesnej. — Czy sankcya moralna jest możebną? Czy jest konieczną? — Cele cywilizacyi. — Wojna i pokój: czy możebne jest zniesienie wojny? — Szczęście osobnika i interes społeczny. — Moralność i polityka. — Czy podstawa sprawiedliwości jest jednostkową czy społeczną? — Solidarność. — O kosmopolityźmie. — O kazuistyce moralnej. — Jak dalece kwestya społeczna jest kwestyą etyczną? — Socyologia filozoficzna i socyologia naukowa. — Warunki odpowiedzialności w dziedzinie społecznej i w dziedzinie moralnej.

Logika i historya nauk.

I.

Algebra logiki i rachunek prawdopodobieństwa. Teorya ogółów, teorya łańcuchów, teorya grup. Skończoność transcedentna. — Zasady analizy; liczba; ciągłość; teorya funkcyj. — Wymagalniki geometryi, ich pochodzenie i wartość. Intuicya w matematyce. Geometrye nieeuklidesowe. — Metody geometryi; geometrya analityczna; geometrya rzutowa; rachunek geometryczny (kwaterniony). — Zasady mechaniki; ich natura i wartość. — Metody fizyki matematycznej, teorya błędów i przybliżeń. — Ogólne hipotezy fizyki; teorya mechanistyczna i energetyka. — Hipotezy chemii: budowa materyi. Teorya atomistyczna, stereochemia. — Zagadnienie początku życia. — Teorya rozwoju gatunków: przerodztwo; dziedziczność.

II.

Powstanie rachunku nieskończonościowego. — Rodowód pojęcia wielkości urojonych i stopniowe wyjaśnianie się teoryi funkcyj. — Historya odkrycia ciążenia newtonowskiego i wpływu tego odkrycia na rozwój mechaniki i fizyki. — Wykład konieczności, które stopniowo sprowadziły powstanie termodynamiki i wraz z nią cały dział nauki, oparty na autonomicznych prawach. (Zasada zachowania energii; zasada Carnota-Clausiusa). — Historya kolejnych pomysłów w przedmiocie metody w biologii.

Historya filozofii.

Przedmiot i metoda historyi filozofii. — Postęp w historyi filozofii. — Czy badanie filozofii starożytnej może przynieść pożytek pod względem teoretycznym? — Rola sofistyki w filozofii greckiej. — Czy da się wyznaczyć rozwój historyczny idej Platona? — Zasady nauki o przyrodzie według Arystotelesa. — Idea złego u Plotyna. — Wartość scholastyki. — Rola Descartes'a w ogólnych dziejach myśli. — Spinoza i Leibniz. — Rola filozofii Hume'a w rozwoju myśli nowożytnej. — Krytyka kantowska i psychologia. — Etyka Fichtego. — Heglizm w filozofii współczesnej. — Główne kierunki filozofii współczesnej.

Zjazd zapowiada się nader świetnie. Rękojmię jego powodzenia widzimy w składzie międzynarodowego komitetu, zawiązanego w tym celu, żeby zjazd odpowiedział swym zadaniom. Oto dotychczasowa lista członków:

Z Francyi.

O. Gréard, L. Liard, E. Rabier, Ch. Adam, Ch. Andler, H. Bérenger, H. Bergson, M. Berthelot, E. Boutroux, V. Brochard, F. Buisson, L. Couturat, A. Darlu, P. Desjardins, A. Espinas, A. Fontaine, A. Fouillée, P. Janet, J. Lachelier, G. Lechalas, X. Léon, G. Lyon, L. Olivier, P. Painlevé, Ed. Pessier, H. Poincaré, F. Ravaisson, T. Ribot, Ch. Richet, G. Séoilles, J. Tannery, P. Tannery, G. Tarde, L. Weber.

Z Niemiec.

J. Bergmann, G. Cantor, M. Cantor, R. Dedekind, Deussen, R. Eucken, Falkenberg, Kuno Fischer, G. Frege, E. Haeckel, Heinze, F. Klein, P. Natorp, W. Ostwald, F. Paulsen, O. Pfleiderer, A. Riehl, H. Schwarz, E. Schröder, G. Simmel, Tönnies, H. Vaihinger, Van T'Hoff, A. Weismann, W. Wundt, E. Zeller.

Z Anglii

A. J. Balfour, B. Bosanquet, F. H. Bradley, T. Case, H. Shadworth Hodgson, L. T. Hobhouse, H. Jones, Knight, R. Latta, J. Ellis Mac Taggart, J. H. Muirhead, D. G. Ritchie, F. C. S. Schiller, A. Seth Pringle Pattison, W. R. Sorley, Herbert Spencer, J. Hutchison Stirling, G. F. Stout.

Z Austryi.

L. Boltzmann, F. Jodl, F. Mach, A. Meinong, O. Stolz.

Z Belgii.

R. Berthelot, Dwelshauvers, P. Mansion, Remacle.

Z Danii.

H. Höffding.

Ze Stanów Zjednoczonych Ameryki.

F. Adler, J. M. Baldwin, P. Carus, J. E. Creighton, J. Royce, Schurman.

Z Holandyi.

D. Korteweg, Spruyt, Van der Waals.

Z Włoch.

G. Barzelotti, G. Cantoni, Chiappelli, A. Labriola, G. Peano, G. Vailati.

Z Rosyi.

Grot (†), Wasiliew.

Ze Szwecyi.

K. H. Geijer, Mittag-Leffler.

Ze Szwajcaryi.

J. J. Gourd, E. Naville, L. Stein.

Referaty dotychczas zgłosili:

W sekcyi I. (filozofia ogólna i metafizyka).

Bergson, „Przyczynowość".

Bonnier, „Stosunek wrażeń przestrzennych do wyobrażeń".

Brunschvieg, „Idealizm współczesny".

Cantoni, „Nauka filozofii w liceach i uniwersytetach".

Carus, „Jedność i tożsamość jaźni".

Chartier, „Wychowanie jaźni".

Chiappelli, „Obecne zadanie filozofii krytycznej".

Dauriac, „O pewnym systemie kategoryj".

Dimier, „Prolegomena do estetyki".

Durand de Gros, „Zagadnienia filozoficzne hipnotyzmu i doświadczenie psychologii extranormalnej".

Halévy, „O metodzie intellektualistycznej w psychologii".

Shadworth Hodgson, „Pojęcia przyczyny i warunku rzeczywistego".

Iwanowski, „Możliwość wspólnej terminologii dla wszystkich filozofów".

Lapie, „Racyonalizm i fideizm: udział woli w sądzie".

Natorp, „Stosunek wrażeń przestrzennych i czasowych do wyobrażeń".

Riehl, „Stosunek psychologii do teoryi poznania".

Cziczerin, „Czy metafizyka jest nauką".

Tönnies, „O syntezie twórczej".

L. Weber, „O idei ewolucyi w stosunku jej do zagadnień o pewności".

W sekcyi II. (Etyka).

J. Adler, „Ruch związków etycznych w Ameryce".

Andler, „Etyka i polityka".

Baldwin, „Pojęcie wartości w etyce i ekonomii".

Blondel, „Zasada elementarna logiki życia moralnego".

Bouglé, „W jakiej mierze kwestya socyalna jest kwestyą moralną".

Bois, „Czy wychowanie moralne może wystarczyć dla mas ludowych bez pomocy wierzeń religijnych".

Buisson, „Sankcya moralna. Czy jest możliwą? Czy jest konieczną".

Darlu, „Czy teoryę etyczną można postawić poza wszelką metafizyką".

Durkheim, „Patryotyzm i kosmopolityzm".

Fontaine, „Warunki odpowiedzialności".

Förster, „Sprawozdanie z pojęć i doświadczeń międzynarodowego ruchu etycznego w zakresie oświaty etycznej".

Groppall, „Socyologia filozoficzna i socyologia naukowa".

Jaurès, „Internacyonalizm".

Kirkman, „Pożytek historyi dla nauki etyki obywatelskiej"

Parodi, „Idea postępu".

Rauh, „Nowożytna forma idei sprawiedliwości".

Remacle, „Stosunek etyki chrześcijańskiej do sumienia współczesnego".

Ruyssen, „Wojna i pokój".

Séailles, „Idea cywilizacyi".

Simmel, „Teorya poznania religijnego".

Sorley, „Etyka i polityka".

L. Stein, „Granice cywilizacyi".

W sekcyi III. (Logika i historya nauk).

I.

Blondlot, „O zasadach mechaniki".

Bouasse, „O roli zasad jakościowych a w szczególności o zasadzie umiarkowania w fizyce".

Calinon, „Rola liczby w geometryi".

Cantor (Jerzy), „Liczby główne transcedentne w teoryi ogółów".

Giard, „O neolamarkiźmie".

E. Haeckel, „Zasady filozofii zoologicznej".

Houssay, „Teorye atomiczne w biologii".

Husserl, „Logika formalna i matematyka formalna".

Johnson, „Zasady i rozwój rachunku logicznego".

Lechalas, „O tożsamości płaszczyzn Riemanna i kul Euklidesa".

Le Dantec, „Zagadnienie początku życia".

Le Roy, „O naturze rzeczywistej prawd naukowych".

Mac Coll, „Logika symbolizmu i prawdopodobieństwa".

Mac Farlane, „Pojęcia i główne zasady rachunku geometrycznego".

Padoa, „Teorya liczb całkowitych algebraicznych, uważana z punktu widzenia dedukcyjnego".

Painlevé, „Początki empiryczne nauk t. zw. racyonalnych".

Peano, „Określenia matematyczne".

Pieri, „Geometrya, uważana jako system czysto logiczny".

Poincaré, „O zasadach mechaniki".

Porecki, „Wykład elementarny teoryi równości logicznych o trzech wyrazach *a, b, c*".

Raveau, „Określenia w fizyce".

B. Russel, „Idea porządku i stanowisko bezwzględne".

Schiller (z Kijowa), „O zasadniczych pojęciach mechaniki".

Schröder, „O zakresie idei porządku".

De Tilly, „O różnych kwestyach filozofii nauk matematycznych".

Wasiliew, „O zasadach teoryi prawdopodobieństwa".

Wald, „Studyum krytyczne nad najważniejszemi pojęciami zasadniczemi chemii".

II.

Cantor (Maurycy), „Początki rachunku nieskończonościowego".

Günther, „Historya odkrycia grawitacyi newtońskiej i o jego wpływie na rozwój mechaniki i fizyki".

Milhaud, „Początki rachunku nieskończonościowego“,

Vailati, „Historya klasyfikacyi nauk i stosunek jej do rozwoju podziału pracy umysłowej w poszukiwaniu naukowem i w nauczaniu“.

W sekcyi IV. (Historya filozofii).

Belot, „Idea i metoda filozofii u Comte'a“.

Bergson, „Teorya poznania u Plotyna“.

Berthelot, „Główne kierunki w historyi filozofii“.

Brochard, „Sokrates i sofiści“.

Couturat, „Ewolucya historyczna idej Platona“.

Delacroix, „Rola filozofii Hume'a w rozwoju myśli nowożytnej“.

Delbos, „Krytyka kantowska i psychologia“.

Delvolvé, „Etyka Bayle'a“.

Deussen, „Zasady filozofii indyjskiej“.

Geiger, „Współczesna filozofia szwedzka: G.-J. Boström“.

Gourd, „Postęp w historyi filozofii“.

Lesiewicz, „Pozytywizm i empiryo-krytycyzm z sobą porównane“.

Léon, „Etyka Fichtego“.

Lyon, „Logika indukcyjna w szkole epikurejskiej“,

Ritchie, „O stosunku Parmenidesa Platona do krytyki teoryi idej w metafizyce Arystotelesa“.

P. Tannery, „Zasady przyrody u Arystotelesa“.

Thamin, „Wpływ etyki stoickiej we Francyi na początku XVII. wieku“.

Vaihinger, „Filozofia Nietzsche'go“.

Woden, „Heglizm w filozofii obecnej“.

Wulf, „Studyum nad filozofią średniowieczną“.

Wszystkie te referaty będą pomieszczone w dziele p. t. *Bibliothèque du Congrès*, podzielonem na 4 tomy, odpowiadające czterem sekcyom zjazdu. Wydawnictwa tego podjęła się redakcya *Revue de Métaphysique et de Morale*. Życzymy zjazdowi jak najlepszego powodzenia i jak najświetniejszych rezultatów, choć — wyznajemy — przykro nas dotknął zupełny brak w komitecie zjazdu przedstawicieli filozofii z Polski.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES WYCHOWANIA FIZYCZNEGO.

W dniach od 30 sierpnia do 6 września odbędzie się w Paryżu międzynarodowy kongres wychowania fizycznego, „mający na celu rozszerzyć i określić dokładnie pojęcie wychowania fizycznego, związanego z warunkami naukowymi rozwoju ludzkiego: fizycznego, intelektualnego i moralnego“. Ograniczymy się do podania programu sekcyi filozoficznej:

1) Zagadnienie idealne wychowania fizycznego; wskazać jego urzeczywistnienie w istniejącem środowisku. — 2) Równowaga istoty ludzkiej w trojakiej działalności, fizycznej, intelektualnej i moralnej. Okoliczności, które równowagę tę naruszają, konsekwencye indywidualne i społeczne. — 3) Przyczyny degradacyi fizycznej rodzaju ludzkiego.— 4) Podniosły cel wychowania fizycznego w przeciwstawieniu do wymagań siły brutalnej. — 5) Jedność planu metod wychowania, opartych na prawach przyrodzonych i odpowiadających ustrojowi ludzkiemu.— 6) Znaczenie wychowania jako środka walki z wadami dziedzicznemi u dzieci. — 7) Znaczenie ekonomiczne wychowania fizycznego z punktu widzenia społecznego. — 8) Ścisły związek między wychowaniem fizycznem, intelektualnem i moralnem. — 9) Konieczność pośredniczenia władz publicznych co do zaprowadzenia nowych zwyczajów i zwalczania przesądów i błędów, rozpowszechnionych w kwestyi wychowania fizycznego.— 10) Środki do ożywienia ruchu wychowawczego i skierowania go na drogę ściśle naukową. — 11) O ile należy się rachować z istniejącemi uprzedzeniami i brakami metod, stosowanych do reformy wychowania i jego rozwoju naukowego? — 12) Karność jest podstawą wychowania, ale tylko o tyle, o ile ona jest opartą na prawach przyrodzonych, a nie na wymaganiach czysto konwencyonalnych.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES WYCHOWANIA SPOŁECZNEGO.

W dniach 6—9 września odbędzie się w Paryżu międzynarodowy kongres „wychowania społecznego“. Przewodniczącym jest p. L. Bourgeois. Na czele komitetu organizującego ten zjazd są pp.: J. Siegfried, Ét. Jacquin, L. Mabilleau, Anna Lampérière, M. Charlot, Ch. Favaron, Ét. Charavay, J. B. Dumay. Sekretaryat generalny objęła pani Lampérière. Z odezwy komitetu urządzającego podajemy najważniejsze ustępy, z których można się poinformować o celu i przewodnich ideach tego zjazdu:

Wśród dyskusyj politycznych i społecznych, które poruszają umysłami od połowy XIX. wieku, wyłonił się powoli pewien ogólny pogląd, jednocząc różniące się zresztą od siebie zapatrywania: jest

to mianowicie idea węzła społecznego, istniejącego między jednostkami i wzajemnej odpowiedzialności w faktach społecznych.

Stąd rodzi się potrzeba, aby idąc za danemi nauki doświadczalnej i czyniąc zadość idei sprawiedliwości, wyznaczyć warunki, w których dałby się utworzyć dobrowolny związek między wszystkimi ludźmi, i to, nie tylko określający prawa i obowiązki polityczne, ale przedewszystkiem nadto określający te prawa i obowiązki, które się odnoszą do życia materyalnego i moralnego jednostek, do legalnego związku rodzinnego, do organizacyi pracy, słowem, określający prawa i obowiązki społeczne.

Zadanie, które odtąd przypada w udziale dążącym do pokojowego rozwiązania kwestyi socyalnej, polega na staraniu się o to, aby ta nowa idea przeniknęła umysły, aby, jednem słowem, wprowadzić na ziemię kształcenie w ludzkości zmysłu społecznego.

Poszukiwanie środków do tego celu ma być przedmiotem obrad zamierzonego zjazdu. Chodzi przedewszystkiem o to, aby dokładnie oznaczyć stan obecny idej, odnoszących się do tego przedmiotu, następnie wskazać metodę, którąby mogła zapewnić to wychowanie wszystkim jednostkom. Ażeby wychowanie społeczne było racyonalnem, powinny studya specyalne ustalić tę metodę, dotychczas źle poznaną i zrozumianą. Metoda wymaga naprzód obserwacyi i stwierdzenia faktów, ażeby na tej podstawie utworzyć sobie jasne o nich pojęcie: w ten sposób pozna się samo tych faktów istnienie. Następnie trzeba sobie zdać sprawę z zasad, z któremi one się łączą, z praw, które niemi kierują: w ten sposób pozna się tych faktów filozofię. Wreszcie należy zbadać konsekwencye praktyczne, z tych faktów wynikające, i tym sposobem uzupełnić nieodzowne poznanie ich teoretyczne.

Ustaliwszy już metodę, wychowawcy będą się starali o jej rozpowszechnienie, zachowując, w szerzeniu zdobytych pojęć, tę samą drogę i ten sam porządek, w jakim je sami zdobyli.

Wychowanie społeczne będzie się zatem starało o zapoznanie jednostek z faktami społecznymi, w celu wyrobienia należytych o nich pojęć; o obudzenie w sumieniach jednostek uczucia, któreby skierowywało działalność w stronę uznanego ideału; wreszcie o wzmożenie tych pojęć i tych uczuć przez ustawiczne wprowadzanie ich w życie, a to w tym celu, aby osiągnąć ten pewien zmysł społeczny, któryby działał nieświadomie przez nabyty nałóg.

Obrady zjazdu będą się odbywały w trzech sekcyach. Sekcya pierwsza obejmuje kwestye metodyczne, prowadzące do ustalenia teoryi solidarności. Druga ma się zająć środkami rozpowszechnienia i propagowania, które mogłyby zapewnić wychowanie jednostek. Na trzecią sekcyę przypada zastosowanie do pracy zbiorowej.

Szczegółowy program obrad zawiera następujące tematy:

I. Metoda ogólna. Studyum przedmiotowe faktów społecznych.

1. Stwierdzenie faktów solidarności przyrodzonej.

a) Zjawiska zależności wzajemnej:
przyrodzonej (rodzina, dziedziczność, epidemie, klimaty i t. d.), historycznej (ugrupowania ras, stanów, krajów, zapatrywań i t. d., stosownie do warunków zewnętrznych).

b) Zjawiska społeczne analogiczne:
natury hygienicznej (zdrowotność publiczna, choroby, wycieńczenia sił wskutek źle rozłożonej pracy, obowiązki pielęgnacyi i t. d.), natury ekonomicznej (produkcya, konsumpcya, zmowy, roboty publiczne i t. d.).

2. Studyum teoretyczne i filozoficzne solidarności społecznej:

a) Podstawa idei solidarności, istota jej, granice, stosunek do idei wolności i sprawiedliwości.

b) Prawa ogólne kierujące stosunkami bytów społecznych, sankcye konsekutywne.

3. Konsekwencye prawa solidarności, odniesionego do stosunków społecznych między jednostkami:

a) Różnica w sądach i zapatrywaniach według tego, czy się jest indywidualistą czy solidarystą. Korzyści działalności solidarnej; korzyści indywidualne są harmoniczne, nie zaś sprzeczne; konieczne zastąpienie idei walki indywidualnej ludzi o byt ideą walki solidarnej z przeszkodami zewnętrznemi.

b) Wpływ wychowania społecznego na urządzenia organiczne społeczeństwa. Konieczna potrzeba takiego wychowania w tym celu, aby osiągnąć prawa oparte na zasadzie sprawiedliwości.

II. Wychowanie społeczne praktyczne.

1. Szerzenie idei solidarności; nauczanie teoretyczne i przedmiotowe:

a) Wypracowania i lekturę należy skierowywać do zapoznania się z faktami solidarności, następnie z zasadami, które niemi kierują i prawami, z nich wynikającemi.

b) Zastosowanie do faktów życia szkolnego, rodzinnego, środowiska zwykłego.

2. Rozwój uczucia społecznego:

a) Działalność praktyczna w duchu zasady solidarności; organizacya ugrupowań przejściowych i o specyalnym zakresie działania.

b) Wprawienie w ruch działalności solidarnej w tych ugrupowaniach; zachęty do inicyatywy prywatnej, do uznania zdolności, które się okazują w danych okolicznościach i t. d.

3. Ćwiczenia zmysłu społecznego:

a) Organizacya ugrupowań dzieci i dorosłych we wszelkich wypadkach, w których akcya solidarna może być skuteczną.

b) Tworzenie środowisk, w którychby jednostki działały dla dobra społecznego, wzajemnie się wspierały, utrzymywały solidarność między mocnymi i słabymi, zrozumiały mechanizm akcyi kolektywnej, nabrały doświadczenia administracyjnego, rozpoznania zdolności, chętnego przychylania się do zdania większości, słowem, ogarnęły wszystko, cokolwiek się przyczynia do rozumnej organizacyi wolnych inicyatyw indywidualnych.

c) Wprowadzenie w życie zasad solidarności na wszystkich polach życia społecznego, na których może się rozwijać inicyatywa indywidualna; wychowywanie mniej wykształconych przez więcej wykształconych; solidarność w rodzinie, rządzie, w pracy, w produkcyi, w konsumpcyi, we wspomaganiu się i t. d.

III. Zastosowania praktyczne.

1. Charakter ogólny prac zbiorowych:

a) Prace propagandy wyznaniowej; warunki tych prac szczególne.

b) Działalność miłosierdzia; różnica od działalności solidarnej.

c) Działalność solidarna; jej organizacya i skuteczność społeczna.

2. Krytyka istniejących dzisiaj prac; postęp uzyskany.

a) Prace czysto praktyczne (udzielanie pomocy, domy sierot, sklepy dla robotników, bezpłatne apteki i t. d.).

c) Prace wychowania praktycznego (stowarzyszenia obecnych i dawnych uczniów, towarzystwa wzajemnej pomocy, syndykaty, federacye, współdziałanie i t. d.).

c) Prace propagandy teoretycznej (konferencye, biblioteki, gazety, czasopisma).

3. Warunki konieczne do ulepszenia i udoskonalenia działalności prac zbiorowych.

a) Warunki odnoszące się do podejmowania i zarządu prac.
b) Kierunek, w którym da się osiągnąć postęp przez inicyatywę obywateli.
c) Co trzeba uczynić do uzupełnienia ogółu prac zbiorowych, właściwych wychowaniu społecznemu.

DRUGI MIĘDZYNARODOWY KONGRES HIPNOTYZMU.

W Paryżu w dniach 12—16 sierpnia ma się odbyć drugi zjazd w sprawie hipnotyzmu.

Proponowaue są następujące kwestye.

1) Utworzenie słownika uwzględniającego terminologię hipnotyzmu i wiążących się z nim zjawisk. — 2) Związek między hipnotyzmem a histeryą. — 3) Zastosowywanie hipnotyzmu w terapii ogólnej. — 4) Oznaki hipnotyzmu i suggestyi w badaniu chorób umysłowych i alkoholizmu. — 5) Zastosowanie hipnotyzmu do pedagogii ogólnej i ortopedya umysłowa. — 6) Znaczenie hipnotyzmu jako środka w badaniu psychologicznem. — 7) Hipnotyzm i ustawa francuska z 30 listopada 1892 r. o postępowaniu lekarskiem. — 8) Suggestya i hipnotyzm z punktu widzenia prawnego. — 9) Odpowiedzialność szczególna w praktykowaniu hipnotyzmu doświadczalnego.

KONGRES MIĘDZYNARODOWY HISTORYI PORÓWNAWCZEJ.

Na mocy uchwały zapadłej na zjeździe w Hadze w r. 1898 odbędzie się w Paryżu w dniach 23—29 lipca międzynarodowy kongres historyi porównawczej. Przewodnictwo objęli pp.: G. Boissier i de Maulde de la Clavière. Na czele ośmiu sekcyj tego zjazdu stoją pp.: Houssaye, Esmein, A. de Mun, A. Leroy-Beaulieu, G. Berthelot, G. Paris, F. Brunetière, C. Saint-Saëns.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES WYKSZTAŁCENIA WYŻSZEGO.

Od 30 lipca do 4 sierpnia odbędzie się w Paryżu międzynarodowy zjazd w sprawie wykształcenia wyższego. Najwięcej nas obchodzi sekcya filozoficzna tego kongresu. Dlatego podajemy jej program, opracowany przez p. Emila Boutroux, przewodniczącego tej sekcyi:

Pomiędzy kwestyami, które powinny być przedłożone zjazdowi, szczególny budzi interes kwestya nauczania filozofii. Więcej być może niż jakakolwiek inna nauka, filozofia obecnie jest w okresie przejściowym, którego kres nie jest jeszcze widoczny. W metafi-

zyce klasycznej zrobiono silny wyłom, a nauki pozytywne wkraczają w jej siedziby. Zdaje się, że powinna nadejść chwila, w której kwestye t. zw. filozoficzne rozpadną się na dwie kategorye: na kwestye rozwiązalne przez nauki pozytywne i kwestye absolutnie nierozwiązalne. Od tej chwili filozofia przestałaby istnieć. Bo wyznaczać jej rolę porządkowania nauk lub wymyślania hipotez dla wypełnienia prowizorycznego luk w poznaniu naukowem, to nie znaczy zachowywać ją jako szczególną i pierwotną formę działalności ludzkiej, ale jest to po prostu robić różnice między nauką już gotową a nauką dopiero się tworzącą.

Lecz to pojmowanie filozofii, dzisiaj bardzo rozpowszechnione, wogóle nie zadowala umysłów tych, którzy, odbywszy nad filozofią studya specyalne, wyrobili w sobie właściwy zmysł filozoficzny. Dla nich filozofia ma przedmiot sobie właściwy, własną posiada oryginalność, własną autonomię, a żaden postęp nauk pozytywnych nie dojdzie do takiego kresu, w którym nauki te filozofięby pochłonęły lub ją wyparły.

Zdaje się więc, że nadeszła pora do wymiany zapatrywań na stosunek filozofii do nauk i wogóle do innych form działalności intelektualnej. Czy filozofia ma własne swoje cechy, własną swoją dziedzinę, własne przeznaczenie? Na czem polegają właściwe badania filozoficzne? Następnie, ponieważ oczywiście filozofia nie może już więcej obyć się bez nauk, jakiż jest stosunek filozofii do nauk, jakie to są studya, które ustanawiają między filozofią a naukami tę łącznię, bez której ona nie może żyć? Instytut filozoficzny powinienby, według tych zasad, składać się naprzód z pewnej ilości katedr ściśle filozoficznych, któreby tworzyły centrum, a następnie z mniejszej lub większej ilości katedr naukowych, mających z filozofią związek, a grawitujących do tego ogniska środkowego. Jakie powinny być te różne katedry naukowe?

Jeśli obecny stan filozofiii utrudnia pracę tych, co chcą jej wyznaczyć należyte miejsce w uniwersytecie, to jeszcze większe sprawia trudności w uregulowaniu nauczania filozofii w szkołach średnich. Czy to nauczanie powinno lub czy może iść krok w krok za ruchem filozoficznym w świecie uczonym? Czy w ten sposób nie narazi się na niebezpieczeństwo przekroczenia poziomu uczniów, i wprowadzenia zamięszania do ich umysłów i anarchii sprzecznej z ideą wychowania średniego? Czy w ten sposób nie sprawiłoby się tego skutku, że filozofię usuniętoby zupełnie ze szkół średnich

i wyłącznie ograniczonoby jej nauczanie do uniwersytetów? Z drugiej strony, czy filozofia w szkołach średnich może być niewzruszonym katechizmem? Czy byłaby ona jeszcze filozofią, gdyby się ją pozbawiło niezależności i dyskusyi, stanowiącej jej istotę? Czy odróżnienie stopnia elementarnego i wyższego jest równie wyraźne w filozofii, jak w innych naukach?

Oczywistą jest gmatwanina, pochodząca z tych trudności. Tak w Prusach, plany naukowe z r. 1892 dozwalają na naukę elementów filozofii jako na przedmiot nadobowiązkowy, i to tylko opartą na tłumaczeniu pewnego jakiegoś tekstu, np. jednego z dyalogów Platona. Na ten stan rzeczy nie godzi się jednak powszechna opinia, jak to stwierdza energiczny protest i dopominanie się o przywrócenie nauki filozofii, wyrażone przez dyrektora gimnazyum w Poznaniu, Gottlieba Leuchtenbergera (1893). We Włoszech zanosi się na usunięcie nauki filozofii z programów nauczania średniego. Ale i tam protesty są żywe i liczne. We Francyi nie są za usunięciem nauczania filozofii z liceów, ale za wyznaczeniem mu słusznych granic. Jakie to są granice? Jaką rolę trzeba wyznaczyć historyi filozofii? O ile trzeba uwzględnić teorye klasyczne i teorye współczesne? Czy nie należałoby może ograniczyć nauki filozofii w szkołach średnich do studyów potrzebnych i wystarczających do tego, ażeby obudzić w uczniach zdolności filozoficzne? Jakie to winny być te studya?

Obrady zjazdu powinny więc zająć się przedewszystkiem temi trzema kwestyami:

1) Jakie są istotne warunki studyum filozoficznego i nauczania filozofii w uniwersytetach?

2) Na czem powinno polegać nauczanie filozofii w szkołach średnich?

3) Jaki powinien być związek nauczania filozoficznego i uniwersytetów ze szkołami niższemi wszelkiej kategoryi?

PIĄTY MIĘDZYNARODOWY ZJAZD NAUKOWY KATOLIKÓW.

Ostatni międzynarodowy kongres katolickich uczonych odbył się przed trzema laty we Fryburgu. Pisał o nim *Przegląd* w swoim czasie. Niedawno dopiero wyszło olbrzymie sprawozdanie z jego obrad, obejmujące jedenaście tomów *in octavo*, z których niejeden zawiera ponad 600 stron. Podziwiać należy energię generalnego sekretarza ostatniego zjazdu, ks. Kirscha,

który sam jeden zdołał w tak krótkim stosunkowo czasie dokonać tego dzieła. A praca to była niemała: przygotować do druku, dopilnować drukowania i korekty dwustu pięćdziesięciu referatów w pięciu różnych językach, nadto protokołu obrad jedenastu sekcyj. Wielkość tej pracy przestraszyła widocznie komitet urządzający zjazd następny, postanowiono bowiem zaniechać drukowania wszystkich referatów w całej rozciągłości, ograniczyć się zaś tylko do publikacyi prostych ich streszczeń.

Ten następny zjazd uczonych katolickich, z rzędu piąty, odbędzie się w Monachium w dniach 24—28 września. Stawić się nań powinni ile możności wszyscy katoliccy pracownicy na polu naukowem i energicznie przyczynić się do osiągnięcia głównego celu tych kongresów, którym jest wykazanie, że prawdziwa i ścisła nauka w najściślejszej zgodzie jest z prawdziwą wiarą, wiarą katolicką.

Ks. S. Kobyłecki.

Korespondencya Redakcyi.

WPani S. T. N. Otrzymaliśmy list i artykuł podpisane nieznanymi nam inicyałami. Rozumie się, że niepodpisanych listów nie możemy brać pod uwagę. Prosimy o dokładny adres, ażebyśmy mogli rękopis odesłać

Druk ukończono 28 czerwca 1900 r.

JACINTO VERDAGUER.

SZKIC Z DZIEJÓW ODRODZENIA LITERATURY KATALOŃSKIEJ.

Na wschodzie Hiszpanii, nad wybrzeżami Środziemnego morza, przecięta łańcuchem skalistych gór z narodowem *palladium* Montserrat, rozłożyła się Katalonia. Tam pod błyszczącem niebem rozbrzmiewały niegdyś pieśni trubadurów; z lutnią w ręku przebiegali śpiewacy zamki i sioła rycerskie, aby się pokłonić piękności i dobroci — poezya święciła wielkie tryumfy. Lecz i dla tego uroczo rozwijającego się kwiatu poezyi przyszedł kres — chwalebne czasy gdzieś w walkach wieków przeminęły, niby sen pełen rozkoszy i szczęścia; upadły zamki, przebrzmiały lutnie, skonały pieśni. Dawne skarby wieszczów spoczywały gdzieś po archiwach pleśnią pokrytych, słabem tętnem biło życie literackie. Naszemu dopiero wiekowi danem było ożywić je na nowo i przywrócić literaturze katalońskiej [1] wszystkie te własności, jakie ją niegdyś cechowały. I zaledwie w roku 1834 dała ona znak życia w melancholijnym utworze Carlosa Aribana „Oda do ojczyzny“, a wnet powstali z ciężkiego grobowego snu nowi pieśniarze; dźwiękami swej pieśni napełnili Katalonię i Prowansyę, rozbudzili przeszłość z poetycznemi igrzyskami kwiatowemi i roznieśli

[1] Język kataloński nie jest bynajmniej hiszpańskim; należy on do grupy nowo-łacińskiej i zbliża się najbardziej do prowansalskiego; posługują się nim mieszkańcy Barcelony, Gerony, Leridy, Tarragony, Walencyi, wysp Balearskich i t. d.

sławę imienia katalońskiego daleko po świecie. Epos, liryka i dramat znalazły swoich wybitnych przedstawicieli, tak że według Fastenratha „jest Katalonia dzisiaj lasem słowików".

I jak niegdyś w wiekach średnich nauka i sztuki kwitnęły w celach klasztornych i w cieniu Kościoła, tak i w dzisiejszem piśmiennictwie katalońskiem wielką rolę odgrywają kapłani-poeci, mogący powiedzieć o sobie z prowansalskim piewcą Lambertem: „jestem kapłanem wraz i trubadurem" i umiejący pogodzić obowiązki swego stanu z najszlachetniejszemi aspiracyami poezyi.

Z jednym z tych kapłanów-poetów chcemy dzisiaj zapoznać naszych czytelników a czynimy to tem chętniej, że Jacinto Verdaguer jest autorem dzieła, o którem wcale nie ostatni poeta hiszpański Vicente Wenceslao Querol mógł z niezbyt wielką przesadą powiedzieć, że „przyjdzie kiedyś dzień, w którym świat pocznie się uczyć języka katalońskiego, aby mógł czytać Verdaguera, tak jak dzisiaj uczy się po grecku, aby lepiej Homera rozumiał". Utwór jego *La Atlántida* nazywa Fastenrath „najpoetyczniejszem i najpotężniejszem dziełem literatury katalońskiej, jedynem hiszpańskiem eposem wieku" [1].

Zastrzegając sobie na później pracę o rozwoju nowego tego piśmiennictwa, które w tak krótkim czasie zwróciło na siebie uwagę uczonych, zadowolnimy się dzisiaj jedynie przedstawieniem literackiej działalności Verdaguera oraz warunków, wśród których talent jego tak świetnie zabłysnął.

I.

U stóp Pirenejów w małem siole Folgaroles, w blizkości starożytnej rezydencyi biskupów katalońskich, miasta Vich, będącego świadkiem tryumfów najgenialniejszego może myśliciela hiszpańskiego, Balmesa, stoi kołyska Verdaguera; tam urodził się on w ubogiej chacie rolniczej w dniu 17 maja 1845 r. i w tem samotnem ustroniu przepędził kilkanaście pierwszych lat życia, pomagając rodzicom w ich zajęciach i współpracując w ciężkiej

[1] Fastenrath. *Catalanische Troubadoure der Gegenwart.* Str. LIII.

walce o chleb codzienny. Ubogi ojciec nie mógł mu przyjść z pomocą, ani też zrozumieć tej duszy, rwącej się do wielkich dzieł i pełnej szczytnych, choć nie zawsze określonych dążności.

A wielkie myśli nurtowały w tej głowie chłopięcia. Wykolysany na polu natury, marząc przy szmerze strumienia i szumie lasów pod palącem hiszpańskiem słońcem, patrzał się inaczej na przyrodę jak jego rówieśnicy i podczas gdy oni po ciężkiej pracy w polu spoczywali w cieniu rozłożystych drzew, oddalał się od nich i pozostawał sam z swojemi myślami i pragnieniami.

Posłuchajmy tych jego marzeń. „Gdym jeszcze był małym, opowiada w ślicznym wierszyku w „W Comilles“, budowałem zamki powietrzne, które tchnienie wiatru prędko wywraca; malowałem wieże i wonne ogrody, które wyobraźnia stawiała i burzyła. A zamek mój wysoko się wznosił i jego koroną były jasne gwiazdy, jak źródło wodą w nocy balkony czystem światłem biły. Dach wsparty na szeregach kolumn Alhambry błyszczał jak kryształ, jak perły świeciły pokoje, jak świetlne zwierciadła jaśniały ściany. Tam wiedli do tańca infanci wdzięczne dziewice, morze zapachów rozlewało się dokoła, róże i dyamenty padały i płynął strumień harmonii i światła. To znowu na wybrzeżu mój zamek stawiałem; morskie bałwany do jego stóp się tuliły, na złocistych czółnach huśtały się dzieci królewskie, jak srebrnopióry łabędź w swej chłodnej kąpieli“.

Przy tem usposobieniu trudno mu było wyżyć bez książki, bez ciągłego pobudzania fantazyi. Kiedy pewnego razu przeznaczono nagrodę pięciu franków dla tego z młodych robotników, który najprędzej przez świeże ściernisko boso przeleci, stanął i Verdaguer do szeregu, wygrał a za pieniądze kupił sobie na jarmarku w Vich „Odyseję“, która długi czas była jedynem dziełem, skąd swe natchnienia czerpał. Pracując tak i kształcąc się samodzielnie, znalazł po wielu trudach przyjęcie w seminaryum duchownem w Vich; spełniły się pragnienia, o jakich od dzieciństwa marzył, mógł się poświęcić służbie ołtarza. Ciche życie w seminaryum nie oziębiło bynajmniej jego uczuć i nie przytłumiło marzeń; obok filozoficznych i teologicznych nauk

kształcił się i w języku katalońskim, zapoznawał z przeszłością historyczną i literacką swej ojczyzny i w seminaryum po raz pierwszy zaczął na seryo swe marzenia na papier przelewać. Nie były one widać tak słabe, bo kiedy w r. 1859 kilku poetów katalońskich zaprowadziło w Barcelonie zapomniane prawie igrzyska kwiatowe z całą ich poezyą i z całym urokiem przeszłości, to w r. 1865 i 1868 otrzymał Verdaguer za swe utwory poetyczne, napisane jeszcze w murach seminaryjnych, nagrodę zwycięscy a obecny na igrzyskach 1868 r. prowansalski piewca, Mistral, powitał młodego kleryka słowami Wirgiliusza: *Tu Marcellus eris.* Wyświęcony we wrześniu 1870 r. na kapłana, pełnił obowiązki wikarego w Vinyoles d'Oris, gdzie też powstała pewna część jego prześlicznych sielanek.

Tymczasem niedostatki młodości i wyniszczająca praca w murach seminaryum i w ubogiej wiosce, przyprawiły go o ciężki nerwowy ból głowy, który jakąbądź działalność udaremniał. Ponieważ rozmaite środki i mniejsze wycieczki żadnej ulgi nie przynosiły, przepisali lekarze Verdaguerowi dłuższą podróż morską. Jako kapelan na okrętach bogatego przemysłowca z Barcelony, Antoniego Lopez, wypłynął Verdaguer na morze. Płynął po morzu Środziemnem i oceanie atlantyckim, zwiedził Gibraltar, Azory i Antyle, a kiedy po dziewięciu dłuższych podróżach powrócił w listopadzie 1876 r. do Barcelony, ustąpiła choroba a Verdaguer mógł swemu dobroczyńcy i przyjacielowi, Lopezowi, ofiarować już gotowy egzemplarz „Atlantydy", poematu, który taką okrył go sławą.

Rok 1878 będzie rokiem niezapomnianym dla nowego poety; na igrzyskach w Barcelonie święciła „Atlantyda" niebywałe tryumfy i mimo, że sędziowie stali na najrozmaitszych stanowiskach i różnili się swymi poglądami, to jednak palmę zwycięstwa wszyscy Verdaguerowi przyznali.

„Atlantyda" nie zaćmiła, jak to się niestety zbyt często zdarza, innych czysto już prawie lirycznych utworów poety, które szybko po sobie następowały; dowodem tego choćby ta okoliczność, że gdy na igrzyskach roku 1893 przedłożył prezy-

dyum „Odę do Barcelony“ została ona nagrodzoną a magistrat kazał ją drukować w 100.000 egzemplarzy i rozdzielić między lud.

II.

La Atlántida składa się z dziesięciu pieśni, ujętych niby w ramy, w prolog i zakończenie o zmienionej formie i przeplatanej, jakby barwnemi nićmi śpiewami, których zewnętrzny kształt różni się również od struktury samego dzieła.

W morzu Andaluzyi, tak się rozpoczyna poemat, walczą z sobą Wenecyanie i Genueńczycy. Grzmią działa, okrzyki walczących i rannych napełniają powietrze, a w górze nad nimi szaleje walka żywiołów. Bałwany wiatrem miotane biją z wściekłością w ściany statków, okręty na siebie pędzą, a kiedy prochy Wenecyanów w powietrze wysadziły, rozstąpiło się rozszalałe morze i pogrążyło w swych głębiach żołnierzy. Czy wszystkich? Nie! silną dłonią porze tam młodzieniec rozhukane fale, chwyta za maszt w pobliżu płynący, siada na nim i rozgląda się dokoła siebie. W dali pokazuje się oczom rozbitka mała wyspa, lecz już siły opuszczają uratowanego — zanurza się w toń morską. Gorąca modlitwa do niebios królowej zasłana ratuje go od pewnej zguby, a morze ulitowawszy się jego piękności i młodości, wyrzuca go na brzeg. Znajduje go tam pustelnik na skale samotny żywot wiodący, zajmuje się młodzieńcem, prowadzi do małej kapliczki, by Maryi za ocalenie podziękował, karmi go dzikimi owocami i z troskliwością matki zajmuje się uratowanym. Spokojne życie wiedzie Genueńczyk w tej ustroni, lecz myśl jego wciąż w dal ulata. Smutny i zamyślony siedzi on raz w cieniu rozłożystego dębu; u stóp szumią łagodnie uspokojone fale, promienie słońca grają na krysztale wód, a starzec opowiada powieść z zamierzchłej przeszłości, powieść, od której krew raźniej w żyłach krąży, rumieniec na licu wykwita, oko w światy niewidziane spogląda a duszy już Europy za mało.

Gdzie dzisiaj szerokie połyskuje morze, opowiada pustelnik Kolumbowi, on bowiem był tym rozbitkiem, kwitnął niegdyś ogród Hesperyd. Tam

Tytani walczyli, tam miasta kwitnęły.
I pełne zapału śpiewały dziewice
Z ptakami pospołu pieśń słodką miłości.
Dziś w salach z marmuru potwory się gnieżdżą,
A ziemie i błonia mokre algi kryją.

Europa, Afryka i Ameryka utrzymywały z sobą stosunki a stary Atlas, dźwigając na barkach kulę ziemską, badał tajemnice przyrody. Lecz złość zapanowała w sercach młodych Atlantydów, zbuntowali się przeciw Bogu, zbrodniami zarazili ziemię aż w burzliwej nocy rozpienione wody Atlantydę zalały i tylko ocean szumem bałwanów głosi straszną prawdę, że „zdziczałe fale wyspę pochłonęły". W tem rozszaleniu żywiołów ocalała Hiszpania,

Kwitnąca gałąź na drzewie olbrzymiem;
Drzewo upadło, gałąź dalej kwitnie.
Maleńką barkę okręt-olbrzym wiódł cię;
Okręt zatonął, barka dalej płynie.

Kiedy wichry morzem aż do dna wstrząsną i tajemnice otchłani otworzą, słychać jeszcze skarżącą się Atlantydę. Opowiada ona o swym upadku, w którym Herkules główną rolę odgrywa.

Pojawia się bohater ten w chwili, gdy Pireneje całe w ogniu stoją. Panowała nad Hiszpanią Pirene, córa starego rodu Tubala. Lecz mściwy Geryon pozbawił ją ojcowskiego mienia, a lękając się z jej strony niebezpieczeństwa dla siebie, zapalił Pireneje, w których Pirene pasterczy żywot wiodła. Niebo szaleje, ziemia trzęsie się w posadach a ogniste fale niosą śmierć i zniszczenie.

I orła skrzydła nie ratują silne;
Wysoko płynie i wyżej i wyżej,
I blizko niebios zawisa sklepienia.
Czyż gniazdo uwić tam pragnie wysoko?
Nie! Jasna łuna ku niebiosom bije,
Pióra mu pali i biedny, zmęczony
Orzeł i łabędź i kruk w ogniu giną.

W ogniste fale śmiało idzie Herkules, zwycięża olbrzymów, którzy nad ujściami Rony zasadzki nań czynią, znajduje Pirene, przysięga ją pomścić i otrzymuje jej testament; po śmierci stawia jej pomnik, pod którego ciężarem ziemia zadrżała. Lecz już

deszcze ugasiły pożar, a całe potoki roztopionego złota i srebra spłynęły do Katalonii i zrobiły z niej najbogatszą krainę pod słońcem a kwiaty i bujna roślinność przybrały ją wzorzystym dywanem.

Pomny na swą przysięgę opuszcza Herkules góry, wstępuje do morza, klęka przed ołtarzem Jowisza a ten mu barkę zesyła, w której się puszcza na poszukiwanie Geryona. Trójzębu użyczył mu Neptun, Jowisz błyskawicy a Herkules postanawia tu z powrotem założyć miasto od barki Barceloną zwane.

O piękne miasto, twoje prawa dzisiaj
Potęgę morza dzikiego złamały,
A twoje skały rzucają pioruny
Chwalebnych zwycięstw na polu bojowem.

Płynie więc do Walencyi i dalej do Gibraltaru; tutaj wysiada na ląd i spieszy do Gadesu, aby Geryona ukarać. Przestraszony olbrzym korzy się przed gniewem bohatera, składa mu u nóg koronę, lecz zarazem przemyśliwa, jakby się pozbyć nieproszonego gościa.

Tam na zachodzie widzisz kraj Atlasa?
Tron tam cię czeka tobie przynależny,
Atlantis ciebie tylko będzie godną;
A jej królowa w wdowiej żałobie,
Hesperis, męża sobie poszukuje;
Piękność jej olśni twe boskie źrenice.

Herkules przewiduje zdradzieckie zamiary Geryona, lecz umysł jego żądny przygód, nie pozwala mu cofać się przed trudami; puszcza się w drogę do Atlantydy, która swą piękność w całym blasku przed nim roztacza. W rajskim ogrodzie odnajduje Hesperis i jej siedem córek; chce zerwać z drzewa złote owoce, jak mu to Geryon radził, lecz w tej chwili smok w koronie ukryty, rzuca się na niego. Herkules zabija potwora a Hesperydy żałośnie zawodzą, bo przepowiednia starego Atlasa każe im się lękać zguby; śmierć smoka będzie znakiem ich upadku.

Biada nam kwiatom w tym rajskim Edenie,
W gruzy się walą wybrzeża i kraje,
Zawieś twą lutnię na wierzbie, o matko!
Wiatry w jej strunach żałośnie niech dźwięczą.

Nie nam się bawić dziś w cieniach ogrodu;
Naszego łoża już nie wieńcz mirtami
Bo z zimnym na nas śmierć czeka uściskiem.

A zaś w świątyni Neptuna zbierają się Atlantydzi dokoła swych książąt. Smutne przeczucia niepokoją olbrzymów a coraz niepomyślniejsze wieści zewsząd nadchodzą. Tam ojciec zabił swego syna i zdaje mu się, że z niebios sklepienia spoglądają na niego zamordowanego dziecka oczy; tam lądy stałe w wyspy się przemieniły a nowe ziemie wciąż z morza powstają; tam dalej ludzie buntują się przeciw Bogu, nie zachowują żadnych praw, pojawiają się duchy i t. d. W tej strasznej chwili ziemia się trzęsie, piorun uderza w posąg Neptuna i odrywa mu głowę, a zdala dolatują smutne dźwięki łabędziej pieśni Hesperyd i głosy ich skargi. Słyszą ich jęki Atlantydzi i jedni zbroją się w głazy zburzonej świątyni, inni wyrywają rozrosłe dęby i idą walczyć przeciw Herkulesowi. Na jego widok opanowuje ich strach, a walka przemienia się w straszliwą klęskę, w obfite żniwo śmierci. Jeden po drugim padają pod razami rozgniewanego półboga:

Atlantis pije krew swych własnych dzieci.
Do głębi wstrząsa nią krzyk zwyciężonych.

Herkules przedziera się przez zastępy żyjących jeszcze, lecz zrozpaczonych nieprzyjaciół, wraca w okolice Gadesu i tam zasadza gałązkę złocistego drzewa, zerwaną w ogrodzie Hesperyd.

Lecz już druga, większa praca go czeka. Gdzie dzisiaj rozciąga się cieśnina Gibraltaru, tam rozdziela skalisty mur, Calpe i Ceuta, morze Śródziemne od oceanu. Ten mur dwa morza rozdzielający ma zburzyć, a chociaż Calpe strzela tak wysoko, że niczem wobec niej Alpy z Pirenejami połączone, z odwagą do ciężkiego dzieła przystępuje.

Głucho padają razy maczugi olbrzyma, skały się kruszą, ziemia drży w swych posadach tak, że

Gwiazdy się patrzą, czy może tam w ziemię
Pioruny biją a ziemia spogląda,
Czy jeszcze gwiazdy wieczne w górze krążą.

Nagły żal chwyta Herkulesa, tęskni do Hesperis i lęka się o nią;

chce zapobiedz dziełu zniszczenia, lecz maczuga sama w skały uderza a nad nim w górze pojawia się anioł zemsty i w gorących słowach wzywa go do dokonania rozpoczętego dzieła:

Słowa anioła, co niosą zagładę,
Głucho o chmury czerwone się łamią,
Podobne grzmotom tysiąc wozów w biegu.

A kiedy anioł zemsty wyliczył zbrodnie Atlantydów i jedynie Hesperis Herkulesowi ratować każe, ciszą się żywioły i z góry odzywa się głos Boga-sędziego. Ukochał on ziemię a w niej człowieka, lecz ten człowiek podeptał Jego święte prawa, wyzywa sprawiedliwość i sprawiedliwości dzisiaj zadość się stanie:

Rzuć twe więzienie dzika falo morza,
Rozpętaj ogniu w głębiach grzesznej ziemi
Twoje kajdany; a chmury spadnijcie
Jak zgraja wilków, co spada na zdobycz.
Ty zaś mój pośle, ty przyspiesz jej koniec...
Rozbij ten puhar z słodką trucizną;
Zetnij to drzewo i rozprósz ten naród
I kraj ten zbrodni wymaż z księgi świata,
Bo jego grzechy już go osądziły.

W ognistych chmurach widzi Herkules jasne oblicze Pana i czuje, że dla Atlantydy niema już ratunku, gdyż fale Środziemnego morza zalewają Atlantydę, topią, niszczą, a za sobą zostawiają jedynie spustoszenie. W tej walce przyrody porze ręka Herkulesa rozhukane fale, żadna przeszkoda powstrzymać go nie może. Raz jeszcze dobija do ogrodu Hesperis; słyszy płacz jej córek a królową widzi w smutku i boleści. Chce ją ratować, lecz Hesperis spogląda na córki i rozstać się nie może. Niewinne cierpią dla obcych zbrodni, jak zmarłe leżą na ziemi a białe kwiecie wonnych cytryn kryje niby śmiertelnym całunem ich ciała. Matka nie może ich ratować, a jeżeli przy nich zostanie grozi jej największe niebezpieczeństwo, utrata czci niewieściej, bo w tem zamieszaniu nikt niczego pewnym nie jest. Rozstaje się więc z boleścią z córkami.

Wiotki się powój o konary wspiera,
Pień obejmuje w gorącym uścisku.

Weź mu podporę, a zwiędną i spadną
Liście i kwiaty, bo brak im opieki.
Tak opadają dziewicze ramiona,
Pada pień drzewa, które je chroniło
I ręce matki rwą serdeczne sploty.

Na wysokiej górze budują tymczasem Atlantydzi warowny zamek; w nim chcą się uratować od zagłady. Z bólem w sercu i łzą w oku żegna zrozpaczona matka zdala swe dzieci. Zbolała skarży się przed Herkulesem, opowiada smutne przejścia minionych lat, błaga o ratunek; a kiedy z grobu zmarłego małżonka, na który w cierpieniu swem upadła, odzywa się głos „weź go za męża", lituje się Herkules jej słabości:

Ja jestem burzą, która wichru tchnieniem,
Kornie ku ziemi szczyty lasów zgina;
Ja błyskawicą, która falom morskim
W twardej opoce drogę otworzyła,
Który w tryumfie i hydrę zwycięża
I w szybkim locie zwinnego sokoła
Prędką dogania strzałą, pierś mu rani
I znowu wrócić do ziemi mu każe.
Dla wszystkich, którzy przed siłą drżą moją
Ja syn Alcesa; nie lękaj się jednak,
Chwiejny powoju, dla twojej słabości
Ja będę laurem, który ty oplecesz.

W mężne ramiona porywa Hesperis, walczy z strumieniem, z potworami i z Atlantydami, którzy poznawszy uciekającą parę, gonią ją. Wiatr zgasił mu pochodnię, ciemność zaległa olbrzymie przestworza; od czasu do czasu tylko piorun z sykiem i hukiem w rozszalałe żywioły wpada, burzy zaledwie do połowy zbudowany gród, ale nie może przeszkodzić pogoni.

W tych groźnych chwilach powiększyła się znacznie cieśnina gibraltarska, a gdy z tego powodu morze Śródziemne opadło, występują z toni nowe wyspy i kontynenty. I podczas kiedy na zachodzie wyją burze i zatapiają się ziemie, błyszczy stara Hellada, otoczona wiankiem wychylających się z toni wysp w sielankowej piękności przyrody; w prześlicznych wierszach opowiadają nam nowe wyspy swoją historyę, swe przejścia, nadzieje i obawy. Mówi więc Delos np.

Ostrym trójzębem wyrwał mię bóg morza
Z pięknej Sycylii rozdartego biodra:
Wokoło mnie toń modra,
Ja śród lazurów niby gwiazda hoża.
Patrząc zalotne mewy
Na śnieżnej fali u mych skał gonitwy
Za swoją siostrę bielutką mnie brały;
A zaś morskie rybitwy
Za lotusu kwiat biały.
Co między krwawe, koralowe trzony
Swoje dziewicze rozchylił osłony.
Achelous taką na rąbku Etolii
Widząc mnie w świtu różowej koronie,
Z daleka brał mię za kielich magnolii,
Rankiem mu w darze ślącej świeże wonie [1].

Delos, Cyklady, Echinady, Morea, Sycylia, Lesbos i Tempe kłaniają się Grecyi i razem z nią dziękują Herkulesowi za nowe życie. A Ceres

Łagodną ręką puste kryje pola,
Flora wzorzysty na błoniach rozkłada
Pachnących kwiatów kobierzec niezmienny...
Ciemną chmur szatę Olymp z siebie rzuca,
Bogowie biegną by nieśmiertelnego
W progach powitać świętych Herkulesa.

Lecz dzieło zniszczenia nielitościwie dalej postępuje. Wody zalewają z wszech stron nieszczęsną ziemię i dużo miał jeszcze do walczenia Herkules, nim z drogim swym ciężarem do Gadesu przypłynął. Geryon, ujrzawszy piękną Hesperis, zapałał ku niej miłością, podstępem wydarł ją Herkulesowi a jego samego powtórnie w głębie morskie wtrącił. Hesperis omdlała z bólu i przerażenia, Opatrzność jednak czuwała nad jej obrońcą. Herkules uratował się, pokonał Geryona a i z nierównej walki z Anteusem, z gorgonami i amazonkami wychodzi zwycięzko. Nad nieszczęśliwą Hesperis lituje się anioł śmierci, spuszcza na nią głęboki sen, by nie patrzyła na zgubę swych dzieci. Bo straszną ma być ich kara. Szczyty wyniosłych gór bronią ich jeszcze od

[1] Chmielowski-Grabowski, „Obraz literatury powszechnej". Tom II. Str. 115.

zupełnej zagłady; z bezpiecznego na razie schronienia widzą nad brzegami zielonej Hiszpanii Hesperis i jej towarzysza. Nie mogąc się mścić na zwycięscy, chcą się zemścić na Bogu; budują więc wysoką, nieba sięgającą wieżę, aby Boga z nieba strącić. Lecz anioł spustoszenia niszczy dumną budowlę, Atlantydzi staczają się do morza i giną w jego głębi a Pic de Teyde na Teneryfie wskazuje ich grób.

W tej chwili, tam gdzie na niebie rozdzielają się chmury, pojawiają się aniołowie. Smutny, zbolały jeden, pełen wesela drugi; w górze nad nimi brzmi niebiańska pieśń ku czci Stwórcy, a anioł zalanej Atlantydy oddaje opiekuńczemu aniołowi Hiszpanii koronę świata. Dzikie jęki dobywają się z krateru Teyde, ziemia parta ciałami olbrzymów trzęsie się z bólu i rozpaczy.

A daleko na wybrzeżach Gadesu budzi się z długiego, rozkosznego snu Hesperis. Poznaje smutną rzeczywistość i tęskno jej na świecie, gdy wtem wzrok jej pada na gałąź pomarańczową, przypominającą jej tak żywo szczęśliwe w Atlantydzie spędzone chwile:

I gałąź wzrasta, w drzewo się rozwija
I w dal zielone rozpuszcza konary,
A świeżych kwiatów liście lekko płyną
I białym pola malują kobiercem.
A jak na niebie złote świecą gwiazdy,
W ciemnej koronie ojczystego drzewa
Złote owoce w wietrze połyskują.
I lasy wkrótce, gaje pomarańczy
Zielonym płaszczem kraj hiszpański kryją,
A nad lasami jasne kwiecie wonie.

Różdżką czarodziejską dotknięty powstaje dawny ogród Hesperyd w pierwotnej piękności i rozkoszy. Stęsknioną za córkami Hesperis śmierć uwalnia od cierpień i łączy z umiłowanemi dziećmi; umierając zostawia Hiszpanii pamiątkę: złotą lirę, „która śpiewa o wojnie, do miłości wzdycha“, stąd „nieśmiertelne są pieśni Hiszpanii“.

Synowie Herkulesa rozbiegają się po kraju, zaludniają go, dochodzą do Malorki i Gadesu i tu wśród grzmotów i piorunów

słyszy Herkules po raz ostatni ów głos, który go niegdyś do ukarania Atlantydy zachęcał. Głos mówi mu, że w nieskończonej sprawiedliwości swej ukarał Bóg sam Atlantydę i dopomógł Herkulesowi do zwycięstwa — Herkules nie zna jeszcze tego ducha czystego, lecz wierność mu przysięga i razem z dziećmi buduje w Gades ołtarz n i e z n a n e m u B o g u. A kiedy już się zbliżał do kresu, wystawił z wielkich skał nad cieśniną Gibraltaru dwie wysokie kolumny i wyrył na nich słowa: „dotąd lecz nie dalej".

Pustelnik ukończył swą opowieść; tęsknem okiem w dal zapatrzony marzy Kolumb a starzec na nowo mówić zaczyna i opowiada mu o trupach o miedzianej twarzy, które morze na brzeg wyspy kwiatów wyrzuciło, o rozmaitych nieznanych drzewach i kwiatach, które żeglarze z morza wyłowili:

Zagadkę w sobie wód tych tonie mieszczą,
Szukaj jej śladów, wtedy oko twoje
Dalekie błonia ujrzy...
I końce ziemi, które sprawiedliwość
Boża rozdarła, ty znów je powiążesz.

Zachęcony namową Kolumb widzi w duszy roztaczające się przed nim obce, dalekie kraje, kwieciste pola i łąki i chce szukać tych ziem wymarzonych. Odrzuca go Genua, Wenecya, Lizbona, przedstawia więc Izabeli swój plan. Królowa waha się — wieszczy sen każe jej wspomódz dzielnego młodzieńca. Widzi we śnie, jak jasny ptak na jej dłoni siada i pieści się z nią, lecz w niebacznej chwili z jej ręki pierścień królewski zrywa i odlatuje. Brylanty w słońcu błyszczą, ptaszę coraz dalej a dalej ucieka i upuszcza wreszcie drogocenny klejnot w morze; z miejsca, gdzie on w fali utonął, wychylają się czarowne wyspy i słoneczne błonia, błyszczą wybrzeża o po nich ręka Serafa perły i rubiny rozsiewa — zbiegłe ptaszę nadlatuje i na skronie królowej składa koronę z kwiatów na nowym brzegu zerwanych.

Izabela widzi w tym śnie głos Boży, oddaje Kolumbowi swoje klejnoty a on już pruje fale morza — na zgubę czy na szczęście?

Z góry wysokiej spogląda pustelnik na oddalającego się

żeglarza — anioł Hiszpanii roztacza swe skrzydła daleko nad światem, w nowych krajach krzyż tryumfuje; rozrzewniony starzec woła:

Vola, Colon... ara jo puch morir!

III.

Poeta w prawdziwem tego słowa znaczeniu, nosił się Verdaguer od samego początku swych lat młodzieńczych z myślą stworzenia czegoś nadzwyczajnego. Przeszłość Katalonii, czyny waleczne jej bohaterów podawały wprawdzie wdzięczny przedmiot, lecz były już tak często opracowywane, że trudno było na tem polu coś nowego stworzyć. Myśl jego pobiegła dalej.

Kiedy jeszcze w domu rodzicielskim przemieszkiwał, mówiła mu bogata wyobraźnia, że ten kraj jego, dzisiaj tak piękny, był niegdyś morzem zalany, że wichry morskie nad nim szumiały a życie daleko od niego uciekało. Stara baśń o Atlantydzie nie była mu jeszcze znana, a już wtenczas nosił się z myślą napisania podobnego dzieła. „Jeszcze w mej młodości odważyłem się przyłożyć rękę do tego utworu, chociaż nie widziałem innego kraju, jak ten, który leżał między memi ojczystemi górami, i innego morza, jak malowane na obrazkach".

Tymczasem wpadło mu w ręce dzieło Jezuity Nieremberga *De la diferencia entre lo Temporal y Eterno.* Autor omawiając w swej książce sprawiedliwość Bożą, objawiającą się w karaniu nietylko pojedyńczych ludzi, ale i krajów i całych narodów, przytacza zwyczajem ascetów owego czasu na potwierdzenie swych zdań opowieść Platona o zagładzie Atlantydy. Oto co nam w tej materyi opowiada Plato w swym Timeuszu.

Tam gdzie dzisiaj słupy Herkulesa się znajdują, leżała niegdyś olbrzymia wyspa, przewyższająca swą wielkością Libię i Azyę. Monarchowie tej wyspy nieśli pochodnię wojny daleko i szeroko po ziemi i ujarzmiali obce choć potężne narody. Wtenczas wojska ateńskie, stojące na czele innych armij pospieszyły do walki, a mimo że zostały opuszczone od sprzymierzeńców i w wielkiem znajdowały się niebezpieczeństwie, nie ulękły się wroga, lecz owszem zwyciężyły go i uratowały wolność sobie

i innym. Odtąd zagrażały wielkie trzęsienia ziemi i powodzie Atlantydzie, aż w przeciągu jednego straszliwego dnia i straszliwszej jeszcze nocy ziemia pochłonęła całą zbrojną siłę grecką, a Atlantyda zatonęła w falach morza.

Tę samą opowieść, choć niedokończoną, znajdujemy i w Kritiasie. Według Kritiasa przypadła Atlantyda w udziale Posejdonowi a pierwszym jej królem był Atlas, najstarszy syn Neptuna. Lud wyspy żył szczęśliwy i w dostatkach, zapominając jednak powoli o bogach, oddalił się od nich i gonił łakomie za bogactwami i potęgą. Rozgniewał się Jowisz i postanowił wyspę ukarać, aby przyszłym ludziom służyła za przykład sprawiedliwego sądu.

Koniec tego dyalogu zaginął, sądzić jednak można, że ową karą, o której Kritias opowiada, było właśnie pogrążenie się Atlantydy w oceanie.

Nic dziwnego, że cała ta fantastyczna powieść zajmowała zawsze wiele umysłów. Dawni uczeni, chcąc stwierdzić prawdę tych słów, poszukiwali Atlantydy — jedni, jak Ortelius, nadworny geograf Filipa II., w Ameryce; inni, jak profesor Rudbeck z Upsali, w Skandynawii; Buffon w Antylach i wyspach sąsiednich o kierunku południowo-północnym a później wschodniozachodnim aż do Kuby i t. d. I podczas kiedy niektórzy przeczyli prawdzie opowiadania Platonowego, a inni odmawiali greckiemu filozofowi nawet autorstwa odpowiednich dwóch dyalogów, to pewne narody afrykańskie i amerykańskie utworzyły około zaginionej wyspy cały wieniec poetycznych powieści. W Europie znów pisze Bakon Werulamski o zatopionym kraju fantastyczny romans, a w czasach dzisiejszych zajmuje się Atlantydą w sposób prawdziwie nieprzewidziany Donnelly, *Atlantis the antediluvian world.* London 1883.

W misteryach eleuzyjskich widzi on ceremonie z Atlantydy swój początek wyprowadzające, a ponieważ masonerya naszych czasów jest tylko dalszym ciągiem owych tajemnic eleuzyjskich, stąd i początku masoneryi na Atlantydzie szukać nam potrzeba, i to już w mioceńskim peryodzie.

Ten tak olbrzymi i nader skomplikowany przedmiot zajął

wyobraźnię Verdaguera a mimo wszelkich trudności zachęcała go do pisania myśl, że w upadku Atlantydy widział on sprawiedliwość Bożą, objawiającą się w całej grozie i potędze; ponieważ zaś okropna katastrofa dotykała także Hiszpanii, mógł łatwo Atlantydzie nadać koloryt narodowy i połączyć ją z najświetniejszą epoką potęgi hiszpańskiej, bo z chwilą odkrycia Ameryki. Materya przybierała więc tu coraz większe rozmiary i potrzeba było na prawdę siły geniuszu, aby tę całość ogarnąć i z artyzmem przerobić. Kiedy więc najgłówniejsze przeszkody w czasie swych morskich podróży usunął i kiedy płynął po tych miejscach, gdzie się niegdyś Atlantyda znajdować miała, zabrał się energicznie do pracy a jego żywo pobudzona fantazya, niepospolity umysł i niezwykły talent tak mu w tem przedsięwzięciu pomagały, że w kilku miesiącach uwił artystyczny wieniec „z tych liści złocistego drzewa".

(Dok. nast.)

Ks. Wiktor Wiecki.

JAN III. WAZA I MISSYA POSSEWINA.

W protestanckim ruchu pełno było niebezpieczeństw dla spraw świeckich, a największą klęską dla postępu cywilizacyi było wyniesienie tronu zanadto wysoko, aż ponad sumienia poddanych. Byzantynizm ozwał się w sercu Europy, odkąd panujący miał rozstrzygać o tem, w co obywatelowi wolno wierzyć, a w co niewolno; u stóp takich tronów padała w strzępy godność ludzka. Życie publiczne musiało też wkońcu ograniczyć swe prądy na dwa tylko łożyska: służalczość i rewolucyę. Przesadne monarchów wyniesienie pomnożyło ilość królów złych i zrodziło wkońcu gorącą do tronów nienawiść. Bywali i przed reformacyą władcy źli, niedołężni, niezdatni do dźwigania korony; ale, nie będąc wszechwładnymi, nie mieli sposobności do rozpasania władzy. Zwierzchnik, będący nim także w dziedzinie duchownej, nie znał żadnych więzów, i póki nie groziła rewolucya, nie bał się niczego; pozwalał sobie na wszystko. Trzeba było odtąd większego charakteru, głębszego umysłu, zacniejszego serca; trzeba było wszystkich zalet w stopniu wyższym, niż przedtem, żeby nie uledz zawrotowi zmysłów i szałowi żądz, o które tak łatwo w wysokościach nawet znacznie niższych, a cóż dopiero na tronie. Reformacya ułatwiła nadużycia władzy monarszej, przygotowując na wszystko legalne formułki.

Zasadę wszechmocy państwa odgrzebali, humaniści-legiści z cesarskich, rzymskich kodeksów. Ale marne byłyby trudy ich filologiczno-prawnicze, gdyby nie protestantyzm. Kościół kato-

licki miał swoją starą teoryę o państwie *de civitate Dei*, w której nic niema o tem, żeby kaprys jednego człowieka rozstrzygał o losach milionów; są tam nawet ustępy o granicach najwyższej władzy i o wypadkach, w których tę władzę utracić można. W sprawach sumienia Kościół zastrzegał sobie stanowisko, ponad państwem i nie zezwalał rzeczy boskich puszczać na świeckie obroty; uznawał też państwo jako najważniejszy środek zbliżenia, podniesienia rzeczy świeckich do duchowej doskonałości. Państwo uszlachetnia i dlatego ma istnieć! Społeczeństwo jest celem, a państwo tylko środkiem. Dopiero po Lutrze powstać mogła w zachodniej Europie doktryna, jakoby państwo samo sobie było celem i na karb też protestantyzmu paść musi całe to zwyrodnienie pojęć o państwie, które historyę czterech stuleci zamieniło na kaźń narodów. Na nic się nie przydało obalanie tronów, skoro nie przywrócono staro-chrześcijańskich, tj. katolickich pojęć o państwie; gdyby zaś runęła była zasada wszechmocy państwa, byłoby się obeszło bez ruiny tronów. Rewolucya zawsze jest ślepa; zwróciła się przeciw zewnętrznym przedstawicielom złego, a samo złe ugruntowała jeszcze bardziej.

Protestantyzm dał królom pełnomocnictwo, żeby się niczem nie krępowali w sprawowaniu rządów. Zaczęło się od zwolnienia, od oglądania się na Rzym; reszta sama się dorobiła. Nie dobiegła jeszcze połowa XVI. wieku, a już zachcianki monarsze podniesiono do godności obowiązującego prawa, gdy w Anglii Henrykowi VIII. parlament przyznał władzę absolutną. Skoro król rządzący absolutnie jest zwierzchnikiem Kościoła w swem państwie, wynikać powinno z tego konsekwentnie, że ma prawo decydować o wyznaniu poddanych. Nie cofnięto się też przed tą konsekwencyą i wpisano potem do prawa publicznego ohydną zasadę: *cuius regio, illius religio.* Miano jednak przytem na myśli trzy tylko wyznania: luterskie, kalwińskie i katolickie. A gdyby królowi jakieś czwarte bardziej dogadzało? A gdyby król sam był sekciarzem i nowe jakieś wyznanie sam wymyślił i ułożył? Nie możnaby zarzucić niekonsekwencyi władcy, któryby mniemał, że ma prawo utworzyć nowe wyznanie i narzucać je przemocą.

Dwie próby zrobiono już w wieku XVI.; jednę Henryk VIII. angielski, a drugą Jan III. szwedzki. Ale są zasadnicze różnice między niemi.

Henryk VIII. pisał przeciw Lutrowi, był katolickim obserwantem i dostał za to od papieża tytuł *defensor fidei*. Nic nie zapowiadało odszczepieństwa. Stało się, że znudziła mu się żona po kilkunastoletniem pożyciu; nic nadzwyczajnego, to się zdarza nawet najprostszym śmiertelnikom i należy to do życia prywatnego, czy prostaczka, czy też króla, a w społeczeństwie katolickiem są prawa, które czynią takie zachcianki zmiany nieszkodliwemi dla publicznego porządku. Skoro jednak poczęto na kontynencie praktykować, że w sprawach kościelnych można się obejść bez papieża i można mieć rozwód, nie oglądając się na Rzym, Henryk VIII. dla własnej wygody przyswoił sobie tę teoryę już gotową, której sam nie byłby prawdopodobnie przenigdy wynalazł; nie rodził się na sekciarza, ale nie umiał zapanować nad sobą samym i korzystał z nadarzonej sposobności. Rozpoczęła się zawierucha religijna w kraju, dlatego, że monarcha za mało miał osobistego hartu. Zaczęło się przy braniu drugiej żony od lekkiej schyzmy, a nim się doszło do szóstej żony, już oficyalna Anglia była protestancką na sposób urobiony przez króla. Henryk VIII. był głową kościoła, który sam utworzył, ale jak? Nie miał na to żadnego planu ułożonego z góry, z biegiem czasu rzecz wyrobiła się sama, on dał tylko impuls i ostateczną sankcyę.

Wprost przeciwnie postępował Jan III. Waza. To nowator religijny, sekciarz z zawodu; ma obmyślane z góry wyznanie, którego sam jest twórcą; a żadne wypadki ani wogóle zewnętrzne okoliczności na nie nie wpływają. Narzuca je poddanym nie dla swojej korzyści, ale z głębokiego przekonania, że ono jest najlepsze. Pod względem moralnym stoi też Jan bez porównania wyżej od Henryka VIII; radby zmienić stan sprawy kościelnej w swym kraju nie dla osobistej wygody, ale dla szczęścia ludności, tak, jak to szczęście pojmował. Dla angielskiego króla zmiany religijne były zyskowne (tak przynajmniej mniemał), dla szwedzkiego były ciężkim kłopotem, który brał jednak na siebie dla

dobra poddanych. Pod względem umysłowym stoi zaś Jan Waza bez porównania niżej od Henryka VIII.; był na tyle ograniczonym, że uważał się za powołanego na reformatora chrześcijaństwa.

Pod jednym względem równi są sobie i Henryk VIII. i Jan Waza, a mianowicie, że swoją wolę uważają za najwyższe prawo nawet w sprawach sumienia. Są zresztą pod tym względem w bardzo licznem towarzystwie. Tylko na polskim tronie zasiadał król, który nie chciał być „sędzią sumień“. Cała władców rzesza uważała zaś panowanie nad sumieniami za swój przywilej, niektórzy (Filip II.) za obowiązek. Ci dwaj, Henryk i Jan, wyróżniają się jednak tem, że mieli w sprawie religijnej swoje własne zachcianki i uważali za rzecz stosowną narzucić je krajowi.

Obydwaj byli przeciwnikami Lutra i Kalwina, obydwaj katolicyzm częściowo uznawali; ale tu właśnie zachodzi między nimi walna różnica. Henryk byłby pozostał katolikiem, gdyby nie to, że nadewszystko cenił swoją wygodę; on oderwał się od kościoła niejako przygodnie i gdyby nie polityczne względy, byłby katolikiem w zupełności. Jan szwedzki zaś uważał katolicyzm zasadniczo za błędny, i nie przyjąłby go w zupełności, chociażby przemawiały za tem wszystkie względy polityczne. Henryk nie zgadzał się na to, co mu było niedogodne, Jan zgadzał się na to, co za prawdziwe uważał w katolicyzmie. Słowem: do rzędu „reformatorów“: Lutra, Kalwina, Zwingliego i t. d. należy dodać jeszcze jednego, tj. króla Szwecyi Jana III.

Twierdzenie to sprzeciwia się przyjętemu dotychczas sądowi historycznemu o królu Janie. Przyjęło się o nim mniemanie, że był katolikiem w skrytości i tylko z politycznych względów nie wystąpił jawnie z restauracyą katolicyzmu; zaliczono go do sykofantów? Niniejsza rozprawa zamierza zmienić to zapatrywanie.

Mniemanie, jakoby Jan III. był w skrytości katolikiem, rozszerzyło się już za jego życia. Szerzyli tę wieść jego wrogowie, a byli nimi wszyscy zwolennicy Lutra i Kalwina. Przez

kilka lat należał Jan III. w politycznej konstellacyi europejskiej do obozu Filipa II.; pragnął, żeby go w tym obozie uważano za swego i korzystał chętnie z mylnej o sobie opinii, dla siebie chwilowo korzystnej. On sam przyczyniał się do tego, że go za katolika miano, a przez krótki czas wręcz nawet skrytego katolika udawał. Trzeciem źródłem mylnej wieści był wysłannik papieski, sławny Antoni Possewin, który dał się zwieść pozorom i okolicznościom i sam wydał Janowi świadectwo katolicyzmu. Natenczas cały katolicki obóz w Europie narobił już królowi szwedzkiemu takiej sławy dobrego syna Kościoła, że już potem nie zaszkodziło mu nawet wypędzenie Jezuitów z kraju. Sam Possewin spostrzegł się wkrótce na pomyłce — ale pomyłki nie rozgłaszano, a luteranie ze swej strony pomagali z całych sił, żeby się utrzymała o Janie katolicka opinia. Dużo też znaczy, że współcześni nie bardzo dokładnie wiedzieli, co jest jeszcze katolickiem, a co już niem nie jest. Wiek XVI. nie celuje w katechiźmie.

Temat niniejszy był już opracowany obszernie i to przed sześćdziesięciu laty w słynnem dziele niezmordowanego badacza Augustyna Theinera: *Schweden und seine Stellung zum heiligen Stuhl unter Johann III., Sigismund III., und Karl IX. — Augsburg 1838.* Nauka w tem jest niższa od sztuki, że dzieła swe ustawicznie musi przerabiać, bo do prawdy dochodzi po ścieżkach bardzo zygzakowatych; w nauce nie ma Iliad ani Stanz, któreby stały niewzruszenie jako dzieła niespożytej doskonałości, niewymagające poprawek, lecz raczej naśladowania. Książka sześćdziesięcioletnia wymaga koniecznie odnowienia, poprawy, a już przynajmniej uzupełnień; wielką to już dla niej pochwałą, że po tylu latach jeszcze się z nią liczą! Nie ujmuje to przeto sławy Theinerowi, gdy się powie, że dzieło jego już przestarzałe. Nie próżnowały dwa pokolenia, które przeszły od czasu wydania tej książki, zwiększyły się wymagania, wyrobiła się krytyka źródeł, a krytyczność dziejopisarska wogóle stała się bez porównania ściślejszą. Sam Theiner w długiem swem życiu (1804—1874) był świadkiem tych postępów, korzystał z nich i inaczej pojmował pracę historyczną potem, niż gdy w zaraniu

swej działalności pisał ten ustęp z dziejów Szwecyi; była to pierwsza jego praca dziejopisarska. Po raz też pierwszy miał do czynienia z materyałem archiwalnym i popadł w błąd pospolity między historykami: zachowuje się ostrożność krytyczną wobec wiadomości drukowanych, ale idzie się równocześnie na lep wiadomości rękopiśmiennych; nie wierzy się drukowi, ale wierzy się święcie archiwaliom. Tak do dziś dnia bywa częstokroć, tak było u Theinera. Co wyczytał w archiwum watykańskiem, to było dlań decydującem tak, że właściwie książkę jego należałoby nazwać pośmiertnem dziełem Possewina. Nie przestrzegał on wobec swych źródeł żadnych a żadnych, chociażby najprostszych ostrożności, nie zważał, że nie wystarcza być prawdomównym, ale przedewszystkiem trzeba prawdę znać. Theiner poszedł na oślep za pierwszemi wrażeniami Possewina i tak się unosi nad bogobojnością Jana III., że nawet biografii kanonizowanego świętego nie mógłby pisać z większym zachwytem. Fakta przeczą na każdym kroku konstrukcyi Theinera, a więc ratuje się autor sztuczną, naciąganą interpretacyą i nieraz aż razi ta syzyfowa praca, gdy jaki postępek wręcz niekatolicki chce koniecznie wyjaśnić życzliwością dla katolicyzmu.

Dzieło Theinera, choć zupełnie niekrytyczne, będzie jednak zawsze mieć wartość dla mnóstwa materyału źródłowego, podanego nietylko w dołączonym tam zbiorze dokumentów, ale niemniej obficie w tłumaczeniu wśród tekstu; częstokroć po kilka stronnic składa się z takich dosłownych przekładów.

Theiner pomylił się w sądzie historycznym głównie dlatego, że za katolickie uważał wszystko, co samo katolickiem się nazywało. Któraż jednak herezya głosiła się akatolicką? Wszyscy „reformatorowie“ nakazywali uważać się za prawych katolików, tem bardziej Jan Waza, który pewne urywki symboliki katolickiej przyjmował do swego wyznania. W historyi XVI. wieku nic to nie znaczy, gdy kto sam podaje się za katolika; trzeba zbadać, czy pozwalał uważać się za „papieżnika“, i to dopiero stanowić może kryteryum. W drobiazgowem rozszczepieniu protestantyzmu tysiące było takich, jak król szwedzki, którzy nie należeli do żadnego z określonych i rozpowszechnio-

nych wyznań protestanckich, a jednak byli protestantami przez negacyę „papizmu“; ci ludzie, używając wolnej interpretacyi Pisma św., mieli swe osobiste zapatrywania religijne, odmienne od luterskich, kalwińskich i t. d., a nawet tamtym wrogie, zarazem również wrogie katolicyzmowi. Nie każdy ma ochotę i ambicyę szerzyć swe przekonania; z mających ochotę nie każdy ma sposobność. Król szwedzki miał jedno i drugie, i dlatego „katolicyzm“ jego wynalazku przeszedł do historyi,

W naszej literaturze zajmował się tym przedmiotem Maurycy Dzieduszycki w swej rozprawie: „Rys dziejów Kościoła katolickiego w Szwecyi“, a mianowicie w rozdziale V. (w Pamiętniku Wydziałów filologicznego i historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności, tom II, str. 214. Kraków 1875). Nie jest to praca źródłowa, a do tych czasów po większej części tylko krótkie streszczenie Theinera.

Zabrałem się do ponownego opracowania rzeczy nie tylko dlatego, że ogólny o niej sąd Theinera wydaje mi się mylnym, ale też z powodu odkrycia nowego zasobu źródeł. Przebywając w r. 1890 z ramienia Akademii Umiejętności w archiwum Watykańskiem, czyniłem poszukiwania w dziale *Nunziatura di Germania*. Dział ten obfituje w źródła do historyi polskiej i chociaż Polska miała już w tych czasach swego nuncyusza, choć Possewin w sprawie szwedzkiej i potem moskiewskiej znosił się z nuncyuszami w Polsce, pomimo to korespondencyę jego i liczne jej załączniki wcielono do archiwaliów „germańskich“. Do missyi szwedzkiej odnosi się głównie tom 92 „germańskiej nuncyatury“. Jest to gruby kodeks 4-to, fol. 480, powstały przez zeszycie i oprawienie razem rozmaitych aktów i listów Possewina, przeważnie do kardynała Como pisywanych; po większej części oryginały, często autografy; są też kopie, ale prawie zawsze kollacyonowane, czego ślady widoczne w tekście, poprawianym nieraz własną ręką Possevina. Zbiór ten powstał widocznie jeszcze za jego życia († 1711); czy sam zajął się jego ułożeniem, czy też może nawet był wezwany do pomocy przy porządkowaniu papierów, to pewna, że był przy tem osobiście czynny i akty te miał znowu w swem ręku już dawno po ukończeniu

missyi północnej. Dużo miejsc jest cyfrowanych, a cyfry te rozwiązane są na marginesach, lub (gdy obszerniejsze) na osobnych doklejanych ćwiartkach, i to po większej części własną Possewina ręką. Czasem naklejał na cyfrowane wiersze pasek cienkiego papieru i w nim przepisywał rozwiązanie. Wnosić z tego należy, że kodeks układał się, kiedy już akta przestały mieć aktualne znaczenie i gdy cyfra umówiona z Possewinem wyszła z użycia, gdy już on jeden tylko mógł ją wyjaśnić, bo inni świadomi jej w Rzymie, pomarli. Przy oprawie aktów nie zachowano porządku chronologicznego z należytą ścisłością. Na samym początku (p. 1—6) jest list bez daty, pochodzący stanowczo z r. 1579, poczem następują trzy listy z r. 1577, a potem dopiero zaczyna się na nowo paginacya i są już ciągiem akta roku 1578 aż do folio 31, następnie r. 1579 aż do folio 303, a reszta z r. 1580. Jeden list jednak z r. 1580 wszyty mylnie, zabłąkał się pomiędzy akta roku poprzedniego i jest wklejony folio 89. Widocznie porządkowano wszystkie Posseviniana naraz i dzielono na kodeksy mniej więcej według lat, ale nie dopilnowano należycie oprawy kodeksów. Akta te przepisane z *Nunziatura di Germania,* znajdują się w Krakowie, w zbiorach Komisyi historycznej Akademii Umiejętności, w t. zw. „Tekach Rzymskich".

Nowe te źródła dopełniają znakomicie dawne źródła Theinera. Theiner korzystał z korespondencyi papieskiej i z archiwum Generałów Jezuitów. Pierwsze z tych źródeł nie bardzo wydatne, jak zwykle korespondencya dyplomatyczna ściśle oficyalna, przeznaczona choćby do publicznego rozgłoszenia; więcej w niej kurtoazyi, niż treści, zastosowana ona bardziej do życzeń, niż do istotnego stanu rzeczy. Akta tego rodzaju zmyliły nieraz Theinera; gdy papież pisze Janowi III. Wazie, że cieszy się z jego dobrego usposobienia względem Kościoła, on uważa to już za dowód, że król był katolikiem, a gdy Hozyusz wyraża swą radość z powrotu króla na łono Kościoła, Theiner niema już żadnych wątpliwości; podczas gdy taki list, pisany tonem ściśle oficyalnym, jest tylko wskazówką, że do Hozyusza doszła wiadomość o nawróceniu i że chciał ją sprawdzić; twierdzenie

o nawróceniu jest tylko zręczną formą pytania, jest wywołaniem króla, żeby się stanowczo oświadczył. Podobnych przykładów możnaby zacytować cały szereg, jak Theiner zanadto wierzył literze źródeł. Z poufnych relacyj miał do dyspozycyi sprawozdania przesyłane Generałowi, a te pochodzą po większej części nie od Possewina, lecz od jego towarzyszów i zajmują się (jak to całkiem naturalne) przedewszystkiem missyą jezuicką w Stokholmie, jako taką, a tylko ubocznie dyplomatycznymi układami prowadzonymi przez Possewina. Ten bowiem, jako wysłannik papieski do króla szwedzkiego, nie podlegał w tej rzeczy Generałowi, lecz kardynałowi Como i tylko korespondencya z kardynałem jest do tej sprawy źródłem stanowczem. Niejedna kopia tej korespondencyi dostała się Generałowi i weszła do głównego archiwum Jezuitów; znał też Theiner niejeden akt objęty naszym kodeksem, ale nie znał wszystkich, a między nimi najważniejszych. Ta korespondencya dyplomatyczna, nie oficyalna, lecz ścisle poufna, obala całkowicie zapatrywania Theinera. Miał przytem Theiner tę fatalność, że posiadał obfite źródła do pierwszej podróży szwedzkiej Possewina, ale znacznie już skąpsze do drugiej; a ta druga właśnie decyduje dopiero o sprawie.

W niniejszej pracy postanowiłem pisać tylko krótko o tem wszystkiem, co u Theinera (o ile o same fakty chodzi) należycie jest przedstawione; obszerniej traktuję to, co Theinerowi nie było znane. Dzieło Theinera jest niesłychanie rozwlekłe; nie opuści on żadnego szczegółu wyczytanego w źródłach i kto pragnąłby zasięgnąć informacyj drobiazgowych, znajdzie je tam gotowe. Tego wszystkiego tu się nie powtarza; ograniczyłem się w tej mierze jak najbardziej, li tylko do tego, co do zachowania pragmatycznego związku opowiadania było niezbędnem. Znajdzie czytelnik natomiast i wśród szczegółów niejeden nowy— konstrukcya zaś cała jest pracą zupełnie oryginalną.

I.

Gustaw Waza, wyzwoliwszy w r. 1521 Szwecyę z pod panowania duńskiego, pragnął wzmocnić władzę królewską i chwycił się w tym celu reformacyi, podobnież, jak tylu innych współ-

czesnych władców. Wybrany z razu rejentem, a wkrótce w r. 1523 królem, skorzystał z przypadkowego równoczesnego opróżnienia czterech stolic biskupich w Szwecyi i przeznaczył je dla powolnych sobie biskupów. Prymas upsalski, Jan Magnus Store, nie miał ani hartu, ani wogóle dość silnych przekonań; biernie się zachowując, ułatwiał nieświadomie królowi zadanie, a spostrzegł się dopiero wówczas, gdy się znalazł na wygnaniu. Jeden tylko wśród głów Kościoła, Jan Brask, biskup w Linköping (wym. Linczeping) stał, jak mur przy związku z Rzymem, domagał się na próżno zwołania synodu, a na sejmach protestował przeciw wprowadzaniu nowych wymysłów i konfiskacie majątku duchownego. Opuszczony przez tych, którzy najbardziej popierać go byli winni, musiał wreszcie w r. 1528 opuścić ojczyznę, chroniąc się pod berło Zygmunta Starego; przebywał w Gdańsku, żeby być jak najbliżej kraju, skąd wybierając się w r. 1538 na sobór zwołany do Mantuy, zmarł w podróży na polskiej ziemi, w cysterskiem opactwie Lędzie w Kaliskiem.

Jak wszędzie, tak też w Szwecyi, pierwszym powodem rozszerzania się, a zarazem ostateczną przyczyną zwycięstwa reformacyi było niedostateczne wykształcenie duchowieństwa. Zły przykład szedł od złego kleru, a gdy przez dłuższy czas zabrakło katolickiego duchowieństwa, kraj przybierał coraz bardziej protestancką cechę, chociażby ludność świecka zrazu temu się sprzeciwiała. Naród szwedzki nie życzył sobie bynajmniej zamienić papieża na domorosłych Lutrów; ale król tak chciał, a królowi pomogło niebaczne duchowieństwo.

Gustawowi Wazie nie chodziło o dogmatykę, ale o dobra kościelne. Podejrzywany o luteranizm zapiera go się zrazu i w r. 1523 wydaje na żądanie Braska edykt zakazujący pod gardłem głosić naukę Lutra. W roku następnym nie chciał zakazać przywozu protestanckich książek, ale w r. 1525 dopuścił obchodu jubileuszu nadanego przez Klemensa VI. Lud nie chciał słyszeć o zmianach i dawał to nieraz czynnie poznać księżom pozwalającym sobie na innowacye w nabożeństwie; król potrzebował sojuszników do swego dzieła, a nie mogąc zamiarom swym nadać popularności (pomimo niezmiernej popularności

swej własnej osoby!), postanowił sobie zwolenników kupić, dopuszczając szlachtę do udziału w grabieży majątku kościelnego. W r. 1526 skonfiskował król klasztor Kartuzów w Gupsholmie, wywodząc się dziedzicem jego fundatora (rejenta Stena Sture), „który nie byłby fundacyi czynił, gdyby był miał syna"; on zaś był wnukiem jego siostry! Konfiskatę tę kazał sobie zatwierdzić przez sejm, który nie śmiał niczego odmówić wybawcy Szwecyi od jarzma znienawidzonych Duńczyków. Przykład był zręcznie obmyślany; setki Szwedów jęły się poszukiwać w starych papierach, czy też i oni nie mają wśród antenatów jakiego przodka, po którym możnaby w spadku otrzymać bogate dobra kościelne. Król trafił dobrze do natury ludzkiej, kazał sądom roztrząsać pilnie te niespodziewane pertraktacye spadkowe, a kto tylko obłowił się w ten sposób, ten już dla luterskiej sprawy na zawsze był pozyskany. Nie wszyscy wprawdzie rzucili się do grabieży, ale dobra duchowne, oszczędzone przez prawych katolików, i tak nie ocalały; co nie zostało rewindykowane przez potomków fundatorów, przypadało Koronie. Ale Korona byłaby dostała za mało, bo gdy za jej przykładem wystarczało mieć przodka nawet takiego, który nie miał syna i to przodka po kądzieli, jakżeż miało zabraknąć dziedziców? gdy nie chcieli zabierać bliżsi, znaleźli się zawsze dalsi. Król chciał się tylko dzielić, ale nie usuwać od grabieży; musiał tedy wydać przepisy regulujące tę sprawę. Oznaczono też r. 1545 jako *terminus a quo* wolno było dochodzić swych uroszczeń; znaczyło to, że fundacye poczynione przed r. 1545 (a tych oczywiście było najwięcej!) zachowuje król na później — dla siebie samego. Wobec tego, że gdy nie brał jeden z braci, wziął drugi, albo dalszy kuzyn, zaczęli się rozgrzeszać coraz snadniej i gorliwsi nawet katolicy; fundacye i tak przepadły, a więc mówiono sobie: ma wziąć tamten, lepiej niech wezmę ja, i tak powoli cała niemal szlachta znalazła się w protestanckim obozie, nawet o tem nie zamarzywszy. Przyznać trzeba królowi Gustawowi, że obmyślił tę rzecz bardzo praktycznie.

Mieszczaństwa naród szwedzki nie posiadał prawie całkiem; pod tym względem stosunki szwedzkie podobne są do polskich.

Dziś jeszcze znać w Stokholmie, że obywatele stolicy pochodzą z krwi niemieckiej, a do niedawna język niemiecki był tam w użyciu niemniej od szwedzkiego. Za czasów Wazowskich pieniądz był po miastach tylko w niemieckiem ręku, a niemiecki ten żywioł pochodził z północnych miast Hanzy, z krajów i okolic, w których jawnie głoszono „piątą ewangelię“ (wyrażenie Hozyusza). Niemieckie to mieszczaństwo w Szwecyi czekało tylko sposobności, żeby jawnie porzucić katolicyzm; król nie potrzebował ich zachęcać, lecz przeciwnie, nieraz musiał hamować.

Był bowiem król Gustaw ostrożnym politykiem. Nie trzeba go bynajmniej uważać za fanatyka protestantyzmu. Był on nie bardzo czułym na sprawy religijne i nie miał nienawiści do Rzymu ani miłości dla Wittembergii. Chciał podnieść tron, a do tego trzeba było — pełnego skarbca; chciał zaprowadzić tron dziedziczny i władzę absolutną, a do tego trzeba było, żeby stany wyższe w interesie korony widziały zarazem swój własny. Luteranizm był dlań tylko politycznym środkiem, ale sam przez się nie miał dla niego żadnego znaczenia i żadnej wartości. Ani też myślał narażać się dla protestantyzmu. Ilekroć tedy Niemcy w Szwecyi posuwają się za daleko, ilekroć miasta rozdrażnią wiejski lud okoliczny, tylekroć występuje Gustaw Waza w roli poskromiciela miejskich predykantów.

Już w r. 1525 począł się burzyć lud w Uplandyi, a wkrótce i w Dalekarlii i Gustaw Waza musiał tam pospieszyć z wojskiem i uśmierzać tę prowincyę, której sam był bohaterem, która pierwsza dopomogła mu do wypędzenia Duńczyków z kraju. W następnym roku znowu rozruchy w Uplandyi, które król zażegnał zwoławszy wszystkich naczelników gmin do Upsali, gdzie sam osobiście przemawiał przeciw zakonom i mszy łacińskiej. Byłby może nic nie wskórał, gdyby nie obecność siły zbrojnej, a co ważniejsza — prymasa. Tak jest; prymas Szwecyi, Jan Magnus, był przy tem, słuchał wszystkiego i milczał na wszystko. Wobec tego musiał lud popaść w wątpliwości, czy słuszność po jego stronie i rozszedł się. Rozpoczęło się prześladowanie wiernych Kościołowi kapłanów i coraz śmielej wprowadzano zmiany w obrzędach kościelnych. W r. 1527 mamy już trzecie powstanie ludu

w obronie katolicyzmu; król musiał zawierać z powstańcami zawieszenie broni, zanim zdołał rozdwoić przeciwników obietnicami i obniżaniem podatków. Skoro tylko minęło niebezpieczeństwo, przeprowadził król na sejmie w Westeräs uchwałę konfiskaty dóbr biskupich, kapitulnych i klasztornych; równocześnie zniesiono wszystkie przywileje duchowieństwa, zastrzeżono królowi wyłączne prawo potwierdzania biskupów, postanowiono znieść „zbyteczne“ parafie, i uchwalono wreszcie, że odtąd ma być w Szwecyi opowiadane tylko „czyste słowo Boże“. Powstało oburzenie wśród ludu i sam senat uznał za stosowne przedstawić królowi, że trzebaby przynajmniej msze i śluby odprawiać dawnym trybem, zachowywać posty w piątki i soboty a zakonnikom i zakonnicom wyznaczyć odpowiednie utrzymanie. W r. 1528 czwarte z rzędu powstanie ludu na północy i w Dalekarlii. Tym razem potrzebował Gustaw Waza 14.000 wojska i począł ścinać; żeby zaś na przyszłość być bezpieczniejszym, zabrał się do stawiania warownych grodów po prowincyach. Pouczony jednak czterema z rzędu powstaniami, sam jął się poskramiać zbyt gorliwych nowatorów z miast. Synod w Örebrö w r. 1529 musiał uchwalić utrzymanie obrazów po kościołach, święcenie wody, soli, świec, palm i t. p., zachować hierarchię, spowiedź, bierzmowanie, ostatnie pomazanie, modlitwy za zmarłych i pozdrowienie anielskie, jakkolwiek to wszystko było tak na wskróś „papistyczne“. Zniesiono jednak wiele świąt, a duchownym pozwolono się żenić. Poznał lud, że go król zwodzi i w następnym roku wybuchło znów piąte powstanie; tym razem ogłoszono nawet detronizacyę Wazy i ogłoszono królem katolickiego senatora (Liliehöka). Stłumiwszy to powstanie przystąpił król do konfiskaty — dzwonów kościelnych, na spłatę długów państwa. Nastąpiły nowe rozruchy w Dalekarlii i w Nerice; lud dzwonów zabierać nie dał i zburzył nawet dwór królewski w Hademora. Potem w r. 1533 jeszcze jedno powstańie w Dalekarlii, już siódme z rzędu. Pokonał król chłopów i w cztery lata potem, w r. 1537, na synodzie w Örebrö uchylono już niemal wszystko, co na poprzednim zachowano, jakoby na kompromis z katolickiem poczuciem ludności; zachowano tylko modlitwy za zmarłych,

elewacyę hostyi i kilka drugorzędnych szczegółów. Następnego roku rozpoczęły się rozruchy w Smalandyi, które tak groźną przybierały postać, że król nie mając dosyć szwedzkiego żołnierza (a może mu nie zupełnie ufając), zaczął ściągać zaciężnych z Niemiec i z Danii. Rozruchy te miały trwać przez pięć lat. Lud wiejski broniąc katolicyzmu zapałał nienawiścią do szlachty, której ogół stał po stronie króla; domieszał się do sprawy dobrej niebezpieczny pierwiastek społeczny. Z tego ósmego powstania wyłoniła się wojna chłopska. Na czele ludu stał wieśniak Mikołaj Dacke, który miewał pod swymi rozkazy po 10.000 zbrojnych. Szlachta tem bardziej skupiła się przy tronie. Lud, który według szwedzkiego prawa publicznego, był wolnym politycznym stanem i należał do składu sejmowego, w tych właśnie czasach traci swe prawa i znaczenie. Katolicyzm był w Szwecyi sprawą chłopską, sprawą wolności i godności ludzkiej; protestantyzm był sprawą szlachecką, ucisku i ciemięstwa ludu w zamian za przyznanie koronie większej władzy. Król i szlachta przyznawali sobie nawzajem nowe prerogatywy na tem tle wojen domowych, przedsiębranych przeciw wiejskim kościołom i chłopskim zagrodom. Gdy zaczął rozbrzmiewać po kraju okrzyk „wyrżnąć i zagładzić szlachtę“, groziła Szwecyi anarchia; w takich to stosunkach sejm r. 1540 zniósł elekcyjność, a uchwalił dziedziczność tronu w domu Wazów według primogenitury. Tegoż roku uchylono resztki katolickich zabytków, (pozostałe po owym drugim synodzie w Örebrö z r. 1537) i ogłoszono, że „czysta i zupełna nauka Lutra jest powszechnie i wyłącznie obowiązującą religią państwa“. Tymczasem wojna chłopska pustoszyła kraj, aż dopiero gdy sam Dacke poległ w r. 1543, stłumił król to ostatnie, ósme z rzędu powstanie.

W taki to sposób Szwecya stała się protestancką. Lud sympatyzował nadal z katolicyzmem, ale nie mając do tego księży, coraz mniej wiedział, co jest katolickiem, a co niem nie jest. Przemycano mu luteranizm pod katolicką firmą, a skoro byli „biskupi“, tem łatwiej było to uskutecznić. Tylko w zakresie liturgii trzeba było zachować to i owo, żeby mieć czem lud zwodzić; po wsiach nie dało się zaprowadzić luterskich zwy-

czajów, a pastorowie musieli sobie rozmaicie radzić, stosownie do okoliczności. Wyniknęła z tego wielka niejednostajność obrzędów. Król chciał zaprowadzić ściśle luterską agendę, dwa razy zabierano się do ułożenia szwedzkiej agendy, ale dano temu spokój i za panowania Gustawa Wazy luteranizm szwedzki musiał się bez tego obchodzić. W kilku okolicach „najsporniejszych“ musiano nawet pozostawić kilka klasztorów; pozbawione nowicyatów i tak musiały stopniowo wygasnąć; utrzymać się zdołał tylko największy klasztor Szwecyi, klasztor św. Brygity w Wadstena, który przetrwał, choć bardzo nadwerężony aż do czasów Jana III. Była to główna świętość ludu szwedzkiego; nie śmiano się nań targnąć.

Aż do samego końca XVI. wieku mniemał lud szwedzki, że jest katolickim i pragnął nim być w duszy; ale coraz bardziej stawał się zależnym od szlachty, coraz mniej znaczyła w państwie jego wola. Historyk szwedzki Geier, piszący około r. 1830 (protestant), stwierdza, że w trzysta lat po zaprowadzeniu luterstwa, można napotkać pomiędzy ludem pozostałości z czasów katolickich, różne zwyczaje i modlitwy, odmawiane nawet łamaną łaciną! Modły łacińskie w wieśniaczym domu choć niezrozumiałe przechowywane tradycyą z pokolenia w pokolenie, ponieważ łacinę wyrugowano z Kościoła, toć wypadek jedyny w swoim rodzaju! O przywiązaniu ludu szwedzkiego do pierwotnego Kościoła świadczy to jak najwymowniej. I dziś jeszcze wspomina ze czcią świętych swych patronów, przechowuje o nich legendy i wskazuje miejsca otoczone aureolą wspomnień o nich.

Gustaw Waza panował do r. 1560. Podzielił państwo pomiędzy czterech synów: Eryka, Jana, Magnusa i Karola. Najstarszy Eryk otrzymał tytuł królewski i zwierzchnictwo nad młodszą bracią, a w bezpośrednie władanie ziemie nie objęte ich dzielnicami, co jednak stanowiło mniejszą tylko połowę Szwecyi. Drugiemu po starszeństwie synowi, Janowi, wyznaczył ojciec księstwo Finlandzkie; Jan miał lat 23, gdy Gustaw Waza zeszedł ze świata. Dziewiętnastoletni wówczas Magnus otrzymał Ostrogocyę, a najmłodszy, dziesięcioletni zaledwie Karol miał

dostać Sudermanię. Testament króla Gustawa był bardzo wadliwy i niejasny pod względem politycznym. Nie określono w nim należycie stosunku władzy książęcej braci królewskich do zwierzchniej władzy samego króla i nie trzeba było nawet dużo złej woli, wystarczało trochę zwykłej niechęci, żeby kraj zawieruszyć sporami o kompetencyę. Testament Gustawa Wazy nazywa wprawdzie książąt krwi poddanymi szwedzkiego króla, ale w innem miejscu zastrzega im w księstwach nieuszczuploną władzę taką, jaką sam testator sprawował; co więcej, testament ten przykazuje, że postanowienia dotyczące całego państwa, jako to pokoju i wojny, traktatów, sojuszów i t. p., zapadać mają za zgodą wszystkich książąt i najwybitniejszych członków Rady królewskiej. Testament posuwa się jeszcze dalej; oto przyznaje każdemu z książąt prawo działania na własną rękę dla dobra państwa, w razie, gdyby chodziło o znaczną a niewątpliwą korzyść, a czas i okoliczności nie dopuszczały wspólnego porozumienia. Postanowienia takie zmierzały niejako tylko do ocalenia jedności korony szwedzkiej w zasadzie, nie dopuszczając nikogo drugiego do godności królewskiej i w tym sensie należało pojmować wyrażenie, że bracia-książęta mają być „poddanymi“ brata króla; o ile jednak chodzi nie o godność, lecz o władzę, testament dopuszcza najwyraźniej współrządztwo.

Na tronie zasiadł Eryk XIV. Podział państwa nie był mu oczywiście na rękę, to też najmłodszego Karola nie dopuścił wcale do objęcia dzielnicy i aż do końca swego panowania sam rządy sprawował w Sudermanii i sam pobierał z niej dochody. Przeciw Magnusowi i Janowi począł wkrótce występować nieprzyjaźnie. Magnus dostał po niedługim czasie pomięszania zmysłów i wypadł przez to z politycznej rachuby, a Jan dostał się w czwartym roku panowania Eryka do więzienia. W ten sposób Eryk stał się jedynowładcą w Szwecyi. Państwu na nic się to nie zdało, gdyż okazało się, że i drugi z synów Gustawa Wazy cierpi na chorobę umysłową. Eryk oszalał.

W sprawie religijnej król Eryk nie zmieniał niczego z zarządzeń swego ojca, ale też nie przyczynił się w niczem do ściślejszego ich wykonywania. Oficyalnie luteranizm był religią

Szwecyi, z całem tem bałamuctwem pojęć i z całym nieporządkiem obrządków, jakie pozostały po Gustawie. Król osobiście niczem nie kierował i o tyle tylko wpływ wywierał, że nie cierpiał papistów; duchowieństwo katolickie nie miało przystępu do kraju, podczas gdy wszelkiego rodzaju ministrowie mieli swobodną rękę; przez to samo musiał się wzmagać protestantyzm. Eryk osobiście zajęty był ciągle szukaniem narzeczonej po różnych dworach protestanckich; marzył on i o ręce Elżbiety angielskiej i w kilku innych miejscach pukał, ale wszędzie nadaremnie [1].

Jan Finlandzki starał się o rękę Katarzyny Jagiellonki, starszej od siebie o jedenaście lat. Wiedziano, że książę prowadził życie rozwiązłe, a różnica wyznania nie była również okolicznością zachęcającą do tego związku, a jednak doszedł on do skutku, bo z jednej i z drugiej strony przywiązywano do niego polityczne rachuby.

Polska starała się o sojusz ze Szwecyą przeciw Moskwie już od r. 1555 (jeździł wówczas do Stokholmu Hieronim Machowiecki), ale napróżno: Gustaw Waza oglądał się na Danię, a z Moskwą wolał pokój. W kilka lat potem Polska i Szwecya spotkały się w Inflanciech; już za Zygmunta Augusta zaznaczało się z daleka widmo wojny szwedzko-polskiej! Chciano jej uniknąć, a małżeństwo Jana z Katarzyną miało być rękojmią przynajmniej zgody, jeżeli nie sojuszu. Księstwo finlandzkie sąsiadowało bezpośrednio z Inflantami, a Jan popierał sprawę polską w Inflanciech, pożyczył nawet królowi polskiemu pieniędzy. Wyrachowanie księcia polegało na tem, że Zygmunt August nie miał potomka. Na szwedzki tron Jan nie liczył, bo trudno było liczyć na to, że Eryk nie zawrze związków małżeńskich i zejdzie bezpotomnie; zwrócił tedy uwagę na tron polski, na

[1] Ustęp powyższy skreślony jest na podstawie wyżej wymienionej pracy Dzieduszyckiego, tudzież dzieła: *Geschichte Schwedens* von Erick Gustav Geijer. Aus der schwedischen Handschrift des Verfassers übersetzt von Swen P. Leffler. Zweiter Band. Hamburg 1834. Bei Friedrich Perthes. Dzieło to należy do zbioru Heerena i Ukerta: *Geschichte der europäischen Staaten*).

który zamierzał kandydować po najdłuższem życiu dziewierza. Dlatego to w sporze szwedzko-polskim o Inflanty książę finlandzki stał po stronie polskiej. Stanowisko jego mogło w danym razie sparaliżować zupełnie szwedzkie wpływy w Inflanciech i oddać ten kraj wyłącznie w ręce polskie. Dzięki takim kombinacyom trzydziestoześcioletnia Katarzyna wyszła w r. 1562 za mąż za dwudziestopięcioletniego księcia Jana, ojca trojga nieprawych dzieci.

Ponad wszelkie ludzkie obliczenia związek ten zamienił się we wzorowe stadło. Jan zmienił się zupełnie i odznaczał się potem rzadką czystością obyczajów, nawet wtenczas, gdy nieszczęśliwa Katarzyna dotknięta była długotrwałą, a przykrą i wstrętną chorobą. Jagiellońska księżniczka wywierała widocznie podniosły wpływ na męża; jakoż była to niewiasta dzielna i wielkiego ducha. Pod tym względem ustaliła się o niej jednomyślna opinia, od współczesnych aż do dzisiejszych czasów nie zamącona najmniejszą przyganą. I nasze nowe źródła, podając nam o niej nowe szczegóły, stwierdzają tylko na nowo jej chwałę.

Gdy król polski oddawał ją w małżeństwo protestanckiemu książęciu, zastrzeżono dla niej swobodne wyznawanie katolickiej wiary [1]. Do wyprawnego jej dworu należało też dwóch kapelanów: księża Wojciech i Jakób, tudzież „kleryk ksiądz Leonard". Wszyscy trzej niewiadomego nazwiska, niczem się widocznie nie odznaczali, a w spisie „dworu" figurują po kuchmistrzu, który jest na pierwszem miejscu), po komornikach, pacholętach, karłach i stafirach czyli lokajach, a już tylko przed odźwiernymi i chłopakami do chędożenia szat i srebra, którzy zamykają sze-

[1] Ciekawy przykład urabiania baśni o katolicyzmie Jana III. mamy w bezpodstawnem np. twierdzeniu, jakoby książę finlandzki żeniąc się zobowiązał się Zygmuntowi Augustowi do szerzenia katolicyzmu w Szwecyi. Znajduje się ono po raz pierwszy w dziele: *Iohannis Lorcenii historiae svecanae a primo rege Sueciae usque ad Carolum XI regem Sueciae deductae libri novem, secunda editione multo auctiores et emendatiores.* Francofurti et Lipsiae 1676, na str. 391, poczem następuje przyjęte ogólnie przez protestanckich historyografów mniemanie, że Jan zostawszy królem zabrał się do rzeczy ostrożnie: „emendatione rituum ecclesiasticorum initium fecit, inde ad religionem Pontificiam paulatim invehendam".

regi męskich dworzan. Kleryk Leonard nazwany jest w spisie niewłaściwie księdzem; zapewne był to famulus księży, rodzaj klechy czy organisty, który używał jednak sutanny i pozwalał się tytułować księdzem. Sama też królewna wbrew temu spisowi pisze następnie w r. 1569, że z Polski zabrała z sobą dwóch księży. Kleryk zresztą nie miałby po co jeździć do Finlandyi, bo któżby mu tam dalszych święceń udzielił? Dwóch tedy tylko księży brała z sobą Jagiellonka, a obaj ci kapelani, i ksiądz Wojciech i ksiądz Jakób, byli ludźmi wiekowymi [2].

(C. d. n.)

Feliks Koneczny.

[1] Przezdziecki, „Jagiellonki polskie“, t. III, str. 325, w szczegółowym rejestrze wyprawy królewnej Katarzyny.

PIÓREM I OŁÓWKIEM.

1. Z zatoki neapolitańskiej.

I.

Napoli il pazzo. Nałaźliwość Neapolitańczyków i jej wytłumaczenie. Włosi i komary. Życie uliczne w Neapolu. Dorożkarze. Mój pensyonat. Via Nardones. Pani Schachmajer i Don Gaetano. Teatr S. Carlo. Opera w Neapolu. Teatr i teatralność we Włoszech. Bohème Pucciniego i Leoncavalla.

Włoch każde z większych miast swoich obdarza przymiotnikiem. Więc jest u niego *Roma l'eterna*, *Genova la superba*, *Firenze la fiorita*, *Venezia la bella*, *Padova la dotta*, *Bolonia la grassa* i tak dalej, co miasto to przymiotnik. Dla jednego przymiotnik ten jednak jest impertynencyą: dla Neapolu. *Napoli — il pazzo.* Waryat: to określenie jakie właśni ziomkowie dają cudnemu miastu, piętrzącemu się pomiędzy podnóżem Wezuwiusza a Posilipem.

Czy słusznie? jest tu niewątpliwie jakiś nadmiar nie wiem czy sił żywotnych czy temperamentu, który sprawia, że lud neapolitański nie potrafi ruszać się, mówić, pracować tak jak każdy inny. Neapolitańczyk skacze, wrzeszczy, śpiewa, narzuca się ludziom dlatego, bo musi: taka jest jego natura. Przechodzisz ulicą obok stacyi fiakrów: każdy po kolei będzie klaskał na ciebie biczem, wołał: *ohe, mussiu, carozza. Andiamo a Posilippo, a San Martino, a Camaldoli,* choć wie doskonale, że go nie weźmiesz, że nie masz zamiaru wogóle brać dorożki. Zresztą gdy ich jest dwudziestu i pierwszemu kiwniesz odmownie głową, następnych

dziewiętnastu niema już jasnej szansy pochwycenia gościa. A jednak każdy z tych dziewiętnastu powtórzy ci niezmiennie tę samą litanię propozycyi. Dlaczego? Czy żeby ci dokuczyć? Do tego Włoch niezdolny. Czy żeby cię namówić? Nadziei na to mieć nie może. Poprostu dlatego tylko, że ten dorożkarz jest neapolitańczyk, że nie może spokojnie usiedzieć na koźle i że mu robi ulgę i przyjemność zaczepienie cię, okazya do obrócenia kilka razy językiem. Taksamo, gdy go weźmiesz, będzie ci całą drogę gadał pod pretekstem ciceronowania.

Każdy przekupień kwiatów, lawy z Wezuwiusza, korali, zapałek, bursztynu, gazet i nieprzyzwoitych fotografij robi to samo, z tej samej przyczyny. Co prawda jest jeszcze i inna. Stoją oni poprostu wobec forestiere'ów na tem samem zupełnie stanowisku, jak pchły, komary i moskity. „Na to człowieka Bóg stworzył, aby krew jego dawała nam smaczny i pokrzepiający posiłek", mówią sobie te miłe owady. Na to Bóg przysyła turystów do Włoch, aby Włosi mogli ich wysysać i obdzierać ze skóry. To ostatnie jest prawem Włocha, tak samo jak dawać się obdzierać jest świętym obowiązkiem turysty. Jeśli tego obowiązku nie spełnia i pilnuje pugilaresu, popełnia poprostu przestępstwo kradzieży na krajowcach, którzy go za to bez wahania, w Neapolu zwłaszcza, wsadziliby do kozy, odebrawszy naprzód oczywiście pugilares.

Trzeba przyznać jednak, że to obdzieranie podróżnych nacechowane jest tą samą dobrodusznością, która wogóle charakteryzuje Włocha. Mówią, że bandyci w Abruzzach i Sycylii, mając obcinać uszy swoim więźniom (w razie zwłoki z okupem) dla przesłania ich rodzinie, nie szczędzą słów pociechy i pokrzepienia ofiarom i pełni są dla nich grzeczności. Nawet w trakcie tej operacyi chirurgicznej nie zapominają ich tytułować *Eccellenza*. Taksamo robi każdy Włoch, obcinając pugilares. Najcierpliwszy podróżny musi wkońcu wybuchnąć, zaledwie bowiem wyjdzie za próg hotelu nie dadzą mu ani sekundy spokoju komary, fiakry, przekupnie, żebracy i zwykle używani przewodnicy. Niezrażeni odpowiedzią, że „nie potrzeba" powtarzają wciąż swe propozycye, zabiegają drogę lub stają dorożką w poprzek drogi,

wprost ją tamując, krzyczą, szarpią jeden za drugim bez końca aż nareszcie robi się człowiekowi gorąco na twarzy i czerwono przed oczyma – i zaczyna łajać lub walić laską po łapach natrętów. Ci wówczas bez gniewu i urazy, ale z najżywszem zdziwieniem pytają go: dlaczego właściwie *Eccellenza* się gniewa? I na nowo idą do szturmu.

Hałas jaki sprawia ten tłok ludzi, chodzących niemal na głowach jedni drugim i wrzeszczących bez ustanku, jest wprost nieopisany. Z rana słyszy się go w łóżku, w nocy długo nieprzyzwyczajonemu zasnąć nie daje. Cisza tu nieznana. Nawet w kościele głośno się mówi bez żadnej ceremonii pomiędzy dwoma pacierzami. Bramy domów zimą i na wiosnę zamykają się wcześnie, bo o północy, w lecie o pierwszej lub drugiej rano. Nie dziw. W teatrach, z wyjątkiem S. Carlo, zaczyna się przedstawienie koło dziesiątej, w niedzielę, kiedy są przedstawienia popołudniowe o 6, początek wieczornego teatru jest nieraz znacznie po 10. Przy bardzo długim programie i nieskończonych antraktach wraca się z teatru co najwcześniej po pierwszej, nieraz po drugiej, nie mówiąc o tych, którzy wstępują do jednej z niezliczonych nocnych restauracyj i kawiarń na „podkurek".

Tłum uliczny trochę do naszego podobny, pod tym względem, że pcha się naprzód, nie bardzo dbając o sąsiadów. Co prawda trudno być delikatnym w takim ścisku. Z jednej strony grozi ci krwawiąca się ćwierć wołowa wisząca na haku z zewnątrz sklepu, z drugiej zastawiają ci drogę kosze ryb i jarzyn. Tymczasem najeżdża na ciebie z krzykiem i świstem *corricolo* o dwóch kołach, naładowane śmieciem lub towarem, a zaledwie uniknąłeś go, rzuciwszy się w bok i rozgniótłszy o mur starą babę o twarzy Makbetowskiej czarownicy, a już znajdziesz się pomiędzy końskiemi głowami najeżdżającej na ciebie pędem dorożki.

Jak ci dorożkarze jeżdżą, to coś strasznego, niczem *Weaner Fiaker*. Jednym konikiem na szerszych ulicach pędzi jak wicher, aż oddech jadącemu tamuje. A w wewnętrznych ciasnych zaułkach musi jechać juścić wolniej, ale to „wolniej" to jeszcze wyciągnięty kłus, będący dla nieszczęsnych przechodniów ciągłą groźbą katastrofy. Ma się nieraz wrażenie, że woźnica wprost

umyślnie chce cię roztratować i trzeba istotnie niesłychanej uwagi i przytomności umysłu, aby tego losu w Neapolu uniknąć. Nie przysięgnę na to, zdaje mi się jednak, że muszą tu być wyznaczone dość wysokie nagrody za rozjechanie przechodniów na ulicy. I bardzo słusznie: czemu fiakra nie biorą?

* * *

Mieszkam w niemiecko-włoskiej *pension* w samym środku miasta na *via Nardones*, po której fiakry prawie jechać nie mogą, tak jest ciasna, za to o każdej porze dnia gromadnie spacerują kozy. I szczęście, że są tu przecież stworzenia, żywo przypominające Polakowi jego rodzinne żydowskie miasteczka: cóżby inaczej stało się z kupami śmiecia, gnijących jarzyn, ryb i odpadków kuchennych, napełniających środek ulicy? Ale poza tem śmieciem przez otwarte wielkie, wspaniałe bramy widać szerokie dziedzińce, pełne powietrza i światła, które na ulicę nie dochodzi nigdy. Przed bramami i przed sklepami siedzą na krzesełkach i kręcą się, krzycząc i wymachując rękami mieszkańcy ulicy. Nie dziwię się im: ulica ciemna i wązka, ale ich sklepiki poprostu do ciasnych nor podobne.

Właścicielka *pension* jest Niemką z Karyntyi, zamieszkałą w Neapolu od czterdziestu kilku lat. Mąż jej pierwszy był jakimś niższym urzędnikiem przy dworze Burbonów i krótko przed ich upadkiem został przez zazdroszczącego mu kolegę otruty. Drugi mąż, typowy neapolitańczyk, podobnie jak żona cierpieć nie może piemontczyków i nowego rządu, ocenia nowe stosunki i reformy nader pessymistycznie, zjada dwa razy na dzień wielki półmisek makaronu i cały dzień włóczy się po mieście *per gli affari* jak twierdzi, dla *dolce far niente*, jak utrzymuje żona, podobno kompetentniejsza do osądzenia tej sprawy; wieczorem zaś gra w karty w gościnnym pokoju do późnej godziny. Towarzystwo przy stole niemieckie. Jest trochę Włochów, ale ci jadają u siebie, przynosząc sobie z miasta różne *porcherie napolitane* do specyalnie również obstalowanych w kuchni gorących, czysto neapolitańskich potraw.

Okna mego pokoju wychodzą na ogród, cały zarosły bujną,

zieloną gęstwiną, wśród której aż żółto od mnóstwa pomarańcz. Łamią się od nich gałęzie, gnije mnóstwo w trawie, jemy je wszyscy przez całą zimę i wiosnę przy obiedzie i śniadaniu a właściwie cały dzień i ani znać tego — i gospodyni skarży się, że tego roku mały urodzaj.

Tuż przy *via Nardones* jest S. Carlo, nie kościół oczywiście, ale teatr — i to teatr największy w świecie. Wrażenia tego nie robi. Teatr Costanzi w Rzymie, choć mniejszy, uderza daleko bardziej swymi rozmiarami. Dopiero wielkość sceny i jej głębokość oryentuje widza co do wielkości całego gmachu niemniej, jak liczba lóż, których jest coś ze 180, a znacznie są większe, jak wogóle we Włoszech, od naszych. Zato w tym ogromnym teatrze tak jest ciasno, jak w żadnym innym. Parter robi wrażenie beczki śledzi. Wchodzić w rząd krzeseł zajętych jest istną torturą, a siedzieć, dla otyłych, nawet w orkiestrowych fotelach, bodaj nie sposób. Również i dekoracyjna strona wiele zostawia do życzenia. Świateł za mało i bardzo nieszczególnie rozmieszczone, foyer mizerne, kawiarnia, składająca się z kilku stolików w głębi jakiegoś kuluaru, niżej krytyki.

Zato pod względem artystycznym S. Carlo stoi wysoko. Chóry i orkiestra przepyszna a soliści wyborowi. Niewiem, czym kiedy w życiu słyszał piękniejszego tenora. Taki wieczór w S. Carlo jest istotną ucztą artystyczną — i trzeba przyznać, że publiczność zachowują się tu zupełnie inaczej niż w innych teatrach. Ci sami ludzie, którzy gdzieindziej, nawet na tej samej operze Belliniego, będą głośno rozmawiali podczas najpiękniejszych ustępów, tu siedzą cicho i spokojnie. Jakąś tradycyę powagi wyrobiła sobie ta największa w świecie scena.

Ciekawem było dla mnie zestawienie nowej opery *Bohème* Puccini'ego w S. Carlo ze słyszaną świeżo we Florencyi, w Pagliano, operą Leoncavalla tegoż samego tytułu i podobnej treści. Obaj mistrze zaczerpnęli treść libretta ze starych jak świat i przed pół wiekiem bardzo głośnych *Scènes de la vie de Bohème* Mürgera, ale i akcyą dramatyczną i przeniesienie jej w muzykę pojęli całkiem inaczej. Leoncavallo pierwsze dwa akty traktuje jak operę komiczną i w trzecim dopiero występuje u niego na

pierwszy plan liryczno-dramatyczny pierwiastek. Puccini najmelodyjniejszy i najbardziej liryczny z najnowszych włoskich kompozytorów, pozostaje sobie wierny i w tym swoim utworze — i niewątpliwie przewyższa Leoncavalla głębią uczucia, rzewnością i nieporównaną śpiewnością swej muzyki, podczas gdy pod względem akcyi scenicznej Leoncavallo stoi od niego wyżej.

Teatrów codziennie otwartych jest tu obecnie dziesięć, nie licząc koncertów i innych miejsc publicznej zabawy. Wszystkie co niedzielę i święto mają dwa przedstawienia: na operze ile razy byłem, czy w S. Carlo, czy w Bellini, zawsze pełno. Jakie musi być zamiłowanie teatru u tej ludności, która potrafi dwadzieścia teatralnych przedstawień jednego dnia zapełnić! Prawda, że Neapol ma pół miliona ludności, i że Włoch każdy sam ma w sobie coś z aktora a do teatru nie tylko żyłkę, ale prawdziwą namiętność. Teatralnem jest tu bowiem mniej lub więcej wszystko: życie uliczne, wir politycznych i parlamentarnych walk, stosunki towarzyskie, nawet kościół. Przekupka, która na ulicy towar swój zachwala ma ruchy i zwroty, pełne umyślnego komizmu, albo też szczerego patosu. Każdy z rozmawiających na ulicy wygląda tak, jakby z trybuny, albo ze sceny wygłaszał tyrady pełne dramatyczności i ognia. Tak to ognisty temperament południowego szczepu przebija się w mniejszych i większych rzeczach i tłumaczy nadmierne znaczenie sceny w życiu i kulturze Włochów.

II.

Sventrimento w Neapolu. Burzenie starego miasta i nowe dzielnice. Kościoły. Duchowieństwo neapolitańskie. Nabożeństwo odpustowe. Muzyka kościelna we Włoszech; jej znaczenie. Próby reformy na północy. Scuola Gregoriana. Maestro Perosi i reforma sykstyńskiej kapeli. Zachowanie się w kościele. Kazania. Klasztory. Ich kasata i odrodzenie.

Od czasu cholery, która przed dwoma dziesiątkami lat tak straszliwie srożyła się we wnętrznych dzielnicach starego Neapolu, zarząd miasta przeciął je mnóstwem nowych, szerokich ulic, rozszerzając i regulując równocześnie istniejące już zaułki. To rozprucie wnętrza Neapolu *(sventrimento)* zmieniło zupełnie

charakter miasta i zmienia go wciąż coraz bardziej. Wprawdzie w okolicach Chiaja oraz wszędzie po lewej zwłaszcza stronie głównej arteryi miejskiej Toledo, niemniej jak przy nadmorskiej Sta Lucia oraz pomiędzy Gesù Nuovo a St. Gennaro mnóstwo jeszcze jest takich labiryntów uliczek ciasnych, czarnych, krętych jak ślimaki, poobwieszanych festonami suszącej się bielizny, której we Włoszech tem więcej wisi na sznurkach i balkonach, im mniej jej noszą mieszkańcy. Jednak są to tylko pozostałe resztki starego Neapolu i w nich też, rzecz charakterystyczna, lubi cisnąć się i przebywać miejscowa ludność. Obok ciągną się nieskończone, niemal proste, na wzór bulwarów francuskiego zakroju, ulice z najnowszych czasów, z wielkimi banalnymi gmachami, czyste, powietrzne, ale pozbawione całkiem oryginalności i charakteru. Dla przeprowadzenia ich poświęcono moc całą starych pałaców, kościołów i typowych domów. Samych kościołów przeszło 80 znikło wtedy z powierzchni Neapolu. Po tych szerokich bulwarach przebiegają nieustannie tramwaje, dorożki, powozy, kłębi się i roi ruchliwa ludność, ale w nowych pałacach mieszkają przeważnie cudzoziemcy, rodowity Neapolitańczyk woli swoje stare, cuchnące zaułki.

W kościołach podczas postu ludzi dużo. Zjawisko to dla przybywającego z północnych Włoch lub z Rzymu niezwykłe, nie dowodzi może tyle pobożności prawdziwej mieszkańców Neapolu ile raczej pewnego przyzwyczajenia i upodobania w zewnętrznych formach i praktykach kultu. Kościołów jest tu ze 400 a liczba duchowieństwa bardzo wielka, nadto wielka. Kler archidyecezyi, obejmującej samo tylko miasto bez przedmieść, odznacza się nauką i przykładnem życiem, mnóstwo tu jest jednak obcych przybyłych z całego południa księży, którzy żyją bez stałego sposobu utrzymania, oprócz szczupłego honoraryum mszalnego; niejednokrotnie sukni swej i powołaniu nie przynoszą zaszczytu. Ceremonie kościelne odbywają się z wielkim przepychem, mają jednak ów teatralny charakter, o którym już wspomniałem, może dla miejscowych odpowiedni, dla nas jednak ludzi północy, bardzo niemiły. Kościół na uroczystość przybierają cały w różnobarwne draperye i festony a na zewnątrz drzwi,

facyaty kościelne udrapowane bądź to w czarne, srebrem bramowane aksamity, bądź to w purpurowe ze złotem makaty i osłony, oznajmiają z daleka o obchodzonej w świątyni uroczystości. Na jedną z takich, zapowiedzianą w gazetach, poszedłem do któregoś z niezliczonych kościołów w pobliżu Toledo. Cały był od stropu począwszy zawieszony białym muślinem i błękitnym jedwabiem, jak wnętrze jubilerskiego pudełka. W setkach kandelabrów i żyrandolów, pouczepianych w kilka rzędów jedne nad drugimi dokoła nawy i wzdłuż stropu, paliła się niezliczona moc światła. Publiczność napełniała kościół szczelnie, zabawiając się głośną rozmową, śmiejąc się i wachlując. Z boku, na ogromnej purpurą i złotem ubranej trybunie mieściły się chóry wraz z orkierstrą. Nabożeństwo naznaczone było na 11-tą, ale dopiero z uderzeniem dwunastej przybył celebrujący biskup. O godzinie $^1/_2$ do 2-ej nie skończono jeszcze śpiewu *Gloria,* który tu zresztą zwykle podobnie jak *Credo* trwa więcej niż godzinę. Przypuszczam, że chyba pod wieczór ukończyło się to nabożeństwo. Śpiewy kościelne tak wtedy, jak wogóle prawie zawsze, ile razy miałem sposobność je słyszeć, niczem się nie różnią od muzyki w teatrach, chyba czasem mniej artystycznem wykonaniem.

Wogóle muzyka kościelna we Włoszech przedstawia się smutno. Panuje tam dziwne pomieszanie skrupulatności w przestrzeganiu zewnętrznej strony liturgicznych przepisów z zupełnem zapoznaniem prawdziwego ducha nabożeństwa i myśli przewodniej, jaką miał Kościół, określając nabożeństwa tego normy. Więc z jednej strony kobiety nie biorą udziału w chórach, zastępują je męzkimi sopranami, które naprzód w późniejszym wieku są zwykle nienaturalne i manierowane, a powtóre sposób używany dla ich zachowania niema doprawdy nic wspólnego z chrześcijańską a nawet wprost z naturalną moralnością. Zachowywanym jest też przepis, ażeby na chórze wykonywano podczas pojedynczych ustępów mszy św. same tylko odnośne modlitwy i wersety mszału: dzięki temu podczas *Offertorium,* pomiędzy Podniesieniem a *Agnus Dei* śpiewy milkną, a ogólna harmonia i jednolitość nabożeństwa ponosi na tem znaczną ujmę. Ale organ podczas tej pauzy wykonuje najniemożliwsze popi-

sowe kawałki *presto, prestissimo,* gdy zaś organista w lirycznem jest usposobieniu, co się zwłaszcza zdarza w chwili podniesienia, pod sklepieniami włoskich katedr rozlegają się słodkie dźwięki Straussowskiego walczyka lub neapolitańskiej mandolinaty. *Gloria* i *Credo* wedle liturgicznego przepisu wykonują się w całości i trwają przeciętnie po godzinie lub więcej; ale nie mówiąc już o tem, że suma trwająca cztery godziny, przestaje być nabożeństwem i staje się koncertem lub konwersacyjną salą, wybór muzycznych utworów i sposób ich wykonywania jest taki, że wszelkie religijne uczucie u śpiewaka i słuchacza musi wykluczyć. To, co się dzieje tutaj na chórach i w kościele podczas podobnych nabożeństw, jest wprost skandalem, wołającym o pomstę do Boga, a mówię to nietylko o południowych, ale o całych Włoszech, przedewszystkiem o Rzymie.

Jeżeli zaś niema chórów na operową modłę, używają tu powszechnie chorału, ale mój dobry Boże, cóż to za chorał! Paru ochrypłych śpiewaków drze się podnosząc i zniżając głos, w niemożliwy sposób połykając wyrazy, gargaryzując i wykręcając tony najpotworniej, a w tem wszystkiem tyle tylko jest gregoryańskiego chorału, że w śpiewie takim brak uroku melodyjności, jaki ma ostatecznie każda włoska muzyka. Chorał tego rodzaju jest czemś tak ohydnem, że sto razy już wolę od niego arye operowe podczas nabożeństwa: te przynajmniej nie odstraszają ludu od kościoła i nie są grzeszną karykaturą wielkiej muzyki lepszych czasów Kościoła. Objawy reformy muzyki kościelnej spotykają się tu i owdzie na północy: są jednak nieliczne. W Wenecyi u św. Marka, dzięki inicyatywie maestra Perosiego, chóry choć złożone z dość miernych sił, śpiewają pięknie i w liturgicznym duchu: uderzyło mnie tam szczególniej jedno *Credo,* chorał połączony z polyfonicznymi motywami. Mniej już szczęśliwym wydał mi się chorał w medyolańskim tumie. W Rzymie na czele ruchu reformy stanęli Niemcy. *Scuola Gregoriana* ks. Millera przy niemieckim kościele *dell' Anima* jest istotnie świetną: mniej udanym jest chór cecyliański w *Collegium Germanicum;* muzyki tej jednak kler a tem bardziej lud rzym-

ski nie rozumie i nie uznaje. Włochom potrzeba zawsze szopki w kościele, a nie nabożeństwa.

Trudno też bardzo trudno idzie genialnemu Perosiemu reforma sykstyńskiej kapeli, do której wkradła się od szeregu lat tandeta muzykalna obok bardzo wielu nadużyć skostniałej rutyny i prawdziwego szlendryanu. Następca zasłużonego staruszka Mustafy, któremu brakło siły na wykorzenienie złego, postanowił wytępić te chwasty i wrócić do wielkiego stylu kościelnej muzyki oraz do szlachetnych, coraz bardziej zapomnianych kompozycyj dawnych mistrzów: Palestriny, Vittorii i innych. Zarzucono go trudnościami i szykanami, próbowano wytworzyć sztuczny antagonizm z Mustafą i przeciwstawić Perosiemu innego rzymskiego kompozytora, utalentowanego twórcę oratoryum *S. Petrus* i *S. Franciscus*, Franciszkanina z Ara Coeli, Hartmanna i z pewnością każdego innego zmuszonoby do odwrotu. Ale oparty o osobistą protekcyę i zupełne zaufanie papieża, pełen energii i zapału *maestro* opiera się zwycięsko intrygom i przemaga przeszkody w nadziei, że przeprowadzona w Sykstynie reforma muzyki kościelnej, stanie się hasłem dla reszty Włoch. Czy mu się uda — nie wiem. Słuchając chórów innych bazylik, a specyalnie kapeli *maestra* Capociego, ulubionego wykonawcy muzyki kościelnej przy największych rzymskich odpustach, chciałoby się doprawdy wątpić, takie to potwornie manierowane, świeckie, operowo-sentymentalne, a w gruncie brzydkie.

W katedrze św. Januarego, co niedziela kardynał arcybiskup w otoczeniu 4-ch swych biskupów-sufraganów oraz 30 kanoników i niezliczonego kleru, asystował pontyfikalnie nabożeństwu i postnemu kazaniu. Niezmiernie wspaniałym bywa widok tego mnóstwa białych, złocistych, purpurowych, fioletowych szat kościelnych oraz imponującą istotnie jest powaga i uroczystość ceremonii. W sąsiednim kościele św. Restytuty, tworzącym jakby olbrzymią przy katedrze kaplicę, odbywały się równocześnie ceremonie bierzmowania bardzo licznej młodzieży.

Neapolitańczyk, wszedłszy do kościoła, bierze zaraz dwa krzesła, które mu spieszy przynieść wynajmujący je od pro-

boszcza antreprener, a położywszy na jednem laskę i kapelusz, zasiada na drugiem w nader swobodnej pozycyi i w ten sposób odbywa swe nabożeństwo, nie robiąc nietylko zbytnich, ale wcale żadnych ceremonii z Panem Bogiem. Przyklękanie nie jest tu praktykowane, co zresztą tłumaczy się ogólnym we Włoszech zwyczajem nieustannego plucia na prawo i na lewo. Dzięki temu wspaniałe marmurowe lub mozaikowe posadzki tutejszych świątyń są zawsze okrutnie brudne. Sprawiedliwość każe mi jednak przyznać, że podczas kazań panuje tu wielka uwaga i cisza. Przyczynia się do tego, zapewne, właściwe Włochom zamiłowanie w krasomowstwie. Kaznodzieje tutejsi przemawiają li tylko podczas Adwentu i Wielkiego Postu, w ciągu roku bowiem niema zwyczaju kazania ani odprawiania mszy śpiewanych w niedziele i święta. Za to jednak kazania postne powierzane są najlepszym kościelnym mowcom, a przygotowywane długo i starannie. Są też one zazwyczaj bardzo piękne a nieraz wprost porywające. Tłumy garną się na nie, zwłaszcza gdy nazwisko kaznodziei jest znane i nietylko w Neapolu, ale i w Rzymie i na północy dobry mowca przyciąga do stóp swoich całe tłumy liberałów i masonów, którzy przez resztę roku omijają kościelne podwoje. Kiedy słynny O. Agostino da Montefeltro przemawiał tutaj lub w Rzymie, dzienniki postępowe a nawet radykalne umieszczały codziennie nadzwyczajne dodatki ze stenograficznem powtórzeniem jego kazań.

Klasztorów tu jeszcze dużo. W r. 1860 skasowano wprawdzie wszystkie w całych Włoszech z wyjątkiem Rzymu, gdzie kasata nastąpiła w r. 1871. Zakony rozproszyły się, klasztory zajął rząd, czasem z łaski zostawiając dla paru zakonników kawałek jakiegoś skrzydła przy zakrystyi. Rozproszone zgromadzenia jednak skorzystały z szczęśliwie istniejącej we Włoszech wolności stowarzyszeń i zreorganizowały się powoli, bądź to odkupując od rządu zabrane klasztory, bądź to osiedlając się w nowych. Przyznać trzeba, że z wyjątkiem może Jezuitów, których specyalnie, zwłaszcza w Rzymie, szykanowano, rząd włoski nie stawiał trudności temu odradzaniu się zakonnego życia. Kasata klasztorów stała się też prawdziwą ogniową próbą siły

żywotnej i warunków bytu pojedynczych zgromadzeń. Wiele z nich upadło niepowrotnie i utrzymuje się tylko w paru domach siłą tradycyi i wolą Stolicy św., jako relikwie przeszłości; ale były to zgromadzenia, które zakończyły już swe posłannictwo, dawniej nieraz świetne i ustąpiły miejsca innym nowszym, potrzebniejszym. W ten sposób zmalały do niewielu klasztorów zakony kontemplacyjne, jak Kartuzi i Kameduli, albo oderwane od głównego pnia św. Benedykta pomniejsze gałęzie, Vallombrozanie i Oliwetanie, tak zanikły prawie całkiem słabsze odrośle zakonów żebraczych, jak Minimowie św. Franciszka a Paulo, Hieronimici, Zakonnicy od Pokuty, Mercedaryusze i Trynitarze, których jedna gałąź przed paru laty zakończyła istnienie ze śmiercią ostatniego generała, będącego równocześnie ostatnim członkiem swego zakonu. Zredukowały się też do małych rozmiarów i nowsze, bardzo zasłużone zgromadzenia, powstałe pod wpływem tej samej myśli i potrzeby, jak Towarzystwo Jezusowe, ale niezdolne sprostać nowoczesnym warunkom jak Teatyni, Somaskowie, Klerycy Mniejsi i Klerycy Matki Boskiej oraz część żeńskich zakonnych zgromadzeń klauzurowych zwłaszcza starszych reguł. Za to zgromadzenia młodsze i żywotniejsze rozwinęły się szybko i pomyślnie i można bez przesady powiedzieć, że jeżeli stan posiadania zakonów, ogółem wziąwszy, jest mniejszy niż przed kassatą, to zakres ich działania stał się szerszy a praca intenzywniejszą. Mimo trudności i prześladowań Tow. Jezusowe zreorganizowało powoli wszystkie swe prowincye, nie wyjmując dwóch najuboższych, weneckiej i sycyliskiej, które najdłużej były w częściowem rozproszeniu. Wenecka posiada kilka domów w Dalmacyi, nowicyat w Portore koło Fiume, a scholastyków swoich kształciła przez szereg lat w Krakowie. Obecnie zaś kolegia ich, żeby tylko wspomnieć najsłynniejsze w Mondragone i w Turynie, kształcą synów ministrów i najwyższych urzędników liberalnego królewskiego dworu. Utrzymały się też i stoją dobrze zakony nauczające, Barnabitów i Piarów. O zdumiewającym rozwoju włoskich Salezyanów wiedzą wszyscy. Mniej szybko od nich, ale nieustannie rozwijają się misyjne kongregacye Pallotynów, Redemptorystów, Lazary-

stów, Passyonistów, Oblatów św. Alfonsa i św. Karola i inne, a wśród synów św. Dominika i św. Franciszka powstają z gruzów dawne prowincye zakonne jedna za drugą; jeden za drugim podnoszą się skasowane lub zakładają nowe klasztory, do starego pnia zaś świeże przyrastają gałęzie, żeby tylko wspomnieć o znakomitych Frati Bigi O. Ludwika da Casoria, o księżach Pięciu Ran z Werony lub o florenckich Stygmatynkach. Dodajmy nowe zgromadzenia misyj zagranicznych, jak Columbianów z Placencyi i Synów Najśw. Serca z Werony, a wraz z nieznanem i nieprzewidywanem przed 40-tu laty mnóstwem czynnych zgromadzeń żeńskich, będziemy mieli wcale pomyślny obraz życia zakonnego we Włoszech współczesnych. Ruin w nim dużo, ale upadło przeważnie to, co już nie miało racyi bytu; na ruinach zaś rośnie i krzewi się bujnie życie nowe.

W Neapolu przechowały się takie nawet klasztory, których prócz Rzymu niema bodaj nigdzie na świecie, jak np. Minimów, wogóle zaś miałem po 20-tu latach niebytności wrażenie, że liczba habitów zmniejszyła się znacznie. Nie jest jednak zakonników mniej, tylko kongregacye nowsze i czynne, noszące ubiór świeckich księży, wzrosły kosztem dawnych, po części przeżytych zakonów. Ale i te mają tu jeszcze dość znaczną liczbę klasztorów, a nawet wznoszą nowe, jak Franciszkanie u św. Paschalisa, natomiast wielkie mnóstwo jest istotnie kongregacyjnych domów, porozrzucanych po mieście, a do dawnych nieustannie dołączają się świeże.

III.

Szkolnictwo we Włoszech. Uniwersytety i studenci. Stowarzyszenia katolickich akademików. Szkoły średnie i wieńce dla Giordana Bruna. Jezuici. Konwikty Barnabitów i Pijarów. Salezyanie; ich działalność i zakłady we Florencyi i Rzymie. Kollegia katolickie w Neapolu i Kampanii. Szkoła ludowa bez księdza. Godzina religii tygodniowo. Statystyka kryminalna i odważny prokurator. O. Ludwik da Casoria i jego prace. Frati Bigi i ich zakłady w Neapolu i Florencyi.

Szkoła we Włoszech jest bezwyznaniową, katechizm z niej wykluczony, a ksiądz bywa nieraz profesorem, ale łaciny lub matematyki, nie — religii. O duchu panującym na uniwersyte-

tach nie ma co i mówić. Zakładów tych posiadają wprawdzie Włochy więcej, aniżeli jakikolwiek kraj na świecie. Sama tylko mało zaludniona i niemal zupełnie dzika Sardynia ma ich dwa, czy trzy: złośliwi jednak utrzymują, że kwalifikacye na profesora uniwersytetu w Cagliari lub Sassari są mniej więcej takie, jak w warszawskiej archikonfraternii literackiej u św. Jana, której sławetni członkowie przed przyjęciem muszą się wykazać umiejętnością czytania i to na każdej książce. Znane są zaburzenia studenckie na wszystkich większych uniwersytetach, powtarzające się peryodycznie co parę miesięcy. Stały się one chroniczną chorobą i weszły tak dalece w zwyczaj, że nikt na nie nie zwraca uwagi. Dowodzą one jednak wymownie, że „coś jest zgniłego w państwie Danii". Istotnie młodzież włoska uczyć się nie lubi, bawić się nie umie, potrafi tylko politykować, ale i to nie na seryo, a urządzane przez nią burze w szklance wody nie odnoszą się do jakichkolwiek politycznych i społecznych ideałów, ale najczęściej kręcą się około zbyt ścisłych egzaminów i innych szkolnych, żeby nie powiedzieć żakowskich przedmiotów sporu. Najpoważniejszą, najpracowitszą i najbardziej seryo traktującą swe zadania część młodzieży uniwersyteckiej stanowią, obok niezbyt licznych katolików, socyaliści; nie robią oni buntu tak często, jak młodzież t. zw. zachowawcza, mniej się kłócą z profesorami, a uczą się lepiej; nie można też powiedzieć, aby nienawiść do katolicyzmu występowała między nimi jaskrawiej: więcej jej się spotyka wśród młodzieży republikańskiej i monarchicznej, która też bardziej od socyalistów podlega masońskim wpływom; studenci katoliccy tworzą t. zw. kółka uniwersyteckie *(circoli universitarii cattolici)*, których członkowie odznaczają się rzadką u Włochów i godną tem większego uznania siłą i odwagą przekonań; nie łatwe bo też ich stanowisko wobec politycznego roznamiętnienia i sekciarskiej nienawiści przeciwników, proklamujących każdego z nich wrogiem zjednoczonej ojczyzny; szykany, prześladowanie, zniewagi a nawet bicie katolickich studentów jest tu chlebem powszednim. Pomimo tego stowarzyszenia katolickie rosną i wzmacniają się, stając się coraz bardziej solą w oku rządowi i masoneryi; naj-

znaczniejszemi są one w Bolonii, w Padwie, w Turynie, w Pizie i w Rzymie, gdzie szczodrobliwość Leona XIII. utworzyła na Corso wspaniałe pomieszczenie dla tamecznego Circolo; Neapol posiada również kwitnące stowarzyszenie akademickie, do którego należy wielu młodzieńców z najpierwszych arystokratycznych rodzin kraju; w ostatnich czasach członkowie jego zajęli się czynnie propagandą i organizacyą kółek młodzieży na całem południu Włoch. Jak wyglądają szkoły średnie we Włoszech miałem o tem sposobność przekonać się, patrząc na stosy wieńców, nadchodzących do Rzymu od włoskich gimnazyów i szkół realnych dla uczczenia pamięci Giordana Bruna; tak wcześnie zatruwają serca i przekręcają umysły tej biednej młodzieży jej urzędowni przewodnicy. Obok szkół rządowych istnieją wprawdzie prywatne szkoły średnie katolickie, ale w stosunku odwrotnym niż we Francyi, bo podczas gdy tam na sześć lub siedem gimnazyów katolickich wypada jedno bezwyznaniowe liceum państwowe, tutaj przeciwnie, na dziesięć złych rządowych zakładów wypada jeden dobry prywatny. Oprócz Jezuitów, których zakłady, jak wszędzie, są najlepsze, oraz Salezyanów, posiadających więcej niż czterdzieści kolegiów i konwiktów, mają jeszcze kwitnące szkoły i zakłady wychowawcze: Barnabici, Pijarzy, Oblaci Maryi, parę kongregacyj Braci szkolnych, wreszcie w Lombardyi OO. instytutu Caritatis, jak się zdaje cichsi i lepiej w wierze ugruntowani od swego założyciela Rosmini'ego, a zajmujący się głównie szkołami ludowemi. Oprócz paru zakładów katolickich, jakie miałem sposobność zwiedzić w Rzymie, a przedewszystkiem wspaniałego kollegium OO. Jezuitów w pałacu Massimo oraz doskonałej instytucyi Braci Szkolnych na Piazza di Spania, zwiedziłem kilka średnich i niższych katolickich zakładów naukowych i wychowawczych we Florencyi, gdzie przed samem przybyciem do Neapolu spędziłem kilka tygodni. Że zaś będąc zdrowszym wówczas miałem możność zapoznania się z nimi lepiej niż z tymi, które później zwiedzałem w Neapolu, wolę wspomnieć o pierwszych tem bardziej, że ostatecznie zakłady tychsamych zgromadzeń zakonnych przedstawiają mniej więcej jednolity typ.

Najwykwintniejszym i najbardziej zbliżonym do typu i ustroju jezuickiego kollegium wydał mi się zakład wychowawczy Barnabitów w La Quercia, przedmieściu o pół godziny oddalonem od Florencyi. Zakład ten, przerobiony z dawnego myśliwskiego pałacyku W. książąt, ma kolosalne rozmiary, przypominające nieco Chyrów; urządzenie zaś jego odpowiada wszystkim wymaganiom hygieny i pedagogii. Jakkolwiek istnieje dopiero od lat kilkunastu, zdobył już sobie słuszną sławę, a młodzież, z którą spędziłem parę godzin, robi zdrowe i miłe wrażenie. Chłopcy wyglądają daleko silniejsi i lepiej rozwinięci fizycznie niż przeciętna włoska młodzież: na rezultat ten, osiągany również w wysokim stopniu przez kollegia jezuickie, składa się nieznany niemal w rządowych szkołach system gier i zabaw oraz rozumnie prowadzonej gimnastyki wraz z nader praktycznym systemem alternowania nauki szkolnej temi ćwiczeniami nie mniej jak podziału jej na rano i popołudnie. Układ też młodzieży przyzwoity i pełen uszanowania dla starszych, równocześnie zaś nacechowany miłą swobodą i poufałością podobał mi się niezmiernie. Nie mówię o bogatych gabinetach i zbiorach, bo wyznaję, że wszystkie takie *Paradepferde* wychowawczych zakładów bardzo mało mi imponują: podobało mi się natomiast przeznaczenie sal muzealnych na konwersacyjne salony, w których uczniowie widują się z rodzicami. Niezwykła we Włoszech czystość, elegancya i komfort, szczęśliwie połączone z pewną prostotą, wytwarzają w zakładzie miłą, estetyczną atmosferę, zdaniem mojem niezbędną prawie dla podniesienia u młodzieży szlachetniejszych instynktów i pragnień. Uderzyło mnie w dormitoriach, urządzonych celkowym sposobem, zamykanie chłopców przez noc na klucz. Ks. wicerektor, oprowadzający mnie w zastępstwie chwilowo nieobecnego rektora po kollegium, robi na mnie również miłe wrażenie. To, co słyszałem nieraz o duchowem powinowactwie Barnabitów z TT. Jezusowem, sprawdza się na nim wybitnie: ten sam styl, ten sam ton, nawet ten sam strój. Zgromadzenie liczące obecnie wszystkiego 300 członków jest bardzo starannie dobrane i znajduje się w nader pomyślnym

stanie, a dowodem tego jest powstawanie nowych kollegiów obok dawniejszych, kwitnących zakładów.

W piękny pogodny dzień, robiąc wycieczkę do Fiesole, odwiedziłem w połowie drogi słynną fiesolańską Badię, dawne Benedyktyńskie opactwo, w którem od dwudziestu kilku lat osiedlili się i urządzili piękne kollegium *Padri Scolopi* po tutejszemu ks. Pijarzy. Cudne jest położenie opactwa, które, leżąc na wysokim wzgórzu, panuje nad całą okolicą, jedną z najcudniejszych w świecie. Dokoła klasztornych murów spuszczają się w dół, jedne poniżej drugich, tarasy wspaniałego ogrodu pełnego rzadkich roślin i pysznej zieleni. Gmach cokolwiek ciemny, choć bardzo starannie utrzymywany, mniej się nadaje do obecnego swego przeznaczenia od kollegium w La Quercia. Widocznie też towarzyski poziom wychowanków jest o jeden stopień niższy. Lecz niemniej i tu widać staranną pracę i opiekę przełożonych, a wygląd młodzieży i stosunek jej do księży jest równie dobry. Zupełnie jak u nas, chłopcy, poznawszy w gościu księdza, cisną się do niego, całując go po rękach, a wesołe ich uśmiechnięte twarzyczki, ciekawe oczęta i wyrywające się niecierpliwie, choć hamowane dyskrecyą pytania, przypominają mi żywo własnych moich chłopców, poczciwych i kochanych, których zostawiłem na tak długo, tak daleko stąd, i za którymi tak mi nieraz tęskno i smutno.

Charakter zakładu odmienny niż w poprzednim. Więcej rozróżnienia pomiędzy młodszą a starszą młodzieżą. Ostatnia posiada własne pokoiki, które każdy ozdabia wedle gustu, nieraz od góry do dołu upiększając ściany obrazkami, fotografiami i wszelkiego rodzaju świecidłem. Rozumiem o co chodzi księżom: o to, aby owo *at home* zrobić chłopcu jak najmilszem; czy jednak nie jest to zbyt wielkie ustępstwo dla współczesnego przerafinowania, braku prostoty i zamiłowania wygód, czy to młodzieży nie odbiera hartu a nie wzmaga miękkości — nie śmiem rozstrzygać. W każdym razie ktoby chciał się przekonać o wartości szkół katolickich we Włoszech, to wystarczy mu przypatrzyć się temu konwiktowi, albo doskonałemu gimnazyum, jedynemu, jakie katolicy posiadają w sąsiedniej Florencyi, gdzie

w przyszłości dopiero powstać ma drugi zakład podobny na gruntach, posiadanych przez OO. Jezuitów przy ich nowo zbudowanym kościółku *Madonna del buon consiglio.*

Zakłady salezyańskie we Florencyi zajmują olbrzymią przestrzeń przy ulicy *Fra Angelico,* a mieści się w nich gimnazyum, szkoła rzemiosł, internat dla płacącej i drugi dla ubogiej, rzemieślniczej młodzieży, oratoryum niedzielne wraz z zewnętrzną kaplicą, oprócz tego zaś stanąć ma wspaniały kościół i parę nowych skrzydeł olbrzymiego gmachu. Zdumiewający jest zaprawdę rozwój tego młodego zgromadzenia: z niczego synowie Don Bosca umieją tworzyć istne cuda, bez grosza wykonują dzieła, kosztujące wiele milionów. I we Florencyi działalność ich jest olbrzymia: kilkuset chłopców mają w domu, kilkuset innych uczęszcza do ich świątecznego oratoryum przy kollegium; oprócz tego mają dwa inne oratorya w mieście a do dwóch innych jeszcze w sąsiednich miasteczkach jeżdżą na każdy dzień niedzielny i świąteczny koleją.

Mają także kierownictwo zakładu ciemnych i zakładu starców, a na to wszystko musi wystarczyć kilkunastu zakonników, z których połowa tylko księży. Ci ostatni dwoją się więc i troją, binują wszyscy co niedziela, zastępują się jak mogą klerykami i starszymi wychowankami, ale ostatecznie wystarczyć na wszystko nie są w stanie. Przytem zakłady budowane i utrzymywane małym kosztem nie stoją naturalnie na wysokości wszystkich potrzeb i wymagań: to darmo; porządek i czystość bądź co bądź drogo kosztują. Jest też tu trochę naszej polskiej gospodarki. Przy wejściu brak portyera i wszedłszy otwartemi drzwiami gość błądzi przez kwadrans po gmachu, nim spotka żywego ducha. Na korytarzach wieczorem nie palą dla oszczędności gazu: żeby też wszędzie było zupełnie czysto, tego niestety powiedzieć nie mogę. W dormitoryach spotykam o zmroku chłopaków bez dozoru, co już stanowczo jest błędem pedagogicznym, w infirmeryi za to czyściutko i ładnie. Wszędzie czuć najlepszy duch i najgorliwszą, bardzo ofiarną pracę, połączoną z wielkim zasobem energii. Jeżeli czego może braknie, to roztropnego skupienia sił i ograniczenia zakresu działania, aby

robić mniej ale lepiej. Włoski system robienia wszystkiego *alla bona*, odbija się tu na każdym kroku, przypominając od czasu do czasu, choć oczywiście z daleka tylko, własną naszą ojczyznę. Pomimo wszystkich usterek jednak, trudno nie przyznać, że Salezyanie działają ogromnie wiele, a dla całych zastępów dziatwy ulicznej, opuszczonej zupełnie i rosnącej w brudzie i demoralizacyi, są istnem błogosławieństwem. Nie dziw też, że nawet w sferach najmniej przychylnych dla Kościoła cieszą się tutaj wielkiem uznaniem bodaj dla tego, że ich działalność uważaną jest słusznie za rodzaj piorunochronu przeciw socyalistycznemu niebezpieczeństwu. Używają też pewnych względów u rządu i u autonomicznych władz prowincyonalnych i miejskich a świeżo właśnie margrabia Torregiani, nie podejrzany wcale o klerykalizm, syndyk florecki, prosił ich o otworzenie siedmiu nowych oratoryów niedzielnych w różnych dzielnicach miasta, ofiarując im pomieszczenie obszerne i subsydya. Sprawa została odłożoną dla braku sił odpowiednich wśród Salezyanów, którzy i tak mają we Florencyi za wiele na głowie: świadczy jednak wymownie o ich dodatnim wpływie i ogólnem dla nich uznaniu. Ta czysto egoistyczna życzliwość sfer rządzących dla społecznej pracy Salezyanów, staje się czasem powodem w pewnych krańcowo-katolickich sferach do pomawiania ich o liberalizm i zbytnią wobec rządu powolność. Podejrzenie to jednak jest zupełnie niesłuszne: jakkolwiek bowiem założeni w Turynie i stąd pewnemi tradycyami lojalności związani z domem sabaudzkim w jego prawowitych dzierżawach, Salezyanie tak są przejęci duchem Kościoła i tak Stolicy św. oddani, jak którekolwiek z najlepszych zgromadzeń.

Sprawiedliwość nakazuje mi dodać, że zwiedzany przezemnie za innej bytności we Włoszech olbrzymi zakład salezyański na Castro Pretorio w Rzymie obok dworca kolei, mieszczący w sobie w gimnazyum, w liceum, w szkole realnej, w szkołach rzemiosł i w warsztatach więcej 1000 młodzieży, nie licząc świątecznych oratoryów, wydał mi się urządzonym wzorowo i godnym wspaniałej od złota kapiącej bazyliki N. Serca, którą obok niego milionowym kosztem wznieśli Salezyanie.

W Neapolu znajduje się kilka bardzo uczęszczanych katolickich kolegiów, między któremi obok jezuickiego najliczniejsze są zakłady OO. Pijarów i Barnabitów; popołudniu często można spotkać na Toledo gromadki uczniów, idących w mundurkach oddziałami na spacer w towarzystwie księży prefektów. Są także zakłady podobne w Kampanii neapolitańskiej zwłaszcza u OO. Benedyktynów w La Cava i Jezuitów w Vico Equense pomiędzy Sorrento a Castellamare.

Szkoły ludowe we Włoszech były przez kilka dziesiątków lat bezwyznaniowe z łaski rządzących tym krajem masonów i na większą korzyść kryminałów; ponieważ jednak od lat kilkunastu wzmógł się bardzo ruch katolicki na półwyspie i w bardzo wielu miejscach rady powiatowe, miejskie lub gminne składają się obecnie z katolików albo przynajmniej mają poważną katolicką mniejszość, staraniem katolików zaprowadzoną została w wielu szkołach nauka katechizmu. Rząd sprzeciwiał się temu; masoni podnieśli w swych gazetach, na wiecach politycznych i w Izbie deputowanych wrzask okrutny na zaprzedanie szkoły pod jarzmo księży, ale na prawdę do tego było daleko. Najprzód naukę religii wprowadzono do mniejszej tylko części szkół; tam zaś, gdzie ją wprowadzono, cóż znaczy jedna godzina tygodniowo jako przeciwwaga wszystkim innym godzinom nauki, udzielanej przeważnie w duchu nieprzychylnym Kościołowi?

I w Neapolu oprócz kilkunastu szkół ludowych, prowadzonych przez zakonnice i paru innych pod kierunkiem księży, całe szkolnictwo ludowe pozbawione jest wyznaniowego charakteru. Wprawdzie rada miasta choć w większości liberalna, czyni zależnem udzielenie subwencyi szkołom od zaprowadzenia w nich nauki katechizmu, ale i tu kończy się na jednej godzinie tygodniowo. To też trudno sobie wyobrazić zdziczenie moralne i fizyczne, w jakiem się znajduje młodzież tutejsza. Z każdego wyrostka, jakiego się tu widzi na ulicy, wygląda zbój, oszust i rozpustnik, tyle w nim cynizmu, bezczelności i wyrafinowanego sprytu na złe.

Z dwudziestu pięciu ochron tutejszych ośm tylko znajduje się pod kierunkiem zakonnic a również wiele żłobków i innych instytucyj dobroczynnych w katolickim Neapolu duch postępu oddał w świeckie dłonie. Czy na tem dziatwa i nędzarze lepiej wychodzą — nie trudno odpowiedzieć. Jakie owoce przynosi ten modny dziś we Włoszech system obchodzenia się bez księdza lub co najmniej usuwania go na drugi plan w szkole i ochronie, w życiu społecznem i publicznem, świadczy o tem wymownie statystyka zbrodni. Tej wiosny właśnie jeden z prokuratorów państwa w południowych Włoszech przy otwarciu sesyi sądowej wykazał cyframi ten okropny postęp demoralizacyi i z uznania godną otwartością i odwagą podniósł jako jedyne źródło złego brak katechizmu w szkole, w państwie i w życiu. Sprawa poruszona przezeń tak jest we Włoszech palącą i tak jednostajnie przez wszystkich sądzoną, że na śmiałego krytyka nowoczesnego ustroju zjednoczonych Włoch nikt nie poważył się otwarcie rzucić, a masońskie dzienniki musiały złość swoją przeżuwać w cichości lub wypluwać ją co najwięcej zjadliwemi półsłówkami.

Wśród licznych instytucyj chrześcijańskiego miłosierdzia, jakie powstały w Neapolu w różnych czasach, nie wykluczając i ostatnich, specyalne miejsce należy się zakładom O. Ludwika da Casoria. Był to skromny Reformat, zmarły przed niewielu laty *in odore sanctitatis*. Żył z ludem, wielkich tego świata lekceważył, przeciw rządowi występował nieraz z apostolską zuchwałością: pomimo tego za trumną jego poszedł prefekt Neapolu i syndyk z radą miejską *in corpore*, poszli deputowani liberalni i wszyscy dygnitarze bezwyznaniowego rządu, podczas pogrzebu zamknięto sklepy, a Neapol cały przywdział żałobę. Istotnie przedziwny jest Bóg w świętych swoich: sprawdziło się to na O. Ludwiku, tym Don Bosco południowych Włoch. Nie było gałęzi katolickiego życia, w którejby nie pracował i nie zostawił błogosławionych owoców swej pracy.

Przedewszystkiem jednak szczęśliwem i niezmiernie pożytecznem stało się założenie tercyarskiej kongregacyi Szarych

Braci, złożonej z kapłanów i laików, a mającej na celu wychowywanie opuszczonej dziatwy, tworzenie przytułków i warsztatów rzemieślniczych oraz szkół świątecznych, wreszcie na drugiem miejscu opiekę nad przytułkami starców lub szpitalami. W Neapolu samym kongregacya ma obszerne zakłady i piękny kościół na drodze do Posilippo: oprócz ochron dla dziatwy członkowie jej zajmują się gorliwie zaopatrzeniem starych i zniedołężniałych marynarzy oraz opieką duchowną nad nędzną, zbydlęconą moralnie ludnością nadmorską neapolitańskich przedmieść. Sposobem prowadzenia warsztatów i oratoryów niedzielnych, metodą wychowawczą i kierunkiem religijnym zbliżają się *Frati Bigi* do Salezyanów, którzy też, nie chcąc robić konkurencyi podobnemu do siebie i podobne usługi oddającemu zgromadzeniu, nie osiedlili się w Neapolu, tak samo jak ich niema w Wenecyi, z powodu istniejących tam pokrewnych kongregacyj Kanossyanów i Józefitów. Parę zakładów Szarych Braci, jakie poznałem, zrobiły na mnie nader korzystne wrażenie. Urządzenie warsztatów i sal pracy praktyczne, sale zabaw, teatrzyki i dziedzińce obszerne i ładne, a stosunek z chłopcami widocznie serdeczny i ojcowski. Prawdziwy też zaszczyt przynoszą Braciom okrągłe i czerwone twarzyczki ich wychowańców.

W tej samej stronie Florencyi, gdzie mieszczą się Salezyanie, ale na innem przedmieściu, na samym jego końcu, prawie w szczerem polu, rysuje się na niebie smukła wieża pięknego kościoła, wzniesionego przez O. Ludwika da Casoria, a obok rozciąga się obszerny kompleks gmachów, mieszczących zakłady *Frati Bigi*. Zakłady te urządzone bardzo wspaniale, składają się z internatu dla młodzieży rzemieślniczej, ze szkoły rzemiosł i ze szkoły wieczornej oraz oratoryum świątecznego. Prześliczna kaplica, zdobna w artystyczne freski i witraże, obszerny teatr, sale rysunkowe i gimnastyczne, sale zabaw, wielkie, jasne, marmurem wyłożone, uderzyły mię czystością i niezwykłem we Włoszech uwzględnieniem wymagań hygieny. Zgromadzenie zachowało swój neapolitański charakter, tak jak u Salezyanów pozostał niezmiennym ich pierwotny typ i obyczaj piemoncki;

co mi jednak podobało się u synów O. Ludwika, to ich roztropność i umiarkowanie w tworzeniu nowych fundacyj, zamiast których chętniej rozwijają i ulepszają istniejące już zakłady. Raziło mnie u nich jedno: czarny biret na głowie i czarny płaszcz księży świeckich, którym okrywają szary swój tercyarski habit, jakby go chcieli schować.

(C. d. n.).

Jan Łada.

MŁODA POLSKA W POWIEŚCI I POEZYI.

(Ciąg dalszy).

4. Liryka modernistów.

I.

Niewiele ubiegło lat od czasu, kiedyśmy skarżyli się, że źródła natchnienia wyschły. Oto znowu istna powódź poezyi i poetów. Setki nowych imion torują sobie przebojem drogę do rozgłosu, pragną rozbić chiński mur obojętności twardej i nieczułej, z jaką ich dotąd słucha niema rzesza, rozpaczliwie walcząca o skarby... nieidealne. Wśród tego rozśpiewanego chóru lirycznej muzy rzadkie i oderwane słychać akordy o tęsknotach naszej, rodzimej powszechnej duszy, targanej społecznym bólem i podnoszonej społecznemi nadziejami. Rwie się coraz śmielej i coraz bezwzględniej nić tradycyi, łączącej z przebrzmiałymi chórami poezyi patryotycznej, wygasa współczucie dla narodowej przeszłości, skrystalizowanej w tylu drogocennych dziełach literatury dawnych wieków, jak gdyby to nie było matematycznym pewnikiem, że wonny i cudnych barw kwiat poezyi tylko na pniu ojczystym zajaśnieć może. Natomiast w tym ogromnym koncercie, gdzie tonów wciąż, niemal z dnia na dzień przybywa, daje się wyróżnić mnogość zmieszanych akordów, z których się układa — jak dotąd — bardzo niejasna, często nawet niesforna i zgrzytliwa muzyka. Przechodzi na razie możność analizy krytycznej, wykreślenie ogólnych zasad harmonii, uwy-

datniającej się w koncercie, zwłaszcza że wciąż jeszcze brak kapelmistrza, któryby potężną wolą ujął rozbieżne dźwięki rozkołysanej melodyi i „zestrzelił w jedno ognisko“. Ale można się pokusić o wyłowienie z całości poszczególnych akordów.

Oto z cienkich strunek i ubogiej drumli płyną ograne już melodyjki i fabrykują się okolicznościowe wierszyki na temat małżeństwa, różowania się kobiet i buduarowych skandalików. Trochę ironii lub soli attyckiej czynią dla pieśni ckliwą dosyć przyprawę; ani siły, ani obrazowania, ani nowości: bladzi epigonowie wielkich przodków, wykrzywieni do satyrycznego śmiechu, który nikogo nie rozjątrzy, nikogo nie poprawi, a wszystkich znudzi. Czasem wspinają się na paluszki i jękliwym głosikiem zawiodą mdły śpiew na temat ludowej biedy. I wówczas aż niemiło się robi na widok tego mozolnego dociągania się do ludowej naiwności i prostoty, przez którą co moment — jak trzmiel przez pajęczynę — przebija się sztuczność. To pośledni gatunek poezyi, owe resztki, jakie przy sianiu plennego ziarna sypią się przez rzeszoto. Czyż nam już Słowacki nie powiedział, że „żadnych ludziom kłosów nie wysieją śmiechy“. Zatem *guarda e passa*. Ale poza tymi pigmejczykami szczerej poezyi podąża rzesza nieprzejednanych. Uczynili oni sztukę niewolnicą nienawiści klasowej a występując w roli trybunów ludu i robotniczych zastępów, miotają obelgi i zionią jadem pogardy ku t. z. sferom uprzywilejowanym. I tu — jak zazwyczaj w chwilach zaostrzonych antagonizmów — nastąpiło pewne zaćmienie pojęć. Poezya ludowa zdobyła sobie w naszem piśmiennictwie wcale zaszczytne miejsce: ukochanie ludu, ból na widok posępnej doli jego, pragnienie polepszenia bytu, wzrostu oświaty i uzyskania równorzędnych praw z resztą narodu — tkwi dziś w każdem sercu, miłującem przyszłość społeczeństwa. Z każdym dniem, każdą niemal godziną topnieje garstka tych, którzy uparcie aż dotąd i nadal odmawiali przychylności, pomocy, dźwigni cywilizacyjnej ludowi; z każdą chwilą potężnieją wśród inteligencyi zastępy tych, co z poświęceniem własnych interesów radzi nieść zarzewie oświaty i bronić równorzędności sfer robotniczych. A pomimo tej zmiany niezmiernie i uderzająco korzystnej, jaka

się odbyła w ostatnich lat dziesiątkach, spotykam się co chwila z lirycznymi poematami wojującej natury. Czyżby nie wystarczało hasło bratniej miłości? Czyż trzeba wciąż powiewać krwawym sztandarem, dmąc w puzony do walki bratobójczej? Dużo ognia, zapału, siły wlewa się w te strofy, pisane — rzekłbyś — łzami i płynną lawą. W nieuprzedzonym czytelniku nieciłyby one odzew współczucia, gdyby nie jadowita zaprawa stanowych waśni. Piękne poematy Andrzeja Niemojewskiego p. t. „Podziemia“, „Łuny“ („Z cyklu Polonia irredenta“) [1] w ciemnych i ponurych barwach, ze wstrząsającą grozą malują owe trupie pola, czarne kaskady, ludzkie kretowiska, katakumby, tańce piekielne, rzeki zapomnienia, żmije bądź kopalni węglowych, bądź też hut żelaznych. Podobnie, jak w powieściach Gruszeckiego, Reymonta lub Żeromskiego przewija się przed nami szereg zjawisk, dotychczas ukrytych mrokami wiecznej nocy lub głuchego zapomnienia, zjawisk niosących człowiekowi śmierć nagłą lub rychłą a nieuniknioną. Dopóki obrazy roztaczają widok niezwykłego świata i życia, poezya ich przenika i wstrząsa; skoro jednak z poza tej mgły przepastnej krainy dobywać się pocznie swąd „potępieńczych swarów“, traci swój urok. „Dom zborny“ („Podziemia“) gromadzi górników, poeta chce ich w świat prowadzić jedną drogą, ale nim wyruszą — wskazuje gmach sejmowy, gdzie radzą, jak lud ma życie znojnie pędzić, jak wprządz go do taczki, by ciągnął bez oporu i dźwigał wiekowe jarzmo. Tak radzą w sejmie; a w domu, przy zielonym stole brzęczy pieniądz, idzie karta — i pan opowiada, jak za pomocą szampana, naczelnika i kozaków sprzedał las, chłopstwu dał „pałki, sąd, areszty“, sobie wziął pieniądze i w ten sposób urzeczywistnił ideał wieszcza: z szlachtą polską polski lud („Zjazd obywatelski“). A jednakże ten sam Niemojewski w parafrazie „Ody do młodości“ wzywa poetów, by zapalali serca, uskrzydlali ludzi, rozlewali potoki uczuć i świateł i woła: precz z waśnią plemion!

[1] Andrzej Niemojewski, „Z cyklu Polonia irredenta“, „Podziemia“, „Łuny“. Lwów 1895. — „Poezye“. Kraków 1891. — „Poezye prozą“. Kraków 1891. — „Poezye“. Kraków 1893. — „Listopad“. Lwów 1896. — „Wybór poezyj“. Warszawa 1899, — „Prometeusz“. Warszawa.

(„Precz!“)[1]. Czyż nie gorsza nad nią jest waśń w łonie jednego plemienia? Po cóż wkładać tyle szczerego żaru i namiętności w poematy, którym przeczy moment podnioślejszego nastroju?

Jeszcze jaskrawiej, jeszcze nienawistniej, jeszcze goręcej, do niedawna walczył w obronie uciemiężonych tłumów Jan Kasprowicz. Nie chce on być trubadurem i stawać u pańskich, bankierskich bram; nie chce gasić wstydu za trzos złota, za miękki byt lokajów; nie chce krwi serdecznej zamieniać w pochlebstwa rytmy. Natomiast pragnie przejść pielgrzymem świat cały, gościć w izbach, gdzie nędzarze o chłodzie i głodzie miewają rajskie marzenia sytości i ciepła. Żywi on nadzieję, że tłuszcz żywotny, który pieśń jego sycił, wsiąkł już w rolę, zawarł z nią niezniszczalny, wieczny ślub[2]. W licznych swych dawnych poematach, należących do zakresu epiki[3], z miłością i mocą przekonania, ale nie bez sarkazmu i złości kreśli obrazy nędzy chłopskiej i upodlenia szlachty. Prawda, że ukochał on zagon chłopski, ale prawda także, że do tego umiłowania domieszał zbyt wiele nienawiści i chętnie zmiótłby jednym podmuchem połowę swej braci, aby dla drugiej otworzyć bramy dosytu.

Znajdzie się i w poezyach Tetmajera taka sama groźba, rzucana w imieniu klasy robotniczej możnym tego świata. Zwłaszcza w początkach swej twórczości lubił on potrząsać społecznym bardonem i wróżył blizką katastrofę. W utworze „Wody“[4] wydaje mu się, że słyszy na dole szum wód, że wzbierają one, zgruchoczą „co stanie im wbrew“, że musi się ustąpić „z zamczysk, z pałaców i z ról“, bo oto wnet prąd wód tych zaleje i pochłonie „zamczyska, pałace i was“. To znów marzą mu się cienie z twarzą wybladłą, strawione pożogą głodu, o barkach zgiętych z pracy, o czarnej dłoni — i dążą hufce tych cieni — dokąd?

---

[1] „Poezye“. Kraków 1891. Str. 53.

[2] „Akordy jesienne“. „Krzak dzikiej róży“. Lwów 1898. Str. 171—176.

[3] „Jewka Orliczka“. „Dwaj bracia rodzeni“, „Rumianek“, „Na służbie“, „Salusia Orczykówna“. „Chłopska dola“.

[4] „Poezye“. Kraków 1891. Str. 15.

Sprawiedliwości idziem szukać Boga,
Idziem Go szukać w sercu pokolenia,
Co dzisiaj szyszak na skroń młodą wkłada... [1]

Był czas, kiedy zachwycone powodzeniem ludowych poezyi Konopnickiej, rozgrzane krewkiemi wezwaniami socyalizmu, rwało się istotnie młode pokolenie do boju za prawa ludu i robotnicze. Pobudka brzmiała ostro i krzykliwie, nie bez oskarżeń i nie bez obelg, miotanych ku rzekomym sprawcom niedoli warstw pracujących fizycznie. Dziś jednakże coraz rzadziej a zwłaszcza o wiele spokojniej młoda poezya odczuwa i wyraża w tej sprawie swe idee, może z tego wychodząc założenia, że tłuszcz żywotny pieśni już wsiąkł dostatecznie w rolę... Zdrój ten więc prawie wysechł.

Ale jest inna niewyczerpana skarbnica poezyi lirycznej — miłość, której kapłanką kobieta. Przybyszewski, objaśniając Madonnę malarza Muncha — mówi o miłości: „Dla artysty tłumu miłość to albo nieludzko-płaski romantyzm u l u b i e ń c ó w n a s z e j p u b l i c z n o ś c i, albo pieprzno-komiczna i nudna erotyka Guy de Maupassanta, albo ckliwo-słodka poezya szlafroczków, dostarczana modystkom przez Piotra Nansena, albo syropowo-wstrętna pornografia Gabriela d'Annunzio. Dla artysty-wybrańca miłość to bolesna, pełna trwogi świadomość nieznanej strasznej siły, która dwie dusze rzuca na siebie i pragnie je zlać w jedno, to intenzywne cierpienie, w którem dusza się łamie, bo czynu Nowego Testamentu, czynu tego stopienia się w jedno, czynu absolutnego androgenizmu dokonać nie może. Dla takiego artysty miłość to niesłychana świadomość strasznej jakiejś głębi, przeczucie jakiegoś otchłannego dna w duszy, na którem życie tysiąca generacyj się przelewa, tysiące wieków ich mąk i udręczeń, ich szał rozrodczy i żądza bytu“ [2]. Gdybyśmy chcieli tę definicyę stosować do naszej liryki, musielibyśmy poetów naszych prawie bez wyjątku zaliczyć do artystów tłumu. Któryż z nich nie pisał lub nie pisze o miłości?

---

[1] T. s. „Cienie“.

[2] „Na drogach duszy“, str. 27. Kraków 1900. „Aforyzmy i preludya“.

Wszyscy zaś obrazują zewnętrzne objawy uczucia — i — rzecz prostą przeważnie niezadowolonego. Zmysłowe pożądanie znalazło najsilniejszy swój wyraz u Tetmajera. Wyobraźnia jego z niezwykłem upodobaniem zatrzymuje się na szczegółach cielesnych wdzięków, budzi się pożądliwość, i na usta tłoczą się nieposkromioną falą lubieżne wyrazy. Cały aparat pornografii naturalistycznej po raz pierwszy w naszej liryce miłosnej takie śmiałe i rozległe znalazł zastosowanie. Erotyka Tetmajera — mówi słusznie jeden z recenzentów — zalata wonią alkowy, dawno niewietrzonej. Są to jednak wielbienia z e w n ę t r z n y c h objawów miłości i choć im zmysłowego ognia odmówić nie mogę, powiem, że brak im poetycznego wdzięku i głębi szczerego uczucia. Pomijam już to, że Tetmajer poszedł w swem obrazowaniu cielesnej piękności za francuskimi poetami „dreszczów“; pomijam to, że prawdziwa poezya zniża się i upokorza, ilekroć ogranicza się do uwiebienia fizycznych kształtów efemerycznej trwałości, nie sięgając zgoła do duszy; wydaje mi się rzeczą ważniejszą, że wskutek tych młodzieńczych, entuzyastycznych zachwytów nad cielesnemi powabami, kiedy w mgnieniu oka miną i jak dym się rozpierzchną, pozostaje na dnie gorzki i trujący osad, który napełnia serce artysty niesmakiem, znękaniem, rozstraja je i ubezwładnia, przesłania jasny wzrok krwawą mgłą pessymizmu — i zniewala do widzenia mnóstwa innych stosunków w tem nienaturalnem oświetleniu. Stąd ów kaprys wrażeniowy, zmienny i chorobliwy, który raz każe Tetmajerowi piać dytyramby na cześć miłości, każe mu wołać, że miłość jest „szczęściem szczęścia“, „najwyższem dobrem“, „poręczą, mostem, lekarstwem, zbawczynią ludzi“ [1], który mu każe kobietę „wielbić, ubóstwiać, sławić“ — ale wnet potem wkłada mu w usta zjadliwy zgrzyt: „I oto muszę się zapytać: czy jesteś przedewszystkiem bezmyślna czy licha? Ludzie zaręczają mi, że są inne kobiety — wierzę im — na słowo“ [2]. O tak; poeta zażądał od kobiety tylko zadowolenia swych popędów zmysłowych i zy-

[1] „Hymn do miłości“. „Poezye“ t. II, str. 47.
[2] „Melancholia“. „Do kobiety“ str. 29.

skał rozczarowanie, ale niepotrzebnie za swą winę obluzgał i shańbił w rozdrażnieniu cały rodzaj. I on wszakże — i ten poeta zmysłów i gorący — miewa krótkie chwile jakiegoś olśnienia, kiedy mu się miłość wydaje twórczynią najsroższej boleści i najsłodszej rozkoszy, jak śmierć — królową wszechistnień ziemskich, pierwotną potęgą; kiedy kobieta otwiera przed nim Nowy Żywot, żywot dobra i prawdy... W najnowszej poezyi coraz częściej spotyka się czytelnik z tem określeniem miłości i kobiety, jakoby jakichś kosmicznych potęg, niosących ze sobą oceany dobra lub zła dla ludzkości, jakoby jakiegoś olbrzymiego symbolu, władnącego siłą tworzenia i unicestwiania. Jedni z poetów głoszą, że bogowie stworzyli kobietę z „niemateryalnych, białych, bezcielesnych, wiekuistych, świetlanych rzeczy — z dźwięku echa i promieni złota", że ona jest dla mężczyzny „zwiastunką pogody i ciszy, światłem, co chmury rozpędza", „skrzydłem, unoszącem do nieba", „podnietą ducha i czynu" [1]; drudzy utrzymują, że dusza mężczyzny w zbliżeniu się do kobiety mdleje i bruka się, że ona jest złem, namiętnością, niepokojem, matką herezyi, czarownicą i sabbathem, wcielonym szatanem, twórczynią świętokradztwa i bluźnierstwa, wściekłą hyeną w postaci Necato lub Magdaleny Bavent, że nie zna błota, w któremby się nie tarzała z dziką radością, opętaną histeryczką, obłąkaną nymphomanką, piszącą w satanicznych przeglądach litanie i modlitwy do szatana [2]. Lange za Banvill'em w „Epilogu" [3] śpiewa; „Błogosławione niech będą imiona wszystkich kobiet, które kochałem. Nigdy dość nizko głowy nie uchylisz przed kobietą, nigdy dość pobożnie nie uklękniesz przed nią, bo nie wiesz, ile jest Boga w jej anielstwie"; Sterling za Przybyszewskim w „Hymnie do kobiety" pieni się: tyś jest kapłanką najbrudniejszej sztuki, śmiertelnym wrogiem, katem, nicością, pustką, kwiatem trującym, szatanem, wampirem — miłość zaś jest pie-

[1] „Stworzenie kobiety". Lange, „Poezye" t. II, str. 202—205.
[2] Przybyszewski, „Na drogach duszy", str. 64—66.
[3] „Poezye" 1895, str. 60.

kłem nienawiści. Sam Przybyszewski we „Wniebowstąpieniu“ maluje wzajemny stosunek płci“ [1].

Kobieta jest wolą mężczyzny, przy niej dojrzewają zbrodnie jego, jest praitem jego bytu i przyczyną jego zniszczenia, w niej i przez nią dokona się jego żywot. Tak pojęta kobieta miewa potworne i obrzydliwe wizye erotyczne. „Salome“ Kasprowicza wśród wybuchów wściekłego szału, spragniona jakichś niemożliwych wyrafinowań, marzy o nich nad krwawą głową proroka Jana i wciąż woła: przyjdź, ach przyjdź, bo twe źrenice, choć umarłe, płoną! Jeżelibyśmy tedy chcieli rozgraniczyć dwa poglądy na miłość i kobietę: pogląd artystów tłumu od poglądu artysty-wybrańca, to w liryce naszych poetów rozgraniczenie takie spotkałoby się z wielkiemi trudnościami. Tu i ówdzie szał zmysłowy, upojenie i pół-nieprzytomność; tu i ówdzie powłoka grubego materyalizmu i zwierzęcości; tu i ówdzie brak harmonijnego, czystego piękna — a natomiast chorobliwa pożądliwość i zdenerwowanie, do ostatecznych granic posunięte.

II.

Taki sam niepokój bolesny i ciężki odczuwa się w sferze rozmyślań i uczuć religijnych. A z tem znowu łączy się i ogarnia coraz szersze zakresy, i szarpie nerwy, i wstrząsa duszami, i boli, i męczy, i do krwi gryzie rozpacz beznadziejna, tępa, nakształt ołowianych hełmów Dantego gniotąca umysły; z tem łączy się strach i lęk przerażający wobec niezliczonych a nierozwiązanych zagadek bytu, zwłaszcza groza śmierci; z tem łączy się żądza wyszukania sobie jakichś choćby nawet sztucznych i glinianych podpór w nędznem życiu, wyjaśnienia sobie zawiłej maszyneryi świata, rzucenia bodaj wątłego, chwilowego promyka w tę ciemną otchłań, jaka się duszą ludzką nazywa. Da się tu rozróżnić cała skala uczuć i myśli: od smętnej melancholii aż do dzikiej rozpaczy, od łagodnych wątpliwości aż do niepohamowanych bluźnierczych uniesień i szałów. Zaczyna się jak zwykle — zwątpieniem.

---

[1] *Życie* r. II, 50

Dziś pierwsze nasze myśli są zwątpieniem,
Nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem [1].

Jeszcze najlepiej jest wówczas, kiedy duch wlecze się bez Boga i wznosi krzyk rozpaczliwy, że wokrąg niema Go, ale tak tęskni za Nim, że „gotów w cichych stanąć łzach przed Jego świątyń progiem“ [2]. Ale częściej duch poczyna badać i dociekać. Wgłębia się w prawdy chrześcijańskiej wiary, a zatruty zuchwałą pychą swego rozumu, mniemając, że posiadł rozwiązanie zagadki bytu, odrzuca wszystko, „o czem się nie śniło naszym filozofom“, i w sposób naturalny zaczyna tłumaczyć najcudowniejsze zjawiska. „Wierzyć możemy — mówi Miriam — ale do przystani tej nie powróci, nawet z mąk otchłani ten, co na wolnej wpłynął myśli morze“... Bywa to jeszcze najłagodniejsza forma niewiary, przynajmniej pozwala się miłościwie innym wierzyć. Częściej poeta wdziewa na się togę uczoną i zapuszcza się w komentowanie Pisma św. Ponętną jest i modną propaganda niewiary w bóstwo Chrystusa. Kasprowicz krzewi gorliwie idee Renana w społeczno-religijnym poemacie „Chrystus“ (1890), oraz „Na wzgórzu śmierci“. Pierwszy, ułożony tercynami, usiłuje przedstawić Chrystusa, jako człowieka i wytłumaczyć psychologicznie poczęcie i uświadomienie w Jego duszy proroczego wysłannictwa. W części religijnej ewangelie za pomocą bujnej wyobraźni upstrzyły się i uzupełniły w miarę potrzeby mnóstwem poprawek i dodatków albo też uległy obcięciu, opuszczeniom i skróceniom, że ledwie kropla prawdy pozostała. W części społecznej jako antagonista Chrystusa występuje Lucyfer, który jest zwątpieniem, negacyą prawd bezwzględnych i sumień, wszechwładnym królem, przepaścią myśli, boleścią, żalem, wątkiem daremnych pragnień, który swem tchnieniem wypełnia przestwór, który był — nim Chrystus stał się tem, czem jest — człowiekiem. Lucyfer ma władzę nawet nad Chrystusem (str. 26—29). Taki Lucyfer, obdarzony przytem zdolnością dyalektyczną, polemicznym sprytem, oraz niemałą gadatliwością,

[1] Tetmajer, „Dziś“.
[2] Dębicki Zdz., „Noce bezsenne, str. 20.

zabiera głos często, wykręca i wykrzywia niemiłosiernie nauki Chrystusa Pana, szydzi i śmieje się z nich czasami, a czasami wysuwa późne wieki, rzekomo świadczyć mające o wykoszlawieniu i wypaczeniu tych nauk przez chrześcijaństwo. Poeta za swym mistrzem Renanem potrafi zdradliwie piękną formą, obrazami przyrody, pewnym rodzajem judaszowego współczucia dla Chrystusa omotać treść, podkopującą zasady wiary. Parę przykładów. Narodzenie Chrystusa ma wyzwolić świat z doczesnej nędzy, trosk, niedostatku, ma zaprowadzić zgodę w zwaśnionej naturze zwłaszcza między złem i dobrem [1]. Jest to z gruntu fałszywe pojmowanie posłannictwa Chrystusowego, które nie dla wygód tego świata było. Ani Chrystus sam nie unikał cierpień, ani też zapowiadał ulg, w cierpieniach doczesnych: owszem przez boleści świata wskazywał drogę do pozagrobowej chwały. Niósł sam krzyż, ale nie tylko sam: dźwigały go barki ludzkie, i tak też miało być na przyszłość. Na świecie ucisk mieć będziem — zapowiada uczniom — ale ufajcie, jam zwyciężył świat (św. Jan 16, 33). Co do zgody między złem a dobrem, czyż nie wyrzekł Zbawiciel, że Bogu lub mamonie służyć można, dając do wyboru ducha lub materyę i wyłączając jedno z dwojga? (Mat. VII.). Z pośród wielu, jeszcze jeden przykład. W rozdziałku „Kuszenie na puszczy“ wkłada poeta w usta Chrystusa myśl jakoby ludzie, nieskalani z natury przez Faryzeuszów i Arcykapłanów stracili swoją czystość, a z nią szczęście (str. 21). Zbawiciel nie mógł wierzyć w nieskalanie ludzi z natury, gdyż znał Pismo św., a wiara taka sprzeciwiałaby się nauce o grzechu pierworodnym; powtóre nie mógł posądzać Faryzeuszów i Arcykapłanów o spowodowanie utraty czystości ludzkiej, gdyż Stary Zakon mówi o bratobójstwie Kaina, kiedy jeszcze nie było ani jednych ani drugich. Wkońcu szatan kusi Zbawiciela. Z mroków wypływają tłuści fabrykanci i bankierzy, którzy chórem chwalą się posiadaniem królestwa Bożego. Na to Chrystus odpowiada: Moje królestwo nie z tego jest świata. Wtem idą tłumy. Chór najmitów woła: Chleba, chleba, chleba!

[1] Str. 7.

Ukróć nasze znoje! Przyjdź twe królestwo. A Chrystus i tym podobnież mówi słowo w słowo: Nie z tego świata jest królestwo moje. Wówczas szatan a oczywiście pod rękę z nim poeta zgrzyta z ironicznym warg wykrzywieniem: Zbawco! i dla tych odpowiedź ta sama? Cała jednak ironia traci efekt, gdy się wie, że słowa, podsunięte Zbawcy są tendencyjnym fałszem. Chrystus wyrzekł do bogatego młodzieńca, który dopytywał się o sposoby zdobycia królestwa niebieskiego: Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi wnijść do królestwa niebieskiego (Mat. XIX., 24). Ale Chrystus mówił o ubogich zgoła inaczej: Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a ja was ochłodzę. Weźmijcie jarzmo moje na się a uczcie się odemnie, żem jest cichy, i pokornego serca, a najdziecie odpoczynek duszom waszym (Mat. XI., w 28—29). Słowem, tendencyjnych zmyśleń pełno, a koniec taki, jak w jednym z nowszych utworów tegoż poety p. t. „Na wzgórzu śmierci“ [1]. Rzecz dzieje się na Golgocie — w nocy przed ukrzyżowaniem Zbawiciela. Dusza, wygnana z raju, wzywa Lucyfera w bezbrzeżnym smutku i tęsknocie. Niebawem na wzgórze wstępują rozmawiając żydowin Szymon z Cyreny i Grek Aletej. Mówią o zbrodni, jaka tu ma się spełnić. Cyrenejczyk przeczuwa prawdę chrześcijańskiej wiary, Aletej zaś, hołdownik epikureizmu i materyalista wątpi, acz cierpi. W tem do duszy w przestrzeni spływa Lucyfer w chwili, kiedy Aletej pyta Szymona, czy rabi, co ma tu zginąć, posiada pewność, że umiera za prawdę? Szymon z chwilą przybycia Lucyfera — choć na ustach wisiała twierdząca odpowiedź — chwieje się i wątpi. Zstępują z góry, gdzie pozostaje Lucyfer i upojona miłością ku niemu dusza. Wobec duszy wytacza szatan szereg argumentów przeciw Bogu i Chrystusowi, kreśli swą walkę ze Zbawicielem, lecz gdy musi stwierdzić, że Zbawiciel odrzucił jego propozycye, i oparł się potędze szatańskiej, dusza zlekka przechyla się sympatyą ku Chrystusowi. Nastaje dzień; ukazuje slę tłum, zmierzający ku Golgocie. Dusza widzi orgie tłuszczy, widzi mękę Jezusa — i już, już go-

[1] „Krzak dzikiej róży“, Lwów. 1898.

towa uwierzyć w boskość Umęczonego. Idą kolejno: przybicie do krzyża, szyderstwa, plwania, podjęcie krzyża do góry, a skoro padają słowa: „Boże mój, Boże! czemuś mię opuścił“, Aletej uważa je za głos rozpaczy i zwątpienia, Szymon z Cyreny również, tak samo dusza — wszyscy odstępują Zbawiciela — i koniec poematu. Zawiera ten koniec jadowitą myśl skutkiem fałszywego wyzyskania przez poetę słów ewangelii. Chce on powiedzieć: oto sam Chrystus zwątpił w boskość swej nauki, bo w chwili, gdy mu mrok śmierci przesłonił oczy, rozpacz beznadziejna wdarła się do Jego duszy. W cóż tedy wierzymy? Czyż wierzymy w prawdę? Jednakże poeta świadomie i umyślnie pominął słowa, które poprzedziły, i które nastąpiły po owym okrzyku. Czy następne słowa: „Ojcze, w ręce Twoje oddaję ducha mego“ nie są wyrazem gorącej wiary, czy nie są jakoby ostatnią pieczęcią, zamykającą całą naukę Syna Bożego? Zresztą i wymienione przez poetę wołanie może zachwiać tylko serca mdlejące, słabe i niepewne. My wiemy, że najświętszy i najżarliwszy wyznawca miewa chwile oschłości i męki. Chrystus — jako Bóg — mógł nie cierpieć, ale dobrowolnie przyjąwszy na siebie wszystkie ludzkie boleści, miewał też jako człowiek i ludzkie chwile niemocy. Dla prawdy należało przedstawić i końcowe słowa, tak pełne wiary, a wówczas zapewne i dusza i Cyrenejczyk nie runęliby w ciemność zwątpienia. Poeta ten, jak i inni zresztą, którzy w nicość tylko wierzą, a którym sęp duchowej niedoli wyżera wnętrzności, w całym szeregu utworów „W ciemności schodzi moja dusza“ [1]), żali się i kwili na zło życia, na brak prawd — na jedyną prawdę życia: ból i nędzę. Kto temu winien? Rozumie się — Bóg. Mamy tedy szereg utworów, rozpętanych szaleńskiem bluźnierstwem na wszystko, co jest religią, wiarą, drogim skarbem człowieka. W konwulsyach i drganiach, zazwyczaj z pianą wściekłości i oślinieniem ust miota się te dzikie słowa, które pragną mieć

[1] Ob. analogiczne: Dębickiego, „Noce bezsenne“, „Bez Boga“, „Śmierć“; Sterlinga, *Ex imo*, „Hymny“; Żuławskiego, „W nocy zwątpień“ („Na strunach duszy“); Wł. Orkana, „Z tej smutnej ziemi“; Tetmajera, „Credo“, „Hymn do Nirwany“ i wiele innych.

piorunową moc przekonywania, a nie mają nawet słabego cienia suggestyi i widocznie nie przynoszą ulgi twórcom. Bóg w nich nazywa się morzem niewyczerpanych gniewów, ojcem rozpaczy, gniewem gniewów, zmrokiem zmroków; płaczu ludzkiego słucha niesłyszącem uchem, na mękę wieków patrzy niewidzącem okiem. Odrzuca się Go tedy — i na wszystko wpływa nieprzebyty mrok nicości. Podobnie jak Kasprowicz w *Dies irae* gniewa się na Boga w takim samym poemacie Żuławski. Zbiera się sąd. Jawi się Bóg. Tłum zaczyna ryczeć niby morze, podnosi bunt przeciw Stwórcy i oskarża Go o wszystkie niedole i nędze ludzkie; wyzywa Go przed sąd, że stworzył słabe i ułomne, że stworzył ból i dał ludziom serca, że tchnął w nie pragnienie szczęścia, zmazał żądzami, obdarzył sumieniem i rzucił na trwogi, chuci, błędy, upadki, grzechy... Zbladły anioły, Stwórca zapłonął gniewem i już miał zetrzeć na proch buntowników, gdy wtem z tłumu skazanych wysunęła się cicha biała postać w skrwawionej cierniowej koronie z ciężkim krzyżem i złożyła ów krzyż przed Bogiem z niemym wyrzutem, a Bóg opuścił rękę... Inaczej maluje sąd Wł. Perzyński[1]. Koniec świata. Neron-Bóg zasiada na królewskim tronie, opiera stopy o słońce, głuchy na łzy i skargi z kamiennym chłodem w swych oczach i w swem sądzeniu. Przebacza najcięższe i najkrwawsze grzechy i z goryczą uśmiecha się do siebie nad sobą..

Młoda poezya polska lubi też rozmyślać nad stosunkiem Chrystusa do Boga, wskazówkę zaś do tego mieliśmy powyżej w *Dies irae*. Żuławski szczegółowiej zajmuje się tem w swym cyklu: „Teatr bogów“. Chrystus zmartwychwstał i jak chmura uniósł się ku niebu. Myślał, że niebo otworzy się i przyjmie Go. Ale dokoła zalega głębokie milczenie. Woła: Ojcze, wzywa błaga. Głuche niebiosa — żadnej odpowiedzi. Wreszcie zjawia się przed Nim płomienny Archanioł i mówi: „Jehowa, Twój Ojciec, Bóg grozy, nie żyje. W tej godzinie, gdy krew

[1] *Życie* 1900. N. 1. Czwarte odmienne tonem od trzech orzeczonych poematów o dniu sądnym — L. Rydla pomijam.

Twa, spadając na ziemię użyźniła jej łany i prawo miłości zatwierdziła, miast prawa grozy, On tu skonał". Chociaż dla wielu liryków dzisiejszych skonał w istocie, nie przestają Go jednak nękać bluźnierczymi żalami i skargami, parafrazując na swój sposób przepiękne modły kościelne. Oto np. parafraza — „Święty Boże, święty mocny" Kasprowiczowa. Nędzny jest człowiek, mnóstwo nieszczęść ściga go na padole płaczu: łany łakną deszczu, siecze je grad, ginie dobytek, w pszenicy sporysz, spóźniony mróz warzy kwiecie drzew owocowych, studnie wysychają, dzieciom trzeba skąpić jadła, syn przed ojcem zamyka dom, brat bratu wciska krwawy nóż, narody się mordują, a na końcu śmierć zatacza kosą łuk i padają pokolenia. Wzywa więc poeta Boga, aby poszedł z nim razem po świecie i zobaczył całą jego mękę. Ale Bóg

siedzi między gwiazdami,
i głową na złocistym spocząwszy trójkącie,
Krzyż trójramienny mając u swych nóg,
proch gwiazd w klepsydrze przesypuje złotej
i ani spojrzy na podobny smug,
bo się upaja wielkością stworzenia.

Przeto poeta zwraca się do szatana i klęka przed nim.

III.

Rozumie się, że kto wpłynął na wolnej myśli morze i pozbył się wiary w chrześcijańskiego Boga, ten nawet z otchłani mąk — jak twierdzi Miriam — nie powróci do pierwotnej ostoi. A jednak, rzecz dziwna, wszyscy ci niewierzący, zatruci zwątpieniem bluźniercy — szukają. Wśród bezsennych swych nocy, wśród samotnych udręczeń, wśród wichrów i zgrzytów i szalonej burzy serc wciąż bez tchu szukają jakiejś ostoi, jakiejś ciszy, podpory i dźwigni. Jedyną wielką prawdą świata dla Sterlinga jest ból. On ducha krzepi pełen nieziemskiej mocy i słodyczy[1]. Ale czy to tylko prawda? Może i to złudzenie — skarży się przyjacielowi, domagając się odeń gruntownego dowodu[2]. Doskonalenie

[1] „Spowiedź", str. 27. „Poezye". Kraków 1900.
[2] Tenże, *Ex imo*, str. 20.

serc, czyny — oto *panaceum* na wszelkie nędze — woła A. Lange w "Widzeniu św. Katarzyny", która zauważywszy, że ludzie dla nieba i piekła ze strachu lub nadziei żyją dobrze lub źle, zalała piekło i niebo — i chciała przez to ich zahartować [1]. Ale ten sam odwołuje swój środek, mówi bowiem w „Godzinie" [2], wróżąc przyjście jakiegoś nowego wybawcy: „Szukamy zatraconych ścieżek do Edenu. A jedni ich szukają na zewnątrz, drudzy wewnątrz siebie; lecz ani w samotnem oderwaniu się od duszy świata, ani w zlaniu się z tą duszą nie leży jutro"...

„Ciszy, przestrzeni, światło — O ty święta Trójco mej duszy! Do ciebie ramiona wznoszę bolesne. Naturo! Matko — oto w twojem łonie wszechwiernem istność niech moja zatonie" — wzywa w deklamacyjnym patosie Tetmajer, który się pozbył swojej nirwany może na chwilę [3]. Ananke jest wszechwładnym panem rzeczy — twierdzi Żuławski. Nic nie jest wieczne — krom jej woli.

> Podnoszę wszechpotężne ramię
> w ten wir bogów, słońc, światów, w łunę i pożogę..
> I zmożone padają wszystkie pod me nogi,
> skomląc w strachu, jak krnąbrny pies biczem zesmagan [4].

Jedni widzą środek ratunku w panteizmie Spinozy, drudzy radzą się Zarathustry, inni wielbią Buddę, są nawet tacy, którzy upatrują zbawienie w naukach Nietschego — słowem wszyscy szukają, odwróciwszy się od Boga — i wszyscy napróżno. Największy jednak zapał budzi szatan, pospolity, zwany powszechnie staruszek-szatan. Tylko — rozumie się — aby mógł wywołać uwielbienie, trzeba go trochę odświeżyć, odpokostować, zaopatrzyć w inną modniejszą dekoracyę, bo od czasu Marlowe'a, Kalderona, Goetego i Byrona mody się zmieniły. Co do samej nazwy są nieporozumienia. Jedni nazywają go Lucyferem, drudzy po prostu szatanem, inni wolą Prometeusza, zwłaszcza że ten ostatni ma swoje piękne literackie tradycye. Ale rzecz mało się zmienia.

---

[1] Lange, „Poezye". Kraków 1895. Str. 167—175.
[2] T., str. 229.
[3] „Poezye", str. IV. Kraków 1900. „Na szczycie", str. 33—43.
[4] „Poezye". Kraków 1900. Str. 21.

Szatan, Lucyfer, Prometeusz, Antychryst nowej poezyi mają te same rysy. „Czoło potężne, szerokie, o dwóch silnych guzach, poorane wewnętrzną męką; usta silnie zaciśnięte, a z pod olbrzymich krzaków brwi wyzierają oczy, jakby z dwóch ciemnych jaskiń, oczy, w których w zdławionych krzykach boleści zastygła potężna, ponura, nieprzystępna dusza“ [1]. Tkwi w nim zasadnicze znamię: antagonizm wobec Boga. Różnica pomiędzy dawnem pojęciem szatana a nowem jest zresztą bardzo subtelna. Szatan średnich wieków — wyjaśnia specyalista w tym kierunku Przybyszewski — był zrozpaczony, a rozpacz jego wytwarzała zło. Dzisiejszy szatan — to potęga, która w jakimś dzikim szale, gnana jakimś strasznym instynktem, kroczy przez świat, sieje rozpacz i zniszczenie. To już nie ta zła potęga średnich wieków, co się upajała zbrodniami, ale jakaś inna, co w ponurej niemocy zagłębia się w przeznaczeniu, które mu każe zbrodnie popełniać. Jest on piękny arystokratyczną pięknością Lucyfera, ojca filozofii i poezyi, źródła wiecznych tęsknot i pragnień. Jest to także duch rokoszu i nieufności, ciekawości i nieokiełznanej anarchii, bóg twórczości i wiecznego odrodzenia, walki i bezinteresownego poświęcenia się walczących. W tym samym sensie pojmują swego Prometeusza: Konopnicka, Miriam [2], Tetmajer [3]: tak samo przedstawiają szatana Żuławski, Szczepański i inni. O ile Prometeusz podobnym bywa do szatana, wskaże przykład. U Miriama tytan, przybity do skał Kaukazu, nieubłagany i dumny, wie

Że zło musi zginąć, to, co ziemię plami
Musi zostać zmazanem; że odwieczne szale
Wciąż trzyma sprawiedliwość i prawicą swoją
Kiedyś je zrównoważy: karą i nagrodą,
Że kiedyś uciśnieni wstaną z nędzy mroków,
Dla niewolników błyśnie wolności zaranie,
A ciemięzcy gnić będą, strąceni w otchłanie.

Wszakże to ten sam anarchista, opiekun wydziedziczonych

[1] Przybyszewski, Gustaw Wiegeland, „Na drogach duszy“. Kraków 1900. Str. 78.

[2] „Z czary młodości“, str. 133.

[3] „Poezye“, serya II., str. 18–19.

i zrozpaczonych, którego maluje Przybyszewski, a za nim Żuławski w słowach:

Wszystkie syny potęgi i dumy,
wszystko, co wzrośnie nad motłoch spodlony;
kto chce swobody, kto światła spragniony,
kto w głuche wieków zasłuchany szumy
Śni, kto Cię szuka, kto tęskni i tworzy,
pragnie lub gardzi: to moi rycerze!
Ja z nimi w bramy Twych niebios uderzę
i wichrzyć będę ład Twych stworzeń boży,
aż przyznam kiedyś, że my światem społem
władamy, chociaż Ty górą, ja dołem![1]

I u Szczepańskiego szatan wlewa rozkosz w zło bytu. On kuje błyskawice idei, budzi ludzkość, śle zdobywców, twórców i marzycieli, z szyderstwem spogląda w toń śmierci, jest walką, ruchem, żarem świadomości, poezyą bytu[2]. Różnice między tymi duchami buntu wielce nieznaczne. Każdy to widzi, że Prometeusz owiany jest tchnieniem pomysłu Shelleyowskiego, Szatani, Lucyferowie i Antychrysty zawierają przymieszkę idei Nietzschego o zbrodniarzu, który niszczy dla samego niszczenia[3]. Tkwią może w niektórych ludziach jadowite i dzikie porywy czynów szkaradnych i zgubnych — bez innych zresztą celów. Nie to nęci, co bywa owocem grzechu, jeno poprostu grzech sam dla siebie. Poezya nowożytna, chciwa na zwyrodnienie, chwyta i obrazuje te właśnie niezwykłe instynkty. Wytworzył się szatanizm, i pod tę rubrykę podciąga się bez potrzeby zbyt wiele treści i zbyt wielu ludzi. Może i ma racyę krytyk modernizmu Bahr, kiedy zwięźle określa szatanizm: „sztuczne zakazy sztucznej wiary, aby zgotować sztuczne grzechy, sztuczny żal i sztuczną tęsknotę piekła — oto kwintessencya szatanizmu".

Ostateczne przeto następstwa filozofującej poezyi nie są wcale jasne, ani pocieszające, ani bardzo głębokie, ani nawet

---

[1] „Poezye", II. Warszawa 1900. Genezis 1. Lucyfer 19. Str. 137.

[2] „Hymny", Wiedeń 1898.

[3] Ob. Przybyszewski, „Na drogach duszy", str. 76, oraz „Synagoga szatana" i „Dzieci szatana", a także Tetmajera, „Duch destrukcyi". („Poezye", s. II., str. 9).

bardzo nowe. Ból i zło życia — wzięte w spadku po Byronie, szeroką i potężną falą w jego tworach rozlane, rozprysło się w naszej poezyi na miliony drobnych kropel i sączy się w nich, zamącona goryczą, napawając serca niewielu — trzeba dodać na szczęście — czytelników jadem zwątpienia i niewiary. Że dusze poetów Młodej Polski owiane są melancholią — o tem dobrze wiedzą wszyscy. Cóż to za melancholia jednak! „Dwie są melancholie — powiedział Szaman Anhellemu — jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się. Mówię ci o tem, albowiem poddajesz się smutkowi i tracisz nadzieję". Czyż nie dość widoczna, że drugi właśnie rodzaj gnębi i nęka liryków naszych? Same i ciągłe żale, zgrzyty, zwątpienia, negacye, choćby się łączyły z niewiem jak gorącym kultem szatana — wiekuistej negacyi — nie wydadzą nic, acz zburzyć mogą wiele. Nie tem łożyskiem toczyć się ma strumień poezyi, jeżeli chce stać się potężnym nurtem i duszami władać.

Nie można dziś jeszcze z całą stanowczością utrzymywać, jakoby najmłodsza poezya uświadamiała sobie zgubność tych pessymistycznych rozmyślań, które są przeżytkami wielkiego pessymizmu romantyków; ale można przewidywać, że w oddali majaczeją dla niej nowe świtania — i ku nim kierują się znużone i tęskne oczy. Przypuszczam, że niedługo i w przyszłości artyści będą musieli zająć się szczególniej rozpatrzeniem nastrojów duszy w najróżnorodniejszych — najprostszych i najsubtelniejszych przejawach. Dziś wiele prawd dawniej cennych zachwiało się nie tylko w głębszych umysłach ale i u tłumu. Ludzkość dąży do stworzenia sobie nowej logiki. Poznanie siebie samego ma być jednym ze środków urzeczywistnienia tego zadania. Poznawać duszę można przez zgłębienie zjawisk i nastrojów. Parę pomysłów przeniknięcia w dno duszy posiadamy już i w naszym dorobku poetycznym. Mam tu na myśli pokrewne utwory Przybyszewskiego „Nad morzem" i Żuławskiego „Lotos". Oba poematy są nieco podobne w swej istocie, a choć pierwszy nie jest wierszowany, drugi zaś strojny w tercyny, oba są symboliczne. Symboliczność może być ścisła albo swo-

bodna, fantastyczna — jak słusznie uważa Małecki w swym rozbiorze Anhellego. W pierwszym razie „ruch i kształty użytych form stosują się wiernie i niewolniczo do wewnętrznego swego znaczenia“. W drugim wypadku „sceny i kształty znaczą rzecz, o wyrażenie której z założenia głównie chodziło, ale dają też oprócz tego i więcej jeszcze, to jest dają i siebie same“. W obu poematach znajduję ten drugi rodzaj symboliczności. W pierwszym poeta wyobraża sobie, że był królem, a państwo jego bez kresu i potęga bez granic. I przyszła do niego ona i stała się jego niewolnicą, panią i królową. Ale słońce ją zabiło. Wówczas szukał jej — po morzach i lądach, bo pragnął znaleźć jej księżycową ojczyznę. „Aż nadeszła chwila, gdy przeczute tęsknotą słowo miało stać się ciałem, wola moja ogarnęła wszechświat, w nocy wielkiego cudu błysnąłem jak słońcem piorunem słowa, co światy tworzyło i w proch je kruszyło i z wielką mocą krzyknąłem: Stań się!“ I powstała. Lecz znowu zgasła, on zaś jej szukał nad morzem, gdzie też ją ujrzał. Odtąd byli zawsze razem, dopóki jej morze nie porwało. W poemacie „Lotos“ artysta we łzach, cierpieniu i tęsknocie oczekuje nad Gangesem pojawienia się lotosu. Rzeczywiście:

Z pod liści złotych, z srebrnego oparu
lotos wypłynął w pełny blask księżyca —
świat cały zadrżał z rozkoszy nadmiaru:
oto spełniona wielka tajemnica! —
na jasną światła miesięcznego szarfę
z kwiatu wybuchnął z wonią duch — dziewica!

Odtąd codzień spływała doń na dźwięk pieśni — ale była z dala. Wzywała go — i poszedł i poznał ją już, ale tejże chwili padł bez ducha. Potem znów zaczęły się dlań tęsknoty, bóle, męki, różne próby ujrzenia jej raz jeszcze — wszystko nadaremnie.

W obu tedy utworach ten sam wątek. Jeżeli jednak chcemy wiedzieć, co znaczy owa prosta i tak zwyczajna treść, musimy szukać objaśnienia w niezliczonej ilości symbolicznych szczegółów, rozsypanych w poematach. Żuławski w liście do autora „Nad morzem“ stwierdza, że obaj zaczerpnęli z jednego źródła, jakkolwiek „Lotos“ napisany w r. 1894, „Nad morzem“ zaś

w 1897/8. „Na schyłku starożytnych czasów — są słowa listu — poznała dusza ludzka, że jest od ciała różna i własną moc posiada. Niezmącona pogoda grecka zniknęła bezpowrotnie, a ciemną otchłań wieków średnich wypełnia walka dwóch tych przeciwstawionych sobie potęg, walka namiętna, zajadła, rozpaczliwa. Dusza, jak ogromny ptak uwięziony, rzuca się w żelaznej klatce i wciąż na nowo opada — z połamanemi skrzydły i pokrwawionem czołem. Poznała niespożytą trwałość swego więzienia i nauczyła się je szanować. Zaczęły się wieki nowożytne, czas kroków powolnych i dobrze obliczonych, okres badania i poznania klatki, którą dziś zwykle światem rzeczywistym nazywamy. Dusza poznała grubość i skład murów swego więzienia i już się na dawne, nierozumnie wielkie porywy nie waży, choć czuje, że poza temi ścianami jest przestrzeń, jest błękit jej rodzinny i są szczyty olbrzymie...“ „A my? Wszak my wszyscy jesteśmy tylko piórami w olbrzymiem skrzydle powszechnej duszy człowieczej i drżymy, gdy ono wiatr bije...“ „Pióra drżą znowu w skrzydłach ptaka; nie wiem, czy to on znów do lotu się zrywa, czy też wiatr jaki tylko musnął go po pierzu i lotki niektóre dreszczem przejmuje... Ale drżą...“ [1] Właśnie też duszą wszechświata jest owa w obu poematach dziewica, która się ukazuje poetom i znika. Głos pieśni potężnej podoła ją takim opętać czarem, że wciela się i spaja na moment z duszą poety. Ona jest w rozterce żywiołów i miarą i rymem, pięknem świata, a trzeba być olbrzymem, aby ją zbudzić. Żuławski w uniesieniu woła: „gdzież jest mocarz drugi na obszarze ziemi, tak dzielną czarnoksięstwa zbroją, jak ja, odziany i królestwem takiem pieśni władnący?! (str. 177). Wyżej sięga Przybyszewski. „Byłem bogiem. Byłem wszechwolą ziemi, przez którą się wiecznie od nowa przetwarzała, byłem siłą, rozdzielającą wody od ziemi, byłem rozumem, który wykreślił dla gwiazd niezmienne tory, i byłem sercem wszechświata, jego tętnem i karmią. Byłem słońcem, potęgą czasu, mądrą opatrznością“ i t. d.[1] (str. 30).

Sięgając w takie obszary, zbrojna w lotne i powiewne

[1] „Poezye“. Warszawa 1900. Str. 133.

pióra wyobraźni, poezya musi się istotnie ubierać w królewską purpurę przepychu, aby dać odczuć te głębie i te dale, ku którym się wzbija; poeta musi przytem występować w roli potężnego ducha, dla którego żadna tajemnica obcą nie jest na ziemi ani na niebie. Wytwarza się też bujny indywidualizm, poczucie własnej przemocy w stosunku do zjadaczy chleba. Wytwarza się nadto pogarda ku tłumowi za to, że nie zdolny dostatecznie ocenić i mało skłonny zginać się przed poetą z kadzielnicą zachwytów i pochwał. Rozumiem dobrze, że olbrzymi przypływ uczucia nieci w górnej wyobraźni niepospolite rozumienie o własnej sile. Czyż Konrad nie czuł się wcieleniem milionów? Czyż Krasiński nie otoczył gwieździstą aureolą skroni poety? Czy Kordyan nie zapragnął stać się Winkelriedem narodów? Ale nie cała liryczna Młoda Polska posiadła podobne przywileje, a tymczasem cała z ferworem, brzękiem i hałasem pływa z pogardą i gniewem na tłum, cała unosi się na paluszkach dumy, „siebie ceniąc nad ludzi, innych mniej niż bydło“ — jak mówił Trembecki. Jeżeli zaś wobec olbrzymich widoków, snujących się przed naszemi oczami a wywołanych wielką wyobraźnią poety, może się nam wydać istotnie, że oto oglądamy cząstkę Boga — a wówczas zaprawdę pochopni się czujemy oddać hołd geniuszowi, który takich cudów mocen, to wobec drgawek nieudolnego rymoklety, wmawiającego nam swą wielkość brzękiem słów pustych, zdolni jesteśmy odczuwać politowanie tylko. A tymczasem dziś geniuszów — zwłaszcza lirycznych — dużo; geniuszów zapoznanych jeszcze więcej — stąd wytwarza się wśród poetów system wzajemnej adoracyi a miotania obelg pod adresem gawiedzi na wzór: *odi profanum vulgus.*

(C. d. n.).

Antoni Mazanowski.

KATORGI NA SACHALINIE.

(Dokończenie).

III.

Katorga stanowi sama dla siebie odrębny światek. Posiada swoje prawa i przywileje, swój język, swoją arystokracyę, swoją klasę finansową, swój proletaryat i swoich helotów, wydaje sądy i wyroki surowsze zazwyczaj od wyroków władzy — toż i bicie katorgi gorszem jest od rózg na „kobyłce“. We Francyi arystokracya zakładów więziennych stopniuje się zazwyczaj według ciężkości popełnionych zbrodni: ojcobójca np. wyższym jest w randze od zwykłego mordercy, morderca od złodzieja i t. p. Na Sachalinie przeciwnie, nikt o przeszłość nie pyta; skazańcy opowiadają ją sobie wzajemnie po dobrej woli, nie ona bowiem ale ciężkość nałożonej kary stanowi o znaczeniu człowieka. Bezterminowi zatem stoją na najwyższym szczeblu i patrzą z pogardą na „czałdonów“, mających za lat parę opuścić katorgę; podobnie ci, co przybyli lądem, przez Sybirskie góry, lekceważą przywiezionych parowcem, którzy zamknięci na spodzie okrętu nic nie widzieli, nic nie przeżyli i nie doświadczyli. Pomiędzy bezterminowymi lub przynajmniej skazanymi na długie lata, górują „Iwany“, ludzie zuchwali i silni, włóczęgi, recydywiści lub tacy, co się parękroć na ucieczkę puszczali. Panują oni ostro i bezwzględnie ale też w danej chwili nadstawiają karku za wszystkich; oni to wstawiają się o wspólne krzywdy, oni śmią władzy nietylko prawdę, ale często obelgi wypowiedzieć w oczy.

Za to dumni ze swego zuchwalstwa i stoicyzmu wobec nakładanych im kar, nad słabszymi w więzieniu wywierają ucisk straszliwy: „Iwan — to zły duch katorgi... to złe i bies dla tych wszystkich, którzy posiadają jeszcze jakie takie dobre pierwiastki. Są to najwięksi wrogowie każdego skrzętnego więźnia, każdego „dostatku“. Stosownie do warunków, Iwan bądź odbiera otwarcie, bądź wyłudza podstępnie, bądź wprost kradnie skazańcowi każdy grosz, ciężką pracą zdobyty“. Władze lękają się ich i dlatego mnóstwo rzeczy uchodzi im bezkarnie, za które inni muszą cierpieć srogo. Szczęściem złagodzenie kar i inne zmiany zachodzące w systemie więziennym odzierają zwolna Iwanów z aureoli bohaterstwa. Ich panowanie ma się ku końcowi. Odtąd „Matwiej“ to jest więzień pracowity, porządny i posłuszny odetchnie nieco z pod tyranii swych prześladowców.

Drugą kastą katorgi są „Chrapy“ — to jest krzykacze, tacy sami jak na zebraniach ludowych. Pełni wyniosłości względem słabszych a uniżoności względem „Iwanów“, głośniej jeszcze od tychże szermują słowem, ale gdy przychodzi do czynu, to jest do nadstawienia własnej skóry przed władzą, dają regularnie nurka i zasłaniają się innymi. Za to tworzą oni dwór przedniejszych „Iwanów“, lub każdego, który ich zapłaci; gotowi oszczerstwem, denuncyacyą, wszelkiego rodzaju szarpaniem gubić wskazaną sobie ofiarę lub też naodwrót obronić tego, co ich wynajął, od wszelkich możliwych zarzutów. Chwilą obławy dla nich są przyjazdy parowca przywożącego nowych skazańców; nowicyusze stają się ich pastwą — od niejednego na wstępie wyłudzą cały grosz. A w katordze grosz znaczy więcej jeszcze niż na rynku giełdowym. Podczas gdy w zakładach więziennych francuskich, mianowicie w Nowej Kaledonii najmniejsza kwota znaleziona w posiadaniu skazańca ściąga nań najsroższe kary, jak np. związanie rąk do tyłu na całe tygodnie, tu nikt posiadania pieniędzy nie broni. Przeciwnie tutaj kupuje się i sprzedaje lub wygrywa i przegrywa wszystko. Zawodowi „gracze“, jeśli mają szczęście i umieją szachrować, idą, jako potęga, w zawody nawet z „Iwanami“; na robotę wynajmują zastępców, mają posługaczy, takich nawet, którzy na ich skinienie biją każdego. Grają o pie-

niądze, o odzież, o strawę, o miejsce na tapczanie; człowiek zgrany staje się „żyganem“ poniewieranym, wyśmiewanym, wiecznie głodnym, zmuszonym wysługiwać się wszystkim, spadlać się uniżonością bez granic. Usiłującego z pod ohydnego jarzma się podnieść biją posługacze na rozkaz swych panów a reszta katorgi sią śmieje.

Kategoryą jeszcze niższą od „żyganów“ jest t. zw. „szpanka“. Są to ludzie cisi, zgnębieni nieszczęściem, których zazwyczaj jednorazowa wina do katorgi wpędziła, ludzie, którzy, gdyby ich stąd wydobyto, mogliby stać się znów uczciwymi. Ci wogóle nie mięszają się ani do zabaw ani do kłótni; pracują i śpią — szczęśliwi, jeśli ich drudzy zostawią w spokoju. Ale o to właśnie najtrudniej: „Szpankę“ gnębią Iwany, trzymają pod grozą i obdzierają „chrapy“, znęcają się nad nią gracze, okradają zgłodniałe „żygany“... Oni to nie śmią zdjąć ubrań ani obuwia, chleb zachowany na wieczór noszą przy sobie, drżąc z obawy kradzieży, z obawy bicia. Im jako ubogim żadnych ulg nie dają dozorcy, oni najcięższe spełniają roboty. Zdawałoby się, że nad nich nie masz ludzi bardziej gnębionych i pogardzanych w katordze. A przecież tacy istnieją, są to — niewinni! Że we wszystkich zakładach karnych znajdują się zasądzeni niesłusznie — to rzecz pewna i nawet nie dziwna: przecież sprawiedliwość ludzka nieomylną nie jest, nie mówiąc nawet o więźniach politycznych, o których nie może być wzmianki w książce Doroszewicza, przeznaczonej pod probierz cenzury. Są więc na Sachalinie niewinni, i są ze strony katorżników-zbrodniarzy przedmiotem śmiertelnej nienawiści, ukrytej pod osłoną pogardy. Jest to „nienawiść łotra do człowieka uczciwego, męcząca zazdrość brudnego względem czystości niewinnych. Położenie tych nieszczęśliwych jest podwójnie ciężkie: nie wierzą im ludzie uczciwi; traktuje ich z pogardą i nienawiścią świat wyklętych“...

Autor przytacza nam dzieje jednego z takich biedaków, w którego niewinność wierzy, a którego sam inspektor prawdziwym męczennikiem nazywa. Jest nim Polak, Mikołaj Głowacki, pochodzący z Kijowskiego a służący niegdyś na Wołyniu w dobrach hrabiny, którą autor nazywa Dzielińską, tłumacz Dzia-

łyńską, a która zapewne jeszcze się inaczej nazywa. Głowacki skazany został bezterminowo za powieszenie żony: on sam opowiada, że jej nie powiesił, ale zastawszy na stryczku bez życia, uląkł się i trupa wrzucił do wody. Na Sachalin przybył w r. 1888 i był zamknięty w istniejącej jeszcze wówczas okropnej turmie Wojewodzkiej. W ciągu pięciu lat otrzymał przeszło 500 rózg za to, że nie miał siły kończyć robót zadanych. Napróżno uciekał się do ówczesnego „zsachalinionego“ lekarza Dawydowicza; ten odsyłał go z gniewem. Za udawanie się pod opiekę lekarską skazano go na najcięższą pracę, posyłano do wyciągania kłód z tajgi.

— „Trzy razy za jedną kłodę bito. Nie mogłem jej za nic wyciągnąć. Siły straciłem“.

Czyż nie przychodzi na pamięć widziany czasem nieszczęsny koń okładany batogiem przez żyda woźnicę za to, że nie może przeładowanego wozu uciągnąć? „We wspomnieniach Głowackiego, jak wogóle we wspomnieniach katorżników z turmy Wojewodzkiej, nic nie słychać krom świstu rózg i batów“... Coraz cięższe było życie tego znękanego człowieka. W r. 1892 skazano go na sto batów za to, że przechodząc zamyślony nie zdjął czapki przed siedzącym na ganku urzędnikiem. Dano mu tylko 50 bo stracił przytomność, ale nieszczęście jego chciało, że w szpitalu gdzie leżał, aresztanci grali w karty. On nie grał ale gdy dziwnym trafem tę grę odkryto, (powinniby ją przecież codzień odkrywać na każdym punkcie katorgi), wina spadła na niego i „wsypano“ mu sto. Tym razem plagi wytrzymał, ale potem był przez dwa tygodnie niezdolny do pracy. Zaledwie wyszedł, powłócząc jeszcze nogami, aż tu znów licho nadało urzędnika, którego na czas nie dostrzegł. I znów za zuchwalstwo „wsypano“ pięćdziesiąt. Ale to jeszcze połowa nieszczęścia. Biedak dał się z pięciu towarzyszami wciągnąć do planu ucieczki. Jeden z nich, Bejlin, odłączył się i poszedł osobno; tamci, ubiwszy tratwę, puścili się na cieśninę Tatarską. Za nimi płynęła pogoń; fale biły mocno o tratwę, zbiegowie dobywali całych sił — wśród szamotania się woda porwała płócienną kurtkę. Głowacki sięgnął po nią wiosłem ale napróżno. Goniąca straż wyobraziła sobie,

że to człowieka zepchnięto z tratwy, a że przy pojmaniu zbiegów skonstatowano iż jednego brak, oskarżono Głowackiego o morderstwo. Dwa lata, do r. 1894 spędził w turmie kajdanowej pod śledztwem, aż tu nagle „Jarosław“ przywiózł napowrót Bejlina, który schwytany aż w Rosyi podał się za „włóczęgę niepomnego“ i jako taki wrócił na Sachalin, gdzie ani dozorcy ani urzędnicy nie poznali go. Katorga go poznała, ale przekupieni przez pieniądze Bejlina wszyscy milczeli. Próżno tak ich, jak i samego Bejlina błagał Głowacki — nareszcie poszedł do władzy i odkrył prawdziwe nazwisko włóczęgi. Wtedy oczywiście śledztwo przerwano, (po dwóch latach!), i Głowacki, nie już za morderstwo ale za ucieczkę, został skazany na 11 lat turmy kajdanowej i 65 batów. Ale i Bejlina wzięto na chłostę i przedłużono mu termin, a Bejlin mszcząc się obiecał 10 rubli nagrody za zabicie Głowackiego. Istotnie za 10 rubli „Iwany“ wynajęli się do powieszenia go w „miejscu ustronnem“. Ale ktoś za 20 kopiejek ostrzegł go o spisku. Głowacki tedy zaopatrzył się w nóż i miał się na baczności! Pewnego dnia kilku Iwanów rzuciło się nań; już miał pętlicę na szyi, lecz zdołał jeszcze jedną ręką chwycić za sznur a drugą pchnąć nożem najbliższego z napastników. Ten padł był właśnie, ugodzony w brzuch, gdy straż się zjawiła; odniesiono go do szpitala a Głowackiego zamknięto w osobnej celi. Iwany zrazu ucichli, po chwili jednak ochłonąwszy z przestrachu wyłamali drzwi więzienia i poturbowali go strasznie. Gdy straż nadbiegła Głowacki leżał bez czucia ze złamaną ręką, stłuczoną głową, zgniecionemi piersiami — kaleka na całe życie. Ale i na tem nie koniec. Poszedł znów pod sąd za zabójstwo. Na Sachalinie zaś dopiero od 1-go lipca 1896 r. istnieje dwóch prawdziwych sędziów śledczych, pełniących również funkcye sędziów pokoju. Dotąd śledztwa prowadzili sędziowie przygodni, nieobeznani z podobną czynnością — nie dziw, że śledztwa po kilka lat trwały! Tacy więc sędziowie wzięli w ręce sprawę Głowackiego, na świadków powołali tych samych Iwanów, co go mordowali i skazali go na dożywotnie kajdany z dodatkiem 30 batów. Batów nie otrzymał, bo nie byłby ich przeżył a prawo nie pozwala „zachłostać“.

Położenie jego wszakże stało się piekielnem. Zamknięty w tej samej turmie z Bejlinem, uznany — pomimo, że liczy dopiero lat 47 — za zupełnie niezdolnego do pracy, wiedzie żywot okropny, wpośród Iwanów, którzy mu nie przebaczyli pchnięcia nożem ani denuncyacyi[1]. Inspektor o tem wie, mówi o Głowackim z litością, wie też, że go zasądzono niesłusznie, ale nie czyni nic, aby mu ulżyć męczarni i zabezpieczyć przed zemstą katorgi. Pod tym względem bezsilność władz jest niesłychana. Toż jednego z więźniów, którego urzędnicy dłuższy czas używali za szpiega, a który potem stał się celem nienawiści towarzyszów tak, że mu od uderzeń nie zostawiali zdrowego miejsca na ciele, nie umiano uratować inaczej, jak wysyłając go do najcięższych robót do tajgi. Innego katorżnicy zdołali zabić a zwłoki ukryć w błocie pod podłogą „numeru“, gdzie je dopiero przy jakiejś naprawie po dwóch latach odkryto. Katorżnicy, gdy biją, okrywają wprzód głowę ofiary ciemną kapotą aby nie poznał kto bije i nie mógł zdradzić...

Jednym z najstraszniejszych obyczajów owego piekła jest t. zw. „ślub“, czyli zamiana losu i nazwiska, tożsamości jednego człowieka na los i imię drugiego. Zazwyczaj dzieje się w ten sposób, że jakiegoś biedaka ze szpanki, mającego przed sobą kilka lat więzienia, poją, wciągają do gry, zgrywają, częstują dalej wódką i przysmakami, które „majdaniarz“ tj. sklepikarz katorgi daje na kredyt, aż gdy suma długu należycie urośnie, dają mu spać. Nieszczęsny nazajutrz budzi się z pękającą głową i pustą kieszenią; przegrał chleb całoroczny, odzienie skarbowe, a prócz tego i ci co z nim grali i lichwiarz, co pieniędzy pożyczał, i majdaniarz stoją nad nim i grożą żądając zapłaty. Wtedy zaś zbliża się jakiś usłużny żygan i mówi mu, że ten lub ów, skazany na długi termin lub bez terminu, zapłaci mu chętnie potrzebną kwotę, byle z nim zawarł „ślub“. Potrzeba tylko pokłonić się mu, poprosić... Jeżeli ofiara się wzbrania,

[1] Autor, który się snać żywo zajął biednym Głowackim dodaje, że gotów jest przedstawić wszystkie dokumenty stwierdzające opowiadane tu dzieje, gdyby kto się chciał czynnie zająć losem biedaka.

kusiciel daje znak i wnet pięści Iwanów stają się argumentem, któremu niepodobna się oprzeć. Biją nie raz ale kilka razy, stopniowo powiększając siłę i ilość uderzeń, aż w końcu głodny, zbity, zrozpaczony idzie do bezterminowca i oznajmia:

— Zgadzam się!

— Pamiętaj! Ja ciebie nie szukałem, sam prosiłeś. Żebyś się potem nie cofnął.

I zaczyna się targ o życie ludzkie, targ, w którym biorą udział obecni, aby na długoterminowcu wydusić jak największą sumę: dziesięciorublówkę, którą między sobą podzielą. Cena rzeczywista życia ludzkiego na katordze waha się między 5 a 20 rubli. Gdy obie strony się zgodzą, rzekomi wierzyciele sprzedanego każą majdaniarzowi dać wódki, aby oblać „ślub“, wypić na zdrowie „państwa młodych“. Na tę wódkę idzie reszta pieniędzy ze sprzedaży pozostała po zapłacie długów. Tradycya każe do szczętu spoić sprzedanego, „aby nie cierpiał“. Zaślubieni zamieniają ubrania, kupujący odstępuje swoje nazwisko, swój ciężar zbrodni i kary, swoje kajdany. Opowiadają sobie wzajemnie swoją przeszłość, aby się nie zaplątać przed władzą i dopasowują, wedle możności, cechy i znaki szczególne: jeżeli kupującemu brakuje zębów, wybijają równą ilość tamtemu, robią mu lapisem potrzebne znaki, poczem wzywają cały oddział na świadków zawartej umowy. Stało się: „człowiek sprzedał całe swoje życie“... został „sucharnikiem“. Nabywca zaś jest jego „gospodarzem“. Gdyby sucharnik chciał uwiadomić władzę o ślubie i „zasypać“ gospodarza — będzie zabity. Innej kary za to katorga nie uznaje...

Podobne śluby zdarzały się często za czasów strasznych etap sybirskich. Obecnie spodziewano się, że im fotografowanie więźniów koniec położy. Tymczasem urzędnicy równie mało znają skazańców jak wprzódy. Przez trzy lata z rzędu posyłano na Sachalin za każdą podróżą parowca coraz to innego człowieka, mniemając za każdym razem, że wysyłają słynnego włóczęgę, znanego pod nazwą: Iwana Przejdziświat. Podobnie był czas, gdzie w każdem więzieniu sachalińskiem był skazaniec, mieniący się być znanym katorżnikiem „Pchłą“ — i ani w jednym,

ani w drugim wypadku policya nie zdołała między nimi rozeznać prawdziwego Przejdziświata, ani prawdziwego Pchły! Zamiany dzieją się to w więzieniu, to podczas podróży, to podczas przenoszenia z jednego posterunku na drugi. Fotografii, zwłaszcza twarzy pospolitych, trudno rozpoznać, bo ich jest tysiące. „Kto ma sprawdzać? Fotografie po zdjęciu idą do szafy a aresztanci robią co im się podoba".

IV.

„Robią co im się podoba..." Pozbawieni wszelkiej innej wolności, mają przecie wolność czynienia źle, a urzędnicy, którzy każą bić, gdy im się kto nie zdąży ukłonić, patrzą przez szpary na popełniane w katordze bezprawia przez lenistwo, niezaradność, tchórzostwo... Aby uśpić własne sumienie wmawiają w siebie i w drugich, że ci skazańcy, to już stracone dusze, potępieńcy, przeklęci! Istotnie są grzeszni i źli, bardzo źli — ale przecież nie wszyscy, są między nimi łagodni a zgnębieni, są dusze tylko zbłąkane. I nawet u najgorszych, przypatrując się bliżej, można jeszcze dostrzedz niektóre pierwiastki dobrego: jest wierność w dotrzymaniu słowa, uczucie solidarności, niedozwalające zdradzić towarzysza, a przynajmniej potępiające tę zdradę; jest litość dla biedaków, przychodzących z osiedli żebrać o ciepłą strawę i kąt pod dachem. Czy obok tego jest i choć cień skruchy za zbrodnie? Że bywa, nim na Sachalin przyjadą, widzieliśmy podczas spowiedzi na statku. Zobaczmy teraz co z tą skruchą czyni więzienie. Doroszewicz długie ustępy tej kwestyi poświęca. Sam snać szczerze wierzący, boleje więcej nad niedolą duchową niż fizyczną skazańców.

„Czy czują oni skruchę?" — pisze rozpoczynając rozdział zatytułowany: „Zbrodniarze i zbrodnia":

„Wszyscy ludzie pozostający w blizkich stosunkach z katorgą, zapytywani o to przeze mnie, odpowiadali jedni z gniewem, drudzy z żalem zawsze to samo: Nie!"

Doktór, pracujący od szeregu lat na Sachalinie, mówił, że spotkał tylko jeden jedyny wypadek.

„Powiedzieć atoli, że katorżnicy wogóle skruchy nie czują,

byłoby bardzo ryzykownem. Oni jej tylko nie ujawniają. Katorżnik, jak wiele ludzi cierpiących, przedewszystkiem jest hardy. Wszelkie wyrażenie skruchy, żalu za winy, uważałby za słabość, której nie mógłby potem darować sobie, a której, co najważniejsza, nigdy nie przebaczyłaby mu katorga. Czyż nie liczymy się z poglądami i sądem tego społeczeństwa, z którem musimy przestawać?

Młodzieniec Negel, który popełnił ohydną zbrodnię, zabójca-zwierzę, którego mi przedstawiono jako największego łotra w całej katordze — ten zabójca płakał jak dziecko, opowiadając mi sam na sam, co go pchnęło do zbrodni. I musiałem pocieszać go jak malca, podawać mu wodę, gładzić po głowie. Pemiętam zdumioną twarz jednego z urzędników, który przypadkowo wszedł na tę scenę.

— Coś pan zrobił naszemu Neglowi? — zapytał mnie potem zdziwiony.

Warto było popatrzeć na twarz Negla przez te kilka sekund, które spędził u mnie urzędnik. Jak on połykał łzy, jak się wysilał, aby zapanować nad łkaniem.

— Niech pan nikomu nie mówi o tem — prosił mnie na pożegnanie — bo w katordze jak się dowiedzą, śmiać się będą".

Oto, gdzie tkwi nieraz przyczyna tego „chłodnego, spokojnego traktowania" zbrodni. Nie zawsze brak ruchów tragicznych świadczy o braku tragedyi...

W mieszkaniu pewnego inteligentnego zabójcy widział autor wymalowany przez niego obraz, przedstawiający widok miejsca, w którym spełnił swą zbrodnię... „Co to? Rysunek czy też chorobliwa chęć ustawicznego jątrzenia bolesnej rany w duszy, niedopuszczenia do zabliźnienia?"...

„Nie wiem — pisze dalej autor — jak tam skrucha, ale strach, rozpacz wiecznie mieszkają w duszy zbrodniarzy. Trudno mi wierzyć, aby traktowali zbrodnie obojętnie.. Proszę nie wierzyć „wesołym" opowiadaniom o zbrodni, Jest to tylko wynik nieumiejętnego wypytywania..." Zapytany lekko i znienacka każdy odpowie lekko lub zuchwale; tak np. Potulachow, morderca rodziny Arcimowiczów w Ługańsku opowiadał czyn swój

z przechwałką i zabarwieniem; wzięty jednak poważnie i przychylnie na rodzaj spowiedzi generalnej z całego życia, stał się sam poważnym, cichym i prostym:

„Nigdy nie zapomnę tego wieczora. Siedzieliśmy obaj blizko, pochyliwszy się do siebie. On mówił po cichu, jakby się bojąc, ażeby kto nie podsłuchał strasznej opowieści. Nie lekko mu przychodziło to opowiadanie. O niektórych szczegółach ciężko mu było mówić. Pomijał je zawsze milczeniem w swoich „wesołych“ opowiadaniach o zbrodni. Ale cóż to za szczegóły! Czułem, że wszystko mi płynie przed oczyma, że jeszcze chwila a zemdleję...

— Ot, widzi pan, nawet i panu słuchać przykro — rzekł Potulachow.

Spojrzałem na niego. Twarz miał zmienioną.

Bywają opowiadania cyniczne przez swą otwartość; spokojnych niema. Nie! Dużo słyszałem spowiedzi, gdyż zbrodniarze mówili mi wszystko; często z rumieńcem na twarzy odpowiadali na najdrażliwsze pytania, które zadawać było nieprzyjemnie. Usiłowali zawsze przybierać spokój, ale tylko usiłowali. Zwykła poza zbrodniarza podczas opowiadania jest taka: siedzi bokiem do słuchacza, patrzy gdzieś w kąt, bezwiednie obraca coś w rękach. Na ustach gra mu sztuczny, wymuszony uśmiech, oczy się palą niedobrym jakimś, gorączkowym ogniem. Nieraz mieni się twarz, drgają mięśnie policzkowe, głos wychodzi z gardła stłumiony. Prawie każdy po dziesięciu minutach opowiadania jest znużony, znękany, rozbity...“

Oczywiście wzruszenia tego niema śladu, gdy sobie katorżnicy wzajemnie opowiadają fakta z przeszłości; z przechwałkami jednak i z dumą opowiadają o swych zbrodniach jedynie Iwany. Tak zbrodniarz recydywista, Szkołkin, pragnący być między nich policzony, chlubił się, że zaraz po dokonaniu morderstwa „wyszedł na ganek z uśmiechem“.

Ale i tu pod przechwałkami najczęściej coś innego się kryje. „Nieraz jest to chęć zagłuszania męczarni moralnych, chęć dodania sobie odwagi — śmiechem...“ Pewien przestępca inteligentny opowiadał autorowi, iż pracował wspólnie z nie-

jakim Smirnowem, obciążonym wieloraką zbrodnią. Ten opowiadał wciąż o swoich mordach z widoczną lubością, natrząsając się ze swych ofiar, przedrzyźniając ich zaklinania, ich jęki, że słuchając, robota wypadała z ręki. Strach było z nim obcować a cóż jeszcze spać na sąsiednim tapczanie! Aż tu raz opowiadający, zbudziwszy się w nocy, ujrzał stojącego przy sobie Smirnowa, blady był jak kreda, z przerażeniem na twarzy i dziko rozwartemi oczyma. Gadał on wpół w obłędzie, odpędzając od siebie mary swych ofiar; błagał towarzysza, aby go nie opuszczał na chwilę: „Straszno mi!“ — mówił. A gdy go towarzysz zapytał: „A pocóż w dzień śmiejesz się z nich?“ — Odrzekł: „Dlatego właśnie śmieję się, że straszno. Przychodzą oni do mnie w nocy, więc w dzień staram się nabrać odwagi...“

Inny, podobnie nawiedzony wyrzutami sumienia, utrzymywał, że człowieka zupełnie zabić nie można, bo ot, ofiara jego ciągle jest przy nim, i przy robocie, i w celi, i na „kobyle“, i nawet po śmierci razem z nim w grób się położy... Wprawdzie podobne hallucynacye nie często się trafiają. U niektórych nawet pamięć doznanych krzywd dotąd jest żywszą od wspomnienia dokonanej zemsty: tak np. dawny stangret Grzebiek, który kilkoletniem katowaniem doprowadzony do chwilowej wściekłości udusił swego pana — powiada, iż wszelkie cierpienia turmy nie są niczem w porównaniu tych, które zaznał w czasie swej służby, bo tu panuje choć względny porządek, choć względna sprawiedliwość w karaniu a tam... A jest to człowiek spokojny, uczciwy i pracowity, cóż więc za straszne musiał przechodzić męki! U niego zemsta jeszcze nie wygasła, zmienia się cały, gdy o niej wspomina. Wogóle autor powiada, że nie wierzy — a nie wierzy, „bo nie widział ażeby przestępca zupełnie spokojnie traktował swój czyn zbrodniczy. Być może, iż ta namiętność do kart, te gry hazardowne, którym się oddają od rana do nocy, w każdej chwili wolnej, a nawet od nocy do rana, być może, iż to jest środek „zapomnienia“, ucieczka od myśli dręczących. Najwięksi zbrodniarze są zarazem najnamiętniejszymi graczami“.

Karę swą a raczej zasądzenie, uważają oni za wyrównanie zupełne długu swego wobec społeczeństwa. Od chwili wyroku

większość myśli tylko o tem, aby uciec, podać się za włóczęgę i być następnie skazanym na $1^1/_2$ roku katorgi zamiast na 10, 15, 20 lat. To się nazywa „zmiana losu...“ Ballady śpiewane przez powieściopisarzy rosyjskich o zbrodniarzach pragnących katorgi, aby zmazać swe winy lub zgoła „ażeby cierpieć“ — są czczą fantazyą. Zdarza się, mówi autor, chyba wtedy, gdy jeszcze nie wiedzą, co to jest katorga. Gdy są jeszcze świeże, dręczące wspomnienia, gdy sumienie, to zwierzę kosmate, rzuca się i drapie duszę pazurami — wtedy może pragną pokuty... Tam — a tutaj!... Można pragnąć cierpień, poddać się im, nałożyć ciężkie okowy, spać na kamieniach ostrych. Ale któż gwoli „odkupienia“ zechce ledz w cuchnące, lepkie i rzadkie błoto?!

A religia? Co się wśród tego błota dzieje z religią?

Autor ukazał nam skazańców modlących się gorąco i szczerze w początku postu. Atoli w miesiąc potem, gdy „Jarosław“ w porcie Władywostockim święcił noc wielkanocną, gdy całe miasto, i przystań, i stojące w niej statki brzmiały jednym okrzykiem, jednem uczuciem: Chrystus zmartwychwstał! — na spodzie okrętu cicho było i głucho. Podczas święcenia pokładu kilku patrzało przez iluminator — żaden się nie przeżegnał.

— Czy ksiądz będzie obchodził oddziały aresztanckie? — spytał oficer starszego.

W pół godziny potem wrócił dziwnie wzruszony.

— Wie pan, chciałem prosić księdza, ażeby obszedł oddziały. Udałem się tam, a oni wszyscy śpią!...

Czy wszyscy spali — pytanie, ale żaden z obawy drwin towarzyszy nie śmiał się ruszyć. Jeszcze nie dojechali na Sachalin a już wpływ starszych w grzechu, zepsutych i stwardniałych, uczynił swoje. Przestępcy, hardzi wobec ludzi, silą się na hardość wobec Boga — uciekanie się do niego o pomoc, o zmiłowanie — uchodzi za objaw słabości a katorga gardzi słabością: „Na tem właśnie cała rzecz polega, że w katordze człowiek z każdym dniem nabiera mocy serca“ — objaśniał pewien skazaniec sekciarz.

„Większość katorżników to ateusze“ — mówi autor. Dochodzą zwolna do negacyi — jaką drogą? Zaniedbaniem ze strony

bliźnich, pozostawieniem własnemu rozumowaniu w czasach najgorszych cierpień, widoków zgorszenia i strasznych poduszczeń rozpaczy. Niech każdy z nas zapyta własnej duszy, czy w czarnych godzinach życia nie odczuł nigdy pokusy buntu przeciw wyrokom Bożym? A nas otaczają wszystkie pieszczoty wiary: kościół, sakramenta, dobre książki i dobre rady z ust ludzi uczciwych. A oni? Zamknięci przez lat dziesiątki w zbiorowisku zbrodni, otoczeni, oblepieni niemal moralnym i fizycznym kałem, słyszący tylko bluźnierstwa, przekleństwa, opowieści mordów i jęki boleści, zmuszeni najmniejsze ulgi okupywać pieniędzmi od straży a zuchwalstwem od władzy, nadto — wyśmiani i pogardzani za każdy objaw religii — czyż im się dziwić możemy? „W takim błocie łatwo się unurzać“ — mówił skazaniec z korsakowskiej katorgi. Drugi zaś, którego Doroszewicz począł strofować, że bluźnił Bogu, opowiadając o swoich nieszczęściach, chwytał się za głowę wołając: „Panie, panie tu rozum stracić można!“ Inny znów, wielki grzesznik, ale w więzieniu spokojny i cichy, a przytem bardzo już chory na serce, zarobił sobie na karę, oddalając się bez pozwolenia dla zasięgnięcia rady lekarza z innego okręgu. Zawołany do kancelaryi, zbliżył się chwiejnym krokiem i ze zdziwieniem wysłuchał wyroku: ledwie żył, ledwie oddychał a skazywano go na 80 plag — kat czekał gotów z narzędziem.

„Jedotow stał z ręką przyciśniętą do serca, blady jak płótno i tylko zmieszany pomrukiwał:

— Za oddalenie się... za to, żem chodził do doktora,..

Po skończeniu czytania wyroku, gdy wszyscy usiedli, on z wielkiem zdumieniem popatrzył na przytomnych i rzekł:

— Gdzież Bóg? A więc mogą odbierać życie?

I powiedziawszy to zatrząsł się, krzyk przeraźliwy rozdarł mu piersi, a z ust posypał się grad tak okropnych bluźnierstw, jakie trudno pojąć, że je mowa ludzka wyrazić zdoła. Miotał się przytem w napadzie rozpaczliwego szaleństwa, nadstawiając pierś, aby go zabito: „Niepodobna było wytrzymać. Doktór cały blady drżał. Wystraszony pomocnik nadzorcy krzyczał: Wyprowadźcie! Wyprowadźcie“.

Wistocie nikt nie myślał karać chorego — formalność jednak, „porządek“ wymagał, aby mu odczytano wyrok bez uprzedzenia, iż wykonanym nie będzie„.

„Oto właśnie — pisze autor — jest może jedna z tych chwil, w których gaśnie wiara a gniew, tylko gniew na wszystko budzi się w duszy!

— Jakiż ja tam chrześcijanin prawosławny! — często słyszałem z ust katorżników — kiedy nie spowiadam się i nie chodzę do komunii!

W gruncie zaś rzeczy to uchylanie się wynika z uczucia głęboko religijnego.

— Czyż to jest zakończenie postu? — mówią skazańcy. — Przychodzimy z cerkwi a tu dokoła pijatyka, gra i łajanie. Łeb przeżegnasz — śmieją się, obrzucają obrzydliwemi słowami. Wrócisz ze spowiedzi — łają. Przed komunią tyle się nabroi, że niepodobna do niej przystąpić. Tak lata upływają i człowiek się odzwyczaja.

Iluż z nich głęboko religijnych, odzwyczaja się od tego! Rozmawiamy z nimi, słuchamy i wydziwić się nie można: Czyż to są istotnie wszystko ludzie ze sfery „prostej, wierzącej, religijnej!“

— Jakież tutaj może być poszanowanie religii! — mówił mi jeden z duchownych we wsi Bykowskoje. — Jeszcze niedawno u nas grzebano nagich nieboszczyków.

— Jakto?

— Tak. Przynoszą do mogiły nagiego, no i odprawiamy pienia pogrzebowe. Zgorszenie!

— A gdzież ubranie aresztanta?

— Proszę spytać... Nie pogrzeb lecz pośmiewisko!

Wielki cios uczuciom religijnym katorgi wymierzają także owe „pożycia“ nieprawe, oddawanie katorżnic osiedleńcom, co się praktykuje „w interesach kolonizacyi“. Jeden z najważniejszych sakramentów, traktowany zazwyczaj przez lud z wielkiem poszanowaniem, profanowany jest w oczach skazańców... Ślub w ich pojęciu stracił znaczenie sakramentu...“

Według wszystkiego co pisze Doroszewicz widać, że wła-

dza na Sachalinie nie zupełnie zapomina o Bogu. Skazańcy sami przyznają, że niekiedy chodzą do cerkwi, dzień ich pod okiem inspektora zaczyna sie i kończy wspólnie śpiewaną modlitwą, w której nikt nie zmusza uczestniczyć mahometan z Kaukazu. Litera zatem jest zastosowaną ale — jak zbyt często u prawosławnych — widocznie uleciał z niej duch. Wszyscy to czują i zrzucają winę jedni na drugich:

— Czyż tu się troszczą o podtrzymanie uczuć religijnych wśród skazańców? — Skarżą na urzędników duchowni. Starcy zaś w szpitalu Derbińskim, ci straszni starcy ubodzy, którzy pogardzają wszystkiem na świecie, prócz pieniędzy — skarżyli się, że księdza na oczy nie widzą. Nawet na Wielkanoc nie był.

A tenże ksiądz derbiński mówił: „Chodziłem i nauczałem ale musiałem zaniechać; nie umieją się zachowywać należycie. Czytam, mówię, a tu w drugim kącie łają się na całe gardło. Więc przerwałem moją działalność".

— A mnie — odrzekł autor — zdawałoby się wprost przeciwnie, że właśnie tę działalność należałoby wzmocnić.

Ale duchowny zamiast odpowiedzi popatrzył nań tylko ze zdziwieniem.

Mogliby jednak, gdyby istotnie chcieli, więcej wpływu uzyskać. Toż gdy raz na żądanie prywatnego przedsiębiorcy kazano skazańcom iść do kopalni węgla w Wielki Piątek, dzień zawsze wolny i święty, duchowny z Due zapobiegł wykonaniu bezprawnego rozporządzenia. Wyszedł z krzyżem w ręku naprzeciw robotnikom idącym do pracy a katorga „opamiętała" się i wróciła do więzienia. Czy władza, która wydała rozkaz „opamiętała" się także? autor nie pisze. Możnaby też działać za pomocą książek, zważywszy, że niejeden skazaniec nie tylko, że umie czytać ale przebył gimnazyum i szkołę wojskową. Są też tacy co sobie niewłaściwem czytaniem zamącili głowę, jak np. jeden, który po spełnieniu zabójstwa przeczytał Darwina i zrozumiawszy go na swój sposób, znalazł w systemie „walki o byt" usprawiedliwienie swej zbrodni... W szpitalu Aleksandrowskim istnieje biblioteczka, ale jakież zawiera dzieła treści moralno religijnej? Oto ich spis:

16 egzemplarzy broszury: „O tem, że heretycka nauka Tołstoja burzy podstawy porządku społecznego i państwowego".

21 egz. broszury: „O nieboszczyku słudze bożym Aleksandrze" (Puszkinie).

4 egz. „Wskazówek o Wegetaryanizmie".

14 egz. broszury: „O widowiskach teatralnych podczas postu wielkiego".

Tytuły te obejdą się bez komentarzy. Obok nich istnieje do rozdania między katorżników tylko 5 egzemplarzy Nowego Testamentu i dwa egzemplarze „Męki Pańskiej". To wszystko. A przecież na Sachalinie stanęło już 11 cerkwi...

To dla prawosławnych. A katolicy?

Pan Doroszewicz nie wspomina o nich wcale, choć parękroć w ciągu opowiadania spotyka się nazwę: „Polak" lub „Polacy". Pragnęliśmy uzupełnić ten brak dla nas dotkliwy. Niepodobna jednak było dowiedzieć się o liczbie katolików na wyspie liczącej około 16.000 mieszkańców: Sachalin jest dziwnie daleko i trudno się kogokolwiek dopytać. Wiemy tylko tyle, że do niedawna jeszcze nie mieli żadnej własnej posługi duchownej, krom księdza, który raz na dwa lata odwiedzał ich ze San Francisco. Obecnie jest trochę lepiej. Miejscowy lekarz więzienny — niech mu to Bóg nagrodzi! sam począł pisywać do Polski o pomoc religijną dla swych biednych pacyentów. Udał się do ks. Tadeusza Lubomirskiego i nie zapukał napróżno. Za inicyatywą księcia, z datków prywatnych księdza Arcybiskupa Warszawskiego, księcia Romana Sanguszki a zwłaszcza hr. Feliksa Sobańskiego stanęła temu trzy czy cztery lata na Sachalinie katolicka kaplica. Nie mogliśmy się dowiedzieć, w którym okręgu — ale to mniejsza, bo wszędzie tam są nieszczęśliwi. Najprawdopodobniej jednak znajduje się w Korsakowskim. Ale nie dość było kaplicy; książę Lubomirski począł czynić starania o umieszczenie przy niej kapelana, ale niestety! usiłowania jego spełzły na niczem — dla braku księży. Kaplica zatem pozostała pustką i tylko raz w rok ożywia ją przybycie kapłana Polaka z Władywostoku. Smutne to położenie wzbudziło uwagę władz — snać dzięki generał-gubernatorowi Nadamurskiemu cieplejszy wiatr obecnie

na Sachalin wieje. Mówiliśmy już, iż tenże gen. Merkazin zabrania dowolnej chłosty; teraz zaś, przed paru miesiącami na rozkaz jego naczelny inspektor więzień sachalińskich p. Salomon napisał znów do księcia o fundusz stały dla utrzymania kaplicy i stałego przy niej kapelana. I znowu książę udał się do władz duchownych a serce się kraje na myśl, że będzie zmuszony posłać odmowę... Przed kilku dniami otrzymał z Petersburga odpowiedź wiejącą najgłębszym smutkiem. Piszą w niej, że „ks. metropolita nietylko nie znajduje kapelana dla Sachalinu ale do desperacyi dochodzi, że nie może istniejących już probostw i innych miejsc, potrzebujących księdza poobsadzać — tak, że jest obecnie ze 20 posad bez księdza, a niektóre, jak w Mińskiem, wakują lat 20 i 30... W Rosyi przestrzenie między kościołami są niesłychane a i te nawet, niektóre, nie mają proboszczów, a jeśli mają, to niedołężnych starców bez wikarego. Posad takich, jak probostwa, filie, kapelanie ciągle przybywa a księży nie wystarcza. W dodatku daje się już zauważyć brak aspirantów do seminaryum. W tym roku nawet wszystkie wakansy nie zostały zapełnione“... Słuszne są słowa poważnego i świętego kapłana, który, bolejąc nad nędzą wśród nędzy, powiada: że Pan Bóg do innych kar swoich na nas dodał najstraszniejszą — głód słowa Bożego...

I cóż my na to pomódz możemy — inaczej, jak modlitwą! Patrząc choć zdala na okropny obraz niedoli, jaki przed nami W. Doroszewicz roztoczył, serce się rwie pragnieniem przyniesienia jakiejkolwiek ulgi cierpiącym, choćby dobrą książką mogącą nakarmić zgłodniałe dusze lepiej od broszury o wegetaryanizmie lub o przedstawieniach teatralnych wśród Wielkiego postu. Co dla nas jest błahostką, wydałoby się na owem pustkowiu istotnym skarbem. Z ostatnich faktów widzimy, że władze miejscowe nie są tak obojętne na dobro duchowe skazańców, jak się owemu derbińskiemu parochowi zdawało. Sam gubernator, sam naczelny inspektor a nadewszystko poczciwy lekarz — może ten sam sympatyczny młodzieniec, o którym autor wspomina — pragną dla nich księdza i miejsca modlitwy — pragną dla nich Boga. A tu sami katolicy muszą odmawiać, bo niema księży!

Na to Bóg jeden doradzić może. Trzeba więc prosić bardzo, bardzo gorąco o powołania dla naszej młodzieży, o misyonarskie serca, którychby nie odstraszył moralny trąd, z jakim musieliby się spotkać w katordze, a jeśli Bóg się zlituje i łaski tej udzieli, to naszym przynajmniej zrobi się cieplej i jaśniej na Sachalińskiej pustyni. Dałby Bóg, aby ta wyspa, która dziś jest przedsionkiem piekła, stała się dla wszystkich, co na niej cierpią za winy — miejscem pokuty i odrodzenia — czyścem prowadzącym do nieba.

T. W.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Pobożność w duchu Chrystusowym. O pobożności prawdziwej i fałszywej. Napisała *C. Plater-Zyberkówna*. Warszawa. Druk T. Laskauera i W. Babickiego 1899. Str. 153.

Droga odrodzenia na duchu czyli trzydniowe rekolekcye. Przez *ks. Bogusława* — ofiarowane cieniom ś. p. B. Arndt. Warszawa. W drukarni Franciszka Czerwińskiego, ul. Nowy Świat. 1899. Str. 444.

Czy ja potrzebuję pracować? Napisane przez *C. P. Z.* Wydał ks. N. Godlewski. Warszawa. W drukarni St. Niemiry Synów. Plac Warecki Nr. 4. 1897. Str. 165.

Zdanie w wielu wypadkach słuszne: *taceat mulier in Ecclesia* przeszło już niemal w przysłowie, służy bowiem wybornie mężom lub braciom, wzbraniającym się przyjąć z ust żony lub siostry wytłumaczenia niektórych religijnych zasad czy też przepisów, które panowie ci wolą sobie na własną, wygodniejszą modłę wykładać. Nie jeden przytem, nie biorący zresztą nigdy do ręki pism ascetycznej treści, zarzeka się, że do śmierci nie zdobędzie się na przeczytanie książki nabożnej, wyszłej z pod niewieściego pióra. Co prawda nie ma ich wiele — kobiety mają zbyt szerokie pole apostolstwa w pokoju dziecinnym, w rodzinie, w salonie i we wsi, aby im zostawało dużo sił i czasu na pisanie rozpraw religijnych. Wogóle piszą je księża — dla kobiet, które, następnie, przeczytawszy udzielają rodzinie. Bywają wszakże wyjątki, gdzie rzecz dzieje się odwrotnie i Kościół mniej wybredny a raczej szerszy w poglądach od świecko-mądrych ludzi, zachowuje z czcią i miłością utwory niejednej świątobliwej niewiasty, choćby wy-

mienić tylko św. Katarzynę Seneńską, św. Katarzynę Genueńską, św. Teresę, św. Gertrudę, św. Matyldę i t. p. Obok tych wielkich pochodni nie brak i mniejszych światełek, umysłów mniej wzniosłych ale gorących i jasnych, usiłujących z własnej obfitości łask przelać cośkolwiek dla drugich, biedniejszych, aby, o ile być może, wszystkim było po Bożemu dobrze na ziemi. Liczba podobnych utworów wzmogła się w ostatnich czasach, boć też duch samodzielności, przewiewający najmłodsze pokolenia żeńskie, nie same wydał emancypantki i dziwolągi. Ziarno, co na polu świata zrodziło kąkole i osty, zmieniło swą naturę, gdy padło na rolę Bożą: przetrawiło się, oczyściło i uszlachetniło nad podziw. Powstał nowy rodzaj pracownic działających poza obrębem domu rodzinnego, przodujących i współdziałających w zakładach dobroczynnych, instytucyach, stowarzyszeniach, szkołach, ochronach, szpitalach i ambulansach, walczących o dusze bliźnich słowem żywem i drukowanem. Mamy właśnie pod rękę kilka objawów podobnego bojowania piórem, kilka utworów religijnej treści, które, acz jeden z nich tylko nosi wyraźny podpis autorki, możemy śmiało uważać za dzieła ręki, z pod której przed kilku laty wyszła wyborna książka zatytułowana „Życie katolickie“.

Utwory te — stwierdzić przychodzi na wstępie — nie są sobie równe. We wszystkich wprawdzie płonie taż sama miłość i taż sama szlachetność połyska: są jednak dziełem ludzkiem, nie mogą więc być doskonałymi. Najbardziej do swego celu trafiającą jest rozprawa o „Pobożności w duchu Chrystusowym“, która, ukazawszy się zrazu w rozmiarach skromnej bardzo broszurki, obecnie wystąpiła w drugiem wydaniu znacznie wzbogacona w wartości i treści. Wartość zaś podnosi się okolicznością, iż jest to książka, jakiej w społeczeństwie naszem bardzo było potrzeba. Nie wiem, czyby kto w całej Polsce jednego, prawdziwego znalazł ateusza: umysł nasz jest do absolutnej negacyi zbyt chwiejny, zbyt żądny wygodnego punktu oparcia, do któregoby powracać można w chwilach znużenia pomiędzy wędrówkami w krainę hipotez. Sporo jest niedowiarków, przyjmujących dowolnie niektóre cząstki wiary a odrzucających resztę, lub też pływających po wierzchu z Darwinem w jednej ręce, Renanem w drugiej, strzępami filozofów niemieckich w ustach, brzęczącym rojem niedorzeczności w głowie, a w sercu z ukrytym głęboko zarodkiem patryotyczno-romantycznej czci dla Najśw. Panny. Stokroć jednak większą od tych biedaków massę stanowią ludzie religijni, nie rozumiejący religii; pobożni, bez wyobrażenia czem pobożność prawdziwa być powinna, co stanowi jej

treść i istotę. Zdaje się, że na takich nigdy nie zbywało skoro sam Pan Jezus ostrzegał, że nie ci, którzy mówią: Panie, Panie, ale ci, którzy czynią wolę Ojca Jego, dostąpią królestwa niebieskiego — u nas jednak jest ich chyba najwięcej. Słusznie też autorka zaznacza, jako główną przyczynę złego, zdumiewający brak oświecenia w rzeczach religijnych, panujący nawet wśród ludzi skądinąd niezmiernie światłych i praktykę religijną dla zwyczaju i przyzwoitości. Są wprawdzie niektóre dzielnice kraju, gdzie to zło łatwiej wytłumaczyć się daje przez utrudnienie wpływu biskupów na księży, a w następstwie Bóg wie jakby ci ludzie wytrwali... Ale niestety wielu jest takich, którzy nie mają podobnych jak oni wymówek, którzy rozsiani po kraju względnie swobodnym, obfitującym w kościoły, dobrych księży i książki, są przecież równie ciemni i nieokrzesani, równie zasługujący na miano pół-katolików, jakiem ich nazywa autorka! Jedni wypełniają przepisy religijne w sposób fantastyczny, inni znów, trzymając się ich ściśle, oddzielają religię od codziennego życia, używając jej jak się używa perfumy a nie jak powietrza, którem się całą piersią oddycha. Dla tych i dla wszystkich — bo któż z nas może pomnożenia światła w rzeczach wiary nie łaknąć? — jest książka „O pobożności w duchu Chrystusowym“ drogocennym nabytkiem.

W pierwszym rozdziale, traktującym o Zasadzie pobożności, widzimy rozróżnienie między pobożnością a religijnością. Przez tę ostatnią „wypełniamy ściśle przykazania, jak sługa wypełniający pańskie rozkazy z obawą i uszanowaniem; przez pobożność zaś wypełniamy przykazania z miłością, a przeto z pewną rączością, jako syn miłujący“... „Wyraz pobożność“, czytamy nieco wyżej, „mieści w sobie w naszej polskiej mowie doskonałą etymologię. Być pobożnym znaczy tyle co żyć po Bożemu... Że zaś „pobożność nie stanowi osobnego stanu ale się stosuje do każdego i każdego uszlachetnia, że winna być wszelkich czynów sprężyną i siłą, uświerciadlającą na zewnątrz panowanie Chrystusa w duszy“, to są prawdy oczywiste, po stokroć już powtarzane a jednak, rzadko kiedy pojęte dokładnie. Niedawno zdarzyło nam się słyszeć z ust wiernego, i „praktykującego“ katolika zadziwiające słowa: „Gdyby za naszych czasów pojawił się jaki święty, ciekaw jestem jakby się wobec niego zachowali ludzie?“ I niepodobna było mu wyperswadować, że święci istnieć mogą, choć świat o nich nie wie, i że nie rozgłośne cuda ale ciche spełnianie cnót jest warunkiem świętości, że nawet „praktyki pobożne, które ludzie mylnie biorą za samą istotę pobożności są — jak słusznie pisze p. Plater — tylko sposobem utrzy-

mania w człowieku życia nadprzyrodzonego, pomocą w postępie ku doskonałości i o tyle tylko są dobremi o ile podtrzymują w duszy życie wiary. Szkodliwemi zaś stają się od chwili, w której człowiek, odwracając się od swego celu istotnego, jakim jest spełnienie woli Bożej, wykonywałby praktyki pobożne dla przyjemności, jaką w nich znajduje lub uważałby je za cel swego życia?" Słowem, ani długie modlitwy, ani zapisywanie się do licznych bractw, ani nawet częste przyjmowanie Sakramentów nie uczynią człowieka świętym, jeżeli modły będą przedłużane kosztem obowiązków, jeżeli przynależność do bractw będzie tylko sposobnością w dobieganiu próżnej chluby i *sui generis* rozrywki, jeżeli częste zbliżanie się do Stołu Pańskiego nie natchnie go do walki z duchem pychy, gniewu, lenistwa... Nie potrzeba też, aby, chcąc zostać świętym, lub przynajmniej pobożnym, stać się pedantem lub smutnym: przeciw temu mniemaniu światowców walczył już św. Franciszek Salezy. Jest jednak inne mniemanie, które za jego czasów musiało być mniej powszechnem niż dzisiaj, a które autorka zbija zwycięzko, to jest, że pobożność winna być wyłącznym monopolem kobiet, rzeczą nie stosowną dla mężczyzn. „Czyliż nie mają i oni duszy do zbawienia? — pyta zdziwiona — czyliż istnieje dla nich jakie inne prawo, jaka odrębna moralność?"

Faktem jest, że większość (nie wszyscy) mężczyzn myśli, że im pobożność nie jest do zbawienia potrzebną, że byle z grubsza zachowali przykazania a raz w rok oczyścili sumienie, to już wystarczyć powinno: niejeden młody człowiek ma wrażenie, iż wielki zaszczyt Panu Bogu wyrządza, klękając przy konfesyonale. Skądże to pochodzi i czy tylko wpływ świata temu jest winien? Nie wiadomo; już od pierwszej młodości nieraz usposobienie to się wytwarza. Matki czują to instynktownie i choć z równem staraniem wychowywały synów jak córki, przecież jeśli w kościele jest zaduch lub nabożeństwo nieco się przedłuży, jeśli kazanie niezbyt fortunnie wypadnie, wraz myśl ich niespokojna zwróci się ku chłopcom: czy się nie zniecierpliwią, nie znudzą, nie zmęczą, czy ich słowa kaznodziei nie zrażą? O dziewczętach ani nie pomyślą, jakoby z mniej kruchej gliny były zlepione. Książka do nabożeństwa w męzkim ręku należy do rzadkości; tłumaczą się mówiąc, iż modlitwa prosto z duszy idąca do Boga, więcej od czytanej jest warta. Zapewne, tak modlą się święci; ale nam biednym grzesznikom potrzeba niejednej pomocy, by do stóp krzyża zwracać rozbiegające się myśli. Wśród mężczyzn za to mniej jest przypadków fałszywej dewocyi a gdy się trafi pobożność, to jest głębsza, czystsza, go-

rętsza, niż u większości pobożnych kobiet. Jedno także zauważyć można, to jest, że mężczyźni wierzący więcej dbają o wielkie, główne zarysy swego życia, niż o codzienne szczegóły, gdy przeciwnie kobiety będą nieraz bardzo skrupulatne w drobiazgach, a mniej uważne na całość: tak np. niejedna najspokojniej pod pozorem edukacyi córek opuści męża, synów i dom na całe zimy i lata, inna zaś zamknie się samolubnie w najbliższem kółku, zapominając o cierpiących i biednych, a przytem będzie nietylko obowiązki religijne wypełniać, ale wystrzegać się najlżejszej obmowy, niecierpliwości, złej książki i t. p. Mężczyzna zaś będzie pracował w pocie czoła na utrzymanie rodziny, świecił przykładem najszlachetniejszych cnót obywatelskich a pozwoli sobie na drobnych zboczeń tysiące. Co z dwojga lepiej, albo raczej co gorzej?

Pierwszym warunkiem pobożności jest zaparcie się swojego ja, umartwienie w sobie wszystkiego co zdrożne, a zwłaszcza miłości własnej, zaparcie, bez którego niema nawet modlitwy wobec nieujarzmienia wyobraźni i myśli. Zaparcie jest opanowaniem natury; „każde zaś ustępstwo uczynione naturze osłabia wolę i czyni ją wkońcu bezsilną w walce, ulegającą każdemu prądowi, każdej zachciance. Okoliczności rządzą człowiekiem wszechwładnie...“ Nie zna on pobudek nadprzyrodzonych czynu, nawet w modlitwie nie Boga szuka lecz siebie. Modli się póki go cierpienie gniecie... ale nie dłużej. Zaparcia — powinnyby nas przykłady świętych nauczyć, ale nam zazwyczaj się zdaje, że oni bez trudności i pokus płynęli drogą zbawienia, że zatem my, którym iść ciężko, nie mamy obowiązku wstępować w ich ślady. Zapominamy, że pomimo wyjątkowych łask, nie byliby zostali świętymi, gdyby właśnie nie te pokusy zdeptane, nie ciągła walka i trud.

Drugim warunkiem pobożności jest noszenie codziennego krzyża, powszednich przykrości w pracy obowiązkowej, zdrowiu, obcowaniu z ludźmi i tysiącem okoliczności spotykanych na drodze. Krzyżem są ułomności natury w nas samych i w bliźnich, przeszkody w zajęciach, pożerające nam czas drogocenny, obowiązki trudne, konieczne a między sobą sprzeczne, brak zdolności w tym właśnie kierunku, w którym nam trzeba pracować, rozczarowania, zawody w przedsięwzięciach, zawody w miłości serc drogich, śmierć i cierpienia drugich, ich grzechy... Krzyża zaś wybierać nie można, tylko ten nosić, który nam Opatrzność nakłada: „Jest to nasza obowiązkowa pokuta, klucz otwierający nam niebo!“ Ludzie jednak wogóle odrzucają obowiązek pokutowania, umartwienia, zaparcia, to też zbyt często, nawet u ludzi religijnych cnota trwa tylko aż do chwili pokusy, zaczem świat, patrząc

na ich sprzeczne zasady i czyny, potrząsa głową i mówi, że „przecież ci katolicy nie są lepszymi od innych!“

Trzecim warunkiem a raczej dopełnieniem poprzednich jest naśladowanie Pana Jezusa w wielkich a cichych cnotach Jego ziemskiego żywota. Zaiste wielkie żądanie! Tym wszakże, którychby straszył program zaparcia, krzyża i naśladowania, warto przypomnieć, iż sam Chrystus Pan zapewnił, że „jarzmo Jego wdzięczne jest a brzemię lekkie“, że tą drogą zatem można też znośny, jeśli nie szczęśliwy, przebyć żywot na ziemi. Istotnie patrząc bliżej, widzi się, iż przeciwności nie są wyłącznym udziałem pobożnych, jak to się niektórym wydaje: na tamtych równie spadają klęski, straty, zawody, tęsknota... A podczas gdy chrześcijanie płaczą, przytuleni do krzyża, jak chore dziecko do kolan swej matki — oni, cierpią samotni, w chłodzie, w ciemności i w opuszczeniu. Co dla jednych jest bólem, jest dla drugich rozpaczą, jest miotaniem się i szarpaniem bezsilnem. Skąd ten ogromny smutek, który zalał obecnie świat, jeżeli nie z braku wiary? Kto cierpi a rozumie dla czego, kto może w cierpieniu mieć cel wytknięty a pewny, ten już o połowę mniej cierpi. Oni cierpią bez celu, bez światła i bez nadziei: komuż więc lepiej na świecie?

A nietylko cierpią daremnie, ale nieraz i daremnie pracują i nawet czynią dobrze bez żadnej dla siebie zasługi. Pan Jezus ostrzegł, iż odetnie każdą latorośl nieprzynoszącą owocu w Nim. A wieleż to jest cnót świeckich, filantropij, poświęceń a nawet uczciwości niemających za motyw woli swego Stwórcy, ale honor światowy, ambicyę, miłość własną lub wreszcie naturalne współczucie z biednymi? Lepiej nawet o tem nie myśleć; tylko te proste choć dobre uczynki polecić miłosierdziu Bożemu, a samemu schronić się w światło krzyża i każdy swój czyn choć najdrobniejszy, dobrą intencyą w woli Bożej zanurzyć. Bywają czasy błogie, gdzie nam o tę intencyę nie trudno: wola nasza sama się z wolą Bożą splata, gdzie cnota zda nam się być przyrodzonym żywiołem, a serce w nadziemskim zachwycie śpiewa nieustające: *hosanna*. Taki czas nazywa autorka wiosną duszy, opisując go u wstępu rozdziału omawiającego „różne doświadczenia życia pobożnego“. Ale po tej wiośnie, następuje czas chłodu, oschłości i mroku. Zda się, że niebo gdzieś daleko uciekło; dusza na próżno szuka swego Słońca: nie widzi Jego światła, nie czuje ciepła promieni. A przecież musi iść dalej wśród cienia, wśród zimna i cierni, iść z sercem odważnem choć chwilowo zmrożonem, z modlitwą, choć oschłą i przerywaną na ustach. Jest to najlepszy czas żniwa, czas najobfitszej zasługi, albo pokuty.

Zasługą jest jeśli nam go Bóg zsyła na próbę, pokutą — jeśli na nasze niebo sami zaciągamy chmury światowych żądz, myśli, roztargnień. Jeśliśmy sami winni, należy przedewszystkiem usunąć złego przyczynę, nie łudząc się jednak, aby kara wraz z nią ustać miała. Bóg zaniedbany czasem dłużej się gniewa niż Bóg obrażony; tak czynią również ludzie, gdy bardzo kochają... Bądź co bądź, czy przez pole próby czy pole pokuty, kroczyć musimy wytrwale i bardzo pokornie w przekonaniu, że Bóg nas nie opuści po drodze. Jeśli chwilowo w duszy nie dosłyszymy głosu Jego, by nami kierował, możemy go usłyszeć pośrednio przez usta spowiednika u trybunału pokuty. O wyborze tego doradcy i słuchaniu jego wskazówek mamy znów krótki rozdział, parafrazę tego, co św. Franciszek Salezy Filotei w tym przedmiocie powiedział. W duchu św. Franciszka również napisany jest rozdział o pobożności wśród świata, zaznaczający konieczność 1) oświecenia się w rzeczach wiary i 2) usamowolnienia się. Nie chodzi tu oczywiście o zrzucenie z siebie więzów posłuszeństwa, nałożonych przez Boga, ale o uwolnienie się od jarzma światowych przesądów i pojęć, owej „ledwo dostrzegalnej pajęczyny, jaką świat zastawia, i w którą tyle łowi ofiar...“ Nie chodzi tu o modę, ani o przyjęte a same przez się niewinne formy towarzyskie, do których w sposób rozsądny stosować się trzeba, chodzi o to, aby względami ludzkimi nie krępować swego sumienia, nie naruszać przez grzeczność przykazań Boskich lub kościelnych, nie kierować się w postępowaniu faktem, że „tak wszyscy czynią“ — nie ci „wszyscy“ bowiem, ale my sami za siebie odpowiemy przed Bogiem. Pod tym względem, jak i pod wielu innymi, odwaga cywilna jest rzadkością, zwłaszcza u nas, gdzie każdy gotów iść na kule armatnie, ale przed obawą śmieszności — ulegnie. Tu zaś trzeba mieć nietylko siłę odporną, ale i energię przeciwdziałania, nie przybierając przytem kaznodziejskich tonów. Wszak „wpośród złego, które go otacza, chrześcijanin biernym pozostawać nie ma prawa; przeciwdziałania Bóg się od nas domaga, a to tem silniejszego przeciwdziałania, im wyższe stanowisko zajmujemy wśród ludzi. Obowiązkiem naszym jest dokonać w świecie dzisiejszym tego, czego pierwsi chrześcijanie, przejęci zasadą Chrystusową — dokonali w świecie pogańskim, świat mianowicie spoganiały uchrześcijanić, co uskutecznić możemy wpływem przykładu i słowa“.

Zauważyć należy, iż przykład postawiony jest tu na pierwszem miejscu, on bowiem działa bardziej od słowa, skuteczniej, a zwłaszcza zgodniej. Dwa lub trzy dwory trzymające się ściśle praw Bożych, mogą

zmienić na lepsze zwyczaje całej okolicy, nie potrzebując przytem odziać się w powagę klasztorną. Im w nich będzie swobodniej i cieplej, im gościnność będzie serdeczniejsza a domownicy weselsi, tem wpływ dobra będzie silniejszy, oddziała bowiem nie na umysły, lecz serca. Im chrześcijanin jest milszy, szerszy w poglądach a uczynniejszy dla bliźnich, tem silniej samym widokiem swoim pociąga do Boga; sam fakt zaś, że on sam jest do Boga zbliżonym, powinien pewną słodycz świetlaną przelać w całą jego istotę. Niektórzy wprawdzie skarżą się, że pobożność wprowadza w ich życie komplikacye, utrudnienia, niepokój; są to ci, co zamiast życie skierować ku niebu, usiłują „pobożność nagiąć do zasad świata, do życia światowego — a to się nie daje". Radziby „dwom panom służyć", słuchać z rana mszy św. a wieczorem rozpustnej komedyi, przeczytać rozdział „Naśladowania" a potem gorszącą nowelkę, kwestować na ubogich, ba — nawet na nich tańczyć i grać komedyę, a język ostrzyć na cudzej sławie, lub też dla własnej zabawy odciągać młodych ludzi od obowiązkowej pracy. Że zaś to się nie godzi (śliczną możnaby tego słowa etymologię wyciągnąć), więc w duszy wzrasta niesmak i niepokój, za które winuje się pobożność. I radby się człowiek pozbył tego niesmaku, nie zważając, że jest łaską Bożą, ostrzeżeniem na ślizkiej drodze upadku. Niech spróbuje żyć po Bożemu, brać co dobre, odrzucać co złe, a wnet i dusza jego do równowagi powróci.

W rozdziale zatytułowanym: „Poczem poznać możemy nasz prawdziwy postęp duchowy", jednym z najlepszych z dzieła, autorka ostrzega przed złudzeniami, dzięki którym mniemamy się w życiu duchownem wznosić szybkim lotem do nieba, gdy w istocie ledwie pełzamy po ziemi. Nigdy nam dosyć modlitw, umartwień, pokuty a obok tego lenimy się w obowiązkach, szemrzemy w przykrościach, oburzamy się o lada drobnostkę. Jestże to prawdziwa pobożność? Oj podejrzana bardzo twoja pokuta, jeśli z tych cierpień, które wprost od Boga pochodzą, korzystać nie chcesz... To nie duch pokuty pędzi cię do ostrości życia, ale pycha, żądza nadzwyczajności i wyróżnienia... miłość własna kryjąca się pod płaszczykiem umartwienia. Pięknie wyglądalibyśmy w aureoli męczeńskiej, więc po tę aureolę rękę ściągamy — jednak bez męczeństwa!

Przyznając powyższym zdaniom absolutną słuszność, mianowicie, iż nie własnowolne praktyki ale wierność w obowiązkach i cierpliwość w zesłanych nam krzyżach, jest oznaką prawdziwego postępu — niepodobna nie zauważyć, że dla niektórych dusz, słabszych może od in-

nych, dobrowolne umartwienia mogą być pomocą, ułatwieniem do zniesienia bólów żywota. Można w nich znaleźć rodzaj synapizmu, zmuszającego myśl do oderwania się od rozpaczliwych głębin, na dnie których tkwi bunt, tkwi straszliwa pokusa przeciwko wierze, miłości, nadziei! Bo, że „cierpienia większe rzadko kiedy się trafiają“ — to prawda tylko chyba dla wyjątków: dla ogółu ludzkości bez względu na wiek, zamożność i wykształcenie, nieszczęście jest częstym gościem a cierpienia są chlebem powszednim. Toż nieraz nawet pod najświetniejszymi pozorami szczęścia znaleźć można głębokie cierpienie. Bądź co bądź większe czy mniejsze, „jednego pewnym być można a mianowicie tego, że nas w tem życiu cierpienie nie minie... że nas wszędzie poszuka i znajdzie...“ a i to również jest pewnem, że „ten tylko śpiewać będzie w niebie wesołe *Alleluja,* kto na ziemi często powtarzał z Chrystusem: *Fiat voluntas Tua — Fiat —* i *Deo gratias.*

Nie wszyscy pobożni jednak tak rzeczy rozumieją. Obok pobożności prawdziwej istnieje fałszywa, a świat niestety często jedną bierze za drugą, i gorszy się. Autorka musiała się wiele tego fałszywego złota napatrzyć, daje nam bowiem charakterystykę wyborną, jakiejby się najgłębszy psycholog nie powstydził. Warto jest kilka ustępów z niej streścić:

„Jako cecha charakterystyczna, wspólna wielu osobom, które szatan w sidła fałszywej dewocyi zaplątał, uderza nas przedewszystkiem to, iż te osoby chwytają wszystko wrażliwie, powierzchownie, jednostronnie. Przyswajają sobie tylko takie praktyki religijne, które ich usposobieniu odpowiadają, choćby te niezgodnemi były z duchem Kościoła (np. w dzień Wielkiejnocy pościć, wówczas gdy cały Kościół się raduje i t. p.) a odrzucają inne, które Kościół zaleca dlatego, że się nie podobają. Bez cienia roztropności obarczają się modlitwami i różnemi praktykami, choć te odwodzą je tylko od pełnienia obowiązków stanu. Stąd też mają osobliwe upodobanie do nadzwyczajności, łatwą dają wiarę takim cudom, którym Kościół wierzyć nie nakazuje, z żywotów świętych, czytanych z zapałem, naśladują te cnoty jedynie, które osobliwością trącą: głośne apostołowanie, poprawianie bliźniego, ekscentryczny ubiór, a niekiedy też i ostre pokuty, posty, nocne czuwania. Napominane aby w prostocie i pokorze Bogu służyły, na głos rozsądku uszy zamykają, wmawiając w siebie, iż są wyższego ducha, którego pospolici ludzie pojąć nie mogą... Dziwnie nieznośnym bywa niekiedy ich despotyzm, ich niewyrozumiałość, ich wymagania. Żądają np., aby dlatego, że są pobożne, wszystko im służyło na zawołanie,

aby każdy im ustępował miejsca w ławce lub przy konfesyonale [1], przepychają się tam nieraz przed najbardziej potrzebującymi, przed mężczyznami, studentami, którzy czasu nie mają do czekania. Zdarza się też, że ledwo ksiądz wyszedł z konfesyonału biegną za nim, aby dla nich powrócił, ledwo skończył rozdawać Komunię, aby napowrót dla nich zapalono świece, bo ledwo na tę chwilę zdołały skończyć jakąś modlitwę a gdy im kapłan tłumaczy, że nie ma prawa raz po razu udzielać Komunii św., one piorunują na jego brak gorliwości i nie kryją się ze złym humorem. Długie historye potrafią opowiadać kapłanowi o niezwykłych drogach, jakiemi je Bóg prowadzi, o natchnieniach łaski do czynów heroicznych, o snach, widzeniach, ba! nawet objawieniach — lecz niechno się tylko spyta o sposób w jaki one spełniają swe obowiązki stanu, jaką jest ich uległość względem rodziców, przełożonych, obrażają się bardzo, bo jakże można je zagadywać o takie rzeczy doczesne? Ma się rozumieć, że już nie wracają ze spowiedzią do kapłana, który je śmiał o takie pospolite rzeczy pytać! O jakież to cudaki wytwarza ta fałszywa pobożność! Istne to strachy na wróble, odstraszające od pobożności prawdziwej ludzi nie umiejących rozróżnić prawdy od jej karykatury"...

To w kościele — a poza kościołem gniew, obrażliwość, obmowa, zaniedbanie najbliższych obowiązków, wszystko świadczące, że ich dewocya jest tylko firmą, przybraną dla fantazyi, czasem dla pozycyi socyalnej lub też rzeczą dobrą a w zarodku skrzywioną przez ich mniejszą lub większą nieświadomość najistotniejszych prawd wiary. Jest także nieraz rzeczą nawyknienia z dawnego, cnotliwego życia, pozostałą w użyciu po utracie cnoty: „Można bowiem być nabożnym i bardzo nabożnym" (w rozumieniu własnem a nieraz i ludzi) „a jednak przytem być złym, bardzo złym człowiekiem... co innego bowiem są środki do nabycia cnoty a co innego samaż cnota"...

Jako jedno z głośnych źródeł spaczenia pobożności u wielu — zwłaszcza u kobiet — podaje autorka czytanie bez wyboru przez osoby świeckie, dzieł ascetycznych przeznaczonych dla zakonników i chęć zastósowania nie ducha ich, ale litery, w życiu rodzinnem i społecznem. „Nie każda książka dobrą jest — pisze cytowany przez p. Plater Wie-

---

[1] Tak np. pewna miejska dewotka wypychała panią siedzącą przy niej w ławce kościelnej: „Ustąp się pani" mówiła głośnym szeptem: „ustąp się pani, bo nie mam miejsca u d e r z y ć b a r a n a!" tj. uderzyć się w piersi na *Agnus Dei* (autentyczne).

logłowski — dlatego, że o religijnych kwestyach traktuje. Tak, jak we wszystkiem, rozumny wybór jest niezbędny". Święta prawda — ale czyż każdemu jest łatwo wybierać? Dobrze jest mówić: Trzeba, aby każdy jadł tylko to, co dla jego żołądka jest zdrowem, ale to teorya blednąca wobec głodu i trudności przebierania w pokarmach. Człowiek głodny je to, co ma pod ręką, co widzi, że jedzą drudzy i nieraz dopiero po niewczasie może się przekonać, że to, co im szło na zdrowie, było dla niego niestrawnem. Zarzut zaś czyniony w takich i innych wypadkach: A czemu się nie poradził? — jest zazwyczaj niesłuszny; rzadko bowiem znajdzie się człowiek, chcący lub mogący „wątpiącemu dobrze radzić" — zwłaszcza w podobnej sprawie, gdzie trudno z góry sądzić o usposobieniu bliźniego. Może to uczynić skutecznie chyba spowiednik lub matka; do matki też należy roztropne stopniowanie w wyborze czytań pobożnych dla dziewcząt, by ich snać nie zrazić zbytkiem rygoryzmu, lub nie wprawić w sztuczną egzaltacyę, po której zazwyczaj następuje światowy zwrot. Przeciwko tej egzaltacyi skierowany jest następny rozdział, omawiający „jaka pokuta kogo obowiązuje". Każe ludziom świeckim pokutować poprawą życia, ścisłością w pełnieniu przykazań i obowiązków, zostawiając pozaobowiązkowe umartwienia ludziom poza światem żyjącym, w ciągłej obawie, że penitenci świeccy (a raczej penitentki) wpadną w chorobliwe zaćmienie sumienia, i nierozsądnemi praktykami zastąpią cnotę. Wogóle jest to rzecz indywidualna, w której oprócz ogólnego przepisu pełnienia przedewszystkiem własnych powinności, niepodobna stawiać reguły. Przypominamy tylko, że w kwestyi, czy umartwienia nadobowiązkowe mają pozostać udziałem zakonów, O. Nepveu S. J. odpowiedział już przed 200 laty, pytając: dlaczego pokutować mają właśnie niewinni a nie ci co grzeszą?

Swoją drogą, nawet bez osobnych umartwień, byłoby się prawdziwie świętym, gdyby się obróciło w czyn wszystkie rady autorki. Godnem z zaleconych przez nią umartwień umysłowych jest poskromienie wyobraźni, skupienie myśli, słowem zwalczenie roztargnienia w modlitwie. Na tę chorobę, przechodzącą u większości w kalectwo, podało już „Naśladowanie" lekarstwo, którego tu parafrazę widzimy: strzedz się po za chwilami modlitwy zbytniego rozproszenia ducha, zaczem i do modlitwy przyjdzie łatwo się skupić. Święci umieli się modlić „bo mieli ustawicznie wszystkie władze duszy na wodzy... bo dusza ich dążyła do Boga jako do swego punktu ciężkości, a ponieważ kochali rzeczywiście Boga ponad wszystko, równie trudno im było swą myśl

od Boga oderwać, jak nam trudno ją skupić a oderwać od rzeczy doczesnych". Trudno nawet — nie już doskonale ale przyzwoicie (w oczach Pana Boga) korzystać ze środków pobożności, tj. z pobożnych praktyk, którym autorka poświęca ostatni rozdział, może w obawie aby ją kto nie posądził o purytanizm protestancki, czerpiący z własnej duszy bez pomocy kościelnej siłę do zaparcia i cnoty. Dobre to bardzo na końcu, nigdy bowiem, zwłaszcza w reczach wiary nie można być dość jasnym, nigdzie pomyłka, lub złe zrozumienie tak wielkiej nie przyniesie szkody. Jasność zaś i prostota są wybitnemi cechami książeczki, którą chciałoby się widzieć w każdym domu i we wszystkich rękach. Jest to niezaprzeczenie najlepsza rzecz, wyszła z pod tego pióra.

Drugi utwór „Droga odrodzenia na duchu [1] nosi widocznie pseudonimowy podpis ks. Bogusława. Znać nietylko ten sam kierunek umysłu, tenże sam styl ale i tenże sam, właściwy autorce sposób podkreślania wyrazów i zdań różnymi rodzajami druku, to pochyłym, to tłustym, to znacznie większym; częstem, niekiedy do zbytku podnoszeniem efektu kilku kropkami tam, gdzie chce, aby się czytelnik zatrzymał i pomedytował. „Droga odrodzenia" ma na celu umożliwienie odprawienia rekolekcyj w domu osobom, nie mogącym odkryć ich w miejscu odpowiedniejszem. Cel piękny bardzo, ale czy wykonalny w domach prywatnych? Czy matce, pani domu, nauczycielce i t. p. jest kiedy możliwem odosobnić się u siebie przez trzy dni z rzędu tak, aby ją ludzie i sprawy ich zostawili w spokoju? Toż nawet ludzie piszący książki najczęściej pracują w nocy, gdyż wtedy tylko gdy inni śpią mogą być pewni, że im nikt nie przerwie roboty. Klucz ani rygiel na to nie pomoże: wnet ktoś zapuka, zawoła, a nie odezwać się trudno bo kto wie czy nie wołają do chorego, lub do rzeczy ważniejszej, której zaniedbanie byłoby istotnym grzechem? Same rozmyślania osnute poczęści na tle pism św. Ignacego, O. Morawskiego i innych, poczęści zaś zupełnie samoistne, bardzo są dobre, przytem opatrzone przy końcu modlitwą oraz dobrze zastosowanymi tekstami Pisma św. Zwłaszcza rzecz „O nawróceniu św. Piotra" bardzo jest przejmującą. I nie dziw: toż to najcudniejszy dramat miłości, tak wielkiej, tak bezgranicznej, o jakiej żadnemu poecie nawet się nie śniło. Cóżby się stało z Piotrem po zmartwychwstaniu, gdyby Pan Jezus był tylko człowiekiem? Zdra-

[1] „Droga odrodzenia na duchu" czyli „Trzydniowe rekolekcye" ks. Bogusława, ofiarowane cieniom ś. p. R. Arndt. Warszawa. W drukarni Franciszka Czerwińskiego. 1896. Str. 444.

dzony byłby może przebaczył, ale jak? Ze zwiędłej przyjaźni szczątkiby tylko zostały, trawione co dnia nieufnością, podejrzywaniem. A tu ani słowa wyrzutu! Nic prócz dawnej miłości zwiększonej czułą litością nad słabością ukochanego. A co się działo z Piotrem dzieje się z każdym z nas i to nie raz, nie dwa, ale za każdą spowiedzią. Jakież to źródło ufności a nadewszystko, jaki bodziec do oddania choćby setnej części tej wielkiej miłości, z jaką Pan Jezus, ukazując nam swoje rany, pyta nas po trzykroć — czy Go kochamy?

Możnaby ku końcowi książki zarzucić coś w rozkładzie przedmiotów, dziwne wielce pominięcie zupełne przygotowania do Komunii św. i rozmyślania o Eucharystyi. Rachunek sumienia nader słusznie rozłożony jest na parę dni dla gruntowniejszego zastanowienia nad ogólnemi i poszczególnemi obowiązkami różnych stanów; wymienienie tych obowiązków oraz wykroczeń wydaje nam się nieco pobieżne; dla mężatek np. bez porównania głębszym jest rachunek sumienia zawarty w wybornej książce francuskiej *Recueil de prières et de méditations* p. de Flavigny. Ale i to co jest, bardzo jest dobre i lepsze niż ogólnikowe określenia grzechów, do których tak już niestety sumienie nasze przywykło, że po jego wierzchu spływają, nie docierając do głębi.

Niektóre z rozmyślań, zawartych w „Drodze odrodzenia", wyszły w osobnych odbitkach, mianowicie: „Trzy drogi życia" i „Czem jest świat". Ponad te dwa jednak o wiele wyższem jest rozmyślanie „O dwóch chorągwiach", bo też i przedmiot podatny: chorągiew krzyża, za którą postępuje się drogą u dołu ciasną i ciernistą, ale z całem niebem jasności i przestworza nad głową i chorągiew świata, wiodąca drogą szeroką, pochyłą a ślizką, gdzie wprawdzie stąpać wygodniej, ale gdzie czoła podnieść niepodobna, bo nizkie sklepienie ludzkich przesądów nagina kark ku ziemi a wzrok tamują ciemności powątpiewań i błędu, nie rozświecone sztucznemi kagankami rozumu. Cierpienie na obu spotyka się drogach: na jednej jako ostroga pchająca coraz wyżej, coraz szybciej do celu, na drugiej jako przeszkoda, jako kalectwo, którego dolegliwości człowiek usiłuje przed sobą i przed drugimi blichtrem zabawy pokrywać. Jakim zaś jest ten blichtr poucza nas rozmyślanie o tem, „Czem jest świat", zdające się być uzupełnieniem poprzedniego a jednak w książce rekolekcyjnej umieszczone o wiele wcześniej. Istotnie tu „świat" wzięty jest jedynie ze strony salonów i zabaw, próżności niewieściej i próżniactwa. Natomiast zapomnianym jest zupełnie świat polityczny, świat giełdowy, literacki i przemysłowy,

ów chaos kłębiących się żądz, wrzących namiętności, rozpanoszonej pychy i samobójczej rozpaczy. Rzecby można, iż cała rozprawka pisana jest wyłącznie dla panien lub młodych mężatek, i jako taka jest niezmiernie dobra, wykazująca, iż przez „świat“ należy rozumieć nie — jak to wielu mniema — osoby pewnej sfery lub też liczniejsze zebranie osób, ale żywioł pogański, ziemski, grasujący po wsze czasy w ludzkich umysłach. Szkoda tylko, iż autorka nie rozszerzyła tu swego przedmiotu, przedstawiając go, choć pobieżnie ale w całości, a nietylko w jednym z jego objawów.

Zupełnie już niezależną od „Drogi odrodzenia“ jest książeczka p. t. „Czy ja potrzebuję pracować?“ [1], przeznaczona głównie dla rzemieślników i to, jak przepaska na stronie tytułowej zaznacza: dla przełożonych i starszych. Jest to rozprawka raczej moralno-ekonomiczna niż nabożna, już tem samem, może poczytniejsza, iż choć przesiąknięta religią, dąży głównie na pozór do wzmożenia ziemskiego dobrobytu klas robotniczych. Jedyna rzecz nadająca utworowi cechę nieco kaznodziejską są co chwila powtarzane wyrazy: miły bracie, forma protekcyonalna, którą może niejeden pan majster liczący się sam do inteligencyi, czuć się urażonym i rzucić książkę. A istotnie byłoby szkoda, gdyż prócz paru ustępów, gdzie autorka zapędza się nieco i mówi nie jak do rzemieślnika, ale do szlachcica wiejskiego lub do otoczonej służbą panienki, całość jest wielce pouczającą, tak co do godności i zasługi pracy, jak oszczędzenia jej owoców, obowiązki względem podwładnych terminatorów, czeladników i nawzajem względem chlebodawców oznaczone jasno, nacisk położony na uczciwość i akuratność w odrabianiu obstalunków, rzeczy u nas prawie nieznanej i to od najdawniejszych czasów! Czytamy przecież, że już w XV. wieku krwawa burda powstała w Krakowie z okazyi niewykończenia na termin zbroi, którą Andrzej Tenczyński miał wziąć na wojnę. Odtąd stosunki mało się zmieniły i albo robota bywa wykonaną po czasie, i to z gorączkowym pośpiechem, albo też leży skończona z wysiłkiem na termin i zapomniana całymi tygodniami przez tego, co ją miał odebrać. Ale wracając do książki, jedno jest trochę dziwnem: różnica zasadnicza, czyniona między ubóstwem a nędzą. Dotąd zdawało się, że nędza jest tylko większym stopniem ubóstwa, według autorki jednak są to stany zupełnie odrębne. Ubóstwo, mówi, bywa lub może być skutkiem

[1] „Czy ja potrzebuję pracować?“ Napisane przez C. P. Z. wydał ks. N. Godlewski. Warszawa. W drukarni Niemiry Synów. 1897. Str. 165.

nieszczęścia, klęski, choroby i z niego zawsze podnieść się można; nędza przeciwnie jest zawsze wynikiem moralnego i materyalnego nieporządku, lenistwa, pijaństwa, rozpusty, zaniedbania i brudu. Czyż doprawdy można tak rzecz uogólnić. I czyż nie lepiej powiedzieć, że istnieją dwa gatunki nędzy: jeden godzien miłosierdzia i czci a drugi pogardy, a raczej skarcenia? Wielu jest teraz ludzi na świecie twierdzących, że „niema nieszczęśliwych — są tylko występni lub głupi". P. Platerówna nie idzie tak daleko, mówiąc jednak najczęściej o nieszczęściu, jako o wyniku własnej winy nieszczęśliwego, zapomina, że niejeden niewinny przez całe życie ponosi skutki nieprzezorności rodziców, nieuczciwości opiekunów lub innych, którym zawierzył, że wreszcie sam Pan Jezus, gdy Go Apostołowie pytali, czy ów ślepy od urodzenia cierpi za winy swoje czy ojców, odrzekł, iż cierpi nie za żadne winy, ale aby się na nim objawiła chwała i potęga Boża... Wogóle możnaby zarzucić w dziełach szan. autorki pewien brak odczuwania boleści drugich, a zarazem i brak nacisku na cnotę miłosierdzia, według której przecież mamy być sądzeni. Trzeba jednak zauważyć, że niepodobna wszystkiego naraz nauczać i że, kształcąc nas w sumienności względem Boga, rzetelności względem samych siebie i sprawiedliwości względem bliźniego, przysposabia się najwyborniej „rolę dobrą", na której każdy zasiew Boży zejść może.

T. W.

Krytyczny rozbiór kazań i homilij Hipacyusza Pocieja. *Ks. dr. J. Krukowski.* Lwów 1899. Odbitka z *Gazety Kościelnej.*

Historyę literatury kaznodziejskiej wzbogacił w ostatnich czasach ks. dr. Krukowski kilku cennemi pracami drukowanemi w włocławskiej Homilityce, jak o Liberyuszu, Rychłowskim, biskupie Załuskim. Dorzuca do nich nową o Hipacyuszu Pocieju. Zadaniem jej krytyczny rozbiór jego kazań i homilij. Wstęp zajmuje wiadomość o życiu Pocieja i treściwy pogląd na jego dzieło kaznodziejskie. Oto główne cechy: treść kazań przeważnie moralna, dążność praktyczna, wykład gruntowny wszędzie, licznemi teksty Pisma św. i Ojców Kościoła poparty, logika prosta, język czysty, wykład nadzwyczaj popularny. Wyraźnych podziałów nie używa. Homilie są częścią analityczne, częścią syntetyczne. Następuje rozbiór 21 kazań i tyluż homilij. Autor przechodzi poszczególne, mniej lub więcej obszerną podając treść. Gdzieniegdzie uwydatnia podział, indziej w paru słowach zwraca uwagę na

piękniejsze miejsca w kontekscie. Kazanie na pierwszą niedzielę postu umieszcza całe dla szczególnych jego zalet, ale chwilami rozbiór ogranicza się do kilku zaledwo słów np.: „Homilia omawia uzdrowienie paralityka“, „Kazanie o poskramianiu oczu“ albo „Homilia o pożytkach postu wyśmienita“, „Kazanie o sprosności żądzy dostojeństw bardzo dobre“, „Homilia o prymacie św. Piotra wyśmienita“. Rozbiór opiera się na tłumaczeniu kazań Pocieja, dokonanym przez Leona Kiszkę r. 1714. Przy tej okazyi nastręcza się szan. autorowi uwaga trafna i na czasie, z powodu kształcenia się na obcej literaturze kaznodziejskiej, zwłaszcza niemieckiej z uszczerbkiem dla rodzimej. Dużo winna tu wada, że obce rzeczy zawsze zdają nam się lepszemi, ale przyczynia się do tego i nieznajomość ojczystego kaznodziejstwa. Ostro też piętnuje to ryczałtowe czytanie bez doboru niemieckich kaznodziejów: „Stare to wino, mówi, ale dobre... szkoda, że się nikt nie zajmie ich (starych kaznodziejów polskich) przedrukiem, nie wyciągnie z toni zapomnienia i nie poda na wzór młodszemu klerowi, aby się nie lubował jedynie w niemieckiej sieczce“. Radzibyśmy, aby te słowa znanego autora, znalazły odgłos w czynie, a Białobrzeski i Wujek, Karnkowski i Skarga i tylu innych prawdziwie znakomitych i godnych naśladowania czy dawnych czy współczesnych naszych kaznodziejów, znalazło się znowu w rękach czytających.

Ks. Jarosław Rejowicz.

Własność rolna w Galicyi. Studyum statystyczno-społeczne. *Dr. Zofia Daszyńska-Golińska.* Warszawa 1900. (Str. 65 in 8-o).

Kwestya agrarna przejawia się w naszym kraju — zdaniem autorki — głównie jako sprawa podziału własności rolnej, i jako taka wpływa bardzo doniośle na politykę stronnictw, sejmu, władz.

Wobec tego kładzie sobie autorka zadanie rozpatrzenia faktycznego podziału własności rolnej oraz wpływu, jaki on wywiera na ekonomiczne i społeczne warunki kraju.

Monarchia austryacka, jako nowoczesny ustrój państwowy, narzuca swoim członkom ciężary, do jakich rolnicza przeważnie ludność Galicyi, żyjąca w stadyum gospodarki naturalnej, jeszcze nie dorosła. To też mimo swego wyłącznie rolniczego charakteru, Galicya i pod względem rolnictwa pozostaje znacznie w tyle poza innymi krajami austryackimi. Zarazem wykazuje autorka, że ani jakość gleby, ani warunki klimatyczne bynajmniej nie stanowią przeszkody rozwoju rolnictwa, ani nie usprawiedliwiają rolniczego zacofania naszego kraju.

Nadmieniwszy wreszcie, że stosunkowo nizkie podatki, opłacane przez Galicyę, nie są bynajmniej dowodem faworyzowania jej przez rząd, lecz wynikiem słabego jej stanu ekonomicznego, przechodzi autorka do pierwszej części swego szkicu: podział własności rolnej i jego następstwa.

Zaczyna więc autorka omówieniem trochę pobieżnem własności tabularnej, przyczem dwa fakty silniej występują: malejące znaczenie (nawet wprost „prawie brak“) własności średniej od 100 do 1000 morgów, wobec silnie reprezentowanej wielkiej własności i latyfundyów, przez co włościaństwo ma mniej wzorowych przewodników i przykładów lepszej uprawy, jakimi bywają lub być mogą średnie gospodarstwa, oraz nowy element ziemiański, jakim okazują się Żydzi.

Żydzi posiadają już 620 majątków, przeważnie średnich, z przestrzenią 591.000 morgów. (Warto wspomnieć, że średnia własność tabularna niżej 1000 morgów obejmuje tylko 906.000 morgów). Dalej wśród licznie rozpowszechnionych w Galicyi dzierżaw tabularnych, ogółem 1620 w r. 1893) niemal połowa bo 783 jest dzierżawców Żydów. Ogółem tedy po odtrąceniu tych dzierżaw żydowskich, gdzie właścicielem jest także Żyd, w r. 1893 mieliśmy 1338 Żydów gospodarujących na naszej ziemi — żywicielce. To też słusznie mówi autorka — „przyznać trzeba, że stan nasz ziemiański w bardzo znacznej części składa się dziś z elementu żydowskiego. Wypierani z handlu i przemysłu przez izraelitów i cudzoziemców ustępujemy również dobra ziemskie nowej warstwie posiadaczy, którą tylekroć za niezdolną do gospodarstwa rolnego społeczeństwo nasze uznawało!“

Wobec tego nic dziwnego, że autorka nie chce uznać własności tabularnej w Galicyi za czynnik rozwoju i za przewodnika w życiu narodowem...

Rozpatrzenie własności włościańskiej, rozpoczyna autorka tem, że średni jej rozmiar, wynoszący przed czterdziestu laty jeszcze 9 morgów, dziś (1892) spadł do 4·4 morgów.

Opierając się z jednej strony na danych krajowego biura statystycznego z 1883 r., zebranych w 249 gminach typowych całego kraju (t. zw. reprezentacyjną metodą) — z drugiej na liczbach pochodzących z niedrukowanego spisu podatników, ułożonego w ministeryum skarbu (liczbach jednak nie wymienionych), opracowała autorka tablicę przedstawiającą w pewnem przybliżeniu zmiany, jakie od r. 1883 do

r. 1897 zaszły w średnich rozmiarach posiadłości włościańskich w poszczególnych powiatach politycznych.

Otóż tablica ta wykazuje w 35 powiatach zwiększenie, w 39 zmniejszenie się średniej posiadłości włościańskiej. Zestawienie zaś ze względnem zaludnieniem, z istnieniem przemysłu fabrycznego, domowego, lub górniczego nie dozwala wyprowadzić ogólnej zasady, lecz prowadzi autorkę do twierdzenia, że rozdrobnienie włościańskiej własności posunęło się daleko we wszech okolicach kraju — przybierając jednakże w każdym powiecie inną postać, nakazującą poszukiwać całego szeregu przyczyn zamiast jednej.

Zestawiając średni obszar posiadłości włościańskich z ilością odsetkową roli ornej w poszczególnych strefach gospodarskich Galicyi, oraz ze względnem tychże zaludnieniem, wykazuje autorka bardzo dobitnie, że rozdrobnienie wszędzie prawie doszło do jednakowego, ostatecznego kresu, że różnica średniego rozmiaru zagrody, wahająca się w poszczególnych powiatach między 3 a 10 morgami, jest tylko pozorną.

Spis podatników gruntowych wykazuje, że 67% gospodarstw opłaca mniej niż po 2 złr. podatku, 29% od 2—10 złr. a zaledwie 3·6% od 10—100 złr., co znaczy, że obok drobnej posiadłości nie ma w kraju prawie zupełnie średniej chłopskiej posiadłości, któraby powinna stanowić rdzeń stanu chłopskiego: (Np. w Czechach od 10 do 100 złr. podatku gruntowego płaci 22% ogólnej liczby podatników!)

W związku z powyższem porusza autorka kwestyę posiadłości wspólnie używanych czyli gruntów gminnych, przedstawiających powszechnie znany obraz smutnej gospodarki, tak co do pastwisk jak i lasów. Kończy się ten rozdział skonstatowaniem bardzo licznej warstwy posiadaczy rolnych, którzy nie mają innej możności bytu, jak tylko pracę na małym szmacie ziemi.

Następnie stara się autorka odpowiedzieć na pytanie, czy produkcya rolna dotrzymuje kroku powiększaniu się ludności i czy wogóle robi postępy. Cyfry urzędowej statystyki rolniczej, któremi autorka acz ostrożnie się posługuje, nie mogą być miarodajnemi w tej kwestyi. Ujemną natomiast, ale jednak więcej prawdopodobną daje odpowiedź statystyka zmian własności, licytacyj sądowych, oraz obdłużenia hipotecznego.

Wreszcie roztrząsając kwestyę, jak żyje ludność włościańska na tych drobnych szmatach roli, autorka zwraca uwagę na nędzne odżywianie się ludu wiejskiego, znane z pracy prof. Cybulskiego, na bardzo

nizkie płace zarobkowe robotników wiejskich i na następstwo tych smutnych stosunków: emigracyę przesiedlną i zarobkową.

Po nakreśleniu tego ze wszechmiar smutnego obrazu obecnego stanu własności rolnej w naszym kraju, przystępuje autorka w drugiej części: „Reformy ustawodawcze czy zmiany kultury rolnej?“ do kwestyi środków zaradczych, których główny szkopuł: ubóstwo Galicyi wykazuje zaraz na początku wynikami podatku osobisto-dochodowego.

Po potrąceniu o potrzebę reformy gminnej, wykazuje autorka konieczność energicznego poparcia organizacyi kredytu włościańskiego, omawia ustawę o komasacyach, o uregulowaniu używania gruntów wspólnych, dalej projekty ograniczenia podzielności gruntów włościańskich, oraz zakładania włości rentowych i nie odmawiając im użyteczności, wykazuje jednak ich powolne i kosztowne działanie, po którem nie można się spodziewać zapobieżenia grożącej zagładzie stanu włościańskiego.

Autorka licząc się z faktem olbrzymiej liczby drobnych posiadaczy włościańskich, których w zakresie właśnie ich minimalnych posiadłości trzeba od nędzy ratować, wskazuje inną drogę: podniesienie produkcyjności ziemi przez zmianę ekstenzywnej, czysto rolniczej gospodarki na intenzywną, rolniczo-przemysłową kulturę — mogącą dać wyższy przychód z małej przestrzeni.

Taką kulturą może być, zdaniem autorki, uprawa ogrodnicza: nadająca się właściwie dla karłowatych zagród włościańskich. Wykazawszy szczegółowo, że ani brak większych miast i szeroko rozgałęzionych komunikacyj, ani warunki gleby lub klimatu — ani też rozdrobnienie parcel gruntowych nie mogą stanowić przeszkody dla rozwoju ogrodnictwa, podnosi autorka, jako dodatnie wpływy tej kultury, podniesienie się urodzajności gruntu, równomierność zajęcia dla rodziny włościańskiej przez cały rok, równomierniejszy wpływ przychodów, przyuczający do lepszej gospodarki pieniężnej, lepsze odżywianie się warzywami i owocami, wreszcie przez zajęcia przemysłowo-handlowe stopniowe podwyższenie się poziomu kulturnego ludności włościańskiej. Z ogrodnictwem, sadownictwem i warzywnictwem łączą się ściśle: uprawa nasion i przygotowywanie przerobów owocowych i warzywnych tak, iż zarobek, jaki przy tej uprawie znaleźć można — przedstawia się bardzo poważnie.

Przytoczywszy kilka przykładów skutecznego przyjęcia się ogrodnictwa w naszym kraju — wykazuje dr. Daszyńska na przykładzie

Francyi, gdzie ogrodnictwo nadzwyczaj jest rozpowszechnione, doniosły jego wpływ na podniesienie dobrobytu.

Nie jest to atoli niczem nadzwyczajnem wobec troskliwej opieki, jaką rząd i stowarzyszenia we Francyi otaczają ogrodnictwo, na które w naszym kraju prawie, że się uwagi nie zwraca.

To są główne myśli szkicu dr. Daszyńskiej, traktującego nietyle o własności rolnej, ile właściwie o kwestyi włościańskiej w Galicyi. To też pierwsza część napisana jest dosyć pobieżnie i tu i owdzie niezupełnie ściśle, czego zresztą przy bardzo niedokładnym materyale statystycznym trudno uniknąć [1].

Przytem sposób przedstawienia rzeczy jest tego rodzaju, że nieraz czuje czytelnik brak ogniw rozumowania, lub też zupełnie niespodziewanie przechodzi do zupełnie nowej kwestyi.

Wreszcie co się tyczy znaczenia ogrodnictwa we Francyi, możnaby zauważyć, że potężną jego gałęzią jest uprawa winorośli, u nas niemająca widoków powodzenia, oraz że chłop francuski zawdzięcza swój dobrobyt także i lepszej niż u nas tak zwanej wielkiej kulturze, tj. uprawie zbóż i okopowin.

Jakkolwiek oczywiście nie może być mowy o tem, aby się ogrodnictwo wszędzie w naszym kraju rozwinęło i mogło wpłynąć na ekonomiczne podniesienie całego włościaństwa, jednakże nie ulega wątpliwości, że wielce przyczynićby się mogło do materyalnego i kulturalnego wzmożenia licznych warstw ludu wiejskiego.

Ogólne *facit* studyum d-ra Daszyńskiej streszcza się w ostatnim rozdziale: Reforma społeczna w sprawach agrarnych odnosiła się dotąd przeważnie do przepisów prawno-administracyjnych, które acz w zasadzie dobre, nie zawsze były trafnie do warunków danych przystosowane. Tak one jak i popieranie kredytu włościańskiego mogą tylko stworzyć dogodniejsze warunki pracy dla włościaństwa, nie mogą jednak popchnąć go bezpośrednio do tej pracy.

Tego dokonać mogą tylko reformy gospodarcze, zmierzające wprost do podniesienia wydajności gospodarstw: szerzenie nowych sposobów uprawy, wskazywanie nowych dróg zbytu, wspieranie handlowej strony przedsiębiorstw, to wszystko może obudzić w ludzie

---

[1] Np. na str. 6 obszar roli zajętej pod buraki cukrowe w Galicyi podany jest przez omyłkę na 924 tys. hektarów, podczas gdy podług Rocznika stat. Gal. t. V. wynosił on w latach 1886—1895 przeciętnie zaledwie 4394 ha. a buraków pastewnych 28 tys. ha.

energię uśpioną, przejawiającą się na obczyźnie, i utorować drogę dla dobroczynnego wpływu reform administracyjnych, a tylko ich współdziałanie do osiągnięcia celu prowadzi.

Atoli praca w kierunku reform gospodarczych będzie wtedy tylko uwieńczona pomyślnym skutkiem, gdy będzie prowadzone energicznie, ze zrozumieniem rzeczy, świadomością celu i przy pomocy odpowiednich wydatnych środków.

Dr. T. Kudelka

Słowniczek frazeologiczny. Poradnik dla piszących. Przez *Antoniego Krasnowolskiego*. Warszawa 1900.

Ma to więc być poradnik dla piszących; „ma nasuwać piszącemu odpowiedni wyraz, którego nie zna, albo na razie sobie przypomnieć lub zastosować nie umie“ (str. 3). Oczywiście autor mógł mieć na myśli jedynie uczniów początkujących, zaczynających „sztukę pisania“ od koncypowania przeróżnych ćwiczeń i zadań na wszelakie tematy. Wprawdzie o jednym z najlepszych pisarzów polskich słyszałem opowieść, że, zasiadając do pisania, otacza się słownikami, leksykonami i t. d., i szuka, które wyrażenie będzie miało najwięcej mocy i piękności. Wątpić jednak można, czy to prawda. Otóż Krasnowolskiego „Słowniczek frazeologiczny“ jest przeznaczony wyłącznie dla uczniów; powiada to sam autor w przedmowie (str. 3), świadczy o tem objętość, układ i sam sposób wykonania dziełka. Z tego też stanowiska sądzić go należy.

Nie jest oczywiście dokładny. Aby się o tem przekonać, wystarczy porównać którykolwiek wyraz z odpowiednim wyrazem jakiego słownika polskiego, np. wydawanego obecnie w Warszawie pod redakcyą Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego. Słownik ten jest „skondenzowany“ do możliwych granic, podaje przedewszystkiem znaczenie wyrazów, daleko mniej baczenia daje na frazeologię, a jednak ma frazeologię bogatszą niż praca p. Krasnowolskiego. Zwłaszcza widocznem jest to w znaczeniach przenośnych i synonimach. Autor „Słowniczka“ powiada wprawdzie, że w plan jego pracy „nie wchodziło objaśnienie wyrazów blizkoznacznych, ani czasowników, ani rzeczowników, ani przymiotników; zestawia po prostu ich szeregi, tylko z lekka zaznaczając, przez połączenie z kilku odpowiednimi wyrazami, różnicę ich użycia“ (str. 4). Na takie jednak stanowisko trudno się zgodzić. Właśnie we frazeologii synonimika ma znaczenie niemałe, podobnie i przenośnie; tedy albo je należało pominąć, albo traktować dokładniej.

To jest jeden zarzut, jaki pracy p. Krasnowolskiego musimy zrobić. Co się tyczy dokładności, to oczywiście mogłaby być większą, ale i tak jak jest, założeniu i celowi dziełka jest odpowiednią.

Poza tem praca w każdym razie zasługuje na pochwałę i uznanie, i sądzę, że może uczniom oddać wielkie usługi, zwłaszcza tam, gdzie uczniowie ci w szkole zmuszeni są mówić i może myśleć w języku obcym, język ojczysty zaś ma przytułek tylko w rodzinie i tylko tam dziecko może się go uczyć. W zupełności też zgadzamy się na zasadę, którą się autor w układaniu „Słownika“ kierował. Całkiem słusznie podaje frazeologię głównie przy rzeczowniku nie przy czasowniku; bardzo dobrze postępuje również, zwracając uwagę na rusycyzmy i germanizmy; nie potrzeba dodawać, że nikt mu nie weźmie za złe pominięcia zwrotów efemerycznych, brukowych, powstających nie wiedzieć jak i ginących nie wiedzieć kiedy, zwrotów takich, jak: zawracać gitarę, kontramarkę, puścić w trąbę i t. p. [1]

Wszystko, cośmy dotąd o „Słowniczku frazeologicznym“ powiedzieli, odnosi się do niego, jako do podręcznika, do książki praktycznej. Naukową rzecz taka nie jest; podobnie jak nie jest naukową praca ogrodnika na równi z badaniami uczonego botanika. Jednak na samym początku wstępu autor wypowiedział zdanie, które wkracza w dziedzinę ściśle naukową. Jest to zdanie o znaczeniu frazeologii. Na poglądy w niem wyrażone, zgodzić się żadną miarą nie można. We frazeologii ma się głównie przebijać duch języka, na frazeologii oprze się rzekomo w przyszłości znaczennia czyli semazyologia, jako czwarta (po głosowni, źródłosłowni i odmienni) część gramatyki. Naprzód mamy tu przecenienie znaczenia frazeologii. Nie jest prawdą, jakoby się w niej głównie przebijał duch języka. „Duch języka“ (pojęcie zresztą bardzo elastyczne, może być tłumaczone różnie) przebija się w każdem słowie, tylko go trzeba rozumieć. Przebija się także i we frazeologii (tj. w pewnej kombinacyi wyrazów, oznaczających pewne pojęcie lub pewną grupę pojęć), ale nie głównie.

Co jednak najwięcej zadziwia, to druga cześć przytoczonego powyżej zdania autora. Frazeologia ma być czwartą częścią gramatyki, po głosowni, źródłosłowni i odmienni. Cóż się w takim razie stanie ze

---

[1] Mówiąc o takich wyrażeniach autor zaznacza, że giną one wciąż i ustępują miejsca nowym, „dzięki wciąż nowej pomysłowości ludzi, którym bogaty nasz język, zdaje się, nie wystarcza do wyrażenia zbyt jałowej myśli“. Świetna charakterystyka!

składnią? Chyba, że p. Krasnowolski utożsamia składnię z frazeologią, co byłoby w każdym razie błędem, nawet przy największem naciąganiu znaczenia obu terminów. Frazeologia jest tylko częścią składni i niczem więcej. Nie na niej też głównie „oprze się w przyszłości znaczennia czyli semazyologia“, bo równie ważnym, jeśli nie ważniejszym czynnikiem w tym względzie jest śledzenie historyi wyrazów; tylko wychodząc z samego początku, z genezy wyrazu, możemy sobie wyjaśnić dalsze jego znaczenie.

Przypuszczam, że autor nadaje tu terminom naukowym nieco inne znaczenie, niż je powszechnie mają, ale w takim razie (nawet wspominając je mimochodem) powinienby takie pojmowanie wytłumaczyć.

Na zakończenie muszę dodać, że nie wierzę, aby tego rodzaju podręczniki miały wielkie znaczenie. Z pewnością nie nauczą one nikogo pięknie pisać lub mówić. To się osiąga w inny sposób. Nie przeczę wszakże, że mogą być pożyteczne, że mogą dać czasem dobrą radę, zwłaszcza w wątpliwych razach, że mogą nauczyć „poprawności“ w mówieniu i pisaniu. Z takiego wychodząc założenia, przyznaję, że „Słowniczek frazeologiczny“ Krasnowolskiego jest książką bardzo dobrą i bardzo użyteczną.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Legenda o św. Prokopie. *Vrchlický.* Przełożył i objaśnił *dr. Fr. Krček.* We Lwowie 1900.

Przekład dra Krčka odznacza się przedewszystkiem wiernością. Zdanie za zdaniem, niemal słowo za słowem idą tak, jak w oryginale. Ułatwiły to dwie okoliczności: podobieństwo i ten sam duch obu języków, czeskiego i polskiego, i forma poematu. Wiersz nierymowany nie krępuje tłumacza tak bardzo, jak rymowany, pozwala mu ściślej trzymać się oryginału. Tu i ówdzie spotykamy wprawdzie, ten lub ów wyraz inaczej przetłumaczony; tak np. *dráči* oddaje tłumacz przez sępi, podczas gdy wyraz ten znaczy smoczy; *zlobný* = złośliwy; tłumacz wyraża przez gniewny, co nie jest to samo; *kmet* przez kmieć zamiast starzec[1]. Znajdzie się też zdanie inaczej zbudowane,

[1] Prawda, że w staropolskim języku kmieć równie znaczy starzec; nie wątpię, że tłumacz o tem wiedział, i sądzę, że tutaj użył tego wyrażenia umyślnie. Czy jednak takie użycie jest stosowne, wątpię. Poemat wcale nie jest pisany językiem archaizującym, tak samo przekład, więc odosobnione archaizmy będą błędem, jeżeli nie są ogółowi zrozumiałe (a tak jest z kmieciem-starcem) i jeżeli mogą jak tutaj, wywołać dwuznaczność.

z innym przyimkiem i t. p., przez co się nadaje myśli cokolwiek inny odcień. Są to wprawdzie drobiazgi, z których tłumaczowi zarzutu robić nie można, boć przecież przekład utworu poetyckiego nie ma być niewolniczo dosłownym.

Odwróciwszy uwagę od większej lub mniejszej wierności przekładu, pytamy się, jaki on jest w sobie, jaka jest jego wartość.

O przekładach na sto wypadków w dziewięćdziesięciu można z góry orzec, że są co najmniej o jeden ton niższe od oryginałów. Stąd słuszność znanego powiedzenia, że najlepszy przekład to jak lewa strona pięknie utkanego kobierca. Poeci wielcy tłumaczą bardzo niechętnie, mniejsza o to z jakich powodów, muszą się więc do przekładów brać talenty mniejsze.

Przekład dra Krčka ma tu i ówdzie niezręczne, ciężkie wyrażenia, użyte niestosownie [1], ale te — choć niemile widziane — całości zepsuć nie potrafią, jeżeli ta całość jest istotnie dobrą. Jakimże jest przekład dra Krčka? Szukając najstosowniejszego dla niego określenia, znajduję je w wyrazie: poprawny, dobry. Bardzo dobrym, a tem bardziej pięknym nazwać go nie można. Jest poprawny, to znaczy oddaje dobrze myśli oryginału, czyta się gładko, nawet przyjemnie. Ale do doskonałości mu daleko, stoi znacznie niżej od oryginału.

Winna temu naprzód forma. Mówiliśmy wyżej, że forma oryginału „Legendy o św. Prokopie“ jest dla tłumacza ułatwieniem. Ale w tem ułatwieniu jest zarazem i niemałe niebezpieczeństwo. Jeżeli wiersz pozbawiony jest rymu, to musi koniecznie tę stratę muzykalności, jaką rym niezawodnie stanowi, wynagrodzić czem innem, muzykalność rymu musi być zastąpiona muzykalnością rytmu.

Pomimo niemuzykalności języka czeskiego *Legenda o svatém Prokopu* jest muzykalną i rytmiczną w stopniu bardzo wysokim. Wszak jego twórcą jest Vrchlický, który nie z mniejszem od Słowackiego prawem mógłby powiedzieć: „oktawa pieści, kocha mię sekstyna“. Z poetów czeskich Vrchlický jest największym mistrzem i panem formy, która mu jest kornie posłuszną zawsze i wszędzie. Vrchlický wprowadził w poezyę czeską niewidziane przedtem bogactwo form poetyckich, a każdą włada po mistrzowsku. Tak jest i w „Legendzie o św. Prokopie“. W przekładzie polskim tego nie znać. Jego forma jest poprawna,

---

[1] Razi np. germanizm, polegający na nadmiernem używaniu zaimków dzierżawczych, czego języki słowiańskie w ogólności a polski w szczególności nie znoszą.

nie jest jednak wdzięczna i giętka, ale sucha i twarda, zbyt często ma się wrażenie prozy, podzielonej na partye po osiem zgłosek liczące.

Za to wewnętrzna forma ta, która polega na doborze wyrażeń, na ich uporządkowaniu, na stosownem użyciu zwrotów, przenośni, i. t. p., ta jest w przekładzie dra Krčka bardzo dobrą. Tłumacz włada językiem polskim doskonale, i doskonale umie zastosować w danym razie czy wyraz, czy zwrot, który jest najbardziej potrzebny, najlepiej odpowiada myśli oryginału. Pod tym względem zasługuje na pełną i sprawiedliwą pochwałę. Gdyby był umiał ożywić formę zewnętrzną, gdyby jej był nadał więcej blasku, więcej życia, więcej muzyki, byłby jego przekład doskonały.

Pokusa wielka rozpisać się i o oryginale, ale ponieważby to za nadto odbiegało od naszego zadania, poprzestaniemy na krótkiej uwadze. „Legenda o św. Prokopie“ nie należy do najlepszych dzieł Vrchlickiego. Nie odpowiada ona rodzajowi jego talentu. Wbrew bezkrytycznym wielbicielom wielkiego naprawdę poety czeskiego twierdzimy, że tak podziwiana jego wszechstronność jest jednakże przyczyną, iż wiele z jego utworów jest słabych, nie jest godnych Vrchlickiego. Wbrew doktorowi Krčkowi też zaznaczam, że w „Legendzie“ autor nie uchwycił ducha i nastroju legendy średniowiecznej w całości — w szczegółach niektórych: tak. Całość nie robi takiego wrażenia, jakiego dzisiaj żądamy od legendy sztucznej, ani nie jest naprawdę podobną do szczerej, prawdziwej, naiwnej legendy średniowiecznej. Że w tym utworze Vrchlickiego są rzeczy wspaniałe, to naturalna; a są to właśnie te, w których talent Vrchlickiego jest w swoim żywiole; las (pieśń III.), wiosna (pieśń VIII.), legenda brata Wita (p. XIII.).

W literaturze polskiej niewiele (stosunkowo) mamy przekładów z Vrchlickiego, a te, które mamy, są porozpraszane po czasopismach. Wobec tego każdy nowy przekład witamy chętnie. Wolelibyśmy może, aby przekładano rzeczy najlepsze, najpiękniejsze, ale *spiritus flat, ubi vult*, trzeba się nam więc do tego zastosować i być wdzięcznym za to, co jest.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

W Pirenejach. Odczyt publiczny. *Stanisław Bełza.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1900. (Str. 88).

W utworach p. Bełzy, szczególniej w jego ostatnich dziełach znajdzie czytelnik ku swemu wielkiemu zadowoleniu ciągły postęp. I podczas kiedy listom z Sycylii, naszem zdaniem, pierwsze miejsce w seryi

jego podróży przyznać należy, to nie można i najnowszej książce autora „W Pirenejach“ odmówić wielkiej wartości literackiej. Małe to dziełko, broszurka właściwie, a jednak zawiera ona nader wiele cennych rzeczy; szczególnie zwracają na siebie uwagę piękne porównawcze opisy, ciekawe uwagi o ludzie, Pireneje zamieszkującym, o jego życiu i zwyczajach, obrazy gór i wrażeń, jakie one wywołują; a już zadowolni z pewnością każdego nawiązanie nazwy Pirenejów do dawnych baśni Grecyi, jak i marzenia na ten temat się snujące.

Szczerze wdzięczni jesteśmy autorowi za końcowy ustęp o Lourdes i jego cudownej grocie, tej „najdrogocenniejszej perle“ (str. 88) Pirenejów. Nie podobała się wprawdzie ta „powrotna fala wstecznictwa“ *Prawdzie* warszawskiej, katolicy podziękują za to serdecznie p. Bełzie za „Pireneje“.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Pages Catholiques. *J. K. Huysmans.* Préface de *M. l'Abbé Mugnier.* Cinquième édition. Paris. P. V. Stock, éditeur. 1900.

Najnowsza książka Huysmansa, którą, tym razem, można, bez żadnych zastrzeżeń, dać każdemu do ręki. Złożyły się na nią, przed paru już laty wydane, *En Route* i *La Cathédrale.* Pierwsza z tych prac, zaraz po ukazaniu się na półkach księgarskich, wywołała całkiem odmienne i sprzeczne, atoli zarówno skrajne, zarówno nieubłagane zdania.

Ze strony wielbicieli Emila Zoli i jego brutalno-naturalistycznej szkoły był to jednomyślny krzyk protestu: *En Route* równało się dla nich odstępstwu od przyjętego, dotychczas, przez autora kierunku. Ze strony katolików był to sąd, mniej lub więcej energicznie potępiający książkę, dla gorszących, najpobłażliwsze nawet oko, obrazów, jakiemi Durtal, albo raczej sam Huysmans, ukrywający się pod tem nazwiskiem, przeplatał mistycyzm i symbolizm swej pracy.

Że w duszy i w życiu głośnego pisarza nastąpił przewrót, o tem nie wątpili ani wolnomyślni, ani wierzący; pierwsi, mieli go jednak za nowy wybryk fantazyi i nerwów zblazowanego, aż do przesytu, wszelkiego rodzaju wrażeniami, literata-artysty, o sztucznych, wyszu-

kanych upodobaniach — drudzy, nie chcieli wierzyć w trwałość, a może nawet i w zupełną szczerość jego nawrócenia.

Istotnie, już i wtenczas, kiedy pisał najbardziej chorobliwy, a najohydniejszy może, ze swoich poprzednich literackich utworów, *A Rebours*, des Esseintes, ten drugi Durtal, tylko że obojętny jeszcze na prawdy wiary i niedostępny natchnieniom łaski, szukał nieraz rozkoszy, i znajdował upodobanie w katolickiej literaturze i sztuce. Tak, ale te jego upodobania były nienaturalne, dziwaczne, jakaś mieszanina chorobliwego mistycyzmu i wyrafinowanych namiętności przeżytego rozpustnika. Strawą literacką są mu na przemian Tomasz a Kempis i Schopenhauer, Ernest Hello i Flaubert, Veuillot i Baudelaire, Montalembert i Zola, Lacordaire i Verlaine; w malarstwie zachwyca się Quintynem Metsysem i Gustawem Moreau; w muzyce ceni najwyżej stare gregoryańskie melodye i Schumana. Wogóle dla wywołania i odczucia nowych wrażeń, szuka kontrastów, szuka sztucznej podniety, obojętny, gdzie i w jaki sposób je znajdzie tak, jak przepada za storczykami, dlatego jedynie, że są dziwaczne, że mają w sobie coś potwornego, dlatego, że „są to kwiaty naturalne, naśladujące kwiaty sztuczne". Słowem, jest to typowy okaz, przepyszny „egzemplarz" dekadentyzmu i neuropatyi. Czy u takiego człowieka można wierzyć w szczerość religijnych uniesień i w rzeczywistość nawrócenia?

A jednak Huysmansowi należy się to bez kwestyi: *En Route* — to naprawdę jego droga do Damaszku.

Upodobanie w średniowiecznej sztuce chrześcijańskiej, w tajemniczych wnętrzach gotyckich, gdzie nieporównane witraże sieją w półcienie ostrołukowych sklepień przepychy barw tak żywych, tak świetnych, iż żaden pendzel niezdolny ich uwięzić na płótnie; zamiłowanie do „prymitywów" malarstwa i rzeźby, do nieskażonych melodyj śpiewu i podniosłej liturgii katolickiego Kościoła, to w duszy Durtala szeroko otwarte okno, przez które coraz częstsze, coraz jaśniejsze poczynają przezierać do głębi promienie łaski. *Spiritus flat ubi vult* — miało się w tym wypadku i na nim spełnić.

En Route — to spowiedź. To detaliczna i dokładna, za detaliczna i za dokładna analiza nawrócenia się i przejrzenia. W tej spowiedzi, w tej analizie, Huysmans przebiera miarę w szczerości, daje się unieść swojej niepokonanej naturalistycznej żyłce, odsłania i opowiada szczegóły, od których nietylko iż każdy spowiednik dyspensowałby go z ochotą, lecz których nie pozwoliłby mu nawet nigdy dotykać. Wszystko, co się tam mieści, jest prawdziwe i wierne; osoby i wypadki, wrażenia

i miejscowości, wszystko to Durtal widział, przeżył, przeszedł. Niektórzy przyrównywali *En Route* do „Wyznań“ św. Augustyna: „Książka świętego Doktora jest dziennikiem dziewczęcia przystępującego do pierwszej komunii w porównaniu do książki Huysmansa“ — wyraził się jeden z krytyków. Nam, niektóre ustępy przypominają raczej *Les Confessions* Jana Jakóba Rousseau, z tą różnicą, iż to co u genewskiego pisarza było wynikiem nikczemnego i bezwstydnego cynizmu, u Huysmansa jest tylko nabytym fatalnie nałogiem, zgubnem przyzwyczajeniem, z którego nie był się jeszcze w stanie otrząsnąć. O udawanie, o pozę, o komedyę graną zręcznie przed światem, Durtala posądzać się nie godzi. *Il y a des états d'âme qu'on n'invente pas,* zauważył trafnie Mgr. d'Hulst po przeczytaniu książki Huysmansa. Czas prawdę tych słów potwierdził. Od pierwszego wydania książki upłynęło lat sześć; Durtal, albo raczej Huysmans, jest katolikiem pobożnym, praktykującym otwarcie. Trapiści w *Nottre-Dame d'Igny* widzą go nieraz w tym czasie w swych murach, spragnionego odnowić otrzymane tam łaski, szukającego spokoju, skupienia, rozmowy z Bogiem. Benedyktyni otwierają mu raz po raz gościnne podwoje. Obecnie, stałem miejscem pobytu jest mu pustelnia, zbudowana w Ligugé w Poitou, na kraju samotnych lasów, nieopodal od benedyktyńskiego klasztoru. Tam przygotowuje dwie nowe prace, od dawna już rozpoczęte, wymarzone i wypieszczone w myśli, upragnione: *Sainte Lydwine de Schidam* i *l'Oblat.* Jak *En Route* obejmuje mistykę a *La Cathédrale* symbolizm, tak *l'Oblat* ma w sobie zawrzeć katolicką liturgię.

Nawrócenie się Huysmansa jest tedy faktem, niedającym się zaprzeczyć i niewątpliwym. Nowe wydanie *En Route* i *La Cathédrale* pod ogólnym tytułem *Pages Catholiques,* fakt ten jaknajsilniej potwierdza. Huysmans odegrywa tu rolę surowego sędziego swych własnych literackich utworów, a zarazem i sumiennego wykonawcy wyroku. Sam, własnoręcznie przykłada siekierę do korzenia, tnie na prawo i na lewo bez miłosierdza, robi istne poręby, w tej gęstwinie różnorodnych myśli i wrażeń, oczyszcza, uprząta, odrzuca i oddaje nareszcie czytelnikowi do ręki rzeczy, nie tylko wielkiej artystycznej i literackiej wartości, lecz nadto wiele ustępów prawdziwie podniosłych, tchnących głęboką czcią dla Kościoła, szczerym entuzyazmem dla jego piękności, dziecięcem, niemal, naiwnem przywiązaniem do Matki Bożej. Niektóre stronice porywają prostotą i prawdą, jakie tylko szczera, głęboka wiara natchnąć jest zdolną.

Tak opisuje Durtal mszę świętą, służącego do niej chłopczynę-

ministranta, w podziemnej krypcie katedry w Chartres i komunię, do której kazał mu przystąpić jego spowiednik ks. Gévresin:

„Ukazał się chłopczyna, służący do mszy, wyprzedzając staruszka księdza, i po raz pierwszy, Durval ujrzał mszę odprawianą jak należy, zrozumiał niepojętą piękność, jaką tchnąć może, wiernie, dokładnie rozważana ofiara święta.

„Dziecię na klęczkach, z duszą nastrojoną, ze złożonemi rękami, mówiło głośno, powolnie, wypowiadało z taką uwagą, z taką czcią zwroty psalmu, że znaczenie tej przedziwnej liturgii, która nas już przestaje zdumiewać, bo jej nie znamy inaczej, jak tylko bełkotaną niezrozumiale, odprawianą szeptem, pośpiesznie, naraz odsłoniła się przed Durtalem...

„I msza odprawiała się dalej przed Durtalem, zachwyconym chłopczyną, który przymykając niemal zupełnie oczy, skupiony, z lekkiem wzruszeniem jakie wywołuje uszanowanie, całował ampułki z winem i z wodą, zanim je podał księdzu.

„Durtal nie pragnął widzieć nic więcej, starał się skupić w czasie gdy celebrans obcierał ręce, bo wymawiane po cichu strofy, były jedyną modlitwą, jaką mógł, z uczciwością, zanieść do Boga.

„Nie miał jak to jedno za sobą, ale to miał przynajmniej, namiętne zamiłowanie mistyki i liturgii, śpiewu gregoryańskiego i katedr! Bez kłamstwa i bez obłudy, mógł bezpiecznie zawołać: „Panie, umiłowałem piękność domu Twego i miejsce mieszkania chwały Twojej". Jedyne to zadośćuczynienie, jakie mógł ofiarować Ojcu, za swoje nieprawości, za swoje błędy i za swoje upadki. Ach! myślał, jak mam powtarzać te gotowe modlitwy, jakich pełne są wszystkie książki do nabożeństwa, mówić Bogu, nazywając Go „słodkim Jezusem", że jest ukochanym mojego serca, że silnie postanawiam nie kochać, jak tylko jego, że wolę raczej umrzeć jak Go obrazić. Nie kochać, jak Jego tylko! gdy się jest pustelnikiem lub mnichem, być może, ale żyjąc wśród świata!...

„Jedynie, chyba, to szczególne dziecko, mogłoby bez obłudy rozmawiać z Bogiem, myślał dalej, patrząc na małego ministranta, pojmując po raz pierwszy, naprawdę, czem były niewinne lata dziecięce, mała duszyczka bez grzechu, nawskróś biała i czysta.

„Obrzęd święty ciągnął się dalej, powolny, pogrążony w kornej ciszy obecnych, i dziecię uważniejsze niż dotąd, większem jeszcze zdjęte uszanowaniem, zadzwoniło: był to jakby snop iskier, pryskających wśród dymu sklepień; i cisza stała się głębsza poza ministrantem na klęczkach, podtrzymującym jedną ręką ornat, pochylonego nad ołtarzem kapłana;

i podniosła się hostya w przędzy srebrzystej dźwięków; potem, ponad schylone głowy, zabłysnął, w iskrzącem jasno brzmieniu dzwoneczków, wyzłacany tulipan kielicha i, po ostatniem przyśpieszonem dzwonieniu, pozłocisty kwiat zniknął i podniosły się schylone postacie.

„Durtal — marzył:

„Gdybyż jeszcze, Ten któremuśmy odmówili schronienia, wówczas, gdy Matka, co go nosiła, miała porodzić, znajdował w duszach naszych przynajmniej teraz serdeczny przytułek! Ale niestety! prócz tych zakonnic, tych dzieci, tego duchowieństwa, oprócz tych wieśniaczek, które go tak miłują, tutaj, wieluż jest bez wątpienia, podobnie jak ja, zakłopotanych Jego przybyciem, niezdolnych w każdym razie, do przygotowania mu schronienia, na które liczy, do przyjęcia Go w czystej izbie, w uprzątniętem mieszkaniu?...

„Zbliżała się chwila komunii; dziecię przerzuciło zwolna obrus na drugą stronę balustrady, i siostry zakonne, ubogie kobiety, wieśniacy, zaczęli podchodzić, każdy ze skrzyżowanemi rękami, z pochyloną głową; a dziecko ujęło świecę i poprzedzało księdza, zamknąwszy oczy, z obawy by nie spojrzeć na hostyę.

„Tyle było uniesienia, miłości i czci w tej małej istocie, iż Durtal otworzył usta z podziwienia i jęknął z przestrachu. Niezdolny by sobie zdać sprawę z ogarniającej go ciemności, z tych pragnień, z tych rozlicznych fal uczuć, które gdy poruszą człowiekiem, żaden język nie jest w stanie ich oddać, poczuł się porwanym ku Bogu i odepchniętym.

„Nieubłagane, nasuwało się porównanie między duszą dziecięcia i jego własną. Ależ to jemu przystąpić do komunii, nie mnie, wołał w duszy; i pozostawał bez ruchu, z rękami złożonemi, nie wiedząc na co ma się odważyć, w usposobieniu błagalnem zarazem i lękliwem, gdy uczuł się łagodnie popchniętym do stołu pańskiego i przyjął komunię“...

Mrg. d'Hulst miał racyę gdy mówił, iż są stany duszy, których niepodobna jest zmyślić!

Pages Catholiques, nie dadzą się streścić: niema w nich jednolitości i planu, są jakby rodzajem dziennika pozszywanego z luźnych, odrębnych kartek, na które autor rzucał przy sposobności wrażenia i myśli. Żadna recenzya i żadna literacka analiza, nie może dać o nich dokładnego pojęcia. Kto się pragnie z niemi naprawdę zapoznać, ten je sam musi przeczytać od deski do deski. I nie pożałuje trudu.

En Route, w pierwotnej jeszcze swojej formie znalazło pomiędzy czytelnikami wiele dusz chorych, wielu, podobnych Durtalowi, zbłąka-

nych, którzy zarzucali autora listami, zaklinając, by im naprawdę powiedział czy opisany przez niego klasztor Trapistów istnieje, by im ukazał tę drogę, którą sam poszedł. *La Cathédrale* ściąga coraz liczniejsze tłumy do Chartres; stała się rodzajem artystycznego Baedekera dla wszystkich, którzy pragną, przy jej pomocy, wniknąć w symboliczną „duszę“ niezrównanego gotyku. Zyskała też książka na usunięciu ustępów nazbyt długich i nie zawsze przekonywających o istocie podawanego symbolizmu; takim naprzykład był cały ustęp o „Koronacyi Przeczystej Dziewicy“ -- *fra Angelico* w galeryi Luwru, gdzie podawana przez Huysmansa symbolika barw, wydaje się nam co najmniej — jak mówią Francuzi — *tirée par les cheveux*. Styl, pominąwszy pewną ilość, nie dających się niczem usprawiedliwić latynizmów i dziwactw językowych, jest, jak zawsze u Huysmansa, nawskróś oryginalny, barwny, żywy, bogaty, prawdziwie mistrzowski.

Tym, którzy przez fałszywą pruderyę nie chcieliby *Pages Catholiques* ująć do ręki dlatego, że ohydnej pamięci, dawniejsze utwory Huysmansa, pokutują jeszcze po księgarniach i bibliotekach, powtórzymy za jednym z wyrozumiałych, lecz trzeźwych i bezstronnych krytyków: „Książki te sprzedają się jeszcze — lecz, miłosierny i wstydliwy Samarytaninie, nie kupuj ich, nie czytaj, nie dawaj drugim i, zaklinam cię, pomyśl, że z księgarzami, jak z innymi zawierającymi kontrakty, bywają obustronne umowy, których się nie niszczy dowoli“ [1]...

Ks. Józef Tuszowski.

Geschichte des Deutschen Zeitungswesens von den ersten Anfängen bis zur Wiederaufrichtung des Deutschen Reiches von *Ludwig Salomon*. Erster Band. Das 16, 17 und 18. Jahrhundert 1900. Oldenburg und Leipzig. Schubaesche Hof-Buchhandlung und Hof-Buchdruckerei. A. Schwartz. (8-o str. X. i 265).

Że w naszej literaturze naukowej co krok widzi się brak najpotrzebniejszych opracowań wybitnych zjawisk z historyi kultury — to fakt znany każdemu. Natomiast może niespodzianką wyda się fakt, że i w innych literaturach, nierównie zasobniejszych i w lata i w liczbę pracowników i w zewnętrzne warunki pracy, mnóstwo tematów dotychczas napróżno domaga się opracowania. I tak np. prasa peryodyczna to „siódme mocarstwo“, nie miała dotychczas w literaturze niemieckiej obrazu całokształtu swych dziejów. Robert Prutz (zmarły w r. 1872),

[1] J. Pacheu S. J. *De Dante à Verlaine*. Paris. Librairie Plon. 1897.

rozpoczął wprawdzie na podstawie bardzo poważnych studyów pisać *Geschichte des deutschen Journalismus,* lecz rzecz doszła jedynie do I. tomu, przedstawiając li tylko początki literatury czasopiśmiennej. Szczęśliwszym zapewne będzie p. Ludwik Salomon, jako uczony niewątpliwie poprzednikowi niedorównywujący, lecz bardzo pracowity i jako historyk literatury i kultury pięknym obdarzony talentem. Dzieło Prutza nawet gdyby było skończonem, pozostałoby zawsze typem ciężkiego dzieła naukowego. Pan Salomon acz w badaniach sumienny, chce obdarzyć nas książką dającą się przeczytać bez nadzwyczajnej abnegacyi. Myśl jest wyborną a i dla polskiej historyi literatury nie bez znaczenia. Nasza literatura czasopiśmienna związana jest dość ściśle z rozwojem gazety na zachodzie. Ta równoległość widoczną jest zwłaszcza aż do końca XVIII. wieku a więc w tym okresie, który obejmuje pierwszy, niedawno wydany tom dzieła p. Salomona. W XIX. wieku w całej literaturze a więc i w czasopiśmiennictwie jesteśmy więcej narodowymi, samodzielniejszymi, w w. XVIII. jednak idziemy za przykładem Europy, i w dziejach czasopism jest różnica między nami a Niemcami najprzód oczywiście ilościowa, następnie niestety w tem, że prawie zupełnie brak nam wpływowych i wprost decydujących organów prasy naukowo-literackiej. Nie mamy do końca ostatniego stulecia czasopism literackich o znaczeniu organów Gottscheda, Bodmera, Nicolai'a, Goethego i Schillera. Zanim więc ukaże się II. tom godzi się zapoznać z pierwszym, zwłaszcza, że ten dalszy wobec ogromu materyału zapewne później wyjdzie, niż to autor zapowiada.

Historya dziennikarstwa zaczyna się dopiero w 15 i 16 wieku. Ważne wypadki na polu polityki, literatury, kultury, a razem z nimi rosnąca ciekawość ludzi wywołują chęć pisania listów. Epistolografia nigdy przedtem tak obficie nie kwitła. Zazwyczaj list miał dwie części: pierwsza, treści poufnej przeznaczona była wyłącznie do wiadomości i użytku adresata, druga, bez związku z poprzednią donosiła o ważniejszych zdarzeniach życia publicznego i kursowała w kołach znajomych a w razach ciekawszych i dalszych, obcych. Oczywiście miała charakter czysto sprawozdawczy; w sądach lub subjektywnych zabarwieniach przebijały protestanckie zapatrywania. Na treść składały się wówczas głównie: nowiny o Turkach, grożących ustawicznie Europie, o soborze trydenckim oddanym zadaniu prawdziwej reformacyi, o cesarzu Karolu V.; mniej wiarogodne, ale kto wie, czy nie popularniejsze, były fantastyczne przepowiednie polityczne, oraz wiadomości o „cudach natury“ jakoto kometach, deszczu krwawym, strachach,

dziwacznych noworodkach i t. d. Ubodzy scholarze przepisywali nieraz ciekawsze listy, czasem reprodukowano je drogą druku. Tak więc w tych pisanych *Zeitungen* jest zawiązek współczesnego dziennikarstwa.

Potworzyły się osobne centra, skąd takie wiadomości na wszystkie strony wysyłano. Stojąca na początku XVI. wieku u szczytu potęgi i znaczenia Wenecya była ogniskiem nowin z całego oświeconego świata, stare miasta niemieckie, jak Augsburg, Norymbergia, Frankfurt dzielnie z nią współzawodniczyły. W czasach „reformacyi“ do znaczenia dochodzi Wittenbergia, Wiedeń zaś i Wrocław są głównem źródłem wiadomości o Turkach i o polskich stosunkach; w Augsburgu wydaje takie listy dom handlowy Fuggerów, których flagi powiewały nad wszystkiemi morzami. Autorów oczywiście trudno się domyślić; wie się tylko, że czynnym był np. Melanchton. Rozsyłką listów zajmowali się posłańcy; zrazu na służbie miast z obowiązkiem przenoszenia pism urzędowych, mogli jednak przyjmować i prywatną korrespondencyę, która wkrótce ilością prawie przygniata tamtą pomiędzy władzami. Wielcy panowie lub potężne instytucye jak Hansa miały własne sztafety. Ogólne polepszenie nastąpiło jednak dopiero z zaprowadzeniem stałych poczt w zarządzie rodziny Taxis. Listy nie przechodziły zupełnie swobodnie. Wobec ówczesnych zamieszek religijnych i politycznych zarówno władze świeckie jak i duchowne starały się o ostrą cenzurę, aż wkońcu nawet w drugiej połowie XVII. wieku w Austryi i Brandenburgii wprost zakazano pisanych ulotnych gazet.

Ważny krok naprzód dokonał się w dziewiątym dziesiątku XVI. wieku. Ówczesny arcybiskup i elektor koloński Gebhard, sprzyjając nowinkom religijnym, zamierzał wprowadzić reformacyę. Oczywiście papież odstępcę obłożył klątwą i pozbawił godności. Sprawa wywołała wielką wrzawę, tem bardziej, że w razie udania się planów Gebharda, protestanci zyskiwali większość głosów w radzie elektorów. Potrzeba było świat zawiadamiać o przebiegu wypadków. Jedno ulotne pisemko nie wystarczało; relacye tworzyły grube zeszyty. Zwiększone koszta druku można było odbić tylko sprzedażą wielu egzemplarzy a to było najłatwiejszem w czasie wielkich jarmarków, gromadzących mnóstwo zamożnych ludzi. Te *Messrelationen, relationales semestrales* pojawiają się więc odtąd peryodycznie dwa razy do roku. Przedsiębiorcą jest Michał von Aitzing, znany historykom autor bardzo poczytnej książki *Leo Belgicus*. Pierwsza *relatio historica* ukazuje się w Kolonii w r. 1589, w pięć lat potem zaś Aitzing rozszerza zakres tego pierwszego peryodycznego czasopisma na całą Europę. Wynalazca umarł w ciężkiej nę-

dzy, ale jego myśl przyjęła się: pierwsze naśladownictwa pojawiają się w Frankfurcie. Chociaż ton tych pism był suchym, a dla naszego smaku wprost nudnym, mimo to rozszerzały się one po całych Niemczech. Dowodzi tego choćby stwierdzony historycznie fakt, że już w początkach XVII. wieku rządy z jednej strony zastrzegają sobie ostrą cenzurę *Relacyj*, z drugiej zaś z ich pomocą wpływają na opinię publiczną. Jest to początek „pół-oficyalnych pism“, dziś tak ze szkodą niezależności dziennikarskiej po świecie rozpowszechnionych.

Rosnąca ciekawość, napływ ważnych zdarzeń spowodywa niebawem rzutkich przedsiębiorców — po części drukarzy, po części poczmistrzów — do wydawania gazety w częstszych odstępach czasu raz na tydzień. Dziwacznym nieraz tytułem opatrzone świstki te (formatu *quarto*) szły z ręki do ręki, zużywały się tak, że dziś w dużych nawet bibliotekach stosunkowo niewiele się ich zachowało. Każdy numer składał się z kilku bez związku po sobie następujących korespondencyj; po raz pierwszy można śledzić za działalnością stałych sprawozdawców w najważniejszych centrach ówczesnego życia politycznego. Wypadki 30-letniej wojny, jak szczególnie zdobycie i zburzenie Magdeburga lub zamordowanie Wallensteina górują nad innemi. Korespondenci teraz już nietylko podają gołe fakty, lecz i oświetlają je z partyjnego stanowiska. Gazety wychodzące w Strassburgu, Augsburgu, Frankfurcie n. M., w Lipsku i Berlinie, mają charakter wybitnie protestancki; gazety wiedeńskie, monachijskie i kolońskie są przeważnie katolickie, ogółem jednak liczba protestanckich jest już wtedy znacznie większą.

Najstarszą zachowaną gazetą w naszem rozumieniu słowa, jest *Gazeta strassburska* z r. 1609, przechowywana w uniwersyteckiej bibliotece w Heidelbergu. Jest to duży tom *in quarto* z 52 numerami w 116 kartkach. W obszernym tytule zaznaczone są kraje, o których podaje wiadomości; nie braknie tu i Polski, a w tekscie są korespondencye i z Krakowa. Warto przytoczyć krótką korespondencyę z Wenecyi z 4 września, donoszącą o wynalezieniu teleskopu przez Galileusza: „Tutejszy rząd uczcił solennie Signora Galileo z Florencyi, profesora *Mathematicae* w Padwie i polepszył mu także prowizyę o rocznych 100 koron, bo rzeczony mąż przez usilne studyum wymyślił regułę i przyrząd oczny, którym z jednej strony można widzieć miejsca odległe o 30 mil, jak gdyby były w blizkości, z drugiej strony zaś obecni wydają się o wiele większymi, niż są przed oczyma, którą to sztukę zaprezentował ku pożytkowi powszechnemu“. Liczba pism wzrosła bardzo szybko w Wiedniu, Augsburgu, Norymberdze, Hamburgu,

Berlinie, Rostecku, Hildesheimie, Magdeburgu, Lipsku, Kolonii, Szczecinie, Wrocławiu i t. d., a historya podaje również wiele nazwisk przedsiębiorców. Gazetę czytają wszyscy i w tych czasach ogólnego upadku kultury, kiedy np. uniwersytet w Heidelbergu miał dwóch studentów, gazeta jest jedynym powszechnym środkiem oświaty. Z końca tego smutnego stulecia ogłasza nawet jakiś anonim osobną książeczkę *Zeitungs Lust und Nutz* i stanowczo twierdzi, że „kto chce być mądrym, musi znać gazety".

O szeroko rozgałęzionym ruchu czasopiśmienniczym można jednak mówić dopiero od końca wieku XVII. Zrazu w pierwszym rzędzie rozwijają się pisma peryodyczne literackie i dydaktyczne, polityczne natomiast ledwo wegetują wśród ogólnego ucisku, który wówczas w Niemczech a szczególnie w Austryi panował. Światowej sławy *Journal des Sçavans* (jak wówczas pisano) wywołał w Niemczech naśladownictwo w miesięczniku *Acta eruditorum*. Rozporządzając wielką liczbę współpracowników, pomiędzy którymi był i Leibniz, czasopismo zamierzało stworzyć ognisko kulturalnych niemieckich interesów. Udało się to tylko w części: o wielu bowiem przedmiotach obchodzących ogół *Acta* częścią dobrowolnie, częścią z konieczności milczały. Wszelkie alluzye polityczne z góry były wykluczone, co dziwniejsza, nawet poezya, wówczas bądź co bądź dużo zwracająca uwagi, nie była uwzględnioną a główny nacisk kładziono na matematykę, fizykę, botanikę i medycynę. To też pismo wywołało wprawdzie wiele naśladownictw, lecz rozwojowi życia umysłowego się nie przysłużyło. Thomasiusz dopiero zrozumiał, jakie znaczenie w szerzeniu oświaty posiada ojczysty język i jak w r. 1679 na czarnej tablicy uniwersytetu w Lipsku ogłosił niemiecki program wykładów, tak zakłada i niemieckie czasopismo *Scherz- und Ernsthafter, Vernünftiger und Einfältiger Gedanken* i t. d. Po raz pierwszy czasopismo ma być organem opinii publicznej. Uczony pedantyzm, zarozumiało-ograniczona pogarda dla współczesnego życia, hipokryzya — to błędy, przeciw którym Thomasius walczy. Forma jest trochę dziwaczna, lecz wtedy bardzo powszechnie używana, typowa i dla polskich czasopism, założono bowiem towarzystwo z czterech mężczyzn, reprezentantów czterech typów i zawodów wśród ludzi i ci prowadzą żwawe dysputy o najnowszych wypadkach na polu umysłowem. Pan Dawid, pedagog ponosi niejako koszta tej rozrywki, bo na niego spadają gromy przeciw pedantom wymierzone. Uczone *allonge* — peruki tych panów, są przedmiotem zjadliwej satyry, która wszędzie budząc popłoch lub radość, zjednywała czasopismu ogromną popular-

ność. Zawrzało wszędzie a wydawca musiał wprost uciec z Lipska, schronił się do Berlina, niebawem zaś przeniósł się do Halli, kładąc tu z pomocą elektora Fryderyka III. fundament pod sławny uniwersytet.

Tymczasem występuje wszędzie nowy, niezmiernie charakterystyczny typ czasopism. To owe pisma tygodniowe moralne, o których Polak, prof. M. Kawczyński (u p. Salomona Kawszyński) napisał gruntowną rozprawę przez naszego autora cytowaną. Te tygodniki oznaczały już w tem postęp, że przynosiły z sobą głębszą i szerszą ideę podstawową, której brak było wszystkim poprzednim. Wychowanie człowieka — oto ta myśl, propagowana przez angielskie pisma, jak *The Tatler, The Spectator, The Guardian* wydawane przez Steele'a i Addisona, rozchodzące się w wielkiej na owe czasy liczbie egzemplarzy, bo w kilkunastu tysiącach. W Niemczech przypadek zdarzył, że naśladownictwa tych angielskich wzorów stały się trybunami żywych dysput literackich, prowadzonych podczas znanego sporu lipskiej i szwajcarskiej szkoły. Bodmer i Breitinger wydają *Discourse der Mahlern,* w utartej formie rozmowy a w zamiarze odtwarzania współczesnego życia obyczajowego; więc mówi się o wychowaniu dzieci, przyjaźni, szczęściu, grze w karty, obawie śmierci, wolnomyślności, paleniu tytoniu, dandysostwie, nie zaniedbując i bardziej literackich tematów, jak historya, językoznawstwo i t. d. Niebawem powstaje w Hamburgu bardzo wpływowe pismo *Der Patriot,* a równocześnie Gotsched, zacięty przeciwnik „Szwajcarów" wydaje *Die vernünftigen Tadlerinnen,* i zwraca się po raz pierwszy głównie i wyłącznie do kobiet, chcąc je z jednej strony umysłowo oświecić, z drugiej zaś o wyższości swoich zasad estetycznych przekonać. Odtąd jak z rogu obfitości sypią się rozmaite, niekiedy krótkotrwałe moralne czasopisma zwłaszcza w Niemczech. Na ziemi austryackiej ruch jest bardzo słaby. Jeden tylko tygodnik *Der Mann ohne Vorurtheile,* śmiało i gwałtownie walczy w obronie uciskanego przez możnych panów ludu włościańskiego i domagając się zniesienia pańszczyzny, dochodzi tu do znaczenia. Z berlińskich pism godzi się ze względu na dobrany sztab współpracowników wymienić *Berlinische Monatschrift,* zasilaną przez mężów jak Möser, Mendelssohn, Förster, T. A. Wolf, bracia Humboldt, Fichte, Kant; czasopismo pragnęło przedewszystkiem rozwiać mgły dusznego mistycyzmu na dworze Fryderyka Wilhelma II.

Smutny widok przedstawiają współczesne pisma polityczne. Zapewne nietylko ucisk ze strony władz jest przyczyną tak charakterystycznego faktu, że w nieco niezwykłej książce, wydanej w r. 1721

przez niejakiego d-ra Hönn p. t. *Betzungslexicon*, traktuje osobny artykuł o dziennikarzach. Dzielnie trzymają się jedynie czasopisma holenderskie, poważane w najwyższych kołach. Wszak rząd austryacki płacił wielu z nich subwencye, aby jego politykę popierały a króla pruskiego zwalczały. *Gazette de Leyde*, prowadzona przez Luzac'a zaplątała się w spory z Anglią, Maltańczykami, Francyą, Prusami, Polską, a — jak p. Salomon krótko notuje — „konflikt z Polską był widocznie szczególnie gwałtownym, bo polski sejm zakazał ostatecznie w r. 1774 wprowadzania tego pisma do Polski pod karą 2000 złotych".

Dopiero Fryderyk II. szczerze pragnie rozwoju prasy politycznej, oczywiście nie bez zamiaru oddania jej choć w części na usługi swej polityki. Teraz powstaje sławna, do dziś dnia bardzo wybitna *Vossische Zeitung*, tak nazwana od wydawcy, zięcia głośnego w dziejach niemieckiego czasopiśmiennictwa i ruchu księgarskiego Rüdigera. Naukowy dodatek prowadził tu w latach 1751—1755 sam Lessing, krytykę teatralną K. F. Moritz, gwałtowny przeciwnik młodzieńczych dramatów Schillera, przedewszystkiem *Kabale und Liebe*, o której pisze: „Szczerze mówiąc znowu raz produkt, przynoszący naszym czasom — wstyd! Jakiem czołem może człowiek taki bezsens napisać i kazać drukować!" Fryderyk W. poznał, jaki wpływ potrafi wywierać prasa i za jego panowania może dopiero rozpowszechniają się w codziennej prasie, dziś tak częste artykuły „inspirowane". Z jego zgonem stosunki się zmieniły na niekorzyść prasy, gnębionej surowymi edyktami cenzurowymi.

Znowu podupadają polityczne gazety a popularnością cieszą się dzienniki natury niewinniejszej, mniej niebezpiecznej. Są to wszelakie „gazety pocztowe" oraz t. zw. *Intelligenzblätter*. Główną ich rubrykę stanowi spis rzeczy zgubionych lub znalezionych, wystawionych na sprzedaż i t. p., słowem prawie same nowiny ogłaszane dotychczas z kazalnicy ku utrapieniu duchownych, zmuszonych do pełnienia funkcyi woźnych. Lecz i na tem polu nie obeszło się bez protestów. Władze nakazywały dziennikom stałe zamieszczanie miejscowych ślubów, chrztów, pogrzebów, publiczność przeciwnie oburzała się przez długi czas na to wdzieranie się w tajniki życia domowego. Tylko nieliczne pisma zachowują wśród ogólnego zastoju charakter polityczny. Są to najprzód gazety hamburskie, następnie zaś po francusku wydawana *Gazette de Cologne*, reprezentująca interesy katolicyzmu i domu austryackiego. Dzisiejsza *Kölnische Zeitung*, jeden z najwybitniejszych politycznych dzienników, nie od niej się jednak wywodzi, lecz od niepokaźnej gazety

pocztowej. W Lipsku wychodzący dziennik miał zakazane wspominanie choćby słówkiem o stosunkach w Polsce, rządzonej przez Fryderyka Augusta, elektora saskiego. Trudno wyliczać po kolei wszystkie dzienniki polityczne w Niemczech wychodzące. Jest ich znaczna ilość, podczas gdy austryackie ledwo wegetują. Podcina im korzenie dekret nadwornej kancelaryi z r. 1798, zakazujący kawiarniom abonowanie pism literackich, bo przez to dochodzą do wiadomości publicznej w wyjątkach książki przez cenzurę wzbronione i powstają nieprawnie „gabinety do czytania".

Tym upadkiem i uciskiem drukowanych pism peryodycznych tłumaczy się niezwykły na pierwszy rzut oka fakt powtórnego pojawiania się pisanych gazet. Są to bulletyny abonowane nietylko przez osoby prywatne i redakcye dzienników, lecz i przez gabinety pierwszych mocarstw. Ich wpływ jest wielki, większy niż się przypuszcza, i gorszy. W politycznej części nie kontrolowane, a przez to albo płatne albo fantastyczne, podsycały manię politykowania przy szklanicy; w rubryce miejscowych wypadków były aż zbyt często pieprzną *chronique scandaleuse*.

Piękniejszy widok przedstawia się obserwatorowi literackich czasopism. Ich historya to niezmiernie ważny i mimo wszystko zaszczytny rozdział historyi niemieckiej literatury i oświaty. Początek ich sięga wspomnianej już walki Gottscheda z Bodmerem i Breitingerem. Stronnik Gottscheda J. J. Schwabe wydaje *Belustigungen des Verstandes und Witzes*, „Szwajcarowie" odpowiadają założeniem swego organu, a wkrótce powstaje trzecie pismo, pośrednie, od miejsca druku krótko zwane *Bremer Beiträge*. Najwybitniejsze nazwiska młodszej literatury: Zachariä, Ebert, Mylius, J. E. Schlegel, Gellert, Cramer, Giseke, Rabener i t. d. pojawiają się na ich szpaltach. Ozdobą nieśmiertelną staje się podpis Klopstocka, który tu r. 1798 ogłasza pierwsze trzy pieśni „Messyady". Z wystąpieniem na widowni ruchu wydawniczego Fryderyka Nicolai zaczyna się okres rozkwitu literackich czasopism niemieckich. Nicolai wysuwa się na czoło berlińskiej *Aufklärung*, zrazu nie tak zaciekłej i zachłannej jak później. W r. 1757 rozpoczyna wydawnictwo pismo *Bibliothek der schönen Wissenschaften und der freien Künste*, a w programie umieszcza jedną z najpłodniejszych ówczesnych myśli: poparcie rozwoju dramatu. Rozpisuje się pierwszy konkurs dramatyczny, omawia się współczesną produkcyę niemiecką i zagraniczną, jak np. Goldoni'ego. Mendelssohn, Hagedorn, na krótko i Lessing są współpracownikami. Ten ostatni występuje rychło z własnem przedsię-

biorstwem, z tymi *Briefe, die neueste Literatur betreffend,* które na zawsze pozostaną pamiętnymi; tu po raz pierwszy podniesiono program narodowy niemieckiej poezyi. Nicolai porzuciwszy dawniejsze wydawnictwo zakłada *Allgemeine deutsche Bibliothek,* sławny a jak kto chce osławiony organ filisterskiego „oświecenia" niemieckiego. Genialny bicz satyry, ręką Goethego dzierżony osmagał to pismo tak, że zapomniano o pewnych zasługach „Biblioteki" w jej pierwszych latach. Co prawda, im bardziej się starzało, tem bardziej stawało się przedstawicielką płaskiego filisterstwa i *zopfu.*

Z wielkiej liczby tegoczesnych organów krytyki, prawie bez wyjątku bardzo wpływowych, wymienić należy najważniejsze. A więc *Frankfurter gelehrte Anzeiger,* boisko młodych *Stürmer und Dränger* z Goethem i Herderem na czele, pełne entuzyazmu dla niemieckości, dla gotycyzmu, Ossyana, Szekspira i dzikiej swobody; więc jenajska *Allgemeine Literaturzeitung,* potężna przeciwniczka romantyków, nawzajem gwałtownie zwalczana przez braci Schlegel, Schellinga i ich towarzyszów, i wkrótce potem pogrzebana; więc na jej miejsce przez Goethego powołana do życia pod bardzo pomyślnemi auspicyami *Jenaische Literatur-Zeitung.*

One wszystkie służą prawie wyłącznie interesom literackim i estetycznym. Myśl polityczna nie da się jednak zupełnie przygłuszyć, zwłaszcza wobec tego, że wbrew intencyom rządów bieg wypadków prze stale do uświadomienia narodów i jednostek. Wzorem francuskiego *Mercure de France* Wieland zakłada pismo *Der deutsche Mercur,* tworząc w niem niejako pomost pomiędzy literackiemi a politycznemi czasopismami. W literackiej części są współpracownikami Wieland z *Oberonem,* Schiller z *Götter Griechenlands* i *Die Künstler,* Goethe z wspomnieniami z włoskiej podróży. W części politycznej odzywają się odgłosy francuskiej rewolucyi. Jak tylu innych Niemców tak i Wieland zrazu wita ją entuzyastycznie, lecz gdy brutalna praktyka nie odpowiada pięknie brzmiącym hasłom, odwraca się od niej i już w r. 1798 dowodzi, że jedynie dyktator może pomódz biednemu krajowi a młody generał Bonaparte ma wszelkie po temu warunki. Bliższy rodak Schillera, bo też ze Schwabii pochodzący, Daniel Schubart, budzi uczucie patryotyczne w piśmie *Deutsche Chronik,* lecz wnet spotyka go ciężki los: gdy ośmielił się karcić ks. Karola wirtemberskiego i jego kochankę Franciszkę Hohenheim, podstępnie zwabiony w granice państwa, pokutuje w dusznym i wilgotnym lochu w twierdzy Hohenasperg. Wolnościowe zapędy nie dają się jednak już skrępować i mają w tych la-

tach na usługi znaczną ilość peryodycznych pism. Daleko skromniejszym jest poczet „reakcyjnych“ organów, których głównem siedliskiem jest i teraz Austrya.

Rozpolitykowanie się ogółu przybierało rozmiary już prawie niebezpieczne. Cierpiały na tem inne kulturalne sprawy. To też schyłek XVIII. stulecia wykazuje wiele prób skierowania zajęcia publiczności w stronę idealniejszych interesów, w kierunku sztuki i literatury. Schiller, założywszy już dawniej przemijającej trwałości *Rheinische Thalia,* powołuje do życia wydawnictwo w wielkim stylu, czasopismo *Horen* i zbliża się w niem do Goethego. Mimo idealnego programu i świetnego grona współpracowników, pismo miało bardzo mało abonentów; bystry Kant przeczuł to niepowodzenie, motywując je choćby tylko wykluczeniem spraw i roztrząsań politycznych. I organ braci Schleglów, sławne w dziejach niemieckiego romantyzmu *Athenäum,* nie cieszyło się lepszem szczęściem, a jeszcze większe straty poniósł księgarz Cotta, wydając *Propyläen,* kierowane przez Goethe'go. Nic nie pomogły utyskiwania obu Dioskurów, zwłaszcza Schillera. Ogół pragnął na pograniczu dwóch wieków, przedewszystkiem prasy politycznej. Jej rozwoju dokonało następne stulecie. Zadanie autora w tym drugim, niewydanym jeszcze tomie, będzie bardzo trudne, lecz i ciekawość będzie jeszcze większa.

Dr. Józef Flach.

Die amtliche Handelsstatistik Englands und Frankreichs im XVIII. Jahrhundert. *Dr. Friedrich Lohman.* Berlin 1899.

Historya administracyi statystycznej, czy jak chcą inni, statystyki administracyjnej, jeszcze i dotychczas bardzo wiele luk wykazuje, a raczej te wiadomości, które już posiadamy, mają charakter bardzo luźny i sporadyczny tylko. Rezultat tego smutnego stanu rzeczy jest zaś taki, że jak niema odpowiedniej ilości monografij, tak też część historyczna systemów statystyki wypada prawie zawsze bardzo kuso, ten wstęp historyczny dotyczy zaś z reguły głównie a czasami nawet wyłącznie teoryi statystyki, doktryny statystycznej, z zupełnem prawie pominięciem praktyki statystycznej.

Autor przedstawia w swej rozprawie po raz pierwszy organizacyę statystyki administracyjnej w Anglii i we Francyi w XVIII. w. Co się tyczy statystyki angielskiej, to głównym materyałem, jakim się autor posługuje są dwa dzieła współczesne tj. dzieła Sir Charles'a Whitworth'a i George'a Chalmers'a.

Pierwsze z tych dzieł wyszło w r. 1776 p. t. *State of the trade*

of Great Britain and its imports and exports, progressively from the year 1697. Dzieło to zawiera mianowicie 77 tablic statystycznych, przedstawiających statystykę angielskiego dowozu i wywozu i bilansy roczne za lata 1697 do 1773 r. Dzieło Chalmers'a zaś (*Estimate of the comparative strength of Great Britain,* London 1810, zwłaszcza str. 234 i następ.) ma o tyle wielkie znaczenie źródłowe, że Chalmers brał w r. 1786 czynny udział w angielskiej statystyce urzędowej.

Angielska statystyka handlowa datuje się od r. 1696. W tym czasie bowiem utworzono stały urząd handlowy, łącząc równocześnie z tym urzędem i urzędową statystykę handlową. Statystyka handlowa łączyła się ściśle z organizacyą poboru ceł. Angielskie cła owych czasów, i to tak cła dowozowe jak i cła wywozowe, były w przeważnej swej części cłami od sztuki. Przy dowozie i wywozie towarów notowano przy sposobności poboru cła, rodzaj, ilość i pochodzenie towaru. Ten materyał przerabiały same urzędy cłowe w poszczególnych zatokach ustanowione i dopiero takie sprawozdania ilościowe przesyłano urzędowi handlowemu, który sporządzał wykaz ogólny. W ten sposób uzyskiwano cyfry co do liczby towarów. Chcąc zaś uzyskać daty o wartości tychże towarów, mnożono liczbę towarów z przeciętną wartością tych towarów, ustanowioną na podstawie opinij poważnych firm handlowych. Dopiero w r. 1798 nastąpiła w tym ostatnim kierunku zmiana o tyle, że wartość wywozu oznaczano już na podstawie deklaracyi indywidualnych samychże ładowników. Analogiczna zmiana co do dowozu i przewozu nastąpiła dopiero w r. 1871.

Ta organizacya administracyi była wszakże z wielu względów niewłaściwą. I tak ważnym momentem, stojącym na przeszkodzie dobrej statystyce, była przedewszystkiem okoliczność, że organizacya statystyczna była ściśle związaną z organizacyą administracyi cłowej i że wskutek tego tam, gdzie administracya cłowa, jako taka nie miała powodu czynić starania w kierunku uzyskania dat o poszczególnych kategoryach towarów, tam i statystyka obrotu tymi towarami musiała być bardzo a bardzo niedoskonałą. Dotyczy to zaś w pierwszym rzędzie towarów wolnych od opłaty cła. W r. 1696, gdy statystykę handlową wprowadzono w życie, okoliczność ta nie miała zbyt wielkiego znaczenia, ponieważ wszystkie towary, których obrót miał większe cokolwiek znaczenie handlowe a więc i statystyczne, podpadały pod opłatę cłową. Ta niekorzystna zmiana, o której wspomniano poprzednio, nastąpiła dopiero w r. 1700, gdy zniesiono cła wywozowe

na wszystkie fabrykaty angielskiego przemysłu wełnianego, więc na towary wywożone w bardzo znacznych ilościach.

Co się zaś tyczy towarów, wolnych od opłaty cłowej, to w praktyce stosunki tak się ukształtowały, że ładownicy składali dobrowolne deklaracye o towarach przez siebie ładowanych. Ponieważ atoli administracya cłowa nie była prawdziwością tych deklaracyj interesowaną, przeto ich nie kontrolowała, kupcy zaś podawali bardzo często sumy znacznie wyższe od faktycznego stanu rzeczy, by w ten sposób podnieść znaczenie swych firm handlowych.

W statystyce ceł dowozowych bardzo wielki błąd statystyczny spowodowało przemytnictwo, grasujące w Anglii w XVIII. wieku w nader wielkich rozmiarach.

Jest rzeczą oczywistą, że i sposób oznaczania wartości obrotu handlowego bardzo znacznie odbiegał od prawdy, przedewszystkiem dlatego, że za podstawę oznaczania tej wartości i po r. 1696 brano ceny targowe z tego roku. Już współcześni wprawdzie zwracali uwagę, że przecież ceny targowe ulegają bardzo znacznym wahaniom i zmianom, kierownicy owoczesnej statystyki zaznaczyli wszakże w odpowiedzi, że tu chodzi o porównywanie pewnych dłuższych epok, nie zaś o porównywanie poszczególnych lat ze sobą.

Historya statystyki francuskiej w znacznie gorszych jeszcze stosunkach znajdowała się dotychczas, niż historya statystyki angielskiej. Arnould, Foville, Alexandre Moreaud, Jonnès, Cesar Moreau, wreszcie Levasseur podają o francuskiej statystyce handlowej daty bardzo sumaryczne. Wskutek tego autor był zmuszony oprzeć się głównie na materyałach, zawartych we francuskiem archiwum państwowem.

Historya francuskiej statystyki handlowej datuje się od Colbert'a. Jak Colbert był wogóle pierwszym we Francyi, który jasno uznał konieczność świadomej polityki handlowej, tak też Colbert dał inicyatywę do organizacyi statystyki handlowej. Statystyka handlowa miała bowiem stanowić podstawę wszelkich projektów czy dążeń w zakresie polityki handlowej. Statystyka ta opierała się, podobnie jak w Anglii, o organizacyę administracyi ceł. Różnica zasadnicza polegała wszakże na tem, że obowiązek deklaracyi statystycznej dotyczył nietylko tych towarów, które podlegały opłacie cłowej, ale i tych, które były wolne od tej opłaty. Sporządzano trzy kategorye tablic: pierwszą kategoryę stanowiły alfabetyczne spisy towarów dowiezionych i wywiezionych wraz z datami w deklaracyi zawartemi, drugą kategoryę cyfry o ilości towarów i ich wartości, trzecią nakoniec tablice, ułożone wedle krajów

pochodzenia lub przeznaczenia towarów. Wartość towarów oznaczono na podstawie wartości przeciętnej, w roku ustanawianej.

I w tej statystyce cały szereg okoliczności spowodował poważne błędy. Tak jest rzeczą wątpliwą, jakim był stosunek statystyki w zatokach wolnych do statystyki reszty kraju. Dalej, z biegiem czasu dużo towarów uwolniono od cła, wreszcie (co ma znaczenie głównie dla statystyki dowozowej) przemytnictwo i we Francyi bardzo znaczne przybrało rozmiary.

Ale choć angielska i francuska statystyka handlowa XVIII. w. nie są wolne od wad i błędów, a nauka musi wskutek tego czynić odpowiednie w jej wynikach korektury, to przecież nie była ona bez znaczenia dla współczesnych mężów stanu; dawała ona im bowiem niewątpliwą podstawę do oceny tendencyi rozwojowej bilansu handlowego, jego upadku i wzrostu. A o to im głównie chodziło.

Dr. Zygmunt Gargas.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

KANONIZACYA BŁ. JANA DE LA SALLE.

Rok jubileuszowy zaznaczył się wielu wypadkami, posiadającymi niemałe znaczenie dla życia katolickiego. Do takich wypadków zaliczyć musimy na pierwszem zdaje się miejscu kanonizacyę bł. Jana de la Salle, założyciela Kongregacyi Braci szkolnych, kanonizacyę, która się odbyła w obecności więcej niż 120.000 wiernych w kościele św. Piotra w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego. Święty ten, widząc opłakane stosunki, szczególnie niższych warstw społeczeństwa, wyrzekł się dostojeństw, jakie mu wysokie urodzenie zapewniało i postanowił oddać się całkowicie na usługi ludzkości. Wiedział, że wychowanie chrześcijańskie młodzieży wielu złemu zapobiedz może, że kiedy poziom moralny się podniesie, koniecznem tego następstwem będzie również podniesienie się poziomu materyalnego i dlatego poświęcił całe swe życie pracy szkolnej.

Dla osiągnięcia tego celu założył kongregacyę zakonną, liczącą dzisiaj przeszło 15.000 członków a kształcącą około 320.000 dzieci. W regułach wlał prawdziwie chrześcijańskiego ducha swej instytucyi, bo kiedy w czasie rewolucyi rząd samozwańczy zażądał od członków Kongregacyi, by zaprzestali w swych szkołach uczyć katechizmu, odpowiedzieli: „nasze szkoły nazywają

się chrześcijańskiemi, a nigdy nazwa ta nie będzie kłamstwem“ — kongregacya rozumie się została zniesioną.

Celowi swemu odpowiada dzieło św. de la Salle podwójnie. Znany jest najpierw nader korzystny wpływ, jaki zakłady Braci szkolnych na młodzież wywierają, nie dziw więc, że wszyscy, katolicy czy liberali powierzają z ufnością dzieci swe tym szkołom zakonnym — liczba uczniów, rozszerzenie się Kongregacyi po całej prawie ziemi wbrew najrozmaitszym trudnościom i prześladowaniom pokazują, że stowarzyszenie potrafiło sobie wyrobić zaufanie i poważanie. A i nauce oddało dzieło św. de la Salle, a raczej on sam, niezrównane usługi. Rozumiejąc ile od dobrze wykształconego chrześcijańskiego nauczyciela zależy, założył on w r. 1684 pierwszy w Europie seminaryum dla szkół ludowych, gdzieby fachowych nauczycieli wyrabiać można; ustanowił tak zwany *iuvenat,* rodzaj szkół przygotowawczych do seminaryum. Pierwszy też w Europie zaprowadził systematyczne szkoły niedzielne. W dni świąteczne zgromadzał w murach swoich zakładów młodzież rzemieślniczą i wyrobniczą i tu od godziny 12—3 uczono ich geografii, geometryi, budownictwa, rysunków, prowadzenia książek, a każdą lekcyę kończono wykładem katechizmu.

Jeżeli już na tem polu zasługa jego jest niespożyta, to nie mniej zasługuje na uznanie sposób, w jaki młode lecz często zdziczałe serca kształcił. Jak rzadko kto przejrzał on tajemnice serc dziecinnych, dla tego poleca, aby dzieci ciągle były pod okiem nauczyciela, któryby dobre zasady w ich dusze wpajał; żąda aby profesor sam mało mówił, ale za to ucznia badał i tak nim kierował, aby ten z jego pomocą dobrze myśleć się nauczył a nie tylko abstrakcyami i teoryami się zadawalniał. Wielki nacisk kładzie na samowolę młodzieży, każe ją zwalczać, uczy jak hamować nieokiełznane popędy, choćby i karą cielesną, gdyby tego zaszła potrzeba. Do tych mniej więcej zasad doszła i pedagogia naszych czasów, tylko że tu łatwo o teoryę, trudniej o zastosowanie tejże w życiu praktycznem, podczas gdy w szkołach przez św. de la Salle założonych, te zasady nie tylko wyznają, ale je i w czyn wprowadzają. Nie zadziwi

więc nikogo, że nawet w liberalnej Francyi otrzymali Bracia szkolni na wystawie 1878 roku za osiągnięte prac swych rezultaty pięć złotych i siedm srebrnych medali.

Stąd też słusznie chlubić się może świat katolicki nowym Świętym, który na wiele lat przed innymi pedagogię na nowe popchnął tory, tak olbrzymie zasługi około nauki i społeczeństwa położył i swoim przykładem jasno pokazał, że można być katolikiem a nawet świętym, a nie być ani zacofanym ani fanatykiem.

LIST CESARZA CHIŃSKIEGO DO LEONA XIII.

W marcu b. r. rozeszła się po przeważnie zagranicznych pismach wiadomość, najlepiej o znaczeniu, jakiego osoba Leona XIII. i u pogańskich monarchów zażywa, świadcząca. Cesarz chiński przesłał Ojcu św. z okazyi szczęśliwego ukończenia 90 lat życia list gratulacyjny. Papież nie życzył sobie, aby pismo cesarskie drukowano, chciał bowiem oszczędzić upokorzenia rządowi włoskiemu i tak już dosyć upokorzonemu odmowną odpowiedzią, jaką otrzymał od Chin na żądanie odstąpienia mu jednego z portów handlowych. Do listu tego dołączyła rada cesarska następującą odezwę:

„W biegu 12 księżyców tego roku Cesarz Wielkiej Wiary kończy dziewięćdziesiątą rocznicę swego urodzenia, wiosnę jedną z najdłuższych w panowaniach europejskich: jest to nadzwyczajne zdarzenie. Z tego powodu ośmnastego dnia dziewiątego księżyca przedstawiło nasze ministerstwo cesarzowi memoryał, przedkładając napisanie listu z powinszowaniem. Teraz Jego Cesarska Mość napisał list tu załączony, który nasze ministerstwo oddaje W. Ekscelencyi (O. Favier, Wik. Apost.) z prośbą, aby go kazał oddać Cesarzowi Wielkiej Religii, za co nasze ministerstwo wdzięcznem będzie. Pisząc te słowa, nasze ministerstwo życzy W. Ekscelencyi wszelkiego powodzenia“.

List sam brzmi jak następuje:

„Cesarzu Wielkiej Religii państwa rzymskiego! W biegu dwunastego księżyca tego roku, kończy się dziewięćdziesiąta rocznica Waszego urodzenia. Ta długowieczność, przedłużona wiosna, pomiędzy panowaniami Europy, jest faktem nadzwy-

czajnym. Jesteśmy tego zdania, iż przez dwadzieścia lat Waszego panowania, wzywaliście ludzi do czynienia dobrze, dla której to przyczyny cały świat się cieszy i Wam jest wdzięczny. Dla tego przy sposobności tak szczęśliwej okoliczności, chcemy przedstawić Wam, w sposób rzeczywiście osobliwy, nasze życzenia. Życzymy Wam przedewszystkiem, abyście obchodzili w dobrem, kwitnącem zdrowiu tę rocznicę a potem abyście doszli do setnego roku Waszego życia. Pragniemy prócz tego, aby chrześcijanie i niechrześcijanie tak w Chinach, jak w każdej innej stronie, żyli w dobrej zgodzie i aby korzystali ze szczęśliwego pokoju. Na prawdę, mamy tę silną nadzieję".

Że życzenia a zarazem wszystkie twierdzenia tego listu z wielką rezerwą brać przychodzi, o tem świadczą ostatnie tygodnie. Nie do nas należy wprawdzie ocena najnowszych zajść chińskich ze stanowiska politycznego, trzeba nam jednak na jednę okoliczność zwrócić uwagę.

Od dawien dawna były Chiny widownią najrozmaitszych sekt i związków o charakterze narodowym lub też religijnym, a zawsze nieprzychylnym wierze i nauce chrześcijańskiej. Stąd też bezustannie lała się w Chinach krew nie tylko chrześcijan zagranicznych, ale i tubylców, a zdanie Tertuliana, że *sanguis martyrum semen Christianorum*, zdaje się w Chinach samych tworzyć okrutny wyjątek. Nic to zresztą nadzwyczajnego, bo rząd zamiast zabrać się energicznie do karania buntowników, popierał ich prawie zawsze, a jeżeli już ukarać musiał, czynił to w taki sposób, że mniej lub więcej otwarcie swoje sympatye z ruchem anty-chrześcijańskim okazywał. Kiedy np. w r. 1870 powstańcy opanowali klasztor katolicki w Tien-Tsin a zakonnice z wyszukanem barbarzyństwem zamęczyli, musiał rząd chiński pod presyą europejską zapłacić znaczne odszkodowanie a samych zbrodniarzy stracić. Zarazem jednak z rozporządzenia władzy chińskiej wypłacono rodzinom straconych znaczne kwoty, pozwolono na wyprawienie w wilią egzekucyi hucznych biesiad dla delinkwentów, a samym mordercom przesłano szaty honorowe i wyprawiono po straceniu uroczysty pogrzeb. Gorzej jesz-

cze przedstawiała się rzecz w roku 1893, kiedy między sędziami rozsądzającymi sprawę morderstwa kilku misyonarzy europejskich, znajdowali się sami sprawcy tej okrutnej zbrodni.

Nic też dziwnego, że wobec takiego stanu rzeczy niewielkie wrażenie wywoływały edykty cesarskie, jeżeli były nawet brane na seryo; nie będzie również dla nikogo niespodzianką, że i w dzisiejszych zaburzeniach strona wyznaniowa wielką odgrywa rolę; z jakich pobudek, w to nie wchodzimy. Wszak sam ambasador chiński w Berlinie orzekł, że zamieszanie w Chinach, to walka mahometan przeciw chrześcijanom a i sam fakt zamordowania tylu chrześcijan chińskich (liczbę ich oceniają już na tysiące) zdaje się o tem świadczyć; wiele też światła rzuca na całą kwestyę zajście podane przez niektóre pisma. Kiedy bokserzy napadli na pewną misyę chrześcijańską w okolicach Czantungu, postawili misyonarzom i chrześcijanom następujące warunki pokoju: wszyscy wyrzekną się w obecności mandaryna wiary swej, spalą obrazy i książki religijne, zamienią kościoły i kaplice na pagody, zapłacą 4000 paelów a misyonarze bezpowrotnie kraj opuszczą.

Dziwnem wobec tego musi się wydawać, jak niektóre gazety mogły wielką część dzisiejszych zajść zwalić na niby wyzywające zachowanie się misyonarzy katolickich. Gminy katolickie w Chinach mają się składać z ostatnich zbrodniarzy i wyrzutków społeczeństwa, których jedynie bojaźń kary popchnęła na łono Kościoła i pod opiekuńcze skrzydła mocarstw europejskich. Prawda! miał się w tym sensie wyrazić zamordowany ambasador niemiecki, ale o ile wiemy, utrzymywał on to tylko o misyonarzach protestanckich, którzy wszelkiemi siłami starają się przeszkadzać rozwojowi katolicyzmu i dlatego wszystkich bez wyjątku do sekt swych przyjmują. Opatrznościowem za to zdaje się zrządzenie, że jeszcze w dniu 27 maja ogłosił Ojciec św. błogosławionymi 77 męczenników anamickich i chińskich; jeżeli kiedy to dzisiaj potrzeba Kościołowi w Chinach licznych patronów, a pozostałym w Europie rodzinom w dalekiej ziemi pomordowanych krewnych, braci i sióstr dużo pociechy i otuchy.

POŚWIĘCENIE KRZYŻA NA WEZUWIUSZU.

Do jednej z piękniejszych chwil odrodzenia się katolickiego we Włoszech należeć pewno będzie poświęcenie krzyża na Wezuwiuszu. Uroczystość ta odbyła się z wielkiemi ceremoniami a olbrzymia ilość zewsząd napływającego ludu i przedstawicieli najwybitniejszych klas społeczeństwa włoskiego, nadały jej nietylko religijny ale i narodowy charakter. Jeżeli już sama myśl wystawienia posągów na najwyższych szczytach gór włoskich była nader szczęśliwą, nie mniej zasługuje na uznanie ta okoliczność, że dzisiaj krzyż wznosi się na Wezuwiuszu. Wulkan ten to nader dokładny obraz stosunków włoskich; z niego płynęła śmierć i zniszczenie, podczas gdy na stokach panowało życie, a i w kraju samym niewiara szeroką falą zalewa półwysep, nie mogąc jednak Boga, jak o tem ów krzyż świadczy, z serc wydrzeć.

Dziwić się jedynie potrzeba, że rząd włoski nietylko nie zakazał stawiania tych posągów i krzyżów, ale sam nawet w ceremonii poświęcenia, dokonanej przez kardynała-arcybiskupa Prisco brał udział. O ileż energiczniej i z ile większem zrozumieniem potrzeb naszych czasów postępują owi merowie francuscy, którzy kazali i każą wciąż jeszcze burzyć i wywracać krzyże i statuy a na głos protestacyi tysięcy katolików mają tylko brutalne słowa republikańskich niedowiarków!

ZAKAZ MODLITW SZKOLNYCH WE FRANCYI.

Zresztą rząd francuski, nie nauczony jeszcze smutnemi doświadczeniami demoralizacyi i anarchii, robi z swej strony wszystko, aby życie katolickie jak najwięcej przytłumić. Zakazywano już dawniej w szkołach wszelkich modlitw, lecz ze względów oportunistycznych nie wszędzie uważano na ścisłe zachowanie tych przepisów. Przed paru jednak dniami naczelny inspektor departamentu Dordogne, wydał do podwładnych sobie inspektorów okręgowych następującą odezwę: „Doszło do mojej wiadomości, że w wielu szkołach publicznych departamentu Dordogne utrzymuje się zwyczaj odmawiania modlitwy przed lekcyami i po lekcyach. Nauczyciele nasi i nauczycielki powinni tymczasem znać zasadnicze przepisy ustawy szkolnej i wiedzieć, że szkoła rzeczypospolitej jest ściśle świecka,

że zatem żadna modlitwa nie powinna być w niej odmawiana, że odbywanie jakichbądź obrzędów religijnych w lokalu szkolnym i w godzinach szkolnych jest stanowczo zabronione, stosownie do kategorycznych przepisów praw świeckich".

W jego ślady wstąpili prefektowie z Aube i Haute Savoie, akademia z Bordeaux i mer z Besançon; ci ostatni zażądali nawet od podległych im urzędników natychmiastowego cofnięcia swych dzieci ze szkół katolickich, a wszystko pod surowemi karami. „Równocześnie, dodaje jedno z naszych pism, wysyła rząd francuski okręty i wojsko do Chin nibyto w celu ochrony misyonarzy i zagrożonego chrześcijaństwa w Chinach. Czyż nie jest to szczyt obłudy?"

«CHARITAS» O EMIGRACYI POLSKIEJ.

Na zjeździe katolickiego związku *Charitas*, który się odbył w Berlinie w dniach 3, 4 i 5 lipca, zajmowano się też trochę sprawą emigracyi polskiej. Wiadomo bowiem, że od dłuższego już czasu nietylko dziesiątki, ale setki tysięcy polskich robotników i robotnic zalewają Niemcy, szczególniej zaś protestanckie prowincye: Saksonię, Brandenburgię, Hanower i Pomorze. W ostatnich latach zajmowano się i u nas dość dużo tą kwestyą, ale poglądy na nią bardzo się różnią.

W każdym razie musimy zaznaczyć, że korzyści materyalne bynajmniej nie są tak wielkie, jak to często sądzą. Świadczy o tem choćby i ta okoliczność, że wielu powróciwszy do domu o poniewnym wyjeździe ani słyszeć nie chce; nie czynią oni zaś tego z pewnością tylko dla złego obchodzenia się z nimi. Rzadko też potrafią robotnicy nasi wystarać się o dobry kontrakt a choćby go mieli, nie mniej rzadko trafią na panów sumiennych, którzyby kontraktu dochować chcieli, zresztą okazyj do potrącenia zarobku aż nadto wiele. Nie chce polska dziewczyna pracować w niedzielę, bo chciałaby iść do kościoła, czego sobie znów pan nie życzy, z pewnością już całej zapłaty nie otrzyma. Więcej sobie ceni swoją cnotę, aniżeli obiecanki lub pogróżki różnych inspektorów i włodarzy, a będzie narażona na tysiączne sekatury i ani połowy zasłużonych pieniędzy nie zobaczy. A choćby i zarobek był dobry, to i wymagania są takie, że nawet naj-

zdrowszy człowiek im odpowiedzieć nie potrafi. Zdarzyło się przecież w zeszłym roku około Halli, że w dobrach pewnego protestanckiego pana pędzono polskie dziewczęta w lipcu już o pierwszej w nocy na pole; z pracy wracały one dopiero około ósmej wieczorem.

Jakiekolwiek zresztą będą zapatrywania na materyalną korzyść emigracyi, o moralnej stronie tylko smutne rzeczy pisać można; w wierszach następujących nie opieramy się na książkach lub ulotnych artykułach, ale na sprawozdaniach proboszczów z odpowiednich parafij i na księgach kościelnych.

Jest tedy faktem, że dużo, bardzo dużo wychodźców ginie bezpowrotnie dla Kościoła i kraju przez mieszane małżeństwa; a nieszczęście chce, że w tych małżeństwach mieszanych strona polska idzie zbyt często za protestancką, bierze więc ślub bez dyspensy i do tego w zborze ewangelickim. O moralnem życiu młodzieży tak męzkiej, jak i żeńskiej trudno nawet pisać. Księgi kościelne pokazują poprostu przerażającą ilość nieślubnych dzieci, a byłoby jeszcze gorzej, gdyby nie wyrafinowane starania się o przeszkodzenie złym skutkom grzechu. Przyczyna tego tak bardzo naród w oczach obcych kompromitującego zjawiska, leży najpierw w warunkach zewnętrznych, a więc mieszkania, przestawania z sobą, niedzielnych zabaw i t. d. Głównie trzeba jej jednak szukać w tem, że dla tych biednych ludzi nic nie robiono a prawie nic się nie robi.

Niejedni przez ośm lub dziewięć miesięcy pobytu w Niemczech, mogą zaledwie raz lub dwa zajrzeć do kościoła, w którym zresztą nic nie rozumieją. Znanym jest konserwatyzm naszego ludu i utarte twierdzenie: „Polak więc katolik, Niemiec więc protestant“; dlatego też łatwo pojąć, że nie wszyscy choćby nawet mogli, do kościoła się garną, „bo to nie nasze“. Skądżeż więc lud ten, posiadający w rzeczach wiary tak mało wykształcenia, ma czerpać siłę wśród tylu pokus i okazyi do grzechu, wśród często systematycznego psucia przez protestanckich panów i inspektorów a nawet przez Polaków dłuższy czas w Niemczech jednym ciągiem przebywających! Rychła pomoc jest koniecznie potrzebną.

Dobry przykład dają nam w tej mierze Włosi. W Badenie pracuje już 6 a w Szwajcaryi 20 księży włoskich, w Berlinie stale kapłan włoski przebywa. W niektórych domach badeńskich stoją dziewczęta i kobiety włoskie pod bezpośrednim zarządem zakonnic katolickich. Zawiązane w celu pastoracyi Włochów w Niemczech pracujących włoskie towarzystwo, zebrało już ze składek 60.000 fr. a i sam rząd badeński przyobiecał subwencyę na pokrycie kosztów pastoracyi; jasnem więc, że stosunki między Włochami są lepsze, niż między Polakami.

Bawi wprawdzie od czasu do czasu kilku księży polskich w Niemczech, ale tych kilku ma pracować na terenie tak olbrzymim; praca ogromna, na każdem miejscu parę tylko dni, najwięcej tydzień zabawić można. W rzadkich tylko wypadkach dwa razy w roku kapłan polski na jakieś miejsce zawita. Konfesyonały wtenczas oblężone, spowiednik choćby się na sto części rozdzielił, wszystkim usłużyć nie może, lud do kościoła z daleka spieszy, w świątyniach katolickich słychać wtedy tylko polskie pieśni i jęk i żal i płacz skruszonych i stęsknionych serc, ale skutek ten długoż on potrwa?

Tych parę myśli nasunęło nam odczytywanie sprawozdań ze zebrań *Charitas*. Wyrazili niektórzy szlachetni kapłani, jak ks. dr. Froehling z Nordhausen uznanie dla religijnego ducha Polaków i zachęcali swoich współbraci, by po kościołach pozwalali im śpiewać po polsku, bo „znakomitym środkiem przywiązania ich do Kościoła jest pielęgnowanie śpiewu polskiego“; inni zato jak dr. Bachem dotknęli tylko bezlitośnie rany, mówiąc o „strasznej niemoralności między robotnikami polskimi“, ale nie wskazali na tę ranę lekarstwa ani też pamiętali o tem, że lwia część tego zepsucia na samych panów niemieckich spada.

Ks. Wiktor Wiecki.

Jeux floraux w Kolonii.

Uroczystość, do ostatnich czasów tylko Prowansyi, kolebce trubadurów, i Hiszpanii, ojczyźnie pieśni znaną, obchodziła po raz drugi w pierwszą niedzielę maja Kolonia. Zaprowadzono tam w r. 1898 tak zwane *jeux floraux*, zabytek literacki lat dawnych.

Powstały one w XIV. w. a twórcami ich było kilku obywateli z Tuluzy, *sept trobadors de Tolosa,* którzy chcąc dopomódz poezyi do możliwie najwyższej świetności, zwołali na dzień 18 maja 1324 roku poetycki turniej do Tuluzy; zwycięscom przypadały w udziale złote i srebrne, artystycznie wyrobione kwiaty. Z Tuluzy przeszły *jeux floraux* do Barcelony, ale podczas kiedy w Barcelonie przechowały się do naszego wieku prawie nieprzerwanie, a w ostatnich latach zabłysły na nowo całą świetnością przeszłości, to w Tuluzie upadały coraz więcej, traciły na dawnym uroku, aż niejako na nowo ożyły w stowarzyszeniu Felibrów prowansalskich.

Te igrzyska, których hasłem *Patria, Fides, Amor,* zaprowadził w Niemczech prezydent kolońskiego towarzystwa literackiego, wytrawny znawca literatur romańskich wogóle, a katalońskiej i prowansalskiej w szczególności, dr. Jan Fastenrath, 13 maja 1898 r. Ofiarował on towarzystwu 10.000 mk., z których każdorazowy procent ma być użyty na zakupienie nagród dla zwycięsców. Celem tych igrzysk literackich jest podniesienie literatury niemieckiej i wprowadzenie nowego a zdrowego pierwiastka w mdłe prądy dzisiejszego piśmiennictwa. Skutek odezwy, przez Fastenratha wydanej, był niesłychany a przeszło siedemset nadesłanych utworów świadczyło, jakie wrażenie ta nowość na publiczności wywarła.

Komitet wydaje nagrody za najlepszy poemat miłosny, religijny i patryotyczny, za najlepszą nowelę i humoreskę. Ponieważ zaś w jednym tylko dziale znajduje się zazwyczaj kilka utworów na nagrodę zasługujących, więc też dzielą się te nagrody na zwyczajne i na nadzwyczajne. Do zwyczajnych należą: wieniec z żywych kwiatów z haftowaną, nader cenną honorową szarfą, złoty fiołek, złoty bławatek, złota róża i złoty gwoździk, przyczem przystoi autorowi najlepszej pieśni miłosnej jeszcze prawo mianowania królowej kwiatów. Na nagrody nadzwyczajne składają się fundacye osób prywatnych; były one w tym roku rozmaite, liczne i kosztowne.

Podajemy tu krótki opis tegorocznego obchodu.

W dniu 6 maja o 12 godzinie zapełniła wyborowa publiczność wszystkie dosłownie miejsca największej i najpiękniejszej sali kolońskiej, Gürzenich'u, pamiętającej w swych murach, liczących pięć wieków, odwiedziny dawnych cesarzów i królów. Okna przysłonięte, mnóstwo lamp elektrycznych oświeca chorągwie, girlandy i wieńce różane i odbija się w starych rzeźbach i malowidłach. Otoczony lasem palm i laurów wznosi się na trybunie przybranej kwieciem, tron królowej; nad nim korona z róż, z niej zwiesza się honorowa szarfa, dar Barcelony, o hiszpańskich i niemieckich barwach, z napisem: *qui non vidit Coloniam Germaniam non vidit;* dokoła tronu strojne w róże, fiołki i niezapominajki krzesła dla 26 panien z orszaku królowej. Z przodu troje dziewcząt w bieli z pozłacanemi harfami, owiniętemi w kwiaty i wstęgi jedwabne; na estradzie goście honorowi, generalny konsul hiszpański, kapituła, po lewej członkowie towarzystwa literackiego i t. d.

Z uderzeniem dwunastej godziny zabrzmiały w olbrzymiej sali poważne dźwięki organu, poczem ukazał się na mownicy twórca kolońskich igrzysk i w dłuższej, oklaskami przyjętej mowie, wykazał powstanie, znaczenie i cel owych literackich popisów.

Po odśpiewaniu przez chór katedralny kompozycyi Bethoven'a, weszła wprowadzona na salę królowa kwiatów w towarzystwie 26 panien. W roku zeszłym była nią prawdziwa królowa, Carmen Sylva; obecnie zaproszono siostrę cesarza niemieckiego, księżniczkę Adolfę z Schaumburg-Lippe. Przysłała ona jako swoją przedstawicielkę baronównę Małgorzatę z Fürstenberg-Stammheim, gdyż sama musiała brać udział w uroczystościach dworskich na ten dzień w Berlinie przypadających.

Nastąpiło ogłaszanie nazwisk zwycięsców, odczytywanie utworów a królowa rozdawała nagrody. Pierwszą nagrodą był złoty kwiat lotosu, ofiarowany przez księżniczkę Adolfę a otrzymał go p. Emil Kaiser z Kolonii. Rozdano jeszcze srebrny kosztowny kałamarz, złoty fiołek i złoty bławatek.

Cicho i lekko zadźwięczały w murach poważnej sali struny harf, granych z wielkiem mistrzostwem. Z kolei wynagrodzono złotą różą i złotym gwoździkiem dwie nowele. Po nowej pieśni odczytywano dalej utwory poetyckie i rozdzielano nagrody; zwracały na siebie uwagę wszystkich złote pióro, srebrny honorowy puhar, ofiarowany przez miasto Kolonią i dwie srebrne, sztucznie rzeźbione gałązki laurowe. Już sam fakt tylu nadzwyczajnych nagród pokazuje, jak bardzo przejęła się publiczność igrzyskami i jak rozumnie weszła w myśl ich twórcy.

Dla nas będzie i to znamiennem, że między uwieńczonymi znajduje się zakonnica, Urszulanka z Werl w Westfalii. „Olbrzymie oklaski — pisze Germania, jakie zabrzmiały po przeczytaniu jej utworu *(‚Todte Liebe')*, pokazały, że wiersz ten przypadł najbardziej do gustu publiczności".

Igrzyska jak na razie robią najlepsze wrażenie i przeszły oczekiwania samego ich twórcy; pokazały, że strona romantyczna dźwięczy jeszcze żywo w sercach, i że w dzisiejszych, niebardzo zdrowych kierunkach literackich potrafi się jednak przyjąć myśl świeża a zdrowa [1].

Ks. Wiktor Wiecki.

Statystyka strejków w Austryi z lat 1894—1898.

II.

W czasie między napisaniem a wydrukowaniem pierwszej części artykułu niniejszego [2] opawska sekcya związku przemysłowców austryackich radziła nad skutecznymi sposobami, żeby robotników chętnych do pracy ochronić od poniewolnego uczestnictwa w strejkach. Podstawą dyskusyi i uchwały był referat nieznanego nam autora, który z doświadczenia najzupełniej potwierdza to, co my ze stanowiska obserwatora wypowiedzieliśmy o brutalności socyalnej demokracyi, jako też o cichych z nią kompromisach rządu austryackiego. Oto pokrótce treść rzeczonego referatu.

Strejki lat ostatnich — powiada autor — dowodzą, że tak zwane świadome celu stronnictwo robotnicze zwykło nie zawahać się przed żadnym sposobem, żeby tych robotników, którzy nie podlegają jeszcze wpływowi socyalnej demokracyi, teroryzmem, groźbami i gwałtem przemocy powstrzymać od roboty. Wiadomo dostatecznie, że bardzo wielka część robotników przy wybuchu strejku tylko w obawie gwałtów, jakiemi im zagrożono, poddaje się mimowoli teroryzmowi socyalistów;

[1] Hiszpania okazała się wdzięczną za wprowadzenie igrzysk kwiatowych w Niemczech i przez usta burmistrza Saragossy zawezwała wszystkich niemieckich poetów do współzawodnictwa na popisach hiszpańskich; nagrodą dla niemieckiego pieśniarza będzie biust Karola V., monarchy, który kiedyś nad Hiszpanią i Niemcami równocześnie panował.

[2] Zobacz *Przegl. Powsz.* z czerwca, str. 490.

wiadomo i to, że śmielsi, którzy mimo gróźb w robocie wytrwać chcieli, nieraz śmiercią to przypłacili. Teroryzm ten posuwa się tak daleko, że nawet tacy robotnicy, którzy poszukują dopiero pracy, nie śmią zgłaszać się do przedsiębiorstw zajętych strejkami [1]. Tysiące rodzin robotniczych, zepchniętych w niedostatek i nędzę, muszą wytrwać w tym stanie niegodnym człowieka, dopóki mocarze socyalistyczni nie zezwolą na podjęcie pracy; a biada temu, ktoby przed zezwoleniem chciał zarabiać na chleb dla rodziny, bo żadna władza nie uchroniłaby go przed skutkami takiego zakusu.

Wskutek tego brutalnego a systematycznego teroryzmu, przedsiębiorstwa zajęte strejkiem, zdane są na łaskę i niełaskę owych świadomych celu swego „towarzyszów", gdyż ani właśni chętni robotnicy, ani inni nie mogą korzystać ze sposobności do pracy. Nie ulega wątpliwości, że przedsiębiorstwa zajęte strejkiem bardzo często mogłyby w miejsce własnych niezadowolonych dostać innych robotników chętnych, gdyby porozstawiane czaty socyalistyczne nie wydawały sygnałów do użycia brutalnych gwałtów. Tak więc socyalizm demokratyczny zwraca się w strejkach najdzikszym teroryzmem równie przeciw chlebodawcom, jak przeciw robotnikom. Takie zaś rozkiełznanie, jakiem odznacza się tenże socyalizm w Austryi, w żadnem innem państwie nie jest tolerowane. Co więcej, dziwne zachowanie się wysokich władz austryackich, które z komitetami strejkowymi zapuszczają się w pertraktacye jakby z potęgą udzielną, jeszcze bardziej podnieca butę socyalizmu demokratycznego, bo widzi on w tem poniekąd urzędową sankcyę brutalnego postępowania swego. Wysoki rząd mówi o zamiarze podźwignięcia przemysłu i rzemiosł. Nie potrzeba wątpić o dobrej chęci, ale zapowiedziane przez Wysoki rząd ulgi i korzyści nie pozostają w żadnym stosunku z ogromnemi szkodami, jakie wynikają stąd, że władze powagą swą popierają zachcianki socyalizmu demokratycznego, że powagę i dobrą sławę chlebodawców pozwalają bezkarnie szarpać najpodlejszą zniewagą, że Wysoki rząd zagraża przemysłowcom wysokiemi karami pieniężnemi za niedostarczanie dat statystycznych, które na nic się nie przydadzą, a natomiast odmawia im opieki prawa.

[1] Nawet już przed strejkiem, gdy socyaliści dopiero go przygotowują, dzienniki czerwonego Internacyonału wydają komendę: „Powstrzymywać przypływ robotników skądinąd!" Wiedeńska *Arbeiter Ztg* dzień w dzień co do kilku przedsiębiorstw nawołuje: *Zuzug fernzuhalten!* a władze austryackie zachowują się wobec tego krępowania swobodnego ruchu żywiołów niesocyalistycznych tak, jak gdyby ich wcale nie było.

gdy strejkujący stawiają najniedorzeczniejsze i najswawolniejsze postulaty i hurmem łamią kontrakty

Taka jest treść wspomnianego powyżej referatu, o ile tyczy się naszego tematu. Mówi ona wiele, bardzo wiele, mimo że cały referat jest niedługi; a jednak dziwnym sposobem referat ten ani słówkiem nie dotyka rzeczy głównej, nie mówi nic zgoła o tem, co właśnie przemysłowcy, zwłaszcza wielcy, najwięcej odczuwać powinni, jak gdyby referent zjęty był zabobonnym strachem malować dyabła na ścianie. Tą rzeczą główną jest arogancya, z jaką socyalizm demokratyczny występuje w strejkach jak właściwy pan przedsiębiorstw przemysłowych przeciwko prawym właścicielom, którzy w oczach jego są tylko przywłaszczycielami, uzurpatorami. Zdaje się, że to wdzieranie się do rządów przedsiębiorstwa, to narzucanie właścicielom dyktatów naczelnej komendy socyalistycznej jest najważniejszym celem strejków, wobec którego polepszenie materyalnego bytu robotników i skrócenie czasu roboczego jest tylko zachętą do podjęcia walki i nagrodą za posłuszeństwo względem rządu czerwonego — nagrodą, którą strejkowicze sami sobie wywalczyć muszą bezpośrednio na przedsiębiorcach, a pośrednio na całem społeczeństwie, o ile podwyższenie płac robotniczych, zmniejszenie produkcyi i t. p. wpływa na ceny płodów pracy. Do kategoryi tych postulatów strejkujących robotników, którymi rząd socyalistyczny przygotowuje sobie i zarazem antycypuje *supremum dominium*, zaliczamy przedewszystkiem usunięcie niemiłych oficyalistów przedsiębiorstwa: rządców, dozorców, kierowników warsztatów, nad- i podmistrzów i t. p., którzy służą chlebodawcom wiernie, którzy nie zapisali się pod czerwony sztandar, a stąd znajdują się na utrzymywanej przez rząd socyalistyczny liście proskrypcyjnej. Wedle statystyki strejków z lat 1894—1898 postulat ten stawiony był w 120 razach. Do tejże kategoryi należy postulat niewydalania robotników krnąbrnych, opornych, niezdatnych, leniwych, nieraz i zbytecznych, który powtarza się w statystyce 166 razy. Jeszcze śmielsze jest żądanie, żeby przedsiębiorca nie wydalał samychże strejkowiczów; a było stawione w 142 wypadkach. Nie potrzeba pewnie rozwodzić się szeroko o zuchwałości żądania, żeby przedsiębiorca wydalił robotników nie strejkujących lub wracających do posłuszeństwa, który to postulat stawiony był w 54 strejkach. Do tejże kategoryi należy żądanie niewydalania z służby tych robotników, którzy są agentami organizacyi socyalistycznej, tj. szpiegami rządu czerwonego, stawione w 11 razach, której to liczby szczupłość tłumaczy się tem, że organizacya jest tajną, a stąd chlebodawcy

rzadko dowiadują się, którzy robotnicy zaszczyceni są funkcyami denuncyatorskiemi. Ale i wprost poddania się szpiegostwu zażądano od przedsiębiorców w 55 strejkach, nadając postulatowi temu łagodniejszą nazwę „uznania mężów zaufania“. W 2 razach posunięto się do żądania, żeby przedsiębiorca przyjmował takich tylko nowych robotników, którzy spodobają się rzeczonym „mężom zaufania“. Solą w oku są socyalizmowi demokratycznemu ci robotnicy, którzy pracują nie w przedsiębiorstwie, lecz w własnem mieszkaniu. Ta klasa, niepospolicie dziś liczna, reprezentuje największą nędzę stanu robotniczego. Są to ludzie zamieszkujący w miastach większych poddasza, po wsiach zaś najskromniejsze chałupki, często własne, pracujący dla wielkich sklepów przyodziewkowych (żydowskich), zarabiający przy pomocy żony i dzieci podrastających $1^1/_2$ do 2 złr. na tydzień. W niektórych okolicach stanowi ta klasa robotnicza przeważną część ludności; w tak zwanej Galicyi słynie stąd podobno Rozdół, na Morawie Prościejowice. Doszczętnem wyzyskaniem sił tych mizeraków najłatwiej i z największym pozorem rzetelności bogacą się żydowscy „konfekcyoniści“, więc wartoby zaopiekować się ich dolą; ale że są to ludzie spokojni i religijni, którzy ani nie chcą, ani nie mogą puszczać się na awantury i stoją właściwym celom socyalizmu demokratycznego tylko na przeszkodzie, przeto czerwoni opiekunowie stanu robotniczego pragnęliby głodem ich zamorzyć. Stąd powstało żądanie, żeby przedsiębiorcy nie zatrudniali robotników poza własnemi warsztatami. Powtórzyło się ono w pięciu latach wprawdzie tylko 4 razy, ale te cztery razy zwracały się przeciw tysiącznym rodzinom robotniczym. Cokolwiekby się powiedziało o wyzyskiwaniu sił nędzarzy, postulat ten jest jeszcze więcej egoistyczny od postępowania wyzyskiwaczy. Zresztą kładziemy tu nacisk tylko na zakus zagarnięcia rządów społecznych przez czerwony sztandar. Podobnie ma się rzecz co do wyzyskiwania sił terminatorskich; socyaliści protestują, ale nie przeciw wyzyskiwaniu sił dziecięcych, nie przeciw krzywdzeniu publiczności, która za złą robotę terminatora płaci tyleż, co za lepszą robotę czeladnika, lecz protestują przeciw zbyt wielkiej liczbie terminatorów w jednem przedsiębiorstwie; albowiem terminatorowie, choć już zarażeni socyalizmem, są bądź co bądź więcej w mocy przedsiębiorcy niż czeladnicy i przez większą liczbę terminatorów czuje się przedsiębiorca silniejszym wobec zachcianek „towarzyszów“. Stąd powstało eufemistyczne żądanie „uregulowania spraw terminatorskich“, powtarzające się 17 razy. Notujemy je tu znowu tylko jako śmiałe wdzieranie się w sferę samodzielnej kom-

petencyi przedsiębiorcy, jako zakus dyktatury socyalistycznej. Chęci zapanowania nad przemysłem dowodzi także postulat zniesienia pracy na akord. Postulat ten nie może żadną miarą dogadzać porządnemu robotnikowi, który przy pracy na akord ma sposobność skorzystać ze swojej zdolności umysłowej, fizycznej i technicznej i zarobić sobie o wiele więcej od swojego towarzysza głupiego, słabego, leniwego, niewprawnego lub opieszałego. Postulat ten jednak dobitnie charakteryzuje mrzonkę i niesprawiedliwość socyalizmu demokratycznego. Wedle niego wszyscy ludzie są sobie bezwarunkowo równi i mają równe prawo do dóbr ziemskich; wszelka indywidualność i osobista zasługa ustaje; więc też absolutnie równa powinna być praca i płaca, z wyjątkiem tylko samego rządu czerwonego, który jest absolutnym panem nad tą żywą machiną, złożoną z milionów rąk robotniczych, który przeto też może zbierać dla siebie śmietanę z pracy tych rąk, nie zobowiązany nikomu do odpowiedzialności. Powtarzamy: przyzwoity, zdolny i myślący robotnik na taką niesprawiedliwość zgodzić się nie może, a jednak głupcy i niedołęgi, którym naturalnie podoba się ta mrzonka, taką mają przewagę nad światlejszymi i zdolniejszymi, że postulat zniesienia pracy na akord stawiono w 72 wypadkach. Aby ruchowi rewolucyjnemu nie zabrakło humorystyki, wykazuje statystyka 3 wypadki, w których wręcz sprzecznie z zasadą i sposobem wyjątku z reguły zażądano zaprowadzenia pracy na akord; można bowiem odstąpić od niezłomnej zasady na rzecz wyższej, jeszcze więcej nieugiętej zasady, że wszystko dziać się powinno nie po woli właściciela przedsiębiorstwa, lecz po woli czerwonego sztandaru. Nakoniec dwie jeszcze zuchwałości zaliczamy do kategoryi postulatów przygotowujących *supremum dominium*, mianowicie: żądanie, żeby przedsiębiorca wypłacił strejkowiczom zarobek utracony wskutek strejku, stawione w 5 razach, i żądanie, żeby przedsiębiorstwo święciło dzień święty, dzień 1 maja, święto odrodzenia społeczeństwa w duchu demokratyczno-socyalistycznym, które to żądanie stawiono 76 razy.

Ogółem tedy postulaty tej kategoryi powtórzyły się 727 razy, podczas gdy żądanie podwyższenia płacy robotniczej stawiono tylko w 652 razach, żądanie zaś skrócenia czasu roboczego tylko w 318 razach. Wnioskując z nierównej częstotliwości jednych a drugich postulatów, musimy dojść do przekonania, że ugruntowanie własnej powagi rządu czerwonego więcej mu znaczy, niż dobrobyt stanu robotniczego. Mamy zresztą dowody na to w poszczególnych strejkach, dowody bardzo jaskrawe; tak np. w strejku górników zatrudnionych

w śląskich i morawskich kopalniach węgla z lutego i marca r. 1896. W jednej z tych kopalń wydalono ze służby dwie czy trzy osoby za podburzające agitacye i za ekscesywne postępki względem przełożonych. Byli to „mężowie zaufania“, szpiegowie, agenci rządu czerwonego, który przeto wydaleniem ich sam czuł się dotkniętym i musiał pomścić się za tę obrazę swojego majestatu.

Jakoż pomścił się, ale na kim, czyim kosztem? Za drobnostkę, która tyczyła się jednej kopalni, pchnął w strejk 18.000 robotników (z pomiędzy 25.000 bo nie wszyscy górnicy usłuchali rozkazu) w 29 kopalniach i podtrzymał bezrobocie przez cały miesiąc od dnia 24 lutego do dnia 23 marca. Skutek strejku dla robotników był ten, że nietylko wydaleni z roboty podszczuwcy pozostali wydalonymi, lecz i 95 innych straciło służbę, a wszyscy strejkowicze razem ponieśli stratę co najmniej 360.000 zł. austr., czyli średnio po 20 zł. austr. na osobę. Bez porównania drożej jeszcze opłacili czerwonemu sztandarowi poddaństwo swoje, ci górnicy śląscy, morawscy i czescy, którzy w liczbie 60.000 pozwolili się pchnąć w strejk czteromiesięczny na początku roku bieżącego bez najmniejszej, choćby tylko pozornej przyczyny, jedynie dlatego, że rządzącym towarzyszom w niezgłębionej mądrości zachciało się okazać swą potęgę wobec ogromnego nonsensu kapitalistycznego, którym jest wystawa paryska. Prawdziwe to jeszcze szczęście dla wystawy, że na czele handlowego wydziału w rządzie francuskim stanął w chwili decydującej minister należący do obozu demokratyczno-socyalistycznego; prezydent Republiki francuskiej widocznie wiedział, co robi, gdy tekę spraw handlowych, a z nią protektorat nad wystawą powierzył „towarzyszowi“ Millerandowi. Jedynie austryaccy przywódzcy socyalistów-demokratów, mając prócz humbugu francuskiego inne jeszcze, a bliższe i ważniejsze rzeczy na względzie, nie zważali na p. Milleranda, lecz uruchomili znowu swoich pospolitaków, t. j. górników. Adlery, Verkaufy, Daszyńscy nic na tem nie stracili, choć sromotne cięgi, które otrzymał Karpeles, ich także boleć powinny; ale uwiedzeni górnicy opłacili posłuszeństwo swe straconym zarobkiem w ilości 5 lub 6 milionów zł. austr., a publiczność płaci ogromnie podwyższone ceny węgla.

W powyższej sumie 727 wypadków, w których strejkowicze stawiali żądania charakteryzujące strejk jako zamach na prawa właściciela przedsiębiorstwa, jako zakus w duchu *supremi dominii* rządu czerwonego nad polem pracy i nad wszystkiem, co z niem się wiąże, prawdopo-

dobnie są zawarte te tylko żądania, które ów rząd wypowiedział przez usta swoich mężów zaufania, przez swoich agentów i szpiegów między robotnikami, a nie są zawarte te żądania, które wypowiedział bezimiennie na kartkach pisanych lub drukowanych, zjawiających się niespodzianie na progach fabryki, w kancelaryi przedsiębiorstwa lub na stole właściciela. Temi żądaniami statystyka zajmować się nie może; inaczej kategorya ich nietylko byłaby liczebnie większa, lecz i dobitniej jeszcze świadczyłaby o głównym celu strejków. Albowiem postulaty bezimienne, przyniesione jakby przez złego ducha, z jednej strony samym faktem bezimienności i sposobem przedstawienia ich przedsiębiorstwu dowodzą, że strejkujący robotnicy są tylko narzędziem woli wyższej, jakiejś szatańskiej opatrzności, z drugiej strony odznaczają się poprostu bezczelnie daleko posuniętą chęcią nagięcia karku przedsiębiorcy pod jarzmo socyalizmu demokratycznego. Wiemy o tem naturalnie nie z statystyki urzędowej, lecz z dzienników i ustnych relacyj, popartych okazaniem bezimiennych kartek postulatowych, jak i o tem mamy autentyczne wiadomości bezpośrednie, że strejki bywają urządzane wbrew woli strejkujących robotników.

Logicznym sposobem nasuwa się tu pytanie: jakie są sukcesy rządu czerwonego w tem usiłowaniu zapanowania nad polem pracy, czyli — co na jedno wychodzi — nad całem społeczeństwem? Niestety, statystyka urzędowa nie odpowiada nam na to pytanie, nie podając w ostatnim tomie publikacyi pod tym względem dat z wszystkich lat pięciu; tomów poprzednich zaś nie mamy pod ręką. Jedynie co do roku 1898 możemy sobie odpowiedź zestawić. W tym roku postulaty powyższej kategoryi powtórzyły się w 139 razach, a znalazły po stronie przedsiębiorstw całkowite uwzględnienie w 43 razach, cząstkowe w 11 razach, spotkały się zaś z stanowczą odmową w 85 razach. A więc rząd czerwony ma niejako sukces, a zawdzięcza go po części chwilowej sytuacyi przedsiębiorstwa, mającego zobowiązania względem odbiorców płodów, po części obawie ich wobec niesłychanego teroryzmu; ale przeważa jeszcze znacznie opór przedsiębiorców przeciw czerwonemu rządowi. Ten opór powinnoby się racyonalnie pielęgnować; jednym z najracyonalniejszych zaś sposobów pielęgnowania go będzie wydanie przepisów dla organów wykonawczych o opiece prawa nad robotnikami chętnymi, pragnącymi nie popaść w sidła socyalistyczne, lub z nich się wyzwolić. Nie potrzeba na to ustawy specyalnej, potrzeba tylko energicznego rozporządzenia rządowego, przypominającego

organom wykonawczym prawdziwy ich obowiązek, nakazującego zwrot od kompromisów z rządem czerwonym. Co prawda jednak, byłaby potrzebna także pewna *reformatio in capite.*

Józef Glinkiewicz.

Dwa listy Tadeusza Kościuszki

pisane 1808 r. do Karoliny Sapieżanki 1° voto Teodorowej Potockiej, 2° voto Stanisławowej Sołtykowej [1].

A Madame la Comtesse Sołtyk

à Paris.
Rue St. Honorée, Hôtel des Estampes.

Madame!

Co za wdzięczność ia mam Pani za iey łaskę, że mnie chciała donieść o zdrowiu Xiężney [2], którey słabość mnie mocno martwi; ile słów użyłaś w liście, tyle lat niech Opatrzność Ci pomnoży do uszczęśliwienia Twych kochanych i dobrych dzieci. Chciey przez łaskę swoią donosząc mnie progres iey febry, która więcej ze zmartwienia niżeli z kataru pochodzi, ona iest mocno tkliwą, czułą, y iey dobra dusza za przyiaciół cierpi ieśli nie postępuią jak powinni; nikt nie zna ią tak dobrze iak ia, ona tysiąc ma przymiotów, a które ukrywa przez delikatność i nie dać poznać w towarzystwie, że celować może wszystkim, inne osoby tak w wiadomości, iako i w cnotach. Zmiłuy się, chciey być łaskawa na mnie kilka słów napisać o stanie zdrowia iey. Że doktorowie każą się wystrzegać, aby ubiór niezbyt letki osobliwie damom, chciey także sama być ostrożną i dzieci Twe, osobliwie Kostunia, która nie ma na to wielkiey uwagi. Byway zdrowa z całym Twym domem.

Mes hommages respectueux

T. Kosciuszko

---

[1] Uprzejmości życzliwych nam osób zawdzięczamy dwa, nigdzie dotąd nieogłoszone drukiem, listy Tadeusza Kościuszki, które, lubo czysto prywatnej treści, nie będą, sądzimy, bez interesu dla ogółu naszych czytelników. *Redakcya.*

[2] Księżna, o której zdrowiu mowa, jest prawdopodobnie księżną Adamową Czartoryską, Sapieżanką z domu.

Madame!

Mnie się zdaie, że będąc ieszcze w Paryżu nie zaniedbałem podziękować Iey kilka razy za łaskawą iey pamięć o mnie i że się chciała sama fatygować w zrobieniu dla mnie dwóch kamizelek. Ale że skutek tych kamizelek iest większy niżeli Bourdois by mnie co przepisał, należy mi Iey ieszcze podziękować uznaiąc sadzenie drzew iako Doktorowi, gdyż często ie biorąc postradziłem nieco reumatyzmu, który mnie był bardzo przykry z bolem. Pozwól Pani zasłać ukłon Kostusi [1], dobrey, piękney i naszemu Matematykowi [2] a potym Harbatnicy [3], która nam zawsze dobrą harbatę robiła; smak iey dotychczas się przypomina z podpłomykami.

Mes homages respectueux

T. Kosciuszko.

Berville près de Nemours 1808.

---

[1] Kostusia, o której wspomina, była za kasztelanem Ludwikiem Łempickim.

[2] Matematyk: Roman Sołtyk, ożeniony ze Stadnicką.

[3] Harbatnica: panna Ollier, Francuzka, która długie lata w domu Sołtyków spędziła.

Druk ukończono 26 lipca 1900 r.

MÜNTZ O LEONARDZIE DA VINCI.

Niełatwe miał Eugeniusz Müntz zadanie przed sobą podejmując ostatnią swą pracę o Leonardzie da Vinci [1]. Literatura, odnosząca się do najgenialniejszego z mistrzów odrodzenia, urosła temi czasy w sposób niezwykły, i zdawaćby się mogło, że wyczerpano już wszystko, co tylko da się powiedzieć o życiu Leonarda, o jego dziełach, o całej jego artystycznej działalności, o jego szkole.

Uzielli, Richter, Geymuller, Séailles, Müller-Walde, Sabasznikow, Ravaisson-Mollien i wielu innych, nie szczędziło czasu, ni trudów, by nam dać wierny obraz niezrównanego artysty-myśliciela. Lecz Eugeniusz Müntz, dla którego, jak przedtem dla Burckhardta, epoka odrodzenia niema tajemnic, nie ulękłszy się współzawodnictwa wzbogacił literaturę w dzieło imponujące bogactwem materyałów, przekonywające trzeźwością krytyki, budzące żywe zajęcie wszechstronną znajomością epoki, warunków, otoczenia, choć na nie bynajmniej nie kładzie tego nacisku jaki wyróżnia Taine'a i jego szkołę, znajdującą dziś coraz więcej przeciwników, a całkiem świeżo Emila Michel w *Essais sur l'Histoire de l'art* [2].

---

[1] Eugène Müntz, *Léonard de Vinci, l'artiste, le penseur, le savant.* Ouvrage contenant 238 reproductions dans le texte, 20 planches en taille-douce et 28 planches en couleur ou en noir, d'après les oeuvres du Maître. Paris. Librairie Hachette et Cie 1899.

[2] *Essais sur l'Histoire de l'art,* par Émile Michel, de l'Académie des Beaux-Arts. Paris, Société d'Édition artistique 1900. In-16, VII, 331 p.

Już kilka lat temu, szeregiem artykułów, umieszczanych w *Revue des deux Mondes*, uchylił Müntz rąbek zasłony okrywającej przeszłość Leonarda [1]. Obecnie powrócił do niej z nowym zapałem, z nowem upodobaniem, odkrywając nieznane i niespodziewane rysy u tego człowieka, pociągającego dziś jeszcze do siebie tak samo, jak pociągał wszystkich za życia, nieprzepartym urokiem zagadki, potęgą geniuszu, ogromem wiedzy, nieomylną pewnością techniki, polotem myśli.

Piękny jak Antinous, olbrzymiej siły, tak, iż bez trudu łamał podkowy i skręcał serca u dzwonów, jak gdyby były z ołowiu, niezrównany jeździec i niezwyciężony szermierz, wykwintny, uprzejmy, niewyczerpanej słodyczy i łagodności, ujmujący wdziękiem i obejściem wielkiego pana, czaruje i podbija wszystkich do tego stopnia, iż współcześni mu jego biografowie, Lomazzo i Vasari, nie wiedzą poprostu jak mają go odmalować. Ostatni pisze: *Lo splendor dell' aria sua, che bellissimo era, risserenava ogni animo mesto.*

Rzecz jednak szczególna! jak gdyby poto jedynie by nam pokazać, że nic na swiecie nie może być doskonałem, pozwala Bóg, iż Leonardo na którego natura zlała, zda się, wszystkie swoje bogactwa, zarazem jest jej igraszką, a los, co go obdarzył przyjaźnią i zaufaniem panujących, chwałą okrył i uwielbieniem, rzuca cień niesławy na jego imię: Wszystkie niemal arcydzieła pendzla, ołówka i pióra, cała artystyczna i naukowa spuścizna Mistrza wyszła z pod jego lewej ręki — Leonardo był mańkutem. Urodzony w małej mieścinie Vinci, czy też może w poblizkiej wiosce Anchiano, o czem nie wiadomo na pewno, przez całe życie przypomina sobie tę chwilę z goryczą i wstydem — Leonardo był dzieckiem nieprawem.

„O nicości teoryj Darwina i Lombrosa — woła Müntz zastanawiając się nad genealogią Leonarda — jakiż kłam zadaje wam, bezustannie, pojawianie się talentów albo geniuszów! Tak

[1] *Une éducation d'artiste au XV siècle. La jeunesse de Léonard de Vinci. Revue des deux Mondes,* 1 Oct. 1887. — *Une cour de la Haute-Italie a la fin du XV. siècle. Ludovic Le More et Léonard de Vinci. Revue des deux Mondes.* 15 Nov. 1890; 1 Janv. 1891.

jak nic, w stanie, do którego należeli przodkowie Leonarda, nie zdawało się być odpowiedniem do rozwinięcia powołania artysty, tak samo bratanki i wnuki po braciach, wielkiego geniusza, stali się na powrót zwykłymi wieśniakami".

Istotnie, przodkowie Leonarda, z ojca na syna, byli małomiasteczkowymi notaryuszami, a matka prostą wieśniaczką. Kilka lat temu, 1896 r., jeden z najbardziej zasłużonych biografów Leonarda, Uzielli, znalazł w pobliżu Montespertoli, w miejscowości zwanej Bottinaccio, wieśniaka nazwiskiem Tomasz Vinci. Po sprawdzeniu papierów, okazało się, iż jest on potomkiem, w prostej linii, Dominika, jednego z braci Leonarda, i że przez pamięć pełną czci dla genialnego przodka utrzymał się piękny zwyczaj w rodzinie, nadawania najstarszemu synowi na chrzcie św. imienia Leonardo.

Młodość przeszła Leonardowi bez matki, bo ta, wydawszy go na świat, wyszła za mąż za wieśniaka z tej samej wioski, z której była rodem, a dzieckiem, wbrew zwyczajowi, tym razem zajął się ojciec *ser Piero,* który, ze swojej strony, ożenił się tegoż roku, którego się Leonardo urodził. Do 23 roku życia nie opuszczał ojcowskich progów. Być może iż przyczyniła się do tego ta okoliczność, że dwie pierwsze jego macochy *(ser Piero* był aż cztery razy żonaty) były bezdzietne, stąd piękność jego, szczęście do ludzi, zdumiewające talenta, nie mogły się stać przedmiotem zazdrości i niesnasek domowych.

Od dziecka spragniony wiedzy, żądny ogarnąć wszystko chciwym umysłem, Leonardo próbuje każdej nauki, każdej gałęzi sztuki i umiejętności, w każdej, wprowadza nieumiejących go zadowolnić nauczycieli, w zdumienie i kłopot. „Włoski brat Fausta" — jak go trafnie Michelet nazywa — nie znajduje nigdzie zaspokojenia; trawiony niezliczonemi zagadkami, na które odpowiedzi szuka daremnie, przerzuca się z przedmiotu na przedmiot, a niezadowolniony rezultatami czynionych za jego już czasów badań przyrodniczych i odkryć, sam, bezpośrednio, domaga się od natury, by mu odsłoniła skarby swoich tajemnic.

Wśród tej wszechstronności późniejszego twórcy „Wieczerzy", zaznacza się jednak wybitnie, przeważa, bierze górę nad

innemi zdolnościami, zdolność i zamiłowanie do pendzla. Nikt przed nim i nikt po nim nie objawił się naraz i nie stał tak samodzielnym, tak skończonym, tak niezawisłym i oryginalnym artystą jak Leonardo. Rafael, co każdy sprawdzić może choćby na „Księdze szkiców", przechowanej w weneckiej *Academia*, przechodzić musiał całe lata rozwoju i mozolnego wyzwalania się z pod wpływów swojego ojca Giovanni Santi, Perugina, Signorelli'ego, Pinturicchia; później, decydujący wpływ, szczególniej na jego *Madonne* i *Bambini*, wywiera Leonardo; nie da się wreszcie zaprzeczyć, iż w wielu kreacyach, z czasów które spędził na usługach Rzymu, inspirował się freskami Sykstyny. Czyż sam Michał-Anioł, egzagerując, co prawda, swój wpływ na znienawidzonego rywala, nie pisał w swoim apologetycznym liście, 1542 r. „Wszystko co posiadał (Rafael) odnośnie do sztuki, przejął odemnie".

Leonardo odrazu z ucznia staje się mistrzem: Co tylko znajdziemy wdzięku, idealizmu, miękkości i *morbidezzy*, w dziełach Verocchia, to, jak słusznie zauważa Müntz, datuje od chwili zetknięcia się z Leonardem, który pracuje pod jego okiem obok Perugina i Lorenza di Credi. Fakt ten rzuca się w oczy nie tylko jeśli zechcemy porównać głowy obu aniołów we „Chrzcie św. Jana", (*Academia* florencka) gdzie profil anioła, malowanego przez Leonarda, o całe niebo przewyższa idealnym typem suche i twarde postacie obrazu Verocchia, lecz najsilniej może w jego brązowej statui Dawida, (*Museo Nazionale*) której szkic (głowa) ręki Leonarda, znajduje się, w muzeum wejmarskiem. „Żadne dzieło Verocchia — powiada Burckhardt — nie zdradza jaśniej modelu, który służył za typ idealny Leonardowi... w wyrazie tej głowy otoczonej puklami włosów, łączy się z dziecinną radością tryumfu prostota dziewicy, zdumionej niemal tem co Najwyższy uczynił przez rękę dziecka" [1].

Chwila, w której Leonardo ukazuje się w pracowni Verocchia jest najniewdzięczniejszą dla początkującego artysty. *Quattrocento* coraz więcej przedstawia typów zwyrodnienia i ma-

[1] Burckhardt, *Der Cicerone.*

nieryzmu. Surowe, ale trzeźwe natchnienie Masaccia, Fra Angelica, Piera della Francesca uleciało; miejsce ich szlachetności, miejsce prostoty i czystości linij zastępuje gonienie za czemś niezwykłem i nowem, za tą *terribilità* — jak ją doskonale Vasari nazywa — albo też za postaciami niewieściemi wydłużonemi nadmiernie, o chorobliwej, bladej karnacyi, ociężałych powiekach, smutnym uśmiechu, o których Müntz powiada że „jeśli pociągają do siebie mimo niepoprawności linij, to dlatego jedynie, iż odbijają w sobie ostatnie odbłyski średniowiecznej poezyi mistycznej". Taki manieryzm przeziera w postaciach wyszłych z pod pendzla Fra Filippa Lippi, syna jego Filippina Lippi, Sandra Botticelli'ego.

Geniusz Leonarda wybiega ponad to wszystko odrazu. Za punkt wyjścia bierze zawsze naturę. *Figliuola di Dio* — jak ją nazywa — jest mu jedyną mistrzynią i towarzyszką w pracach. Podziwia ją, bada, podgląda, studyuje odwieczne i niezmienne jej prawa, przyswaja sobie wszystkie tajemnice, opanowuje wszystkie formy w jakich się człowiekowi przejawia, i pewny siebie, pogodny i beznamiętny tworzy postacie i typy odpowiadające wiernie, dokładnie, urobionemu w duszy pojęciu.

Mimoto każde dzieło Leonarda było rezultatem szalonej, niezmordowanej pracy. Rozbierając kolejno cały jego artystyczny dorobek, podając nam mnóstwo szkiców, z których każdy pozwala poznać lwa po pazurach, odtwarza Müntz dokładnie ten proces psychiczny, powolny i mozolny, zarazem, jaki towarzyszył powstawaniu wszystkich arcydzieł Mistrza.

Począwszy od „Zwiastowania" i kartonu przedstawiającego „Hołd Mędrców" [1] (Florencya, *Uffizi*) aż do kartonu „Bitwy pod Anghiari", „Madonny wśród skał", „Wieczerzy", „Św. Anny" i portretów, aż do sławnej statuy Franciszka Sforzy zniszczonej w modelu, robi Müntz czytelników świadkami ideałów, dążności

[2] Wiadomo, iż pierwsze prace Leonarda, legendarna tarcza, głowa Meduzy, karton Adam i Ewa, zginęły bez śladu. Meduza galeryi Uffizi, jest dziś ogólnie uznaną za dzieło nieznanego *quattrocentisty*, powstałe pod wpływem opisu Vesari'ego i na pewno po śmierci Leonarda.

i pragnień, zawodów, rozczarowań, zniechęceń, które, jak przypływ i odpływ morza, poruszały duszą artysty.

Pewny siebie, do tego stopnia, iż w liście, w którym ofiaruje swoje usługi Ludwikowi Sforza, niema rzeczy jakiejby się nie podjął wykonać „w rzeźbie, czy to z marmuru, czy z bronzu, czy ze ziemi, podobnie jak i w malarstwie, każdą, bez różnicy pracę, na równi z kimkolwiekbądź innym", gdy się zabiera do wprowadzenia w czyn planów, przepełniających jego genialny umysł, przechodzi wszystkie bóle porodu. Myśl o „Wieczerzy" pochłaniała go dniem i nocą. „Miał zwyczaj — pisze Bandello — co sam widziałem niejednokrotnie, rano o świcie, wyłazić na rusztowanie, gdyż *Cena* była w pewnym odstępie od ziemi, i, od wschodu do zachodu słońca nie wypuszczał z ręki pendzla ani na chwilę; lecz zapominając o jadle, o napoju, malował bez przerwy. Bywało następnie, iż dwa, trzy, cztery dni z rzędu nie dotykał obrazu, mimo to jednak zostawał przed malowidłem godzinę albo dwie dziennie, ograniczając się na patrzeniu, badaniu i rozważaniu w sobie samym, stwarzanych przez siebie postaci. Widziałem go również, według natchnienia kaprysu albo dziwactwa, wychodzącego w południe, gdy słońce znajdowało się pod znakiem Lwa, z *corte Vecchia* gdzie modelował z ziemi swoją cudowną konną statuę, i dążącego w prostej linii do klasztoru *delle Grazie;* tam, wyszedłszy na rusztowanie, ujmował pendzel, dawał jedno lub dwa pociągnięcia którejś z postaci, następnie powracał i szedł gdzieindziej". Sam zresztą w *Trattato della Pittura*, (r. XVII) wyznaje: „Doświadczyłem, że pożytecznem jest, w łóżku, wśród ciszy nocnej, przywodzić sobie na myśl rzeczy, które się badało i rysowało, kreślić nowe kontury postaci, wymagających większej refleksyi i staranności; tym sposobem, obrazy przedmiotów stają się żywsze, wzmacnia się i utrwala na dłużej wrażenie, jakie sprawiły".

Jednakże niezmordowana praca i nadludzkie wysiłki wśród których powstają arcydzieła Leonarda, nie przynoszą mu w rezultacie zadowolenia i spokoju. Uważa malarstwo za naukę opartą na naturze: „rozważa ono wszystkie przymioty form, morza, pola, rośliny, zwierzęta, zioła i kwiaty, a naprawdę jest

nauką i córką prawą natury". Lecz nauka to, której się nie nabywa, jak inne: „Zasady umiejętności i prawd pojmują się samym tylko umysłem, i tam to, w umyśle, umiejętność malarstwa pozostaje u tych, którzy się go uczą. Lecz z niej rodzi się czyn *(l'operazione)* o wiele donioślejszy od tejże nauki". Na innem miejscu dodaje Leonardo: „umiejętność malarstwa nie da się wyłożyć temu, komu jej nie dała natura" *(a chi natura no'l concede)*.

Jemu dała ją tak jak nikomu; dała mu nadto rękę posłuszną i wierną myśli w najwyższym stopniu; a jednak!... jednak wciąż goni za czemś nierealnem i nieuchwytnem. Natura jest mu mistrzynią, co prawda, ale tylko jako punkt wyjścia, jako *terminus a quo*. Analizuje ją i bada, lecz po to jedynie, by następnie asymilować i układać, by całą swą pracę sprowadzać w rezultacie do syntezy ideału, jaki nigdy może nie istniał na ziemi. W ten sposób jest on nietylko prawdziwym mistrzem, ale i prawdziwym twórcą. Widać to we wszystkich jego kreacyach — najbardziej w „Wieczerzy". Niema w niej ani jednego portretu. Burckhardt nazywa ją z entuzyazmem „historyą naturalną człowieka". — Od najszczytniejszych aż do niezgrabnych znajduje w niej wszystkie typy ludzkości. Szukania tych typów dopatrzeć się można szczególniej w rysunkach Leonarda. Wyszczególnia i utrwala, chwyta, akcentuje, lub, jak w karykaturach, egzageruje nawet nadmiernie, czasem jeden tylko rys odrębny, wybitny, charakterystyczny, i w ten sposób panuje nad całą skalą typów, od najszlachetniejszych i najwznioślejszych, aż do najniższych, aż do zbydlęconych i potwornych. Rzućmy okiem na jeden z rysunków do kartonu „Bitwy pod Anghiari". „Walka o chorągiew" przedstawia nam grupę złożoną z czterech jeźdźców, w chwili najzaciętszego boju. Nietylko jeźdźcy, ale i konie walczą ze sobą; gałki oczu, zabiegłe krwią, występują im z głowy; chrapy rozdęte, zda się, że zioną ogniem; szczęki uzbrojone w dwa rzędy zębów, wysuwają się naprzód; całe zwierzę rozszalałe, rozhukane, wściekłe. Stamtąd przenieśmy wzrok na małe studyum głów końskich, przechowane w bibliotece windsorskiej. Niezrównany i zamiłowany

jeździec, jakeśmy już mówili, Leonardo ze szczególnem upodobaniem studyuje charakter i anatomię konia. Lecz w danym szkicu, typ rozwścieczonego zwierzęcia, przypomina Leonardowi chwilę, w której człowiek przestaje być panem siebie, chwilę uniesienia, gniewu, zapamiętania, chwilę w której budzą się w nim wszystkie nieposkromione pragnienia zwierzęce, szał, wściekłość, dzikie instynkta. I oto u dołu poniżej przepysznych studyów rozszalałych głów końskich, kilkoma rzutami ołówka kreśli głowę człowieka, ze wszystkiemi rysami rozhukanego rumaka: źrenice rozszerzone nadmiernie występują z oprawy; na czole skóra ściągnięta do góry, a nad nią włosy najeżone w nieładzie jak grzywa; wargi rozwarte szeroko odkrywają szczęki wysunięte i jakby gotowe każdej chwili pochwycić zębami niewidzialnego przeciwnika. Podobny wyraz wściekłości widzimy, co prawda, i w rysunku Michała-Anioła *la Furia (Uffizi)* ale bez tego brutalnego pierwiastku.

Panując tak nad wszystkiemi typami i zewnętrznemi wyrazami wewnętrznych stanów duszy człowieka, podjął Leonardo i oddał w „Wieczerzy“ chwilę najdramatyczniejszą z tych jakie mu obrany przedmiot mógł podać. Chrystus oznajmia uczniom, iż zostanie zdradzonym: *Unus vestrum*... „Sztuka — powiada Burckhardt — nie zna przedmiotu tak subtelnego, jak ten: wrażenie jednego słowa wywarte na grupę siedzących osób. Jeden promień, a dwanaście odbłysków“.

Posłuchajmy co mówi Müntz o „Wieczerzy“.

„Sama tylko umiejętność ugrupowania, jaśniejąca w ‚Wieczerzy‘, wystarczyłaby na stworzenie epoki w dziejach malarstwa; zawiera ona swobodę i rytm, który się nieda opisać. Osoby, umieszczone są co najwyżej w dwóch rzędach głębi, i ułożone po trzy w każdej grupie, wyjąwszy Chrystusa, który pozostaje oddzielony od reszty, a który, tem samem, panuje nad całą akcyą. Ośmiu z pomiędzy apostołów ukazuje się w profilu, trzech *en trois quarts*. Sam tylko Chrystus i święty Jan zwróceni twarzą do widza. Zmysł estetyczny jakiego było potrzeba na połączenie tych postaci, tworzących troiste grupy, na ożywienie tych grup, bez naruszenia ich równowagi, na urozmaicenie linij,

z pozostawieniem im całej harmonii, wreszcie na połączenie głównych grup, jednych z drugiemi, jest taki, że ani wyrachowanie, ani rezonowanie nie zdołałoby tak trudnego zadania rozwiązać; bez pewnego rodzaju boskiego natchnienia, usiłowania najwytrawniejszego artysty musiałyby spełznąć na niczem"...

„Natchnienie albo cudowna wiedza eksperymentalna, jakiekolwiek będzie określenie, którebyśmy obrali (a, w istocie, wobec Leonarda wątpliwość jest dozwoloną) objawia się aż do szczegółów, poświęcanych zazwyczaj przez najwytrawniejszych artystów: ‚Patrząc li tylko na ręce, — powiedział wymownie Jakób Burckhardt — zdaje się, iż malarstwo dotychczas było uśpione, i że tutaj dopiero nagle się budzi'. Istotnie, od czasów Giotta, wielkiego dramaturga, nigdy nie podjęto takiego wysiłku, by przy pomocy gestów oddać namiętności, poruszające duszą".

Niezrównany w odtwarzaniu i tworzeniu ludzkich postaci, gdy mu przychodzi wykończyć w obrazie głowę Chrystusa, Leonardo w bezsilnej niemocy odrzuca pendzel: żadne dzieło skończone, żaden typ istniejący na ziemi, niezdolne odpowiedzieć temu ideałowi, jaki sobie utworzył o postaci Boga-Człowieka. I pozostaje w „Wieczerzy" głowa Chrystusa doprowadzona tylko do szkicu, wymowne przyszłym wiekom świadectwo niedoścignionych ideałów Mistrza, nieoceniona nauka wszystkim, co poświęcają swoje natchnienie, swój talent religijnej sztuce w usługi.

Lomazzo podaje ciekawy szczegół, objaśniający przyczynę, dla której Leonardo poniechał wykończenia najgłówniejszej postaci w „Wieczerzy". Ukończywszy przepiękne twarze świętych Jakóba Większego i Mniejszego, a rozpaczając o możności oddania głowy Chrystusa tak, jak ją wymarzył, miał się udać do przyjaciela swego Bernardyna Zenale, z prośbą o radę. Taką od niego usłyszał odpowiedź: „Leonardo, błąd któryś popełnił jest tak wielki, iż sam Bóg tylko może ci go odpuścić. Wistocie, niepodobna jest przedstawić postaci piękniejszej, słodszej, jak postacie św. Jakóba Większego i św. Jakóba Mniejszego. Zgódź się tedy cierpliwie z twym losem i pozostaw twego Chry-

stusa nieukończonym, jak jest obecnie, gdyż, przyrównany do apostołów, nie byłby on już ani Chrystusem, ani ich Mistrzem".

Jeden tylko rozdział swojego studyum poświęca Müntz Leonardowi jako uczonemu. Autodydakta we wszystkich zarówno kierunkach, nie znajdował, mimo chciwości wiedzy, w domu rodzicielskim sposobności do wzbogacenia umysłu skarbami literatury starożytnej i współczesnej. Sam nazywa się zawsze z pokorą *illiterato, uomo senza lettere,* i później dopiero przychodzi stopniowo do posiadania biblioteczki złożonej z trzydziestu siedmiu dzieł, należących do wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiej. Na sto lat przed kanclerzem Bakonem występuje jako apostoł metody doświadczalnej. Humboldt utrzymuje, iż pierwszy Leonardo uważał metodę indukcyjną za jedynie pewną w naukach przyrodniczych. Doświadczenie, zdaniem jego, jest „matką wszystkich nauk i wszystkich sztuk... Tłumacz natury, doświadczenie, nie zawodzi nigdy; zawodzi nas tylko własny nasz sąd, który obiecuje sobie od niego rzeczy nie będące w jego mocy... Prawidła doświadczenia — mówi na innem miejscu — są środkami dostatecznemi do rozróżnienia prawdy od fałszu, co sprawia, iż ludzie obiecują sobie rzeczy możebne do otrzymania z większem umiarkowaniem, i, że skutkiem nieświadomości, niemasz pragnienia tych rzeczy, których ci niepodobna otrzymać". Wierny, swojej metodzie, nie przepuszcza najdrobniejszego szczegółu, wszystko bada i śledzi cierpliwie, i niema dlań choćby jak błahego na pozór objawu, któryby poczytał za niegodny uwagi. Przerzucając jego manuskrypta, jest się zdumionym ogromem obserwacyj, jakie notował. Ruch fal morskich, dźwięk dzwonów, lot ptaków, twarz charakterystyczna, ramifikacya drzewa, pokłady ziemi, bieg rzeki albo kształt góry, wszystko w nim budzi zajęcie, każda rzecz wiernie opisana a częstokroć ilustrowana kilku rzutami ołówka, służy mu do wzbogacenia umysłu, do rozszerzenia widnokręgu wiedzy. Jednakże wszystkie te obserwacye i doświadczenia, w oczach jego nabierają wartości wówczas dopiero, gdy są powiązane ze sobą, ugrupowane, ożywione jedną wyższą, podniośiejszą naukową ideą. *La scienza è il chapi-*

tano e la pratica sono i soldati — to zasada, którą wygłasza i w czyn wprowadza.

Müntz bardzo bezstronnie i trzeźwo przyznaje Leonardowi wynalazki, które mu istotnie winny początek, odróżniając od tych, jakie mu całkiem niewłaściwie dotychczas przypisywano. I tak, pewną jest rzeczą, że motor śrubowy, któremu dzisiejsza nawigacya tyle zawdzięcza, oraz spadochron, jak tego dowiódł w ostatnich czasach prof. Govi, wynalezione zostały przez Leonarda. Przed Pascalem już stwierdził, że w naczyniach połączonych, ciecz podnosi się do tego samego poziomu. Przed Chevreulem jasno postawił i szeroko objaśnił prawa barw uzupełniających się, dowodząc naprzykład, że kolor czerwony zyskuje na intenzywności przez sąsiedztwo z kolorem zielonym. *Camera obscura* jest również odkryciem Leonarda. Odkrycia i wynalazki jego w dziedzinie geologii, astronomii, botaniki, anatomii, inżynieryi są zdumiewające doniosłością i liczbą; wyliczać je, przechodziłoby rozmiary naszej pracy.

Symonds w *Renaissance in Italy* i Gabryel d'Annunzio w *Vergini delle Rocce* pomawiają Leonarda o czarnoksięstwo. Hipoteza to całkiem gołosłowna i pozbawiona wszelkiej podstawy. Umysł to był zanadto trzeźwy, zanadto, jakeśmy widzieli, oddany metodzie indukcyjnej, badaniom eksperymentalnym, by się dał uwieść zabobonnym urojeniom. Müntz za długo, i nawet za słabo zajmuje się odparciem tego zarzutu; raźniej daleko rozprawił się z nim swego czasu Séailles [1], przytaczając parę zdań Leonarda, wymownie świadczących o stanowisku, jakie zajmuje wobec tych posądzań, dających się wytłumaczyć chyba jedynie bujną fantazyą obu pisarzy. „Ze wszystkich mniemań ludzkich — mówi — najgłupszem, zaiste, jest wiara w nekromancyę, siostrę alchemii". O tej ostatniej wyraża się: „Chorągiew rozwiana, wzdęta podmuchem wiatru, prowadzi głupie tłumy za sobą, które nieustannem szczekaniem świadczą o nieskończonych skutkach tej sztuki... Wiem, iż wielu ludzi, by zadowolnić jedną ze swoich chuci, pragnęliby w niwecz obrócić Boga i cały wszechświat; jeśli tedy

[1] Gabriel Séailles, *Léonard de Vinci l'Artiste et le Savant.* Paris 1892.

nekromancya nie utrzymała się między ludźmi, to znak, że nie istniała nigdy".

Większą jednak, i istotnie ciężką krzywdę wyrządza pamięci Leonarda zarzut tyczący się jego uczuć i przekonań religijnych. I tutaj, trudno nam doprawdy zrozumieć, jak Müntz, gdzieindziej tak bezstronny i trzeźwy, mógł tym razem stracić objektywność i spokój sądu, dając się uwieść pozorom, które sama ich błahość powinna była wykluczyć ze wszelkiej dyskusyi.

W wyczerpującem dziele o pracach literackich Leonarda, podał przed kilkunastu laty J. P. Richter, śmiałą hipotezę o podróży jego na Wschód[1]; co więcej, doszedł do arbitrarnego wniosku, iż twórca „Wieczerzy" przeszedł na islamizm. Nie będziemy się nad tą kwestyą długo rozwodzić. Zarówno Müntz jak dawniej już Geymuller, oparty na poważnem zdaniu Eugeniusza Piot[2], dowiedli, że mniemana podróż Leonarda na Wschód jest czystą mrzonką. Tem samem przeto upada i przypuszczenie o przejściu na wiarę mahometańską. Lecz nadto Müntz bada literacką spuściznę Leonarda i usiłuje zdać sobie sprawę z jego religijnych przekonań. Najprzód tedy, zdaniem jego, choćby dowiedzionem zostało, iż Leonardo zerwał z nauką Kościoła, niewątpliwem wszakżeby pozostało, że był deistą, a w żadnym razie materyalistą lub ateuszem. Lecz czy rzeczywiście z nią zerwał? Przed Müntzem już próbował Séailles tej samej metody, i doszedł do fatalnego wniosku, że Leonardo przestał być chrześcijaninem. Müntz tak daleko nie idzie, lecz utrzymuje, że „nie roszcząc sobie pretensyi do szczególnej dewocyi, powolnie poddawał się wymaganiom religijnego kultu; tak, jak to musieli czynić wszyscy współcześni pod karą znalezienia się na stosie. Lecz co było u innych z wyrachowania, było u niego wynikiem tolerancyi godnej podziwu, tolerancyi właściwej wyższym umysłom".

Na czem buduje Müntz liberalność przekonań Leonarda

[1] J. P. Richter, *The literary Works of Leonardo da Vinci.* London 1883. 2 vol. in-4.

[2] H. de Geymuller, *Les derniers travaux sur Léonard de Vinci. Gazette des Beaux-Arts.* 1886, p. 274—280.

w stosunku do nauki Kościoła? Mało powiedzieć, iż na fundamencie zupełnie kruchym.

Leonardo nie mógł być renegatem — to rzecz całkiem jasna. Byłby nim albo dla zysku, albo dla dogodzenia grubej namiętności. Nikt jednak ze współczesnych artystów nie był tak mało zdolnym jednego jak i drugiego. Obojętny na grosz, hojny, wspaniałomyślny, nie myślał nigdy o zapewnieniu sobie materyalnej przyszłości. Wyższy nad podobne słabostki ludzkie, prowadził dwór wielkiego pana, żyjąc z dnia na dzień. Pieniądze nazywał błotem i wołał: „O nędzo ludzka, wieluż rzeczy stajesz się niewolnicą dla grosza!“

Tem bardziej nie można go posądzać o nizką namiętność. Jedną zna tylko; jest nią duchowa namiętność wiedzy i sztuki, a mówi o niej: *la passione dell' animo caccia via la lussuria.* Ze zdumieniem konstatują wszyscy biografowie, że nie tylko iż nie podlegał on nigdy zmysłowości, co tak przedwcześnie popchnęła do grobu Giorgiona i Rafaela, lecz że nawet obcem mu było to platoniczne, bezinteresowne, pełne nieśmiałego szacunku uczucie, jakie zgryźliwy mizantrop Michał-Anioł żywił dla Wiktoryi Colonna. Na pięciu tysiącach kart rękopisów Leonarda, nie znajdujemy śladu jakiejś namiętnej skłonności lub zmysłowej słabostki, co najwyżej suchą, lakoniczną notatkę malarza-naturalisty, zawierającą spostrzeżenie charakterystycznego rysu lub typu: „Giovannina ma twarz fantastyczną, znajduje się u św. Katarzyny w szpitalu“.

Współcześni już mieli ortodoksyę Leonarda w podejrzeniu. W połowie XVI. wieku Vasari, w pierwszem wydaniu swoich biografij, piętnuje jego *„capricci nel filosofar delle cose naturali“* cechą herezyi [1]; zbadawszy jednak rzecz całą sumienniej i dokładniej, wypuszcza cały ten ustęp z drugiego wydania. Czyż zresztą prócz tego, nie oskarżano Leonarda o czarnoksięstwo i magię? Czyż nie szarpano jego sławy wspomnieniem florenc-

[1] *„Per il che fece nell' animo uno concetto si eretico che e' non si accostava a qualsivoglia religione, stimando per avventura assai più lo esser filosofo che cristiano“.*

kiego procesu, pokąd tamtejsze archiwa nie wydały na światło dzienne aktów sprawy, z których się okazuje, iż oskarżony bezimiennie o najniemoralniejszy z występków i stawiony 9 kwietnia 1476 r. przed trybunałem zasiadającym u św. Marka, został wypuszczonym na wolność pod warunkiem stawienia się powtórnego po odbytem śledztwie, a w drugiem przesłuchaniu 7 czerwca tegoż roku uniewinniony i uwolniony zupełnie?

Müntz liberalizm Leonarda opiera najpierw na wyrażeniach, które, zdaniem jego, nie znajdują się w zgodzie z nauką Kościoła. Przytacza tedy, iż Leonardo, zastanawiając się nad potopem, powszechnym, według Pisma św., powiada, że niepodobna go wytłumaczyć w sposób naturalny: „Potrzeba albo przypuścić cud, by rozwiązać naszą wątpliwość, lub mniemać, że woda ulotniła się pod wpływem działania słońca“. Czy słowa te — pytamy — wykluczają możliwość cudu, w pojęciu Leonarda, i tem samem zostają w niezgodzie z Kościołem i Pismem? Nie zapominajmy, że Leonardo na innem miejscu ze czcią uchyla czoło przed powagą ksiąg świętych: *Lascio star le lettere incoronate, perche sono somma verità.* Prawda, że Eugeniusz Séailles, wobec tego wyznania wiary mistrza z Vinci zapytuje: „Czy to ironia? Czy to może rozróżnienie dwóch prawd, filozoficznej i religijnej, które będzie w tak częstem użyciu u wolnomyślnych XVI. wieku?“ — lecz czem swoją wątpliwość popiera i usprawiedliwia?

Inny dowód swobody religijnych zasad Leonarda widzi Müntz w jego zagadkach, anegdotach i aluzyach, gdzie nieraz przebija oburzenie lub brak uszanowania dla kleru, a szczególniej dla mnichów.

Na chwilę zapomniał Müntz w jakiej żył epoce Leonardo da Vinci. Epoka Aleksandra VI. i Savonaroli, Bibbienów i Bembów, obfitowała w osobistości, nawet wśród najwyższej hierarchii Kościoła, nie przynoszące mu zaszczytu. Rozkosz i zbytek, ogólne obniżenie moralnego poziomu przenikło wszystkie, bez różnicy, warstwy ówczesnej inteligencyi, nic zatem dziwnego, iż mogło wybiedz czasem na usta człowieka z umysłem tak wyższym i szlachetnym, jak Leonardo, słowo nagany lub gorzkiej uwagi. Lecz to, co się odnosi do pojedynczych osobistości,

nie jest bynajmniej lekceważeniem i brakiem czci należnej całej instytucyi; w przeciwnym razie musielibyśmy zwątpić o religijnych przekonaniach Kochanowskiego, piszącego, mniej więcej w tym czasie, swoje „Fraszki“, z których niejedna grzeszy brakiem szacunku dla duchowieństwa, a nawet i dla samej Głowy Kościoła.

Utwierdza nas w naszem przekonaniu i żywe rzuca światło na stosunek Leonarda do Kościoła, do duchowieństwa, śmierć jego i jego testament, którego wierną kopię z XVII. wieku (oryginał od dawna zaginął) świeżo odkrył prof. Scribe [1].

O śmierci Leonarda, wierny jego towarzysz, uczeń, główny spadkobierca i egzekutor testamentu, Franciszek Melzi, donosi rodzinie Mistrza, w liście datowanym z Amboise 1 czerwca 1519, temi słowy: „Odszedł z tego życia drugiego dnia maja, opatrzony wszystkiemi sakramentami świętej matki Kościoła i dobrze przygotowany“. We wstępie testamentu czytamy co następuje:

„Najprzód poleca (testator) duszę swoją Panu naszemu, panu Bogu, chwalebnej Dziewicy Maryi, Panu świętemu Michałowi i wszystkim błogosławionym Aniołom i świętym w Raju.

„*Item*, tenże testator pragnie być pochowanym w kościele św. Florentyna w Amboise, i by ciało jego było niesione przez kapelanów tegoż kościoła.

„*Item*, by jego zwłoki były odprowadzone z tegoż miejsca aż do tegoż kościoła św. Florentyna, przez kolegium tegoż kościoła, mianowicie przez rektora i przeora albo przez wikaryuszów i kapelanów kościoła św. Dyonizego w Amboise, a z nimi przez braci mniejszych tegoż miejsca, i, zanim ciało jego będzie zaniesione do tegoż kościoła, testator żąda, by trzy msze uroczyste zostały odprawione w tymże kościele św. Florentyna z dyakonem i subdyakonem, i w dniu, w którym trzy msze uroczyste, jak wyżej, zostaną odprawione, odprawiono jeszcze trzydzieści mszy cichych świętego Grzegorza.

---

[1] Cf. *Réunion des Sociétés des Beaux-Arts des Départements.* 1893.

„*Item*, by w tymże kościele św. Dyonizego podobne nabożeństwo zostało odprawione (jak wyżej).

„*Item*, by w kościele pomienionych braci i zakonników mniejszych toż samo nabożeństwo zostało odprawione".

Następują legaty, między innemi na światło do kościołów w Amboise.

Argumentem wreszcie dla Müntza jest, że „wyjąwszy ‚Wieczerzę' żaden artysta nie obchodził się tak swobodnie ze świętą ikonografią. Nie poprzestając na odrzuceniu nimbów i innych tradycyjnych emblematów, przedstawiał postacie z historyi świętej w pozach pełnych poezyi albo tkliwości, nie licujących jednak ze strasznemi tajemnicami religii". Argument ten nie wytrzymuje żadnej krytyki. Nie mówiąc już o tem, że zarówno u Rafaela jak u Michała-Anioła znajdujemy wiele kreacyj, w których, zrywając z długowieczną tradycyą, nie umieszczają aureol nad głowami świętych, a nikt mimo to nie zarzuca im wolnomyślności w religijnych pojęciach, lecz nadto sam Müntz przyznaje, że pewna swoboda, z jaką Leonardo traktował religijne temata, nie raziła bynajmniej współczesnych, jak i nas dzisiaj nie razi, owszem, w ich oczach pobożne jego obrazy uchodziły zawsze za owoc głębokiego, czystego, szczerego religijnego natchnienia. „W liście pisanym do margrabiny Izabelli d'Este, święta osobistość, brat Pietro da Nuvolaria, odkrywa w ‚Świętej Annie' wszelkiego rodzaju symboliczne znaczenia. Margrabina Izabella ze swej strony oddaje obrazom religijnym Leonarda świadectwo, iż są słodkie i pobożne nad wszelki wyraz". Od siebie dodaje Müntz: „Religijnemi malowidła Leonarda są istotnie w najwyższym stopniu, co prawda nie w pojęciu ascetycznem, jakie skrajni zwolennicy średnich wieków pragną uznać za wyłącznie właściwe i istotne sztuce chrześcijańskiej, lecz w pojęciu idylicznem, w tem pojęciu, które niejedna karta Ewangelij oddała w sposób tak wymowny".

W kilka lat po nieszczęsnem zniszczeniu glinianego modelu statuy Franciszka Sforzy, przechodził Leonardo przez ulice Florencyi.

Grono Florentczyków, zajęte żywą dyskusyą nad znaczeniem jakiegoś trudnego miejsca „Boskiej Komedyi“, ujrzawszy Leonarda i przypadkiem przechodzącego równocześnie Michała-Anioła, zwróciło się do nich z prośbą o wyjaśnienie im spornego ustępu *Diviny*.

Leonardo, uprzejmy jak zwykle, ustąpił pierwszeństwa Buonarotti'emu. Ten, sądząc, że chce z niego zadrwić, krzyknął ze złością: „Wytłumacz im sam, ty, któryś zrobił rysunek konia, by go następnie odlać z bronzu, a nie dawszy rady rzuciłeś ze wstydem — i dodał, widząc że mocno dotknął Leonarda — a którego ci powierzyli te ‚niezdary‘ Medyolańczyki“.

Zazdrosny, podejrzliwy, gwałtowny, nie przypuszczał Michał-Anioł, że i on kiedyś ulegnie czarodziejskiemu wpływowi tego człowieka, któremu jako największą zniewagę rzucił w twarz wyrzut, iż go nie stać na ukończenie rozpoczętego dzieła! On, co zamykał się w swojej pracowni przy *Via de' Tintori*, z obawy, by kto nie skopiował której z figur kartonu „Wojny Pizańskiej“ — on, co nie wpuszczał nikogo na rusztowanie ustawione pod sklepieniem Sykstyny, drżąc, by mu nie wykradziono jakiej myśli, z tych, co na wieki geniusz jego miały rozsławiać, nie wiedział, że Leonardowi będzie zawdzięczał tę rzewność, słodycz i tkliwość, jakiejby daremnie, na próżno szukał w swym własnym charakterze, w swej własnej duszy. „Gdy rozpoczyna malować — mówi Séailles — nie zna Leonarda, który jest w Medyolanie. Patrzcie na pierwsze jego malowidła: jest już szlachetność i wielkość formy, lecz zarazem coś suchego, twardego, wymuszonego, o kolorycie zbyt nagłym. Gdy maluje Sykstynę, widział Leonarda w Medyolanie przy pracy. Zmierzcie przebytą przestrzeń. Nie tracąc nic na potędze, niejako że się rozrzewnił. Giętki i harmonijny język jego przybrał nowe akcenta. Patrzył na dzieła swego wielkiego rywala jak człowiek genialny, i wypowiada dobrze to, co źle wypowiadał: tajemną słodycz, co łagodzi heroiczną jego melancholię. (Stworzenie Ewy)“.

Postać Leonarda rysuje się na tle wieków wielka, jasna i czysta. Uczony — szuka wyłącznie prawdy. Zdaniem jego, „kłamstwo jest tak niskiem, iż gdyby dobrze mówiło o Bogu, odjęłoby

bóstwu piękność; prawda tak doskonałą, iż chwaląc najmniejsze rzeczy, czyni je szlachetnemi". Dlatego umie pogodzić olbrzymią, zdumiewającą, na swoje czasy, wiedzę z wiarą posłusznego dziecka Kościoła. Artysta — kocha, bada i poznaje naturę, ale myślą, pragnieniem wybiega ponad nią, dąży do ideału doskonałego, nieśmiertelnego piękna, powiada, że „piękna rzecz śmiertelna przemija, ale nie dzieło sztuki". *Cosa bella mortal passa e non d'arte.* Człowiek — w epoce największego zepsucia i namiętności przechodzi przez życie niedostępny wszystkiemu co pospolite, brudne i nizkie, i ze zdumieniem opowiadają nam o nim biografowie, że usta jego nie splamiły się nigdy żadnem nadmiernie swobodnem słowem.

Ks. Józef Tuszowski.

OSTATNIE LATA BENEDYKTYNÓW W TYŃCU.

PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW WSZECHNICY JAGIELLOŃSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Skoro tylko nadszedł do Krakowa dekret cesarski z d. 17 września, nakazujący przesiedlenie Benedyktynów z Wiblingen do Tyńca, przesłał go Dankesreither naczelnikowi powiatu tarnowskiego Schottek i polecił, żeby Benedyktynom w Tuchowie, zrobił taką samą propozycyę, jak w Tyńcu. Wszyscy jednak oświadczyli na piśmie, że z Tuchowa się nie ruszą. Proboszcz O. Sadowski dodał od siebie jeszcze prośbę, żeby go pozostawiono na probostwie, przy którem już pierwej pracował 12 lat jako kooperator, a od r. 1803 jest na zawsze instytuowany jako proboszcz. Prosił też, żeby mu nie okrawano dochodów, które pobiera jako proboszcz, bo i tak ledwo zdoła opędzić wielkie wydatki, na probostwie ciążące.

Schottek poparł w swojem sprawozdaniu tę prośbę ostatnią i zauważył, że majątek probostwa niema żadnego związku z opactwem tynieckiem i nie może być ani zmniejszony, ani zniesiony. Natomiast zauważył, że dochody ekspozytury w Tuchowie możnaby „ściągnąć“ do majątku opactwa, a zamiast trzech Benedyktynów, mógłby nabożeństwo w tym kościele odprawiać kooperator, będący przy parafialnym kościele. Nieby to nie kosztowało, bo kooperator ma utrzymanie z parafialnego kościoła.

Ta prośba proboszcza i nieproszone rady naczelnika po-

wiatu zaszkodziły tylko O. Sadowskiemu, bo Dankesreither chciał to probostwo rezerwować dla niemieckich Benedyktynów. Doszedł więc najpierw do tego, że przy wyborach na kapitule w Tyńcu r. 1803 nie otrzymał O. Sadowski większości głosów, tylko, że go proboszczem mianował komisarz konsystorza tarnowskiego ks. Juszczyński.—Dlaczego tenże komisarz duchowny miał złą opinię i dlaczego go Dankesreither nazywa: *der nicht rühmlichst bekannte*, nie umimy powiedzieć. Wiemy tylko, że tenże ks. Juszczyński mianował magistrem nowicyuszów O. Kamieńskiego, który tak samo zasłużył sobie na niechęć barona Lipowskiego i Dankesreithera.

Wszelako O. Sadowski zaczął chodzić około swej sprawy, a umiał widocznie zyskać względy hr. Luttun, który był przed rokiem Tuchów kupił, bo tenże oświadczył, że, zyskawszy prawo patronatu przez kupno dóbr, udzieli prezentę Sadowskiemu na probostwo, choćby go z Tuchowa wzięto. Gniewało to Dankesreithera jeszcze bardziej i dlatego proponował, żeby Sadowskiego przenieść albo do świętokrzyskiego, albo do sieciechowskiego opactwa.

Propozycya ta przedłożona została cesarzowi przez nadworną kancelaryę 26 marca następnego roku i cesarz Franciszek podpisał własnoręcznie dekret, nakazujący przeniesienie czterech profesów tynieckich, którzy do tego stopnia są zwyrodnieni, iż nie łatwo mogliby już być duchowną korekcyą poprawieni. tj. Karczewskiego, Kamieńskiego, Zakrzewskiego i Majewskiego, do tych klasztorów, które hofrat Dankesreither wymienił. Co zaś do pięciu innych tj. Kontenowicza, Łąckiego i Sadowskiego, jako też co do Wagnera i Ogurka, gdyby w opactwie Martinsberg nie mieli znaleść przyjęcia, pozostawić decyzyę nowemu opatowi.

Nadto dodał cesarz Franciszek, że hofratowi v. Dankesreither trzeba wyrazić jego szczególne zadowolenie *(Meine besondere Zufriedenheit)*, że sprawę sobie powierzoną *(Komissionsgeschäft)* wykonał z taką roztropnością i punktualnością. Ponieważ zaś Dankesreither wnosił, żeby i Lipowski otrzymał najwyższe uznanie, przeto i temu kazał cesarz wyrazić swoją łaskę *(Mein*

Wohlgefallen). Dekret ten odszedł dopiero w lipcu do Lwowa [1], ale już w marcu został Dankesreither mianowany sufraganem w Wiedniu, skąd po 9 latach (1816) przeniesiony został na biskupa św. Hipolita (St. Pölten) i tam po 7 latach (1823) umarł.

Z profesora dogmatyki w Linzu awansował Jan Nepomucen Dankesreither na wicerektora generalnego seminaryum, założonego przez Józefa II. w Wiedniu; przeniesiony był następnie na rektora generalnego seminaryum i kanonika w Bernie, aż r. 1802 mianowany został hofratem i referentem w sprawach duchownych przy nadwornej kancelaryi w Wiedniu. Na tem stanowisku mieliśmy sposobność dostatecznie go poznać z jego działalności w Krakowie.

Nie wszystko jednak złoto, co się świeci, mówi przysłowie, i nie wszystkie też rady i projekty Dankesreithera okazały się tak praktyczne, jak wyglądały.

Najpierw nie spieszno było szwabskim Benedyktynom z przyjazdem do Galicyi, mimo że ich niecierpliwie wyczekiwano. Dwaj delegowani byli już w lipcu 1806 r. we Wiedniu, a w sierpniu udali się do Krakowa wraz z Dankesreitherem i tego też miesiąca wydany został dla nich dekret cesarski, pozwalający im osiąść w Krakowie. Zaczęli się tedy powoli zjeżdżać tak, że co miesiąc tj. we wrześniu, październiku i listopadzie przybywało ich po kilku. W następnym roku przybyło ich znowu kilku w kwietniu, aż wreszcie opat przybył ostatni. Pokazał się przytem z wielkiej chmury mały deszcz, bo zamiast obiecywanej liczby trzydziestu, zebrało ich się w Krakowie sześciu, tj. trzech profesorów w uniwersytecie i trzech katechetów w gimnazyum, których nazwiska już nam są znane. Studyum teologiczne było więc początkowo słabo obsadzone, bo tylko Ziegler był naprawdę profesorem — i to dwóch przedmiotów, a „dwaj młodsi teologiczni

[1] Arch. M. W. i O. A. c. Vortr. d. vereinigten Hofkanzley d. 26 Maerz 1807. Na marginesie: „Die ausgearteten, durch eine anständige geistliche Korrektion nicht leicht mehr zu verbessernden, Tyniecer Stiftsprofessen... sind ohne weiteres in die vom Hofrathe Dankesreither namhaft gemachten Kloster zu übersetzen". Dekret an das galiz. Gubernium. Wien 30 Juni 1807. Z. 12045—995. exped. 4 Juli 1807. Ref. Aug. Gruber.

profesorowie, spełniali swój urząd pod bezpośrednim nadzorem zacnego i niezmordowanego przeora Zieglera" — jak donosił sam Dankesreither.

Liczba profesorów teologii urosła następnie do pięciu, ale zobaczymy, że inny hofrat wysłany do Krakowa, nie podzielał zapału, jakim był przejęty Dankesreither dla szwabskich Benedyktynów i profesorskiej ich działalności.

Mówiliśmy już, że w Tyńcu został instytuowany, jako przeor 11 grudnia 1806 r. O. Grzegorz Ziegler, ale ponieważ w Krakowie wykładał aż dwa przedmioty, więc w opactwie przebywać nie mógł. Jedyny zaś, kapłańskie święcenia mający O. Bernard Ganther, ten, który jako delegat był wysłany i pierwszy zwrócił uwagę Dankesreithera na opactwo tynieckie, zajął miejsce dotychczasowego prowizora O. Karczewskiego, który musiał ustąpić do opactwa świętokrzyskiego. Zresztą przybyli tylko jeszcze dwaj profesi dyakoni: Konrad Luttinger, którego zrobiono nauczycielem gimnazyalnym w Krakowie i Celestyn Keppler, który był magistrem nowicyuszów w Tyńcu, na miejscu O. Kamieńskiego. Prócz nich mieli szwabscy Benedyktyni tylko jednego nowicyusza nazwiskiem Lohr, który już był odbył nowicyat w Wiblingen. Drugiego nowicyusza, którego tam mieli, wzięto im do wojska. Widocznie jednak pragnęli załatać spieszno te braki, bo przyjęli jeszcze trzech nowicyuszów i dwóch kandydatów. Razem było ich więc na początku r. 1807 w Tyńcu osób dziewięć, a spodziewany był z wiosną profesor studyum biblijnego O. Roman Zängerle, o którym wiemy, że był zajęty w Solnogrodzie, oraz sam opat „w towarzystwie jeszcze jakiegoś księdza". Rzeczywiście też do końca swego pobytu w Tyńcu nie liczyli więcej niż dziesięć osób. — Tymczasem opat nie spieszył się do Galicyi, bo przestraszyły go legiony polskie i wyprawa Napoleona na Prusy oraz powstanie wielkopolskie, gdzie się uformowało 6 pułków jazdy. Ta wojna: *der schnell nach dem K. Preussischem Antheil des ehemaligen Polens verbreitete Krieg* — jak się wyraził Dankesreither — przeraziła opata, który dawniejszemi klęskami wojennemi bardzo był nastraszony, i wolał przeczekać aż ta burza minie. Zdaje się też, że dopiero po zawarciu po-

koju w Tylży wyruszył w drogę i pod koniec sierpnia (1807 r.) przybył do Tyńca.

Zaraz też prosił o zwrot kosztów podróży wszystkich członków swojego konwentu, które obliczył na 5771 fl. 9 kr. Ten rachunek okrojono wprawdzie nieco we Lwowie tak, że zostało 5666 fl. 32 kr., ale galicyjskie gubernium poparło prośbę z tem nadmienieniem, że część tego rachunku, tj. 1022 fl. 36 kr. należy wypłacić w monecie konwencyjnej, a resztę, tj. 4743 fl. 56 kr. w bankocetlach, a to dlatego, że austryackie, ówczesne (nowe) papierowe pieniądze, nie miały kursu w drodze, którą Benedyktyni odbywali od Ulm aż do Frankenmark.

Opinię tę lwowskiego gubernium poparła nadworna buchhalterya dlatego, że cesarski dekret z 29 października 1806 r. przepisał, żeby Benedyktyni odbywali podróż po trzy do czterech osób, na wozach, któreby zarazem wiozły ich pakunki. Na każdą osobę wyznaczono po 3 fl. dziennie, wszelkie zaś szczegółowe potrzeby podróży *(Reisepartikularien)*, liczba stacyj (popasów), czas i wydatki, zostały dokładnie sprawdzone i buchhalterya nadworna godziła się też na to, że należy 1022 fl. 36 kr. wypłacić w monecie konwencyjnej.

Kancelarya nadworna oddała tę sprawę do referatu Dankesreitherowi, chociaż już był sufraganem wiedeńskim i ks. biskup zaopiniował, że należy dać opatowi więcej niż żądał, tj. 6277 fl. 50 kr., a to z następującej racyi: W październiku 1806 r. stał kurs monety konwencyjnej na 180, przeto wydatki Benedyktynów, w tej monecie porobione, należy obliczyć wedle waluty wiedeńskiej, w bankocetlach na 1840 fl. 40 kr., natomiast wydatki ich w papierach obliczyć wedle waluty państwowej *(Reichswährung)* na 4743 fl. 56 kr. Propozycya ta przedłożona została arcyksięciu Rajnerowi, który ją w imieniu cesarza Franciszka przyjął i własnoręczny dopisek na marginesie zrobił [1].

---

[1] Arch. M. W. i O. A. c. S. 76 ex Decembri 1808. Vortrag d. vereinigten Hofkanzley 18 November 1808. Ref. v. Dankesreither, podp. Graf. v. Ugarten. Frhr. v. d. Mark. Dekret an das galiz. Gubernium 26 December 1808. Z. 24.328—2277 podp. Dankesreither. — Bankocetle straciły w Galicyi na początku r. 1811 cztery piąte wartości.

Konwent szwabskich Benedyktynów doznawał więc szczególnej życzliwości i nieznanej skądinąd dla zakonników, wyjątkowej hojności, a zawdzięczali ją głównie swojemu protektorowi ks. Dankesreitherowi.

Na jego też wniosek przyznał im cesarz Franciszek dekretem z 13 grudnia 1806 r. wsparcie 11.421 fl. 27½ kr., płatne do końca kwietnia 1807 r. Ponieważ im jednak od tej sumy odciągnięto 2248 fl. 12½ kr. na fundusz religijny, więc na wniosek Dankesreithera zwrócono im jeszcze i ten podatek. Roczna dotacya tego konwentu oznaczona została dekretem cesarskim 5 sierpnia 1806 r. na 30.000 fl., bo Dankesreither donosił, że konwent liczyć będzie 30 członków. Liczba ta była przesadzona, jakeśmy już widzieli, ale mimo to przyjęty został wniosek Dankesreithera, i naznaczono tak wysoką dotacyę roczną, jak ks. hofrat żądał. Uzasadniał zaś swoją propozycyę tem, że w Krakowie miało piętnastu Benedyktynów pracować i to 6 jako profesorowie teologii, 6 przy gimnazyum, nadto prefekt i katecheta dla uczniów filozofii, nie mówiąc nic o profesorze filozofii, przełożonym przyszłego konwiktu *Teresianum* i nowicyatu Benedyktynów.

Chodziło tylko o to: skąd wziąść tak wysoką dotacyę, bo opactwo tynieckie miało tylko 13.938 fl. dochodu wedle dokładnego obliczenia, które zrobił naczelnik myślenickiego powiatu, baron Lipowski. Ale ks. Dankesreither miał głowę pełną pomysłów, przeto proponował zabranie dóbr Kamedułom na Bielanach pod Krakowem, których dochód szacował na 6679 fl. 11 kr. Pozostawałaby więc tylko reszta 9382 fl. 29 kr., które powinien pokrywać fundusz religijny z zabranych dóbr opactwa tynieckiego, co już zresztą przepisane jest dekretem cesarskim 3 grudnia 1804 r., który, jak już wiemy, nie doczekał się wcale wykonania.

Ciekawe są argumenty, któremi ks. hofrat uzasadniał swoją propozycyę skasowania Kamedułów i zabrania ich własności.

Klasztor Kamedułów leży odosobniony na srebrnej górze *(mons argentinus)*, na lewym brzegu Wisły, pomiędzy Krakowem a Tyńcem. Zakonnicy oddają się tylko życiu kontemplacyjnemu,

i dlatego zakon ten już jest w c. k. dziedzicznych krajach zniesiony, podczas gdy w Galicyi są jeszcze dwa inne klasztory tejże reguły. Dlatego zwrócił nań uwagę ks. hofrat i pojechał go sobie obejrzeć z bliska, zabrawszy dla towarzystwa obydwóch delegowanych szwabskich Benedyktynów i naczelnika krakowskiego powiatu barona v. Baum. Widział tedy, że klasztor na Bielanach zbudowany jest w ten sam sposób, jak klasztor skasowanych Kamedułów na Kahlenbergu pod Wiedniem, tj. w cztery rzędy odosobnionych eremitaży. Dokoła otoczony jest lasem. Zakonników zastał tam czternastu, tj. prowincyała, przeora, 7 Ojców, 1 kleryka, 2 nowicyuszów i 2 laików. Podobał mu się bardzo kościół, bardzo piękny, wielki i dobrze zbudowany. Zwłaszcza chwalił *frontispicium,* zbudowane z kwadratowych kamieni surowego marmuru, i trzy wieże, pokryte miedzią.

Zakonnicy utrzymywali przy klasztorze szkołę; dzieci uczęszczało do niej 10—20, ze wsi, położonej u stóp góry klasztornej, ale podczas swojej obecności zastał tylko siedmioro dzieci. Czy egzamin wypadł ku zadowolnieniu ks. hofrata, nic nie wiemy. Sam przeor, był widocznie człek gadatliwy, bo całkiem niepotrzebnie przyznawał się, że konwent nie może się rozwinąć, bo kandydaci zgłaszają się wprawdzie często, ale ten i ów, pożywiwszy się w nowicyacie, następnie znowu występuje.— Zapewne poczciwy przeor nie przeczuwał, jak pożądane było to jego zwierzenie ks. hofratowi.

Przedewszystkiem jednak miał klasztor dwie rzeczy bardzo ponętne, tj. cztery wsie, las otaczający klasztor, a nadto posiadał jeszcze drugi las, oddalony o 7 mil, a tego właśnie Tyńcowi całkiem niedostawało.

Wróciwszy do Krakowa udał się Dankesreither do biskupa Gawrońskiego, celem zasięgnięcia ustnej informacyi i dowiedział się, że dyscyplina klasztorna nie bardzo tam ściśle jest przestrzegana *(wird nicht am strengsten beobachtet)* tak, że przeszłego roku (1805) sam przeor musiał być na korekcyę przeniesiony do innego klasztoru, z powodu skandalicznego stosunku. Wogóle biskup Gawroński już z góry dał pozwolenie na zniesienie Ka-

medułów, kiedy mu już pierwej z tą myślą Dankesreither się był zwierzył.

Ze strony biskupa nie było więc żadnej trudności, ale była inna trudność w tem, że Franciszek I. zakazał odręcznem pismem (Allerh. Handbillet) 25 marca 1802 r. kasowania jakiegokolwiek istniejącego klasztoru, chociażby nawet był uznany za zbyteczny przy regulacyi probostw *(wenn es auch bei der Regulirung überflüssig befunden werde),* chyba żeby jaki klasztor wcale nic nie pomagał parafialnemu duchowieństwu w słuchaniu spowiedzi i opatrywaniu chorych. Kameduli zaś pomagali w dusz-pasterstwie — jak to zobaczymy — więc rozkaz cesarski wyraźnie zabezpieczał ich egzystencyę. Mimo to proponował Dankesreither: przeniesienie Kamedułów z Bielan do Szańca, który jako lepiej dotowany, mógłby pomieścić znaczniejszą liczbę zakonników, a resztę radził posłać do Rytwian, Bielany natomiast zamienić na ekspozyturę Tyńca, tj. urządzić tam probostwo jako beneficyum zakonne *(regulare)* i osadzić dwóch Benedyktynów tynieckich, tj. proboszcza i kooperatora. Popierał zaś ten wniosek następującemi argumentami:

Kameduli mają za cel kontemplacyjne życie, tak jak Kartuzi, stąd też nauki pastoralnej wcale nie posiadają. Do ich kościoła nie mają też niewiasty przystępu i tylko przed drzwiami stać im wolno. Będzie to więc czysty zysk dla wsi Bielan, jeśli będzie miała u siebie parafialny kościół, bo mieszkańcy jej mają daleką drogę do parafialnego kościoła na Zwierzyńcu pod Krakowem. Reguła zakonu Kamedułów pozwala na przenoszenie zakonników do innych klasztorów, połączonych w jedną prowincyę. Ponieważ zaś sam przeor przyznał, że klasztor mało ma przyrostu, więc prędzej czy później, czeka go wymarcie i redukcya trzech klasztorów galicyjskich Kamedułów będzie musiała sama przez się nastąpić. Dla Tyńca byłby to kąsek doskonały, bo zyskałby las i nie potrzebowałby drzewa na opał i budulec drogo kupować, a w całej okolicy niema żadnych dóbr, należących do funduszu religijnego, któreby się tak dobrze nadawały do zabrania — chyba tylko jeszcze dawniejszy majątek biskupa krakowskiego, Lipowiec, mógłby tu iść w rachubę.

Wreszcie dodał Dankesreither argument ostatni: jeżeli Bielany nie zostaną zabrane, w takim razie trzeba będzie Benedyktynom od kwietnia płacić miesięcznego dodatku 2.000 fl., bo inaczej z dochodów Tyńca nie wyżyją.

Propozycya była dobrze uzasadniona, potrzebowała jednak pewnego zastanowienia. Sprawę oddano więc do referatu hofratowi Augustynowi Gruberowi i najpierw zażądano opinii gubernium lwowskiego. Ze Lwowa zapytano konsystorz biskupi w Krakowie i pokazało się, że albo Dankesreither źle biskupa zrozumiał, albo też biskup się rozmyślił, bo oświadczył się wręcz przeciwko zniesieniu Kamedułów.

Najpierw przytoczył to, że Kameduli nietylko odprawiają w swoim kościele wszystko co potrzeba dla parafii, ale że i w okolicy dostarczają pomocy w duszpasterstwie. Tych usług nie można zaś spodziewać się po członkach byłego *(des ehemaligen)* opactwa tynieckiego, bo z jednej strony mają złą opinią *(einen üblen Ruf)*, a z drugiej strony mają inne zajęcia.

Pomiędzy Kamedułami na Bielanach są starcy 80-letni, których nie można ruszać z miejsca, do którego całe życie przywykli i chyba z wyraźnem niebezpieczeństwem życia możnaby ich przenieść do niezdrowych i grożących ruiną klasztorów w Szańcu lub Rytwianach, które przytem mają tak szczupłe dochody, że zakonnicy ledwie z nich wyżyć mogą. Zresztą przeciwko zniesieniu klasztoru na Bielanach przemawia dekret cesarski z 1 lutego 1797 r., zakazujący znoszenia, któregokolwiek klasztoru w „młodszej Galicyi“, a wreszcie fundatorzy Kamedułów zastrzegli sobie i spadkobiercom swoim bezwzględne prawo odebrania dóbr fundacyjnych, gdyby klasztor na Bielanach w jakikolwiek sposób miał utracić egzystencyę.

Z tych powodów konsystorz krakowski wyraził przekonanie, że albo trzeba zakonników pozostawić w spokoju, albo zakazać im przyjmowania nowicyuszów, tj. skazać na wymarcie i dopiero wtedy, gdy większa część wymrze, przenieść resztę do klasztoru w Szańcu i Rytwianach, które wszelako należałoby tymczasem wyrestaurować, a raczej na nowo odbudować.

Jeśliby zaś cesarz miał mimo to postanowić zniesienie Ka-

medułów na Bielanach, i miało być tam utworzone probostwo zakonne, w takim razie należałoby utworzyć parafię ze wsi: Przegorzały i Olszanica, należących do parafii zwierzynieckiej oraz miejscowości Śmierdząca, która należy do parafii Liszek. Wszelako należałoby pozostawić proboszczów na Zwierzyńcu i w Liszkach w posiadaniu dziesięcin, które obecnie pobierają, bo w takim razie nie mogliby żądać innego odszkodowania.

Otrzymawszy to pismo konsystorza krakowskiego, zażądało gubernium galicyjskie sprawozdania od naczelników powiatów w Kielcach i Radomiu, jaki jest rzeczywisty stan klasztorów kamedulskich i dowiedziało się, że wprawdzie stan klasztoru w Szańcu nie jest tak zły, jak w Rytwianach, ale że ani jeden, ani drugi nie mógłby pomieścić nowych zakonników, bez poprzedniego przebudowania.

Z kolei zażądało gubernium od buchhalteryi galicyjskiej wykazu dochodów obydwóch klasztorów i dowiedziało się, że klasztor w Szańcu ma rocznej nadwyżki 1340 fl. $59^{4}/_{8}$ kr. a klasztor w Rytwianach ma rocznej nadwyżki 3350 fl. 26 kr. Prawda, że naczelnik powiatu w Radomiu sam przyznał, że w Rytwianach jest wielka bieda i że przełożony tego klasztoru słusznie na nią narzeka, ale gubernium wyraziło to przekonanie, że tej biedzie możnaby zaradzić dawaniem wsparcia i w ten sposób Kamedułów przeniesionych z Bielan tam żywić; prawda, że w klasztorach tych jest ciasno, ale możnaby dobudować i w Szańcu i w Rytwianach po kilka cel, a wtedy dałoby się nowych zakonników przyzwoicie umieścić.

Zarzut, uczyniony przez konsystorz krakowski Benedyktynom w Tyńcu, odparło gubernium tą uwagą, że obecnie (1807) zostały już zwyrodnione osoby *(die ausgearteten Individuen)* przeniesione z Tyńca do innych klasztorów, a po czujności i zamiłowaniu porządku nowego opata należy się spodziewać, że przywróci należytą karność w swojem opactwie.

Co się tyczy najw. rozkazu z 1 lutego 1797, na który się konsystorz powołał, zauważyło gubernium, że N. Pan kazał mniejsze klasztory „k o n c e n t r o w a ć“ w takich razach, jeśli przez to osiągnie się większą korzyść dla Kościoła i dla pań-

stwa: nie potrzeba zaś wcale dowodzić, że uzupełnienie dotacyi Benedyktynów, którzy czynnie służą państwu i Kościołowi, jest o wiele ważniejszą i pożyteczniejszą rzeczą, niż zatrzymanie klasztoru Kamedułów, którzy właściwie tylko anachoretycznie żyją. Prawda, że konsystorz krakowski twierdzi, że oni pomagają w pracy parafialnej, ale jeśli tak, to czynią to wbrew swojej regule.

Najważniejszy sęk był jednak w akcie fundacyjnym klasztoru na Bielanach. Lwowska *Kammerprokuratur* zauważyła, że wedle aktu fundacyjnego mogłaby rodzina Lubomirskich rościć pretensye do zwrotu Bielan i Srebrnej góry bielańskiej, że natomiast rodzina Wolskich, nie mogłaby żądać zwrotu Mejkowa i Mejkówka, bo w akcie fundacyjnym zastrzeżono tylko ten przypadek, jeśliby cały zakon był zniesiony, a tu chodzi tylko o zniesienie jednego klasztoru. Gubernium jednak nie bardzo było przekonane tym wywodem i uważało, że wedle aktu fundacyjnego nie można dóbr klasztornych zabierać.

Kancelarya nadworna zażądała tedy opinii nadwornej prokuratoryi *(Hof- und Kammerprokuratur)*, która dała niezmiernie ciekawy wywód prawny.

Potomkowie fundatora Kamedułów na Bielanach, Sebastyana Lubomirskiego mają prawo do wsi Bielany i Srebrna góra bielańska na mocy dokumentu z r. 1604, potwierdzonego przez króla Zygmunta III., w którym zapisano Kamedułom te dobra wyraźnie tylko dopóty, dopóki ówcześni donataryusze albo ich następcy klasztoru nie opuszczą i dopóki nie będzie rzeczą wiadomą, że ojcowie i bracia tegoż zakonu są nieobecni *(patres et fratres huius ordinis absentes esse constiterit)*. Zaczem z chwilą gdyby Kameduli z Bielan zostali przeniesieni, zachodzi przypadek zastrzeżonego prawa własności *(der Fall des vorbehaltenen Eigenthumrechtes)* i spadkobiercy Lubomirskiego stają się właścicielami bez wszelkich wypowiedzeń, albo osobnej rezygnacyi. Zachodzi wprawdzie w dokumencie wyrażenie, któregoby się można uczepić: *si hoc idem monasterium et ecclesiam supra scriptam fundandam vacare contigerit et vastum esse constabit* — zatem możnaby powiedzieć, że klasztor nie stoi pustką, skoroby w nim mieszkali Be-

nedyktyni, a więc ani kościół, ani klasztor: *nec vacent nec vacua aut vasta sint,* że owszem chwała Boża zyskała na tem, gdyż inni zakonnicy, pożyteczniejsi państwu i Kościołowi, klasztor zamieszkują — wszelako wedle treści aktu fundacyjnego ograniczył fundator swoją fundacyę wyłącznie na Kamedułów i wyraźnie postawił klauzulę na przypadek, gdyby ich na Bielanach nie było.

Drugi fundator, Mikołaj Wolski z Podhajec, miał także w dokumencie fundacyjnym z r. 1604 na myśli Kamedułów, ale zastrzegł zwrot dóbr Mejkowa i Mejkówka raczej na przypadek zniesienia całego zakonu. Gdyby więc Kameduli z Bielan zostali przeniesieni do Szańca i Rytwian, to spadkobiercy Wolskiego nie mogliby rościć pretensyi do Mejkowa i Mejkówka, tem więcej, że w tych wsiach nigdy nie było klasztoru Kamedułów a więc fundatorowi chodziło tylko o to, żeby Kameduli mieli z tych wsi użytek.

Zresztą dobra fundacyjne mogą wrócić tylko do głównych spadkobierców fundatora, ponieważ oni tylko przejmują prawa i ciężary fundacyjne. Jeśli przeto majątek Sebastyana Lubomirskiego i Mikołaja Wolskiego przeszedł już na linie poboczne, albo pojedyncze osoby *(successores singulares)* przez kupna, zamiany albo układy familijne, wtedy nie mają już żadnego prawa do niego. Choćby nawet byli jacy główni spadkobiercy *(successores universales ex titulo universalis haereditatis)* i w takim razie mógłby cesarz użyć swego prawa, jako panujący i przenieść Kamedułów z Bielan, biorąc przytem należyty wzgląd na wolę fundatorów i objaśniając spadkobierców, że tego wymaga powiększenie pożyteczności pierwotnej fundacyi, albo też konieczność obecnych stosunków. Tłumacząc wolę fundatorów, należy zawsze przypuszczać, że mieli na myśli także i to, co będzie może kiedyś uważane za konieczne, lub pożyteczne przy zmianie okoliczności czasu, obecnie zaś zakon Kamedułów nie jest ani konieczny, ani pożyteczny, ani dla pomnożenia chwały Boskiej, ani dla pospolitego dobra.

Spadkobiercom możnaby też wytłumaczyć, że, jeśli nie dadzą przyzwolenia swojego na przeniesienie Kamedułów do innych

klasztorów, aby majątek fundacyjny obrócony był na korzyść Benedyktynów, to Kameduli zostaną wprawdzie, ale spadkobiercy też nic nie zyskają z dóbr fundacyjnych.

Długie korespondencye w tej sprawie zajęły przeszło rok czasu i dopiero w kwietniu r. 1808 było gotowe przedłożenie *(Vortrag)* nadwornej kancelaryi, która uznała, że obydwóch aktów fundacyjnych nie można na żaden sposób inaczej rozumieć, jak brzmią dosłownie, tj. że dóbr zabrać nie można, bo z chwilą przeniesienia Kamedułów z Bielan, przechodzą ich dobra na spadkobierców.

„Prawda, że ponad wszelkie wątpliwości ma cesarz prawo dawania fundacyom innego przeznaczenia, niż opiewa dosłowne brzmienie dokumentów fundacyjnych, jeśli tego wymaga potrzeba lepszego ich wyzyskania, na korzyść państwa i Kościoła: wszelako sądzimy, że N. Pan nie zrobi w tym przypadku użytku ze swojej władzy, skoro fundatorzy poświęcili swój majątek, bez wszelkiego zastrzeżenia i ograniczenia, na cel pobożny. Cesarz musiałby wolę ich uzupełniać *(suppliren)*, a cel ich pobożny zmieniać na jeszcze pobożniejszy. Wszelako w tym przypadku, gdy fundator wyraźnie wolę swoją oznaczył, na pewien cel własności się pozbył i zrobił zastrzeżenie, że, gdyby jego zamiar nie mógł być osiągnięty, natychmiast powinien majątek wrócić do spadkobierców: kancelarya musi radzić, aby N. Pan nie kierował się ustawami państwa, lecz sprawiedliwością“.

Jedynie w tym razie możnaby przesiedlić Kamedułów z Bielan do innych klasztorów, gdyby cała rodzina Lubomirskich i Wolskich dała na to przyzwolenie. W tym celu trzebaby przesłuchać wszystkich członków tych rodzin, a to byłoby połączone z trudnościami i nie obyłoby się bez wywołania wielkiego zaniepokojenia w kraju. Zachodzi przytem wielkie pytanie, czyby chcieli swego prawa się zrzec, a wtedy powstałoby drugie pytanie, czy wogóle mają prawo: musiałby więc wyniknąć spór prawny, a tego lepiej uniknąć, zwłaszcza, że można Benedyktynów inaczej udotować.

Arcyksiąże Rajner zatwierdził ten wniosek i polecił obmyślenie innej dotacyi dla Benedyktynów w Tyńcu [1].

Tymczasem właśnie ta sprawa dotacyi Benedyktynów wlokła się bardzo żółwim krokiem tak, że nawet gubernium galicyjskie otrzymało za to surową naganę. Naczelnik powiatu myślenickiego baron Lipowski wygotował już 28 stycznia 1807 r. operat w tej sprawie. Gubernium otrzymało go 6 lutego, ale dopiero 21 marca przydzielono go krajowej buchhalteryi. Tam przeleżał się do 8 października, chociaż kancelarya nadworna co miesiąc, począwszy od maja t. r., posyłała do Lwowa upomnienia. Wreszcie nadszedł 15 listopada do Wiednia, ale był tak bałamutny, że jeszcze nie mogła kancelarya nic stanowczego postanowić w sprawie stałej dotacyi.

Najpierw wnosiło gubernium, że opactwu należy dać 37.655 fl. 41 kr. wsparcia na budowę domu w Krakowie, gdzieby Benedyktyni, pracujący jako profesorowie, mogli być pomieszczeni. Dalej potrzebne było drugie wsparcie w ilości 11.421 fl. $27^1/_2$ kr. dla konwentu w Tyńcu, na różne potrzeby, co zresztą już przyznane zostało dekretem z 21 listopada 1806 r. Nadto potrzeba jeszcze wyznaczyć: 1) 7819 fl. $58^5/_8$ kr. na utrzymanie szkoły klasztornej w Tyńcu i to licząc od 1 stycznia do końca września 1806 r.; 2) na zapłacenie zaległych podatków potrzeba wyznaczyć 4483 fl. $42^3/_8$ kr., a do tego należy doliczyć jeszcze zaległy podatek od listopada 1805 r., który, na mocy dekretu z 30 stycznia 1807 r., ma pokryć wschodnio-galicyjski fundusz *(Stiftungsfond);* 3) na reparacyę budynków gospodarskich w Tyńcu

[1] Arch. M. W. i O. A. c. S. 64 ex Junio 1808. Vortrag der ver. Hofkanzley 20 April 1808. Ref. Aug. Gruber podp. Oberster Kanzler Graf v. Ugarte, Hofkanzler Frhr. v. d. Mark. Dekret an d. galiz. Gubernium 16 Juni 1808 exp. 20 Juni 1808. Z. 12.164—1050. — Kameduli na Bielanach posiadali jeszcze dwie wsie w pobliżu Kent, Malec i Jarczyn, Już 8 lutego 1782 zapytywał starosta wielicki, czyby nie można tych wsi „ściągnąć“, dlatego, że Kameduli nie należeli wówczas do Galicyi; otrzymał jednak odpowiedź, że dopóki ten klasztor nie zostanie zniesiony w Rzeczypospolitej polskiej, muszą jego posiadłości w Galicyi pozostać nienaruszone („hierländigen Besitzungen unangefochten bleiben müssen“). Acta nr. 102. Generalia K. A. Fasc. 1, Subd, 12, nr. 283 ex Martio 1782. Krótko potem zostały „ściągnięte“.

potrzeba 4500 fl., bo inaczej nie będą mogli Benedyktyni dobrze prowadzić gospodarstwa; 4) na urządzenie refektarza potrzeba 1454 fl. 37 kr., a 5) na zapłacenie długów, które szwabscy Benedyktyni pozaciągali, nim jeszcze przeniesieni zostali do Tyńca, a które uznano za słuszne, potrzeba 7975 fl. $55^4/_8$ kr., czyli razem wszystkiego 37.655 fl.

Całe to sprawozdanie, jakeśmy powiedzieli, uznała kancelarya nadworna za bałamutne, bo pomieszano wydatki na Kraków i na Tyniec; wydano naprzód więcej, niż proponowano, bo 43.326 fl. $^9/_{10}$ kr., chociaż nie było jeszcze pozwolenia z Wiednia, a co najważniejsza: wydatki te nie były należycie umotywowane. Przytem przewlekanie sprawy zasługiwało na tem większą naganę, że nadworna kancelarya pozwoliła Benedyktynom wypłacać co miesiąc 2 tysiące fl. z t. zw. *Stiftunysfond*, ale uczyniła to w tej nadziei, że sprawa dotacyi będzie rychło uregulowaną; tymczasem drugi rok mijał, a we Lwowie nic jeszcze nie zrobiono.

Kancelarya nadworna postanowiła przeto stanowczo tę sprawę zakończyć i przedłożyła dlatego cesarzowi następującą propozycyę: Z dniem 1 listopada 1807 r. zamknąć rachunki dotychczasowe Tyńca i liczyć dochodów z dóbr klasztornych 13.938 fl. 20 kr., a to, czego braknie do naznaczonej dotacyi (30 tysięcy), 16.061 fl. 40 kr., płacić w miesięcznych ratach po 1338 fl. $20^5/_6$ kr., dopóki opactwo tynieckie nie otrzyma jakich odpowiednich posiadłości.

Oprócz tego należy dać 7975 fl. $55^1/_2$ kr. na pokrycie długów, które szwabscy Benedyktyni zaciągnęli, nim przybyli do Tyńca; wypłacić nadto 4500 fl. jako *fundus instructus* na reparacyę budynków, zakupienie bydła i t. d., 1454 fl. $37^1/_2$ kr. na urządzenie refektarza, a 6054 fl. na urządzenie mieszkania opackiego. Dodatek miesięczny 1338 fl. $20^5/_6$ kr. winien iść głównie na utrzymanie profesorów w Krakowie.

Propozycya ta przyjęta została na sesyi z dnia 7 stycz. 1807 r. przez arcyks. Rajnera, który w dekrecie, wysłanym do galicyjskiego gubernium, kazał wyrazić naganę *(mein Missfallen)* za

zwłokę w całej sprawie i nieporządki w zaliczkach danych Benedyktynom [1].

Kto cokolwiek zna dzieje klasztorów w Galicyi i postępowanie fiskusa z zakonnikami, tego musi uderzyć ta niezwykła i nadzwyczajna hojność, z jaką szafowano funduszami galicyjskiemi na rzecz szwabskich Benedyktynów. Kancelarya nadworna gniewała się wprawdzie na gubernatora galicyjskiego, jednakże sama bardzo mało okroiła z preliminowanych przezeń wydatków. — Tę hojność tłumaczą wielkie nadzieje, jakie przywiązywano w Wiedniu do wpływu i działalności szwabskiego konwentu na wykształcenie duchowieństwa i młodzieży gimnazyalnej w Krakowie.

Przy wydziale teologicznym dokompletowała się tymczasem ich liczba. O. Grzegorz Ziegler, zatrzymawszy dogmatykę, odstąpił wykład historyi kościelnej O. Piusowi Rieger. Przybył też ze Solnogrodu O. Roman Zängerle i objął wykład Starego Testamentu, podczas gdy Marcin Altegger zatrzymał tylko Nowy Testament. Ulryk Meisterle, który początkowo wykładał teologię moralną, zastąpiony został przez O. Hermana Reismüller, a sam został ustanowiony jako nauczyciel przy gimnazyum. Katechetą dla szkoły filozofii pozostał O. Wiktor Locher, a O. Henryk Enderle awansował z profesora gramatyki na katechetę. Kleryk Konrad Luttinger, któregośmy widzieli w Tyńcu, ustanowiony był przy gimnazyum w charakterze gimnazyalnego nauczyciela. Było ich więc dziewięciu w Krakowie pod koniec r. 1807.

W Tyńcu byli oprócz opata Ulryka Kecka (którego nazywają też Kieck i Kreck): prowizorem, znany nam już O. Bernard Ganther, kuchmistrzem O. Benedykt Humel; magistrem nowicyuszów Celestyn Keppler, nauczycielem przy szkole normalnej O. Kolumban Daigele, który poprzednio był katechetą przy gimnazyum w Krakowie. Oprócz tego było w Tyńcu 6 kleryków tj.: Zygmunt Löhr, Adryan Huber, Werner Daghofer,

[1] Arch. M. W. i O. Acta cit. Sign. 67 ex Februario 1808. — Vortrag der vereinigt. Hofkanzley 7 Januar 1808. Ref. Hofr. Aug. Gruber. Na marginesie: „Auf seiner Majestät ausdrücklichen Befehl. Rajner mp. — Dekret an d. galiz. Gubernium. Wien 18 Februar. 1807. Z. 2968—263.

Ferdynand Schiele, Kaźmirz Wurzinger i Stanisław Baumeister. Obaj Niemcy, mimo polskich imion chrzestnych. Razem było więc w Tyńcu szwabskich Benedyktynów jedenastu. Polaków było tam ośmiu, jak to później jeszcze zobaczymy.

IV.

Wielkie nadzieje, przywiązywane do wpływu szwabskich Benedyktynów, sprowadzonych z takim kosztem, a utrzymanych z takim nadzwyczajnym nakładem, zniweczył rok 1809. Austrya rozpoczęła w kwietniu t. r. wojnę z Napoleonem, a równocześnie i z Księstwem Warszawskiem. Pokazało się to następnie jako fatalny błąd, bo gdyby była mogła, choćby tylko 20 tysięcy wojsk swoich z Galicyi wycofać i stawić pod Wagram, byłaby złamała potęgę Napoleona[1]. Przerachowano się widocznie w kwietniu i nie liczono się ze zmianą, jaka zaszła w usposobieniu galicyjskich poddanych od czasu „rekuperacyi“ i „rewindykacyi“. Wówczas, kiedy r. 1773 galicyjskie obywatelstwo składało homagialną przysięgę, dołożyło do tego z własnej chęci i woli gubernatorowi galicyjskiemu hr. Pergenowi 6000 fl. dobrowolnej ofiary[2], a dowodów takiej nadzwyczajnej lojalności możnaby przytoczyć bardzo wiele. Tymczasem urok Napoleona podziałał na umysły tak, że, pomimo jego kuglarstwa politycznego, odżył patryotyzm i rozbudziło się niesłychane bohaterstwo, którego we Wiedniu wcale się nie spodziewano. Dlatego widocznie nie przypuszczano, żeby tak małe i dopiero drugi rok istniejące Księstwo Warszawskie, mogło taki zwycięski opór stawić.

Losy Benedyktynów szwabskich związane są ściśle z tą wojną.

Kiedy złote orły, którym białe ustąpić musiały miejsca na rozkaz Napoleona, zbliżały się do Krakowa, opuścił go nadzwyczajny pełnomocnik galicyjski arcyksiąże Franciszek, ale przed wyjazdem dał jeszcze na rękę Benedyktynom 5081 fl. nadzwyczaj-

[1] Thiers, *Histoire du consulat* X, 430.

[2] Rkp. Ossol. 525, 1, f. 207. Por. Chotkowski, „Pierwsze *Te Deum* w katedrze lwowskiej na zakończenie Starego Roku 1773“. *Gazeta kościelna*. R. Lwów. Rok 1897. Nr. 50, 51 i 52.

nego wsparcia[1]. Kiedy książe Józef zajął 15 lipca Kraków, nie musiał ich pobyt w tem mieście być bardzo przyjemny, bo inkwaterunki wojskowe kosztowały ich 1392 fl. 18 kr., a wojska polskie i moskiewskie ściągały rekwizycye z dóbr klasztornych, położonych, w powiatach jarosławskim, tarnowskim, bocheńskim poczęści i w myślenickim tak, że opat obliczył koszta wojenne na 6525 fl. 20 kr.[2]. Tymczasem od połowy lipca przestała kasa powiatowa krakowska wypłacać im miesięczny dodatek w kwocie 1693 fl. 42 kr., nie dziw więc, że Benedyktynom zajrzała bieda w oczy.

Opat wręczył przeto księciu Dietrichstein, który był nadwornym komisarzem *(Hofcommissär)* prośbę do cesarza i już 1 października t. r. wydał cesarz pismo odręczne *(Handschreiben)*, którem prośbę tę kancelaryi nadwornej przekazał. Prosił w niej opat, żeby mu dawną miesięczną subwencyę wypłacała kasa powiatowa w Myślenicach, skoro z Krakowa niczego już się spodziewać nie mógł, a nadto prosił, żeby te pięć tysięcy, które mu dał na rękę arcyks. Franciszek, były tymczasowo tylko zanotowane *(vorgemerkt)*, ale żeby ich nie odliczano od subwencyi, bo i tak dawno już je wydał na potrzeby Tyńca i *Collegium minus* w Krakowie.

Prośba ta trafiła na usposobienie w kancelaryi nadwornej jak najmniej korzystne i ze słów referatu *(Gutachten)* wieje pewna niechęć do uprzywilejowanego konwentu szwabskiego. Położenie opactwa w Tyńcu może być przykre — czytamy w tem piśmie — ale nic więcej dać nie można nad to, co pobiera, tj. subwencyę roczną, ale i tej chwilowo żądać nie może, skoro już dostali od arcyksięcia zaliczkę trzymiesięczną, jak to sami przyznają. Inne kongregacye zakonne, także pożyteczne, zajmujące się nauczaniem lub pielęgnowaniem chorych, również potrzebują wsparcia i są w położeniu jeszcze gorszem niż Benedyktyni, zawsze najbardziej uwzględniani *(von der Regierung von*

[1] Arch. M. W. i O. Acta cit. Sign. 4 ex Novembri 809. Vortrag der vereinigten Hofkanzley 7 October 1809. Ref. Hauer.

[2] Arch. M. W. i O. Acta cit. Sign. 43 ex Decembri 1410. Vortrag d. ver. Hofkanzley 1 März 1810. Ref. Gruber.

jeher Höchstbegünstigtes Stift), zwłaszcza we wielkiej biedzie znajdują się Siostry Miłosierdzia i, gdyby im się wsparcia odmówiło, mogłyby się słusznie żalić. Zresztą niema z czego dać, bo związek z władzami i kasami w Krakowie został obecnie zerwany, a finanse państwa są w tak nędznym stanie, że o jakimkolwiek dodatku ani myśleć nie można. Chybaby „prowizoryczna administracya funduszu fundacyjnego“ *(Stiftungsfond)* coś dać mogła.

Ten referat przedłożony został ces. Franciszkowi już po zawarciu pokoju wiedeńskiego (14 października 1809), w którym t. zw. „Zachodnia Galicya“ po San przypadła Księstwu Warszawskiemu, a t. zw. okręg krakowski posunięty został za Wisłę, po Skawinę i Wieliczkę. W ten sposób Tyniec odpadł od Galicyi.

Nie dziw, że cesarz Franciszek kazał odpowiedzieć na prośbę opata, że nie może dać opactwu żadnego wsparcia, a co się tyczy zaliczki, danej przez pana Kuzyna *(Herrn Vetter)*, tj. arcyksięcia Franciszka, nastąpi obliczenie skoro Galicya zostanie opróżniona *(geräumt)* i granica uregulowana [1].

Szwabscy Benedyktyni nie czekali jednak na tę odmowną odpowiedź w Tyńcu, lecz wynieśli się, poza okręg krakowski, do klasztoru Bernardynów w Kalwaryi Zebrzydowskiej. Jaki był powód tego opuszczenia stanowiska, trudno dzisiaj stanowczo powiedzieć, ale w każdym razie widoczna, że wytrwać na zajętem stanowisku nie mieli ochoty, ani odwagi. Hr. Wurmser, który był po hr. Dietrichsteinie nadwornym komisarzem *(Hofcomissär)*, tłumaczył wprawdzie ich ucieczkę tem, że im zrabowano w ostatnich miesiącach wszystkie zapasy, które mieli, nawet osobiste oszczędności *(peculium)*, ale zobaczymy, że tak źle nie było, bo opat zostawił po śmierci bardzo znaczny majątek. Hr. Wurmser przytaczał też jako powód ich ucieczki, że doznawali od polskich braci swoich szyderstw i gróźb *(bedroht)*, że więc opuścili miejsce, gdzie pokoju spodziewać się nie mogli [2]. W każdym razie nikt ich nie wypędzał, a że nie uciekali nagle,

[1] Arch. M. W. i O. Acta cit. Totis 4 November 1809 Franz mpp. Dekret a. d. galiz. Landes Praesidium. Pesth. 12 November 1809.

[2] Arch. M. W. i O. Acta cit. Sign. 43 ex Decembri 1810.

dowodzi ta okoliczność, że opat miał czas zabrać ze sobą dużo sreber ze skarbca kościelnego, jakto później zobaczymy. Tyle tylko stało się widocznem, że stracili zupełnie ochotę do dalszego pobytu w Polsce.

Mówiliśmy już, że prośba ich, wysłana do cesarza o wsparcie, została odrzucona. Hr. Wurmser zaliczył im wprawdzie 2000 fl., ale gubernium galicyjskie nie chciało nic dawać. Udali się przeto powtórnie wprost do cesarza, z prośbą o wsparcie. W prośbie tej wywodzili, że z miłości do N. Pana opuścili ojców swoich i ojczyznę, więc liczą na jego opiekę, bo gotowi są dalej mu służyć. Wszelako doświadczenie nauczyło ich, że w Galicyi, gdzie ze strony Polaków *(der Nationalen)* tyle robiono im trudności i gdzie odpowiedniego przyrostu wcale spodziewać się nie mogą, dłużej jako konwent istnieć nie zdołają. Prosili przeto, żeby ich cesarz przeniósł w niemieckie strony, byle ich znowu nie łączył z jakim innym, już istniejącym konwentem, i żeby się to stało bez wyparcia innych zakonników *(ohne Verdrängung anderer)*. Jeśliby zaś inaczej być nie mogło, wtedy poddają się wprawdzie twórczemu, najwyższemu rozporządzeniu *(unter die schöpfende, allerhöchste Anordnung)*, ale proszą, żeby cesarz rozwiązał ich zgromadzenie i naznaczył każdemu pojedyńczo, jako prywatnej osobie, wedle zdolności każdego, jakie zatrudnienie i zajęcie. Dlatego też proszą o wsparcie, nie mając środków do utrzymania, ale proszą żeby je każdy z osobna otrzymał.

Zakończenie tej prośby naprowadza na domysł, że w konwencie szwabskim zapanowało rozdwojenie. Już bowiem poprzednio udawał się opat do lwowskiego gubernium z taką samą prośbą, żeby każdemu z osobna dawano wsparcie, bo chciał uniknąć często, powtarzających się, nagabywań *(Behelligungen)* ze strony swoich braci w zakonie, dlatego że już nie żyją wspólnie, tylko prawie każdy osobno dla siebie.

Prośba ta otrzymała sygnaturę i numer 1179, i przesłana została do opinii hrabiemu Wurmser, który 12 stycznia następnego roku (1810) odpowiedział gorącem jej poparciem, przyczem prosił o zatwierdzenie *(Passirung)* owej subwencyi 2000 fl., którą już był zaliczył Benedyktynom. Zarazem obiecał, że nie-

bawem nadeśle projekt, jakby ich konwent umieścić w Galicyi bez obciążenia skarbu i jakby najlepiej zużytkować ich zdolności w kraju, w którym tak bardzo zbywa na ludziach przydatnych *(anwendbare Subjekte)*.

Wskutek tego otrzymali Benedyktyni dekret cesarski 1 marca 1810, zawiadamiający ich, że N. Pan obiecuje im dalszą opiekę i zaopatrzenie w dziedzicznych c. k. krajach [1]. Na tej obietnicy jednak musieli poprzestać, bo pokazało się, że fundusze poza Galicyą, nie były zdolne ponieść kosztów przeniesienia tego konwentu i udotowania go w Austryi. W Galicyi również nie można ich było ponownie dotować, bo i tu fundusz religijny był wyczerpany. Znieść jaki inny klasztor i umieścić w nim Benedyktynów, także nie uchodziło, a przyłączyć ich do jakiego konwentu, nie było można, bo sami tego nie chcieli, zrobiwszy smutne doświadczenie w opactwie tynieckiem. Przytem trzeba było brać i to na wzgląd, że konwent, straciwszy ponownie *stabilitas loci*, przestał istnieć i naprawdę się rozwiązał, jak to już z podania do cesarza wynikało, trudno więc było ich przymuszać do ponownego wiązania się w zakonne zgromadzenie. Zobaczymy też, że większa ich część zawczasu starała się na własną rękę o posady w niemieckich stronach.

Kancelarya nadworna jednak uznawała, że wsparcie dać im trzeba, choćby dlatego samego, że się pod opiekę cesarską udali. Tego wsparcia jednak nie można im było udzielić z dochodów dóbr opactwa tynieckiego, które pozostały po za okręgiem krakowskim, a przynosiły, jak nam wiadomo, tylko 4000 fl., bo dochód ten należał się opactwu tynieckiemu, a nie szwabskiemu konwentowi, który z Tyńca uciekł. Ponieważ jednak opactwo tynieckie należało teraz do Księstwa Warszawskiego, przeto straciły te dobra tytuł własności i dlatego nadawały się do ściągnięcia *(sind zur Einziehung geiegnet)*, wszelako powinny przypaść do funduszu religijnego.

Jedno źródło wsparcia byłoby już tem samem wynalezione,

[1] Arch. M. W. i O. Acta cit. Sign. 60 ex Junio 1810. Wien 1 Maerz 1810. Z. 2487—190.

ale było jeszcze i drugie. Pokazało się bowiem, że wojska polskie zajęły wprawdzie (1809) Lwów, ale że nie zabrały pieniędzy, które zwano ogólnym funduszem *(allgemeiner Stiftungsfond)*, w którym fundusz zakładowy tynieckiego opactwa zajmował niemałą pozycyę, bo wynosił 2,922.484 fl. $15^1/_8$ kr. Kancelarya proponowała przeto, żeby z tego funduszu wypłacać szwabskim Benedyktynom to samo wsparcie, które dotąd pobierali tj. 1693 fl. 42 kr. miesięcznie, czyli rocznie 20.324 fl. 24 kr. Z tego przeznaczano dla opata 2000 fl., a dla 19 członków 18.324 fl. 24 kr., czyli po 964 fl. 26 kr. na głowę.

To wysokie wsparcie uzasadniała kancelarya nadworna tym argumentem, że pięciu członków konwentu było profesorami teologii w Krakowie, więc nie można im dać niższej pensyi, skoro najmłodszy profesor przy uniwersytecie krakowskim, pobiera 800 fl. Czterej inni, którzy byli przy gimnazyum profesorami, mogliby otrzymać pensyę, jaką pobiera najniższy gimnazyalny nauczyciel w Krakowie. Co do reszty, to należałoby im dać przynajmniej po 500 fl., skoro N. Pan naznaczył wychowańcom z Galicyi, kończącym wiedeński konwikt 500 fl. rocznej pensyi *(den aus dem Wiener Konwikte austretenden galizischen Zöglingen)*.

Na tę propozycyę kancelaryi zgodził się cesarz Franciszek i położył na marginesie przedłożenia własnoręczny podpis, wszelako kazał polecić gubernatorowi galicyjskiemu, żeby jak najśpieszniej nadesłał propozycyę, na coby można użyć szwabskiego konwentu [1].

Kwestya zatrzymania tego konwentu w Galicyi obchodziła bardzo gorąco nadwornego komisarza hr. Wurmser, który miał zadanie regulowania spraw granicznych z Księstwem Warszawskiem. Już poprzedniego roku podał myśl hofratowi Kortum, który tymczasowo stał na czele galicyjskiego gubernium, że możnaby szwabski konwent przenieść do Lwowa i tam powierzyć mu wszystkie katedry teologiczne, oraz urzędy nauczycieli

[1] Arch. M. W. i O. Acta cit. Sign. 43 ex Decembri 1810. Vortrag d. ver. Hofkanzley 1 März 1810. 771. Z. 8730—738. Dekret an d. galizische Landestelle. Wien 28 Juni 1810. Ref. Aug. Gruber,

przy gimnazyum. Kortum wysłał też już w lutym 1810 sprawozdanie *(Bericht)*, w którem myśl tę przedłożył nadwornej kancelaryi, wypowiadając przytem to przekonanie, że liczna młodzież gimnazyalna otrzyma pod ich kierunkiem należytą postać *(die entsprechende Gestalt)*, a liczni słuchacze teologii dostarczą im obszernego pola do działania. Również zwracał uwagę na to, że działalność ich przez niemieckie kazania wpłynie dobrze na Niemców i wielką liczbę urzędników niemieckich we Lwowie.

Ta propozycya nie podobała się jednak we Wiedniu i już w dekrecie z 28 czerwca 1810 r. odpowiedziano, że nie można Benedyktynom powierzyć wszystkich katedr teologicznych i gimnazyalnych we Lwowie, ponieważ przez to zamknęłoby się drogę do urzędów tym wszystkim godnym mężom, którzy stracili posady, przez utratę prowincyi (tj. Zachodniej Galicyi) i odjęłoby się wszelkie widoki na katedry „dźwigającemu się klerowi ormiańskiego i greckiego obrządku“. Zresztą do duszpasterstwa nie mogą być Benedyktyni użyci, dlatego że konwent ich nie posiada żadnej osobistości *(Inviduum)*, któraby znała język krajowy.

Mimo tej odmownej odpowiedzi, zażądał nowy gubernator galicyjski hr. Gons jeszcze raz opinii hr. Wurmser. — Tenże przesłuchał ponownie opata Kecka, ale otrzymał od niego odpowiedź „w tonie najpiękniejszej skromności i wdzięczności“, lecz stanowczą, że ani on sam, ani członkowie konwentu nie chcą już nadal istnieć w Galicyi jako zakonne zgromadzenie, a przedewszystkiem nie chcą wyprzeć żadnego innego konwentu i zająć cudzej własności.

Mimo to przeważyło w gubernium galicyjskiem zdanie hofrata Kortum, które sam hr. Gons podzielał, że trzeba koniecznie konwent szwabski Benedyktynów przenieść do Lwowa i osadzić w klasztorze Dominikanów, dlatego że przesiedlenie do Lwowa tego zgromadzenia duchownego, „w którem panuje duch nauki, obyczajności i pożytecznej pracy“, przyjęte będzie przez wielką część mieszkańców Lwowa z wielką wdzięcznością.

Prawda, że opat jest zrażony przykrościami, których w Kra-

kowie doświadczył, ale możnaby mu wytłumaczyć, że we Lwowie panują innne stosunki, jak w Krakowie, że otaczany będzie opieką rządu i trzech arcybiskupów, którzy są wierni zwolennicy *(treue Anhänger)* austryackiego rządu i roztropni opiekunowie nauk. Ponieważ zaś ludność Lwowa składa się w dwóch trzecich z prawowitych niemieckich obywateli *(zwei dritteln rechtlich gesinnten deutschen Bürgern)* przeto konwent może się spodziewać pożytecznego przyrostu. Co zaś do skrupułu, jaki jeszcze ma opat, że nie chciałby ponownie wyrugować innych zakonników, to nadmienił p. gubernanator, że Dominikanie, którzy będą musieli ustąpić, nie cieszą się nawet u ludu wielkiem znaczeniem *(selbst bei dem Volke in keinem Ansehen stehen)*.

To przedstawienie *(Bericht)* gubernatora oddano do referatu hofratowi Augustynowi Gruber, o którym już wiemy, że nie podzielał zapału, z jakim się pierwej wyrażał o szwabskich Benedyktynach Dankesreither, bo, umyślnie pojechawszy do Krakowa i Tyńca, inne powziął przekonanie [1]. Dlatego w przedłożeniu swojem doszedł do wręcz odmiennych wniosków.

Nadworna kancelarya uznaje trafność wywodów hr. Wurmser i hr. Gons, zwłaszcza że zabranie majątku Dominikanom we Lwowie „bardzoby pożądany dodatek przyniosło celom finansowym", wszelako, nie ubliżając nic zasługom niemieckich Benedyktynów, nie może mieć pewności, czyby ten konwent, przy obecnym swoim składzie, mógł spełnić wszystkie pokładane w nim nadzieje.

Tymczasem z autopsyi wiadomo referentowi, że z pomiędzy pięciu profesorów teologii w Krakowie było dwóch szczególnie się wyróżniających; dwaj byli dobrymi nauczycielami swojego przedmiotu *(brave Lehrer ihres Faches)*, (o piątym nic nie mówi); czterej nauczyciele gimnazyalni okazywali chęci i zdolności wykształcenia się z czasem na zręcznych nauczycieli; dwaj najmłodsi księża w Tyńcu rokowali dobre nadzieje, ale po klery-

[1] Arch. M. W. i O. Acta 102. Generalia F. Sign. 46 ex Octobri 1812. Reiserelation Hofr. Gruber. Wien 2 Mai 1810. Zur Sitzung 14 März 1812.

kach mniej się można spodziewać, dlatego że dwaj z nich mało zdradzali zdolności, a studyum domowe w Tyńcu miało tylko jednego profesora, który uczył i filozofii i teologii, a był nim jeden z owych młodszych księży. W Krakowie będący profesorowie teologii pełnili też obowiązki kaznodziejów przy kościele św. Anny i chwalono ich, że dobrze nauczają *(hatten das Lob eines richtigen Unterrichts)*, wszelako żaden nie uchodził za doskonałego kaznodzieję.

Dlatego, nie ujmując nic ich znakomitym przymiotom, nie można jednak uznać, żeby mogli odpowiedzieć nadzwyczajnym nadziejom, pokładanym w ich przesiedleniu do Lwowa. Jeśli obecni już nie potrafią zastąpić doskonalszych pomiędzy profesorami, to cóż dopiero mówić o kandydatach, którychby dopiero we Lwowie zyskać mogli, zwłaszcza, że obecny duch czasu nie będzie zachęcał zdolniejszej młodzieży, aby wstępowała do niemieckiego zakonu.

Zachodzi przytem jeszcze i ta okoliczność, że opat stanowczo oświadczał, że nie życzy sobie tego, aby w Galicyi po drugi raz odżył jego konwent, nie chce więc być ani połączony z innym konwentem, ani też wyprzeć z posiadłości innych zakonników. Wyrażał wprawdzie w obydwóch odpowiedziach swoje poddanie się na wolę cesarza, ale wbrew woli przymuszać go nie można, bo i we Lwowie czekałyby Benedyktynów przeciwności, a wtedy, niechętnie tam poszedłszy, jeszczeby prędzej stracili chęć do pracy.

Z tych przyczyn postawiła kancelarya wniosek, żeby N. Pan rozwiązał to zgromadzenie. Pojedynczych członków zdolniejszych możnaby użyć za profesorów we Lwowie, innym zaś polecić odprawianie tamże niemieckiego nabożeństwa. Tym końcem możnaby skasować klasztor Dominikanów we Lwowie, a dochody jego, które wynoszą 3468 fl. 53 kr. rocznie, zabrać na rzecz funduszu religijnego. Z dochodów tych możnaby utrzymać kilku Benedyktynów, którzyby kościół po-dominikański obsługiwali.

Tymczasem zaś należałoby im wypłacić to, co im się jeszcze od skarbu należy tj. 9545 fl. 40 kr., a opatowi dać wynagro-

dzenia 3.000 fl. z kapitałów dawniejszych *(Stiftungsfond)*, które leżą we Lwowie.

Propozycyę tę przyjął i dał na niej własnoręczny podpis cesarz Franciszek, a dekret ogłaszający zniesienie konwentu szwabskich Benedyktynów odszedł 6 grudnia 1810 r. do Lwowa [1].

Dekret ten cesarski, rozwiązujący konwent szwabskich Benedyktynów, przychodził jednak już poniewczasie, bo po prawdzie już tenże nie istniał, a członkowie jego już przedtem luzem chodzili. Pierwszy wyniósł się z Kalwaryi kleryk Kaźmirz Wurzinger i już 22 października t. r. (1810) wstąpił do opactwa Altenburg. W ślad za nim poszedł były kuchmistrz w Tyńcu Benedykt Humel, który z dwoma klerykami Ferdynandem Schiele i Stanisławem Baumeister wstąpił już 29 października t. r. do opactwa w Götweig. Tego też roku, już od 1 listopada, objął katedrę dogmatyki w seminaryum duchownem w Linzu, były profesor tego przedmiotu w Krakowie, Grzegorz Ziegler, a niebawem poszli w jego ślady inni profesorowie krakowscy. Roman Zängerle został profesorem przy uniwersytecie w Pradze, Herman Reismüller w Grazu, a Marcin Altegger w Ołomuńcu, gdzie także nauczyciel religii dla uczniów filozofii Wiktor Locher takie samo otrzymał zajęcie. Czterech wstąpiło do opactwa Benedyktynów szkockich *(Schotten)* w Wiedniu, tj. trzej nauczyciele gimnazyalni: Henryk Enderle, Konrad Luttinger i Ulryk Meisterle, a jako czwarty poszedł z nimi b. nauczyciel szkoły normalnej w Tyńcu, Kolumban Daigele. Jeden tylko z 6 profesorów teologii, Pius Rieger, który w Krakowie wykładał historyę kościelną, pozostał w Galicyi i osiadł w Tuchowie przy ekspozyturze. Tam też mianowany został administratorem probostwa, były prowizor opactwa tynieckiego, Bernard Ganther. Ostatni opuścił Galicyę magister nowicyuszów Celestyn Keppler, który razem z trzema klerykami: Zygmuntem Lohr, Adryanem Huber

[1] Arch. M. W. i O. Acta cit. Sign. 43 ex Decembri 1810. Vortrag d. ver. Hofkanzley 24 November 1810. „Wegen fernerer Verwendung der deutschen Benediktiner Gemeinde von Tyniec". Dekret an d. galiz. Gubernium 6 December 1810. Die Auflösung der Tyniecer Stiftsgemeinde betref. Z. 17.527—1550.

i Wernerem Daghofer przyjęty został 11 listopada 1811 r. do opactwa Admont w Styryi.

Wszyscy opatrzeni byli w bardzo przyzwoite pensye i likwidowali sobie znaczne koszta podróży, tak że nawet niektórzy więcej dostali, niż się należało. Dawano im też jednorazową odprawę i to bardzo znaczną. Tak np. profesor Pius Rieger, który osiadł w Tuchowie, otrzymał 4000 fl. jednorazowej odprawy *(Abfertigung)*, a następnie wypłacano mu pensyę w Tuchowie, licząc od 1 maja 1811 [1].

Opat szwabskiego konwentu Ulryk Keck pobrał do końca października 1812 r. znaczną sumę, bo 16.725 fl. B. Z. (w bankocetlach) a żądał jeszcze 833 fl. 20 kr., przyczem koszta podróży osobno miał wynagrodzone. We Wiedniu jednak okrojono jego pretensye i dano tylko 283 fl. 20 kr. B. Z.

Opat ten mianowany został przez cesarza kanonikiem gremialnym kapituły w W. Waradynie i tam umarł r. 1816. Wtedy pokazało się, że, uchodząc z Tyńca, zabrał ze sobą sreber i precyozów wartości szacunkowej 2532 fl. 43 kr. M. C. (monety konwencyjnej). Polscy Benedyktyni, którzy pozostali w Tyńcu, przypuszczali widocznie, że odda to co zabrał, bo dopiero na wieść o jego śmierci, uwiadomił o tem O. Tomaniewicz naczelnika powiatu bocheńskiego, barona Bauma. Baum wysłał natychmiast wezwanie do kapituły w W. Waradynie, żeby oddała te srebra, do których ani kapituła, ani spadkobiercy nie mogli rościć żadnych pretensyj. Wszelako kapituła zbyła to wezwanie milczeniem. Nadworna kancelarya przesłała następnie 13 lutego 1817 r. notę do kancelaryi węgierskiej, żeby kapitule nakazała wydanie tych sreber: nic jednak nie wiemy, czy ten nakaz przyniósł jaki rezultat. Zdaje się, że na Węgrzech, gdzie jeszcze wówczas język łaciński powszechnie panował, trzymano się zasady: *beati possidentes*.

Ten opat, który miał nietylko tynieckie, ale i dwa inne

[1] Arch. M. W. i O. Acta cit. Sign. 26 ex Maio 1613. Bericht der k. k. Staatsbuchhaltung in Stiftssachen an die vereinigte Hofkanzley. Wien 5 Hornung 1813. Z. 18.478—2044. Dekret an das galiz. Landesgubernium. Wien 6 Mai 1813.

benedyktyńskie opactwa polskie „przyprowadzić do należytego ładu i karności“, który tyle narzekał, w prośbach, do gubernatora i do cesarza wysyłanych, na ucisk doznany ze strony Polaków; na ich zdzierstwa, które go pozbawiły ostatniego kawałka chleba; na szykany i groźby ze strony polskich braci w opactwie: umierał, zostawiając „zabrane“ z Tyńca srebra i bardzo znaczny majątek *(ein sehr bedeutendes Vermögen)*.

Natomiast z pewnością to powiedzieć możemy, że Benedyktyni polscy, którzy byli przezeń wygnani z opactwa, nie „zabrali“ nic ze sobą. Ci zaś polscy Benedyktyni, którzy przetrwali połączenie ze szwabskim konwentem i po jego ucieczce w Tyńcu pozostali, żyli w niedostatku, ale żyć pragnęli, aż i dla nich wybiła ostatnia godzina.

(Dok. nast.).

Ks. Wł. Chotkowski.

NIEBO NOCNE A DZIENNE.

Dies diei eructat verbum, et nox nocti indicat scientiam.

Jak cudnie niebo, w pięknej nocy letniej, iskrzy się gwiazdami! Jedne większe, drugie mniejsze, inne ledwo widzialne. Im więcej patrzymy, tem ich widzimy więcej; a domyślamy się, że są nieprzeliczone. Palą się gdzieś wysoko, jakby same dla siebie; jednak promyki swego blasku ślą aż do nas.

Czego chcą te gwiazdy? Co mówią do nas, tym językiem symbolizmu, którego pełna być musi natura? Przecież i w dziełach człowieka, w jego poezyi, budowlach, szukasz symbolu, który mistrz w nich zamknął; Dante cię do tego raz po raz wyraźnie wzywa — a miałżebyś wątpić o symbolizmie wielkiego dzieła Arcymistrza? Natura opowiada swego Twórcę, nie tylko jak naukowa księga, ale także jak poemat — więc pewnie posługuje się symbolem.

Czemże są tedy gwiazdy w tym symbolizmie wszechświata? Niebo widzialne jest niezaprzeczenie symbolem nieba duchowego. Jedno od drugiego zapożycza nazwy, we wszystkich językach. Gwiazdy na niebie muszą więc oznaczać coś, co jest i w tamtem niebie, co jest jego ozdobą, czego jest tam wiele... Cóż, jeśli nie błogosławionych w niebieskiej ojczyźnie? Gwiazdy te istotnie mówią nam jak święci są piękni — jak są wysoko — jak niezliczony jest ich poczet — w jakim pokoju płoną i świecą

Panu — jak różni są wielkością i blaskiem, a jednak wszyscy wielcy i wszyscy jaśni.

Między symbolami i podobieństwami, jakie dawni pisarze duchowni upatrywali w pewnych zjawiskach przyrody, są i takie, które przy bliższem poznaniu natury rozwiały się, jako na mylnem oparte przypuszczeniu. Ale postępy nauki nie umniejszyły wcale, owszem spotęgowały jeszcze ten symbolizm gwiazd — i to za prawdziwością jego przemawia. Starzy przypuszczali, że gwiazdy obiegają naokoło ziemi; mówiąc o ich wielkości, nieśmiało nadmieniali, że niektóre z nich dorównują podobno kuli ziemskiej [1]; dziś wiemy, że są to światy tak wielkie, iż wobec nich planeta nasza jest ziarnkiem piasku — rozsiane po przestrzeni nieskończenie liczniej niż je oko dostrzega — palące się, podobnie jak nasze słońce, ogromnym żarem i światłem. A choć są od nas tak niezmiernie daleko, jednak przesyłają nam coś światła — teleskop dostrzega ich nieprzeliczone roiska, nawet w tych miejscach, gdzie oko nic nie widzi; i udzielają nam także coś ciepła — co najnowsze udoskonalenia w mierzeniu ciepłoty ocenić pozwoliły.

Tak poznane gwiażdy nierównie więcej nam mówią o wielkości i piękności świętych (aniołów i ludzi) — o ich mnóstwie, przechodzącem wszelkie nasze wyobrażenie — o ogromie światła, jakiem się cieszą, i miłości, jaką płoną Bogu — nie przestając przytem i na ziemię wpływ jakiś wywierać.

A gdzież jest Bóg w tem niebie? Czemuż, patrząc na te miriady gwiazd na firmamencie, nie widzę w pośrodku nich czegoś, coby mi przedstawiało tron Boga między świętymi... Czemu? Bo Bóg nie ma innego tronu w niebie, jak właśnie świętych; nie mieszka gdzieś poza nimi, ale w nich — tem mieszkaniem, które ubłogosławia. Ten ogień bezmierny, którym płoną duchowe gwiazdy, to jest Bóg światłości i miłości, w nich obecny. Każdy z błogosławionych czuje i widzi Boga w sobie, i kocha go w sobie — a następnie widzi go i kocha w drugich: bo i między

[1] Lessius. *De perf. div.*

owemi gwiazdami jest promienienie i przyciąganie się wzajemne.

Tak, tajemniczo, lecz zrozumiale, „noc nocy podaje znajomość".

Niebo dzienne uzupełnia nam tę lekcyę o wiekuistem niebie — a przemawia głośniej. „Dzień dniowi opowiada słowo".

Słońce w dzień takim blaskiem świeci na niebie, że gwiazd żadnych nie widać: Bóg sam jest tak dalece całą istotą szczęścia duszy uwielbionej, tak doskonale ją wypełnia i zachwyca, że, czy są inne stworzenia na ziemi i w niebie, czy ich niema, to istotnie szczęścia jej nie powiększa ni zmniejsza. Nie żeby się nie cieszyła szczęściem drugich, ale że to szczęście dodatkowe znajduje ją już napełnioną szczęściem z posiadania Boga. Jest więc i to prawdą, co nam wskazywała noc: że niebo jest roiskiem świętych, „świecących jako gwiazdy we wieczne wieki" — i to jest prawdą, co nam głosi dzień: że niebo jest posiadaniem samego Boga, który, jak słońce, zalewa duszę światłem i żarem.

Słońce zawsze było dla ludzkości symbolem Boga, symbolem tak doskonałym, że prędzej czy później identyfikowało się u pogan z Bóstwem — i jeżeli jakie można bałwochwalstwo wyrozumieć, to chyba kult słońca. Słońce daje ludziom i zwierzętom światło, które je cieszy, ciepło, które krzepi; i rośliny pną się ku słońcu, i zwracają do niego swe wonne kielichy. Słońce jest też źródłem wszelkiej piękności na ziemi: ono ubiera barwnie kwiaty, owady, ptaszki; ono rzeczy nawet martwe — skały, potoki, morza — jakby życiem opromienia; lazur i obłoki cudnie, codzień inaczej, maluje. Gdy się zaś kryje za mgłą, lub pod widnokręgiem, wszystko traci krasę, smutnieje, zdaje się zanurzać w chaosie.

A cała ta dobroczynna, wszystkim udzielająca się hojność słońca przedstawia się ludziom jakby nieprzebrana, niewyczerpana — w czem jest najbardziej do Boskiej podobna. „Słońce — mówi ślicznie św. Franciszek Salezy — niemniej patrzy na różę

razem z tysiącem milionów innych kwiatów, aniżeliby patrzało na nią jedną tylko. A Bóg nie mniej kocha jedną duszę, choć ich nieprzeliczone mnóstwo w miłości swej ogarnia, jak gdyby tę jedną tylko kochał; moc jego miłości nie umniejsza się przez mnóstwo promieni, jakie wypuszcza, ale zostaje zawsze pełną swej niezmierności“ [1].

Takiem przedstawiało się słońce rodowi ludzkiemu od niepamiętnych czasów; ale postępy dzisiejsze nauk przyrodniczych i tu nie tylko nie obalają owego symbolizmu, lecz pomnażają jego podstawy i pogłębiają coraz więcej. Starzy wyobrażali sobie słońce jako krążące naokoło ziemi; dziś wiemy — co nierównie wierniej głosi nam Boga — że słońce jest centrem, naokoło którego grawituje ziemia. Wiemy dziś, że słońce zawsze jednakowo promienieje, a że my, gdy się zwracamy ku niemu, kąpiemy się w oceanie jego światła i ciepła, kiedy się zaś odwracamy, pogrążamy się w nocy i zimnie. O wielkości tego słońca, o ogromie jego gorąca, o ilości światła i ciepła, jaką rozpuszcza w przestrzeni, daje nam nauka takie cyfry, jakich starzy ani wyobrazić sobie nie mogli. Starzy przypuszczali na domysł, że słońce przyczynia się jakoś do rodzenia kwiatów; dziś wiemy najdokładniej, że nie tylko światło i ciepło, ale i energia chemiczna, która buduje i organizuje rośliny, od słońca pochodzi; a niemniej siła, którą zwierzęta się poruszają. W naszych własnych muszkułach nagromadza się zasób energii, którą promienie słońca w roślinach złożyły, i która przez karmienie się w nasz organizm wchodzi; a ile razy ręką lub nogą ruszamy, tyle razy z tego zasobu czerpiemy. — Kiedy wreszcie nauką i wynalazkami naszemi wytworzyć chcemy jakieś surrogaty lub uzupełnienia tego, co nam słońce daje, kiedy drzewem lub węglem hojniej się ogrzewamy, przyrządzamy lepiej pokarmy, puszczamy w bieg maszyny, które wyręczają słabość naszych rąk, lub powolność nóg, wtedy jeszcze dobywamy tylko energię, którą słońce wkłada wciąż w drzewa, albo którą przed setkami wieków włożyło w węgle.

---

[1] *Traité de l'Amour de Dieu*, l. X, c. 13.

Słońce, powiedzieć można, jest powszechnem źródłem siły żywotnej na planecie.

To wszystko bądź co bądź przedstawia nam tylko Boga takim, jakim się tu na ziemi objawia. A czy nic nie powie nam słońce o Bogu, jakim jest w niebie? — Owszem; podnieś oczy, i patrz, nie na odblaski słońca w dole, ale wprost na słońce promieniejące na niebie... Nie możesz patrzyć? Nie dziwuj się — bo: ani oko nie widziało, ani w serce ludzkie wstąpić nie może, czem Bóg jest i jakim się okaże tam.

Ks. Maryan Morawski.

Zakopane, 3 sierpnia 1900.

JACINTO VERDAGUER.

SZKIC Z DZIEJÓW ODRODZENIA LITERATURY KATALOŃSKIEJ.

(Dokończenie).

IV.

„Od czasów Miltona *(Paradise lost)* i Lamartine'a *(Chute d'un ange)*, pisał w roku 1877 Mistral do Verdaguera, nie przedstawił nikt prastarych tradycyj świata tak wspaniale i tak silnie. Twój pyszny utwór wywołuje we mnie podobne wrażenia, jak owe szkielety, które górnicy w wnętrznościach ziemi napotykają a które... odtwarzają nam tajnie przyrody, pogrążonej w falach potopu. Pojęcie Atlantydy jest olbrzymie, a wykonanie świetne. Katalonia nie wydała dotąd dzieła, któreby zawierało w sobie tyle poezyi, tyle majestatu, wielkości, siły i naukowej treści".

Ten sąd prowansalskiego poety jest szczególniej w pierwszej swej części nader trafny. Cztery a raczej trzy pierwiastki: religijny, mityczny pogański i historyczny, różniące się między sobą rzeczową prawdą i rozdzielone długą przestrzenią czasu, powiązała ręka genialnego artysty w harmonijną całość, zdolną wywołać owe wrażenia, o których wspomina Mistral.

Niejednego zadziwi wmieszanie pierwiastku mitycznego; możnaby pomyśleć, że autor, obeznany z dawną literaturą romańskich narodów, wziął z nich przeważnie to, co tworzyło ich słabą stronę. Tymczasem tak nie jest. Wciągnięcie w tok poematu dawnych mitów, a nawet przyznanie im wybitnego miejsca stworzyło obrazy o dantejskiej grozie i zarazem idylicznej pię-

kności. Pomija Verdaguer, jak słusznie zauważył jeden z krytyków, dzieje greckie Herkulesa; bohaterem w Atlantydzie staje się on z chwilą, w której zwalczał olbrzymów Prowansyi i wyratował Pyrenę z olbrzymiego, ręką wroga rozżarzonego ognia.

Pomija w Herkulesie wszystko, co spaczyły w nim tak często wieki średnie; zapomniał o słabych i śmiesznych przymiotach, jakie mu przypisywali rozmaici mniej wybitni pisarze, trawestując jedynie olbrzymią postać greckiego pół-boga. Patrzy się na swego bohatera, jak się patrzały na niego czasy humanizmu i jak jeszcze dzisiaj oceniają go wszyscy, którzy potrafią pojąć i zrozumieć całą artystyczną piękność dawnych baśni i opowieści. Herkules jest w Atlantydzie najpiękniejszym wykwitem i utworem klasycznej starożytności, ideałem piękności fizycznej i moralnej wielkości, któremu słusznie przypisywano tyle i tak wielkich czynów, i który nam jawnie uwidacznia tę prawdę, że i dawni Grecy poza pięknością ciała, znali i czuli jeszcze piękność duszy.

Lecz jak u starych Greków i humanistów wszystkie postacie mitologii były zarazem symbolami i alegoryami, bądźto starych, w przeciągu wieków częściowo zaginionych tradycyj religijnych, bądź też rozmaitych zjawisk życiowych, tak i dla Verdaguera jest Herkules nietylko postacią fantastyczną i w świecie ułudy swój żywot jedynie wiodącą, lecz zarazem i symbolem owej potężnej siły przyrody, która pod światłem kierownictwem Opatrzności zatapia w morzu i niszczy ogniem lądy, aby nowe, piękniejsze i bardziej celowi swemu odpowiadające z głębin morskich wynieść i nowym przepychem ubrać. Nadawszy tak w granicach dozwolonych greckiemn bohaterowi trochę barw chrześcijańskich a raczej religijnych, poszedł Verdaguer jeszcze dalej.

Katastrofa niszcząca Atlantydę a budująca nowy ogród Hesperyd musiała mimowoli przywieść na pamięć z księgi rodzaju opis potopu i ludzi ówczesnych, o których powiada pismo św., że byli olbrzymami wylanymi na wszelkie zło i rozpustę. Tak więc nasunęła się myśl o stworzeniu olbrzymów-Atlantydów walczących przeciw Bogu, który miał ich zgnieść i na przykład

surowej sprawiedliwości potomnym przekazać; tym sposobem stara baśń połączyła się znowu z najstarszemi podaniami rodzaju ludzkiego. Ale poeta jakby się lękał, aby ten bohater od Bogamściciela dla ukarania świata posłany, niszczący bez nadzwyczajnych wysiłków swych wrogów, nie przeraził nas swoją ponurą wielkością i swojem pasłannictwem zemsty i gniewu, wprowadza jeszcze miłość Herkulesa względem Hesperis. Nie chciał on wprawdzie przedstawić nam romansu w swym początku i rozwoju, z wszelkiemi przeszkodami i szczęśliwem zakończeniem — nie! chodziło mu o całkiem co innego. Wyrwanie Hesperis z rąk Atlantydów czyhających na jej cześć i z pośród rozszalałych wód morskich, było tylko nicią, pozwalającą mu połączyć upadek i zagładę Atlantydy z powstaniem i początkami Hiszpanii. W ten sposób w owe grozą tchnące obrazy i opisy wchodzi wdzięczny pierwiastek, rzucający lekkie światło na postać Herkulesa, który przedstawia się nam już więcej po ludzku i dodatnio i pokazuje się jako ten, który powoduje powstanie i wzrost ojczyzny poety.

Zaprzeczyć jednak nie można a i nie potrzeba, że główną rolę w życiu Herkulesa odgrywa jego posłannictwo, jako mściciela i narzędzia gniewu Bożego. Ten rys charakterystyczny tak się uwydatnia, że jest on może nawet częściowo błędnym, bo prawie nie ma już miejsca dla litości i przebaczenia. Ale też przyznać musimy, że Verdaguer potrafił umotywować to pojęcie swego bohatera. Zdziczenie obyczajów, zbrodnie, występki, które wywołują straszną katastrofę przedstawione krótko ale nadzwyczaj silnie, a chociaż w tem przedstawieniu złego nigdzie moralnego uczucia nie obraził i potrafił uniknąć wszystkiego, coby niewinne serca zatruć mogło, nie mniej jasno i dobitnie występuje fakt, że jest to kara za grzechy i sąd surowej sprawiedliwości. A tak daleko sąd ten idzie, że kiedy przerażony Herkules lęka się skutecznej działalności, to mimowoli musi szerzyć dzieło zniszczenia i zgubie zapobiedz nie potrafi.

Sąd ten poeta poważnie i religijnie maluje. Kiedy przedstawia anioła zemsty zagrzewającego zwątpiałego bohatera do pełnienia woli Bożej, lub też samego Boga, jak wylicza zbrodnie ludzi

zawsze skłania się z pokorą przed tą potęgą i sprawiedliwością, którą żąda zadośćuczynienia. A mimo tego wszystkiego nie moralizuje, jakby się tego może ktoś spodziewał, nie zapomina ani na chwilę, że jest artystą, a nie ascetą. Naukę moralną wkłada w samo dzieło, wkłada ją w czyny i w ich przedstawienie.

Potrafił zresztą uniknąć tu wielkiego błędu, jakiego się niestety zbyt często nie wystrzegają nowsi pisarze. Surową postać Boga pozostawia zawsze zdaleka przysłonioną mgłą tajemniczości; nie stawia Go nam przed oczy, nie maluje Jego własności, jednem słowem nie bierze Go za bohatera, tak dalece, że nawet Herkules, który jest Jego posłem i Jego wolę pełni, nie poznaje Go zupełnie jasno, raczej przeczuwa Go tylko i buduje koło Gadesu ołtarz „nieznanemu Bogu".

Jakież jest wykończenie utworu? Co się tyczy zewnętrznej formy, musimy ją nazwać szczęśliwą. Już liryczne ustępy, które bieg Atlantydy przerywają, robia ją — jak trafnie mówi Baumgartner — podobną raczej do średniowiecznego cyklu romansów, jak do klasycznej epopei.

Główna, choć wcale nie jedyna piękność utworu polega na wspaniałych opisach, pełnych życia, siły, natchnienia, prawdziwej poezyi. Czy nam maluje przerażającemi barwami pożar Pirenei, czy idyliczną piękność ogrodu Hesperyd, czy chór wynurzających się z toni i oddających Grecyi pokłon wysp, czy wreszcie całkowitą zagładę Atlantydy, zawsze pozostaje wybitnym artystą, umiejącym i tymi opisami ożywić akcyę i dodać jej dużo dramatycznego żywiołu. A często porzuca zwykłą formę i zmienia metr, tak np. w opisach greckich wysp, w baladzie o Malorce i wielu innych ustępach. Uniknął przez to jednostajności, której na prawdę w utworze tym trudno było uniknąć, a ujmując poemat swój niby w ramy, w powieść o uratowaniu i wyprawie Kolumba, dał mu tyle interesu i nowego poloru, że musiał wielkie tem wszystkiem wywołać wrażenie.

Jeżeli jednak główną piękność utworu zasadzamy na barwnych i uroczych opisach, nie znaczy to bynajmniej, że dziełu brak na akcyi. Verdaguer był w Atlantydzie prawdziwym poetą a utwór swój tak potrafił przerobić, tyle mu nadał cie-

płego kolorytu i fantazyi, tak umiejętnie umieścił mit obok historyi i nauki chrześcijańskiej, że naprawdę stworzył utwór niezwykły.

Prawda! akcya pozostawia dużo do życzenia. W czwartej np. pieśni najpiękniejszej z całego poematu, postępuje akcya bardzo wolno, i dopiero po czterech śpiewach, a więc w ósmym jesteśmy świadkami jak Śródziemne morze, wylewające swe fale przez otwartą Gibraltarską cieśninę, zatapia Atlantydę. W tym samym czasie ogranicza się działalność Herkulesa do uratowania Hesperis i do śmierci Geryona, trochę za mało dla czasu tak długiego. A i Herkules sam a z nim Hesperis i Geryon i Atlantydzi nie są wyraźnie naszkicowani. Pochodzi to stąd, że jak Fastenrath mówi, jest Atlantyda poematem kosmogonicznym, w którym element ludzki olbrzymie przyjmuje formy, i w którem widzimy w czynności siły przyrody raczej jak ludzkie.

A jednak Atlantyda porywa, kto się w nią wczyta, oderwać się nie może. Składa się na to i bogactwo obrazów, i piękność języka, nad którym i poza Hiszpanią uczeni studya osobne odprawiają[1], i wdzięk rytmu, i polot wyobraźni, lecz jeszcze co innego.

Verdaguera pojęcie duchów opiekuńczych i aniołów, i samego Boga-Sędziego, przedstawienie olbrzymiego ludzkiego rodu, żywe i pełne ognia naszkicowanie potęg przyrody i ich destrukcyjnej działalności, złożyły się na widoczny prawie obraz strasznej katastrofy. A chociaż te obrazy, z zamierzchłej przeszłości wywołane, nie mogą mieć tej jasności, jakąby posiadały zajmując się więcej ku nam zbliżonemi zdarzeniami, i dlatego nie na każdego wrażenie uczynić potrafią, to jednak umiała siła twórcza Verdaguera, gromadząc fakta i zjawiska, rzecz całą przystępną uczynić i porwać czytelnika w nowy, niesłychanie piękny świat ułudy, tak niestety różniący się od wrażeń, jakie dzisiaj pisarze w sercu i wyobraźni wywoływać zwykli.

Stąd też słusznie chyba powiedział Fastenrath, że Atlan-

---

[1] Porównaj np. Vogel, *Die Rhytmik der Atlántida* w *Neucatalonische Studien.*

tyda jest najbardziej poetycznem i najpotężniejszem dziełem literatury katalońskiej, jedynem hiszpańskiem eposem wieku. Wielka i głęboka w obmyśleniu, w przeprowadzeniu wspaniała, lśniąca wszelkiemi barwami w obrazach i opisach, przerażająca tragicznością kary i surowością sprawiedliwości, pozostanie ona na zawsze słupem granicznym w literaturze katalońskiej „między dawnemi a młodszemi laty".

V.

Atlantyda, jakeśmy wyżej wspomnieli, nie zaćmiła innych, prawie już czysto lirycznych utworów poety, z których niektóre powstały jeszcze w seminaryum we Vich. Drobne te poezye nie zadawalniały Verdaguera, nie chciał ich też wydać i zaledwie namowy przyjaciół zdołały go nakłonić, że po długim namyśle wydrukował te pieśni. Że i liryka jego odznacza się wielu przymiotami, świadczy o tem fakt, iż pominąwszy już inne odznaczenia, otrzymał na jubileuszowych uroczystościach w Montserrat honorową nagrodę, złotą i srebrną cytrę, za „Legendę o Montserrat". Utwory liryczne poety zadowolniły nie tylko niewykształconą publiczność, ale wprawiły w zdumienie uczonych i krytyków. I tak np. członek królewskiej akademii w Madrycie Menendez Pelayo stawia trochę przesadnie jego *Idilis y Cants místichs* ponad Atlantydę, podziwia w nich siłę natchnienia, wytworność formy i potęgę idei, dodając, że i najwybitniejszy pisarz hiszpański mógłby się spokojnie pod jakimkolwiek utworem Verdaguera podpisać a sława jego nie tylko nicby nie straciła, ale owszem bardzo wiele zyskała.

Liryczne poezye Verdaguera są przeważnie treści religijnej. Tłumaczy się to częściowo jego charakterem duchownym, ale zarazem i prądem ogólnym, który cały kierunek literacki katalońskiego ożywia i wyodrębnia. Najwybitniejsi poeci katalońscy wybierają z pewnem zamiłowaniem za temat swych wierszy i pieśni legendy i zdarzenia z życia Chrystusa Pana, sławią Świętą Dziewicę z Monserrat, śpiewają z uczuciem nacechowanem szlachetną miłością o Świętych i o Kościele a niektórzy z nich, jak np. Wiktor Balaguer, sami nadają sobie nazwę *Tro-*

vador de Montserrat. I często, bardzo często zdarzało się, że na igrzyskach kwiatowych pomijano wdzięczne utwory miłosne, patryotyczne lub elegijne a wynagradzano albo legendę o Matce z Montserrat albo jakikolwiek inny wiersz na tle chrześcijańskiem.

Trudno wyliczać tytuły wszystkich lirycznych utworów Verdaguera; podamy przynajmniej najważniejsze: *Canigó* (jeden z szczytów wschodnich Pirenei), *Idilis y Cants mistichs, Llegenda de Montserrat, Cansons de Montserrat, Lo somni de Sant Ioan, Nazareth, Cántichs religiosos, Flors del Calvari* i inne.

Znajdujemy w tych wierszach nader często poezye zatytułowane: „Do Dziewicy na Górze", „Do Dziewicy z Monserrat", „Do Królowej na Górze", „Do Królowej z Montserrat" i tym podobne. Cześć oddawana Matce Najświętszej znalazła silne echo w poezyi katalońskiej a przyznać potrzeba, że utwory opiewające Najświętszą Pannę, a przedewszystkiem patronkę z Montseratu, należą do najlepszych Verdaguera i literatury katalońskiej. Okoliczność ta wpłynęła nader dodatnio na to młode piśmiennictwo.

Historya Katalonii łączy się tak ściśle z historyą Montserratu, że pisać o Montserracie znaczy grać na wszystkich strunach duszy i rozniecić ogień miłości nietylko dla Matki Boskiej, ale i dla kraju, dla jego legend, historyi, minionej sławy i tęsknej przeszłości. Stąd też poezya religijna w Katalonii nie została tylko uprzywilejowaną własnością księży, ale wywarła nieoceniony wpływ na całe życie literackie, na jego kierunek i prądy je nurtujące; doszło do tego, że wszyscy, czy oni byli gorącymi katolikami, czy może ludźmi trochę wolnomyślnymi, w wierszach swych opiewali Najświętszą Pannę z Montserrat, a czynili to z sercem pełnem gorącej wiary, pobożności i dziecinnego przywiązania. Dlatego też religijne wiersze są w Katalonii powszechnie czytane, dlatego na igrzyskach pierwsze otrzymują nagrody i dlatego „Oda do św. Dziewicy z Montserat" wywołała całą burzę oklasków i entuzyazmu. A nie były to bynajmniej sporadyczne wypadki, gdyż jak już wyżej zaznaczyliśmy, najpierwsi poeci uważali sobie za zaszczyt, że mogą pisać o Mont-

serat a odpowiednie ody i pieśni Balaguera, Llorenta i innych, szukają sobie równych w literaturze religijnej europejskiej. Tym też sposobem ustrzegło się to piśmiennictwo od wielu błędów, w jakie dzisiaj liryka szczególniej wpada. Nie wyłączyło ono wcale pierwiastku erotycznego — bynajmniej; piśmiennictwo katalońskie posiada owszem i z natury rzeczy posiadać musi wiele pieśni miłosnych i to pięknych w całem słowa znaczeniu; za to jednak w romansowych utworach, z małymi chyba wyjątkami, szerzej patrzy, jak, niestety, wielu dzisiejszych wybitnych pisarzy.

Nie zadziwi więc nikogo, że i Verdaguer poświęcił swą lutnię Dziewicy z Monserrat. Wyszedł on przecież z pobożnego katalońskiego ludu, wychował się w sąsiedztwie Montserratu, potrafił ocenić kierunek literacki nowego piśmiennictwa i został i on także *Trovador de Montserrat.*

O utworach religijnych Verdaguera mówi Fastenrath, że w cudownej poetycznej formie cechuje je płomienne uczucie „Pieśni nad pieśniami"; można to zdanie o tyle uzupełnić, że to uczucie jest uświęcone i uduchownione przez tajemnicę Krzyża, nieznaną pieśni Salomona, jest pieśnią oblubienicy o miłości, która na wszelką ofiarę dla umiłowanego chętnie się zgadza i dużo szczęścia niepojętego mu daje.

Szczególniejszy urok nadaje religijnym utworom Verdaguera tło przyrody malowane jasnemi, gorącemi barwami, zawsze jednak w miarę tak, że te śliczne malowidła bynajmniej nie odwracają uwagi od głównej treści i głównego zadania poety. Kiedy w zachwycających kolorach roztoczył przed nami mnóstwo wspaniałych obrazów o gwiazdach, „tych kwiatach nieba, które spoglądają na kwiaty, te gwiazdy ziemi", o palmach rozkładających szerokie liście w wiosenny poranek, o aniołach, którzy złotem skrzydłem unoszą się nad czarami tego świata; kiedy w tej krainie miłości pokazał, że ciernie w róże się zamieniają, że z krzyża wychodzi zbawienie, zatapia się w tym krzyżu i z niego spogląda z tęsknotą i rozmarzoną miłością ku wysokiemu niebu w poezyi *Als estels* (Do gwiazd); skarży się gwiazdom, że tu w burzach i niedoli zostać jeszcze musi, a tam wśród gwiazd, tam matka jego z rodzeństwem go oczekuje i z boleścią pyta

się: „kiedy?“ Ta tęsknota do nieba, do gwiazd i do chwały pojawia się obok pieśni ku czci Matki Bożej najczęściej u Verdaguera, więc w *Anyoransa de Cel* (Tęsknota za niebem), *A mon Deu, Volada de l'anima* (Lot duszy) i wielu innych. To jednak uczucie nie jest tylko platonicznem, owszem skłania go ono do zajmowania się pytaniami dotykającemi najważniejszych spraw duszy; wpatruje się w grzech, w tajemnicę odkupienia, w odwróceniu od Boga widzi przyczynę zła, świat dziś nurtującego i gromkim głosem nawołuje obrazami izraelskich proroków do powrotu do Boga, do pierwotnej cnoty i niewinności. Tym sposobem dotyka w swych lirykach najróżnorodniejszych kwestyj, nigdy nie zmęczy ani nie znudzi, owszem wywiera wpływ uszlachetniający.

Siła wyrażenia, głębia uczucia, szlachetność i wytworność formy, ilość i piękność obrazów natury, składają się na barwną mozaikę i nadają tym drobnym utworom wielką wartość.

Oprócz lirycznych pieśni wydał Verdaguer dużo sielanek, jak je sam nazywa; przedstawiają one w prostej, lecz tą właśnie prostotą ujmującej formie sceny i zdarzenia z życia P. Jezusa i Świętych Pańskich. Idyle te o więcej liryczno-sielankowym, aniżeli epicznym charakterze przypominają żywo podobne utwory z średnich wieków. Wszystko, na co się złożyła wyobraźnia czasów i gorąca wiara ludów, znajduje się w tym zbiorku, a taką to nacechowane delikatnością i dziecięcą pobożnością, że, według niektórych krytyków, przypomina żywo obrazy Fra Angelica. Jeden przykład, legenda o św. Julianie pokaże, że niema wiele przesady w naszem twierdzeniu.

Wigilia Bożego Narodzenia. Straszna burza zatopiła pola i błonia przy klasztorze św. Juliany i zakonnice nie mogą brać udziału w nocnem nabożeństwie. Pojawia się Anioł i „czego żądacie“, pyta. „Łodzi, byśmy mszy św. wysłuchać mogły“. „Skarb który wam przynoszę większą ma wartość“. „To może przynosisz nam złoty lub srebrny most, który jak droga mleczna powiedzie nas przez niebieskie przestrzenie?“ „Skarb, który wam przynoszę większą ma wartość“. „To może skrzydła nam przypniesz, byśmy do Betleem uleciały?“ „Skarbu, który wam przynoszę,

niebo nie zapłaci. Oto dzieciątko Jezus, w tej nocy urodzone; Najświętsza Panna wam je ofiaruje". I Anioł składa na rękach Juliany Boską Dziecinę a pieśń miłości i tryumfu płynie z ust ucieszonych zakonnic ku niebu.

W tem krótkiem streszczeniu z epicznej przedewszystkiem działalności poety, stanęły nam nieraz przed oczami obrazy dantejskie i nie bardzo chyba przesadził ten, który utrzymywał, że Verdaguer, to Dante XIX. wieku. Różnią się ich utwory formą, treścią i celem, ale wiele przymiotów wyodrębniających Danta, cechuje i Verdaguera. U obu mit wielką odgrywa rolę, u obu jest on symbolem i alegoryą; obaj równie pięknie łączą żywioł pogański z chrześcijańskim, świat rzeczywistości i życiowej prawdy z światem ułudy i baśni, obaj stwarzają obrazy o tragicznej grozie i żywiołowej sile uczucia, przechodzącego wszelkie skale serca. Ponad te wszystkie własności wspólne, cechuje utwór Verdaguera rys więcej nowożytny, piękność i ilość opisów jak i zarazem wprowadzenie elementu lirycznego w epikę; opisy te i pieśni liryczne sprawiają, że materyał nagromadzony ręką wieszcza nie przygniata czytelnika, pozwala mu swobodnie odetchnąć, w uczucia boleści, trwogi i rozpaczy wprowadza jednocześnie kojące wyrazy pociechy i nadziei, a przez to staje się nie więcej doskonały może, ale więcej przystępny i bardziej dla naszych czasów zrozumiały od tajemniczego utworu Danta.

Czy więc na Verdaguera zapatrywać się będziemy jako na epika czy też jako na liryka, zawsze musimy powiedzieć, że jest on ozdobą literatury katalońskiej i niepomiernie przyczynił się do przysporzenia chwały nowemu piśmiennictwu a swym przykładem okazał zarazem, że umie „być kapłanem wraz i trubadurem".

Ks. Wiktor Wiecki.

PIÓREM I OŁÓWKIEM.

1. Z zatoki neopolitańskiej.

(Ciąg dalszy).

IV.

Dziennikarstwo we Włoszech. Jego płytkość i licha faktura. Napuszystość stylu i reklama. Sienkiewicz we Włoszech. Włosi wobec Polaków. Polskie ślady we Włoszech. Popiersia Polaków w Padwie. Akademia Mickiewicza w Bolonii. Muzeum polskie w Rzymie. Galicyjscy emigranci w Genui. Polskie grobowce w Rzymie i we Florencyi. Polskie kościoły i kaplice we Włoszech. Wpływ hiszpański w Neapolu. Mantyla. Symboliczne znaczenie wachlarzy i kwiatów. Język mimiczny. Neapolitańskie zabobony. Mal' occhio i koralowe rożki. Nagana dygnitarza.

Dzienników tu dużo, ale jak w całych Włoszech, są to raczej świstki brukowe, w których, prócz bieżących wiadomości i agencyjnych telegramów, nic prawie nie spotkać. Najwybitniejszymi są: *Corriere di Napoli, Roma* i *Mattino,* o tendencyach odmiennych, ale tak do siebie podobne treścią, że tytuł je tylko różni. Katolicy mają dwa dzienniki: *Libertà* i *Discussione* oraz wcale dobry tygodnik *Croce,* wzorowany na podobnych wydawnictwach, wychodzących pod tymże tytułem we Francyi.

Włosi mają zupełnie odrębny swój sposób pisania gazet. Wstępne artykuły prawie tu nie istnieją, zwłaszcza o kwestyach szerszej polityki; korespondencye z obcych krajów są tu również czemś nieznanem, tak samo jak i polityczne przeglądy. Można tygodniami czytać szereg włoskich dzienników i oprócz telegramów Stefaniego nie mieć żadnego pojęcia o tem, co się w świecie dzieje. Natomiast kronikę brukową traktują tu bardzo

poważnie i z właściwą Włochom kwiecistością stylu. Każda wiadomość osobista połączona bywa z reklamującą uwagą i komplementem. Więc np. czyta się:

„Urocza, zachwycająca swym dowcipem, w swych talentach nieporównana, do Dyany i Minerwy zarazem podobna, znana nasza margrabina X., przerywa na czas jakiś z powodu wyjazdu na wieś swoje *five o'clock*'i, które ściągały najwybraństzą śmietankę naszego *high-life*'u i stanowiły podziw cudzoziemców. Neapol szczycący się posiadaniem tej królowej dobrego smaku i zabaw wykwintnych, oczekiwać będzie z utęsknieniem i niecierpliwością powrotu jej i odnowienia tak ulubionych zabaw".

Albo też czytamy np.:

„Uczony profesor Y. światło i chwała gimnazyum municypalnego w Vietri (tak niby jak w naszym Baranowie albo Koziej Woli) nowem znakomitem dziełem dał poznać całej Europie imię własne niemniej jak nazwę grodu, który ma szczęście go liczyć wśród swych najznakomitszych obywateli. Dziełem tem jest" i t. d.

Ten zabawny patos, którym Włosi otaczają najdrobniejsze nieraz szczególiki powszedniego życia, nie razi tu nikogo i nikt też go nie bierze na seryo. Każdy wie, że to samo co o margrabinie X. dzisiaj, napiszą jutro o księżnej Z. albo baronowej Q., choć jedna ma brodawkę na nosie i zeza na oku, a u drugiej umierają ludzie z nudów, popijając, w miejsce kolacyi, nieznanej we Włoszech, limonadę. Nikt też nie bierze profesora Y. za coś więcej, niż jest, tj. za zwykłego zupełnie szkolnego pionka i bibliotecznego mola, ale taki to już zwyczaj. Oczywiście, że o fejletonie niema tu mowy. Recenzyj teatralnych i muzycznych nie znają wcale, są tylko stereotypowe dwuwierszowe sprawozdania z teatrów, zawierające niezmiennie wiadomość, że w teatrze A. wszyscy aktorowie byli jak zwykle niezrównani, a teatr B. trząsł się jak zwykle od oklasków wobec olśniewającej gry artystów. Odcinek zajęty bywa staroświecką modłą dwutomowemi powieściami, przeważnie tłumaczonemi z francuskiego.

Podczas mego pobytu w Neapolu *Mattino* drukował właśnie *Col ferro e col fuoco*. Kupowałem codzień numer tego pisma,

bo mnie interesował Sienkiewicz we włoskiej szacie i wyznaję, znalazłem go daleko znośniejszym, aniżelim mógł przypuszczać. Tłumacz zna polski język i przejął się dobrze duchem oryginału a tłumaczenie jest świeże, barwne i bardzo pięknym włoskim językiem pisane. Ale ten świat kresowych bojów Zaporoża i Rzeczypospolitej zbyt jest daleki i obcy, aby go Włoch mógł zrozumieć. Słusznie też tłumacz nie szczędził objaśnień i uwag, do książkowego wydania dodał dokładną kartę teatru działania a potworne dla Włocha nazwiska bohaterów pozmieniał na Schetusco, Vesnevesco, Gensano (Rzędzian!), Bicovic (Bychowiec), Volodiesco i t. d.

Trafiłem tu, jak i w całych Włoszech, na niesłychany zapał dla Sienkiewicza. Wszystkie wystawy księgarskie zapełnione tłumaczeniami jego dzieł a tłumaczone są już niemal wszystkie, bo oprócz nowel, „Quo vadis?“, „Ogniem i mieczem“ i „Bez dogmatu“, które znajdują się już w obiegu księgarskim, pozostałe historyczne powieści są już pod prasą albo w tłumaczeniu. Każdy inteligentny Włoch, zetknąwszy się z Polakami, zaczyna rozmowę od Sienkiewicza, kardynał i monsignor w Rzymie, dziennikarz i artysta w Neapolu, sąsiadka przy *table d'hôte* i towarzysz podróży na statku. A jakkolwiek nie zawsze go dobrze rozumieją, to uwielbienie obcych dla naszego mistrza jest jednym z milszych współczesnych wrażeń we Włoszech.

Wogóle o Polakach mają Włosi bardzo mętne wyobrażenie i wśród wykształconej publiczności łatwo spotkać się z pytaniem czy Lwów należy do Prus a Warszawa jest portem morskim. Trudno się jednak temu dziwić, skoro we Francyi przed kilku miesiącami spotykało się profesorów i księży, niechcących w żaden sposób uwierzyć, że językiem panującym w Austryi nie jest język austryacki. Każdy Włoch zresztą, do jakiegokolwiek należy stronnictwa, zetknąwszy się z Polakami wzdycha głęboko, podnosi oczy do góry i wypowiada z namaszczeniem i tremolując: *povera Polonia!* zadość uczyniwszy zaś w ten niezmienny sposób obowiązkowi etnograficznego współczucia, przechodzi spokojnie do innych przedmiotów rozmowy, na prawdę bowiem niema prócz Francuzów narodu, któryby mniej intere-

sował się innymi narodami, a nikt już zgoła na świecie niema tak mało jak Włoch litości dla cudzego cierpienia. Pewną życzliwość, bardzo zresztą powierzchowną, z jaką zdarza się nam tu i owdzie spotykać, przypisać trzeba w sferach katolickich rzymskich wpływowi takich pośredników jak księżna Odescalchi, kardynał Czacki lub Zmartwychwstańcy, w sferach liberalnych tradycyj legionów (dla katolicyzmu naszych wiarusów a przynajmniej ich wodzów nie zawsze niestety pochlebnej), oraz dość wybitne znaczenie, jakie mieli i mają we Włoszech różni mniej lub więcej zwłoszeni emigranci, od Poniatowskich począwszy, dalej zaś polscy artyści i literaci, których zwłaszcza dawniej tylu mieszkało we Włoszech. Dotąd zresztą przechowały się w Padwie popiersia wielkich uczniów tej wszechnicy, pochodzących z Polski, w Bolonii zaś próbowano przed paru dziesiątkami lat, co prawda z dość mizernem powodzeniem, urządzić coś w rodzaju polskiego instytutu naukowego a przynajmniej katedry literatury, na której podobno popisywała się czas jakiś gościnnymi występami, jedna z najgłośniejszych i najbardziej rozreklamowanych emancypantek, istny poseł Lewakowski w spodnicy, pani Malwina Ogonowska.

W Rzymie, wreszcie, z tejże samej strony zajmowano się *ad usum* Włochów, nie swoich, ale gwoli reklamy dla organizatorów, urządzeniem jakiegoś muzeum, nie wiem już doprawdy czy Kopernika czy Mickiewicza, wiem tylko, że z ubogiego kraju ściągano bardzo natarczywie na ten cel składki znaczne za granicę i że rzecz cała zrobiła wkońcu *fiasco*, starannie przyduszone przez nasze postępowe dzienniki. Czas jakiś przed kilku laty mieli sposobność Włosi północni przypatrywać się białym sukmanom i płótniankom, baranim czapkom, burym i siwym kapotom galicyjskich wieśniaków, zdążających gromadnie przez Udine i przez Genuę do Brazylii.

W Genui, na prośbę istniejącego wówczas we Lwowie Towarzystwa św. Rafała, zaopiekowali się nimi Salezyanie i podobnie jak w Rio Janeiro przeznaczyli polskiego kleryka dla towarzystwa i posługi emigrantom. Dzięki temu partye wychodźców wyprawiane w tym czasie przez Towarzystwo św. Rafała,

omijały zdradzieckie zasadzki spekulantów w Europie i Brazylii i osiedliły się na własnych gruntach w Nowym Świecie.

Rozsypane po całym półwyspie pod płytami rzeźbionych marmurów lub bez żadnego po sobie śladu, tęsknią kości polskie do dalekiej, północnej ojczyzny. W Rzymie od wielu wieków spoczywali polscy pielgrzymi a do dziśdnia przechowało się kilka pomników grobowych, między którymi dość wspomnieć królewicza Aleksandra Sobieskiego. We Florencyi u św. Marka mają swe grobowce Poniatowscy a we włoskim narodowym panteonie S. Croce, obok Bogoryów Skotnickich i paru innych, jeden z najpiękniejszych grobowców, ocieniony postacią bolejącej Boga-Rodzicy, okrywa zwłoki Zofii Zamoyskiej, córki książęcego domu Czartoryskich. Jeżeli zaś potężne ślady kultury swej i wpływu zostawiły na Włoszech różne narody północy i zachodu a i dziś jeszcze świadkiem tych wpływów są bodaj freski Overbecka i jego szkoły w Assyżu, polską wiarę i polską przeszłość przypomina Włochom nasza kaplica narodowa w Padwie w *il Santo*, oraz w wotywnym kościele św. Joachima w Rzymie, a obok kościółka św. Stanisława z jego pamiątkami polskiemi, dwa nowe rzymskie kościoły polskie, Zmartwychwstania Pańskiego i św. Jana Kantego.

W Neapolu niema polskich pamiątek i wogóle żadna obca narodowość nie zostawiła tu wybitniejszych śladów prócz jednej Hiszpanii: te jednak znać tu dotąd na każdym kroku. Nietylko w nazwach ulic i w stylu kościołów: więcej jeszcze w obyczajach warstw średnich i wyższych. W tych ostatnich zwłaszcza przechowało się dużo hiszpańskich nazwisk obok hiszpańskiego *Don* i *Donna*, któremi tutaj tytułują członków wielkich rodzin z urzędu, a zwykłych śmiertelników przez grzeczność. Panie jednak zarzuciły od dawna śliczną hiszpańską mantylę i malownicze to ubranie głowy zdarzyło mi się spotykać tylko w Lombardyi i we włoskim Tyrolu. Zachowała się natomiast tak rozpowszechniona w Hiszpanii rozmowa wachlarzy, niemniej jak i towarzyska symbolika kwiatów. I dziś jeszcze Neapolitanka odpowiedniem ubraniem bukietu i ruchem wachlarza zastąpić może list i prowadzić ożywioną rozmowę.

Ale ta umiejętność używania mimiki i znaków zamiast słów, rozpowszechnioną jest zwłaszcza wśród ludu. Wiozący cię fiakier co chwila zwraca się do przejeżdżającego kolegi z monosylabowym nic nieznaczącym okrzykiem, robiąc mu równocześnie palcami koło swej twarzy i szyi szereg znaków niezrozumiałych dla cudzoziemca, na które otrzymuje z błyskawiczną szybkością podobnąż odpowiedź. Przechodząc ulicą pełną turkotu i hałasu, spotykasz co chwila ludzi porozumiewających się w ten sam sposób ze znajomymi na przeciwległym chodniku. Zbytecznem byłoby dodawać, że mimika ta kwitnie również w sklepach, skutecznie dopomagając do tem łatwiejszego okpiwania kupujących i obdzierania cudzoziemców ze skóry. Jest to na prawdę coś zastępującego złodziejską i masońską gwarę; zaprawdę też w wielu wypadkach nie do najlepszych używane bywa celów. Neapolitańczycy jednak żyć nie mogą bez swego mimicznego języka, a Don Gaetano mający do mnie specyalną słabość, chce mnie koniecznie sztuki tej wyuczyć i co wieczór próbuje mnie wtajemniczać w arkana neapolitańskiego mimicznego języka. Niestety! nie chwyta się to mojej tępej północnej głowy, tak samo jak i nieomylne środki odżegnywania *mal, occhio,* w które również chciałby mnie na próżno uzbroić mój poczciwy gospodarz, tak prawdziwie po neapolitańsku ograniczony, leniwy, błaznujący, zabobonny i pobożny. Dziwna jest doprawdy u Neapolitańczyków ta ich zabobonność. W co gdzieindziej wierzą sami tylko stróże i kucharki i to kucharki grubszego i głupszego kalibru, a stróże świeżo ze wsi od pługa przybyli, na to przysięgnie w Neapolu doktór medycyny, profesor uniwersytetu, senator państwa a nawet niejeden proboszcz lub kanonik, nie mówiąc o księżnej lub hrabinie. Co do *mal' occhio* w te wierzy tu każdy bez wyjątku i każdy też nosi przy sobie podwójny rożek z kornaliny lub koralu, mający od uroku chronić. Nie zapomnę nigdy jak przed laty pewien wysoki dygnitarz, Neapolitańczyk rodem, oburzył się na mnie, gdy w jego obecności pozwoliłem sobie o niebezpieczeństwie tego uroku lekko się wyrażać.

— Mój drogi — rzekł mi niecierpliwie — kiedy się o jakiejś

rzeczy niema pojęcia, najlepiej o tem nie mówić. Starszy jestem od ciebie i wiem co jest, a czego niema. Powiedz, że niema słońca, a będzie to taka sama prawda, jak to, że niema złego oka.

Od tego czasu zacząłem wierzyć w *mal' occhio*, ale koralowych rożków nie kupiłem sobie dotąd.

V.

Sant' Elmo i Camaldoli. Klasztor bez zakonników i kościół bez Boga. Muzea w kościołach i klasztorach. Przygoda w gdańskim Maryackim kościele. Smutne wrażenie opustoszałego eremu. Droga Posilippo. Nowe dzielnice nad morzem. Krajobraz. Neapol-rajem, zamieszkałym przez małpy. Gdzie powstała hipoteza Darwina. Błąd zoologów co do małp w Gibraltarze. Puzzuoli i Baiae. Zatoka śmierci. Co śpiewa morze? Pompei w Museo Nazionale. Mania kradzenia i gromadzenia dzieł sztuki i jej skutki. Co mówią ruiny? Świat starożytny a Ewangelia. Nowa Pompei. Don Bartolo Longo i jego dzieło. Bazylika Różańcowa. Włoscy pielgrzymi. Zakłady sierót.

Wycieczka na szczyt Sant' Elmo i do Posilippo należy do obowiązkowych w mieście, jak za miastem do pogańskiej i do chrześcijańskiej Pompei. Do Sant'Elmo jedzie się tramem podnoszącym się w górę przez mało zaludnione przedmiejskie dzielnice. Na szczycie wzgórza panującego nad zatoką wznosi się z jednej strony fort, z drugiej słynne *Camaldoli*. Fort można zostawić, *Camaldoli* odwiedzić trzeba. Poprzedza ten dawny erem mnogość dziedzińców i wązkich przejść, z których co chwila otwierają się pyszne widoki na stok góry, okryty zielenią i na morze miasta, otaczające ją żółtawą falą, samo ujęte w szafirową oprawę zatoki. Kościół obok pawijskiej *Certosy* może najbogatszy we Włoszech, jak ona jednak odebrany nietylko mnichom, ale i wierze. Dwie wielkie zakrystye, których ściany wykładane cudnemi intarsiami, chór ze stallami będącemi arcydziełem rzeźby w drzewie, skarbiec istne cudo renesansowe, kościół wreszcie, cały najdroższemi i najpiękniejszemi mozajkami wyłożony, tak bajecznie wspaniały, jakby na jego zbudowanie wyszły wszystkie skarby Maurów i wszystko złoto kolonij — teraz wszędzie tu pusto, cicho i niewypowiedzianie smutno. Ze wszystkich przeważnie nader mało udatnych pomysłów naszej epoki, najnieszczęśliwszym jest przekształcanie kościołów i kla-

sztorów na muzea. Jeżeli przykre robi wrażenie widok opustoszałego mieszkania, w którem niegdyś wrzało życie i kręcili się ludzie, o ileż smutniej patrzyć na taki kościotrup zbiorowych instytucyj ludzkich, na zagasłe ogniska ludzkiej modlitwy i pracy. Lepiej sto razy, gdy z nich zostaną ruiny: to zwykła kolej ludzkich rzeczy. Ale podtrzymywanie murów i zewnętrznej postaci rzeczy, z której wydarto jej treść i ducha, podtrzymywanie obcą, wrogą dłonią gwoli próżnej ciekawości drwiącego motłochu, w tem jest naprawdę dziwna tragiczność i straszliwa profanacya i zdaje mi się, że chyba z religią umarłą, lub w kraju pozbawionym całkowicie jej wyznawców, godzi się coś podobnego czynić. Jeszcze w kraju protestanckim taka profanacya, choć bolesna zawsze, mniej razi: pamiętam jednak dobrze jak w gdańskiej Marienkirche jeden z moich towarzyszów podróży, starszy, poważny i wysokie stanowisko zajmujący, uniósł się na widok muzeum urządzonego w zakrystyi z kielichów, ornatów, monstrancyj wystawionych za szklannemi gabilotkami, jak w jubilerskim sklepie, i zaczął wymyślać oprawadzającej nas Niemce od szwabów, łotrów, złodziei, a co się dostało doktorowi Lutrowi którego posąg zdobi boczną nawę świątyni, lepiej o tem nie wspominać, żeby nie zakłócać wyznaniowego spokoju w państwie. Otóż sposób wyrażania swych uczuć jest różny i zależy od temperamentu i nerwów; ale uczucie jest tosamo, owszem gorsze, bardziej gorzkie i ciężkie, w krajach katolickich, profanacya rani boleśniej, bo ją zadają ci, którzy mieliby obowiązek czcić i kochać.

Dlatego taki opuszczony klasztor w katolickim kraju i taki kościół pozbawiony Boga są prawdziwym rozdźwiękiem spotykanym niestety we Włoszech bardzo często. Taki klasztor św. Marka we Florencyi, taka *Certosa* pawijska lub tutejsze *Camaldoli* piękniejsze są dla katolika stokroć od stu, otaczających je klasztornych i kościelnych gmachów, zmienionych na koszary lub fabryki. Tu przynajmniej profanacya była jednorazową, tamto przypominało mi zawsze salon znajomej amerykanki, zamiłowanej w modnych dziś makatach i obwieszającej ściany starymi ornatami, stoły kapami kościelnemi a stoliki we-

lonami od kielichów. Już też w tych warunkach i dzieła sztuki stworzone na chwałę Bożą a profanowane bezwyznaniową ciekawością, przestają radować, i nawet cudny krajobraz roztaczający się z ganeczków pojedynczych cel, zdaje się obleczony mgłą jakąś, choć go zalewa złotem południowe słońce.

Zjeżdżamy funikularną koleją na dół a za chwilę siadam do pierwszej dorożki i jadę do Posilippu.

Jak zmienił się Neapol przez te ostatnie lata! W miejsce ciasnych, cuchnących dzielnic tłoczących się u samego morza, zieleni się park, dalej olbrzymie nowe dzielnice o szerokich ulicach i olbrzymich, po amerykańsku w szachownice budowanych, domach. Żal mi dawnej Chiai: tyle tu było życia i tyle malowniczego brudu! Ale trudno: amerykanizuje się cała Europa, amerykanizuje się i Neapol. Czy mu z tem będzie lepiej? Zapewne trudno podziwiać dawne królestwo lazzaronów z ich gnuśnością, cuchnącem niechlujstwem i brakiem wszelkiej kultury — sądzę jednak, że dzisiejszy neapolitańczyk nie jest ani o włos lepszy. Przeciwnie. Dawne wady zostały w nim bez zmiany, pozbył się za to znajomości katechizmu, dobroduszności i prostoty a nawet pewnej *sui generis* uczciwości, jaką się spotyka zresztą i u bandytów, ale ostatecznie lepsza taka jak żadna, teraz zaś naprawdę niema żadnej.

Wreszcie zostają za mną szerokie ulice nadbrzeżne i jestem znów w starych lub, na wzór starych, w nowo zbudowanych dzielnicach, tak samo czarnych i zmurszałych, jak tamte. Tu i owdzie jakaś willa nad morzem, otoczona gąszczem pomarańcz lub szpalerem z ananasów i agawów. W górze, wysoko ponad całą zatoką, wznosi się kościół zbudowany przez O. Ludwika, którego imię przepełnia Neapol; tutaj też inna świątynia, której niestety nie mogę odnaleść, przechowuje pamięć pobożnej Adelaidy margrabiny Capece Minutolo, której pani Craven poświęciła jedną ze swych najlepszych książek. Droga wciąż się podnosi i coraz szerszy otwiera się horyzont. Zatoka zakreśla coraz wydatniejsze półkole, coraz cieplejszym szafirem połyska w dole morze, a na złocisto-modrem tle morza i słońca czerni się posępnie i malowniczo skalisty grzbiet Nisidy. Cudny to kraj

i istotnie zapomnieć można o rzeczywistości, kiedy się na te cuda zapatrzyć. Ale rzeczywistość dopomina się prędko swoich praw, a jej przypomnienie miłem nie jest.

O jakimś Angliku opowiadają, że przybywszy do Konstantynopola nie chciał zejść na ląd i nasyciwszy oczy najpiękniejszym widokiem świata, wrócił tym samym statkiem, by nie psuć wrażenia i zachować iluzyę wschodniej jakiejś baśni lub zaklętego miasta. Anglik nie miał słuszności, bo Konstantynopol przy całym swym nieładzie i brudzie a po części może właśnie dlatego, jest tak zdumiewający, oryginalny i malowniczy, że wnętrze jego nie zmniejsza zewnętrznego wrażenia. Ale co do Neapolu rzecz ma się inaczej, i kto pod pozorem, że skoro tu tak pięknie to tembardziej należy w Neapolu żyć a nie umierać, krytykuje znane przysłowie *Veder' Napoli e poi morir*, ten niema poprostu wyobrażenia o tem co przysłowie chce wyrazić. Wyraża zaś ono tę wielką, przez turystów tak dokładnie stwierdzoną prawdę, że Neapol widzieć trzeba ale przypatrywać mu się niebezpiecznie; że uradowawszy oko cudnym widokiem najlepiej zaraz umrzeć, aby uniknąć gorzkiego rozczarowania wewnątrz Neapolu.

Istotnie ten raj ziemski zamieszkany jest przez ludzi, starających się o to nieustannie, aby przypominać sobą najgorsze skutki ze spożycia zakazanego owocu przez pierwszych rodziców. Mniejsza jeszcze, że jak w raju po pierwszym grzechu piękność ich zmieniła się w brzydotę — choć naprawdę brzydota ta jest fenomenalną — i każdy Neapolitańczyk uderzająco podobny jest do małpy zarówno z twarzy, jak z ruchów. Darwin tu chyba musiał wpaść na swój koncept zastosowania teoryi transformizmu do człowieka. Co gorsze jednak, to inne następstwo pierworodnego grzechu: zupełne zaćmienie rozumu, z wyjątkiem fenomenalnej znowuż zdolności do okpiwania i gruntowna przewaga małpich instynktów nad ludzkimi. Że Neapolitańczyk wygląda jak małpa, toby mu ostatecznie można darować; ale że jest prawdziwą małpą i pod względem umysłowego poziomu, i pod względem wartości moralnej, z tem pogodzić się trudniej. I żeby choć każdy siedział w swej norze i nie zajmował się drugimi! Ale nie, jak każda szanująca się małpa uważa

za swój święty obowiązek gospodyni domu czy raczej lasu trapić bez wytchnienia podróżnego przez cały czas jego pobytu w lesie wrzaskiem i rzucaniem na głowę gałęzi i szyszek, tak i małpy, zamieszkujące pobrzeże neapolitańskiej zatoki, nie dadzą odetchnąć nieszczęsnemu turyście, którego gniewne bogi zapędziły do ich raju: głuszą go swym wrzaskiem, odurzają swym smrodem, oblewają swymi brudami, harcują koło niego, szarpią, obdzierają, wysysają krew i portmonetkę natrętną żebraniną i oszustwem pod najniemożliwszemi formami. Małpy, jednem słowem małpy — i to najgorszego gatunku, bo do złego przebiegłe a dokuczliwsze od innych. I zoologowie zacietrzewieni, czy może przekupieni przez rząd włoski, protegujący Neapolitańczyków, ośmielają się na seryo twierdzić, że jedyne małpy na europejskim kontynencie zamieszkują w Gibraltarze. A Neapol?!

Jak zwykle tak i teraz wyrostków w łachmanach, starych kobiet z włosami, pełnemi obrzydliwego robactwa, i dziadów o fizyognomiach, a niewątpliwie i obyczajach bandytów, wlecze się za mną cała zgraja, hałasując, zastępując drogę, zasłaniając krajobraz i domagając się haraczu. Co za bezczelna, uprzykrzona żebranina! Anglicy mają brzydki zwyczaj rzucania garści pieniędzy w takie żebracze mrowiska i bawią się widokiem powstającej stąd niechybnie walki, kotłowania, chaosu ciał ludzkich tarzających się w prochu ulicznym. Na uwagę, że to przecie godności człowieka i miłości bliźniego ubliża, odpowiadają z flegmą: Czyż to ludzie? Niestety — są to ludzie i, co gorsze, chrześcijanie, katolicy, mający w swem mieście więcej kościołów i nie wiele mniej księży, niż ich jest w Rzymie. Dlaczegoż wpływ wiary tak tu mały? Dlaczego kraj ten tak cudny jest istotnie potężnym, na pozór, argumentem niższości katolików w ustach protestantów? Winnaż temu zewnętrzność i brak pogłębienia w objawach i praktykach kultu, nieraz nas północnych rażące w tutejszych świątyniach? Winienże nieuleczalny, południowy temperament i *sui generis* etyka rasy, będącej zlepkiem najmniej zdrowych fizycznie i moralnie żywiołów etnograficznych, Greków, Saracenów i przybłędów z całego pobrzeża Środziemnego basenu? Nie wiem, wytłumaczyć nie umiem ale to wiem, że

katolikowi być tu przykro i wstyd, i że chciałbym znaleść się gdzieś w poczciwym Tyrolu, gdzie o tyle inaczej katolicyzm dzielnych górali wygląda!

Mijam grotę zeszpeconą zamykającym ją murem i zwracam się ku Puzzuoli, które po tylu latach witają mnie swym smętnym wdziękiem nagiej, malarycznej równiny, pełnej bagnisk i zrzadka zasianej karłowatemi drzewkami. Brzeg tu zakreśla szerokie półkole, tworząc cypl Posilippu z jednej strony, przylądek Misenu z drugiej. Spokój tu wielki i cisza bardzo dziwna, skoro przypomnieć, że ruchliwe i gwarne miasto z więcej niż półmilionową ludnością jest tuż obok. Fale tylko obijają się o niskie brzegi z tajemniczym szmerem, w którym dosłuchaćby się można było dziwnych powieści o marmurowych willach i rozkosznych ogrodach, lśniących niegdyś na tem opustoszałem wybrzeżu, o dawnych bogach i dawnych ludziach, których ślad został tylko na zwojach pergaminu i na marmurowych złomach starych świątyń i pałaców od Posseidonii aż do Baiae. Tam, zdala poza morzem i poza paskiem zamykającego go lądu, pozostały jeszcze szczątki bogatego miasta wil i pałaców, ale jak w Paestum, tak i w Baiae w prochu się tarzają rozbite kolumny, ziemią zasypane i trawą obrosłe odłamy posągów, a ponad nimi Czas bezbrzeżny śpiewa odwieczną pieśń przetwarzania się form i pokoleń, będącą zarazem Nirwaną dla tego, co upada i zamiera a pieśnią zmartwychwstania i życia dla roślin młodych wyrastających z gruzów.

* * *

Oprócz jednej insuli, najświeższej bo odkopanej przed trzema laty, a zostawionej bez zmiany, z całem bogatem i wykwintnem urządzeniem willi, z jej freskami, posągami, naczyniami domowemi, nawet z ogródkiem zapełnionym tymi samymi kwiatami, jakie się widzi w ornamentacyi *triclinium*, starożytnej Pompei trzeba szukać w neapolitańskiem muzeum. Przeniesiono tam wszystko: posągi, sprzęty, marmury, kolumny, ścienne malowidła — zostawiono tylko nagie mury. Dzięki temu w Pompei widzi się jedynie fundamenty i dolną część ścian na wyso-

kość człowieka: co wystarcza zupełnie dla zrobienia dokładnego planu miasta, ale nie wystarcza wcale aby dać o niem samem wyobrażenie. To co rzucało światło na życie i domowy obyczaj, na kulturę umysłową i uczucia estetyczne mieszkańców, to już stąd znikło i szukać tego potrzeba w muzeum. Co prawda, nie z jedną Pompei to zrobiono: jest to owszem duch i zwyczaj naszej epoki tak samo postępować zawsze i wszędzie, z całym duchowym dorobkiem i z całym artystycznym skarbcem przeszłości. Dość przejechać same tylko Włochy, aby się o tem przekonać. Co było arcydzieł sztuki po kościołach i pałacach, pozabierano *per fas et nefas*, zapełniając tem muzea. Rzecz prosta, że dzieło sztuki, malowane lub rzeźbione dla danego miejsca, z zachowaniem właściwych temu miejscu warunków oświetlenia, perspektywy i otaczającej ornamentyki gmachu, traci połowę swego efektu, gdy je umieszczą w warunkach całkiem odmiennych i nieodpowiednich. Kto widział miejsce zajmowane przez tycyanowską *Assuntę* w wielkim ołtarzu *dei Frari* a następnie porównał je z tem, jakie obrazowi przeznaczono w *Belle Arti*, ten chyba przyzna mi słuszność, a wielkie szczęście, że artyści nie mogą przewracać się w grobach przy każdem podobnem świętokradztwie, bo od szeregu lat nie ustawałoby we Włoszech trzęsienie ziemi.

Ale niedość, że w muzeum dzieło sztuki traci na umieszczeniu: bardziej mu jeszcze szkodzi nagromadzenie. Nieszczęśliwe pomieszanie pojęć każe dziś uważać twórczość artystyczną za środek pomocniczy przy szkolnym wykładzie. Stąd owo fatalne układanie artystów szkołami, albo co jeszcze lepsze, urządzanie z największych ich dzieł trybun i *Salons Carrés*. Turysta, zatrzymawszy się w danem mieście na dwie godziny, może dzięki temu mądremu urządzeniu przejść się odrazu przez sale trzech galeryj i opowiadać, nauczywszy się z Baedeckera, jakie olbrzymie cyfry oglądał Dürerów, Murillów, Rafaelów — ale co mu z tego zostanie? Chaos i ból głowy, pewnie jednak ani jeden piękny kształt, ani jedno trwałe wspomnienie świecące jak gwiazda. O ileż inaczejby on patrzał, o ileż głębiejby odczuwał,

gdyby mu danem było poznać jedną dziesiątą, jedną setną część tych samych arcydzieł, szukając ich każdego zosobna w przeznaczonej dlań przez artystę framudze lub ołtarzowej ramie. Jak żywo zapisałyby się tak widziane w jego pamięci, jak trwały byłby ich wpływ na jego wyobraźnię!

I Pompei przemawiałoby inaczej do wyobraźni widza, gdyby pozostało nietkniętem a przynajmniej nie tak ohydnie odartem. Ta mnogość posągów, mozaik i fresków, koło których przechodzi się bez uwagi i wrażenia w muzeum, tu, we właściwem miejscu i na odpowiedniem tle, stałaby się dopiero dla nas czemś żywem, przemówiłaby zrozumiałą mową. Odczulibyśmy dopiero wszyscy, bo zobaczylibyśmy na własne oczy, to o czem nadarmo uczyliśmy się w szkolnych podręcznikach i bezmyślnie czytaliśmy w książkach, co nam tylekroć stawiał przed roztargnionym wzrokiem Alma Tadema i Siemiradzki, życie starożytnego człowieka, jego ducha, jego *at home*.

Przechodząc staremi ulicami po wielkich, twardych głazach pompejańskiego bruku, wśród insul, które próżno próbują ożywić monotonne objaśnienia przewodnika, rozmyślałem o tych wszystkich rzeczach i o niektórych innych jeszcze. Przypominałem sobie jak przed laty, świeżo po skończeniu uniwersytetu, byłem tu po raz pierwszy, cały przejęty szkolnym klasycyzmem i bałwochwalstwem dla starożytnego świata, jak pod przewodnictwem niedawnego mego profesora Hartla zwiedzałem te mury z gorączką młodzieńczego zaciekawienia i przykrem uczuciem pierwszego zawodu. Tylko tyle? — pytałem siebie wówczas — dziś nie pytam, nie dziwię się, nie gniewam. Młodzieńcze zapały i młodzieńcze rozterki minęły, i na zamarłe Pompei tak samo, jak na szalejący życiem Neapol, patrzę ze spokojnym, choć trochę smętnym uśmiechem; fala życia goni za drugą falą, niby od niej odmienna a przecie takasama i taksamo rozpływa się w morskiej toni, a na jej miejsce znów inne napływają. Piękność Hellady, wielkość Romy, mądrość starego Egiptu — czem jest to wszystko? Jedną z tych fal życiowych odbitych o wybrzeże wieczności i rozpryskujących się w nicość. I jak krótkowidzącymi zdają mi się ci chrześcijanie, co przez szereg wieków tutaj

szukali dla siebie i dla całych prowadzonych przez się pokoleń ideału, niebu samemu nadając formy pogańskiego Olimpu. Czemże jest nietylko Pompei, ale Akropol Ateński i starożytna Roma wobec jednego słowa Ewangelii?

Czy myśl podobna przyświecała fundatorowi Nowej Pompei, gdy w pobliżu zasypanego popiołem miasta wznosił przybytek dla Różańcowej Madonny? To pewne, że wprost opatrznościowem stało się stworzenie ogniska chrześcijańskiej modlitwy i łaski Bożej przy gruzach tego siedliska bałwochwalstwa i wszelkiej rozpusty, jakiem była rozwiązła Pompei.

Dziś wzniosło się tu na stepie, na którym dawniej nie było ani drzewka, ani chatki, spore miasteczko — mnóstwo hoteli, sklepów i prywatnych domów, zakład dla opuszczonych chłopców, dalej wielki kompleks gmachów mieszczący obszerny zakład dziewcząt, mieszkania XX. Dominikanów i księży Penitencyaryuszów, i wspaniała bazylika. Do tego centrum Nowej Pompei zdążają zewsząd liczne gromady pielgrzymów: jednych przywiozły ostatnie pociągi z Neapolu i Salerno, inni przybyli powozami lub pieszo. Oczywiście ci pielgrzymi nie przypominają ani poważnych, skupionych, wybornie zorganizowanych pochodów pielgrzymów niemieckich w Einsiedeln lub Kevelaer, ani rozmodlonych płomiennych tłumów w Lourdes, Paray-le-Monial, Fourvières, Montmartre, ani olbrzymich żywych fal ludu, płynących ku Częstochowie, Starejwsi, Kalwaryi. Są to Włosi, a więc bardzo krzykliwi, weseli i obojętni na wszelkie *decorum*, a z Panem Bogiem nie robiący sobie żadnego kłopotu ani ceregielów. O skupieniu, o wspólnej modlitwie niema mowy. Wielu z nich trzyma różańce w ręku, niektórzy nawet poruszają ustami, jakby odmawiając pacierze; pan Zagłoba jednak powiedziałby może, że małpy akurat taksamo potrafiłyby odmawiać różaniec.

Kościół renesansowy o jednej nawie zupełnie we włoskim smaku, ale szlachetny i ładny, ma jedną wielką wadę: jest zbyt szczupły. Ludzi tu moc: tego dnia kiedy byłem nie przyszła ani jedna pielgrzymka, nie było też żadnego święta, pomimo

tego przez parę godzin świątynia, wielkości kościoła Panien Wizytek w Warszawie lub Piarów w Krakowie, była szczelnie zapełniona zmieniającym się wciąż tłumem, w którym, rzecz godna podniesienia, bardzo wielu uważałem mężczyzn ze wszystkich sfer a także kilkunastu podoficerów i żołnierzy.

Bogactwo marmurów i aparatów kościelnych tu wielkie, a skarbiec, mimo tak krótkiego istnienia bazyliki, zapełnia parę sal, w których za szkłem świecą od złota i brylantów kosztowne ostenzorya, kielichy i krzyże. Ze srebrnych wotów ułożono lśniący lampas dokoła ścian świątyni, której wielki ołtarz jaśnieje mnóstwem nieustannie palących się świec w srebrnych kandelabrach i efektownym odbłyskiem kolorowych okien kopuły.

Podczas mszy przed cudownym wizerunkiem Różańcowej Madonny śpiewają dziewczęta z ochronki tak cudnie, jakby im pożyczyły tonów swych i melodyj chóry duchów nadziemskich. Miękkie, słodkie, rozpływające się w powietrzu *adagia* zdają się napełniać świątynię srebrzystą i liliową falą dźwięków; czar jakiś dziwny wydobywa się z tej melodyi i odurza jak zbyt mocne kadzidło.

Po nabożeństwie zapoznaję się z OO. Dominikanami zarządzającymi świątynią i ze znakomitym jej fundatorem. O świętym Iwonie podnosi z uznaniem w dniu jego uroczystości hymn w brewiarzu, że był wprawdzie:

Advocatus, sed non latro.

Bartolo Longo był przed dwudziestu laty adwokatem w Neapolu, ale należał z pewnością do tych, których jako szanowne wyjątki chwali brewiarz. Bóg go natchnął wielką myślą przeciwstawienia pogańskiej Pompei chrześcijańskiego ogniska wiary i nabożeństwa. W zbożnem dziele pomagała mu gorliwie szlachetna małżonka, pochodząca ze słynnego rodu hrabiów Fosco. W tym czasie właśnie Leon XIII. oddawał świat cały pod opiekę N. P. Różańcowej i wszystkim wiernym polecał różaniec, jako powszechną najskuteczniejszą modlitwę. Bartolo Longo postanowił nowe *sanctuarium* poświęcić Najśw. P. Różańcowej i od razu rozgłos łask i cudów, doznawanych w tej świątyni, napełnił

nie tylko Włochy, ale cały świat chrześcijański. Zadziwiającą jest istotnie cześć, jaką w najmniej nawet religijnych sferach włoskiej inteligencyi wzbudza popularna Madonna z Val di Pompei; ogromną jest też ilość napływajacych tu wciąż pielgrzymów ze wszystkich części półwyspu. Jeżeli spytać, które z miejsc cudownych we Włoszech nazwaćby można włoską Częstochową, miejscem tem nie byłoby Loretto, ani żaden inny z licznych przybytków cudownych, rozrzuconych po Włoszech, tylko bazylika w Pompei. Do godności bazyliki podniósł Ojciec św. świątynię pompejańską wskutek licznych cudów, jakimi się wsławiła; ponieważ zaś pomiędzy biskupem z Noli a arcybiskupem neapolitańskim powstał konflikt o prawo terytoryalnego zwierzchnictwa nad cudownem miejscem, Stolica Święta ogłosiła bazylikę za bezpośrednio podległą papieżowi, który nią zarządza za pośrednictwem wikaryusza wybranego z pomiędzy członków kolegium kardynałów. Wikaryuszem był aż dotąd zmarły świeżo kardynał Mazzella T. J., który też nosił tytuł rektora bazyliki; przypuszczają, że następcą jego zostanie jeden z kardynałów należących do Zakonu Kaznodziejskiego. Wicerektorem jest Dominikanin niezmiernie wykształcony i dystyngowany. Mieszka on tu wraz z drugim kapłanem i dwoma braćmi i ma pod wyłącznym swym zarządem kościół i skarbce, obsługą zaś duchowną zajmują się świeccy księża Penitencyarze. Zapewne niedługo jednak miejsce tych ostatnich zajmą OO. Dominikanie.

Oprócz bazyliki stworzył Don Bartolo w Nowej Pompei dwa niezmiernie pożyteczne zakłady sierót dziewczątek, których 120 kształci się i wychowuje przy kościele pod najtroskliwszą opieką zakonnic św. Dominika, oraz chłopców, synów przestępców kryminalnych, opuszczonych przez rodziców a wychowywanych w liczbie stu pod kierunkiem ks. Pijarów, dzięki chrześcijańskiemu miłosierdziu. Oba te zakłady są pięknem uzupełnieniem wielkiego dzieła Don Bartola i świadczą w charakterystyczny sposób o tem, że wiara i pobożność u katolików objawiają się nietylko modlitwą, ale obok niej i rozumnemi, pożytecznemi dziełami miłości bliźniego.

VI.

Kontrasty w religijnem życiu Włoch. Próba dyagnozy. Włoski temperament. *Alla buona* i *Fa niente*. Co zrobił liberalizm dla włoskiego ludu. System dzierżaw włościańskich we Włoszech. Pellagra, tyfus głodowy i emigracya. Akcya ratunkowa katolików na korzyść ludu. *Casse rurali* i towarzystwa wzajemnej pomocy. Tajemnica katolickiego wpływu. Droga do serca przez kieszeń. Socyalizm agrarny. Organizacya w miastach. Polityka rządów wobec katolików. Zła wiara zachowawczego ministeryum. Wplątanie katolików w socyalistyczne spiski. Zamknięcie 59 dzienników i 4500 stowarzyszeń. Proces i więzienie Don Albertaria. Wyrzucanie włościan z dzierżaw za głosowanie. Zużycie się i korrupcya rządzących stronnictw. Układ Crispiego z Maffią. Bandyci sycylijscy — ajentami wyborczymi rządu. Niedojrzałość i nieudolność opozycyi. Katolicy — stronnictwem przyszłości. Ich organizacya i dyscyplina. Komitety dyecezyalne i parafialne. Uczęszczanie do kościoła. Nabożeństwa wieczorne. Brak katolickiej inteligencyi. Konflikt z nowymi Włochami. Moderati i kryptokatolicy. Czy trafną była i jest polityka abstynencyi. Czy papież może wyjść z Watykanu. Obecna sytuacya i przyszłość katolickiego obozu we Włoszech.

Tłum pielgrzymów w Val di Pompei u stóp Różańcowej Bogarodzicy, ale pielgrzymów hałasujących, rozbawionych, jedzących pomarańcze i salami w kruchcie kościelnej; pełno ludzi w Neapolitańskich kościołach, a równocześnie na ulicach taki bezwstyd, w obyczaju mas ludowych tak zupełny brak etycznego poczucia jak nigdzie chyba na świecie. W Rzymie, Florencyi, Medyolanie, najczęściej pustki w kościołach zupełne a natomiast niewidziany gdzieindziej rozwój katolickiego życia społecznego, którego w katolickim Neapolu ledwie są szczątki. Szkoła bez Boga i księdza, wśród inteligencyi obojętność lub niechęć dla wiary tak powszechna, jak w żadnym innym katolickim kraju, a równocześnie powołań zakonnych i duchownych więcej, niż gdziekolwiek indziej, stowarzyszeń katolickich tyle, że w samych tylko północnych prowincyach, objętych stanem oblężenia, potrafiono ich rozwiązać przed paru laty półpięta tysiąca. Co to wszystko znaczy? Jak te sprzeczności pogodzić i wytłumaczyć, jaki sąd wydać o usposobieniach, kierunku i wierzeniach tego narodu?

Sąd łatwy nie jest, a ten z jakim się można spotkać u turystów i w opisach podróży lub dziennikarskich artykułach, bywa zawsze fałszywy, bo zawsze jednostronny. Ktoby sądził

Włochy z tego, jak wyglądają miasta — a te tylko zwykli znać cudzoziemcy — osądzi je równie błędnie jak ten, kto do katolicyzmu włoskiego próbowałby zastosować miarę niemiecką, a choćby tylko francuską. Spróbujmy jeżeli nie sądu, bo na to potrzebaby dłuższego niż mój pobytu we Włoszech, i głębszego z niemi obznajomienia, to przynajmniej częściowej dyagnozy stosunków włoskich na punkcie religijnym.

Skonstatujmy przedewszystkiem, że Włoch jest człowiekiem zupełnie innych form towarzyskich i życiowych pojęć, niż nie tylko my ludzie północy ale i inne romańskie narody. Nie jedno, co wszędzie indziej uchodzi za niewłaściwość, tu poczytane jest za rzecz przyzwoitą. Hiszpan ma niemniej temperamentu, ale wrodzone poczucie godności osobistej i powagi nie pozwala mu puszczać wodzów temperamentowi; Francuza wstrzymuje znów od tego towarzyski konwenans. Włoch przeciwnie, zachowuje się gorsząco w kościele, ale równie gorsząco zachowuje się w teatrze, a przyjęta ogólnie towarzyska poufałość tłumaczy nie raz lekki jego ton wobec osób duchownych a nawet i rzeczy świętych, zakrawający na lekceważenie. Wszystko zresztą co robi, robi on z pewnem lekceważeniem, *alla buona:* urzędnik na poczcie oznajmia z uprzejmym uśmiechem, że zagubił list rekomendowany, a krawiec z równą dobrodusznością pokazuje wypaloną przez chłopca dziurę na oddanym do reperacyi garniturze. Wszystko to *fa niente* wobec makaronów.

Organizacya katolicka na północy Włoch obejmuje przedewszystkiem najniższe warstwy ludności i zwraca się do nich głównie ze stanowiska ekonomicznych interesów. Włochy są charakterystycznym dowodem, jak mało chodzi współczesnemu liberalizmowi o prawa i o potrzeby ludu. Przewrót rewolucyjny zniósł tu wszystko, co zbudowała przeszłość, piętnując tę przeszłość zarzutami o nierówność stanów, o ucisk i niedolę i ogłupienie ludu; ale o polepszenie doli ludu nie postarał się wcale. Ziemia pozostała w ręku burżuazyi i szlachty, należących w całości do liberalnego obozu: aby wypróbowanym współwyznawcom politycznym nie czynić ujmy, nie wspomniano ani słowa o uwłaszczeniu ludu. A nie ma kraju na świecie prócz Irlan-

dyi, w którymby uwłaszczenie było tak palącą potrzebą. Lud wiejski we Włoszech pracuje ciężko nie dla siebie i jest wprost wysysany do szpiku kości przez cały szereg pijawek, a to dzięki systemowi dzierżawnemu, polegającemu na wynajmowaniu majętności częściowo lub większemi parcelami spekulantom, którzy płacą ryczałtem i oszczędzają właścicielowi kłopotliwego porozumiewania się z pojedynczymi dzierżawcami, ale spekulując na różnicy pomiędzy czynszem płaconym panu a odbieranym od chłopów, obdzierają tych ostatnich ze skóry bez litości, jak na Włochów przystało. Jeżeli mówi się o włoskiem lenistwie odnosi się to do miast: wieśniak jest jednym z najpracowitszych na świecie, ale pomimo pracy, pomimo żyznego gruntu, ginie z pellagry i głodowego tyfusu, tysiącami co wiosna lub setkami tysięcy emigruje do Ameryki — bo go zjada — *fattore*, poddzierżawca. Przytem dla wspomożenia go nie zrobił parlament liberalny nic: w interesie bowiem liberalnych właścicieli wszechwładnych na Monte Citorio, leży finansowa zależność i nędza wieśniaka. Więc do niedawna w całych Włoszech nie było ani jednej instytucyi kredytowej, z której mógłby korzystać wieśniak, ani jednego stowarzyszenia wzajemnej pomocy na wsi. Katolicy pierwsi zajęli się biednym wiejskim proletaryatem. Założyli t. zw. *Casse rurali*, rodzaj kas zaliczkowych nader praktycznie urządzonych i te ostatnie z błyskawiczną szybkością rozpowszechniły się po całych północnych Włoszech, podniosły szybko włościan z ekonomicznego upadku i oddały ich równocześnie pod kierunek klerykalnego stronnictwa. Jak u nas tak często rzemieślnik i przemysłowiec katolicki musi z ciężkiem sercem głosować za liberałem pod żydowską komendą, bo u żyda siedzi w kieszeni, tak tu włościanin nieraz dlatego tylko należy do katolickiego stronnictwa, bo ono jedno wspiera go ekonomicznie. To klucz do zrozumienia jednego z postawionych na wstępie zagadnień rozszerzenia się tak szybkiego katolickiej organizacyi w sceptycznych Włoszech. Istotnie tam, gdzie katolicy zorganizowali ekonomiczną samopomoc ludu, panowanie ich zapewnione. Gdzieniegdzie, np. w Emilii i obu Romaniach ubiegli ich socya-

liści i tam też widzimi jedyny może na świecie objaw agrarnego socyalizmu.

W mniejszym stopniu to samo stało się w miastach, tu jednak katolicy wcześnie spotkali się z organizacyą socyalistyczną. Niemniej jednak takie instytucye jak rzymska *Società operaia* są istotną potęgą, a organizacya katolików w miastach środkowych i północnych Włoch, zwłaszcza w Medyolanie, Wenecyi, Bolonii, Turynie, Genui, Pizie jest znakomitą. Rezultatem jej bywa pomyślny, w innych krajach niestety prócz katolickich Niemiec nieznany objaw, że w wielu miastach włoskich katolicy mają większość głosów w radzie miejskiej, a wszędzie prawie dysponują poważną mniejszością.

Rząd zarówno radykalny jak zachowawczy robił co mógł, aby przeszkodzić tej akcyi. Crispi i Zanardelli próbowali pognębić katolików znanemi prawami przeciw instytucyom katolickim oraz grabieżą majętności należących do instytucyi Miłosierdzia. Zachowawcze ministeryum Rudiniego wydało dla złamania katolickiej akcyi pięć znanych okólników nakazujących prefektom wzięcie katolików pod policyjny dozór i ograniczenie dla nich prawa zgromadzeń i stowarzyszeń. Kiedy wybuchły socyalistyczne zamieszki w Medyolanie, ten sam zachowawczy rząd z machiawelską przewrotnością i oczywistą złą wiarą wplątał w tę sprawę katolików, pomawiając ich o sojusz z socyalną rewolucyą, rozgłosił światu za pośrednictwem swych telegraficznych agencyj, że ognisko sprzysiężenia było u OO. Kapucynów, biednych Bogu ducha winnych zakonników uwięził, jako socyalistycznych przewódców, i wraz z innymi wybitnymi katolikami stawił przed sąd wojenny. Kapucynów oczywiście trzeba było wypuścić, ale najznakomitszego z włoskich publicystów Don Dawida Albertario, redaktora medyolańskiego *Osservatore Cattolico,* będącego zdawna solą w oku masonom, skazano jako socyalistę na ciężkie dwuletnie więzienie, jego współredaktora wygnano z kraju. Wielu wybitnych katolików skazano również na dotkliwe kary, zamknięto 50 katolickich dzienników, rozwiązano wszystkie katolickie stowarzyszenia polityczne w prowincyach objętych stanem oblężenia. Masonerya zaapelowała go-

rąco do walki na noże przeciw katolikom, a pod jej wpływem właściciele ziemscy zaczęli odbierać dzierżawy włościanom głosującym za katolikami, pozbawiając ich zajmowanego od setek lat kąta i narażając na śmierć głodową. Po miastach poszczuto przeciw katolickim stowarzyszeniom część radykalnej studenteryi a raczej uliczny motłoch dla zamanifestowania św. oburzenia opinii publicznej przeciw klerykałom przez rozbijanie im głów i okien. Na wsi nie wiele to pomogło; w miastach wywarło wprawdzie skutek, ale sprzeczny z intencyami rządu: zamiast bowiem nawrócić się na rządowy liberalizm, masy ludowe opuściwszy w części katolicki obóz, rzuciły się w objęcia socyalizmu.

Pomimo to wszystko organizacya katolicka nie została złamaną, stowarzyszenia po powrocie normalnych stosunków zawiązały się na nowo a stronnictwo katolickie przedstawia, dziś przynajmniej, na północy stronnictwo przyszłości. Partye rządzące przeżyły się, zarówno zachowawcy, jak liberałowie postępowi. Straszną otchłań zepsucia moralnego w całym rządzącym systemie odkryły światu rewelacye świeżo wyszłe na jaw w procesie o morderstwo Notarbartola przez Maffię. Świat cywilizowany dowiedział się z przerażeniem o porozumieniu i sojuszu wszystkich ministeryów zacząwszy od Crispiego, z osławioną masońską Maffią, której rząd zapewnia zupełną bezkarność w jej rozbojach i morderstwach i dał dowód sumiennego przestrzegania umowy, wstrzymując przez siedem lat bieg sprawiedliwości w tej słynnej sprawie, w zamian za przeprowadzenie przez Maffię wyborów w Sycylii na korzyść rządowych kandydatur. Dzięki temu układowi od lat 20 Sycylia wybiera samych tylko ministeryalnych kandydatów, a Maffia grasuje w niej bezkarnie. Że takie rządy i stojące za niemi stronnictwa nie mają i nie mogą mieć jutra — to każdy we Włoszech rozumie, zwłaszcza że każdy tu widzi jak dalece i fotele ministeryalne, i krzesła w izbie nie są niczem innem, jak tylko środkiem do napełniania własnych i przyjaciół politycznych kieszeni z funduszów państwowych.

Co do opozycyi, ta jest we Włoszech tak niedojrzałą i dziecinnie jaskrawą, taki okazuje brak najelementarniejszego taktu (np. w wyborach kryminalistów odsiadujących więzienie za pospolite, nie za polityczne zbrodnie, nie mówiąc już o modnej obstrukcyi), taką brutalność instynktów i bezwstydność środków działania, że dojśćby mogła do steru li tylko za pomocą rewolucyi, ale utrzymać rządu w swych rękach nie potrafiłaby na długo. Katolicy wobec tego wszystkiego są tymi, do których jutro należeć będzie niewątpliwie, czuje to rząd, czuje tak dobrze, że boi się tej potęgi gorzej od rosnącego wciąż socyalizmu, chciałby jakimbądź kosztem wciągnąć katolików na arenę walk parlamentarnych, od której dotąd trzymają się zdaleka z powodu hasła Stolicy św.: *nè elettori nè eletti*. Pragnąc złamania tej zasady, rząd chciałby z jednej strony zużyć katolików w politycznych zapasach i skompromitować lub przejednać, z drugiej strony jednak chodzi mu o wzmocnienie kruchych podwalin, zjednoczonej przez masonów Italii, nowym, silnym a zwłaszcza zdrowym żywiołem, mniejsza o to, że to będzie opozycya. Że do tego przyjdzie, to wątpliwości nie ulega, jeżeli wogóle parlamentaryzm w Europie, a specyalnie we Włoszech, nie zbankrutuje do reszty w prędkim czasie. W każdym razie oprócz Niemiec nie ma kraju, w którymby katolicy tak dobrze i silnie byli zorganizowani. Dopomaga do tego niewątpliwie praktykowana we Włoszech zasada nieinterwencyi państwa w sprawach Kościoła. Co prawda rząd tej zasady nie przestrzega ściśle, gwałcąc ją stale w kwestyi królewskiego *exequatur* przy nominacyach biskupów a sporadycznie przez zatrzymywanie pensyj duchownym, szykany urządzane Jezuitom i t. p. Nie mniej jednak swoboda ruchów, jakiej używa Kościół, nadaje mu we Włoszech lepsze stanowisko, niż w wielu innych katolickich krajach, pomimo wrogiego usposobienia rządu, sceptycyzmu warstw kierujących i prześladowań masonów. Biskup związany jest ściślej z Rzymem, niż gdzieindziej i bardziej od jego wskazówek zależny; organizacya ma charakter parafialny i dyecezyalny a jednolitość i dyscyplina większe są w niej nawet niż w Niemczech. Najsłabiej stosunkowo przedstawia się prasa katolicka,

przynajmniej co do jakości gazet; pod względem ich ilości bowiem Włochy stoją wyżej od Austryi i trudno znaleść miasteczko trochę większe, któreby nie miało swego katolickiego dzienniczka. Sprawiedliwość wyznać jednak każe, że dzienników tych nikt nie czyta, bo naprzód zbyt są licho redagowane, a powtóre nie mają odpowiedniej publiczności. Lud we Włoszech dzienników nie czytuje, a ludzie wykształceni prenumerują czasem gazety katolickie dla zasady, ale czytają liberalne.

Do kościoła we Włoszech chodzi jeszcze pilnie lud wiejski i nabożeństwa parafialne są po wsiach bardzo uczęszczane. W miastach jest gorzej: i tu jednak widzieć można nieraz zapełnione kościoły na cichych mszach a wśród publiczności spotyka się znacznie większy procent mężczyzn, niż we Francyi. Wieczorne nabożeństwa uczęszczane są tylko na południu, chyba że jest *una festa* z iluminacyą kościoła, paru tysiącami świec i *con scelta musica*, bo to wszystko Włoch lubi i biegnie na takie pobożne widowisko przez ciekawość i próżniactwo, zarówno w Palermo jak w Medyolanie. Inteligencya mało bywa w kościele a bardzo często wprost jest bezwyznaniową. Przyczynia się do tego niereligijne wychowanie w szkołach, na które rozszerzające się w północnych zwłaszcza Włoszech *scuole di religione* nie są w stanie zaradzić. Jakiż więc ostatecznie wydać sąd o włoskim katolicyzmie, o położeniu włoskiego kościoła i wierze włoskiego ludu?

Że katolicyzm włoski jest *sui generis*, to pewne, ale i to pewne także, że pomimo przeciwnych nieraz pozorów Włochy są i pozostaną krajem katolickim. Objawy zewnętrzne pobożności mogą nie zawsze się zgadzać z naszemi wyobrażeniami o powadze religijnego kultu; wierze braknie nieraz pogłębienia, a zewnętrznym praktykom nie zawsze odpowiada podniesienie wewnętrzne etycznego poziomu. Zbytnia niekiedy pobłażliwość i naginanie się władz duchownych do miejscowego temperamentu i obyczaju stały się źródłem nadużyć pewnych i niedoskonałego ustroju nie jednej instytucyi, nie jednego zjawiska w życiu kościelnem. Ogółem jednak życie to ma potężne we Włoszech ko-

rzenie i dość żyzny grunt, aby na miejscu ściętych i wytrzebionych dębów starych wciąż nowe, świeże puszczać pędy.

Ujemną stroną włoskiego katolicyzmu jest zupełny niemal brak inteligencyi świeckiej w katolickich szeregach. Brak ten tłómaczy się przedewszystkiem konfliktem istniejącym, i to w stanie chronicznego zaostrzenia, pomiędzy włoskimi katolikami a rządem. I w innych krajach zdarza się często katolikom być u rządu w niełasce; podczas jednak gdy we Francyi nie dadzą katolikowi posady w administracyi i sądzie, znajdzie on ją w wojsku i w marynarce; w Niemczech zaś katolicyzm przeszkadza wprawdzie do awansu, ale nie wyklucza ze służby. W krajach tych wyższe władze nie lubią wprawdzie katolików, ci ostatni jednak nie stoją w zasadniczym przeciwieństwie do rządu. Z Włochami inaczej. Cały nowoczesny ustrój tego kraju wywołany i doprowadzony do skutku przez wszechświatową masoneryę skupia się i ma oś środkową w zaborze Rzymu papieskiego na stolicę bezwyznaniowego królestwa. Katolicy choćby się pozbyli wszelkich tęsknot za dawnymi burbońskimi i toskańskimi rządami, nie mogą oczywiście zgodzić się na przywłaszczenie Rzymu; dla rządu zaś i dla ogółu społeczeństwa włoskiego *Roma capitale, Roma intangibile* jest narodowym dogmatem. W tych warunkach, być katolikiem w życiu publicznem, znaczy to występować przeciwko idei jedności narodowej i poniekąd popełniać zdradę stanu. Pokolenie dzisiejsze zapomniało o ohydnych środkach, jakimi doprowadzone zostało do skutku połączenie Włoch. Usłużna historya współczesna nie tyle mistrzyni życia, ile fałszerka przeszłości, umie idealizować takie fakta, jak zasadzka w Castelfidardo, jak morderstwo Rossie'go i szlachetnego księcia Parmy, jak zamachy na Piusa IX. i króla Ferdynanda, których wykonawcom wznoszą dziś posągi, jak orgie tryumwiratu w Rzymie i garybaldczyków w Neapolu. Lud wprawdzie jęczy pod ciężarem podatków i nędzy, wzdychając za patryarchalnymi stosunkami z przed lat 40; inteligencya wytresowana w urzędowym patryotyzmie przez szkołę i wojsko, ciągnąca zresztą zyski z obecnych stosunków, ukształtowanych umyślnie na jej korzyść a na szkodę ludu, przejętą jest szowinizmem narodowym. Crispi swymi

wielkopaństwowymi pomysłami podbił jej bębenka i dziś mówić z Włochem o podziale jego ojczyzny, lub zwrocie bodaj jednego tylko Rzymu, znaczyłoby to narazić się na śmiech lub zniewagę z jego strony. Rzecz prosta; proszę spróbować zrobić propozycyę wskrzeszenia Rzeszy Niemieckiej najzacieklejszemu partykularzyście z Hanoweru lub Bawaryi: odpowie z pewnością, że go ciśnie pruski munsztuk, ale że go nie zrzuci za cenę zjednoczenia i potęgi ojczyzny.

Ta idea jedności Włoch tak weszła w społeczeństwo, że nawet w katolickich sferach i wychowawczych zakładach nikt nie próbuje przeciw niej występować, nikomu na myśl nie przychodzi starać się o jej rozbicie. A jednak rozbicie to jest niewątpliwie zasadniczym postulatem każdego włoskiego katolika: stąd trudność, gorzej, bo tragiczność i fatalność jego położenia wobec ogółu społeczeństwa. Owa *Reichsfeindschaft*, którą podczas kulturkampfu walono codzień, jak pałką w łeb centrum, może tutaj zostać zarzuconą katolikom, z pozorami większej słuszności. I to jest powód, dla którego świecki człowiek z inteligencyi nie może należeć do katolickiego stronnictwa jeżeli ma, lub chce mieć jakiekolwiek stanowisko rządowe, jakikolwiek wpływ społeczny, lub jeśli jako kupiec, inżynier, przemysłowiec jest czy od rządu, czy od społeczeństwa zależny. Sztucznie rozniecana i rozdmuchiwana gdzieindziej niechęć i pogarda dla katolicyzmu ma tu tak wyborny punkt wyjścia: wszak katolik jest przeciwnikiem jedności włoskiej, więc przeciwnikiem i zdrajcą ojczyzny.

Jest w tem poważny szkopuł, o który się rozbija odwaga i wytrwałość wielu katolików. Jeden z księży w Wenecyi opowiadał mi, że prokurator generalny państwa i prezydent sądu w tem mieście są jego penitentami i to tygodniowymi — ale przychodzą spowiadać się w wieczornej porze, aby ludziom nie wpadły w oczy ich stosunki z księżmi. Nie jeden z mężów stanu lub wyższych wojskowych czyni to samo. Dziwić się tym Nikodemom trudno — komplikacya stosunków między państwem a Kościołem jest tu istotnie zbyt wielką.

Rzecz ciekawa: podczas gdy w innych krajach główny zarzut przeciw katolikom polega na tem, że zanadto mieszają

się do wyborów i do polityki, we Włoszech danoby im absolucyę za ich katolicyzm, gdyby zechcieli w politycznem i parlamentarnem życiu wziąść udział. Nie kryją się z tem w miarodajnych sferach, że niejedno ustępstwo zwłaszcza na najważniejszem polu szkolnictwa zrobionoby katolikom, gdyby o nie upomnieli się jako katolickie stronnictwo — na Montecitorio. Niewątpliwie też centrum włoskie, gdyby się pojawiło, zajęłoby wkrótce to samo stanowisko w izbie deputowanych w Rzymie, jakie ma w Berlinie.

Dlaczego jednak, jeśli tak jest, katolicy nie wchodzą do parlamentu? Nieraz w sferach bardzo katolickich, wśród wybitnych duchownych, nawet wśród biskupów, słychać na to skargi i mniej lub więcej otwarte ubolewania nad polityką abstynencyjną, nakazaną przez Stolicę św. Wśród stronnictw włoskich skrajna zachowawcza prawica t. zw. *moderati*, która w swem gronie liczy wielu szczerych i nawet gorących katolików a pewna część duchownych nawet wyższych w Piemoncie i Lombardyi, skrycie z nią sympatyzuje. Z drugiej strony wielu katolików należących otwarcie do stronnictwa, kierowanego przez Watykan, w gruncie sympatye te i ubolewania dzieli — i pod tym względem pomiędzy katolikami z odcienia *Unità cattolica* lub *osservatore cattolico* a tymi, jacy się grupują dokoła *Lega Lombarda* np. jest znaczny rozłam, który przy wyborach municypalnych i prowincyonalnych w Medyolanie doprowadził nawet do scysyi we własnym obozie.

Co do przeszłości niema kwestyi, że polityka prowadzona przez katolików była mądrą i zręczną, a obecny stan rzeczy stanowi jej wymowną apologię. A przecie od 40 lat nie było zarzutu i obelgi, którychby nie zwrócono przeciw Stolicy św. za jej zasadę *nè elettori, nè eletti*, nie było dość czarnych horoskopów, jakiemiby jej nie grożono w zamian. Siła, żywotność, świeżość katolickiego stronnictwa, to zasługa tej polityki, bierności tak długo zwalczanej i spotwarzanej.

Co do przyszłości — należy rozróżnić — kwestye zasadnicze od kwestyj praktycznych i postępowanie Stolicy św. od postępowania katolickiego stronnictwa. Wielu włoskich patryotów

ludzi się nadzieją, że jeden z następców Leona XIII. zrobi zgodę i zawrze sojusz z monarchią włoską, mniej więcej tak jak niegdyś Leon III. zawarł sojusz z Karolem W. Gorętsi marzą nawet o koronacyi króla na Watykanie, jak Czesi oczekują koronacyi na Hradczynie. Nie potrzebujemy mówić, że illuzye te urzeczywistnić się nie mogą: Papież przestałby być ojcem chrześcijaństwa i spadłby do rzędu włoskiego metropolity-prymasa, gdyby się zdecydował zawrzeć z Włochami co do swej osoby nietylko sojusz oficyalny, ale choćby urzędowe porozumienie. Niezależność moralna papieża wiąże się najściślej z jego materyalną niewolą: chwila, w którejby galowa kareta papieska pojawiła się na ulicach Rzymu wśród szpaleru włoskich żołnierzy prezentujących broń, byłaby chwilą abdykacyi z wszechświatowego znaczenia i wpływów papiestwa oraz początkiem nowej ery awinionskiej. Że patryota włoski może pragnąć takiego wzmocnienia swej ojczyzny całą potęgą Stolicy św., rzecz to zrozumiała, że jednak Stolica św. na to nie przystanie nigdy i przystać nie może, to również każdy bezstronny zrozumieć musi. Papiestwo musi też zostać jak jest uwięzione w Watykanie, pozbawione wszelkiego urzędowego stosunku z otaczającem je państwem i przez to samo wolne od możliwego zarzutu, że interesa tego państwa i kraju kosztem i z uszczerbkiem innych krajów popiera.

Po za obrębem jednak interesów i niezależności Stolicy św. leży cały szereg spraw specyalnie obchodzących katolickie Włochy. Wprawdzie jednym z motywów bierności katolików jest kwestya zasadnicza, mianowicie wejście do parlamentu znaczyłoby poniekąd uznanie politycznego ustroju nowych Włoch. Nie trudno jednak byłoby w życiu parlamentarnem znaleść przykłady udziału stronnictw nie uznających zasadniczo pewnych punktów państwowej konstytucyi. Niewątpliwie też nie wzgląd zasadniczy, ale praktyczna korzyść rozstrzygną o wejściu katolików włoskich na polityczną arenę. Wejście to jest możliwe: czy dojdzie do skutku i kiedy, zależeć to będzie od ułożenia się politycznych stosunków we Włoszech. Praktyczne rezultaty osiągnięte już dotąd przez roztropną politykę Stolicy św. są

najlepszą gwarancyą, że zmiana frontu nastąpi, jeżeli nadejdzie właściwy do tego moment.

Że nie nastąpiło to dotąd, powód leży podobno przedewszystkiem w niepewności włoskich stosunków i w chwiejności tronu. Katolicy jako żywioł zachowawczy musieliby z konieczności i siłą rzeczy stać się tronu tego podporą, choćby weszli do parlamentu jako opozycya i w ten sposób zamiast zwalczać stan rzeczy, przeciw któremu protestują, utrzymaliby go na swych barkach. Tego rodzaju przysługa leżeć może w interesie króla włoskiego, ale nie papieża ani Kościoła. Przysługa ta miałaby jeszcze i to ujemne następstwo, że naraziłaby katolików masom postępowym i dążącym do politycznego i socyalnego przewrotu we Włoszech, a zarazem rzuciłaby na katolicki obóz część odpowiedzialności za wszystkie krzywdy wyrządzone ludowi, za marnowanie publicznego grosza, krętactwa i niegodziwości polityczne, jakich od dziesiątków lat dopuściły się rządy i stronnictwa, panujące we Włoszech.

Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że udział katolików w życiu politycznem powstrzymałby rozwój coraz to groźniejszych rewolucyjnych prądów. Zdarzyło mi się słyszeć wybitnych katolików, tęskniących otwarcie za zwycięstwem rewolucyi i ogłoszeniem republiki w Rzymie. „Papież, mówili, łatwiej pogodzi się z republiką na Kapitolu, niż z monarchią na Kwirynale, a z chaosu politycznych przewrotów łatwo wyniknąć może takie ukształtowanie się stosunków włoskich, które zapewniłoby Stolicy św. polityczną, a nawet terytoryalną niepodległość".

Wyznaję szczerze, że mnie argumenta te nie przekonały taksamo, jak nie wiele przywiązuję wagi do optymistycznych horoskopów katolików ugodowych, spodziewających się, że prędzej, czy później katolicy raz wszedłszy do parlamentu zdobędą w nim większość głosów i tą większością uchwalą wyrzucenie króla z Rzymu i przywrócenie państwa papieskiego. Historya współczesna nie mało już zrobiła nam niespodzianek, a uznawać coś niemożliwem dlatego tylko, że w danej chwili nie można tego przewidzieć, znaczyłoby nietylko urągać Opatrzności ale

i nauce danej przez dzieje. Wedle ludzkich przypuszczeń jednak nic nie wskazuje obecnie możliwości zwrócenia Rzymu Stolicy św. Natomiast położenie jej obecnie już zawsze trudne i przykre a nieraz nieznośne, mogłoby się jeszcze pogorszyć o wiele, gdyby zamiast monarchii przyszły rządy republikańskie, a co za tem idzie, socyalistyczne. Ślepym jest chyba, kto nie widzi, że punkt ciężkości masońskich i żydowskich wpływów przesunął się dziś na lewo z mieszczańskiego liberalizmu ku socyalnej demokracyi. I jeżeli we Włoszech stronnictwa rządowe są obecnie szczególniej rozżarte przeciwko papiestwu i Kościołowi, a skrajna lewica nieraz zachowuje się wobec katolicyzmu biernie, nie ma co tem się łudzić. Zachowawcy i liberałowie, mniej lub więcej podtrzymujący monarchię, muszą podtrzymywać jej zobowiązania i do pewnego stopnia przynajmniej liczyć się z opinią świata i zachowywać względy przyzwoitości choćby dlatego, że mają pewne polityczne wyrobienie i tradycyę rządzenia. Gdyby do władzy doszedł motłoch uliczny, nie pójdzie on z pewnością za wskazówkami wpływowych na wsi proboszczów, ale uchwyci go pod swoją komendę rewolucya i masonerya, a wtedy hasło: „Precz z Watykanem“ rozbrzmiewać będzie głośniej niż: „Precz z Kwirynałem“. Nie wierzę w możność uczciwych układów z monarchią włoską i z rządami bodaj skrajnej prawicy, nawet w sprawach wewnętrznych włoskiego Kościoła, ale pewny jestem, że demagogiczna rewolucya zniosłaby prędko to wszystko, co uszanowały dotychczasowe przewroty i nie zostawiłaby papieża w Rzymie ani przez chwilę. Hasłem jej przecie jest zagłada chrystyanizmu. Czy na gruzach nagromadzonych przez nią wyrosłoby nowe życie, wytworzyłyby się świeże, pomyślniejsze dla Kościoła stosunki? Zwolennicy zasady „Im gorzej, tem lepiej“ spodziewają się tego stanowczo. Nie wiem, czy mają racyę: to wiem, że złe zapuszcza trwałe korzenie, a choć wywołuje reakcyę, reakcya ta rzadko je zwycięża, częściej zostaje sama pokonana przemocą. Francya przykładem: jak potężnie tam rozwinęła się reakcya zachowawcza i chrześcijańska po rewolucyjnych orgjach, i jak mało zapuściła korzenie w ludność, jak krok za krokiem

ustępować musi od dziesiątków lat przed naciskiem powracającej fali teroryzmu. Czy to samo nie stałoby się i we Włoszech?

W każdym razie przyszłość Kościoła we Włoszech jest ciemną, a ludzkie rachuby przewidzieć jej nie zdołają. Rozstrzygające słowo na jej kartach napisze kiedyś Bóg. Bodajby ono było słowem wyzwolenia i odrodzenia dla nieszczęśliwego kraju, znakiem zwycięstwa, dobrej sprawy i Chrystusowego sztandaru.

(C. d. n.).

Jan Łada.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Obraz literatury powszechnej w streszczeniach i przykładach. *Piotr Chmielowski* i *Edward Grabowski.* T. I. Starożytność i wieki średnie. Warszawa. 1895. (Str. V, 511). Tom II. Czasy nowożytne. Warszawa. 1896. (Str. 648).

Obraz literatury polskiej w streszczeniach i celniejszych wyjątkach. *Chmielowski Piotr.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa. 1898. 8. T. I. VI, 597, II. 498, III. 504.

Coraz szersza i coraz głębsza znajomość literatury powszechnej u nas należy do tych pomyślnych objawów ostatnich lat niewielu, które i dla rodzinnego piśmiennictwa dobrze wróżą. Jeszcze przed laty kilkunastu porównawcze traktowanie zjawisk literackich ubiegłych stuleci należało do rzeczy wyjątkowych; dziś zżyliśmy się już z myślą, że w naszej przeszłości przewiewały te same cywilizacyjne prądy, jakie wstrząsały Europą — i że niepodobna rozumieć, jak należy, dzieł swojskich, jeżeli się nie zna obcych wpływów, które niegdyś powstanie dzieł tych warunkowały. Wistocie też poczęto się tu i ówdzie zajmować powszechną literaturą. Wprowadziły ją do programu swych nauk pensyonaty prywatne; zajęto się podręcznikami. Podręczników i opracowań posiadamy już kilka. Najobszerniejsze opracowanie, pod kierunkiem d-ra Chmielowskiego nakładem Lewentala przez kilku badaczy dokonywane, nie ma przejrzystego i harmonijnego układu, w niektórych partyach dobre, w innych (np. literatura grecka) nie odpowiada wymogom nowożytnej metody krytycznej. Nie należy do idealnie dobrych także dzieło Gostomskiego, we wielu szczegółach, będące skró-

ceniem poprzedniego, ale nie ścisłe, z licznymi błędami, pełne frazeologii częstokroć szumnej i niejasnej, niekiedy stronniczo i nieobjektywnie oceniające zjawiska literackie. Praca to zresztą widocznie kompilacyjna, dokonana przygodnie i zbyt obszernych rozmiarów w stosunku do swej wewnętrznej wartości. Inne mniejsze podręczniki (Bądzkiewicza, Langego. Komorowskiej) — jeszcze mniej na uwagę zasługują. Zdaje mi się, że właściwszą jest rzeczą iść od wypisów do układania podręcznika nauki, niż odwrotnie. Nauka powszechnej literatury nie polega na wybębnieniu *in verba magistri* pewnej ilości ocen, życiorysów, poglądów, tytułów i tp. Polega ona na zaznajomieniu się z odrębnościami twórczości literackiej w różnych wiekach, u różnych narodów, u rozmaitych wybitnych indywidualności, które potrafiły w swe dzieła najlepiej wcielić te odrębności wieku i narodu swego. Ośmielę się nawet utrzymywać, że aby poznać literaturę powszechną, do tego nie potrzeba podręcznika, ale koniecznie, nieodzownie potrzeba wypisów. Myśmy mieli podręczniki (Lewestama, przekład Scherra) od dość dawna, ale nie mieliśmy zgoła wypisów. Świetny też to był pomysł — wydania streszczeń i przykładów. Podczas kiedy dawniej nauczyciel dyktował kurs dziejów literatury, ilustrując nieco czytaniem najlepszych utworów, o ile mógł je dostać, teraz nie potrzebuje wyławiać oddzielnych wydań przekładów po bibliotekach, przetrząsać miesięczników i tygodników, aby znaleźć jakiś ważny przekład: ma to zebrane w dwutomowem dziele Chmielowskiego. Ogrom pracy, włożony w to dzieło, zrozumie każdy, kto wie, jak mało posiadamy przekładów, jak rozsypane są one po czasopismach, jak słabe one bywają w porównaniu z oryginałem. Układający „Obraz" musieli tedy najpierw zgromadzić bibliografię tłómaczeń — rzecz mozolna, choćby nawet z pomocą wielkich ksiąg bibliograficznych Estreichera i innych; następnie ocenić tłómaczenia krytycznie w zestawieniu z oryginałem; dalej z całości wybrać najodpowiedniejsze ustępy, resztę zaś streścić. Jeżeli w przeglądzie epok, narodów i dzieł okazała się luka, przekładu zgoła nie było — postarać się o tłómacza lub samym dokonać pracy; w ten sposób przebiedz literaturę powszechną od zarania dziejów do chwili najnowszej: setki autorów, tysiące dzieł i utworów. Była to puszcza dziewicza, u nas nietrzebiona dotychczas i, aczkolwiek inne narody mają tego rodzaju prace, to w małej zaledwie cząstce ułatwiała zadanie naszym autorom.

Tak dzięki rozległemu oczytaniu, niezmiernie żmudnej czynności i dobrej woli dwu autorów posiedliśmy nieocenione i nad wyraz po-

trzebne dzieło, które przyspieszy niezawodnie zaznajomienie się naszej młodzieży z płodami obcych piśmiennictw i pogłębi znajomość własnego. Dość powiedzieć, że „Obraz“ obejmuje wyjątki z czterystu pisarzy i niezliczonej ilości dzieł; dość powiedzieć, że wszystkim uczącym się, lub uczącym literatury powszechnej, oddaje on niezrównane usługi. Nasuwa mi się tu jednak szereg wątpliwości, które przytaczam, nie aby podać w podejrzenie wartość dzieła, lecz aby autorowie rozważyli je przy następnem wydaniu i jeśli uznają za właściwe — uwzględnili ku pożytkowi rzeczy. Przedewszystkiem książka jest droga. Dużo się w nią włożyło trudu — prawda. Dzieło jest wielkie: dwa tomy ogromnej oktawy o 1150 stronnicach — także prawda. Ale prawda i to, że tylko wcale zamożny uczeń może wydać na książkę szkolną 20 koron, a, co za tem idzie, pożyteczność dzieła rozlewa się nader szczupłym strumykiem na ogół. Objętość „Obrazu“, a zatem i cena urosła do takich rozmiarów z paru przyczyn. Główną, była skrupulatna dokładność. Szanowni układacze mniemali, że obraz byłby niezupełny, jeżeliby się tego lub owego pisarza pominęło. I prawda. Tylko, że każdy musi przyznać, że nie cel piękna i harmonii bywa w układzie takiego dzieła głównym, jeno cel pożytku i praktyczności. Są poeci literatury powszechnej doskonale u nas znani, są zgoła nieznani. Do tych bardzo ogólnie i dobrze znanych należą np. Szekspir, Byron, wielu pisarzy klasycznych, słowem ci, którzy mieszczą się w tanich wydaniach, lub też literaturach, specyalnie do programów nauk należących. Trzeba to było uwzględnić, zarówno w dobieraniu przykładów, jak i w streszczeniu. Wszakże każdy, kto uczy się literatury powszechnej, będzie wolał kupić sobie za kilka groszy Hamleta lub Leara w całości i przeczytać, niż studyować streszczenie i wyjątek w „Obrazie“. A nadto co do streszczeń — te są, i nie zawsze potrzebne i nie zawsze nawet pożyteczne. Zgoła niepotrzebne są przy dziełach znanych, dostępnych, niepotrzebne zaś są wówczas, gdy rozbijają treść jak kliny na drobne cząstki tak, że więcej streszczenia niż poematu. Weźmy np. t. I str. 16 ustęp: „Nal i Damajanti“. Układ taki: trzy wiersze streszczenia, 45 w. poematu; potem idzie 13 w. streszczenia, 10 w. poematu; potem znów 8 w. streszczenia i 6 poematu, i znów 5 w. streszczczenia i 6 w. poematu, a dalej 8 w. streszczenia i 2 (!) w. poematu, poczem 2 w. streszczenia i 8 w. poematu, 6 w. streszczenia i td., i td. Jakże to można z takiego grochu z kapustą rozpoznać i zdać sobie sprawę z piękności utworów? Takiego rodzaju drobienie na cząstki i zastępowanie poezyi prozą powtarza się nieraz w „Obrazie“, zgoła nie ku pożytkowi utworom. Niekiedy

znowu streszczenia są długie, zawiłe, pełne erudycyi wprawdzie, gdyż świadczą, że były czynione w toku lektury dzieła, ale też śmiertelnie nudne i zniechęcające do czytania dzieła. Do takich należą np. streszczenie „Jerozolimy wyzwolonej“, „Rolanda Szalonego“, „Boskiej Komedyi“ i innych. Jeśli one już do całości obrazu literatury należą, to nie powinny odstręczać od niej, lecz raczej intrygować i podniecać: gdy są tak dokładne, że pokryją potrzebę zapoznania się z dziełem, gdy są tak niezajmujące, że zrażą do czytania dzieła — chybiły swego celu. Podobnie, jak usunięcie wyjątków popularnych pisarzy, tak też skrócenie streszczeń wpłynęłoby korzystnie na objętość i cenę książki, nie odejmując jej wartości. Zauważyłem też jedną rzecz osobliwszą. Ilekroć jakiś przekład został kilka razy dokonany przez różnych tłómaczy, tylekroć autorowie „Obrazu“ nie zadawalają się przytoczeniem wyjątków najlepszego przekładu, lecz podają — o ile możności — próbki wszystkich przekładów. Mamy więc „Iliadę“ — kawałek w tłómaczeniu Dmochowskiego, kawałek Jezierskiego, kawałek Mleczki; „Eneida“, podana w przekładzie Wężyka, Trembeckiego, Fr. Ks. Dmochowskiego, Euz. Słowackiego i Fr. Kowalskiego; Tasso w przekładzie Kamińskiego, Kochanowskiego i t. d. Jakie być mogły tego racye? Niewątpliwie mógł zachodzić ten wzgląd, że jakiś ustępik, nieodzowny wśród wyjątków, mógł być u tamtego tłómacza lepiej oddany, niż u tego; ale to wzgląd zbyt mały. Czyżby istniał jeszcze drugi — mianowicie, aby dać nietylko obraz literatury powszechnej, ale także obraz polskich przekładów z literatury? Toby już było nieco zabawne, a dla głównego celu, tj. obznajomienia z literaturą powszechną o tyle szkodliwe, że to samo dzieło, ten sam pisarz w obrobieniu rozmaitych tłómaczy, zmienia swą fizyonomię. Jeżeli tedy trudno wynaleźć ją z dłuższego wyimku jednego tłómacza, to niepodobna prawie z kilku krótkich wyimków różnych tłómaczy. Że zaś autorom o to zapewne chodziło, dowodzi np. przytoczenie tego samego trenu Jeremiasza w dwóch przekładach: Kochanowskiego i Ujejskiego. (I 69—70). Muszę skonstatować, że jest to jedną z większych wad „Obrazu“, który przecież ma nas nauczyć nie przekłady oceniać w sposób porównawczy, lecz poznawać z najlepszych przekładów dzieła literatury powszechnej. Nie mam nic przeciwko temu, że wydawcy „Obrazu“ pod każdem dziełem pomieścili wiadomości o tłómaczeniach na język polski; ale należało poprzestać na tem, albo też pójść konsekwentnie jeszcze dalej: dać próbki wszystkich tłómaczeń bez wyjątku i stwo-

rzyć podręcznik do nauki historyi tłómaczeń. Dla czegóż np. z „Boskiej Komedyi“ podano przekłady Faleńskiego i Asnyka, którzy spolszczali arcydzieło włoskie częściowo tylko, a pominięto zupełnie przekłady Jul. Korsaka i Ant. Stanisławskiego, którzy tłómaczyli je w całości i dawniej? Pewnie dlatego, że Asnyk i Faleński zbliżają się więcej do Dantego, że czytelnik przez nich osiąga wrażenie wielkości oryginału — i słusznie. W nowem wydaniu trzeba będzie uwzględnić tylko Porębowicza, usunąwszy wszystko inne. Wszakże żadnej innej racyi w „Obrazie literatury powszechnej“ nie może być, tylko ta jedna: czy i o ile przekład odtwarza oryginał i daje czytelnikowi odczucia piękności oryginału. W tej mierze braki naszych tłómaczeń są mnogie i do usunięcia trudne. Zdarza się atoli, że brak jakiś usunąć lub usterkę naprawić można, a gdy się tego nie uczyni, wyrządza się krzywdę poecie. Trzeba było zmienić np. wyrażenia: „hańba wieczna temu, co matce ojczyźnie poda tyły“ (I. 113); „wnet drżę i pot gorący ciecze mi po ciele, gdy na młodości spojrzę urok i wesele“ (str. 115); poryżają, nęty, falnym tokiem, okwicie, „by śroższe klęski, brzydszy kał ze dni żywota wysnuć miał“ (str. 155), z gardziołki, z błagaczów; taki zupełnie niezrozumiały dwuwiersz, jak:

W dwójnasób tak posoki płynem się napiją
Ziemia i zgasły, który tę sobie wyprasza. (I, str. 176).

Przedtem jest kropka i potem kropka, a mówi to Hekaba w tragedyi Eurypidesa, przekładu Węclewskiego. Tłómacz ten wogóle pragnął archaizować język, aby dostroić się do starożytnego tragika, ale czynił to dość niezręcznie. Zakryć głowę rańtuchem, upaść do kolan plackiem, dokąd unosi cię noga, niebogie podwiki, rodziciel, w obrzydzie i wiele innych wyrażeń jego rażą w języku i powinny być zamienione.

Tak jak streszczenia, próbki przekładów, cząstkowanie utworów, byle ich było jak najwięcej, tak samo nie zawsze zadawalnia skracanie większych dzieł. Szwankują osobliwie skrócenia dramatów. Biorę np. Eschila „Prometeusza“. Skracać można w dwojakim zamiarze: albo, aby okazać rozwój idei tragicznej, albo, aby przedstawić główne rysy postaci bohatera. W „Obrazie“ byłoby cenniejszem to pierwsze, dla ogólnego uzmysłowienia rozwoju tragedyi greckiej u trzech najwybitniejszych poetów. Skoro się atoli zważy, że postać Prometeusza, po raz pierwszy u Hesioda odmalowana, a u Eschila wprowadzona jako figura tragiczna, później stała się ulubioną kreacyą poetów aż do czasów najnowszych — i że przy nauce nader ponętną jest rzeczą wyod-

rębnić rysy znamienne rozmaitych Prometeuszów, zwłaszcza że „Obraz“ podaje ich kilku, to mimowoli szuka się w Eschilowym wyjątku cech głównych jego bohatera, stosunku jego względem ludzi i bogów, jego zasług — i nic z tego się nie ma. Przytoczona jest z przepięknego przekładu Szujskiego jedna scenka — rozmowa Hermesa z Prometeuszem i z tej scenki nic o tytanie wnosić nie możemy, a tem mniej go charakteryzować. Ani jeden tedy ani drugi wzgląd w skróceniu nie wzięty w rachubę — trzeba je zatem nazwać niefortunnem.

Nierównie więcej zajmująco, o wiele lepiej pod względem tłómaczeń, wyboru i układu wypadł tom drugi, tj. czasy nowożytne. Dosnute są one dość daleko: we Włoszech do Carducciego, we Francyi do Verlaine'a, w Anglii do Rossettiego, w Niemczech do Hamerlinga, w Skandynawii do Ibsena. Nawet Allan Edgar Poe, Maeterlinck, a prócz tego Słowiańszczyzna w rozległym stosunkowo zarysie i najnowsza Japonia pokrótce doznały uwagi wydawców. Co więcej — przekłady są prawie bez wyjątku znacznie lepsze niż w I. tomie, niektóre nawet — dokonane przez tak biegłych tłómaczy jak Porębowicz, Adam M-ski, Miriam, Kasprowicz, wprost wyborne. Cokolwiek za szeroko rozsiadła się w tym tomie liryka, zwłaszcza w drugiej połowie, ale to już nie zależało od autorów „Obrazu“. Wogóle nie da się zaprzeczyć, że książką swą pp. Chmielowski i Grabowski zapełnili dotkliwą lukę w naszych potrzebach szkolnych, że pokonali, piętrzące się im po drodze, mnogie trudności zwycięsko i dali nam dzieło z zakresu powszechnej literatury jeżeli nie doskonałe, to bardzo dobre, jakiego sobie tylko w naszych warunkach życzyć było można.

Mniej zasługi już wypada przypisać p. Chmielowskiemu, jako autorowi drugiego w nagłówku wymienionego dzieła — pokrewnej treści. Jest to taki sam obraz polskiej literatury. Przedewszystkiem nadmienić trzeba, że autor miał już materyał zebrany w „Złotej przędzy“ swojej, a po części w wypisach Tarnowskiego i Wójcika, pominę bowiem cały szereg różnych innych wypisów polskich. Dalej należy zaznaczyć, że celem autora nie było wprowadzać czytelnika początkującego w labirynt piśmiennictwa, lecz „średniowykształconego człowieka“ zaznajomić z ojczystą literaturą. W każdym jednak razie celem dzieła nauczenie — i trzeba za przewodem autora przebiedz ścieżki, jakie on wskazuje. Dzieli całość na ośm okresów: 1. literaturę średniowieczną, 2. świt humanizmu, 3. rozwój humanizmu i reformacyi, 4 czas ściemnienia światła i zepsucia smaku, 5. czasy reform politycznych i pseudoklasycyzmu, 6. początek i najświetniejszy rozkwit romantyzmu, 7. prze-

kwitanie romantyzmu, 8 czasy realizmu. Podział mniej więcej tak samo nieszczęśliwy, jak wszystkie dotychczasowe podziały naszej literatury: zupełnie sztuczny, oparty na schematycznie brzmiących nazwach prądów — klasycyzm, romantyzm, pseudoklasycyzm i t. d. Ponadto o tyle gorszy jeszcze od innych, że nie objektywny. Co to znaczy np. czas ściemniania światła? Jakie to światło się ściemniło — czy humanistyczne? Dla badacza jest obojętną rzeczą, czy ideały pewnego okresu czasu odpowiadają jego sympatyom osobistym lub nie. Z tego punktu widzenia reakcya katolicka przeciwko pogańskiemu humanizmowi, tak bujna w połowie XVII. wieku u nas — nie będzie ściemnieniem światła — tylko reakcyą przeciw humanizmowi. A także owo zepsucie się smaku, w nagłówku okresu umieszczone, bez wyjaśnienia dziwnie dosyć wygląda nawet wobec przeładowania okresu przykładami z lichych poetów, na szkodę celniejszych. Wogóle wyznaję, że niepedagogiczną jest dążność zaznajomienia się z literaturą za pomocą odczytywania drobnych ustępików z wielkich całości. Jeżeli średnio ukształcony człowiek nie będzie znał trzech kartek Gallusa, jednej kartki z „Żywotu św. Stanisława“, jednej kartki z „Kroniki Wielkopolskiej“, jednej stronicy z „Optyki“ Witeliona i t. d. i t. d., a natomiast przeczyta sobie — dajmy na to — w całości „Treny“, „Odprawę posłów“, „Psałterz“, „Żywot“ Reja, „Dworzanina“ Górnickiego — to mu przecież nie odmówimy kwalifikacyi, na średnie wykształcenie. Prędzej odmówilibyśmy wtedy, gdyby wszystkiego liznął potrosze — a nic nie znał w całości. Wolę zatem wypisy, które mi dają mało rzeczy — ale rzeczy całych i najlepszych, niż wielkie *mixtum compositum*, istną *sylwę rerum* przenajrozmaitszej jakości. Suszyłem sobie głowę np., w jakim celu wydawca pomieścił na str. 18—19 całych 25 wierszy z dzieła optyka Witeliona? Proszę uważać: dwadzieścia pięć wierszy druku! Kogo i czego ten wyjątek z dzieła nauczy? Czy da poznać styl, czy sposób badania naukowego, czy streszcza wynalazek cudowny, czy co? Wszak to nareszcie niema sensu. Prawda, że Wypisy Tarnowskiego i Wójcika w swojem pierwszem wydaniu miały sporo takich samych wreszków, ale w drugiem już się ich pozbyły i ujawniły piękną dążność do wyosobnienia głównych, typowych, najcelniejszych pisarzy, streszczających w swych dziełach jakąś kapitalną cechę czasu — i do przedstawienia ich w większych wyjątkach. I cóż mi z tego, że „Obraz“ p. Chmielowskiego daje parę stron Gawińskiego, parę stron Bielskiego i Kromera, i Miaskowskiego, i Grochowskiego, i Pawła z Brudzewa,

i Jana z Głogowy, i różne średniowieczne żywoty i różne średniowieczne pieśni; i cóż mi z tego, skoro mi daje potem zaledwie kilkanaście kartek Kochanowskiego, zaledwie 6 kartek Skargi i 6 kartek Górnickiego! Co najmniej osobliwie rozparł się w „Obrazie“ Rej ze swoją poezyą na 13 kartkach wobec Skargi, którego „Kazaniom sejmowym“ (jedyne dzieło podane i to z błędną datą wyjścia: 1600) wyznaczono sześciokartkowy kącik. Właśnie tez, skutkiem mnóstwa wprowadzonych osób, traci się zgoła przegląd ważnych zjawisk. Pewien warszawski recenzent ubolewa jeszcze nad niepełnością „Obrazu“ i pragnąłby włączyć doń wielu pominiętych. Wypływa to z tego błędnego mniemania, jakoby znajomość literatury polegała na wtłoczeniu w głowę o ile tylko można największej liczby dat, nazwisk, tytułów i na odczytaniu, ile można jak największej liczby kartkowych wyjątków z dzieł. Tego rodzaju wypisy byłyby doskonałym rozsadnikiem blagi i płytkości, rezonowania o pisarzach i dziełach bez przeczytania ich. Wielką pedagogiczną zasadą w tej mierze powinno być: *non multa, sed multum.* Lepiej zna XVI. wiek ten, kto przeczytał polskie pisma tylko Reja, Kochanowskiego i Skargi w całości, niż ten, kto przewertował wycinki z pięćdziesięciu różnych autorów tego wieku.

Drugi zarzut, jakibym „Obrazowi“ zrobił, to znowu niefortunne skracania dłuższych utworów. W „Odprawie posłów“ Kochanowskiego pominięto najpiękniejszy ustęp, tj. chór trzeci, „przyganiający greckim chórom“. Z obrad senatu trojańskiego podano tylko mowę Iketaona, jakkolwiek rzecz jest widoczna, że mowa ta nabiera znaczenia tylko w zestawieniu z poważną, argumentów rozumnych pełną, mową Antenora i z mową Aleksandra. Całość ma charakteryzować sejm polski, gdzie często namiętne gardłowanie, pełne prywaty, zwyciężało nagle i wbrew oczekiwaniom. Iketaon w streszczeniu nazwany „butnym przedstawicielem większości“ niesłusznie. Stał się on takim dopiero po swem przemówieniu warcholskiem, ale przed niem większość mowców podzielała mniemanie rozsądnego Antenora: „toż Eneas mówił, toż Pantes, i Tymoetes, zgadzał się i Lampon i Ukalegon z nimi“. Z sielanek Szymonowicza przytaczają wypisy tylko „Żeńcy“, „Zalotnicy“ i „Kołacze“. (Sześć kartek wobec ośmiu wydzielonych Kłonowiczowi!) Mniejsza o to, tylko znów „Kołacze“ uległy nieszczęśliwemu obcięciu: podano mianowicie tylko skargi panny, a opuszczono cały ustęp obrzędowy i obyczajowy, przez co stał się tytuł sielanki zgoła niezrozumiały: nikt nie zgadnie ani dlaczego to ma być sielanka ani dlaczego ma tytuł — „Kołacze“, skoro nawet wzmianki niema o ślubnym obrzędzie. A jakże

skrócono „Powrót posła“ Niemcewicza. Ustaliło się w krytyce mniemanie Tyszyńskiego, że to najlepsza komedya XVIII. wieku. Jeśli tak, to najlepszą czyni ją charakterystyka dwu obozów politycznych: starorepublikańskiego — z taką precyzyą szczegółów przedstawionego w postaci starosty i patryotycznego, który wyobraża podkomorzy, podkomorzyna i Walery. Jeżeli nie można dać całej komedyi do „Obrazu“, trzeba dać wyjątek, rzucający światło na komedyę, jako na satyrę polityczną, a zatem trzeba dać starostę Gadulskiego. Bez niego każdy wyjątek będzie mało znaczył. Tymczasem krótki wyciąg (str. 539—543) zestawia Szarmanckiego i starościnę — tj. wpływ francuszczyzny. Jakże czytający ma z tego wyciągu wymiarkować, że „Powrót posła“ był komedyą polityczną, — i nareszcie czy krytyk ma prawo do swego widzimisię dociągać lub zmieniać intencye autora: że postać starościny wydaje się p. Chmielowskiemu doskonałą, dlatego z całej komedyi ją tylko pozwala czytelnikowi poznać, choćby traciła na tem znajomość głównego celu i głównych figur utworu. Niewłaściwie obcięta jest też „Barbara Radziwiłłówna“ Felińskiego. Mamy tu mianowicie jedną jedyną scenę z aktu IV.: dyalog między Kmitą a Tarnowskim. Bona, Barbara, Zygmunt — wszystko zniknęło. Myślę, że niepodobna zrozumieć tragedyi inaczej, jak gdy się porówna Barbarę Felińskiego z Barbarą historyczną; tylko wówczas można mówić o wpływie wzorów francuskich, bo tylko wówczas dostrzega się, jak Feliński modyfikował historyę gwoli ideałom. Ale gdy wyjątek zupełnie pomija figurę główną — wtedy niema co mówić o tragedyi. Nikt jej nie pozna z dwustronicowego urywku. Tak samo skracane są utwory naszego wieku; niektóre trafnie, niektóre zgoła źle. W „Ojcu zadżumionych“ pominięto najpiękniejszy środkowy ustęp: śmierć Hatfe. „Lilla Weneda“ podaje istotnie jedną z najtragiczniejszych scen: wybór ojca między córką a harfą. „Nieboska“ Krasińskiego ma w „Obrazie“ również niezbędną do charakterystyki obu postaci Pankracego i Męża scenę: ich rozmowę w komnacie hrabiego. Ale „Irydyon“ znowu chybiony w skróceniu. Ani jego ostateczna rozmowa z Ulpianusem, ani wyjątek z zakończenia nie są do zrozumienia postaci bohatera nieodzownie potrzebne. W architektonice poematu rozmowa ta, napisana z niepospolitą siłą słowa, stanowi tylko końcowe ogniwo stosunku Irydyona do pretoryanów zamiejskich z Aleksandrem Sewerem i Ulpianem na czele. Nie jest zatem — choć piękna — zasadnicza. Mieści ona w sobie historyograficzne poglądy Irydyona — to także prawda; ale nie one dają pojęcie o tragedyi. Dusza w rozbiciu, prądy agitacyi i akcyi, przeszkody i walki

z przeszkodami w dążeniu do celu — to trzeba poznać, aby „Irydyona“ poznać. A idei tragedyi nikt dokładnie nie zrozumie bez wmyślenia się w końcowe strony epilogu: otóż są one pominięte w skróceniu.

Nietrafnie także skrócono wiele innych dłuższych utworów, zwłaszcza komedyj i tragedyj, np. „Śluby panieńskie“, „Mnich“ Korzeniowskiego i t. p. Nie przeczę, że wybór scen i wyciągów z arcydzieł bywa rzeczą nader trudną; zdaje mi się jednak, że wogóle przy takim wyborze należałoby sobie wytknąć jakąś zasadę — i trzymać się jej: czy chodzi o tragiczność utworu, o konflikt, o kolizyę, o główne figury, mniej już o przepych barw języka i stylu. Zasada taka nie może być stałą, gdyż każdy wielki utwór ma swe odrębne, indywidualne lico, ale musi ona istnieć. Tymczasem nie widzę tego w wyborze i skracaniu dzieł „Obrazu“ — a tam właśnie szukam rozmysłu i rozwagi. Przecież jeśli mi ktoś powie: wybierz mi coś z liryki Mickiewicza lub Słowackiego, to ja mu bez trudu wskażę: „Oda“, „Sonet krymski“, „Żeglarz“, „Improwizacya“ wielka, „Smutno mi Boże“, „Mój testament“ — tu wybór łatwy. Ale gdy mię kto prosi o wybranie z „Irydyona“ tych ustępów, któreby charakteryzowały bohatera tragicznego wśród walki, rozwój i przebieg konfliktu, ideę tragedyi w przeciwstawieniu do idei Wallenroda, wówczas muszę sobie dobrze głowę nasuszyć, nim w całość ułożę odpowiedni wyciąg scen.

Nie mogę zatem przyznać, aby wybór ustępów i umiejętność skracania dłuższych całości w „Obrazie“ były bez zarzutu; nie mogę zgodzić się na to, że „Obraz“ daje wyjątki z wielkiej ilości pisarzy, nie zaś wielką ilość wyjątków z najlepszych pisarzy. I pod tym względem winienem oddać palmę pierwszeństwa Wypisom Tarnowskiego i Wójcika (II. wydanie). „Obraz“ powszechnej literatury — należy do dzieł niepospolitej użyteczności; „Obraz“ polskiej nie zalicza się do najlepszych prac tego rodzaju, a co gorsza — może służyć jako ilustracya nie naszej literatury wogóle, tylko literatury, widzianej przez pryzmat pewnego jakiegoś podręcznika...

Antoni Mazanowski.

Amorem tui. — Ojciec Remigi. — Bliźni. *Książę Michał Radziwiłł.*

Miło jest wyjść ze mgły na słońce, z zaduchu na świeże powietrze — a tego właśnie doznaje się wrażenia, gdy po przeczytaniu kilku nowomodnych kreacyj o mglistych formach i niepochwytnej myśli, bierze się w rękę którykolwiek z utworów księcia Michała Radziwiłła. Co prawda nie ma tam sztucznych zwrotów, ani imponujących „młodym“,

o niezrozumiałych wyrażeń, ani tej atmosfery niezdrowej, złożonej z wyziewów ludzkich, koniaku, więdnących kwiatów, tanich pachnideł, kurzu i odpadków cygar, do jakich przywykły płuca w ostatnich dziesiątkach XIX wieku. Za to jest — prostota — stanowiąca dziś oryginalność, jest szczerość i gorącość uczucia, jest *Sursum corda,* nieocenione w naszej epoce pessymizmu i mdłej a gorzkiej apatyi. Drobne to wszystko utwory, znać, że to nie dzieła autora pracującego w tym samym duchu, ale na innem polu — ale raczej odpadki jego dzieła, coś jakoby małe wytryski ze źródła spływającego innem korytem. Najdawniejsze z nich — a bezsprzecznie najwyższe, to broszura zawierająca zaledwie 59 stron, a w niej istna pieśń wiary, miłości i nadziei: *Amorem tui!*[1] Niedyskrecyą jest może mówić o tem dziełku, któremu autor poskąpił podpisu bo mu się zapewne wydał zbyt „własny", ze zbyt głębokich tajników duszy wydarty. Żyjemy jednak w wieku niedyskrecyi prasowej i gdyby za czyn podobny trzeba się wstydzić, tożby wszystkie dzienniki, czasopisma musiały spłonąć od ustawicznego rumieńca. A zresztą nie godzi się świecznika chować pod korcem... *Amorem tui* pisane jest prozą a trudno o wyższą poezyę, pisane z wielką skromnością wyrażeń a są w nich szczytne efekty, treść nie zawiera faktów, a mamy przed sobą cały dramat, rozgrywający się pomiędzy duszą a Bogiem. Dusza to piękna, wirem światą znużona, ale nie złamana, uciekająca do stóp Chrystusowych, tuląca się do Jego krzyża. I Chrystus przygarnia ją miłośnie, ale jej nie da spoczywać; uzbroiwszy posyła ją napowrót w świat, pomiędzy ludzi ciemnych, grzesznych, cierpiących. Posyła ją dla apostołowania — zrazu tylko przykładem i odważnem wyznawaniem Boga: „Strzeż wszystkich przykazań moich wielkich i najmniejszych i nie mów w lenistwie twojem ‚to ważne, a to mniej ważne', ale wszystkie miej za ważne i za niezbędne do zbawienia twego, bobyś przestał być moim sługą powolnym. A w miarę jak życie twoje do nauk moich coraz to więcej stosować będziesz, obfitszy dam owoc pracy twej cichej i więcej przez ciebie działać będę na świat..." Przechodzi czas i dusza zdumiona powraca do krzyża: „Panie mój! Niepoznaję życia mego, wielkie zmiany uczyniłeś mi. To com sądził być wielkiem, małem już jest a małe — wielkiem. Miłość twoja wszystko przemienia, rozszerza i wzmaga bo w najdrobniejszej rzeczy możesz być cały, a mój Bóg olbrzymim jest... O niechby świat widział, coś sprawił we mnie, powiem wszystkim, że mnie uleczyła miłość Boża!

[1] *Amorem tui!* Warszawa, Drukarnia St. Niemiry synów, 1897. str. 59.

I wychwalać będę Imię Twoje, a ucho moje wciąż wytężone będzie ku rozkazom Twoim, bo byłem chory a uzdrowiłeś mnie, byłem stęskniony a uradowałeś mnie, byłem bezsilny a pogrążyłeś mnie w wodach miłości Twojej i stałem się silnym i niezwalczonym".

Chrystus. Tak sługo mój! Uwierzyłeś miłości i miłość uzdrowiła cię. Żałuj tych, którzy jej nie mają. Idź teraz w Imię Moje i drugich ucz. Powiedz im, że „Miłością Jam jest!"

I dusza idzie, jak gołębica z arki wypuszczona, na wielki świat, ale widzi ziemię całą zatopioną potopem bezprawia i, nie mając gdzie spocząć, znów powraca do Pana. Pan zaś chciał tylko, aby wypróbowała bezsilność swoją, więc wysyła ją znowu, dając jej krom miłości modlitwę, pod której mocą zgniłe wody opadać będą, a w miejscu błota powstaną pola i łąki kwitnące. Istotnie potop ustępuje zwolna, z ponad wód wychylają się pagórki zielone, na które dobry Pasterz zawiedzie trzody Swoje i zielone drzewa otrząsły rosę złego i gałęzie wyciągnęły ku niebu... Gdyż zalew ustąpił w niziny a modlitwa, której pobłogosławił Bóg, była jak tchnienie wiatru gorąca... „A nie była to modlitwa jednej tylko duszy: w lotach swych gołąb Boży napotkał inne gołębie bielsze, wprawniejsze", lecące na skrzydłach miłości. Kierowały się one niżej, ku miejscom cuchnącym i ciemnym i całowały w przelocie zatrute wody. Od białości ich skrzydeł na potopie ciemnym robiło się jaśniej i oświecały się otchłanie złego"...

Wkrótce i dusza nowego Apostoła spuszcza się na ziemskie niziny: autor opisuje działania jej na bliźnich w prostych pięknych przykładach z codziennego życia. Pracy towarzyszy wesele Boże, coraz to nowa cnota wzbogaca skarb sługi Chrystusowego, coraz to obfitszy plon z pod dzieła rąk jego wyrasta. Pracuje nawspół z innemi pod cieniem Krzyża — niemniej przeto i jemu jest ziemia miejscem wygnania, więc serce rwie się do śmierci, a raczej do Pana swojego: „Kiedyż, ach kiedyż o Panie dasz mi utonąć w nieprzebranej twojej miłości?..." Wreszcie przychodzi upragniony zgon, ale przed nim i męki przedśmiertne. Pokusy straszne, mary grzechów młodości, gniotące sumienie, ostatnia walka o duszę między piekłem a niebem. Niebo zwycięża, w miejsce złowrogich mar wstępują postacie aniołów, świętych, apostołów, „owych rybaków Bożych tak chciwych dusz". I wyrywając się ku nim dusza bezsilne opuszcza ciało w słodkiem westchnieniu imienia Jezusowego...

Radzibyśmy, aby książę Radziwiłł był tu zakończył pieśń swoją. Po tem życiu człowieka dobrej woli, po tem skonaniu w ramionach

Chrystusa, zadziwia nas i niemal razi obraz sądu Bożego, Stwórcy, przyjmującego surowem obliczem wiernego sługę. Wiadomo, niestety, iż nikt i nic nie jest czystem przed Panem, że nawet święci prosić Go muszą, ażeby z nimi nie wchodził w sąd — tu jednak ma się trochę wrażenie, jak gdyby Pan Bóg przekomarzał się z biedną duszą i, nastraszywszy ją dobrze, potem dopiero pocieszył. Lepiej zawsze sprawy sądu zostawić miłosierdziu Bożemu, a, nie wchodząc w to co po śmierci naszej się stanie, powtarzać tylko modlitwę, którą autor zaczyna i kończy swą pracę: *Amorem tui solum cum gratia tua mihi dones et dives sum satis nec aliud quidquam ultra poses!*

W rok po *Amorem tui* okazał się tym razem już z podpisem — pod tytułem „Bliźni“ [1], zbiór powiastek, znany już przeważnie czytelnikom *Biblioteki Warszawskiej*, ale teraz dopiero puszczony, w wykwintnem wydaniu, pomiędzy szersze koła publiczności. Trzymane w mniej wzniosłym tonie od poprzedniego utworu, są jednak tymże samym przesiąknięte duchem, wieje z nich miłość Boża i miłość ludzi a przytem (krom w dwóch) wesołość i rysy dowcipu. Paradny jest np. obrazek przedstawiający dwie staruszki, gracyalistki, zmuszone pędzić ostatki życia „W jednej izbie“ a przytem, mimo istotnej poczciwości, dogryzające sobie wzajemnie na każdym kroku. Oba typy różne a wyborne — widocznie z natury wzięte: któżby np. wymyślił taką p. Stępniewską, nie mogącą już chodzić do kościoła, ale strojącą się na czas sumy w mantyllę i kapelusz z piórami i zasiadającą w paradzie tej nad książką do nabożeństwa! Albo ta morska ryba solona, przysłana w beczułce przez córkę i stająca się powodem zazdrości, dumy, przytyków i skarg! Kłócą się babinki, aż jedna z nich umiera, a wtedy druga spostrzega się, że bez niej żyć nie może, że to była jedyna jej przyjaźń i pociecha na ziemi...

Dwie długie powiastki „Wuj“ i *Agnus*, złączone pod wspólną nazwą „Siostra Anastazya“, wprowadzają nas w głąb jednego z najpiękniejszych zakładów dobroczynnych Warszawy, domu wychowawczego dla sierot i moralnego przytuliska dla terminatorów. Już to trzeba przyznać: nigdzie w Polsce nie robi się tyle dobrego, co w tej biednej Warszawie okrzyczanej jako wyłączne siedlisko zabaw, wyścigów i zbytku. Charakterystycznym zaś objawem jest rzadki gdzie indziej udział mężczyzn w dziełach miłosierdzia: siły, które w Krakowie lub Lwowie

[1] „Bliźni“. Z illustracyami Cz. B. Jankowskiego. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1898. Str. 215.

pochłaniają polityka i urzędy — tu poświęcone są literaturze lub czynnej służbie bliźniego. Ponad tymi a raczej obok tych, pewne koterye (daleko mniej liczne niż się zdaje) bawią się i zbytkują, że zaś czynią to głośno, a dobre uczynki wypełniane są cicho, przeto nie dziw, iż o jednych wie cały świat, a o drugich tylko Pan Bóg i biedni.

Siostra Anastazya jest jednym z owych legendarnych, ale szczęściem bardzo rzeczywistych typów Szarytek, jakie spotyka się pod każdem niebem, zawsze równie anielskie i rycerskie, rzewnie kobiece i męzko-praktyczne, z twarzą pełną łez i uśmiechów, z rękami zapracowanemi po łokcie i siłami, które Pan Bóg co dzień cudownie rozmnaża. Owóż Siostra Anastazya miała szczególną pieczę nad terminatorami, wychowanymi w Zakładzie i rozlokowanymi teraz u majstrów po mieście, skąd co sobota wieczór przychodzili po świeżą bieliznę, a co niedziela na gawędę i podwieczorek. Przychodzili i tacy, co już czeladnikami i podmajstrzymi byli w swym fachu, wracali — niegdyś bezdomne sieroty — do domu, który się stał ich domem rodzinnym; od wojskowych przychodziły listy z Sewastopola, z Krymu... Jeden tylko nie pisał, Kowalski — czarny baran wśród białej trzody; Siostra, mówiąc o nim, wzdychała, bo pono wstąpił na najgorszą drogę. Za to Konopka, przezwany „wujem“ dla przedwczesnego zarostu, był źródłem największej pociechy: stateczny, pracowity i dziwnie pobożny, budził nawet nadzieje, że — księdzem zostanie! Byłby to pierwszy z wychowańców Zakładu... W sercu zakonnicy, kędy miejsca na inne marzenia nie stało, wyrósł gmach cały złudzeń o powołaniu chłopaka, aż tu pewnego dnia Konopka przyszedł do niej wyelegantowany z prośbą, aby go wyswatała! Rozczarowanie było bolesne, gmach runął, nadzieje się rozwiały. Po niejakim oporze biedna Anastazya musiała z wolą Bożą się zgodzić. I ledwie ze łzami w oczach uczyniła Bogu ze swych pobożnych marzeń ofiarę, aliści odebrała list z Częstochowy, od tego Kowalskiego, którego za straconego już miała, a który teraz donosił jej, że do klasztoru wstępuje. Rzewną też bardzo jest powieść *Agnus*, dzieje powrotu innej zbłąkanej owieczki, wyjednane nie perswazyą i napomnieniem, ale taktem i słodyczą Siostry. Dobre tam również typy warszawskie i obrazki z uboższych dzielnic. Ilustracye przytem wcale udane.

Dziwnie trochę pomiędzy dwoma staruszkami swarzącemi się „W jednej izbie“ a „Siostrą Anastazyą“ wyglądają dwie powiastki z „Nad morza“. I tu widzimy dzieje poświęcenia dla bliźnich, ale jakoś trzeba wysiłku, aby się nagle przenieść z ulicy Freta na bretoń-

skie wybrzeża lub na łódź wściekłymi bałwany miotaną. Opisy tu są piękne, a język polski zazwyczaj nieco ciężki, gdy chodzi o morskie rzeczy, użyty z prawdziwą maestryą. Czytając, zdawałoby się, żeśmy przywykli do opisywania burz morskich i życia okrętowego, takie tu bogactwo wyrażeń i swoboda stylu. Pierwsza z nowelek tragiczna, ale znacznie od następnej wyższa. Szkoda może, iż autor nie przeniósł jej nad brzegi Bałtyku, gdzieś w okolice Pucka lub Władysławowa.

Ale spieszno już przejść do najnowszego utworu księcia Radziwiłła, wydanego już pod firmą r. 1900, a stanowczo najlepszego po *Amorem Tui*. Tym razem znów książka niewielka, 79 stron, wązkiego a podłużnego starożytną modą formatu. „Ojciec Remigi“ [1] jest tytułową postacią powieści, a raczej szkicu z dziejów kasaty zakonów w Królestwie Polskiem. Klasztor Reformatów zamieniono na parafię, zakonników sekularyzowano i rozesłano po kraju; przełożony, podobnie jak kilku innych, otrzymuje probostwo na wsi. Probostwo niezłe, dochody przyzwoite, plebania wesoła, kościół w dobrym stanie, ale zakonnik, który od 43 lat przyrósł do swej reguły i do swych murów klasztornych, który raz tylko w życiu spóźnił się na Jutrznię i potem całą noc płakał, a teraz przed odjazdem ponowił swe śluby — nie może miejsca sobie znaleźć wśród nieznanych dotąd doczesnych trosk, prac gospodarskich, złodziejstw i plotek wiejskich. Zamęcza się, tęskni i słabnie na zdrowiu; pod wolą Bożą uchyla kornie głowę, ale podwójny klucz od furtki klasztornego kościoła nosi ustawicznie w kieszeni. Po paru latach wydarza mu się radość: odwiedziny jednego z dawnych Braci, podobnie jak on sekularyzowanego na proboszcza. Ale radość niedługa, bo O. Jacenty wśród innych nowin opowiada, iż młody proboszcz, któremu ich dawny kościół oddano, zmienił go, pomalował, odświeżył, chórek wyrzucił, cofnął wielki ołtarz i wyciął topole z podwórka... O. Remigiemu krew uderza do głowy: a toż to świętokradztwo upstrzyć starą świątynię, zatrzeć jej tradycyjne w Zakonie ubóstwo, ściąć drzewa! Zrazu pociesza się nieco, wywodząc w nocy O. Jacentego do kościoła na modlitwy, jak dawniej w klasztorze; myśl jednak o pogwałconej świątyni nurtuje go i męczy. Postanawia wreszcie przekonać się sam. Jedzie, w drodze czuje dreszcze, gorączkę, ale jedzie dalej, spieszy, byle dojechać! U wstępu wita go z wieży głos starego dzwonu na Anioł Pański — tego przynajmniej odmienić nie śmieli. Ale dokoła pusto, więc dobywa z kieszeni stary klucz od

[1] „Ojciec Remigi“. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1900. Str. 79.

furty i wchodzi. Od progu olśniewa go blask. Ściany powleczone marmurem, ołtarz wspaniały wznosi się w głębi wysoko, na sklepieniu, wśród lazuru niebios, jaśnieją białe postacie aniołów i świętych: istne *Gloria in excelsis*. I pada na kolana w głębokiej pokorze: toż ten nowy sługa Boży dobrze uczynił, wspaniałą Panu sporządził świątynię! Wzniósł oczy i wpośród świętych na prawo rozeznał postacie św. Franciszka, św. Antoniego, Piotra z Alkantary i innych Ojców Zakonu. Ale wtedy chwycił go straszny żal: gdzież się podziało zakonne ubóstwo, gdzież cała praca lat tylu, gdzież Bracia rozegnani po świecie? Żywi daleko, ale tu, pod posadzką stoją szeregi trumien zakonnej Braci, cały cmentarz Reformatów rozciąga się pod kościołem. I wśród gorączki wraca mu na myśl Ezechiel, prorokujący na rozkaz Pana kościom bielejącym i suchym:

„Powstał nagle ksiądz Remigi. Wyprostował się jakby miał przemówić do ludu. Twarz mu gorączkowym spłonęła rumieńcem. Gwałtownym ruchem wyciągnął rękę do góry i począł w głos wołać:

„Słuchajcie Bracia, słuchajcie słowa Bożego, oto co mówi Pan!— Głos zakonnika rozlegał się donośnie w pustej świątyni, budząc dokoła szerokie echa. — Wprowadzę w was ducha i ożyjecie. Położę na was żyły i ciało i oblokę was skórą i tchnę życie w was i będziecie wyznawali, żem ja jest Pan“.

Ojciec Remigi oddychał ciężko. Twarz jego zbladła.

„Synu człowieczy, powiedział Bóg, prorokuj Duchowi, mówiąc: Oto ci rozkazuje Pan. Przyjdź Duchu od czterech stron świata i powiej na tych umarłych a będą żyli“.

Obrzucił rozpromienionym wzrokiem sklepienie świątyni.

„Prorokowałem wedle rozkazu Pańskiego i wnet odżyli umarli!— wołał — „i podnieśli się na nogach swoich“.

„Słyszycie Bracia! Podnieśli się na nogach swoich! I stało się jakoby wojsko wielkie, a Pan rzekł do mnie: Synu człowieczy, te wszystkie kości to dom Izraela“.

Umilkł wyczerpany i opuścił ręce. Z podniecenia gwałtownego przeszedł teraz w żałość i skargę. Zwróciwszy ku ołtarzowi twarz zalaną łzami, rozciągnął się na ziemi:

„Panie!“ — modlił się łkając. — „I my byliśmy twojem wojskiem wielkiem. Kości tu pod ołtarzem złożone to dom Izraela! Czy ożyć mogą? Ty Panie Boże wiesz. Przyjdź Duchu ubóstwa. od czterech stron świata, przyjdź Duchu pokory i powiej!...“

Po chwili jęknął.

„Lecz jeśli inaczej rozkazałeś Panie, daj nam połączyć się tam przynajmniej, jeśli już tu nie możemy".

Poczuł, że go opuszczają siły. Pot zimny oblewał mu czoło. Dźwignął się na klęczki, przeżegnał się wielkim znakiem krzyża i z wysiłkiem powstał. Lecz nagle zachwiał się, pociemniało mu w oczach i całym ciężarem runął na ziemię...

Gdy w porze nieszpornej otwarto kościół, kościelny, dawny brat Placyd, stanął osłupiały. Dawny przełożony klasztoru leżał na posadzce dawnego chórku, martwy, z uśmiechem na ustach i rozkrzyżowanemi ramiony. Zakonnik według dawnego swego życzenia miał zejść do klasztornych podziemi, gdzie Reformatów bieliły się kości.

Widocznie Pan Bóg tak chciał.

Z przytoczonych ustępów czytelnik sam poznać może rodzaj stylu księcia Radziwiłła. Może też poznać ducha, który te utwory przewiewa.

T. W.

Listy Dyonizyi Poniatowskiej do Bohdana i Józefa Zaleskich. Kraków. Gebethner i Spółka. 1900.

Któryż z czytelników jednego z wybitniejszych spółczesnych powieściopisarzy francuskich nie zapamiętał owej przedziwnej, zaczarowanej kartki z podróży po morzu Śródziemnem, gdy po przez fale uciszonego nocą morza, z niewidzialnych wybrzeży Riviery nagle zrywa się wieczorny powiew, niosący z sobą roślinne wonie stoków alpejskich i urwane dźwięki melodyj, wygrywanych przez orkiestrę w ogrodach publicznych. Melodya płynie po fali, przybliża się, rośnie, jakby nadpowietrzna pieśń uderzająca w podwójny błękit morza i nieba. Rzekłbyś, zaklęty śpiew ściga żeglarzy, ogarniając ich, pozdrawiając mową i głosem oddalającej się ziemi. Powieściopisarz określając upojenie tej chwili dodaje, iż bodaj stracił rozróżnienie i świadomość zmysłów, nie wiedział już czy oddycha pieśnią, czy wchłania zapachy kwiatów, czy go gwiazdy do snu kołyszą...

Przypomniała nam się owa cudowna kartka wobec książki, której tytuł wypisujemy powyżej. Z polskiego na wyspach Hyères cmentarza, podobnież, do żeglujących po morzu życia, dolatują nas po przez przestrzeń czasu odgłosy i wonie przedziwne, przedziwniejsze stokroć od wędrującego po fali echa doczesnych harmonij. Dźwięki to duszy chrześcijańskiej, poruszanej miłością na przemian i bólem, niosące z za świata nieśmiertelne, niebiańskie echa.

Józef Zaleski, „brat bolesny“, dusznymi węzły bardziej jeszcze, aniżeli pokrewieństwem, z Bohdanem złączony, rodzonym był wujem Dyonizyi Iwanowskiej, poślubionej Daryuszowi Poniatowskiemu. Pani ta, słynąca z urody i wdzięków, posiadała też w pełni dziedziczne u Iwanowskich dary umysłu, obok nadzwyczajnej serca gorącości. Urodzona w r. 1816 na Ukrainie, umarła w Hyères z początku 1868 r., w nie całe dwa miesiące po świątobliwym małżonku. Dzieci nie miała, zdrowia jej nie stało, wkońcu musiała szukać słońca i lepszych warunków klimatycznych, aby przedłużyć niknące życie. Po wyrwaniu jej z domu, z pola zajęć i pracy, zdawałoby się, iż zgon jej niewielką próżnię powinien był w kraju zostawić. A tymczasem świetlana smuga przejścia jej przez świat polski, promienisty ślad, krwawiących się stóp tej serdecznej miłośnicy Kościoła i kraju, utrwalił się na szlakach duchowego, narodowego życia, przechował w sercach co jednakie ukochały ideały. A choć doczekaliśmy zaledwie kilku notatek o życiu tej wielkiego rozumu, większej jeszcze duszy pani, dopełnić sobie możemy jej wizerunek za pomocą własnych jej listów, zebranych obecnie w dwutomowem wydawnictwie.

Zrazu nie można sobie dobrze zdać sprawy z charakteru piszącej. Tłumaczone z francuskiego, listy zatracają całkowicie indywidualne cechy, brzmią inaczej, jak innym zupełnie język tłumacza. Są to zwierzenia kobiety szlachetnej, rozmarzonej, nie zdającej sobie dobrze sprawy, co jej dolega, czem próżnię życia zapełni, czem nienasycone żądze umysłu i serca zaspokoi. Z dniem, w którym do ojczystej wraca mowy, odnajdujemy panią Poniatowską taką właśnie, jaką ją przedstawia umieszczony na pierwszej karcie portret, obraz smętnego pełen uroku i gracyi niewieściej, oraz wyższości ducha, nieodłącznej od podobnego oblicza i spojrzenia. Zrozumiała katusze, które serce jej rwały: Bóg to sam, poczucie nieskończoności, targa wnętrzem szlachetnych niezaspokojoną tęsknotą. A do tego ból narodowy, żałoby krajowe dolegają jej okrutnie. Jedni kochani zesłani w głąb Rosyi, drudzy blizcy wygnani nad Sekwanę, gdzie spojrzeć ucisk, smutek, udręczenie. Dom pusty, nie odmłodzony nowem pokoleniem, schorzały mąż, wiekiem pochylony ojciec. W tym stanie odnajduje pani Poniatowska drogę własną, właściwy pracy swej i ducha kierunek. Zanurza się w przeszłości, podejmuje historyczne studya, i przywiązanie jej do kraju, do stron ojczystych, dotąd przyrodzone, nabiera świadomości, a wraz i jakiegoś krwawego umiłowania. Bo całą duszą kocha ona ten kraj stepowy, tę swoją rodzoną Ukrainę, ale w związku nierozerwalnym z Polską, i w tych

ślubach widzi opatrznościowe, historyczne posłannictwo obojej ojczyzny swojej. Nie zrozumie przeznaczeń Polski, kto nie weźmie w rachubę jej zjednoczenia z Rusią, powtarza i płacze, widząc z dwóch stron niedopełnienie powinności wzajemnych. Sprzeniewierzyła się Ruś wierności i wierze, sprzeniewierzyła Polska miłości i macierzyństwu obowiązującemu. Polska za karę straciła byt swój i wolność, Ruś wolność i wiarę! Za niedopełnienie powinności wobec danego nam ludu, przeciąga się nasza pokuta, a skrucha rośnie żalem nad utratą tej Bożej roli, która chwastem schizmy z naszej winy porosła...

Odtąd moralne i fizyczne cierpienia pani Poniatowskiej znajdują poniekąd cel, ołtarz ofiarny, na którym składa wszystkie swoje męki: zamiast mętnych smutków i nieokreślonych melancholij, palić się zaczyna wciąż ofiarą „na ołtarzu swej ojczyzny“, czyni z siebie obiatę ekspiacyjną. W tem badaniu przeszłości, głównie poświęca się śledzeniu myśli katolickiej na Wschodzie, zwrotu dusz ku jedności i prawdzie, katalogue metropolitów kijowskich, odszukuje pilnie choćby najmniejszy ślad ich grawitowania ku Rzymowi, ich tęsknoty za jednością. Mnoży wypisy, notatki, skończone i opracowane ustępy z dziejów „Polszczy i Ukrainy“. Kozactwo stepowe, ukraińskie niewoli ją bohaterstwem, Zaporoża natomiast nie lubi, jako ścieku wszystkich brudów i zbrodni i prowodyra w odstępstwie od wierności i wiary. Nie zaślepiona na przedmiot obojej miłości, jasno określa obustronne winy, a syntezą jej studyów jest pokutne uderzenie się w piersi i wołanie zmiłowania i zasługiwanie sobie na takowe!...

Życie uchodzi, siły odbiegają, a ona jeszcze szuka, szpera, pracuje, w trudzie każdym upatrując ochłodę i znajdując pociechę. Jeszcze w ostatnich wędrówkach po różnych stacyach klimatycznych, noce bezsenne poświęca tym historycznym badaniom, któremi usiłuje zadzierzgnąć silniejszy węzeł, między Ukrainą a Polską, między Rusią a Rzymem. I do tego ostatniego miasta, do tej ojczyzny dusz wielokrotnie zabiega, jakoby po bierzmowanie na życia trudy. Dziś każdy wpada do Rzymu na dni kilka, korzysta z łatwości dojazdu, aby przelecieć przez Miasto Wieczne i wrócić z doraźnym plonem powierzchownych wrażeń. Kto tam dawniej zabiegł, spędzał całe miesiące, długą nieraz zimę i stąd zżyć się z Rzymem potrafił lepiej. Nie brakło wówczas polskich domów, stale otwartych w stolicy światą chrześcijańskiego. Do tych zaliczał się dom państwa Poniatowskich. W owych latach skróconego chorobą życia, doskonaliła się i podnosiła ku wyżynom dusza pani Dyonizyi. Stopniowanie jej wewnętrznego wyrobienia odbija się

w listach coraz głębszych, gorętszych i rzewniejszych. Sąd jej o ludziach, o wypadkach dojrzewa, z jej serca tryska płomień, zagrzewający męskie dusze do działania. Zagrzewa do składania dowodów przywiązania papieżowi, do organizowania w kraju i na tułactwie akcyi katolickiej. Pisząc do świętego, jakim był Józef Zaleski, nie potrzebowała dodawać mu serca w zbożnym boju, ale nic piękniejszego jak rola, której się wobec Bohdana podejmuje. Pielęgnuje w druhu stepowym stepowy głos i odgłos, nastraja serdecznie jego teorban, dodaje mu wiary w siebie, wiary w moc pieśni, poczucie odpowiedzialności za pieśń, nieraz konieczne, aby przetrwać chwile bólu i zwątpienia. Gdy milczał, ona go wzywała do śpiewu, gdy płakał, ona mu nadzieję wróżyła, a zawsze dostarczała mu podniety, wskazując na posłannictwo psalmisty uciśnionego narodu. Toć i później, gdy ucichły donioślejsze „mistrzów słowa", a kraj staczał się w głębszą przepaść nieszczęścia, wołała na Bohdana, aby wybuchnął pieśnią żalu i nadziei, „którą byłby Zygmunt uderzył". Bo z Krasińskim niejedno ją łączyło powinowactwo, a przyjazne stosunki odbiły się w listach. Wysoko ceniąc jego geniusz i natchnienie, nie zaślepiała się na niedostatki, przedewszystkiem ubolewając, że nie zna ludu i ludzi, że trzydzieści lat życia nie przedziałał, ale przemarzył: „Dla niego rzeczywistość jest tylko w niesłychanem cierpieniu, jakie sprawia dotknięcie błota ziemskiego i we własnej myśli jego... Nimby zaczął działać, powinienby przez wielką przejść naukę, przez naukę miłości sercem a nie wyobraźnią, wyjść z siebie ku ludziom... On dotąd ideę tylko Pana, nie Pana kocha, kiedy w życiu miłość doskonałości przedmiotu, bez miłości istoty przedmiotu, żadnym sposobem istnieć nie może".

Dalej wspomina, że Zygmunt wszystko tylko widzi zdaleka, jakby w optycznem złudzeniu, cieszy się, że miał bardziej błogą chwilę, gdy ogarnął duszą ideał i zapomniał się w nim. Ale wątpi, aby mógł do ludu, do mas przemówić, kiedy ich nie zna zgoła, w kraju nie mieszka, a „nie posiada czarnoksięskiego rzutu oka, co widzi, co pod powłoką żyje". Zdaje się z listów, że nieraz spotykała Krasińskiego i bliżej go znać musiała. A korespondencya ta, z tylu względów piękna, ma jeszcze i tę ciekawą stronę, że z tylu względów uderza powinowactwem z zbyt może hojnie dziś szafowanymi listami Zygmunta. Piętno epoki, jednakiej bodaj atmosfery znaczy się na obu listowaniach. I tu i tam jednaka miłość kraju, ból jednaki, subjektywny u Zygmunta, mniej egoistyczny u Dyonizyi. Pochop do filozofowania nad najwyższemi zagadnieniami pokrewny, rozbujały u poety, oparty na granicie wiary

u niewiasty. Język niemal piękniejszy jeszcze w listach pani Poniatowskiej, aniżeli u Zygmunta. Krom pewnych zdrobniałości właściwych epoce, t. zw. *miévreries*, styl jej prześliczny, myśl jasna mimo subtelności, poglądy trafne, bądź gdy mówi o filozofii, bądź gdy o politykę potrąci. A z Zygmuntem ma wspólny polot, acz stanowczo więcej prostoty posiada. To powinowactwo, podwójnej z jednych dni korespondencyi, nadaje niniejszemu wydawnictwu i znaczenie tego, co Francuzi nazywają *une curiosité littéraire*. Ale to podrzędne względy i sądy. Główną wartość tej książki, tych listów, nie stanowi ich wielka literacka doniosłość, lecz raczej ta żywa, płonąca miłość Boga i bliźniego, z każdego wychylająca się słowa. Mało książek duchownych do tego stopnia mogą rozpłomienić czytelników duszę. To zespolenie ścisłe duszy z Bogiem, to życie dla Boga, to ukochanie Zbawiciela każdem tchnieniem, każdym krokiem i słowem, ogarnia, duszę czytających i rozniecając w nich święte zapały i gorętsze w górę dążenia. To jedno jużby usprawiedliwiało wydanie korespondencyi, która może wiele dobrego zrobić, wiele lepszego zapoczątkować.

Wystarczy przytoczyć urywki z ostatnich listów umierającej, aby zmierzyć wyżyny, na jakie wstąpiła. Ta wiecznie udręczona istota, odczuwająca w sercu i w ciele męki niewysłowione, w przededniu niemal śmierci, pisze: „Spokojnam o ciebie i o wszystko, bo On jest“. A witając rok nowy, dodaje: „Wielki rok, w którym zapewne ujrzę Pana mego, Hosanna na wysokości!“ Ostatni list, pełen troski o matkę, bolejącą nad bliską córki utratą, kończy się też nadzieją, „że, jak przyjdzie godzina, Pan da łaskę“. Długoletnia penitentka Ojca Hieronima Kajsiewicza, rozwijała skrzydła do odlotu, skrzydła, które już za życia ją unosiły po nad wszystko, co ziemskie. Szkoda tylko, iż wydawcy, głównie chcąc filozoficzne ustępy korespondencyi uwzględnić, skreślili potoczniejsze ustępy, nie mniej miarodajne.

Niniejszem sprawozdaniem chcemy tylko pobudzić do czytania książki, która jak to napomknęliśmy wyżej, niesie z za świata, z niebieskich wybrzeży, odgłosy pięknej, polskiej duszy niewieściej, nazywającej się, za krótkiego na ziemi pobytu, Dyonizyą z Iwanowskich Poniatowską.

M.

Przed nową epoką. Materyały do historyi OO. Bernardynów w Polsce. Zebrał *O. Norbert Golichowski*. Kraków 1899. (Str. 424).

Dziś, kiedy dzieje zakonu Bernardynów zamyka konstytucya pa-

pieska z dnia 4 października 1897 r., pragnęłoby się, by powstała jego historya. Obecna książka ma nam podać materyały do historyi OO. Bernardynów w Polsce. Złożyły się na nią i dawne wydawnictwa O. Norberta Golichowskiego, jak np. „Szereg prowincyałów i wykaz ważniejszych wypadków“ oraz „Szereg lektorów“, wydane w r. 1895 p. t. „Upominek dla czcigodnej zakonnej Braci OO. Bernardynów“ i nowe notatki i zbiory archiwalne. Stąd też każda część dzieła stanowi dla siebie zupełnie odrębną całość. Części zaś tych jest jedenaście. Pierwsza najciekawsza i najcenniejsza zaznajamia nas bliżej z rękopisami lub dziełami, odnoszącemi się do niniejszej pracy. Mamy tu wyliczone chronologicznym porządkiem stare kroniki bernardyńskie, akta i t. d. od XV. w. aż po dzisiejsze czasy. Ktokolwiek zechce pisać o Bernardynach, będzie musiał się z niemi zaprzyjaźnić, a więc i te wskazówki o samych źródłach będą mu pożyteczne i pożądane. Także wielce pouczającą część dzieła stanowią wykazy zwierzchników prowincyj zakonnych w Polsce od r. 1453—1628 (cz. IV.), lektorów (cz. V.), jak i miejscowości, w których zakonnicy na wezwanie biskupów pracowali (cz. VIII.). W cz. IV. widzimy doskonałą statystykę prowincyi galicyjskiej od r. 1869. Zwraca jeszcze uwagę cz. III. zajmująca się tak mało znanemi Bernardynkami. Kończy dzieło konstytucya o unii i domówienie, w którem daje autor treściwy pogląd na stan ogólny dwóch łączących się zakonów, Bernardynów i Reformatów.

A teraz krótka uwaga. Przedewszystkiem tytuł dzieła każe się spodziewać rzeczy ile możności podanych z pierwszej ręki, tymczasem kiedy niekiedy opiera się praca na bardzo nieznacznych i podrzędnych opracowaniach, a już, jeżeli czem, to w materyałach do historyi, niekorzystne robi wrażenie powoływanie się na powieści, choćby nawet tej miary co Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“. Tak samo, zdaje nam się, że pewne fakty i szczegóły są zanadto drobne i nieznaczne, aby szerszy ogół zainteresować mogły.

Pomimo tych usterek przyszły historyk znajdzie w tej książce wielką pomoc i wskazówkę.

Ks. Jarosław Rejowicz.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Wirtshaus-Reform in England, Norwegen und Schweden. Auf Grund von Reisen geschildert von *Dr. Wilhelm Bode.* Berlin C. Heymanns Verlag 1898 (Str. 108).

Die deutsche Volkswirtschaft am Schlusse des XIX. Jahrhunderts. Auf Grund der Ergebnisse der Berufs und Gewerbezählung von 1895 und nach anderen Quellen bearbeitet im kaiserlichen Statistischen Amt. *H. v. Scheel.* Berlin 1900. Puttkammer und Mühlbrecht. (Str. 209).

Z polecenia Towarzystwa dla urządzeń dobroczynnych we Frankfurcie nad Menem, wyruszył autor, znany propagator wstrzemięźliwości od trunków alkoholicznych w dłuższą podróż naukową po Anglii, Szwecyi i Norwegii „celem zbadania sposobów i środków, dla zwalczania pijaństwa tamże używanych". Autor miał sposobność osobistego zetknięcia się z kierownikami tego ruchu w tych krajach i bezpośredniego wglądnięcia w funkcyonowanie tych przeróżnych urządzeń, mających na celu krzewienie wstrzemięźliwości. To też całe przedstawienie rzeczy jest żywe i barwne.

Naprzód opisuje on urządzenia angielskie. W trzy punkty da się wszystko ująć. Raz, że zamiast gospód, w których sprzedaje się trunki alkoholiczne, poczęto wprowadzać w życie gospody, gdzie sprzedają wyłącznie inne trunki, bądź to nie zawierające alkoholu wcale, bądź też zawierające go w nieznacznych tylko ilościach. A i to ostatnie jest wielkim w Anglii postępem, ponieważ dawniej trunki alkoholiczne, tutaj konsumowane były bardzo mocne, podniecały pragnienie i wstrząsały silnie nerwami. Gospody te poczęto najpierw urządzać w formie zakładów humanitarnych. Nie szukano zysków, zadawalniając się tylko ustawową stopą procentową. Później zakłady te weszły tak w krew i żyły ludności, tak stały się jej niewątpliwą potrzebą, że utrzymywanie tych gospód było już dobrym interesem, którego chwytały się tak jednostki prywatne, jak i wielkie kapitalistyczne spółki akcyjne. Gospód tych istnieje kilka typów; są one różne dla różnych zawodów gospodarczych (np. bardzo liczne dla dorożkarzy). Są gospody przy wielkich przedsiębiorstwach przemysłowych, fabrykach, budowlach i t. p. Sprzedaż trunków połączona jest zazwyczaj ze sprzedażą potraw, ale

dopuszczaną jest i konsumcya potraw własnych. Urządzone wygodnie i czysto, zaopatrzone w dzienniki i czasopisma, gromadzą one zwłaszcza tych wszystkich, którym brak rodziny, lub którzy, z powodu znacznego oddalenia, nie mogą zawsze spożywać owoców swej pracy w gronie familijnem. Zamyka się je dość wcześnie, a i w niedzielę są one zamknięte. Usługa jest zazwyczaj żeńską, ale właśnie, wskutek urządzeń powyżej wspomnianych, te kobiety czy te dziewczęta są zawsze uczciwe, a nikt nie uważa tam stanu kelnerek za hańbiącego. Gospody rozwijają się bardzo dobrze, a niekiedy przynoszą nawet kolosalne zyski.

Zwolennicy ruchu antyalkoholicznego dążą równocześnie do zupełnego zakazu sprzedaży trunków alkoholicznych. Tak daleko wprawdzie nie doprowadzono, ale ten ruch tak radykalny, wydał niewątpliwy rezultat w dwóch kierunkach. Raz, że władza jest bardzo ostrożną przy udzielaniu koncesyj na wykonywanie przemysłu gospodniego i szynkarskiego, że udziela jej bardzo niechętnie i bardzo rzadko, tak że liczba tych koncesyj okazuje z roku na rok stałą tendencyę zniżkową. Powtóre, że coraz to bardziej, cały przemysł szynkarski skupia się w ręku stowarzyszeń, pracujących w interesie dobra publicznego tak, że bardzo dużo niebezpieczeństw, które przedstawia gospoda prywatna, zostaje w ten sposób usuniętych i przynajmniej znacznie zmniejszonych. W gospodach takich, sprzedaje się bowiem obok trunków alkoholicznych także trunki niealkoholiczne, zarządca gospody ma zaś udział tylko w zysku ze sprzedaży trunków niealkoholicznych tak, że jego własny interes skierowuje go zawsze do chętniejszej sprzedaży trunków tej ostatniej kategoryi.

Podobne urządzenia panują w Norwegii. Tu jednak ruch ten wydał rezultaty o wiele poważniejsze niż w Anglii, co jest zresztą w wysokim stopniu także wypływem całego przyrodzonego ukształtowania się kraju. Rzadko rozsiane sadyby, słabe zaludnienie (4·92 mieszkańców na 1 kilometr kw.), ubóstwo ludności, mała urodzajność ziemi, przyrodzony kontemplacyjny umysł norwegski, te wszystkie czynniki trzeba tu mieć na względzie.

Nie tak wysoko stoi pod tym względem Szwecya, gdzie właściciele gorzelni przedstawiają jeszcze znaczną siłę społeczną. Ale nie jest to państwo bez wielkiego znaczenia dla badaczy tej kwestyi, tembardziej, że tutaj właśnie powstały pierwsze gospody t. zw. systemu gotenburskiego, polegającego, jak już wspomniałem, na tem, że gospody te prowadzą stowarzyszenia, nie obliczone na zysk. I tutaj zresztą konsumcya wódki okazuje stałą tendecyę zniżkową.

W r. 1899 ukończył niemiecki urząd statystyczny opracowanie spisu zawodowego i przemysłowego, przeprowadzonego w r. 1895. Rezultaty tego spisu podano w 18 kolosalnych tomach głównego wydawnictwa urzędu (*Statistik des deutschen Reiches*, t. 102—119). Kolosalne rozmiary tej statystyki odstraszały niejednego od wglądnięcia w ten zbiór kolumn cyfrowych. By rozszerzyć zaś i skorygować poglądy na faktyczny stan rzeczy w niemieckiem gospodarstwie społecznem, trzeba było wydawnictwa krótkiego, przejrzystego a treściwego. Zadania tego dokonał kierownik urzędu prof. Scheel. Książka niewielka przeznaczona jest dla szerokich warstw społeczeństwa, a cena jest dostosowana do tego celu, wynosi bowiem 1 markę za egzemplarz kartonowany. Widziałem też już tę książkę w rękach ludu, np. w czytelni ludowej we Frankfurcie, odwiedzanej prawie wyłącznie przez niższe warstwy społeczeństwa.

Za podstawę przedstawienia wzięto, obok wspomnianych 18 tomów statystyki zawodowej i przemysłowej, szereg innych wydawnictw urzędu, jak statystykę handlu morskiego i handlu zagranicznego, statystykę rolniczą, pocztową, kolejową i t. d.

O ważności dat tu podanych zbyteczna chyba wspominać. Dość zaznaczyć w tym względzie, że te cyfry właśnie spowodowały w znacznej części znane przesilenie w socyalizmie marksowskim. Niestosunkowe zwiększanie się średnich dochodów zbyt stanowczo przeczyło hipotezom o ciągłej proletaryzacyi społeczeństwa.

Jak wogóle wszystkie wydawnictwa niemieckiego urzędu statystycznego, odznaczają się ogromną i trochę za daleko nawet idącą wstrzemięźliwością w omawianiu rezultatów statystycznych, chcąc w ten sposób usunąć od siebie nawet cień jakiejkolwiek stronniczości, tak i tu tekst, mimo że wydawnictwo ma być popularne, bardzo niewielkie tylko przybrał rozmiary, ogranicza się zaś głównie do wskazówek techniczno-statystycznych i uwag o odrębności poszczególnych kategoryj zjawisk społecznych. Tylko niekiedy pozwala sobie autor na uwagę, która nie jest ścisłą konsekwencyą cyfr tu podanych. Ale nie zawsze ma w tem szczęśliwą rękę. Tak np. trudno się zgodzić z autorem na taki syllogizm. Gęstość zaludnienia w Niemczech dosięga niebywałej wysokości. Z tego wynika, zdaniem autora, że ta ludność dość znajduje żywności dla siebie, że gospodarstwo społeczne w Niemczech znajduje się w stadyum niebywałego rozwoju. Nie chcemy bynajmniej przeczyć, że taki rozwój rzeczywiście istnieje. Ale na fakt ten wskazują inne objawy

także, nie zaś gęstość zaludnienia, jako taka. Bo i przy gęstem zaludnieniu gospodarstwo społeczne może się znajdować w dość ujemnych warunkach (dowodem Galicya), a powtóre znaną jest rzeczą, że w wielu krajach właśnie warstwy zamożniejsze trzymają się systemu ograniczenia liczby dzieci w przeciwstawieniu do warstw uboższych, że więc zamożność wywiera wpływ wprost odwrotny. Żałować również wypada, że autor tak rzadko porównywa stosunki Niemiec ze stosunkami innych krajów, co chyba przyczyniłoby się bardzo do jasności obrazu.

Dr. Z. Gargas.

K woprosu o zapadnom wlijanii na sławianskuju i russkuju poeziju. Izsliedowanije *I. Sozonowicza*, professora impieratorskawo Warszawskawo Uniwiersitieta. Warszawa. Tipografja Warsz. Uczebnawo Ukruga. (8-ce str. XIX+567+1 nl.).

Dzieło, którego napis wyżej został podany, a które, napisane przez profesora literatury powszechnej w Warszawie, przeszło u nas bez odgłosu, mimo że dwa lata ubiegły od jego wydania, jest właściwie drugiem, znacznie, niemal w dwójnasób zwiększonem wydaniem pracy o Lenorze, wydanej w r. 1893. Drugie zaś to wydanie spowodowały liczne oceny pierwszego, pisane przez takich znawców poezyi ludowej słowiańskiej jak: Dr. V. Jagić, Dr. J. Karłowicz, W. Wollner, I. Sziszmanow, H. Machal. Oceny te bowiem wskazały autorowi materyał niewyzyskany w jego pracy, materyał cenny i śliczny. Nie dziw tedy, że prof. Sozonowicz zabrał się do uzupełnienia braków, a nadto dodał drugą, zupełnie nową część, traktującą o poetyckim motywie powrotu męża podczas wesela żony, drukowaną poprzednio w „Warszawskich uniwersyteckich wiadomościach“ w latach 1897 i 1898.

W części pierwszej tego dzieła zajmuje się autor szczegółowo wersyami ludowych podań, osnutych na tle lenorowem u wszystkich narodów świata. Po krótkim wstępie o „Lenorze“ Bürgera, jej przekładach i literaturze do tej ballady się odnoszącej, przechodzi autor do wiary w powrót zmarłych u ludu, która to wiara zachowała się do dzisiaj w całej niemal Europie, i do tej kwestyi, że łzy i tęsknota pozostałej rodziny i przyjaciół zmarłym zakłócają spokój grobowy. Obie te kwestye stają w bezpośrednim związku z przedmiotem pracy, jak wiadomo bowiem, w wersyach lenorowych przeważnie kochanka zmarłego wywołuje z grobu płacz i nieutulona tęsknota narzeczonej. Obydwa te rozdziały opracowane zostały bardzo sumiennie, uwzględniono tutaj bowiem pojęcia i wyobrażenia wybitniejsze, począwszy od staro-

żytnej Grecyi i Rzymu, a skończywszy na współczesnym ludzie wieśniaczym różnych europejskich narodów. Teraz dopiero przechodzi autor do wersyj lenorowych, zaczynając od starożytnych Greków. W literaturze greckiej pierwszym śladem takiego mitu jest podanie o Protezilaosie, zawarte w drugiej księdze „Iliady“ Homerowej, który to bohater wstaje z mogiły pod wpływem nieukojonych łez młodej małżonki. Podanie zaś to, które cieszyło się niezwykłą popularnością w literaturze, daje się sprowadzić do następujących trzech głównych punktów: 1) młodzieniec ginie na wojnie, 2) strapiona małżonka pożąda jego powrotu i ucieka się do pomocy czarów, 3) umarły powraca w nocy, a żona idzie z nim razem do ciemnej mogiły. Już tutaj mamy główny szkielet wersyj lenorowych, szkielet niezmieniony wcale, albo tylko w niektórych szczegółach, jak np. w tem, że zamiast żony występuje kochanka, w podaniach późniejszych rozmaitych narodów. Drugiem najstarszem podaniem jest podanie skandynawskie, zawarte w „Eddzie“, pieśń o Helgim i Sigrunie, główne zaś momenty akcyi są niemal takie same, jak w podaniu greckiem o Protezilaosie i Laodamii, a mianowicie: 1) Helgi ginie w bitwie, 2) Sigrun chce go zobaczyć, 3) umarły zjawia się na koniu, wnet jednakże umiera Sigrun. Z kolei następują waryanty: szwedzki, dacki, angielski, węgiersko-cygański, celtycki, romańskich narodów, islandzki, holenderski i niemiecki, częścią prozaiczne wyłącznie, częścią opatrzone rymowanemi strofami, bardzo a bardzo do siebie podobnemi. U narodów słowiańskich rozwinęły się też takie podania i występują w dość pokaźnej liczbie. Trudno tutaj przechodzić je kolejno, zbyt wiele czasu i miejsca toby zajęło, ograniczyć się zatem wypada do wyliczenia braków, jakie w dziale tym zauważyliśmy. Z podań tedy polskich opuścił szan. autor wersyę, zapisaną przez ks. Władysława Sarkowskiego w pracy p. t. „Materyały do etnografii ludu polskiego z okolic Kielc“, drukowanej w „Zbiorze materyałów do antropologii krajowej“ tom XIII str. 21.; dalej wersyę podaną przez prof. Romana Zawilińskiego w *Wiśle* V, i przez Rafała Lubicza w „Kalendarzu lubelskim“ z r. 1893; białoruskie dwie legendy, zawarte w cennem dziele p. Michała Federowskiego „Lud białoruski“. Kraków. 1897. I. str. 96—97 i 68—69; dwie ruskie por. Z. Rokossowska „Bajki ze wsi Jurkowszczyzny“ w „Materyałach antropol.-archeologicznych i etnograficznych“. Kraków. 1897. II. str. 21 nr. 4 i W. Hnatiuk „Etnograficznyj Zbirnyk“. Lwiw. 1898. IV. str. 151 nr. 35., jednę łotewską, zapisaną w pracy p. Stefanii Ulanow-

skiej p. n. „Łotysze Inflant polskich“ w „Zbiorze wiadomości do antr. kraj.“. Tom XIII.

Więcej zarzutów pod względem braków w zebraniu materyału uczynić nie możemy. Musimy wszelako uczynić autorowi zarzut z innej strony. Dlaczego mianowicie nie starał się wyjaśnić zjawiska owych wierszowych strofek, jakie tak często napotkać można w podaniach prozaicznych na tle lenorowem? Zdaniem naszem owe strofki nie są niczem innem, jak tylko pozostałością po transmutacyi dawnej pieśni w legendę prozaiczną.

Część dalsza dzieła p. Sozonowicza mówi o pieśniach, których treść jest ta, że brat umarły powraca z grobu po swoją siostrę i uwozi ją do ciemnej mogiły. Waryanty te atoli przechowały się tylko w Europie południowej, w Albanii, Grecyi, Chorwacyi, Serbii, Bułgaryi. Gdzieindziej, a więc też u nas, nie ma ich zupełnie.

Część druga omawianej pracy traktuje o poetyckim motywie powrotu męża podczas wesela żony, która wychodzi właśnie za innego. Rozpoczyna się ta część krótkim przeglądem literatury, tyczącej się tego przedmiotu, począwszy od Grimma *Deutsche Mithologie.* Zabierali zaś w tej sprawie niejednokrotnie głos uczeni tej miary co: sławny profesor moskiewskiego uniwersytetu O. F. Miller, prof. uniw. kijowskiego N. P. Daszkiewicz, prof. M. Chaławski, prof. Sumcow, wydawca prześlicznego zbioru ballad ludowych J. Child i inni. Typowym przykładem tej grupy podań jest wersya prowansalska o powrocie Rajmunda de Bousquet z niewoli, na której wszelakoż są ślady podania greckiego o powrocie Odysseusza do Penelopy. Do tej grupy należą nadto podania niemieckie o powrocie Karola z Węgier, zdradzające wszelako związek z podaniem francuskiem, jakoteż opowiadanie o powrocie hrabiego Uldaryka z Węgier, na którem widoczne są ślady wpływu wspomnianej wyżej sceny z „Odyssei“ Homera. Podobnych podań wylicza prof. Sozonowicz sporą ilość, a więc: hiszpańskie o powrocie Karola z Hiszpanii, niemieckie o powrocie rycerza Gerharda Hollenbachskiego z Indyi, z XIII. pochodzące wieku, mające charakter dydaktyczny, cykl opowieści o Hornie, a więc poemat angielski *King Horn,* romans francuski *Horn et Rimenhild,* poemat angielski p. n. *Horn Child and Maiden Rimnild,* angielskie ballady o *Hind Hornie,* podanie angielsko-normandzkiej kroniki z XII. wieku *De gestis Herewardi Saxonis,* ballady skandynawskie z XVI. i XVII. wieku na ten temat; ostatnie stoją w związku z podaniami angielskiemi, angielskie

zaś powstawały pod wpływem francuskich. Słowem wersyj tych u narodów europejskich w wiekach średnich powstała cała masa tak, że niepodobna ich wyliczać. Co się tyczy podań słowiańskich, to wymienić tutaj należy czeskie podanie o królu Bruncwiku, zawarte w *Kronika o Štilfridoria Bruncvikovi,* zresztą pieśni tego rodzaju u innych narodów słowiańskich przytacza szan. autor wiele. Polskich pieśni zapisano też sporo, a zapisali ją: Cinciała, Kolberg, Chełchowski, Petrow, Wójcicki, Federowski, Konopka, Lipiński, Roger, Głoger, S. Udziela, Kosiński w różnych okolicach. Schemat zaś ich, jak też w ogóle zachodnio słowiańskich jest następujący z nielicznemi odmianami: 1) Mąż natychmiast po ślubie wyrusza na wojnę, 2) swoją żonę zostawia przy matce na lat parę, po których upływie, gdyby nie powrócił, pozwala jej wyjść za mąż za kogo innego, 3) po upływie wyznaczonych lat wraca mąż do domu matki, od której dowiaduje się, że żona jego sprawia właśnie wesele z innym, 4) bierze więc skrzypce i idzie grać na wesele; przyczem zbliża się stopniowo od progu do stołu, 5) wtedy żona poznaje męża i przybiega do niego przeskakując parę stołów, 6) poczem mąż, który wrócił, zabiera żonę ze sobą, bądź też uwozi ją. Tak mniej więcej wyglądają wszystkie polskie pieśni.

Dodatek do tego dzieła zawiera rosyjskie waryanty bajek o umarłym mężu, pochodzące z kilkunastu gubernij cesarstwa, które były już ogłoszone przez prof. Sozonowicza w czasopiśmie *Russkij filologiczeskij Wiestnik* z r. 1890. IV. i 1892. IV., a zapisane zostały przez znanego etnografa W. A. Moszkowa.

Stanisław Zdziarski.

Mes parents par *un père de la Compagnie de Jésus.* Paris. Tolra, Libraire éditeur.

Aux mères, causeries sur l'Éducation par *le P. Jean Charruau, de la Compagnie de Jésus.* Paris. Victor Retaux.

Dwie książki jednego autora obejmujemy wspólnem sprawozdaniem, stawiając nierównie wyżej pierwszą od drugiej. Trudno o piękniejszy obraz chrześcijańskiej rodziny, trwającej pod krzyżem Zbawiciela. A nie tylko całość wypadła rzewnie i podniośle, lecz z wizerunków, poszczególnych członków tego wybranego koła, płyną przykłady i zbożne podniety dla każdego bodaj położenia i wieku. Ojciec, lekarzem, a lekarzem chrześcijańskim, uczy jak zawód swój w posłannictwo i apostolstwo zamieniać. Matka, stojąca najwyżej na stopniach doskonałości, dostarcza pięknego przykładu, jak mężna i pobożna nie-

wiasta, nie tyle słowem, co promienieniem własnej cnoty, wszystkich wokoło pociąga do Boga. Nie namowami, albo zaklęciami, ale modlitwą i cichością, wszystkich swoich wiedzie do stóp ołtarzy, tych nawet, co od dawna przestali tamże uczęszczać. Cóż dopiero powiedzieć o dzieciach jej, rosnących w atmosferze wiary i ofiary? Nie zwątpić o Francyi, gdy się tam podobne znajdują i zachowują rodziny. Okres objęty książką zatytułowaną *Mes Parents*, ogarnia niemal całe stulecie od r. 1811—1895. Autor włączył i stare dobre sługi do obrazu swego rodzicielskiego gniazda, bo i tych dziś w zmienionym świata ustroju zabrakło, a słusznie wśród łask, otrzymanych przez rodziców, wymienia i tych dobrych ludzi, którzy otoczyli sercem i staraniem kolebkę dzieci swoich chlebodawców. Liczne potomstwo uwieńcza pożycie chrześcijańskich małżonków. Po kolei atoli wszystkie dzieci grzebać im przychodzi. Najprzód dziewczynkę, która już pierwszą komunię odbyła, później córkę, oddaną Bogu na służbę wyłączną, która, posiadając żywy a nawet gwałtowny charakter, mawiała, iż, jak raz Pana Boga na prawdę ukocha, chyba umrze z miłości! co się też i sprawdziło, bo po trudnem dzieciństwie, dusza jej wielkim pędem ku niebu się wzniosła. Po śmierci młodej zakonnicy, zostawała już tylko w domu jedna córka, dźwignia ich podeszłego wieku. I ona została odwołaną niebawem. Młodszy syn wstąpił do Towarzystwa Jezusowego, a rodzice nie targowali się z Bogiem o jego powołanie, choć stracili byli całą nadzieję domu swego, starszego a najlepszego syna, który, zdrowie swe nadwątliwszy w czasie wojny francusko-niemieckiej, wrócił do domu, aby w długiem konaniu dostarczyć otoczeniu najpiękniejszych przykładów cierpliwości i poddania. Śmierć tego młodzieńca stanowi najszczytniejszy ustęp tej niezwykłej książki.

I oto ci rodzice, tak ciężko doświadczeni, oddawszy Bogu wszystkie dzieci swoje, zostają z jedynym najstarszym, dotkniętym tak różnorodnem kalectwem, że wkońcu wszystkie naraz zmysły utraca, i jedyną już trwogą matki jest myśl, że on ją przeżyje, że mu zabraknie opieki macierzyńskiej. Ale i ten niepokój poskramia, składając w ręce Opatrzności wszystkie doczesne troski.

Nadzwyczajna prostota tego opowiadania, czyni je tem cenniejszem odbiciem prawdy, w żadne literackie obsłony nie strojnej. Dla smutnych i osieroconych rodziców, książka ta niezawodnie będzie źródłem pociechy, wskazując jak należy uchylać głowę pod wyrokami Bożymi.

Wobec pięknej i przedziwnej prostoty rzewnego opowiadania, jedynie nadzwyczajnością zdumiewa, niemal razi, rozdział poświęcony owej właśnie córce zakonnicy, która w krótkim czasie miała odkupić liczbę dni szybkim w doskonałości postępem. Dzieckiem była ona krnąbrną, trudną, oporną Bogu i ludziom, w czem autor dopatruje się bezpośredniego działania szatana, i to nietylko w formie pokusy, lecz bodaj i rodzaju opętania. Przecież bywają dzieci niesforne i niegrzeczne, poprawiające się po pierwszej komunii, a niepodobna od razu w nich upatrywać niewolnictwa szatańskiego. Ten jeden ustęp przykry swoją nadzwyczajnością, mąci podniosły nastrój tej dobrej i dobroczynnej książki. Stanowi ona kurs edukacyjny na przykładach oparty, a więc najwymowniejszy i najbardziej praktyczny...

Nie dziw, że po powodzeniu tego zbioru rodzinnych pamiątek, powierzono synowi podobnych rodziców skreślenie rad dla matek, potrzebujących zachęty, podniety i wskazówek! Książka podzielona na trzy części, rzeczywiście stanowi dobry podręcznik, acz nie same obejmuje poglądy edukacyjne: właściwie wychowaniu poświęcona jest tylko księga pierwsza. Druga wkracza w późniejsze życie, zajmując się ofiarami, które czekają rodziców, bądź gdy dzieci ich własne zakładają ogniska, bądź gdy idą za wyższem powołaniem służby Bożej, bądź nareszcie gdy ich Bóg śmiercią odwołuje ze świata. Nareszcie księga trzecia, ogólniejszego znaczenia, uczy gdzie w życia boju i znoju szukać skrzepienia, czerpać siłę, znaleźć pociechę. Nie jest to tedy wyłącznie książka przedmiotowo edukacyjna, ale z wielu względów cenny zbiór rad matkom potrzebnych. Autor oczywiście przedewszystkiem kładzie nacisk na katechizmową podstawę życia. Doskonale uczy jak uczyć dziecko katechizmu, prawd Bożych i wiecznych, jak przygotowywać do sakramentów, w jakim wieku do tychże sakramentów przypuszczać, co w dzieciach karcić, co rozwijać, czem zwłaszcza być, aby korzystnie na nie wpływać i spełniać szczytne macierzyńskie przeznaczenie. Nie można twierdzić, aby książka ks. Charruau równała się z arcydziełami innych pisarzy o wychowaniu. Ale matki wiele tu znajdą pożytecznych nauk i wiadomości, oryentujących ich własną duszę ku lepszemu, czem najpewniej zdołają podnieść się na wyżyny, zdanego sobie apostolstwa domowego i straży nad duszą swych dziatek.

M.

Z pism czasowych.

Alte und Neue Welt. Illustriertes Familienblatt zur Unterhaltung und Belehrung. Verlagsanstalt Benzinger u. Co. A. G., in Einsiedeln, Waldshut, Köln am Rh.

Pomiędzy czasopismami, które zewsząd do naszych domów napływają i w wielkich liczbach się rozchodzą, trudno o pisma, któreby pod względem literackim i moralnym odpowiadały skromnym wymaganiom. Jedne z nich odznaczają się doskonałością formy i zewnętrznymi przymiotami, pomijają za to zupełnie stronę moralną, inne, aczkolwiek o poczciwej tendencyi i najlepszych chęciach, nie odznaczają się znowu wartością artystyczną i nie zadowalniają bynajmniej wymagań publiczności. Niełatwo się w tem wszystkiem zoryentować i nie łatwo znaleźć miesięcznik lub tygodnik, któryby był dobrze redagowany, a zarazem mógł być dany bez niebezpieczeństwa w ręce młodzieży i znaleźć przystęp do rodziny. Brak nam jednem słowem pism katolickich. Od wielu niestety lat ustaliło się w publiczności przekonanie, że pisma katolickie dlatego właśnie, że są katolickie, muszą być i nudne i mierne; stąd też naprawdę rzadko znaleźć można w ręku pismo katolickie; częściej znajdzie się tam jaki tygodnik bezbarwny lub wprost bezreligijny i, podczas gdy wydawnictwa katolickie ciężki żywot wiodą, powodzenie innych dosięga niebywałych rozmiarów; w raz jednak z powodzeniem idzie i ich destrukcyjna działalność, której nam wcale zapoznawać nie wolno.

A przecież istnieją pisma katolickie o wybitnej wartości, które nietylko nam nie podają nic zgubnego, ale przeciwnie dają nam dzieła cenne i wielkiej doskonałości.

Do takich pism zagranicznych zalicza się w pierwszym rzędzie *Alte und Neue Welt,* wychodząca u Benzingera w Einsiedeln, w dużych miesięcznych ilustrowanych zeszytach. Przyzwyczajonych do przeciętnie wielkiej prenumeraty pism polskich, może nas dla *Alte und Neue Welt* trochę nieprzychylnie albo przynajmniej podejrzliwie usposobić fakt, że roczny abonament pisma, dającego w dwunastu zeszytach prawie ośmset stron *in folio* i kilkaset ilustracyj, wynosi tylko sześć marek a więc trzy reńskie i sześćdziesiąt centów. Tłumaczy się ta okoliczność olbrzymim pokupem, jakim miesięcznik wspomniany się cieszy. Rozchodzi

się on w Niemczech, Austryi, Szwajcaryi, Węgrzech i Ameryce a liczba stała prenumeratorów wynosi 37.000. Już to samo wskazuje nam, że rzeczone pismo musi się odznaczać wielu nader dodatnimi przymiotami i odpowiadać potrzebom czasu i publiczności.

I tak jest w istocie. Nie tylko katolicka ale i protestancka prasa oddaje miesięcznikowi wielkie pochwały. Z uznaniem podnoszą wszyscy jego ciągłe doskonalenie się pod względem technicznym i odnośnie do wyboru materyału; dużo wybitnych krytyków nie znajduje słów pochwały dla utworów w miesięczniku drukowanych.

W rzeczy samej redaktor, Karol Muth, znany w protestanckich i katolickich kołach niemieckich z ciętej, pod pseudonimem *Veremundus* prowadzonej polemiki w kwestyi piśmiennictwa katolickiego, włożył wszelkie swe siły i swą pracę w udoskonalenie czasopisma, które dzisiaj po 34 latach istnienia, różni się niesłychanie od pierwszych roczników. Wystarczy przeglądnąć zeszyty ostatnich dwóch lat.

Idąc za prądem czasu poświęca *Alte und Neu Welt* dużo, czasami może nawet za wiele miejsca powieściom i nowelom. Podaje jednak tylko zdrową strawę. Za zadanie położyła sobie drukować nietylko takie dzieła, któreby nie obrażały uczuć religijnych i moralnych, ale któreby się odznaczały wysoką wartością literacką tak, że, kształcąc naprawdę ducha, kształciłyby zarazem i zmysł literacki. Same nazwiska autorów świadczą o tem.

Znajdujemy z niemieckich pisarzy na pierwszem miejscu Teresę Keiter, piszącą pod pseudonimem M. Herbert. Znana to osobistość w literackich Niemczech. Jej powieści cechuje żywa, zajmująca akcya, wierna i prawdziwa charakterystyka, barwne obrazy i opisy, głębokie pojęcie życia, a stany duszy maluje delikatnie, gruntownie, głęboko i z wielką psychologiczną znajomością serca ludzkiego. Nie dziw też, że dzieła jej liczą dużo wydań. Oprócz Teresy Keiter spotykamy nazwiska A. Schotta, dramatycznie i trafnie życie ludu przedstawiającego, Edhor'a, znanego z swych artystycznie obmyślanych, siłą uczucia i nadzwyczajną idealnością odznaczających się romansów, Cüppers'a i innych wielu.

Z zagranicznych pisarzy oprócz Sienkiewicza, o którym niżej jeszcze, znajdujemy najczęściej imię X. Colomy, autora tych tak sławnych *Pequeneces;* imię jego najlepszą rekomendacyą. Wszak protestanckie pisma np. *Die Gegenwart, Die Gesellschaft, Breslauer Morgenzeitung, Hamburger Morgenblatt* i inne nie mogą się go dość nachwalić,

i każą nam w nim widzieć autora, którego nazwisko należy do pierwszych w literaturze świata.

Rozumie się, że nie wszystkie powieści są równej wartości, znajdują się między niemi i takie, którychby lepiej może nie drukować, ale ostatecznie żadna nowela, żaden romans nie podaje nam trucizny w złotem naczyniu.

Z powieściami w parze idzie poezya; nie ma jej za wiele, i to już wielka zasługa. Wszystkie za to utwory poetyczne odznaczają się pięknością języka i obrazów, a szlachetne myśli w odpowiedniej przedstawiają szacie.

Dobrze reprezentowany jest dział biograficzny i literacki: nie ma prawie wybitnej osobistości, o której byśmy nie znaleźli artykułu dość wyczerpującego. Przed oczami naszemi przesuwają się sylwetki uczonych, polityków, artystów, literatów, zasłużonych kapłanów, poetów, a każdy z nich pojawia się w właściwem, jemu tylko odpowiedniem świetle. Artykuły z dziedziny literatury, sztuki, estetyki, z historyi i z historyi kultury mogłyby nieraz zdobić łamy choćby fachowych pism.

Każdy zeszyt wypełniają nadto udatne opisy podróży. Poznajemy obce kraje, obce narody, miasta a wszystko to w formie przystępnej, lekko i swobodnie; czytelnik uczy się, bawiąc. Dział nauk przyrodniczych zadziwia rozmaitością przedmiotów i popularnym wykładem, w którym jednak nie pominięto i naukowej strony tak, że, obok zainteresowania się, można naprawdę wiele dla umysłu skorzystać; artykuły rzeczone zapoznają nas bowiem z najnowszymi wynalazkami, notują skrzętnie każde odkrycie w astronomii, botanice, geologii i w innych częściach tego olbrzymiego pola wiedzy. Łącząc zaś teoryę z praktyką, wskazują wszędzie na zastosowanie w naukach i w życiu codziennem. Niema, jednem słowem, jednego znaczniejszego objawu życia, którymby się *Alte und Neue Welt* nie zajmowało.

Mając zaś wzgląd na młodych czytelników i czytelniczki, nie pomija i sportu, a więc pisze o albumach z marek, z korespondentek i wykazuje, jak i na tem polu ducha kształcić można. Panie znajdą tu modę i praktyczne przepisy, w swobodnej formie do tego dążące, by z nich zrobić dobre żony, matki i gospodynie.

Bogaty jest dział ilustracyj. Obok reprodukcyj obrazów religijnych znajdujemy i obrazy historyczne, pejzaże, portrety tak, że trudno o dział malarski, któryby nie był tam reprezentowany; wiele obrazów jest kolorowych. Jeden błąd zarzucimy ilustracyom; jest ich, naszem zdaniem, za wiele: stąd nie wszystkie są równe, a niektóre nawet dość

słabe. Nie podoba nam się też ilustrowanie powieści; wygląda to za wiele na szablon i na prawdę dobrze ilustrowanych powieści w miesięczniku tym mniej napotkać można.

Jakież stanowisko zajmuje *Alte und Neue Welt* wobec rzeczy polskich, a szczególniej wobec literatury polskiej? Jeżeli niemiecki miesięcznik dla samego wyboru materyi zasługuje na to, aby był znanym i w Polsce, to jeszcze więcej powinienby być u nas rozpowszechnionym dla swoich sympatyj dla sprawy polskiej. W dawnych rocznikach można znaleźć rozmaite nader przyjazne artykuły o Polsce; znajdują się tam i dzieła z polskiego tłumaczone, jak np. „Za chlebem“ Sienkiewicza, spotyka się rozmaite utwory obcych pisarzy, o ile one Polski dotyczą; tak np. De Lamoth'a „Kosynierzy“, hrabiny Ballesträm „Jadwiga“ i dużo innych. W ostatnich latach zaczęła *Alte und Neue Welt* z zasady zapoznawać czytelników z najwybitniejszymi utworami polskiej literatury, drukując w r. 1897—1898 (pierwszy bowiem numer wychodzi z początkiem września) „Rodzinę Połanieckich“, w r. 1898—1899 „Quo vadis?“ i „Janko muzykant“. 1899—1900 „Tatarska niewola“ i „Na Olimpie“. Zasługą miesięcznika jest, że on właściwie dopiero Sienkiewicza do Niemiec wprowadził. „Rodzina Połanieckich“, dzisiaj w formie książki wydana i licząca drugie już wydanie, wywołała wielkie wrażenie. Kiedy redakcya wysłała do swoich czytelników listy z zapytaniem, która z powieści najbardziej im się podobała, otrzymała „Rodzina Połanieckich“ 311 głosów uznania i zachwytu, nie licząc tych, którzy przysłali swe sądy, wstrzymali się jednak od ostatecznej oceny.

Znanem jest śliczne tłumaczenie „Quo vadis?“ — lepszego przekładu Niemcy nie mają, a udatne obrazki robią z „Quo vadis?“ pierwszorzędne dzieło, chlubę, jak mówi redakcya, literatury katolickiej. „Tatarska niewola“, pysznym przetłumaczona językiem, powszechny obudziła zachwyt.

W prospekcie na nowy 35 rocznik, który z pierwszym dniem września się rozpocznie, czytamy, że *Alte und Neue Welt* będzie drukować „Krzyżaków“ i że wspaniały ten utwór również ilustracye zdobić będą [1]. Dlatego też zawdzięcza Sienkiewicz swą wziętość i znajomość

[1] Pierwszy zeszyt nowego rocznika mamy już przed sobą. Tłumaczenie „Krzyżaków“ zapowiada się bardzo dobrze; ilustracye, między niemi jedna kolorowa, wcale udatne. Redaktor zaznajamia w przychylnej rozprawie czytelników swoich z najnowszą powieścią Sienkiewicza.

w Niemczech w pierwszej linii *Alte und Neue Welt*, która nie tylko że utwory jego drukuje, ale krytyką i zbieraniem głosów prasy stara się zwrócić uwagę na wybitny talent polskiego mistrza.

Wiemy wprawdzie, że pisma niemieckie nie są w Polsce zbyt rozpowszechnione, zamiast jednak i tych paru protestanckich miesięczników, które się tu i owdzie w rękach znajdują, czyż nie lepiej postarać się o pismo, które nigdzie uczucia moralnego nie obraża, które w swych artykułach daje nam dzieła wysokiej wartości literackiej i artystycznej, które przedewszystkiem zawsze literaturze polskiej tyle poświęca uwag i z dobrych na prawdę najlepsze tylko wybrać potrafi?

Ks. Wiktor Wiecki.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

PO ZAMACHU NA KRÓLA HUMBERTA.

Uzasadnionem i usprawiedliwionem było oburzenie, jakie we wszystkich prawie kołach wywołała niecna, z całym cynizmem i brutalnością na osobie króla Humberta dokonana zbrodnia. Na zamordowanego króla, na jego działalność dla zjednoczonego państwa, na jego postępowanie i zasady wolno się każdemu zapatrywać według własnego zdania i głosu rozumu, nie wolno jednak nie wyrazić najgłębszego oburzenia, nie wolno nie napiętnować czynu, wylęgłego w nocnej partyi przewrotu, a przynoszącego hańbę cywilizacyi, którą zawsze i wszędzie szczyci się Europa, a której owoce zbyt niestety często były tak smutne, tak strasznie samowiedzę i poczucie własnej potęgi upokarzające.

Dzisiaj, kiedy już miesiąc od owej strasznej chwili upłynął, a wrażenie, wywołane bolesną wiadomością, trochę się uciszyło, z większym spokojem i z mniejszą pewnością błędu można dniu 29 lipca kilka poświęcić uwag.

Smutne, bardzo smutne słowa cisną się pod pióro. Tragiczna śmierć króla Humberta była, możnaby powiedzieć, dla pewnych partyj pożądaną, bo dała im miłą, a zawsze oczekiwaną, sposobność rzucenia kilku pocisków w kierunku Kościoła.

Wskrzeszono więc w rozmaitych pismach o znanym kierunku ognie inkwizycyi, wywołano z grobu straszne postacie Torquemadów, stawiono przed oczy średniowieczne tortury, a nim zdumiały świat ochłonął z przerażenia i poznał, że dzisiaj ogni inkwizycyi lękać się nie potrzebuje, bo na straży wolności i praw człowieka stoi stronnictwo, do walki na śmierć i życie gotowe, dowiedział się, że moralna odpowiedzialność za zbrodnię spada na Kościół, że wszystkie zamachy na królów i cesarzy wyszły z łona Kościoła, ba! prawdopodobnie nawet z cel jezuickich, że Luccheni, Caserio i Bresci byli gorliwymi katolikami a Bresci należał nadto do szeroko rozgałęzionej *Unione cattolica,* że tylko te kraje doznają spokoju i są wolne od podobnych wypadków, które się rozwijają pod ojcowską opieką socyalistycznych rządów i w których socyalizm kwitnie, że... lecz dosyć już tego, bo gotówby ktoś na prawdę uwierzyć, że niema już innego ratunku, jak tylko z rozwiniętymi sztandarami przejść do obozu demokratycznego, gdzie jedynie oczekuje nas szczęście i uwolnienie od wszelkich krzywd tej ziemi.

Tymczasem zbyt nerwowo i gorączkowo miotane strzały poczęły się zwracać powoli przeciwko tym, którzy je wysyłali. Pokazało się najpierw, że jak Luccheni i Caserio tak i Bresci nie tylko nie był, ale nawet nie mógł być katolikiem, to znaczy praktykującym; wszak i u nas pewna partya nazywa się katolicką, boć to ją u klas nieoświeconych najlepiej rekomendować może. Żaden za to katolik, który pamięta o przykazaniu: „Nie zabijaj", morderczej ręki na nikogo nie podniesie, chyba w przystępie szału. Śledztwo wykazało, że Bresci był anarchistą i to anarchistą najgorszego rodzaju, cynikiem i rozpustnikiem, który osłabiony nadużyciami i występkami, chwilę zamachu z dnia na dzień odkładał. Pokazało się nawet, że ten sam Bresci, fanatyk-katolik, należący niby to do *Unione cattolica,* wykazywał zbyt dla socyalistów niebezpieczne pokrewieństwo; własna przecież żona powiedziała o nim, że był on socyalnym demokratą i jako taki nienawidził instytucyi społecznych. Był on przytem wykształconym człowiekiem, a żaden wykształcony fanatyk-

katolik do socyalistów należeć nie może i jak długo katolikiem jest, należeć nie będzie.

Naprzód pouczył nas, że zamachy wychodzą tylko z najbardziej katolickich krajów, z Hiszpanii mianowicie i z Włoch, i że anarchistów nigdzie niema, gdzie silnie jest rozwinięta agitacya socyalistyczna. Wierzymy na słowo, choć wiemy, że Hiszpania i Włochy znajdują się pod wyłącznym wpływem rządów masońskich i republikańskich, tamujących rozwój życia katolickiego i osłabiających działalność Kościoła, wobec czego krajów tych bynajmniej katolickiemi nazwać nie można tak, jak nikt nie nazwie katolickiemi pewnych redakcyj, których członkowie mają z katolikami chyba tyle wspólnego, że byli kiedyś ochrzczeni; wierzymy, choć wiemy, że nigdzie agitacya socyalistyczna tak na razie przynajmniej silnych nie zapuściła korzeni, jak właśnie we Włoszech, gdzie na 5 krzeseł w parlamencie z r. 1893 liczą socyaliści dzisiaj już 32, choć dziwnym trafem wszystkie zamachy zbrodnicze właśnie z socyalistycznych Włoch pochodzą.

Nie chcemy być złośliwymi i podejrzywać nikogo o źle tajoną radość, dziwi nas jednak stanowisko zajmowane wobec zbrodni przez rozmaite *Avanti, Vorwärts'y* i *Naprzody;* wszak zdaje się, słusznie można powiedzieć, że nikt tak nie szkalował, a przynajmniej tyle rozmaitych zbrodni i występków nie zarzucał nieszczęśliwemu królowi, jak właśnie te pisemka. A czyż mogą dobrze uprzedzić burdy, wyprawiane przez włoskich socyalistów na posiedzeniach, w których chodziło o uczczenie zamordowanego władcy? Kto się opierał temu i rzucił zarzewie niezgody w Izbę, pod wpływem strasznej tragedyi jednomyślnie i z godnością działającą? I z jakich powodów? Socyalista Turati oświadczył wprawdzie, że boleje nad zbrodnią, ale nie może głosować za uczczeniem zamordowanego, bo jego zapatrywania nie pozwalają mu uznać powagi króla. Wszyscy, nawet republikanie głosowali za wnioskiem, socyaliści jedni sprzeciwili się temu. Po cóż te łzy krokodyle, w które i tak nikt nie wierzy!

Gdzież więc szukać przyczyn tych smutnych a tak zbrodniczych zajść? Że Kościół był tu winien, nikt o zdrowych zmysłach na seryo nie pomyśli, boć przecież cała nauka Kościoła

jest wprost przeciwną nauce anarchii i socyalizmu, i jak słusznie zauważyły niektóre dzienniki, wszyscy anarchiści i wszyscy ludzie przewrotu, nim podnieśli rękę na władców ziemi, wprzód z szatańską zawiścią wołali: „Precz z Kościołem!“ — i wprzód też wszystkie węzły z kościołem, ich jakkolwiek łączące, zerwali. Fałszem jest również, że kler wpaja w młodzież i w lud nienawiść do dynastyi, która papieżowi Rzym zabrała. Ten mniemany wpływ kleru na naród, szczególniej zaś na młodzież, trzeba do nader drobnych zredukować rozmiarów, lud znowu katolicki udziału w życiu publicznem nie bierze, zresztą nie z pośród katolików wychodzą mordercy. Zdrowy zmysł ludzi, należących do wszelkich stronnictw, sam poznał, komu właściwie zawdzięcza straszne zdarzenie i dlatego we Włoszech nie obwiniał katolików, ale zagrażał, jak to było np. w Rzymie, redakcyom pism socyalistycznych.

Jeżeli zaś, jak to czasami utrzymują, a o czem ostatecznie dużoby powiedzieć można, katolicy swojem wstrzymywaniem się od życia publicznego mogli spowodować rozrost anarchizmu, wtenczas zgadzamy się już na to, że ratunek i pomoc nie w anarchii ani w socyaliźmie, ale raczej w Kościele.

Swoją drogą każdemu rozumnemu człowiekowi daje dużo do myślenia okoliczność, że te zamachy dopiero w ostatnich czasach tak olbrzymie przybrały rozmiary, że przed zaborem Rzymu o nich wogóle słychać nie było. Wzrosły one od czasu, gdy wszechpotężne rządy masoneryi, dążącej do absolutnego przewrotu w instytucyach społecznych, utorowały drogę liberalizmowi i z nim spokrewnionej partyi socyalistycznej, tej, jak się słusznie wyrażają, przejściowej stacyi anarchizmu, różniącej się od niego rozmaitymi środkami, ale schodzącej się z nim w ostatecznym celu i zamiarze: przez wojnę wypowiedzianą religii do przewrotu.

Naukę wiary wykluczono ze szkół, wpływ kleru i Kościoła uniemożliwiono zupełnie, wiarę w Boga, w karzącą i wynagradzającą Sprawiedliwość, w życie po śmierci, wyrwano z serc, uciskano Kościół gdziekolwiek się dało, a sam nawet nieszczę-

śliwy król, nigdy się nie wstrzymywał od podpisania choćby najbardziej Kościół krzywdzącego dekretu.

Czyż wobec tego wszystkiego na prawdę tak bardzo nielogicznie postępują ci, którzy twierdzą, że kto wiatr sieje, burzę zbiera, lub inni, którzy w zbrodni w Monzy widzą sąd Boży, lub wreszcie wszyscy, którzy utrzymują, że nie przyszłoby nigdy do tego smutnego stanu, gdyby Rzym nazywał się dziś jeszcze Rzymem papieży a nie *Roma intangibile?* Wszak taka np. *Frankfurter Zeitung*, którą o względy dla Kościoła i dla religii katolickiej nikt bez wyrządzenia jej wielkiej krzywdy posądzić nie może, mówi z okazyi morderstwa: „Mało albo nic nie zyskały Włochy dla swego wewnętrznego rozwoju przez tak upragnione i tylu ofiarami okupione zjednoczenie“.

Jestżeż nadzieja, że zajścia lat ostatnich otworzą wreszcie oczy tym, do których to należy? Zdaje się, że nie. Nienawiść za wielkie zapuściła korzenie i zaślepiła do tego stopnia, że używa się wszelkich środków, pomija zaś jeden jedyny, ale radykalny. W proklamacyach nowego króla czytamy o nietykalnym Rzymie, o starych tradycyach dworu sabaudzkiego, o wstąpieniu w ślady ojca, o zachowywaniu konstytucyi i tym podobnych rzeczach, — nie czytamy za to nic o wynagrodzeniu i naprawieniu wyrządzonej Kościołowi krzywdy. Chciałoby się zapytać, co znaczy ten Rzym nietykalny i te stare tradycye! Niesprawiedliwości żadne tradycye nie usprawiedliwią, tem bardziej jeżeli z jednej strony stoi tradycya kilku lat dziesiątek, z drugiej zaś tradycye wieków. Kościół, jak każde stowarzyszenie, ma swoje prawa, prawa te posiadał i bronił ich, kiedy jeszcze nie wiedziano ani nie myślano o anarchii, o socyaliźmie, o dynastyi sabaudzkiej. Tych praw, w zwycięskiej walce wieków przechowanych, Kościół wyrzec się nie może, będzie ich bronił i o nie się dopominał. Jak długo się krzywdy Kościołowi wyrządzonej nie naprawi, będzie trudnem a nawet niepodobnem znaleźć skuteczne lekarstwo na raka, świat toczącego. Sprawiedliwości prędzej czy później stanie się zadość, lecz dużo kłopotów i dużo przykrości możnaby uniknąć, gdyby się chciało jaśniej a przedewszystkiem bezstronniej na rzeczy patrzeć.

Sytuacya polityczna, o ile poznać można, nie zmieniła się, i trudno przypuścić myśl o jakichśkolwiek dyplomatycznych stosunkach między Watykanem a Kwirynałem. Kościół jednak gotów w każdej chwili do koncesyj, gotów podać rękę, ale musi domagać się sprawiedliwości i naprawienia wyrządzonej krzywdy.

NOWE ROZPORZĄDZENIE MINISTRA STUDTA.

Od tej, wszystkich dotykającej tragedyi, zwróćmy się do niemniej bolesnego a jedynie naród polski obchodzącego zdarzenia. Ucisk doznawany pod zaborem pruskim nie jest dla nikogo tajemnicą i można się było spodziewać, że rząd jak używał tak też i nadal używać będzie wszelkich środków, dążących nietylko do stłumienia życia narodowego, ale i religijnego Polaków. Aczkolwiek panowanie pruskie nigdy nie odznaczało się szczególniejszą łagodnością, to jednak dawniej miano trochę przynajmniej względu na sprawiedliwość i nie używano takich o pomstę wołających środków. Wszystko zmieniło się na gorsze od czasów panowania hakatystycznej spółki. Zadaniem jej, to walka na śmierć i życie z polskością, walka nie przebierająca w środkach a uznawająca wszystko za dozwolone.

Kiedy jeneralny superintendent Szlezwiku, dr. Kaftan, wzywa rząd w imię słuszności, aby w sprawach języka kościelnego starał się o ścisłe zachowanie sprawiedliwości i uwzględnienie narodowości, to profesor teologii protestanckiej, pastor Letzius, bardziej konsekwentnie, każe na zebraniu w Gryfii używać najsurowszych środków, gdyż w walce z Polakami znajduje zastosowanie „zdrowy egoizm, moralna niesprawiedliwość i moralnie uprawnione barbarzyństwo“; samemu narodowi nakłada za to trzy obowiązki: *Steuer zahlen, Kriegsdienste leisten und Maul halten* I podczas gdy katolickie gazety niemieckie, jak *Germania* lub *Kölnische Volkszeitung* nie znajdują słów oburzenia dla ministra Studta za najnowsze rozporządzenia, znoszące naukę religii w języku polskim na wyższym i średnim stopniu miejskich szkół elementarnych od I—V klasy, jak i za zniesienie języka polskiego na średnim stopniu tychże szkół i kiedy ostatnimi a nader ostrymi wyrazami piętnują takie postępowanie, jako „godne

może chińskich bokserów", ale nie narodu cywilizowanego, to hakatyści i ich dzienniki, jak monachijska *Allgemeine Zeitung* i berlińska *Deutsche Zeitung* nie mogą ukryć swej radości. Owszem! tego pogwałcenia wszelkich praw dla nich jeszcze za mało, i zdaje się, że przyjdzie czas, w których ich życzeniom, aby i resztę swobody narodowi zabrano, a konstytucyę na niekorzyść Polaków (czyż i tak mają oni jaką z niej korzyść) zmieniono, zadość się stanie.

Stało się więc. W szeregu klęsk, które od lat wielu na naród spadały, nie po raz pierwszy, nie po raz ostatni zapanowała przemoc nad prawem, siła nad sprawiedliwością.

Czyż jednak nowy dekret osiągnie cel, dla którego stworzonym został? Jest on pogwałceniem najświętszych praw, bo każdy człowiek ma z istoty swej prawa, które nie mogą ulegać kontroli żadnego państwa, żadnego rządu. Człowiek nie jest maszyną bezduszną, a jego zadanie nie jest tylko dla tej ziemi i dla tej krótkiej przestrzeni czasu, w której żyje.

Nowe prawo jest pogwałceniem wolności, zagwarantowanej słowem honoru królów i urzędników niemieckich. Król Fryderyk Wilhelm III w roku 1815 wyraźnie zapowiedział, że żaden Polak nie potrzebuje się wyrzekać swej narodowości, że nietkniętą ma zostać jego religia, że język polski na równi z niemieckim na być używanym, że każdy wedle zdolności ma mieć dostęp do wszelkiej godności i zaszczytów w państwie niemieckiem. Jak w obec tego ostoi się nowe rozporządzenie? A jak wytłumaczy minister Studt swe prawo wobec dekretu cesarza Wilhelma II. 26 lutego 1894 r., w którym ten ostatni pozwala na wprowadzenie języka polskiego do szkół w tym celu, by poznanie zasad religii przez wykład polski ułatwić? Szerzej i głębiej patrzał się ów minister oświaty z roku 1812, Altenstein, który wprost zapowiedział, że wtenczas dopiero będzie można mówić o jakiemś zbliżeniu się, jeżeli język polski przy nauce uwzględnionym będzie.

Nowe rozporządzenie sprzeciwia się wszelkim zasadom pedagogiki, z której Europa dzisiaj tak dumna. Nad tym punktem rozwodzić się nie potrzeba, każdy to zrozumie; wystarczy tylko

nadmienić, że według *Kölnische Volkszeitung* wszelkie względy, nawet pedagogiczne, ustają tam gdzie chodzi o Polaków.

Pokazało się wreszcie, że nowym dekretem przepaść między dwoma narodami pogłębiła się jeszcze. To targnięcie się na religię, wprzągnięcnie jej do celów politycznych, wyzyskiwanie religii nawet w celach germanizacyi, musi się odbić na stosunkach wzajemnej zależności. Oburzenie, jakie dekret ministra Studta wywołał, opanowało nie tylko dojrzałych ludzi, ale udzieliło się i dzieciom, które, jak nam donoszą pisma, odmówiły ku wielkiemu zdumieniu i przerażeniu profesorów poprostu odmawiać modlitwy po niemiecku.

Ostatnie prześladowanie ma jednak jednę dobrą stronę. Pokazało ono znowu, tym razem już bardzo widocznie, czego od rządu pruskiego polski lud spodziewać się może, a tem samem pokazało ono temu ostatniemu, jakie stanowisko wobec rządu ma zająć. Precz z gwałtami i z pięknemi słowami! Nie słów, ale czynów nam potrzeba, czynów, któreby pokazały, że naród potrafi bronić swych praw i przyrodzonych obowiązków. Na Kościół i na rodzinę spada teraz największe zadanie; ich celem będzie zneutralizować szkodliwy wpływ, jaki musi być następstwem dzisiejszego zamachu na religię ludu polskiego.

Kościół stanowisko swoje wobec dekretu ministra Studta już zaznaczył. Ks. arcybiskup Stablewski zapytał energicznie, jak w państwie konstytucyjnem, które śmie szczycić się tem, że całemu światu przewodzi, potrafiono targnąć się w ten sposób bez uprzedzenia władzy duchownej na sprawy kościelne. Nie wiele się spodziewamy po tej interpelacyi; tam gdzie w odwrocie połyskują bagnety i żołnierskie mundury, tam nie sposobność po temu, by na słuszny głos protestu otrzymać zadosyćuczynienie; tam też bez uwagi przejdzie słuszny głos tysięcy i siła zatryumfuje, lecz tylko do czasu.

STOWARZYSZENIE MODLITWY DZIECI FRANCUSKICH.

We Francyi tymczasem partya katolicka nie próżnuje i raz po raz donoszą gazety o rozmaitych objawach budzącego się religijnego życia. Ponieważ społeczeństwo francuskie pod względem przekonań religijnych nie

najlepiej się prezentuje, nie zadziwi nikogo, że wszystkie prace i starania o rozbudzenie życia chrześcijańskiego rozpoczynają się nader często od młodzieży a nawet od dzieci. Mamy do zanotowania jeden z takich faktów, rozrzewniających samym swoim pomysłem, o którego skutkach dziś jeszcze nic powiedzieć nie można, ale który w każdym razie jasno nam okazuje, że wielka część narodu francuskiego czuje potrzebę odrodzenia. Mówimy tu o stowarzyszeniach dzieci francuskich, których celem jest modlitwa za małych francuskich Chińczyków. Apostolstwo dzieci w ogóle wydało już liczne a piękne owoce. Zadaniem jednak jego było przyjście z pomocą dzieciom pogańskim czy to datkami pieniężnemi, czy modlitwą, czy też jakimkolwiek innym sposobem. Tymczasem pokazało się, że Apostolstwo to nie jest w Europie nigdzie tak potrzebnem, jak właśnie we Francyi. Jak donosi *L'Univers* z 15—16 lipca po miastach i przedmieściach francuskich trzecia ledwie część dzieci zostaje chrzczoną a i z tej maleńkiej liczby znowu zaledwie trzecia część przystępuje do świętych sakramentów.

Dokąd taki stan prowadzi to się już pokazało, a skutki tej demoralizacyi są nader smutne. Kiedy więc OO. Karmelici bosi założyli to stowarzyszenie, oddane pod szczególniejszą opiekę pragskiego Dzieciątka Jezus, katoliccy rodzice z całej Francyi nadsyłali tłumnie imiona swych dzieci i zapisywali je w księgę stowarzyszenia, a czynili to tem chętniej, że przepisy na członków nałożone są bardzo proste. Zapisanie nazwiska do książki stowarzyszenia i codzienne odmówienie jednego Zdrowaś Maryo wraz z krótką modlitewką, to cały obowiązek. Katolicka Francya, opierając się na słowie Zbawiciela: „Pozwólcie dziatkom do mnie przychodzić“, spodziewa się wiele po nowej lidze.

Ks. Wiktor Wiecki.

Zjazdy w 1900 roku.

Międzynarodowy kongres katolicki w Paryżu.

»Ut omnes sint unum«.

Już w grudniu zeszłego roku rozesłane zostały do przedstawicieli i obrońców katolicyzmu w różnych częściach świata, odezwy komitetu, który, pod prezydencyą J. E. kardynała Richard, arcybiskupa paryskiego, a pod kierunkiem hr. Nicolaï, miał stanowić o obronnej międzynarodowej akcyi katolików i rozwoju dzieł miłosiernych.

Towarzyszyły odezwom, oprócz blankietu wpisowego, list drukowany kard. Rampolli do kard. Richarda z sankcyą papieską, kwestyonaryusz o nazwie, celach i sposobach działania tych towarzystw katolickich, które akcyę ujawnić pragnęły — wreszcie detaliczny program dyskusyi.

Olbrzymi projekt kongresowych rozpraw, obejmujący wszystkie niemal dzieła miłosierdzia ludzkiego na kuli świata, bądź to przez mężczyzn, bądź przez kobiety podjęte, rozdzielał się w rzeczywistości na trzy różne grupy, dzieł ascetycznych, dzieł miłosierdzia, i sposobów walki. Kobiety jak i mężczyźni mieli uczestniczyć w rozprawach, które od 8—12 rano i od 2—6 popołudnie osobno dla panów, osobno dla pań przy ulicy des Saints Pères, a wspólnie o 9 wieczorem, 84 rue de Grenelle odbywać się miały.

Rozpoczęty dn. 3 czerwca w dzień Zielonych Świątek ceremonją inauguracyjną w Notre Dame, kongres miał po całotygodniowych rozprawach zakończyć się 10 czerwca w uroczystość Trójcy św. (oraz św. Małgorzaty) aktem solennej konsekracyi Przen. Sercu Jezusowemu w Montmartre i pielgrzymką do Paray-le-Monial.

O godzinie 5 popoł., w oznaczony dzień, zebrali się w prastarej Notre Dame paryskiej uczestnicy kongresu.

Środkowa nawa świątyni zaroiła się od licznych uczestników. Pokazywano sobie hr. Alberta de Mun, inicyatora stowarzyszeń rzemieślniczych, Antonin'a Pagès, prezesa Konferencyi św. Wincentego a Paulo, niedawno przejednanego hr. d'Haussonville i François Coppée, Leona Harmel, Denys Cochin deputanego Paryża, B-na de Livois, stojącego na czele przytułków noclegowych paryskich, a obok nich, na honorowej trybunie wprost kazalnicy, przedstawicieli zagranicznych, hr.

Blome z Węgier, hr. Acquaderni z Bolonii, br. de Montenach z Fryburga, mgr. Rudini-Tedeschi, kierowników St. Bonifacius, Rafaëls, Pius-Vereins i wielu innych.

Panie nie ustępowały liczbą. Znalazły się tam pod prezydencyą hr. d'Eu i księżnej de Vendôme, hr. de Biron, pani Aubez, księżna de Clermont-Tonnère, de Bauffremont i d'Estissac, margr. Costa de Beauregard i de Ganay, pani Cochin, p. de Bully i prawie wszystkie przedstawicielki tych rodzin, które niedawno w straszliwej katastrofie Bazaru de la Charité, miłosierdziu publicznemu ofiarę z życia złożyły.

Rozpoczęła się ceremonia ingresem episkopatu, odśpiewaniem *Veni Creator*, poczem wszedł na ambonę O. Sertilange, Dominikanin.

W świetnej i gorącej przemowie przeciwstawił on miłosierdzie chrześcijańskie solidarności i altruizmowi, któremi wojuje obóz nam przeciwny. Zachęcał do miłości nawet wśród walki, nawet w użyciu środków odpornych, tej miłości, przed którą się nic nie ostoi, bo jest boską, więc wszechpotężną. Kończył zaś mowę temi słowy: „Śmiem wierzyć, że to zjednoczenie wszystkich dzieł miłosiernych, nad rozwojem których naradzać się będziecie, sprawi, że Chrystus Pan zasiądzie znowu na tym tronie królewskim, który był mu wzniesion wśród naszego ludu. O to nam idzie jedynie! Gdybym nie miał nadziei, iż się to ziści, zapytałbym, jak może wy się pytacie, co się nareszcie stanie z tem społeczeństwem, które się w naszych oczach rozpada?

Boga, Boga nam potrzeba, aby zwalczyć ów egoizm i tę żądzę używania, z których powstają rozstrój i śmierć. Chrystusowi Panu należy oddać ster okrętu podczas nawałnicy, jak to uczynili uczniowie na jeziorze Genezaret. Zanim jednak nastąpi błogosławiona ta chwila, może należy oczekiwać niejednej klęski krajowej — potrzebne nam są może uderzenia gromu, aby nas z obojętności otrząsnąć. Lecz po nowych doświadczeniach przyjdzie niewątpliwie zbawienie, przyjdzie życie inne i płodne, którego dziś już dają się dopatrzyć objawy.

Wierzę w to, że Ewangelia święta, którą zbyt powierzchownie rozumieją narody, przeniknie je do głębi, że powstające dziś kwestye socyalne, które jeden Chrystus rozwiązać jest w mocy, rozstrzygnięte zostaną w myśl Jego — i twierdzę, że przyjdzie nam błogosławić owe katastrofy, ową rewolucyę jutrzejszą, ową krwawą wojnę domową, jeżeli one to rzucą nas wreszcie w ramiona Boże.

Ach, bo wtedy pewien jestem, rozpocznie się era chwalebna i wielka! era, w której rozkwitną w pełni wszystkie pierwiastki narodowej chluby, wyszłe z łona tego wieku, era ożywcza, w której nad

generacyą strupieszałą, zapanuje zmartwychwstały Bóg, a Francya się podniesie jako żołnierz Chrystusowy, aby większa i szlachetniejsza, niż przedtem, niewzruszoną swą wiarą budować inne narody".

* * *

Nazajutrz po solennej mszy świętej odprawionej w kościele św. Tomasza z Akwinu i przystąpieniu obecnych do Stołu Pańskiego, zbierają się uczestnicy kongresu w lokalu Ojców Jezuitów przy ulicy des Saints Pères.

Miejsce zebrania stanowi wysoka i przestronna aula, oświecona z góry, a związana na trzech piętrach trzema obręczami krużganków.

Z owej galeryi wchodzi się do sal bocznych przeznaczonych do rozpraw przygotowawczych poszczególnej natury. Na pierwszem piętrze, za matową szklanną ścianą, oddzielającą aulę od kaplicy, prześwieca ołtarz z wystawionym Przenajśw. Sakramentem, w uczczeniu którego zmieniają się co pół godziny członkowie kongresu.

W głębi sali na podniesieniu trzy stoły: środkowy dla prezydyum, boczny dla sekretarza i mowców. Monseigneur Pechenard, rektor Instytutu Katolickiego w Paryżu, otwiera posiedzenie modlitwą. Hr. Nicolaï, inicyator kongresu, typ człowieka dawnego pokroju, zagaja rozprawy wytwornem przemówieniem, którem wita przybyłych i dziękuje cudzoziemcom.

Nie wszyscy, którzy się obiecali, przybyć mogli; wymówił się książe de Loevenstein i dr. Lüeger, burmistrz wiedeński. Lecz w sali zauważyć można panów bar. de Montenach, hr. Disbach, O. X. Le Doré, X. de Boniau, p. de Bellomaire, p. Marka Sangnier-Lachaud, reprezentanta Alzacyi w Reichstadcie niemieckim, kanonika Müller-Simonis.

W auli i salach bocznych ożywiają się dyskusye. Trzy ważne kwestye umieszczono na programie dziennym: dzieła religijne, nauczanie młodzieży i prasę. Rozdziela się publiczność na trzy oddzielne grupy, z których każda porozumiewać się będzie osobno.

A najprzód o Przenajśw. Sakramencie, kongresach międzynarodowych Eucharystycznych, ich stronach dodatnich, o bractwach, processyach, adorycyi nocnej i dziennej; potem o nabożeństwie do Serca Jezusowego, mającem na celu ratowanie Francyi i świata całego, nabożeństwie którego stolicą stało się Montmartre, a które rozszerzają w kraju wciąż coraz liczniejsze stowarzyszenia.

Przychodzi kolej na dzieła Apostolstwa, a więc na missye po

różnych krajach, katechizacyę po miastach, rekolekcye dla wszystkich warstw społecznych. Stwierdzono, iż do rozszerzenia religijności we Francyi, znakomicie przyczyniają się Towarzystwa św. Franciszka Salezego, zaś w Niemczech *S. Bonifacius-Verein* i *Pius-Verein* w Szwajcaryi. Że w dzikich krajach i koloniach państw katolickich praca apostolska coraz obfitsze wydaje owoce; odczytano referaty de la propogation de la Foi, de la S-te Enfance, de l'oeuvre d'Orient, wreszcie Towarzystwa S. Rafała dla emigrantów niemieckich.

O pielgrzymkach do miejsc świętych, o składkach na świętopietrze i należnem uczczeniu Ojca Świętego w nowem stuleciu. O wypoczynku obowiązkowym w niedzielę i święta, wspomniano także. Położono nacisk na potrzebę zachęcania do duchownego życia i wytwarzania powołań; podniesiono znaczenie bractw i kongregacyj, a w szczególności trzeciego Serafickiego Zakonu, który ubóstwem pokorą i przykładem pracy wznawia wśród mas roboczych najczystsze zasady chrześcijańskie.

A tymczasem rozprawiają na wyższej galeryi o propagandzie kół katolickich wojskowych; zagranica pod tym względem nie wyrówna Francyi. Przyznają to jej delegowani szwajcarscy, niemieccy, austryaccy i włoscy, nawet Belgia, tak mogąca się szczycić dla swojej armii, rozwojem klubów katolickich.

Jednocześnie na konferencyi o prasie, podnoszą nieodzowność utworzenia agencyi katolickiej międzynarodowej i z tego powodu p. Darrieu odczytuje szczegółowy raport o działaniu biura informacyjnego we Francyi. Kanonik Müller-Simonis objaśnia w jaki też sposób działają w Alzacyi tego rodzaju agencye.

W lokalu przy rue de Grenelle panie porozumiewają się tymczasem nad dziełami miłosierdzia.

I oto już wstępne rozprawy pierwszego dnia zamknięto. Wieczorem, w Société d'Horticulture, wstępuje, wobec zebranych obu komisyj, żeńskiej i męskiej, na publiczną mownicę, ks. kanonik Odelin, wikaryusz generalny, który odczytuje adres wysłany do Ojca św. tej treści: „Kongres międzynarodowy dzieł katolickich, zebrany w Paryżu pod prezydencyą J. Eminencyi kard. Richard, arcyb. Paryża, oświadcza, iż rozpoczyna prace uroczystem zapewnieniem przywiązania swojego do Stolicy Piotra. Uczestnicy kongresu, zebrani na to, aby ugruntować, utrzymać i rozszerzyć działalność swoją w myśl Kościoła, każdy w swym kraju, wiernopoddani i ślepo posłuszni wskazówkom i kierunkowi Stolicy Apostolskiej, w obronie praw wiary św. zanoszą prośbę

do Ojca św., aby raczył im udzielić specyalnego Ojcowskiego Swego błogosławieństwa".

Przewodniczący kard. Richard podnosi się... On sam odczyta powstałemu zebraniu odpowiedź kardynała Rampolli: „Ojcu św. przypadło głęboko do serca, iż Kongres międzynarodowy dzieł katolickich rozpoczął swoje prace oświadczeniem swojej wierności Kościołowi. W tem poddaniu chęci ludzkich woli Bożej tkwi rękojmia zbawiennych owoców. Ojciec św. z całego serca udziela też błogosławieństwa swojego wszystkim stowarzyszonym kongresu".

Teraz pan Denys Cochin wchodzi na trybunę. Deputowany paryski przemawia z wielkim zapałem o wolności nauczania. Przypomina zasługi pp. Montalembert'ów, de Falloux, Cochin, Armand de Melun i tych wszystkich, którzy walczyli za tą swobodą nauczania, któraby mogła dziś święcić swoje pięćdziesięciolecie. Był czas, zauważył dowcipnie mowca, że i p. Waldeck Rousseau, niegdyś bardzo liberalny, przemawiał za tą wolnością, ale to już dawno temu.

Pan Fonssegrives zastępuje na trybunie p. Denys Cochin i podnosi raz jeszcze zbawienną pożyteczność trzeciego zakonu, a o święceniu niedzieli, w przeciwstawieniu do *„repos hebdomadaire"*, przemawia na zakończenie z niezwykłą swadą oratorską i siłą argumentacyi pan Valleroux.

* * *

Dzień poniedziałkowy nie wyczerpał pierwszej części programu. W czasie rannych wtorkowych konferencyj zaciekawiło wszystkich przemówienie ks. Gavnier, popularyzatora Ewangielii. Pragnie on, aby każdy ojciec rodziny czytał ją i wykładał w ognisku domowem. Przeciw tej propozycyi powstają dwa głosy. Ojcowie Jezuici widzą w dowolnem komentowaniu Ewangielii niebezpieczeństwo nie lada. Ks. Gavnier, opierając się na danej mu zachęcie przez Leona XIII, broni swego zdania; wyznawcę socyalizmu chrześciańskiego, za jakiego uchodzi w Paryżu projektodawca, uważają słuchacze za nieraz krańcowego w postępowaniu swojem człowieka. Ks. Gavnier zmuszony jest wkrótce oględniej zredagować swe votum. Cztery ewangielie, które pożytecznie każdy może czytać powinny być opatrzone komentarzami przez Kościół zatwierdzonemi. Nie wszyscy myślą, aby, wyszłe z inicjatywy mowcy cztery ewangielie i akta, z notatkami treści społecznej i narodowej, odpowiadały celowi. Ks. Gavnier, którego łączą pewne stosunki z redakcyą Peuple Français, organem unii narodowej, wyciąga w tej

chwili z kieszeni całą plikę druków. Kartki te noszą tytuł: *„Il faut des hommes“*, a wyczytać w nich można, jak kształcić owych ludzi, jak ich zużytkować, i jaką jest w tym względzie metoda unii narodowej.

Ale zastąpił na trybunie mowcę, Jezuita ks. Lacouture. Inny to typ człowieka, ten dawny profesor z zakładu S. Clement w Metz, przyjaciel i kierownik szkolnej młodzieży. Wymowa jego płynna, jasna, treściwa, wie dobrze czego chce i o czem radby słuchaczów przekonać. Jezuici kształcili dotychczas wyłącznie młodzież bogatszą. Nie zrzekli się obowiązku tego. Ale widzą, że i w rzemieślniczych sferach usłużyć mogą — rzemieślnik we Francyi dzierży przyszłe losy narodu. Wykształcić rzemieślnika społecznie w myśl Bożą, technicznie o całe niebo dokładniej i lepiej jak to się praktykuje dotąd, takie winno być nowe ich zadanie. Ten cel miał ks. Lacouture na względzie, kiedy parę lat temu otworzył w Lille pierwszy we Francyi jezuicki rzemieślniczy internat. „Pojedźcie — woła — do Lille, a obaczycie! Obok ośmiu godzin rzetelnej pracy w warsztacie znajdujemy tam czas i na klasyczne i na wyższe religijne wykłady. Nasz terminator przechodzi wszystkie stopnie swojego fachu, a jak wyjdzie na podmajstrzego, odbyte studya klasyczne pomogą mu do jaśniejszego wykładu, do płynniejszej wymowy; gdy kiedyś zostanie majstrem, kierować mu łatwiej przyjdzie fabryką, a pozostanie majstrem chrześcijańskim. Kto zaś sądzi, iż znojna praca szkodzi naszym wychowańcom, niech się przypatrzy rumianym ich twarzom i zadziwi każdego ich wygląd czerstwy i wesoły“.

Niestety, aby rozszerzyć zakład, jak tego wymaga program, aby dopiąć w pełni wymarzonych rezultatów tej religijno-techniczno-klasycznej nauki, brak dwóch milionów. Obecność na kongresie założyciela pożytecznej tej szkoły ma więc na celu, zdać sprawozdanie z tego, co już się osiągnęło i o dalsze zapomogi kołatać.

Z wielkiem uznaniem przyjęto raport O. Lacouture. Sam widok mowcy kazał podzielać jego przekonania. To też sufragan paryski, biskup Jourdan de La Passardière, prezydujący, podniósł w słowach gorących zasługi OO. Jezuitów, którzy, śledząc ustawicznie za nowemi potrzebami stulecia, Bogu i zarazem ojczyźnie tak właściwie służyć umieją.

W dopełnieniu myśli ks. Lacouture wyrażono inne wotum: aby jedno ze zgromadzeń religijnych, poświęcających się wychowaniu młodzieży, a posiadające filie w rozmaitych krajach, zechciało uczniów w zawodzie technicznym, wykształcać przez lat kilka w swoich filiach

zagranicznych, coby im ułatwiało znajomość obcych języków i stosunki komercyjne, a uczniowie w ten praktyczny sposób wszechstronniej obeznani z fachem, wracaliby do rodzinnego kraju, nieobniżeni moralnie, a nadto z zasobem wiedzy porównawczej różnych technicznych sposobów.

O. Macabiau, także Jezuita ze seminaryum w Vals, obok Le Puy (Haute Loire) przemówił z kolei za szkołą wyższą duchowną.

„W wielu dyecezyach francuskich dał się czuć brak księży. Ojciec św. w encyklice z 8 września 1899 r. przemawia z naciskiem za potrzebą kształcenia sług ołtarza. Pragnie aby posiadali obok cnót rozlicznych i zasób umiejętności ludzkich a zwłaszcza filozofii i teologii. W seminaryach, dla przyczyn całkiem niezależnych od ich dobrej woli, uczniowie nie mogą kształcić się wedle powyższego programu; w zakonie cel prędzej osiągną, a że skądinąd łatwiej o młodzież zdrową, bogobojną i zdolną pod wieśniaczą strzechą, dlatego powzięto myśl fundowania szkoły wyższej dla dzieci z ludu. Zaczynają tam oni od niższego wykształcenia klasycznego, 3 lat filozofii i tych nauk, jakie się udzielają w scholastycznym zakładzie w Vals młodym uczniom Jezuitom. Następnie uczęszczają przez lat 4 na wykłady teologii dogmatycznej i moralnej, Pisma św., języka hebrajskiego, prawa kanonicznego i historyi kościelnej. Wychodząc ze szkoły, mogą wedle życzenia własnego albo biskupów, zasilać prowincye kraju mniej obfitujące w kapłanów".

Taka instytucya, której założenie poparli kardynałowie Rampolla i Parocchi, ufundowana została w Vals, w którego okolicach lud nader pobożny obfituje w powołania. Uczeń zakładu kosztuje rocznie 500 fr.; byłoby możliwem a godnem życzenia, aby ta szkoła wykształciła co roku 300 młodych księży, na co potrzeba 150.000 franków. Przedstawiciel zakładu widzi w tem jedną z palących potrzeb obecnej chwili.

Czas nie wystarcza na rozważenie wszystkich propozycyj. Szósta wybiła, o 9-tej zaś wieczorem, pod prezydencyą dwóch biskupów, mons. de Cabrières (w Montpellier) i Montis de Oca (w Potosi), ma jeszcze przemawiać o konieczności wykształcenia wyższego religijnego, zaniedbanego w dzisiejszych czasach, p. Alix, dziekan fakultetu prawnego w Paryżu; o prasie katolickiej p. de Marolles, zaś kanonik Müller-Simonis o federacyi katolickiej w Niemczech, o jej organizacyi, o religijnym związku terminatorów i majstrów (tych ostatnich przystąpiło już 11.000), i o zbawiennych owocach kongresów katolickich, z których ostatni w Niemczech zgromadził 1500 członków.

Wychodzącym ze sali o pół do pierwszej po północy, rozdają jeszcze różne drukowane projekty, odnośnie do wychowania młodzieży, jak: *L'enseignement religieux par les yeux, Grand album d'images en couleur pour l'explication du catéchisme, par l'abbé Moutarde,* albo *Liste de l'Union Fraternelle du commerce et de l'industrie,* katalogi wyborowych książek, próbne egzemplarze pism różnych i t. p., i jeszcze czas jakiś na wyludnionych ulicach Quartier Latin odzywają się w nocy nieuśpione echa kongresu.

* * *

Środa i czwartek są dniami przeznaczonymi młodzieży.

Zaroiło się od niej po galeryach i salach. Nowy, ożywczy prąd owiał słuchaczy. Sam hr. Nicolaï, którego dla podeszłego wieku zmęczyły długie narady dwóch dni ostatnich, w zetknięciu z elementem młodym, ożył na nowo.

Młodzieży prezydują pp. Raoul Ancel, Bazire albo Lerolle. Słychać co chwila grzmoty oklasków, tupanie nóg o podłogę. Czasem przez drzwi otwarte zalatuje falą głosów hałaśliwe echo ożywionej rozprawy.

PP. Raoul Ancel i Vermont z Rouen podnoszą strony dodatnie stowarzyszeń, opartych na wzajemności *(la Mutualité),* szerzących po kraju wstrzemięźliwość, oszczędność i inne cnoty społeczne: takie stowarzyszenia to prawdziwy atut w rękach katolików.

Pan Michel Jolly referuje o sekretaryacie ludowym w Paryżu.

Pan Normand d'Authon opisuje stosunki młodzieży francuskiej z młodzieżą katolicką za granicą.

PP. Pericoli i Vercesi dają obraz działalności *Gioventù Cattolica Italiana,* proboszcz z Mülhuzy ks. Cetty mówi o katolickiej młodzieży niemieckiej; o hiszpańskiej dr. Flaquer, o włoskiej baron de Matteis, o austro-węgierskiej delegat wiedeński objaśniają słuchaczy. — O angielskiej zaś raport p. Fitz Patrick'a, odczytano w jego imieniu.

Pan Bazire przemówił także o tendencyach socyalistycznych młodzieży katolickiej we Francyi, a p. Vermeesche o działalności młodzieży w Belgii.

Wieczorem prezyduje zebraniu aż czterech biskupów: mgr. de Cabrières z Montpellier, Burnes z South-Wark (z Londynu), Montes de Oca z Potosi, Matteo Dvornik przedstawiający biskupa ze Spalato. Mgr. Mollien biskup z Chartres i mgr. Savoye, protonotaryusz apo-

stolski, przysłali dwa ciekawe referaty o Lidze wstrzemięźliwości przeciw pijaństwu, które te prace oparte są na wyczerpujących statystycznych danych. Kończą je czytać, gdy nagle zjawia się u wejścia do sali hr. de Mun. Obecność dziś jego nadprogramowa robi niemałe wrażenie. Wchodzi otoczony gwardyą młodzieży, a zdąża wprost do trybuny.

Nie mógł się oprzeć pokusie uczczenia biskupa ks. de Cabrières, przybyłego dziś do Paryża a prezydującego zebraniu. Biskupa z Montpellier i dwóch przedstawicieli amerykańskiego i angielskiego Kościoła wita hr. de Mun w wytwornych słowach, poczem tak dalej mówi:

„Zanim głos będzie dany p. Janowi Lerolle, niech mi wolno będzie podziękować prezesowi kongresu w imieniu Towarzystwa katolickich kół rzemieślniczych, których prezyduję jeneralny komitet, iż raczył pomieścić go dzisiaj w liczbie mowców kongresowych.

„Upływa lat trzydzieści (wybaczcie mi, iż odwołuję się do wspomnień, które przechowują już dzisiaj jedynie świadkowie najpierwszych naszych wysiłków), jak dzieło nasze zrodziło się w skromnem mieszkaniu rękodzielnika, w cichem ustroniu, w którem Paweł Vrignault, pierwszy nasz prezes, ukrywał wobec młodych rękodzielników z Boulevard Mont Parnasse świątobliwość swojego życia, tuż obok Maurycego Meignen naszego mistrza i przewodnika na drodze dzieł ludowych.

Ci dwaj ludzie zeszli z tego świata: imię pierwszego nie wspominane już prawie od tych, którzy go osobiście nie znali; imię drugiego, chociaż znane i czczone przez ludzi czynu, nie zdobyło sobie rozgłosu, ani ogólnej sławy.

Obowiązkiem jest tych, których niegdyś kształcił ich przykład, oddać w historyi naszych kółek należną im pochwałę. Gdyż dla nas którzyśmy im przynosili zaledwo nasze dobre chęci, byli oni wobec Boga i rzemieślników chrześcijańskich rękojmią całą.

Oni to nas od pierwszej chwili połączyli z tradycyą dzieł wielkich, wyszłych z serca Ozanama, tego siewcy myśli szczytnych, inicyatora katolickiego socyalnego ruchu dzisiejszej ery, a w którym odnajdują się aż do właściwego swego wyrazu wszystkie najszczytniejsze porywy, które od ćwierć wieku stanowią życie nasze. Należeli Vrignault czynnem swojem miłosierdziem, a Meignen religijnym ślubem do rodziny św. Wincentego a Paulo, lecz marzyli dla niej o zwrocie nowym, bardziej wojowniczym w działaniu, śmielszym w zamysłach społecznych, mniej zastarzałym w swych formach. Jeden z nich wypełniał powszednie czynności naczelnika biurowego z gorącością i misty-

cyzmem mnicha z dwunastego wieku; drugi w surowości życia zakonnego przechowywał wyobraźnię artysty i serce poety.

Obaj, ukochawszy tradycyę przeszłości i pogrążeni w dawnych dziejach, mało do dziś dnia znanych nawet katolikom naszych cechów rzemieślniczych, pełni podziwu dla tej wspaniałej demokracyi średniowiecznej, marzyli o tem, żeby w dzisiejszej odżyły tradycye tamtej demokracyi, jej wiara i jej znaczenie. Obaj nareszcie posunęli zaparcie się własne aż do bohaterstwa!

Tacy byli mistrze nasi! Możemy o nich powiedzieć to, co Vrignault mówił o Chrystusie w tej pieśni napisanej dla rzemieślników, prostej jak poezya średniowieczna, a którą do dziś dnia śpiewamy: „Wycisnęli pieczęć swoją na narzędziach swoich".

Na ich to zawezwanie w wieczór wigilijny 1871 roku, w ich ubogiem mieszkaniu, kilku ludzi dobrej woli, uklęknąwszy pod wrażeniem religijnych i patryotycznych uczuć, które w tej dobie ogarniały ich dusze, przysięgło poświęcić wszystkie swoje siły dla tej myśli, z której miało powstać (pewni byli tego) odrodzenie moralne i społeczne kraju.

Myśl tę nasz młody przyjaciel Jan Lerolle wypowie przed wami z tą gorącością porywającej wymowy, którą widocznie odziedziczył w spadku razem z powagą imienia drogiego katolikom francuskim, imienia, które się stało symbolem dla nas wiary, męstwa i poświęcenia.

I w tem leży chwała nasza, iż mamy dzisiaj dla niesienia wam słowa, miasto jednego z tych, którego obarczyło już brzemię lat i walk, młodego szermierza, który się pojawił wczoraj na arenie naszej, a dziś chce dzierżyć i podnieść przed wami chorągiew kół katolickich.

To braterstwo nasze pod bronią, która łączy przeszłe wspomnienia i nadzieje przyszłe, dowodzi najlepiej siły i żywotności owej myśli, która zapaliła niegdyś i zbratała nasze dusze.

Głosić i bronić wszem wobec Boże prawo nad ludzkością, to prawo stosować do bliźnich wedle nauki Kościoła, aby wniknęło nareszcie w obyczaje i prawodawstwo narodowe, uczcić je i wyrazić przykładem poświęcenia się dla drugich, aby ten przykład pobudził możnych do świadczenia bliźnim ubogim, przez łączność i wspólność działania, urzeczywistnić chęci nasze na największą skalę, taka jest myśl, którą nazwę nieśmiertelną, bo jest oparta na statucie Bożym i wyższą jest od tych, którzy ją wypowiedzieli, myśl, która od lat trzydziestu przewodniczy ustawicznie wszystkim naszym przedsięwzięciom.

Ta myśl podstawowa przejawiała się i wyrażała odtąd w formach rozmaitych, odnośnie do okoliczności natchnienia i temperamentów ludzkich, lecz pod różnicą form pozostała zawsze ta sama, wspaniała, jasna, niezwyciężona w zasadzie, niewyczerpana w skutkach, jedyna mająca dość siły, skoro płynie z przedwiecznej Prawdy, aby utrzymać łączność dusz naszych pomimo zmienności czasów.

Temi kilku słowy pragnąłem skreślić jeden raz więcej, i głośno naznaczyć te przekonania, które, mimo przeszkód, prób i niepomyślności chwilowych, wzmacnia we mnie codzienna obserwacya faktów i badanie myśli ludzkiej, a które, popchnąwszy mnie do publicznego zawodu, pozostaną do końca podnietą mojego męztwa i mojej nadziei.

Mówię nadziei, bo ona jest ostatniem słowem naszych zebrań katolickich.

Bo, jakkolwiek ciemną jest teraźniejszość a groźną przyszłość najbliższa, podziwiam, co do mnie, codzienny postęp tych zasad, którym służyliśmy dotąd, a które znajdują co roku wśród młodzieży naszej nowych obrońców i apostołów.

Podziwiam, w jaki sposób na tej arenie walk stronniczych, i mimo wstrętów, które nam czyni przewrotność sekciarska, troska o bliźnich ogarnia coraz więcej umysły, narzuca się rządom, i przygotowuje wspólny grunt porozumienia dla wszystkich serc szlachetnych. Podziwiam do jakiego stopnia, przeważnie u katolików, wytwarza się jedność zapatrywań co do zasad fundamentalnych, tak sprzecznie omawianych dotąd, prawa społecznego i porządku ekonomicznego. Jak wszyscy rozumieją dzisiaj potrzebę akcyi społecznej, ułatwiającej egzystencyę ludzką, śledzącej wynik dzieł nowopowstałych, odzywającej się z ufnością do inicyatywy sfer rzemieślniczych, tej akcyi, która dziś zajmuje umysły więcej od politycznych zagadnień, a która, otwierając wszystkim widnokręgi szersze, odkrywa przed wzrokiem naszym tę ziemię obiecaną wspólnego porozumienia, u której wstępu nie będzie już miejsca na podejrzliwość i nienawiść ludzką.

Podziwiam zwłaszcza, jak, to, niby niemożliwe do osiągnięcia porozumienie kapitału i pracy, którego pierwsi śród katolików (wyznajemy to z chlubą) przepowiedzieliśmy urzeczywistnienie, stało się dzisiaj powszechnem i nieodzownem prawem, tarczą dla prerogatyw i interesów każdego, a w rękach, wystraszonego przez socyalizm przewrotowy, rękodzielnictwa jedyną bronią zachowawczą i pokojową przeciwko postępom rewolucyi.

Podziwiam nakoniec, że na początku naszego stulecia, wobec

miotania się bezwyznaniowości, owa potrzeba wiary, prawo wyższe Boże w porządku umysłowym, moralnym i socyalnym, po tylu wycieczkach przeciw naszej religii, uznane zostają przez głosy nowe, tak wielu ludzi niespodziewanie przejednanych, których wyznania szczere a mężne są dziś najpiękniejszą dla nas nagrodą i pomocą najskuteczniejszą.

To wszystko, jest to dojrzewanie w formie nieprzewidzianej owej myśli, która nas przed laty trzydziestu złączyła.

To też, nie poddając się zwątpieniu, jesteśmy dzisiaj bardziej niż kiedy ufni i wierzący i czujemy się w prawie, jak to czynię dziś wieczór, wyciągnąć dłoń do tych młodych, dla których nadzieja jest warunkiem życia samego".

Każde zdanie mowcy przyjmuje młodzież grzmotami oklasków. Widać, że hr. de Mun jest bożyszczem swojego obozu. Robią rzeczywiście niemałe wrażenie jego sympatyczna, wyniosła i szlachetna postać, rycerskość, płynna wymowa, głos dźwięczny.

Po hr. de Mun, dopiero co przedstawiony przez niego młody p. Jan Lerolle, syn obranego niedawno do municypalności paryskiej nacyonalisty, w swej bodaj pierwszej przed tak licznem zebraniem przemowie, zdradzającej w młodym trybunie pierwszorzędny talent mowcy, podnosi z zapałem znaczenie katolickich kół rzemieślniczych.

„Zbyt długo — powiada on — katolicki obóz stronił od postępu naukowego i materyalnego śród społeczeństwa, które się zmienia i przeobraża. Jeżeli wziął udział nareszcie w dzisiejszej walce socyalnej, kołom to katolickim zawdzięcza. To te koła nasze pobudziły do tej akcyi, której przyklasnął wielki nasz papież Leon XIII. Jego przecudną encyklikę *Rerum novarum* zna świat cały, a jest ona prawdziwą i kardynalną ustawą dla nowożytnych pracowników w świecie całym, koroną ich dzieła" — a kończy temi słowy;

„Zbliżcie się, zbliżcie do ludu. Lud przecie ma także prawo do prawdy i do sprawiedliwości, a dziś wy jedni dać mu je możecie".

O patronatach katolickich p. Carton de Viard, członek Izby belgijskiej, referuje z niemniejszem powodzeniem. Młodzież oklaskuje wszystkich, i ten wieczór kongresowy wydaje się być świętem rodzinnem.

* * *

Jeszcze nazajutrz rozbrzmiewają zewsząd echa młodzieńczego zapału. Ugoszczono cudzoziemców, wydanym na ich część *Champagne d'honneur:* na wystawie w Pałacu Kongresu przygotowano nowe ze-

branie młodzieży w celach propagandy społecznej, a już pomiędzy rozmaitemi kółkami zawiązuje się międzynarodowa federacya o tendencyi silnie katolickiej, do której zapisują się uczniowie z Lovadium, Liège, Gandawy, Bruxelli, Amsterdamu, Leydy, Gröningi, Oxfordu, Dublina i Barcelony, nawet z Kanady.

Cały dzień czwartkowy, poświęcony tym braterskim sojuszom, kończy się wieczornemi mowami biskupa Montis de Oca o Ameryce Południowej i starej katolickiej Hiszpanii, p. Bazire, p. Warda i innych. Pan Henryk Ward, prezes katolickiej Federacyi z Północy, porównywa młodzież swojego obozu do ulubionego ucznia Chrystusa. Jan, świadek śmierci Zbawiciela, był pierwszy, który go zmartwychwstałego zobaczył, tak i młodzież, patrząca dzisiaj na upadek wiary, ujrzy pierwsza jej zmartwychwstanie.

Baron de Montenach, wiceprezes i delegowany Federacyi katolickiej szwajcarskiej, a którego żona bierze czynny udział w rozprawach Kongresu dam, zachęca obecnych do akcyi i walki w imię zasady, dla której ludzie nie tylko żyć ale i umierać powinni, a nareszcie mgr. Carthuyrels, wicerektor uniwersytetu w Lovadium, daje potężny i szeroki obraz organizacyi, historyi i życia tego pierwszorzędnego uniwersytetu, liczącego stu dwudziestu profesorów, dwa tysiące uczniów, a który stał się sercem katolickiej Belgii i jednym z najpotężniejszych ognisk wszechwiedzy.

* * *

Ostatnie dni kongresu piątek i sobota poświęcone omówieniu walki religijno-narodowej.

Wotum p. Pelleport-Burette głosi przedewszystkiem potrzebę jedności wszystkich komitetów, następnie p. Alfred Mehrinex, adwokat przy apelacyjnym sądzie w Bruxelli, roztrząsając system obieralności, długo się rozwodzi nad różnicami głosowania w Belgii i we Francyi. Świeże a przecie nie pierwsze zwycięstwo partyi katolickiej na wyborach belgijskich, świadczy o wyższości za granicą organizacyi stronnictwa katolickiego. Francyi zatem, przedewszystkiem, zorganizować się należy.

Pan Louis Durand odczytuje raport o kasach oszczędnościowych gminnych, o ich wpływie umoralniającym, o doskonałem ich działaniu w Belgii i we Włoszech. Pan Vermont podniósł raz jeszcze kwestyę stowarzyszeń wzajemności w Anglii; jeden mieszkaniec na sześciu do nich należy; jest to stanowczo jedna z przyczyn, dla któ-

rych tam rewolucyj nie znają. Przyklaskuje mowcy biskup de Cabrières i wzywa wszystkich katolików, aby popierali wzajemność, której przewodnią myślą są słowa Zbawiciela: „Kochajcie się jedni drugich". — Pan Dubois mówi o działalności studentów katolickich w Belgii i dziełach, które już stworzyli. Zorganizowali kursa wieczorne, ustanowili towarzystwo mowców, których niejednokrotnie wysyłają do różnych miast, dla przemawiania na arenie publicznej. Są pomiędzy nimi i katecheci, a stowarzyszenia wstrzemięźliwości znajdują wśród nich przedstawicieli i kierowników. Kongres wypowiada także żądanie regularniejszej i częstszej wymiany wszelkich wydawnictw, stanowiących organ katolickiej młodzieży. O misyach zagranicznych referuje mgr. Leroy, o obronie interesów katolickich w Niemczech, w Szwajcaryi i w Belgii przemawiają kolejno ksiądz Cetty i mgr. Esseiva.

Ale najbardziej interesującym i pobudzającym do obronnej walki był raport p. Gabriela Soulacroix o wolnomularstwie. Opartym był na gruntownie opracowanych dowodach i zdobytych dokumentach.

Praca p. Pawła Nourisson o stosunku wolnomularstwa do rzemieślników spotęgowała jeszcze ogólne wrażenie. Wolnomularstwo jest nieprzejednanym wrogiem Kościoła. Ukrywa się pod płaszczykiem filantropii i zasług obywatelskich, działa przez książki i prasę, a popiera naturalizm i niezależność. Pochlebia narodowym zachciankom, jeżeli ma do czynienia z narodem o swobody swoje zazdrosnym. Używa przeważnie żydów dla swych celów przewrotowych, pozostając w gruncie tajemnicą dla trzech czwartych swoich adeptów. Niejednokrotnie pociąga ludzi zacnych, tak się umie oblec w szlachetne pozory, a ugania się przedewszystkiem za pozyskaniem stanowisk i ludzi najbardziej wpływowych. Wykrywanie jego celów, metody i adherentów, powinno leżeć na sercu każdemu; tylko światło przerazić i rozproszyć może tych istotnych aniołów ciemności.

W Anglii, we Włoszech stanowią już przeważną liczbę ludności, w Austryi, Hiszpani, we Francyi panują politycznie. Wpływy masonii nurtują przedewszystkiem kraje rdzennie katolickie. Dlatego też rozpościerają się zwycięsko nad brzegami Wisły: Warszawa liczy siedm lóż mniejszych, zależnych od W. Loży londyńskiej: stowarzyszenia „Młodej Polski", „Wschodu Polskiego" i „Wschodu Litewskiego" są groźnym objawem. W Petersburgu najwyższe już stanowiska i wpływy przywłaszczyła sobie masonia. Obraz potęgi tej sekty, która powie-

działa o sobie, „że jeszcze lat kilka a zawładnie światem“, miliardy, którymi już rozporządza, wpływy które wywalczyła, rozmiar spustoszenia moralnego, które wszędzie szerzy podstępnie, jej zamach na duszę ludu i przekonania maluczkich, zaciężyły przygnębiająco na umysłach wszystkich słuchaczy.

Miała ich wzmocnić i podnieść moralnie ostatnia chwila kongresu.

* * *

W niedzielę rano liczna pielgrzymka udała się na pagórek Montmartre'u, aby w niedokończonej jeszcze, a już trzydzieści siedm milionów franków kosztującej, Bazylice Najśw. Serca Jezusowego, wysłuchać mszy dziękczynnej i przystąpić do Stołu Pańskiego. W przestronnej świątyni, w której progi tłoczą się co chwila nowe pielgrzymki, uprzedziła była przedstawicieli kongresu liczna korporacya św. Wincentego a Paulo. Dopiero o godzinie dziewiątej zdobyto zamówione na tę chwilę miejsce. Przemówił do zgromadzonych Jezuita O. Coubé, głośny kaznodzieja paryski, ten sam, który niedawno zarysował był z kazalnicy stosunek Kościoła do międzynarodowej tegoczesnej wystawy. O ile przy inauguracyi kongresu O. Sertilange zachęcał wszystkich przedewszystkiem do miłości, o tyle O. Coubé zagrzewał do walki w otwartem polu. Po odbytem nabożeństwie i udzieleniu raz jeszcze błogosławieństwa Ojca św., pospieszono z hr. Nicolaïm na czele do zakrystyi, aby podziękować ks. biskupowi z Potosi za odbytą uroczyście celebrę, a obiecywano sobie wzajemnie raz jeszcze spotkać się o drugiej popołudniu na rue de Grenelle dla odczytania ostatecznych wniosków całotygodniowej pracy.

Mgr. de Cabrières, biskup z Montpellier prezyduje obradom. Pomimo skwarnego upału, sala przepełniona po brzegi; pań zwłaszcza wielka liczba. Pracowały one dzielnie do ostatniej chwili. Naradzały się przedewszystkiem, w jaki sposób bronić wiek młody od upadku. Potwierdziły międzynarodowy związek opieki nad kobietami, zawiązany przed kilku laty we Fryburgu, przyłączeniem do niego sekcyi francuskiej. Kobietom, przybywającym po zajęcie i pracę do miast wielkich, towarzystwo dostarczać będzie mieszkania, wskazówki, pomocy moralnej i materyalnej.

Poprzednio w tymże samym komitecie pań omówiono sposoby, jakimi moralnie upadłą kobietę podnieść i rehabilitować.

Do pierwszej sekcyi kongresu żeńskiego weszły dzieła apostolstwa, do drugiej kształcenie kobiety, do trzeciej obrona jej

przeciw niemoralnym wyływom, do czwartej sprawy socyalne i rzemieślnicze. Dzieła miłosierne stanowiły piątą sekcyę: prezydował na różnych posiedzeniach pań, które po raz pierwszy na kongresach oddzielną stanowiły grupę, wikaryusz generalny ks. Odelin. Asystuje on także dzisiaj, temu ostatniemu połączonych sekcyj zebraniu i on to zreasumuje wota kongresu.

Nim jednak ks. kanonik Odelin zabierze głos, przemówi wpierw do zebranych o kongregacyach zakonnych, Jezuita ks. Gaudeau.

On to przyczyni się głównie do podniesienia ducha słuchaczów.

Bo czy wiecie ile Francya liczy sług Bożych?

„Trzydzieści pięć tysięcy zakonników i sto dwadzieścia pięć tysięcy zakonnic naucza obecnie dwa miliony dzieci, to jest $^1/_3$ młodzieży szkolnej — pielęgnuje 200.000 chorych — przygarnia 100.000 sierót.

„Dziewięć tysięcy księży misyonarzy, cztery tysiące braci, trzydzieści cztery tysiące zakonnic francuskich roznosi po wszystkie krańce świata sławę francuskiej ojczyzny.

„Nie dość na tem, są przecie zakony modlitwie poświęcone wyłącznie, modlą się za ten kraj, i nie jest to najmniejsza z oddanych mu usług, bo ta modlitwa chroni ten naród od gromów zagniewania Pańskiego!“

Pan Lerolle deputowany Paryża, a ojciec, przedstawionego nam przez hr. de Mun młodego przewodnika kół katolickich wśród rzemieślników, bronić będzie jeszcze z wielką kompetencyą i siłą wolności stowarzyszeń religijnych, która tak bardzo obecnym rządom stanęła solą w oku.

Dr. Boissary opowie o ostatnich cudach, które miały miejsce w Lourdes. Przed miłosierdziem i potęgą Matki Najświętszej świat skłoni czoło tak, jak i wiedza lekarska, bezsilna, aby tłómaczyć nadprzyrodzone zjawiska! Stosunek tych objawów cudownych do XIX stulecia, pokorne i szczere wyznanie wiary lekarzy, tryumf nad ślepotą ludzką Królowej Nieba, zakończają zgodnie do ogólnego nastroju obecnych, ostatnią sesyę kongresu.

Więc ks. kanonik Odelin, zanim wyjdzie książka o międzynarodowym katolickim kongresie w Paryżu, streszcza jego długie prace i wota, organizatorom i uczestnikom jego dziękując. Zaś biskup de Cabrières obdarza, rozchodzące się tłumy, swem pasterskiem błogosławieństwem.

Kongres ukończony — a najgorliwsi dziś jeszcze wieczorem od-

jadą do Paray-le-Monial, aby w miejscu, w którem wielebna zakonnica Nawiedzenia Małgorzata Alacoque usłyszała obietnice Chrystusowe pokrzepić się w tem ognisku łask, dla odważniejszego nadal wyznawania i skuteczniejszego bronienia świętej wiary katolickiej!

* * *

I jakież pozostaje wrażenie z tych narad, przemówień i pracy wspólnej uczestników kongresu?

Jedno zwłaszcza najsilniejsze: uczucie konieczności wspólnego międzynarodowego działania, czujności nad sprawą Bożą, walki zorganizowanej, wytrwałej, odważnej, chociażby z zaparciem się własnego życia.

Bo jakże się nie sprzysiądz i nie uzbroić przeciwko złemu, które świat gnębi? W tym choćby jednym tygodniu kongresowej pracy, ileż to zewsząd niepokojących wypadków zasmuciło katolickie serca?

Wielki mistrz masonii włoskiej, żyd Ernest Nathan pobudził dopiero co na nowo wolno-mularzy, z okazyi wyborów we Włoszech, do akcyi przeciw Katolicyzmowi.

We Francyi wydano wyrok przeciw Kongregacyom zakonnym, czyniący odtąd zależnym los ich od specyalnego dla każdej z nich prawa.

W Auche na przekor ludności katolickiej zakazano odtąd procesye. W Reims, pomimo czynnej protestacyi świadków zamachu i upomnień arcyb. kard. Langenieux, kazano podstępnie zburzyć wielki krzyż kamienny, wzniesiony na przedmieściu ze składek. W Tonnay-Charente wypędzono siostry św. Wincentego a Paulo z ich własnego domu — a minister finansów wydelegował nową komisyę dla ocenienia opodatkowania, lub zagarnięcia wszystkich posiadłości zakonnych.

Zewsząd rozpasane namiętności, które podburza rząd sekciarski, grożą spokojnemu wyznawaniu wiary. Wielka międzynarodowa wystawa, skądinąd pouczająca, święci na wielką skalę uzmysłowienie sztuki i brutalną pornografię.

A jednak nie wszędzie zwycięża duch złego!

Na wyborach w Wiedniu zwalczono partyę semicką: 131 głosów przypadło katolikom w udziale, 23 głosy zaledwo żydom i demokracyi socyalnej.

W Belgii porażka liberalnego stronnictwa zupełna, i nie jest to pierwsze zwycięstwo zwolenników społecznego spokoju.

W Paryżu utworzyła się grupa nacyonalistów: należą do kato-

lickiego obozu, zwyciężyli przy wyborach do municypalności paryskiej. Zaszkodziła stanowczo masonii sprawa Dreyfusa.

Nim się w przyszłości udzieli dotykalniej zbawienny wpływ nowo obranych, oto już propozycya *du repos hebdomadaire* przegłosowaną została. Niedziela pozostanie nadal dniem świątecznym obowiązkowego odpoczynku.

Ale pocieszającą rękojmią przyszłości jest przedewszystkiem liga katolickiej młodzieży.

Podczas gdy Francya obchodzi kanonizacyę nowego świętego, Jana Baptisty de La Salle, założyciela braci *de la doctrine chrétienne,* beatyfikacyę bł. Clet'a ze zgromadzenia OO. Misyonarzy, oraz nowych męczenników zamordowanych w Chinach — gdy w sam dzień Zielonych Świątek odjeżdża do Indyj świeży poczet katechetów, gdy dla uczczenia sukni Zbawiciela ściągają do Argenteuil pielgrzymki Żuawów pontyfikalnych, a Paray-le-Monial jest ustawicznym celem wycieczek dla tysiącznych w tym roku pątników — ta sama Liga młodzieży katolickiej francuskiej, licząca już dzisiaj 44.000 członków wojowniczych i czynnych, postanawia odwiedzić Rzym 19 września t. r. jubileuszowego, aby zapewnić Stolicę Apostolską o swem przywiązaniu i wierności.

Dowiodła jej i na kongresie, na którym 137 jej stowarzyszeń różnych było reprezentowanych, a 49 grup nowych pozyskała.

Udowodniła użytecznej swej katolickiej pracy zwłaszcza na tejże samej bezwyznaniowej wystawie.

Pałac kongresu pomieścił sprawozdania i synoptyczne tablice jej wszechstronnej działalności. Ale nie mógł pomieścić ich wszystkich. Specyalny pawilon wystawiony w Vincennes dał o nich dokładniejsze wyobrażenie.

Les oeuvres ouvrières des Malmaisons (patronage laïque des Apprentis et des Jeunes Ecoliers) od lat dwóch istniejące z Bar. de Guntz i jego siostrą na czele, w których młodzi adwokaci, docenci, doktorowie, chirurgowie (w tych liczbie najsławniejszy dziś w Paryżu dr. Paweł Michaux) uczą bezpłatnie młodzież rzemieślniczą — *L'oeuvre des patronages*, dzieło moralizacyjne pomocy natychmiastowej i stałej dla najuboższych — patronaty dla pomieszczenia terminatorów — warsztaty bezpłatne, tanie kuchnie, sekretaryaty ludu, kasy oszczędnościowe, bióra rozdawnicze ubrań i obówia — towarzystwo męskie św. Wincentego a Paulo — setki kółek dla młodzieży rzemieślniczej, stowarzyszenia dla oddzielnych fachów, koła robotnicze pod przezydencyą hr. de Mun w liczbie 418, syndykatów rolnych 136 i td., i td., założone są,

kierowane, doglądane, zasilane przez przeważnie szkolną katolicką młodzież. Samych patronatów, pod jej zwierzchnictwem pozostających, przedstawiono na wystawie 2551 dla chłopców, 1817 dla dziewczyn, a grup edukacyjnych dla wychowania ludu 32.674.

Bóg w ręce tej młodzieży złożył przyszłe, szczęśliwsze losy katolickiej Francyi.

Oby przykład, tej pracującej miłosiernie i gorliwie dla dobra młodzieży, mógł i u nas natchnąć wszystkich. *Ut omnes sint unum.* Oby i u nas zrozumiała to młodzież, iż, służąc sprawom Bożym, służy się najpożyteczniej krajowi.

Michał Radziwiłł.

Druk ukończono 30 sierpnia 1900 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Stronica
Szkice z Brazylii. Stosunki polityczne Brazylii po obaleniu cesarstwa. Przez *prof. Józefa Siemiradzkiego*	1
Ostatnie lata Benedyktynów w Tyńcu. Przyczynek do dziejów Wszechnicy Jagiellońskiej. (C. d.). Przez *ks. prof. Wł. Chotkowskiego*	18 331
Trzy audyencye biskupów u Mikołaja I.	42
Katorgi na Sachalinie. (Dok.). Przez *Teresę Wodzicką*	51 232
Pojęcie literackiej krytyki. (C. d.). Krytyka literacka a nauka. I. Taine. Przez *ks. Jana Pawelskiego T. J.*	69
Jacinto Verdaguer. Szkic z dziejów odrodzenia literatury katalońskiej. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.*	153 364
Jan III. Waza i missya Possewina. Przez *d-ra Feliksa Koneczнego*	169
Piórem i ołówkiem. 1. Z zatoki neapolitańskiej. Przez *Jana Ładę*	188 374
Młoda Polska w powieści i poezyi. (C. d.). 4. Liryka modernistów. Przez *prof. Antoniego Mazanowskiego*	211
Müntz o Leonardzie Da Vinci. Przez *ks. Józefa Tuszowskiego T. J.*	313
Niebo nocne a dzienne. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.*	359

Przegląd piśmiennictwa.

Stronica

Z piśmiennictwa krajowego:

Filologia polska w trzech ostatnich latach: Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział filologiczny. Tom xxvi, r. 1898. Tom xxviii, r. 1900. — Wisła. T. xii. — Prace filologiczne. T. v. — Archiv für slavische Philologie. Tom xix, r. 1897. T. xx, r. 1898. T. xxi, r. 1899. — Słownik języka polskiego. *(Stanisław Dobrzycki)* 85

Dziwy hipnotyzmu. Ks. dr. prof. Kazimierz Wais. *(Ks. prof. F. Gabryl)* 93

O grzesznikach nałogowych, nawrotnych i pozostających w okazyi do grzechu. Napisał ks. dr. Adam Gerstman. *(Ks. Eugeniusz Hełczyński T. J.)* 90

Wspomnienia z Kulturkampfu. Napisał ks. Walenty Śmigielski. *(M.)* 100

Burboni na wygnaniu w Mitawie i Warszawie. Szkic historyczny (1798—1805). Aleksander Kraushar. *(Prof. Ludwik Boratyński)* 102

Liber tristium. F. Mirandola. *(Ks. J. Pawelski T. J.)* 103

Pobożność w duchu chrystusowym. O pobożności prawdziwej i fałszywej. Napisała C. Plater-Zyberkówna. — Droga odrodzenia na duchu czyli trzydniowe rekolekcye. Przez ks. Bogusława. — Czy ja potrzebuję pracować. Napisane przez C. P. Z. Wydał ks. N. Godlewski. *(T. W.)* . 250

Krytyczny rozbiór kazań i homilij Hipacyusza Pocieja. Ks. dr. J. Krukowski. *(Ks. Jarosław Rejowicz T. J.)* . . . 264

Własność rolna w Galicyi. Studyum statystyczno-społeczne. Dr. Zofia Daszyńska-Golińska. *(Dr. T. Kudelka)*. 265

Słowniczek frazeologiczny. Poradnik dla piszących. Przez Antoniego Krasnowolskiego. *(Dr. Stanisław Dobrzycki)* . . . 270

Legenda o św. Prokopie. Vrchlický. Przełożył i objaśnił dr. Fr. Krček. *(Dr. Stanisław Dobrzycki)* 278

W Pirenejach. Odczyt publiczny. Stanisław Bełza. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)*. 280

Obraz literatury powszechnej w streszczeniach i przykładach. Piotr Chmielowski i Edward Grabowski. Tom I. Starożytność i wieki średnie. Tom II. Czasy nowożytne. — Obraz literatury polskiej w streszczeniach i celniejszych wyjątkach. Chmielowski Piotr. T. III. *(Prof. Antoni Mazanowski)*. 405

Amorem tui. — Ojciec Remigi. — Bliźni. Książe Michał Radziwiłł. *(T. W.)* 414

Listy Dyonizy Poniatowskiej do Bohdana i Józefa Zaleskich. *(M.)* 421

Przed nową epoką. Materyały do historyi OO. Bernardynów w Polsce. Zebrał O. Norbert Golichowski. *(Ks. Jarosław Rejowicz T. J.)* 425

Stronica

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Cours de philosophie. Volume IV. Critériologie générale de la certitude par D. Mercier. *(Ks. prof. Aleksander Pechnik)* 105

Volkswirtschaftspolitik. Bearbeitet von Dr. Eugen von Philippovich. Erster Theil. *(Zygmunt Gargas)* 108

Louis Veuillot par Eugène Veuillot. *(M.)* 111

Bogarodzica. Untersuchungen über das dem hl. Adalbert zugeschriebene älteste polnische Marienlied von Dr. F. Hipler. *(Stanisław Dobrzycki)*. 105

Pages Catholiques. J. K. Huysmans. Préface de M. l'Abbé Mugnier. *(Ks. Józef Tuszowski T. J.)* 275

Geschichte des Deutschen Zeitungswesens von den ersten Anfängen bis zur Wiederaufrichtung des Deutschen Reiches von Ludwig Salomon. Erster Band. Das XVI., XVII. u. XVIII. Jahrhundert. *(Dr. Józef Flach)* 280

Die amtliche Handelsstatistik Englands und Frankreichs im XVIII. Jahrhundert. Dr. Friedrich Lohman. *(Dr. Zygmunt Gargas)* 280

Wirtshaus-Reform in England, Norwegen und Schweden. Auf Grund von Reisen geschildert von Dr. Wilhelm Bode. — Die deutsche Volkswirtschaft am Schlusse des XIX. Jahrhunderts. Auf Grund der Ergebnisse der Berufs und Gewerbezählung von 1895 und nach anderen Quellen bearbeitet im kaiserlichen Statistischen Amt. H. v. Scheel. *(Dr. Z. Gargas)* 427

K woprosu o zapadnom wlijanii na sławianskuju i russkuju poeziju. Izsliedowanije I. Sozonowicza, profesora impieratorskawo Warszawskawo Uniwiersitieta. *(Stanisław Zdziarski)* 430

Mes parents par un père de la Compagnie de Jésus. — Aux mères, causeries sur l'Éducation par le P. Jean Charruau, de la Compagnie de Jésus. *(M.)* 433

Z pism czasowych:

Alte und Neue Welt. Illustriertes Familienblatt zur Unterhaltung und Belehrung. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* . . . 436

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Sprawy Kościoła: Nowy tryumf katolików w Belgii. — Pielgrzymki jubileuszowe. Przez *ks. S. Kobyłeckiego T. J.* . . 123

Zjazdy naukowe w 1900 roku: Kongres historyi nauk. — Międzynarodowy kongres religij. — Międzynarodowy zjazd

Stronica

filozofów. — Międzynarodowy kongres wychowania fizycznego. — Międzynarodowy kongres wychowania społecznego. — Drugi międzynarodowy kongres hipnotyzmu. — Kongres międzynarodowy historyi porównawczej. — Międzynarodowy kongres wykształcenia wyższego. — Piąty międzynarodowy zjazd naukowy katolików. Przez *ks. S. Kobyłeckiego T. J.* 134

Korespondencya Redakcyi. 153

SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła: Kanonizacya bł. Jana de la Salle. — List cesarza chińskiego do Leona XIII. — Poświęcenie krzyża na Wezuwiuszu. — Zakaz modlitw szkolnych we Francyi. — „Charitas“ o emigracyi polskiej. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 293

Jeux floraux w Kolonii. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* . . 302

Statystyka strejków w Austryi z lat 1894—1898. II. Przez *Józefa Glinkiewicza* 304

Dwa listy Tadeusza Kościuszki pisane 1808 r. do Karoliny Sapieżanki 1° voto Teodorowej Potockiej, 2° voto Stanisławowej Sołtykowej 311

WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła: Po zamachu na króla Humberta. — Nowe rozporządzenia ministra Studta. — Stowarzyszenie modlitwy dzieci francuskich. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 441

Zjazdy w 1900 roku: Międzynarodowy kongres katolicki w Paryżu. Przez *księcia Michała Radziwiłła* 450

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.